

Prawo miecza cz.2

Wilbur Smith



calibre 0.9.27

Wilbur Smith
Prawo Miecza
tom 2

Tak nagle jak się pojawili, by objąć w posiadanie Weltevreden, tak nagle wszyscy goście zniknęli, zostawiając po sobie zniszczoną murawę boiska do polo, sterty śmieci, butelek po szampanie i brudnej pościeli. A także wrażenie nagłego przesilenia. Centaine poczuła wreszcie, że ten etap ma już za sobą. Wykonała swój ostatni wielkopański gest, wystrzeliła ostatni pocisk ze swego arsenału. W sobotę do Zatoki Stołowej wpłynął statek pocztowy, przywożąc niemiłego, choć oczekiwanego gościa.

— Ten facet przypomina mi grabarza, zastępującego chorego poborcę podatkowego — burknął sir Garrick i zabrał generała Smutsa do pokoju myśliwskiego. Bawiąc w Weltevreden tam właśnie zawsze pracował. Zatopieni w dyskusji nad zarysem projektowanej biografii nie pojawili się aż do lunchu.

Gość zjawił się w porze śniadania, dokładnie w chwili, gdy Centaine wróciła z Shasą z porannej konnej przejażdżki, zaróżowiona i głodna. Kiedy stanęli w podwójnych drzwiach jadalni zaśmiewając się z jakiejś błazenady Shasy, gość oglądał stemple probiercze na srebrnych sztuccach. Na ten widok radosny nastrój prysł, Centaine zagryzła wargi i spoważniała.

— Pozwoli pan, że przedstawię panu mego syna, Michaela Shasę Courteneya. Shaso, to jest pan Davenport z Londynu.

— Miło mi pana poznać, sir. Witamy w Weltevreden.

Davenport zmierzył chłopca tym samym taksującym spojrzeniem, którym badał autentyczność prób srebra.

— To słowo pochodzi z holenderskiego — wyjaśnił Shasa. Znaczy „w pełni zaspokojony”.

— Pan Davenport pracuje w domu aukcyjnym Sotheby — wypełniła niezręczną przerwę Centaine. — Przyjechał doradzić mi w sprawie niektórych naszych obrazów i mebli.

— Och, to wspaniale! — ucieszył się Shasa. — Czy widział pan to? — wskazał piękny olejny pejzaż na ścianie nad komodą. — To ulubione płótno mojej matki. Namalowane w posiadłości, w której się urodziła. W Mort Hornme koło Arras.

Davenport poprawił okulary w stalowej oprawie i pochylił się nad komodą, by z bliska przyjrzeć się obrazowi, zawadzając pokaźnym brzuchem o tacę z sadzonymi jajkami. Na jego kamizelce pojawiła się spora tłusta plama.

— Sygnowany i datowany „1875” — powiedział grobowym głosem. — To jego najlepszy okres.

— Namalował go niejaki Sisley — pospieszył usłudze z pomocą Shasa. — Alfred Sisley. To dość znany artysta, prawda, mamo?

— Kochanie, pan Davenport na pewno wie, kto to jest Alfred Sisley.

Ale Davenport nawet nie udawał, że słucha.

— Moglibyśmy dostać pięćset funtów — mruknął i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni notes, by to zapisać. Przy tym ruchu z jego rzadkich loków posypał się obłoczek drobnego łupieżu i upstrzył kark ciemnego garnituru.

— Pięćset? — powtórzyła rozczarowana Centaine. — Zapłaciłam za niego znacznie więcej. — Nalała filiżankę kawy, której nigdy nie pijała do tych obfitych angielskich śniadań, i zaniósła ją na miejsce u szczytu stołu.

— Nie wiadomo czy nawet tyle, pani Courteney. Na aukcji w ubiegłym miesiącu wystawialiśmy lepszy obraz tego artysty, „L'Ecluse de Marly”, i nie osiągnął on bardzo niewygórowanej ceny, jaką wyznaczyliśmy. Rynek kupującego, niestety rynek kupującego.

— Och, nie ma się czym przejmować, sir. — Shasa nałożył sobie na talerz ogromną porcję sadzonych jaj i obłożył je wieńcem podsmażonego bekonu. — Ten obraz nie jest na sprzedaż. Matka nigdy by się z nim nie rozstała. Prawda, mamó?

Davenport zignorował uwagę Shasy i podszedł z talerzem do wolnego miejsca obok Centaine.

— Natomiast tamten Van Gogh w salonie od frontu to zupełnie inna sprawa — powiedział, zabierając się do wędzonego łososa z zapalem, jakiego nie wzbudziło w nim jeszcze nic od chwili przybycia.

Z pełnymi ustami odczytał z notesu:

— „Zielono-ńioletowe pole pszenicy; bruzdy wiodą oko ku złotej aureoli wokół wielkiej kuli wschodzącego słońca wysoko w głębi obrazu”. — Zamknął notes. — Mimo tak trudnego rynku, w Ameryce jest spory popyt na Van Gogha, choć nie sposób oczywiście powiedzieć, czy się utrzyma. Sam nie mógłbym go wystawić, ale każę go sfotografować i rozesłać zdjęcia do kilkunastu naszych najpoważniejszych klientów w Stanach. Sądzę, że możemy liczyć na jakieś cztery, pięć tysięcy.

Shasa odłożył nóż i widelec i zaczął wodzić od matki do Davenporta zaskoczonym, zaniepokojonym spojrzeniem.

— Proponuję, abyśmy porozmawiali o tym później — przerwała pospiesznie rozważania Davenporta Centaine. — Zarezerwowałam dla pana cały dzień. Teraz nie psujmy sobie smaku przy śniadaniu.

Reszta posiłku upłynęła w milczeniu, ale kiedy Shasa odsunął od siebie nie dokończone śniadanie, Centaine wstała razem z nim.

— Dokąd się wybierasz, cheri?

— Do stajni. Zamówiłem kowala do podkucia dwóch z moich kuców.

— Przejdę się z tobą.

Ruszyli ścieżką wiodącą wzdłuż dolnego muru winnicy zwanej hugenocką, gdzie rosły najlepsze winogrona Centaine, a potem tyłem dawnych czworaków niewolniczych. Oboje milczeli, Shasa, czekając aż matka zacznie rozmowę, a Centaine szukając odpowiednich słów. Rzecz jasna tego, co miała mu powiedzieć, nie sposób było przekazać delikatnie, a i tak zwlekała już zbyt długo. Ta zwłoka tylko jeszcze bardziej teraz wszystko utrudniała.

Przy bramie na podwórze stajenne wzięła go pod rękę i skręciła w stronę winnicy.

— Ten człowiek... — urwała i zaczęła jeszcze raz. — Sotheby to największy i najbardziej znany dom aukcyjny w świecie. Specjalizuje się w sprzedaży dzieł sztuki.

— Wiem, mamó — uśmiechnął się pobłaźliwie. — Nie jestem aż takim kompletnym ignorantem.

Pociągnęła go w stronę drewnianej ławki koło źródelka. Krystalicznie czysta woda wypływała z małej skalnej groty i z pluskiem spadała po omszałych kamieniach do ocembrowanej, obrośniętej gęstymi paprociami sadzawki u ich stóp. Zamieszkujący sadzawkę pstrąg, długi i gruby jak przedramię Shasy, podpłynął szybko do powierzchni w nadziei na smaczny kąsek.

— Słuchaj, kochanie, ten człowiek przyjechał, żeby pomóc nam sprzedać Weltevreden. — Powiedziała to głośno i wyraźnie i natychmiast ogrom znaczenia tych słów przygniótł ją samą jak padający dąb. Zdrętwiała i załamana poczuła, jak uchodzą z niej wszystkie siły, jak kurczy się i maleje, ulega w końcu Czarnej rozpaczce.

— Masz na myśli obrazy? — spytał ostrożnie Shasa.

— Nie tylko obrazy: meble, dywany, srebra... — Musiała urwać, by wziąć głęboki oddech i zapanować nad drżeniem ust. — Willę, ziemię, winnice, twoje kuce — wszystko.

Shasa spojrzął na matkę wzrokiem bez wyrazu, nie mogąc pojąć, o czym mówi. Mieszkał w Weltevreden odkąd ukończył cztery lata, od kiedy pamiętał, całe swoje życie.

— Straciliśmy wszystko, Shaso. Od czasu rabunku diamentów walczyłam, by to jakoś utrzymać, ale nie udało się. Nie mamy już nic, Shaso. Weltevreden sprzedajemy, żeby pokryć długi. Po ich spłaceniu nic nie zostanie. — Głos znów jej się załamał, a nim zaczęła mówić dalej, musiała dotknąć ust, by powstrzymać drżenie warg. — Nie jesteśmy już bogaci, Shaso. Wszystko przepadło. Jesteśmy zrujnowani, kompletnie zrujnowani. — Czekwała, aż zacznie jej wymyślać, aż załamie się tak, jak jej to lada chwila groziło, lecz on objął ją tylko ramieniem. Zesztywniała na moment, po czym przytuliła się do niego, szukając pocieszenia.

— Jesteśmy biedakami, Shaso... — Czowała, jak zмага się ze sobą, by pojąć znaczenie i wagę tego co usłyszał, jak szuka słów, mogących wyrazić targające nim sprzeczne uczucia.

— Wiesz, mamó — powiedział w końcu — ja znam kilku biedaków... Niektórzy chłopcy w szkole... Ich rodzicom dość kiepsko się powodzi, ale oni jakoś się tym nie przejmują. Większość z nich to bardzo fajni kumple. Kiedy już się przyzwyczaimy do bycia biedakami, może nie będzie tak najgorzej.

— Nigdy się do tego nie przyzwyczajaj! — szepnęła z mocą. — Będę tego nienawidzić, każdej chwili, każdej godziny, każdego dnia!

— Ja też — powiedział równie gwałtownie. — Och, żebym tak był już dorosły... żebym mógł ci jakoś pomóc.

Zostawiła Shasę przy kuźni i zawróciła w stronę willi, przystając po drodze, żeby zamienić kilka słów ze swymi kolorowymi pracownikami, z kobietami, które z dziećmi na biodrach wychodziły na próg swoich chat, by ją pozdrowić, z mężczyznami, którzy prostowali się z uśmiechem na jej widok, bo zżyli się tu wszyscy ze sobą jak rodzina. Z tymi ludźmi jeszcze trudniej było się rozstawać niż ze starannie gromadzonymi skarbami. Koło rogu winnicy przelazła przez kamienny mur i zaczęła krążyć bez celu między rzędami pieczołowicie przyciętej winorośli. Długie pędy uginały się już ciężko pod kiściami owoców, zielonych i twardych jak muszkietowe kule, pokrytych delikatnym, srebrzystym meshkiem. Brała je w złożone dłonie wyciągniętych rąk, jakby w geście pożegnania, i naraz stwierdziła, że płacze. Udało jej się powstrzymać łzy, gdy była z Shasą, lecz teraz smutek, żal i poczucie osamotnienia wzięło w końcu górę. Stała się pośrodku swej ukochanej winnicy i rozplakała się na dobre.

Rozpacz odebrała jej siły, pozbawiła stanowczości. Tak ciężko pracowała, tak długo była zupełnie sama. Teraz, w chwili ostatecznej klęski była zmęczona, zmęczona tak bardzo, że czuła fizyczny ból mięśni i kości. Wiedziała też, że nie znajdzie już w sobie sił, by zaczynać wszystko od nowa. Czuła, że została pokonana i że od tej pory jej życie będzie smutnym i żalonym codziennym kieratem, walką kogoś, kto został zepchnięty do pozycji żebraka, o zachowanie w tej sytuacji godności. Bo choć szczerze kochała sir Garricka, to właśnie na jego łaskę została od tej chwili zdana i wszystko się w niej przed tym wzdragало. Po raz pierwszy w życiu nie znajdowała w sobie ani woli, ani odwagi, by brnąć dalej.

Poczuła, jak ogarnia ją przemożne pragnienie ciszy i spokoju. Jakże dobrze byłoby położyć się i zamknąć oczy...

„Wolałabym, żeby było już po wszystkim. Żeby nie pozostał już nawet cień nadziei, nie było już o co walczyć, nie było o co się martwić.”

Pragnienie spokoju stało się tak nieodparte, oładnęło ją z taką mocą, że wychodząc z winnicy

przyspieszyła kroku. „To będzie jak głęboki sen — głęboki sen bez snów.” Ujrzała samą siebie, leżącą w atlasowej pościeli, z zamkniętymi oczyma, z wyrazem niezmaconego spokoju na twarzy.

Wciąż miała na sobie bryczesy i buty do konnej jazdy, toteż mogła wydłużyć krok. Trawnik przed domem przebyła prawie biegiem, jednym szarpnięciem otworzyła tarasowe drzwi do swego gabinetu, dysząc ciężko dopadła biurka i wysunęła górną szufladę.

Pistolety były prezentem od sir Garricka, leżały w przepięknym futerale z błękitnej skóry z mosiężną plakietką z jej nazwiskiem na wieczku. Była to para idealnie dobranych, damskich pistoletów ręcznej roboty, wykonanych we Włoszech z zakładach Beretty, justowanych misternie złotem, z kolbami wyłożonymi masą perłową i wysadzanych drobnymi diamentami z kopalni H'ani.

Wzięła do ręki jeden z nich i zajrzała do magazynka. Był pełen. Zatrzasnęła go z powrotem i zarepetowała broń. Ruchy miała pewne, oddech jej się wyrównał. Z uczuciem ogromnego spokoju i oderwania od wszystkich ziemskich spraw przystawiła lufę do skrom i wybrała palcem cały luz spustu.

Miała wrażenie, że znalazła się na zewnątrz siebie, że przygiąda się siedzącej przy biurku obcej kobiecie, nie czując właściwie nic poza odrobiną żalu i litości.

„Biedna Ceutajne, na co jej przyszło — pomyślała. — Żeby tak fatalnie skończyć...”

Spojrzała na przeciwległą ścianę pokoju, w wielkie lustro w rzeźbionych złotych ramach. Po jego obu stronach w wielkich wazach stały bukiety herbacianych róż z ogrodów Weltevreden, więc jej odbicie było obramowane kwiatami, jakby spoczywała w trumnie. Patrząca na nią twarz była blada jak sama śmierć.

— Wyglądam jak trup — powiedziała na głos i na dźwięk tych słów pragnienie zapomnienia ustąpiło natychmiast miejsca mdlącej odrazie do samej siebie. Opuściła pistolet, wpatrując się ze wstrętem w lustro i ujrzała, że policzki zaczyna jej rozżarzać gniew.

— *Merde*, nie! — prawie wrzasnęła na samą siebie. — Nie wywiniesz się z tego tak łatwo! — Otworzyła magazynek, wysypała naboje na dywan, rzuciła pistolet na blat biurka i energicznym krokiem wyszła z gabinetu.

Kolorowe pokojówki usłyszały stuk obcasów jej butów na stopniach marmurowych, kręconych schodów i ustawiły się równiutko obok siebie przed drzwiami jej apartamentów, uśmiechając się radośnie i dygając jedna przez drugą.

— Lily, ty leniuszku, kąpiel jeszcze nie gotowa? — spytała Centaine. Służące spojrzały na siebie wywracając oczyma, po czym Liły poczłapała do łazienki, grając przekonująco rolę posłusznej i uległej sługi, gdy tymczasem ładna drobna druga pokojówka ruszyła za Centaine do jej garderoby, zbierając z podłogi umyślnie rozrzucone przez Centaine ubranie.

— Gladys, idź dopilnuj, żeby wanna była pełna, a kąpiel gorąca — poleciła Centaine. Kiedy chwilę później w szlafroku podeszła do wielkiej marmurowej wanny, obie już tam na nią czekały z wyrazami udawanego niepokoju na twarzach.

— Lily, przecież to ukrop! — zawołała Centaine, sprawdzając palcem wodę. — Czy ty chcesz mnie ugotować?! — Służąca uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Kąpiel miała dokładnie taką temperaturę jak trzeba, a pytanie Centaine stanowiło tego potwierdzenie. Był to taki ich wspólny żarcik. Lily trzymała już w pogotowiu słoje z solami do kąpieli i natychmiast wysypała do parującej wody starannie odmierzoną porcję drobnych kryształków.

— Czekaj, daj mi to — poleciła Centaine i opróżniła słoje do połowy. — Koniec z półśrodkami. — Z perwersyjnym zadowoleniem patrzyła, jak piana przelewa się przez krawędź wanny i spływa na

marmurową posadzkę. Służące skwitowały to nowe szaleństwo radosnym chichotem i umknęły z łazienki, a Centaine zrzuciła żółty jedwabny szlafrok i zanurzyła się po brodę, sapiąc głośno w reakcji na tę cudowną torturę. Leżąc bez ruchu znów ujrzała przed oczyma wykładany masą perłową pistolet, lecz natychmiast odegnała ten obraz.

Robiłaś w swym życiu różne dziwne rzeczy, Centaine, ale nigdy nie splamiłaś się tchórzostwem — powiedziała sobie. Po powrocie do ubieralni wybrała letnią suknię w wesołych kolorach i schodząc po schodach na dół znów miała na twarzy uśmiech.

Davenport i Cyryl Slaine już na nią czekali.

— To nam zajmie mnóstwo czasu, panowie. Zaczynamy.

Należało ponumerować i opisać wszystkie przedmioty stanowiące wyposażenie ogromnej willi, oszacować po kolei wartość każdego z nich, co cenniejsze dzieła sztuki sfotografować i wprowadzić pracownicy wszystkie dane do wstępnego katalogu. A całość prac trzeba było zakończyć w ciągu dziesięciu dni, przed powrotem Davenporta do Anglii. Po trzech miesiącach miał przypłynąć raz jeszcze, żeby przeprowadzić już samą sprzedaż.

Kiedy nadszedł moment odjazdu Davenporta, Centaine zaskoczyła wszystkich oświadczając, że osobiście odprowadzi go do przystani statków pocztowych, co normalnie byłoby obowiązkiem Cyryla Slaine'a.

Odpięcie statku pocztowego było jednym z ważniejszych wydarzeń życia towarzyskiego w Cape, całe nabrzeże wypełniał zbity tłum pasażerów i odprowadzających ich krewnych, przyjaciół i znajomych.

Przed trapem wiodącym do kajut pierwszej klasy Centaine sprawdziła listę pasażerów i pod literą „M” znalazła rezerwację:

Malcomess, pani I. — kabina A 16

Malcomess, panna T. — kabina A 17

Malcomess, panna M. — kabina A 17

Rodzina Blaine'a odpływała tak jak zaplanowano. Ponieważ za obopólną zgodą nie widzieli się od ostatniego dnia turnieju polo, przeszukała teraz niecierpliwie wzrokiem palarnie i salony pierwszej klasy, ale nigdzie go nie dostrzegła. Dotarło do niej, że pewnie jest w kajucie Izabeli. Na myśl o ich intymnym tete-a-tete poczuła piekącą zazdrość i rozpaczliwą ochotę, by zajrzeć do kabiny A 16 na pokładzie łodziowym pod pretekstem pożegnania Izabeli, a tak naprawdę po to, by nie pozostali sam na sam już ani chwili dłużej. Zamiast tego usiadła w głównym salonie, przyglądając się, jak Davenport pochłania jeden za drugim różowe dziny, odwzajemniając uśmiechy i pozdrowienia znajomych i wymieniając banalne uwagi z przyjaciółmi, którzy paradowali w tę i z powrotem po salonach statku tylko dlatego, że było to miejsce, gdzie można było wiele zobaczyć i gdzie należało się pokazać.

Z ponurą satysfakcją zaobserwowała, jak wyraźnie okazywano jej szacunek, jak ciepłymi serdecznościami ją obsypywano. Szaleńcza ekstrawagancja turnieju Polo odniosła skutek, oddaliła podejrzenia co do jej sytuacji finansowej. Jak do tej pory żadne plotki nie nadszarpnęły jej pozycji i reputacji.

„Jakże szybko się to wszystko zmieni” — pomyślała, już teraz czując wzbierający gniew. Z premedytacją utarła nosa jednej z bardziej znanych pań domu, która za wszelką cenę próbowała wejść do najlepszego towarzystwa Cape, publicznie odrzucając jej natrętne zaproszenia i obserwując z gorzką ironią, jak tym afrontem zdobywa sobie jeszcze większy respekt tej kobiety. Ale prowadząc

te skomplikowane gierki towarzyskie cały czas wodziła wzrokiem ponad głowami swoich rozmówców wypatrując Blaine'a.

Syrena okrętowa ryknęła w ostatnim ostrzeżeniu, oficerowie w oślepiająco białych tropikalnych mundurach wmieszali się w tłum, powtarzając na lewo i prawo: „Statek odpływa za piętnaście minut. Prosimy wszystkich odprowadzających o zejście na brzeg.”

Centaine wymieniła uścisk dłoni z Davenportem i dołączyła do spływającej stromym trapez procesji. Na nabrzeżu zwlekała z wydostaniem się z dobrodusznego ścisku, sunąc wzrokiem wzdłuż wysokiej burty statku, by w tłumie pasażerów oblepiających reling na pokładzie łodziowym wyłowić sylwetkę Izabeli lub jej córek.

Na wietrze zatrzepotały pęki wielobarwnych serpentyn rzuconych z pokładów i pochwyconych skwapliwie na brzegu, łączących statek z ziemią miriadą kruchych pępowin. W powstałym zamieszaniu Centaine dostrzegła nagle starszą córkę Blaine'a. Z tej odległości, w ciemnej sukience, z modnie upiętymi włosami Tara wyglądała niemal dorośle i bardzo atrakcyjnie. Przytulona do jej boku młodsza siostra wyciągała głowę ponad reling i z całych sił wymachiwała różową chusteczką do kogoś w dole.

Centaine przesłoniła oczy ręką i dostrzegła za plecami dziewcząt postać w wózku inwalidzkim. Izabela siedziała z twarzą ukrytą w cieniu i wydała jej się nagle ostatecznym zwiastunem tragedii, ucieleśnieniem wszystkich wrogich sił zesłanych na ziemię, by ją prześladować i pozbawić szczęścia.

— O Boże, jakże bym chciała ją po prostu zniechęcić — szepnęła, przenosząc spojrzenie w stronę miejsca, ku któremu machały obie dziewczynki i powoli przeciskając się przez tłum.

I wtedy go ujrzała. Wdrapał się na wózek jednego z wielkich dźwigów załadunkowych i machał odpływającym córkom panamą z szerokim rondem. Miał na sobie garnitur z kremowego tropiku i niebiesko-zielony krawat swego pułku, wiatr zarzucał mu włosy na czoło, a błyskające w uśmiechu zęby wydawały się na tle spalonej na ciemny mahoń twarzy bardzo białe i duże.

Centaine cofnęła się w tłum, skąd mogła go dyskretnie obserwować sama nie będąc widzianą.

„Mogę stracić wszystko, ale nie jego. — Ta myśl dodawała otuchy. — Będę go miała zawsze, nawet wtedy gdy zabiorą mi już Weltevreden i H'ani.” I nagle poczuła, że rodzi się w niej koszmarna wątpliwość. Czy aby naprawdę? Próbowała odegnać ją od siebie, ale dręczący niepokój natychmiast powrócił. „Czy on kocha mnie samą, czy też to, czym jestem? Czy jego miłość przetrwa, gdy będę już tylko zwykłą kobietą, bez majątku i pozycji, z dzieckiem innego mężczyzny?” Niepokój zamroczył ją i przyprawił o fizyczne mdłości, toteż kiedy Blaine uniósł palce do ust i przesłał pocałunek bladej, wątłej, otulonej kocami postaci, wbiła wzrok w jego twarz, torturując się wyrazem afektu i troski o żonę, jaki się na niej malował. W jednej chwili poczuła się całkowicie obca i zbędna.

Luka wody między statkiem a nabrzeżem zaczęła się powoli rozwierać. Orkiestra na pokładzie spacerowym zagrała *Niech Bóg cię prowadzi aż spotkamy się znów*, kolorowe serpentyny zaczęły rwać się i pękać jak jej nieszczęsne marzenia i nadzieje i obsypywać w dół, gdzie przemoczone tonęły w mętnych wodach portu. Syreny okrętowe ryknęły na pożegnanie, parowe holowniki wyprowadziły statek przez wąskie wejście do portu na otwarte morze. Tam wielki biały statek już o własnych siłach zaczął szybko nabierać prędkości, przed jego dziobem zapieniła się wysoka fala i majestatycznie zawrócił na północny wschód, by ominąć Robben Island.

Tłum wokół Centaine zaczął rzednąć i w ciągu kilku minut została na nabrzeżu zupełnie sama. Tylko Blaine wciąż jeszcze stał na wózku dźwigu i osłaniając oczy kapeluszem wpatrywał się w

znikający po przeciwnej stronie Zatoki Stołowej statek. Lecz na ustach, które tak kochała, nie było już uśmiechu. Dźwigał tak ogromne brzemię smutku, że z konieczności musiała je z nim podzielić. Dodane do jej własnego brzemienia dręczących wątpliwości przygniotło ją tak nieznośnym ciężarem, że nagle zapragnęła po prostu odwrócić się i uciec. I w tej samej chwili Blaine opuścił kapelusz, odwrócił się i spojrzał na nią.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że podglądała go w tak intymnym momencie, gdy nie zdawał sobie z tego sprawy, a twarz Blaine'a stwardniała, przybierając jakiś dziwny wyraz, którego nie potrafiła rozszyfrować. Czy poczuł się dotknięty, czy też może było to coś znacznie gorszego? Nie dowiedziała się tego nigdy, bo już w następnej chwili zeskoczył na ziemię, zręcznie i lekko jak na tak dużego mężczyznę, i nakładając z powrotem kapelusz, podszedł powoli do miejsca, gdzie czekała. Szerokie rondo ocieniło mu oczy i nie mogła już dostrzec, co się w nich maluje. Kiedy stanął przed nią, bała się jak jeszcze nigdy.

— Kiedy wreszcie będziemy sami? — spytał cicho. — Nie mogę już czekać ani minuty dłużej.

Wszystkie obawy, wszystkie wątpliwości rozwiały się jak pod podmuchem wiatru i znów poczuła się jak młoda dziewczyna. Rozpierała ją radość i energia, ze szczęścia niemal zakręciło jej się w głowie.

„Kocha mnie — zawołała śpiewnie w głębi duszy. — Kocha i zawsze będzie kochał.”

Generał James Barry Munnik Hertzog przybył do Weltevreden zamkniętym autem bez insygniów czy jakichkolwiek oznaczeń pełnionego przezeń wysokiego urzędu. Generał był starym towarzyszem broni Jana Chieristiana Smutsa. Obaj odznaczyli się w walce podczas wojny z Brytyjczykami, obaj uczestniczyli w negocjacjach pokojowych w Vereeniging, które zakończyły tamten konflikt. Potem razem brali udział w kongresie, na którym doprowadzono do powstania Związku Afryki Południowej, i wspólnie zasiadali w pierwszym rządzie Związku, utworzonym przez Luisa Bothę.

Od tamtej pory ich drogi się rozeszły. Hertzog zawęził pole swych zainteresowań lansując doktrynę „Afryka Południowa przede wszystkim”, gdy tymczasem Jan Smuts wyrósł na międzynarodowego męża stanu, którego koncepcje wywarły wielki wpływ na powołanie do życia Commonwealthu i Ligi Narodów.

Hertzog był wojującym Afrykanerem, zapewnił językowi afrikaans równe prawa z angielskim, wynosząc go do rangi języka urzędowego. Swoją polityką „dwóch prądów” przeciwstawił się wchłonięciu swego ludu, Burów, przez większą Afrykę Południową, a w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym zmusił Wielką Brytanię do uznania Statutem Westminsterskim równouprawnienia wszystkich dominiów imperium, z prawem do wystąpienia ze Wspólnoty włącznie.

Wysoki i surowy z wyglądu robił niezwykle wrażenie, gdy długim krokiem wszedł do biblioteki w Weltevreden, którą Centaine oddała im do całkowitej dyspozycji. Jan Smuts wstał zza długiego przykrytego zielonym sukniem stołu i wyszedł mu na powitanie.

— Wygląda na to, że nie będziemy mieli tyle czasu na dyskusję, na ile liczyliśmy, a i pole manewru nam się zawęziło — powiedział Hertzog, podając mu rękę.

Smuts spojrzał na Blaine'a Malcomessa i Deneysa Reitza, swych powierników i kandydatów do tek w nowym rządzie, ale żaden z nich nie odezwał się słowem, czekając aż Hertzog i Nicolaas Hayenga, minister finansów z Partii Narodowej, zajmą miejsca po przeciwnej stronie długiego stołu. Mając lat siedemnaście Hayenga walczył z Anglikami w oddziale partyzanckim Hertzoga jako jego adiutant i od tamtej pory byli nierozłączni. Hayenga piastował urząd ministra od czasu dojścia do

władzy narodowców w roku dwudziestym czwartym.

— Czy jesteśmy tu bezpieczni? — spytał teraz, spoglądając podejrzliwie na podwójne, okute mosiądzem, mahoniowe drzwi w głębi biblioteki, a potem przesuając dookoła wzrokiem po sięgających do sufitu półkach z księgozbiorem Centaine. Wszystkie książki były jednakowo oprawione w morokin i pobłyskiwały złoceniami na grzbietach.

— Całkowicie — zapewnił go Smuts. — Możemy mówić otwarcie bez jakiegokolwiek ryzyka, że zostaniemy podsłuchani. Ma pan na to moje osobiste zapewnienie.

Hayenga spojrział na swego mistrza szukając potwierdzenia, a kiedy premier skinął głową, powiedział z wyraźną niechęcią:

— Tielman Roos ustąpił z izby apelacyjnej.

Nie musiał składać żadnych dodatkowych wyjaśnień. Tielman Roos był jedną z najbarwniejszych i najbardziej znanych postaci w kraju. Nazywany powszechnie „Lwem Północy” był jednym z najwierniejszych stronników Hertzoga. Kiedy narodowcy objęli władzę, został ministrem sprawiedliwości i wicepremierem w jego rządzie. Wydawało się, że będzie następcą i sukcesorem Hertzoga, ale na przeszkodzie stanęły kłopoty ze zdrowiem i różnica zdań co do trzymania się przez Afrykę Południową standardu złota. Roos wycofał się wówczas z życia politycznego i przyjął nominację na prezesa Izby Apelacyjnej Sądu Najwyższego.

— Z powodów zdrowotnych? — spytał Smuts.

— Nie, z powodu złota — odparł ponuro Hayenga. — Chce wystąpić przeciwko trzymaniu się standardu.

— On ma ogromne wpływy! — zawołał Blaine.

— Nie wolno dopuścić, by podał w wątpliwość zasady naszej polityki — zgodził się Hertzog. — Oświadczenie Roosa w tej sprawie pociągnęłoby za sobą katastrofalne skutki. Sprawą pierwszoplanową staje się zatem uzgodnienie naszego stanowiska wobec złota. Musimy być w stanie albo skutecznie skontrolować jego wystąpienie, albo je uprzedzić. Kwestia przyjęcia wspólnego frontu nabiera najwyższej wagi.

— Zgadzam się — poparł go Smuts. — Nie możemy pozwolić, by dyskredytowano naszą koalicję jeszcze nim w ogóle powstała.

— — To jest kryzys — odezwał się Hayenga. — Tak to musimy traktować. Czy może nam pan zdradzić swój pogląd na tę sprawę,

— *Ou Baas?*

— Znacie moje poglądy — odparł Smuts. — Kiedy Wielka Brytania odstąpiła od standardu złota, nalegałem, żeby pójść jej śladem. Nie chciałbym wam tego teraz wymawiać, ale swego zdania nie zmieniłem.

— Czy mógłby pan raz jeszcze przytoczyć swoje argumenty?

— W owym czasie przepowiadałem, że nastąpi ucieczka od opartego na złocie funta południowoafrykańskiego do funta szterlinga. Gorszy pieniądz zawsze wypiera lepszy. No i miałem rację, tak właśnie się stało — powiedział po prostu. Siedzący po przeciwnej stronie stołu mężczyźni poruszyli się niepewnie. — Odpływ kapitału, który był tego skutkiem, podciął naszą gospodarkę i powiększył o dziesiątki tysięcy osób szeregi bezrobotnych.

— W Wielkiej Brytanii są ich miliony — zauważył z irytacją Hayenga.

— Trwanie przy standardzie spowodowało wzrost bezrobocia i zagroziło poważnie kopalniom złota. Sprawilo, że załamały się ceny na nasze diamenty i wełnę. Pogłębiło kryzys gospodarczy,

doprowadzając do tej tragicznej sytuacji, w której się znajdujemy.

— Czy odejście od standardu teraz, z takim opóźnieniem, przyniosłoby nam jakiegokolwiek korzyści?

— Po pierwsze i przede wszystkim ożywiłoby przemysł wydobywania złota. Jeśli wartość funta południowoafrykańskiego zrówna się z wartością funta szterlinga — a to właśnie powinno natychmiast nastąpić — to kopalnie zaczną otrzymywać siedem funtów za uncję złota, zamiast dzisiejszych czterech. Prawie dwa razy więcej. Zamknięte kopalnie zostaną na nowo uruchomione. Inne zwiększą wydobywanie. Powstaną nowe miejsca pracy dla dziesiątków tysięcy ludzi, białych i czarnych. Kapitał powróci do kraju. To będzie punkt zwrotny. Znowu wkroczymy na drogę do dobrobytu.

Strony długo przytaczały argumenty za i przeciw, Blaine i Reitz twardo popierali starego generała, aż w końcu dwaj mężczyźni po przeciwnej stronie stołu zaczęli kapitulować przed logiką ich wywodów.

— No cóż, trzeba zatem wybrać odpowiedni moment — oświadczył nagle tuż po dwunastej Hertzog. — Na giełdzie rozpęta się istne pandemonium. Do Świąt Bożego Narodzenia zostały tylko trzy dni robocze. Musimy poczekać i obwieścić to dopiero po zamknięciu giełdy.

Atmosfera w bibliotece była naelektryzowana jak przed burzą. Dopiero to oświadczenie Hertzoga uświadomiło Blaine'owi, że jednak Smuts dopiął swego. Kiedy giełda wznowi sesję po Nowym Roku, Afryka Południowa odstąpi już od standardu złota. Pierwszym posunięciem nowej koalicji miało być położenie kresu przeciągającej się agonii gospodarki kraju, stworzenie nadziei na wyjście z kryzysu i powrót do dobrobytu.

— Mam jeszcze dostateczny wpływ na Tielmana, żeby nakłonić go do odczekania ze złożeniem swego oświadczenia do zamknięcia giełdy. — Hertzog mówił dalej, ale chodziło już tylko o uzgodnienie pomniejszych szczegółów.

Tego wieczoru, żegnając się z pozostałymi uczestnikami narady przed białą bramą Weltevreden, Blaine miał poczucie spełnienia misji dziejowej. I to właśnie tak bardzo ciągnęło go do polityki: świadomość, że będzie mógł zmieniać świat. Najwyższym celem sprawowania władzy było dla niego wykorzystanie jej jako ognistego oręża w obronie narodu i ojczyzny przed nękającymi ją demonami.

„Zapisałem się na zawsze w historii” — myślał w uniesieniu, wracając do zaparkowanego pod dębami forda, po czym dołączył do malej kolumny pojazdów wyjeżdżających przez wspaniałą bramę Weltevreden.

Z rozmysłem wypuścił do przodu auto premiera i plymoutha Deneysa Reitza, aż zniknęły mu za pierwszym zakrętem serpentyn na Wynberg Hill. Wtedy zjechał na pobocze i z silnikiem mrużącym na luzie spojrzął we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy nikt go nie śledzi.

Po kilku minutach ponownie wrzucił bieg i zawrócił. Nie dojeżdżając do bramy posiadłości skręcił w boczną drogę biegnącą wzdłuż granicy Weltevreden i kilka minut później tylnymi ścieżkami, zasłoniętymi przed willą i głównymi zabudowaniami małym sosnowym laskiem, znowu wjechał na ziemię Centaine.

Zaparkował forda między drzewami i ruszył wąską ścieżką, a kiedy dostrzegł przed sobą pobielone ściany chaty, jarzące się złoto w promieniach zachodzącego słońca, zaczął biec. Wszystko było dokładnie tak, jak mówiła.

Przystanął w progu. Centaine nie usłyszała jego nadejścia. Klęczała przed kominkiem

rozdmuchując ogień w dymiącej kupce szyszek, których użyła na podpałkę. Wpatrywał się w nią od drzwi, zachwycony, że może jej się przyglądać, gdy ona o tym nie wie. Zdjęła buty, podeszwy nagich stóp miała gładkie i różowe, kostki szczupłe, łydki twarde i mocne od spacerów i konnej jazdy, pod kolanami robiły jej się małe dołeczki. Nigdy do tej pory ich nie zauważył. Poczul naraz, że ogarnia go wzruszenie i głęboka czułość, jaką do tej pory budziły w nim tylko własne córki. Odchrząknął cicho, by usunąć ucisk w gardle.

Centaine odwróciła się i zerwała na równe nogi.

— Myślałam już, że nie przyjdiesz. — Podbiegła do niego z błyszczącym wzrokiem i uniosła głowę, a kiedy oderwali się od siebie po długim pocałunku, powiodła uważnym spojrzeniem po jego twarzy.

- Jesteś wykończony — zauważyła.

— To był ciężki dzień.

— Chodź. — Poprowadziła go za rękę do krzesła przed kominkiem. Nim usiadł, zdjęła mu marynarkę i Wspiąwszy się na palce rozwiązała krawat.

— Zawsze miałam ochotę to zrobić — mruknęła, wieszając marynarkę w małej szafie pod ścianą. Podeszła do stołu, nalała porcję whisky, dodała do niej wody sodowej z syfonu i przyniosła mu szklaneczkę przed kominek.

- Nie za dużo wody? — spytała niepewnie. Blaine upił łyżką i skinął głową.

- W sam raz. — Rozejrzał się po domku, zatrzymując wzrok na bukietach kwiatów w wazonach, świeżo wywoskowanej, lśniącej podłodze, prostych solidnych meblach.

— Bardzo tu miło — zauważył ciepło.

— Krzątałam się cały dzień, żeby przygotować wszystko na twoje przyjęcie — powiedziała Centaine, podnosząc wzrok znad cygara, które mu przygotowywała. — Przed poślubieniem sir Garricka mieszkała tutaj Anna. Od tamtej pory nikt z tego domku nie korzystał. Nikt tu nie zagląda. Teraz należy do nas, Blaine.

Podawała mu cygaro i przypaliła drewnikiem z paleniska, czekając, aż zacznie się równo żarzyć. Potem położyła sobie u jego stóp skórzaną poduszkę, usiadła na niej i oparłszy złożone ręce na jego kolanach powiodła wzrokiem po jego twarzy rozjaśnionej blaskiem ognia.

— Jak długo możesz zostać? - spytała.

— Hmm — popatrzył na nią z namysłem. — A jak długo byś chciała? Godzinę? Dwie? Dłużej? — Centaine poruszyła się rozradowana i objęła mocniej jego kolana.

— Całą noc! — zawołała pożerając go wzrokiem. — Całą upojną noc!

Zasiedli do kolacji z tego, co zapakowano jej do koszyka w kuchni Weltevreden: wołowej pieczeni na zimno, płatów indyka i znakomitego wina z jej własnej winnicy. Potem Centaine zaczęła odrywać z kiści wielkie żółte winogrona i wkładać je Blaine'owi do ust. całując go delikatnie między każdym kęsem.

— Winogrona są słodkie — uśmiechnął się — ale wolę pocałunki.

— Na szczęście sir, jednego i drugiego przygotowałam w bród.

Rozciągnięci na dywanie przed kominkiem pili zaparzoną na otwartym ogniu kawę, wpatrzeni w ogień, nie odzywając się ani słowem. Blaine muskał opuszkami palców miękkie ciemne włosy na jej skroniach i gładką skórę na karku, aż nastrój błogiego spokoju stężał, a wtedy przesunął powoli dłonią w dół jej pleców. Centaine zadrżała i podniosła się z podłogi.

— Dokąd to? — spytał.

— Dokończ cygara — odparła — a potem przyjdź zobaczyć.

Kiedy wszedł do małej sypialni, zastał ją siedzącą pośrodku niskiego łóżka.

Nigdy jeszcze nie widział jej w koszuli nocnej. Ta była z bladocytrynowego atłasu, a dekolt i rękawy wykończone miała połyskującą w blasku świecy koronką w kolorze starej kości słoniowej.

— Jaka ty jesteś piękna... — szepnęła.

— Przy tobie czuję się piękna — powiedziała poważnie i wyciągnęła do niego obie ręce.

Tej nocy, w przeciwieństwie do wszystkich poprzednich, szalonych, gwałtownych spotkań, kochali się powoli, z rozwagą, niemal statecznie. Centaine nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak dobrze Blaine poznał jej ciało i jego najbardziej intymne potrzeby. Z opanowaniem i wprawą przystąpił do ich zaspokajania, a ona oddała się w jego ręce z bezgraniczną ufnością. Łagodnie pokonał resztki jej oporów i doprowadził do zatracenia poczucia odrębności istnienia. Gdy wniknął głęboko w jej ciało, a ona otoczyła go, zamknęła w sobie, wydawało się, że stopili się w jedno, że ich krew zlała się ze sobą, a serca zaczęły bić wspólnym rytmem. To jego oddech wypełniał jej płuca, jego myśli migotały i błyskały w jej mózgu, słyszała pobrzmiewające echem w jego uszach swe własne słowa:

— Kocham cię, o Boże, jak ja cię kocham!

A jego głos odpowiadał jakby z głębi jej gardła, jakby płynął z jej własnych ust:

— Kocham cię, kocham, kocham!

I stopili się w jedno.

Obudził się wcześniej niż ona. Ptaki świergotały za oknem w obsypanym jaskrawopomarańczowymi kwiatami krzewie tacomy. Promień słońca znalazł szparę w zasłonach i przeciął powietrze nad jego głową jak złocisty rapier.

Nie chcąc jej budzić, powoli, bardzo powoli odwrócił głowę i zapatrzył się w jej twarz. Odsunęła na bok poduszkę i przerzuciwszy jedną rękę przez jego pierś spała z policzkiem wtulonym w materac, niemal dotykając ustami jego ramienia. Spod miękkiej, półprzejrzystej skóry opuszczonych powiek prześwitywała siatka drobniutkich błękitnych żyłek. Oddychała tak niezauważalnie, że w pierwszej chwili niemal się wystraszył, lecz kiedy zmarszczyła przez sen czoło i dostrzegł drobne linie w kącikach oczu i ust. wykute w ciągu tych ostatnich miesięcy przez nieustające napięcie i zgryzoty, jego niepokój ustąpił miejsca trosce.

— Moje biedactwo... — szepnęła bezgłośnie i z wolna cudowny nastrój minionej nocy zniknął jak piasek zmyty wzbierającym przyplływem surowej rzeczywistości.

— Moje dzielne biedne maleństwo... — Od czasu, gdy stał nad otwartym grobem ojca, nie czuł jeszcze takiego żalu. — Gdybym tylko mógł ci w jakiś sposób pomóc... Tak bardzo tego teraz potrzebujesz... — Kiedy to szeptał, nagle coś mu przyszło do głowy. Drgnął tak gwałtownie, że Centaine musiała to poczuć, bo znów marszcząc czoło odwróciła się od niego, mruknęła przez sen coś, czego nie zrozumiał, i ponownie znieruchomiała.

Blaine leżał sztywno obok niej, z dłońmi zwiniętymi w pięści u boków, z mocno zaciśniętymi szczękami, wstrząśnięty, zły i przestraszony, że taka myśl mogła w ogóle postać mu w głowie. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w rozjarzoną plamę słońca na przeciwległej ścianie, wcale jej nie widząc. Czuł się jak człowiek na łożu tortur, tortur straszliwej pokusy.

„Honor! — To słowo przemknęło mu przez myśl jak błyskawica. — Honor i powinność!” I natychmiast w innym zakamarku mózgu rozjarzyło się inne słowo: „miłość”. Jęknął cicho.

Leżąca u jego boku kobieta nie naznaczyła ceny na swą miłość. Nie stawiała żadnych warunków,

żadnych żądań, po prostu ofiarowała mu swe serce nie pragnąc niczego w zamian. Zamiast żądać, zwolniła go raczej ze wszystkich zobowiązań. To ona nalegała, żeby swego szczęścia nie budowali na niczyjej krzywdzie. Obdarowała go rozkoszami swej miłości nie oczekując ani złotej obrączki, ani ślubnych przysięg, nawet żadnych obietnic czy zapewnień. I on niczego takiego jej nie zaproponował. Do tej pory nie było absolutnie nic, czym mógłby jej się odpłacić.

Z drugiej strony został wybrany przez wielkiego, prawego człowieka, który pokładał w nim bezgraniczne zaufanie. Na jednej szali honor i powinność, na drugiej miłość. Tym razem nie było ucieczki przed chłostą sumienia. Kogo miał zdradzić: człowieka, którego czcił i szanował, czy kobietę, którą kochał? Czując, że nie uleży bez ruchu ani chwili dłużej, uniósł ostrożnie prześcieradło. Powieki Centaine zatrzepotały, mruknęła cichutko jak kot i zapadła z powrotem w sen.

Poprzedniego wieczoru położyła mu na umywalce w łazience nową brzytwę i szczoteczkę do zębów. Ten kolejny dowód czułości i pamięci zakłut go jak cierń. Dręczony niezdecydowaniem ogolił się i ubrał, po czym na palcach wrócił do sypialni.

„Mógłbym po prostu nic jej nie powiedzieć — pomyślał. — Nigdy nie dowiedziałaby się o mojej zdradzie.” I natychmiast zastanowił się nad swoim doborem słów. Czy dochowanie wierności honorowi, spełnienie nakazów powinności mogło być zdradą? Siłą woli oddalił od siebie ten dylemat i podjął decyzję.

Wyciągnął rękę i delikatnie musnął jej powieki. Drgnęły sennie i uchylły się, ukazując wielkie, czarne, zamglone snem źrenice. Pod wpływem światła dnia źrenice skurczyły się, a na twarzy Centaine pojawił się błogi, zaspany uśmiech.

— Która godzina, kochanie? — wymruczała.

— Centaine, czy już się obudziłaś?

Usiadła natychmiast na łóżku i zawołała z rozczarowaniem:

— Och, Blaine, już się ubrałeś? Tak szybko?

— Słuchaj, Centaine, mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Słuchasz mnie?

Skinęła głową, zamrugła, by odpędzić resztki snu, i spojrzała na niego poważnie.

— Centaine, odchodzimy od standardu złota — wyrzucił z siebie ochryplym głosem, pełen poczucia winy i pogardy dla siebie. — *Ou Baas* i Barry Hertzog podjęli wczoraj tę decyzję. Ogłoszą ją przed otwarciem giełdy po Nowym Roku.

Patrzyła na niego pustym wzrokiem przez całe pięć sekund i dopiero wtedy dotarła do niej treść jego słów. Otworzyła szeroko oczy, lecz płonący w nich ogień powoli przygasł.

— O Boże, ileż cię musiało kosztować, żeby mi to powiedzieć. — Głos zadrżał jej ze współczucia, bo wiedziała, jak wielkie znaczenie ma dla niego honor i jak głęboko ma zakorzenione poczucie obowiązku. — A więc jednak mnie kochasz... Kochasz mnie naprawdę. Teraz w to wierzę.

Lecz jego wzrok nie złagodniał. Nigdy jeszcze nie widziała na jego twarzy takiego wyrazu. Wpatrywał się w nią tak, jakby ją znienawidził za to, co zrobił. Nie mogła tego znieść. Ukłękła pośród pogniecionej pościeli i wyciągnęła do niego błagalnie ręce.

— Blaine, nie wykorzystam tego! Nie wykorzystam tego, co mi powiedziałeś...

— W ten sposób moje poświecenie poszłoby na marne — przerwał jej szorstko z twarzą wykrzywioną poczuciem winy.

— Tylko mnie za to nie znienawidź... — szepnęła.

Gniew zniknął z jego twarzy.

— Ciebie, nienawidzić? powiedział ze smutkiem. — Nie. Centaine, eiebie nigdy nie mógłbym

zniechęcić, — Odwrócił się i szybkim krokiem wypadł z sypialni.

Chciała biec za nim, spóbować go pocieszyć, wiedziała jednak, że nie jest to w jej mocy, choćby wsparła ją cała potęga miłości. Jak ranny lew szukał samotności. Zrezygnowana opadła na łóżko, słuchając jego ciężkich kroków cichnących na ścieżce wśród drzew.

Siedziała za biurkiem w Weltyreden, przed sobą miała pobłyskujący mosiądzem i kością sioniówą telefon. Była w gabinecie sama.

Bala się. To, co miała zamiar zrobić, stawiało ją poza nawiasem prawa, tego niepisanego i tego egzekwowanego przez sądy. Wyruszyła w podróż w nieznane, samotną, niebezpieczną podróż, która mogła się dla niej zakończyć hańbą i więzieniem.

Rozległ się dzwonek telefonu. Centaine drgnęła i spojrzała ze strachem na aparat. Po drugim dzwonku wzięła głęboki oddech i podniosła słuchawkę.

— Łączę z Rabkinem i Swalesem, pani Courteney — dobiegł ją głos sekretarza. — Pan Swales na linii.

— Dziękuję, Nigel. — Usłyszała pusty ton w swoim głosie i zmusiła się, żeby odchrząknąć.

- Witam, pani Courteney! — Rozpoznała głos Swalesa, jednego z dwóch głównych wspólników znanej firmy maklerskiej. Prowadziła już z nim interesy. — Wszystkiego najlepszego z okazji zbliżających się Świąt.

— Dziękuję, panie Swales. — Jej głos brzmiał teraz jak należy, sucho i rzeczowo. — Mam dla panów polecenie zakupu. Do zrealizowania jeszcze dzisiaj, przed zamknięciem giełdy.

— Oczywiście — pospieszył z zapewnieniem Swales. — Dokonamy transakcji niezwłocznie.

— Proszę jak najkorzystniej kupić pięćset tysięcy akcji East Rand Proprietary Mines — poleciła. W słuchawce zapadła cisza.

— Pięćset tysięcy, pani Courteney — powtórzył w końcu Swales. — Kurs ERPM wynosi dwadzieścia dwa szylingi i sześć pensów. To prawie sześćset tysięcy funtów.

— Zgadza się — potwierdziła Centaine.

— Pam Courteney... — zaczął Swales i urwał.

— Jakież problemy, panie Swales?

— Nie, skądże znowu, oczywiście, że nie. Po prostu zaskoczyła mnie pani, to wszystko. Natychmiast zajmę się realizacją zlecenia.

— Wyślę panu czek na całą sumę natychmiast po otrzymaniu umowy na zakup. — Umilkła na chwilę, po czym dodała lodowatym tonem: — Chyba, że życzy pan sobie, bym wpłaciła depozyt. — Wstrzymała oddech. Nie było mowy, żeby zdołała zgromadzić nawet tę zaliczkę, do której zażądania Swales miał pełne prawo.

— Wielkie nieba, pani Courteney! Chyba nie odebrała pani tego... Jeśli coś, co powiedziałem, skłoniło panią do wyciągnięcia wniosku, iż podaję w wątpliwość pani wypłacalność, to muszę panią serdecznie przeprosić. Nie ma żadnego pośpiechu. Wyślemy kontrakt jak zwykle. Zawsze ma pani u nas nieograniczony kredyt. Najpóźniej jutro rano potwierdzę dokonanie zakupu. Bo, jak pani bez wątpienia wie, jutro ostatni dzień pracy giełdy przed świąteczną przerwą.

Ręce tak jej się trzęsły, że miała trudności z odwieszeniem słuchawki.

— Co ja najlepszego zrobiłam? — szepnęła, choć przecież doskonale wiedziała. Popelniła oszustwo finansowe, przestępstwo kryminalne, za które groziła kara dziesięciu lat więzienia. Zaciągnęła właśnie dług, którego spłata absolutnie przekraczała jej możliwości. Była bankrutem i wiedząc o tym zadłużyła się na dalsze pół miliona funtów. Pod wpływem strachu i wyrzutów

sumienia sięgnęła po słuchawkę, żeby odwołać zlecenie, ale nim jej dotknęła, telefon zadzwonił ponownie.

— Pan Anderson na linii, pani Courteney. Z Hawkes and Giles.

— Proszę łączyć, Nigel — poleciła i stwierdziła ze zdumieniem, że głos jej nawet nie drży. — Dzień dobry, panie Anderson — powiedziała swobodnie — mam dla pana polecenie zakupu.

Do południa odbyła rozmowy z siedmioma różnymi firmami maklerskimi z Johannesburga i wydała zlecenia zakupu akcji kopalni złota na łączną sumę pięciu i pół miliona funtów. I wtedy w koncu nerwy ją zawiodły.

— Nigel, odwołaj dwie ostatnie rozmowy — powiedziała spokojnie, po czym zatykając usta dłońmi pobiegła do łazienki w końcu korytarza. Ledwie zdążyła. Padła na kolana przed białą porcelanową muszlą klozetową i zaczęła gwałtownie wymiotować, wyrzucając z siebie strach, wstyd i poczucie winy. Wstrząsana nieopanowanymi skurczami drżała i dygotała, aż w żołądku nic już nie zostało, aż rozboleły ją mięśnie brzucha i piersi, a w gardle paliło ją, jakby wypłukała je czystym kwasem.

Od wczesnego dzieciństwa Shasy Wigilia była dla nich dniem szczególnym, ale tego ranka obudziła się w ponurym nastroju.

Oboje jeszcze w szlafrokach obdarowali się w jej sypialni gwiazdkowymi prezentami. Shasa namalował dla niej kartę świąteczną ozdobioną suszonymi kwiatami, a do tego podarował jej najnowszą powieść Françoisisa Mauriaca „Kłębowisko żmij” z wypisaną na skrzydełku obwoluty dedykacją.

„*Choćby nie wiem co, zawsze będziemy mieli siebie — Shasa*”.

Centaine kupiła mu w prezencie skórzaną pilotkę i gogle. Shasa nie mógł uwierzyć własnym oczom. Matka nigdy nie kryła, że jest zdecydowanie przeciwna jego lataniu.

— Tak, *cheri*, jeśli chcesz się nauczyć latać, me będę ci w tym przeszkadzać.

— A czy możemy sobie na to pozwolić? To znaczy, no wiesz...

— O to już ja się będę martwić.

— Właśnie, że nie, mam — potrząsnął stanowczo głową. — Nie jestem już dzieckiem. Od tej chwili będę ci pomagał. Nie chcę robić niczego, co jeszcze bardziej utrudniłoby twoją sytuację — naszą sytuację.

Podbiegła go uściskać, przytulając się do niego policzkiem, żeby nie zauważył błysku łez w jej oczach.

— Ty i ja jesteśmy stworzeniami pustyni, kochanie. Przetrywamy.

Ale przez cały dzień nękały ją raptowne zmiany nastroju. To grając wielką damę, kasztelanę Weltevreden, tryskała humorem i dowcipem, witała wielu przybywających z życzeniami gości, wymieniała z nimi prezenty, częstowała sherry i ciasteczkami, to znów pod pretekstem doglądania służby umykała w zacisze lustrzanego gabineciku, gdzie przy zaciągniętych zasłonach walczyła z czarnymi myślami, zwątpieniem i paraliżującymi przeczuciami. Shasa chyba to wyczuwał, bo w takich chwilach natychmiast przejmował rolę gospodarza, jakby nagle spoważniał i wydorósł, wspierając ją w sytuacjach, w jakich nigdy jeszcze nie musiał tego robić.

Tuż przed południem jeden z gości przywiózł wieści, które naprawdę pozwoliły Centaine zapomnieć choć na chwilę o własnych kłopotach. Wielebny Canon Birt był dyrektorem szkoły Shasy. Poprosił matkę i syna o chwilę rozmowy na osobności.

— Pani Courteney, wie pani doskonale, jaką markę wyrobił sobie w naszym gimnazjum Shasa.

Niestety ma przed sobą ostatnią klasę, więc pozostanie z nami już tylko rok. Nie będzie chyba zatem dla pani zaskoczeniem, że wyznaczyłem go na przewodniczącego szkoły i że rada poparła moją decyzję.

— Tylko nie przed dyrem, mamó — szepnął czerwony jak burak Shasa, kiedy Centaine uściskała go z radości, ale ona zignorowała jego protesty i starannie ucałowała go w oba policzki, „po francusku”, jak to pogardliwie określał.

— To nie wszystko, pani Courteney — ciągnął Birt uradowany tym wylewnym okazaniem matczynej durny. — Z upoważnienia rady mam zaprosić panią do zajęcia w niej miejsca. Będzie pani pierwszą w historii szkoły kobietą zasiadającą w radzie.

Centaine już miała z miejsca przyjąć tę propozycję, lecz natychmiast jak cień katowskiego topora wzrok przysnuła jej wizja nieuchronnej katastrofy finansowej i zawahała się.

— Wiem, że jest pani osobą niezwykle zajętą... — podjął z naleganiem w głosie Birt.

— Czuję się zaszczycona, panie dyrektorze — zapewniła go pospiesznie. — W grę wchodzi jednak pewne względy osobiste. Czy mogę wstrzymać się z odpowiedzią do Nowego Roku?

— Jeśli tylko jest szansa nie będzie ona odmowna.

— Ależ oczywiście. Obiecuję zrobić, co w mojej mocy. Jeśli tylko będę mogła, z prawdziwą radością przyjmę propozycję rady.

Kiedy ostatni z gości zabrał się do domu, Centaine mogła wreszcie poprowadzić rodzinę i grono najbliższych przyjaciół na boisko do polo, gdzie odbywał się następny akt świątecznych obchodów.

Na boisku zebrała się cała kolorowa służba, z dziećmi i podstarzałymi rodzicami, sędziwi pensjonariusze majątku, którym wiek nie pozwalał już pracować, oraz wszyscy ci, których w ten czy inny sposób wspierała Centaine. Wszyscy nałożyli swe najlepsze świąteczne ubrania o cudownie różnorodnych stylach, krojach i barwach, małe dziewczynki wplotły we włosy wstążki, a chłopcy choć raz mieli na nogach buty.

Orkiestra Weltevreden powitała Centaine rzewnym graniem na skrzypkach, banjolah i harmoniach, a śpiew, który się rozległ, piękny i melodyjny, zabrzmiał jak głos samej Afryki. Centaine miała dla każdego prezent, który wręczała z kopertą zawierającą świąteczną nagrodę. Kilka starszych kobiet, ośmielonych długoletnią służbą i rodzinną atmosferą uroczystości, uściskało Centaine, a ona, znów popadając z jednego nastroju w drugi, zareagowała za ten spontaniczny objaw przywiązania łzami, co z kolei i je pobudziło do płaczu.

Widząc, że jeszcze chwila i świąteczna uroczystość przekształci się w zbiorowe szloch, Shasa pospiesznie dał znak muzykom, żeby zagrali coś żywszego. Wybrali *Alabamę*, starą pieśń upamiętniającą wpłynięcie na wody Cape konfederackiego korsarza i zdobycie przez niego piątego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku „Panny Morskiej”.

Oto płynie Alabama,

Daar kom die Alabama...

Potem Shasa nadzorował odszpuntowanie pierwszej beczułki słodkiego wina z winnic posiadłości, co niemal natychmiast osuszyło łązy i wprawiło zebranych w radosny, wesoły nastrój.

Kiedy pieczone na roznach jagnięta zaczęły skwierczeć i ociekać tłuszczem kapiącym z sykiem na rozżarzone węgle i wytoczono drugą beczkę wina, tańce przerodziły się w hulankę, a co młodsze pary zaczęły wymykać się między rzędy gęstej winorośli w winnicach. Centaine zebrała wtedy gości z willi i zarządziła powrót.

Mijając winnicę hugenocką słyszeli dobiegające zza muru szelesty i chichoty.

— W dającej się przewidzieć przyszłości Weltevreden nie powinno się uskarżać na brak siły roboczej — zauważył spokojnie sir Garrick. — Sądząc po odgłosach, siew idzie pełną parą.

— Jesteś tak samo bezwstydy jak oni! — ofuknęła go Anna z udawaną surowością, lecz kiedy objął jej szeroką kibić i szepnął jej coś do ucha, zachichotała bez tchu dokładnie tak samo, jak dziewczyny w winnicy.

Ta drobna poufałość sprawiła, że Centaine poczuła w sercu ukłucie samotności. Pomyślała o Blainie i natychmiast znów zebrało jej się na płacz. Ale Shasa, jakby wyczuwając jej ból, wziął ją za rękę i zmusił do śmiechu jednym ze swych głupich żartów.

Do tradycji należała także rodzinna kolacja. Nim siedli do stołu, Shasa odczytał na głos fragment Nowego Testamentu, tak jak to robił w każdą Wigilię od kiedy skończył sześć lat. Potem razem z matką rozdał prezenty, których sterta piętrzyła się pod choinką, i salon wypełniły ochy i achy zachwytu i szelest rozwijanego papieru.

Na kolację był pieczony indyk, krzyżówka wołowa, a potem wspaniały czarny świąteczny pudding. Shasa jak co roku znalazł w swojej porcji przynoszącego szczęście złotego suwerena, nie podejrzewając w tym sprawki Centaine. Kiedy objedzeni, z opadającymi powiekami rozeszli się ociężale do swoich sypialni, Centaine wymknęła się przez balkonowe drzwi swego gabinetu i biegnąc całą drogę wpadła do domku.

Blaine już tam na nią czekał.

— Powinniśmy być razem i w Święta, i każdego innego dnia — zawołała, rzucając mu się w ramiona.

Przerwał jej pocałunkiem, a ona złażała się w duchu za swoją głupotę. Kiedy oderwali się wreszcie do siebie, znów miała na twarzy uśmiech.

— Nie mogłam zapakować prezentu, jaki mam dla ciebie. Ma zbyt zawile kształty i wstążka nie chciała się trzymać. Będziesz musiał go przyjąć *au naturel*.

— Gdzie ten prezent?

— Proszę za mną, sir, zaraz zostanie panu wydany.

— To najwspanialszy prezent, jaki dostałem w całym swoim życiu — zawołał chwilę później. — I do tego bardzo użyteczny!

W Nowy Rok nie wychodziły gazety, ale Centaine słuchała wszystkich codziennych wiadomości radiowych. Nie było w nich ani Jowa o standardzie złota ani w ogóle o polityce. Blaine całe dni spędzał w rozjazdach zajęty spotkaniami i rozmowami dotyczącymi jego kandydowania w zbliżających się wyborach uzupełniających w okręgu Gardens. Shasa pojechał na kilka dni w gości do jednego z sąsiednich majątków. Została sama ze swymi obawami i wątpliwościami.

Czytała do północy, a potem leżała po ciemku, zapadając co jakiś czas w niespokojny, nerwowy sen, z którego budziła się natychmiast dręczona powracającymi koszmarami.

Na długo przed świtem dała za wygraną, wstała, nałożyła bryczesy, sztylpy i skórzaną kurtkę, po czym osiodłała swego ulubionego ogiera i pogalopowała osiem kilometrów do stacji kolejowej w Claremont, by tam zaczekać na pierwszy pociąg z Cape.

Siedziała na peronie, kiedy z wagonu pocztowego wyrzucono na czystej, wykrochmalonej i wyprasowanej pościeli i butelką szampana. Kiedy wszedł, czekała na niego w saloniku.

— Nie ma takich słów, które byłyby w stanie wyrazić moją wdzięczność — powiedziała.

— Chciałbym, żeby tak to właśnie pozostało — odparł poważnie. — Bez słów. Nigdy do tego nie wracajmy. Spróbuję sobie wmówić, że tego w ogóle nie było. Przyrzeknij mi, że nigdy nie

wspomnisz o tym ani słowem, nigdy, dopóki żyjemy i się kochamy.

— Daję ci na to moje najświętsze słowo — obiecała, lecz nie potrafiła już dłużej zapanować nad poczuciem ulgi i rozpierającą ją radością. Podbiegła roześmiana i pocałowała go. — Nie otworzysz szampana? — spytała. A kiedy podał jej ociekający pianą kieliszek, wzniosła toast jego własnymi słowami:

— Za naszą miłość dopóki żyjemy, kochanie.

Drugiego stycznia przez pierwsze kilka godzin po otwarciu giełdy w Johannesburgu praktycznie nie sposób było dokonać jakiegokolwiek transakcji, bo giełda zmieniła się pole bitwy. Maklerzy przekrzykiwali się wszyscy naraz, przepychali się, szarpali i dosłownie wydzielali sobie dokumenty transakcyjne. Ale przed zakończeniem sesji rynek otrząsnął się i uspokoił, a ceny akcji ustabilizowały na nowym poziomie.

Pierwszym maklerem, który zadzwonił do Centaine, był Swales z firmy brokerskiej Swales and Rabkin. Ton jego głosu odzwierciedlał sytuację na rynku. Był rozradowany i kipiał energią.

— Droga pani Courteney! — W obecnej sytuacji Centaine postanowiła darować mu tę poufałość. — Droga pani Courteney, pani wycucie chwili graniczy z cudem! Jak pani pewnie wie, nie byliśmy niestety w stanie wypełnić pani zlecenia w całości. Udało nam się kupić tylko czterysta czterdzieści tysięcy akcji ERPM po średniej cenie dwudziestu pięciu szylingów. Wielkość pani zamówienia podbiła cenę o dwa szylingi i sześć pensów. Mimo to — niemal słyszała, jak się nadyma przed przekazaniem jej najważniejszej informacji — mimo to, z ogromną satysfakcją powiadamiam panią, iż dziś rano akcje ERPM osiągnęły cenę pięćdziesięciu pięciu szylingów i nadal zwyżkują. Oczekuję, że przed końcem tygodnia dojdą do sześćdziesięciu...

— Niech pan je sprzeda — przerwała mu spokojnie. Usłyszała jak krztusi się na drugim końcu linii.

— Jeśli wolno mi coś pani doradzić...

— Niech pan je sprzeda — powtórzyła. — Wszystkie. — I odłożyła betonowe płyty paczki gazet, wokół których natychmiast zakrzętnął się rój małych kolorowych gazetiarzy, z paplaniną i śmiechem dzielących między siebie przesyłki. Rzuciła jednemu w nich srebrnego szylinga, machnięciem ręki rezygnując z reszty. Chłopak zapiszczał z radości, a ona niecierpliwie rozłożyła gazetę.

Nagłówek zajmował całą połowę pierwszej strony. Na jego widok zachwiała się na nogach.

AFRYKA POŁUDNIOWA PORZUCA STANDARD ZŁOTA GWAŁTOWNNA ZWYŻKA AKCJI KOPALNI ZŁOTA

Przebiegła wzrokiem kolumny tekstu ledwie rozumiejąc poszczególne słowa, po czym wciąż jeszcze w tym samym oszołomieniu wróciła w głąb doliny do Weltevreden. Dopiero kiedy zobaczyła wspaniałą bramę posiadłości, dotarło do niej, co to wszystko oznacza. Weltevreden nadal należało do niej, już nikt go jej nie odbierze! Stała w strzemionach i zaczęła krzyczeć z radości, po czym spięła konia do galopu, przesadziła kamienny mur i jak strzała pomknęła między rzędami winorośli.

Zostawiła konia w boksie i całą drogę do willi przebyła biegiem. Czowała ogromną potrzebę porozmawiania z kimś, podzielenia się rozpierającym ją szczęściem. Tym kimś mógł być tylko Blaine. Ale w jadalni zastała sir Garricka. To on zawsze pierwszy schodził na śniadanie.

— Słyszałaś najnowsze wiadomości? — zawołał podniecony, kiedy stała w progu. — Podawali o szóstej. Odeszliśmy od standardu złota! A więc jednak Hertzog dał się przekonać! Na Boga, kiłka ładnych fortun powstanie dziś i upadnie! Każdy, kto zatrzymał akcje kopalni złota,

podwoi i potroi swój majątek. Złe się czujesz, kochanie?

Centaine opadła ciężko na krzesło u szczytu stołu.

— Nie, nie — potrząsnęła gwałtownie głową. — Wszystko w porządku. Czuję się wspaniale — cudownie, fantastycznie, ogłupiająco wspaniale...

W porze lunchu zadzwonił Blaine. Nigdy dotychczas tego nie robił. Zakłócany trzaskami na linii jego głos brzmiał dziwnie głucho i obco. Nie przedstawił się, bea żadnego wstępu rzucił:

— O piątej w domku.

— Dobrze, będę. — Chciała powiedzieć coś więcej, ale przerwało jej stuknięcie odkładanej słuchawki.

Poszła do domku godzinę wcześniej ze świeżymi kwiatami, wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w drzewa za oknem i próbując obliczyć zyski, ale nim zdążyła je zsumować, przerwał jej następny dzwonek telefonu. Pozostali maklerzy jeden po drugim donosili triumfalnie o zrobionych przez nią fantastycznych interesach. Na koniec połączono rozmowę z Windhoek.

— Jak to miło, inżynierze, znów usłyszeć pana głos — powiedziała rozpoznając natychmiast Twentyman-Jonesa.

— No cóż, pani Courteney — mruknął ponuro — raz pod wozem, raz na wozie. Teraz kopalnia znów zacznie przynosić zyski, nawet przy tym bandyckim limicie, który narzucił nam De Beers.

— Odbiliśmy od dna — potwierdziła entuzjastycznie Centaine. — Teraz już z górki.

— „Nie mów hop, póki nie przeskoczysz” — zacytował Twentyman-Jones. — Lepiej na zimne chuchać, niż jeszcze raz się sparzyć.

— Inżynierze, kocham pana! — Roześmiała się rozradowana Centaine. Na linii długości tysiąca kilometrów zapadła zszokowana cisza. — Przyjadę, jak tylko uda mi się stąd „wyrwać”. Czeka nas teraz mnóstwo roboty.

Odłożyła słuchawkę i poszła poszukać Shasy. Siedział na słońcu przed stajniami i gawędził z parobkami, którzy pomagali mu w czyszczeniu i smarowaniu siodeł i uprzęży do gry w Polo.

— Wybieram się do Cape, *cheri*. Jedziesz ze mną?

— A po cóż to masz zamiar tłuc się taki kawał drogi?

— To niespodzianka.

Nie było pewniejszego sposobu, by go zaintrygować. Jednym ruchem rzucił Ablowi uprzęż, nad którą pracował, i zerwał się na nogi.

Nastrój uniesienia okazał się zaraźliwy, toteż wchodząc do salonu samochodowego przy Strand Street już oboje zaśmiewali się z głupich dowcipów Shasy. Kierownik salonu rzucił im się na spotkanie biegiem.

— Pani Courteney, nie widziałem już pani o wiele za długo! Pozwoli pani że złożę jej życzenia szczęścia i powodzenia w Nowym Roku.

— W obu aspektach rozpoczął się jak najpomyślniej — odparła z uśmiechem. — A skoro o szczęściu mowa, panie Tims... Jak szybko może mi pan sprowadzić nowego daimlera?

— Oczywiście żółtego?

— Oczywiście!

— I z tym samym wyposażeniem co zwykle? Barek, toaletka...

— Ze wszystkim co zwykle, panie Tims!

— Natychmiast wyślę telegram do naszego londyńskiego biura. Ale to trochę potrwa, pani Courteney. Powiedzmy cztery miesiące.

— Powiedzmy trzy, panie Tims.

Shasa ledwie mógł się powstrzymać od zadawania pytań, ale czekał z tym, aż znaleźli się na chodniku przed salonem.

— Mamo, czyś ty zbzikowała?! Przecież jesteśmy biedakami!

— Pomyślałam, *cheri*, że jak być biedakiem, to z klasą i stylem.

— Dokąd teraz?

— Na pocztę. — Przy okienku telegrafu Centaine nadała depezę do domu aukcyjnego Sotheby przy Bond Street w Londynie:

Sprzedaż nieaktualna. Stop. Proszę odwołać wszystkie przygotowania.

A potem poszli na lunch do hotelu Mount Nelson.

Blaine obiecał spotkać się z nią natychmiast, jak tylko uda mu się wyrwać z posiedzenia proponowanego nowego rządu koalicyjnego. Dotrzymał słowa. Czekał na nią w lasku, ale kiedy ujrzała wyraz jego twarzy, cała radość uszła z niej jak powietrze z przekłutego balona.

— Co się stało?

— Chodźmy się przejść, Centaine. Cały dzień siedziałem w dusznych gabinetach.

Wspięli się na stok Karbonkelbergu wznoszącego się za tylną granicą posiadłości. Na szczycie usiedli na pniu przewróconego drzewa, by obejrzeć zachód słońca. Widok był zupełnie urzekający.

„To najpiękniejszy przyłodek, jaki odkryliśmy w czasie całej naszej podróży wokół ziemi...” — zacytowała niezbyt dokładnie Centaine zapiski z dziennika pokładowego Vasco da Gamy, ale Blaine jej nie poprawił jak na to liczyła.

— Mów — potrząsnęła go za ramię i nie ustąpiła, dopóki na nią nie spojrzał.

— Izabela — mruknął posepnie.

— Miałeś od niej jakieś wiadomości? — Serce zamarło w niej na dźwięk tego imienia.

— Lekarze nic nie mogą dla niej zrobić. Wraca najbliższym statkiem pocztowym z Southampton.

W ciszy, która zapadła, słońce pograżyło się w srebrzystym morzu, pozbawiając cały świat swego światła. W duszy Centaine zaległy jeszcze głębsze ciemności.

— Co za ironia losu... — szepnęła. — Dzięki tobie mogę mieć wszystko, cokolwiek mi się zamarzy, poza tym czego najbardziej pragnę... poza tobą, kochany.

34

Kobiety rozbiły w drewnianych moździerzach świeże proso na grubą puszystą białą mąkę i napełniły ją skórzany worek. Swart Hendrick zarzucił sobie worek na ramię i tuż po wschodzie księżycy opuścił ze swym bratem, Mojżeszem *kraal*. W nikłej poświacie wąskiego sierpu wspięli się bez słowa na szczyt wzgórz, tam Hendrick stanął na straży, a Mojżesz wdrapał się na drzewo i ze starego gniazda sów zniósł na ziemię owinięte w gruby papier pakunki.

Przeszli grzbietem wzniesienia daleko poza zasięg wzroku z wioski, lecz mimo to na wszelki wypadek starannie osłonili małe ognisko, które rozpalili między wielkimi bryłami syderytu. Hendrick rozdarł jedną po drugiej wszystkie paczuszki i wsypał migocące kamienie do małej miski z tykwy, a w tym czasie Mojżesz w drugiej misce rozrobił ciasto, mieszając mąkę z wodą, aż powstała gładka, jednorodna papka.

Hendrick starannie spalił wszystkie skrawki papieru i roztarł patykiem na pył spopielone resztki. Kiedy skończył, skinął głową na młodszego brata, który wylał na rozżarzone węgle przygotowane ciasto, a kiedy zaczęło bulgotać, Hendrick wsypał w nie diamenty ze swojej miski.

Mojżesz ponuro mamrotał pod nosem, obserwując jak placki z prosa bulgocą i twardnieją.

Brzmiało to niemal tak, jakby wymawiał jakieś czarnoksiężskie zaklęcia.

— To kamienie śmierci, nie przyniosą nam żadnego pożytku. Biali za bardzo je miłują. To kamienie szaleństwa i śmierci...

Hendrick nie zwracał na niego uwagi. Mrużąc oczy od dymu i uśmiechając się ukradkiem do siebie, pilnował piekących się placków, nadając im odpowiedni kształt. Kiedy były już równiutko okrągłe i należycie przyrumienione od spodu, przewrócił je na drugą stronę i trzymał na ogniu, aż nabrały twardości cegły. Wtedy zdjął je z węgla i odłożył na bok, żeby ostygły. Na koniec zapakował grube brązowe placki do torby i wciąż bez słowa wrócili do pogrążonej we śnie wioski. Rankiem wyszli bardzo wcześnie, żegnani zawodzeniem i śpiewami odprowadzających kobiety. Kiedy po przejściu kilornetra kobiety zatrzymały się i zostały w tyle, żaden nie odwrócił głowy, żeby się za nimi obejrzeć. Z zawiniątkami na głowach brnęli dalej ku niskiemu brązowemu horyzontowi. Nie zastanawiali się nad tym, że taka scena pożegnania rozgrywa się codziennie w tysiącach wiosek rozsianych po całym południowym subkontynencie.

Wiele dni później, wciąż podróżując pieszo, dotarli do punktu werbunkowego. Był to mały sklep wielobranżowy stojący samotnie przy odludnych rozstajach dróg na skraju pustyni. Biały sklepikarz powiększał swe niewielkie obroty skupując od żyjących w okolicy plemion koczowników skóry bydlęce i prowadząc werbunek dla WENELI.

WENELA to skrót nazwy Witwatersrand Natiye Labour Association, wszechobecnej potężnej firmy sięgającej swymi mackami w głąb bezkresu afrykańskich pustkowi. Od szczytów Gór Smoczyc w Basutolandzie po bagna Zambezi i Chobe, od pustynnych wydm Kalahari po tropikalną dżunglę wyżyny Niasalandu zbierała spływając zewsząd strumyczki czarnych robotników, zlewając je w większe strumienie, aż w końcu tworzyły potężną rzekę zasilającą bez końca bajeczne pola złotońse Wododziału Białych Wód, transwalskiego Witwatersrandu.

Sklepikarz obejrzał pobieżnie dwóch nowych ochotników. Stali przed nim bez słowa, z oczami bez wyrazu i twarzami starannie pozbawionymi wszelkich uczuć. To była jedyna obrona Czarnego Afrykanina w obecności białych.

— Nazwisko? — spytał.

— Henry Tabaka. — Hendrick postanowił zmienić nazwisko, by ukryć pokrewieństwo z Mojżeszem i jednocześnie uniknąć ryzyka jakiegoś przypadkowego powiązania z De La Reyem i napadem.

— Nazwisko? — powtórzył handlarz przenosząc wzrok na Moj.. zesza.

— Mojżesz Gama. — „G” wymówił głęboko i gardłowo.

— Pracowaliście już w kopalni? Znacie angielski?

— Tak, *Baasie*.

Obaj zachowywali się bardzo uniżenie. Sklepikarz uśmiechnął się zadowolony.

— To świetnie! Kiedy wrócicie z Goldie, będziecie bogaczami. Kupa żon to kupa dmuchania, nie? — Wyszczrzył zęby w lubieżnym uśmiechu i wydał Murzynom karty pracy w WENELI i bilety na autobus. — Autobus będzie niedługo. Zaczekajcie na dworze polecił i natychmiast przestał się nimi interesować. Zarobił już za ich zwerbowanie gwineę od łebka, dobre, nie wymagające żadnych zachodów pieniądze, i na tym jego obowiązki wobec nowo najętych robotników się kończyły.

Rozłożyli się pod cherlawym drzewem rosnącym obok pokrytego blachą sklepu i czekali na autobus. Zjawił się po czterdziestu ośmiu godzinach, rozklekotany, z grzechotem kół i bagaży, zasnuwając niegościnnie pustkowie błękitnym dymem spalin.

Kiedy przystanął przed sklepikiem, wrzucili swoje zawiniątka na dach, zapełniony już tykwami, pudłami, tobołkami, spętanymi kozami i plecionymi klatkami z kory z kotłującym się w nich żywym drobiem. Potem wpełznąli się do zatłoczonego autobusu i wcisnęli na jedną z twardych drewnianych ławek. Rozległ się basowy ryk klaksonu, autobus zakołysał się ponownie na wyboistej drodze i ruszył przez wertepy pustyni. Rzędy czarnych pasażerów, wkliniowanych ciasno jeden obok drugiego, zahaustały się i zakołysały w zgodnym rytmie.

Dwa dni później zatrzymali się przed oplecioną drutem kolczastym bramą stacji przesiadkowej WENELI na przedmieściu Windhoek i większość pasażerów, młodych, sprawnych mężczyzn wysiadła.

Rozglądali się bezradnie wokół siebie, aż potężny czarny nadzorca z mosiężnymi oznakami władzy na ramieniu i długim pejcem w ręku ustawił ich rzędem i wprowadził przez bramę.

Biały kierownik stacji siedział rozwalony na werandzie swego biura, z nogami na barierce, z butelką niemieckiego piwa pod ręką i wachlował się kapeluszem. Czarny nadzorca wypychał przed niego jednego po drugim świeżo zwerbowanych robotników, by szef mógł ich zaaprobować. Odrzucił tylko jednego, drobnego wychudłego człowieczka, któremu ledwie starczyło sił, żeby dowlec się do werandy.

— Ten bydlak jest przeżarty gruźlicą — warknął, pociągając łyk piwa. — Pozbądź się go, odeślij tam, skąd przychodzi.

Kiedy przyszła kolej na Hendricka, kierownik wyprostował się w plecionym fotelu i odstawił szklankę po piwie.

— Jak się nazywasz, chłopcze? — spytał.

— Tabaka.

— A, więc mówisz po angielsku... — Zmrużył oczy. Potrafił na odległość wyczuć mąciwodów. Na tym polegała jego robota. Rozpoznawał to po oczach, po błysku inteligencji i czającej się gdzieś w głębi agresji; po chodzie, po sposobie trzymania ramion. Ten wielki, ponury, dumnie wyprężony czarnuch na milę śmierdział kłopotami.

— Zadarłeś z policją, chłopcze? — spytał. — Kradniesz bydło? Zabiłeś brata? A może wydmuchałeś mu żonę, co?

Hendrick wpatrywał się w niego bez wyrazu.

— Odpowiadaj, chłopcze.

— Nie.

— Dla ciebie jestem *Baas*, chłopcze. Słyszysz?

— Tak, *Baas* — odparł starannie Hendrick. Kierownik otworzył leżącą obok na stoliku teczkę doniesień policyjnych i zaczął ją powoli wertować. Po chwili poderwał znieacka głowę, próbując przychwycić Murzyna na czymś, co świadczyłoby o zaniepokojeniu lub zdenerwowaniu, ale ten przywdział znów nieprzeniknioną afrykańską maskę tępoty i rezygnacji.

— Chryste, jak oni śmierzą! — jęknął, odrzucając z powrotem teczkę na stolik. — Zabieraj ich stąd! — polecił czarnemu nadzorcy, po czym z butelką piwa w jednej ręce i szklanką w drugiej schronił się w swoim biurze.

— Myślałem, że jesteś mądrzejszy, mój bracie — szepnął Mojżesz, kiedy pogoniono ich w stronę rzędu niskich chat. — Kiedy człowiek spotyka wygłodzoną białą hienę, nie wtyka jej ręki w paszczę. — Hendrick nic nie odpowiedział.

Mieli szczęście. Nabór dobiegał końca, w chatach za płotem z drutu kolczastego czekało już

trzystu czarnych robotników. Niektórzy przebywali tu od ponad dziesięciu dni i właśnie wysyłano ich w dalszą drogę. W ten sposób Hendrick i Mojżesz uniknęli kolejnego wlokącego się w nieskończoność oczekiwania. Tej samej nocy na bocznicy koło obozu podstawiono trzy wagony. Przed świtem zbudziły ich krzyki czarnych nadzorców.

— Zbierać swoje rzeczy! Godzina wybiła. Parowóz czeka już, żeby was zabrać do *Goldie*, tam gdzie rodzi się złoto!

Znów ustawili się w szeregach i po zbiórce i odczytaniu listy pomaszerowali do oczekujących wagonów.

Tutaj przejął ich inny biały. Był wysoki, ogorzały od słońca, spod wysoko podwiniętych rękawów koszuli wystawały mu żylaste bicepsy, a spod naciągniętego głęboko na czoło czarnego, zdeformowanego kapelusza zwisały kosmyki jasnych włosów. Twarz miał płaską, o słowiańskich rysach, zęby krzywe, szerniały od tytoniowego dymu, a oczy jasnoniebieskie i jakby zamglone. Uśmiechał się bez ustanku pogodnym uśmiechem idioty i co chwila cmoktał, ssąc dziurę po jednym z trzonowych zębów. Na owiniętej wokół nadgarstka pętli miał długi pejcz, którym od czasu do czasu, bez żadnego widocznego powodu smagał po nagich nogach któregoś z mijających go właśnie nowo zwerbowanych robotników. Robił to odruchowo, raczej z nudy i pogardy niż wrodzonego okrucieństwa, lecz choć rzemień ze skóry hipopotama muskał nogi leciutko jak piórko, każde smgnięcie paliło żywym ogniem, a ofiara z trudem tłumiła krzyk, potykała się i czym prędzej wdrapywała po drabince do wagonu.

Kiedy Hendrick zrównał się z poganiaczem, ten rozciągnął usta w jeszcze szerszym uśmiechu odsłaniając po dziąsła zepsute zęby. Kierownik stacji zdążył mu już zwrócić uwagę na potężnie zbudowanego Oyambo.

— Ten czarnuch mi się nie podoba — ostrzegął. — Uważaj na niego, nie strać nad nim kontroli.

Poganiacz rozluźnił nadgarstek, szykując się do zadania uderzenia w czułe miejsce w zgięciu nogi pod kolanem.

— *Che-cha!* — krzyknął. — Zwawiej, zwawiej! — I rzemień pejcza z głośnym plaśnięciem owinał się wokół nogi Hendricka. Nie rozciął ciemnej, aksamitnej skóry, nadzorca był fachowcem, ale zostawił na niej purpurowo-czarną pręgę.

Hendrick stanął jak wryty z prawą nogą uniesioną do poziomu dolnego szczebla drabinki, z jedną ręką zaciśniętą na bocznej pionowej rurce, a drugą trzymającą na ramieniu tobołek z całym dobytkiem. Powoli odwrócił głowę, aż natknął się na spojrzenie bladoniebieskich oczu.

- No! — zachęcił cicho nadzorca i po raz pierwszy w jego oczach rozbłysła iskierka zainteresowania. Nieznacznie zmienił pozycję, przenosząc ciężar ciała na pięty.

— No! — powtórzył. Chciał załatwić tego wielkiego czarnego bydlaka tutaj, na oczach wszystkich. Mieli przed sobą pięć dni jazdy w tych wagonach, pięć długich dni w upale i pragnieniu, niejeden tego nie wytrzyma, puszcza mu nerwy. Zawsze wolał załatwić to na samym początku podróży. Potrzebował tylko jednego, tu na boczniccy, jako przykład. Pozwalało to uniknąć później mnóstwa kłopotów. W ten sposób pokazywał wszystkim, czego się mają spodziewać, gdyby któremuś strzeliło do łba wszczynać jakieś rozróby. Z doświadczenia wiedział, że po obejrzeniu takiego przykładu jeszcze nigdy żadnemu nic do łba nie strzeliło.

— No dalej, czarnuchu... — Zniżył jeszcze bardziej głos, przez co zniewaga stała się jeszcze bardziej osobista i obraźliwa. Lubił tę część swojej roboty i był w tym bardzo dobry. Kiedy z nim skończy, to zarozumiałe bydlę nie będzie w stanie nigdzie podróżować. Z czterema czy pięcioma

złamanymi żebrami, a może i ze złamaną szczęką, raczej mało komu będzie się mógł do czegoś przydać.

Ale Hendrick okazał się za szybki. Jednym skokiem znalazł się we wnętrzu wagonu, zostawiając poganiacza na peronie, rozpartego w rozkroku w oczekiwaniu ataku, z pejczem odwróconym rączką do przodu, przygotowanym do dźgnięcia napastnika twardym drewnem w gardło.

Manewr Hendricka zaskoczył go do tego stopnia, że wymierzywszy wreszcie potężne smagnięcie w nogi śmigającego po drabince Oyambo spóźnił się o całe pół sekundy i bicz ze świstem przeciął samo powietrze.

Idący tuż za bratem Mojżesz dostrzegł morderczy wyraz twarzy mijanego nadzorcy.

— Na tym się to nie skończy — ostrzegł Hendricka, kiedy upchnęli tobołki na półkach nad głową i zajęli miejsca na drewnianej ławce biegnącej przez całą długość wagonu. On cię jeszcze dopadnie.

Przed południem trzy wagony przetoczono z bocznic na inny tor i podczepiono do długiego składu towarowego, a po następnych kilku godzinach wekslowania, szarpnięć i fałszywych startów pociąg ruszył wreszcie, wspiął się powoli na wzgórze i potoczył na południe.

Późnym popołudniem zatrzymali się na pół godziny na jakiejś małej bocznic i do pierwszego wagonu wstawiono wózek z posiłkiem. Pod okiem białego szefa dwaj czarni nadzorcy przejechali wózkiem przez zatłoczone wagony wydając nowo zwerbowanym po małej cynowej misce z kukurydzianym plackiem polanym z wierzchu gęstą breją z fasoli.

Kiedy dotarli do Swarta Hendricka, biały nadzorca odsunął na bok czarnych pomocników i wziął z ich rąk przygotowaną porcję, by obsłużyć go osobiście.

— Musimy dbać o tego czarnucha — powiedział na cały głos. — Powinien mieć siły do pracy w *Goldie*. — Pacnął na placek dodatkową łyżkę gęstej fasoli i podał go Hendrickowi.

— Masz, czarnuchu. — Ale kiedy Hendrick sięgnął po swój posiłek, nadzorca umyślnie upuścił placek na ziemię. Gorąca fasola prysnęła Hendrickowi na nogi, a nadzorca nadepnął nogą kukurydziany placek i roztarł go obcasem na miazgę. Potem cofnął się, położył rękę na rękojęści pałki, którą miał zawieszoną u pasa, i wyszczerzył w uśmiechu zepsute zęby.

— Takie wielkie bydle, a taka niezdara. Wydajemy, czarnuchu, tylko jedną porcję na łba. Jeśli chcesz zeżreć to z podłogi, to twoja sprawa.

Zastygł w oczekiwaniu na reakcję Hendricka, po czym wykrzywił się rozczarowany, widząc jak ten spuszcza wzrok, pochyla się, zbiera z podłogi do miski rozdeptany placek, ugniata z niego kulę, wpycha sobie do ust i ze stoickim spokojem zaczyna ją żuć.

— Te pieprzone czarnuchy wpieprzą wszystko, nawet własne gówno — warknął i przeszedł dalej.

Okna w wagonie były zakratowane, a drzwi z obu końców zamknięte i zaryglowane z zewnątrz. Nadzorca wybierał z pęku przy pasku odpowiedni klucz i starannie zamykał za sobą wszystkie drzwi, przez które przechodzili. Z doświadczenia wiedział, że już na samym początku podróży wielu nowo zwerbowanych popadnie w zwątpienie, a narastająca tęsknota za domem, strach przed nieznanym i niepokojąca obcość nowego otoczenia zaczną im podsuwać myśl o ucieczce, doprowadzając w końcu do tego, że niektórzy będą próbowali w pełnym biegu wyskoczyć z pociągu. Co kilka godzin robił kolejny obchód, by policzyć dokładnie głowy, nawet w środku nocy. Stawał wtedy nad Hendrickiem i świecił mu prosto w oczy, budząc go za każdym razem, kiedy przechodził.

Ani na chwilę nie ustawał w wysiłkach, by sprowokować Hendricka. Stało się to dla niego czymś w rodzaju wyzwania, próby sił. Był pewien, że to coś w nim tkwi; dostrzegł to w jego oczach. Jeden przelotny błysk buntu, poczucia własnej siły, chęci odpowiedzią przemocą na przemoc. Zaciął się, że wydobędzie tę buntowniczość, wypłoszy z ukrycia na światło dzienne, gdzie mógł ją stłamsić, zmiażdżyć i zniszczyć.

— Cierpliwości, bracie — upominał szeptem Mojżesz. — Panuj nad swym gniewem. Troskliwie pielęgnuj go i podsycaj. Niech rośnie, aż nadejdzie pora, aż będziesz mógł dać mu ujście.

Z każdym dniem Hendrick coraz bardziej polegał na radach brata. Mojżesz odznaczał się bystrą inteligencją, miał dar przekonywania, szybko znajdował odpowiednie słowa. A do tego było w nim coś, co sprawiało, że kiedy mówił, wszyscy słuchali.

W ciągu dni, które nadeszły, Hendrick niejedną raz miał dostrzec te niezwykle talenty brata. Z początku Mojżesz rozmawiał w zatłoczonym wagonie tylko z tymi, którzy siedzieli najbliżej. Opowiadał im, jak będzie tam, dokąd jadą, jak będą ich traktować biali, czego można się po nich spodziewać i jakimi konsekwencjami grozi sprawienie zawodu nowym pracodawcom.

Na czarnych twarzach słuchaczy malowało się głębokie skupienie. Niebawem coraz dalej siedzący zaczęli wyciągać głowy, by pochwycić jego słowa, prosząc cicho: — Mów głośniej, Gama, tak żeby wszyscy słyszeli.

Mojżesz podniósł głos do dźwięcznego, zniewalającego barytonu, a słuchacze milkli z szacunkiem.

— W *Goldie* będzie mnóstwo czarnych ludzi, więcej niż możecie sobie wyobrazić. Zulusi i Xhosa, N'debele i Suazi, pięćdziesiąt różnych plemion, mówiących językami, jakich jeszcze nigdy w życiu nie słyszeliście. Plemion tak różniących się od was, jak wy różnicie się od białych. Niektórzy z nich to odwieczni wrogowie naszego plemienia. Będą śledzić was jak hieny, wyczekując odpowiedniej chwili, by skoczyć wam do gardeł i rozedrzeć na strzępy. Głęboko pod ziemią, tam gdzie zawsze panuje noc, będziecie zdani na ich łaskę. Zeby się zabezpieczyć, musicie się otoczyć ludźmi, którym ufacie, musicie oddać się pod opiekę silnego przywódcy, a w zamian za tę opiekę ofiarować mu wierność i bezwzględne posłuszeństwo.

Już wkrótce nie mieli wątpliwości, że tym silnym przywódcą może być tylko Mojżesz Gama. W kilka dni został niekwestionowanym wodzem wszystkich jadących w wagonie numer trzy. On natomiast, rozmawiając ze swymi ludźmi, odpowiadając na ich pytania, szacował ich wartość, obserwował i oceniał każdego z osobna, klasyfikował, odsiewał, wybierał. Stopniowo dokonał w wagonie przegrupowania, przesadzając do środka tych, którzy wpadli mu w oko, grupując wokół siebie śmietankę zwerbowanych. I natychmiast ci, których wybrał, zyskiwali prestiż, tworząc coś w rodzaju elitarnej gwardii pretoriańskiej nowego władcy.

Obserwując działania brata, przyglądając się, z jaką zręcznością kieruje otaczającymi go ludźmi, narzuca im swą wolę i osobowość, Hendrick czuł wzbierającą dumę i podziw. Bez wahania pokonał ostatnie opory i z ochotą całkowicie podporządkował się Mojżeszowi, obdarzając go miłością, wiernością i posłuszeństwem.

Zażyłość z Mojżeszem jemu samemu zyskała respekt i szacunek reszty współpodróżnych. Bez protestów uznano go za pierwszego giermka i namiestnika wodza. Dość długo trwało, nim zaświtało mu w głowie, że w ciągu kilku krótkich dni Mojżesz Gama utworzył sobie własne *impi*, oddział ślepo mu oddanych wojowników, i że dokonał tego właściwie bez żadnego wysiłku.

Siedząc w zatłoczonym wagonie, w którym cuchnęło już jak w klatce zakisłym potem setki

zgrzanych ciał i fermentującym moczem z kabiny wychodka, wpatrując się w rozpalone mistycznym ogniem oczy brata i słuchając w urzeczeniu jego słów, Hendrick wracał myślami do innych wielkich czarnych władców, którzy przewinęli się przez karty historii Afryki. Wszyscy zaczęli od dowodzenia małym oddziałem, potem szczeniem, plemieniem, by na koniec poprowadzić całe hordy wojowników podbijających, pustoszących i obracających w perzynę cały kontynent.

Wspominał Mantatisiego, Czakę i Mzilikaziego, Shangaana i Angoniego. W przeblasku jasnowidzenia ujrzał ich początki, gdy zaczęli, siedząc tak jak oni przy małym ognisku gdzieś w głębi buszu, otoczeni garstką ludzi, na których rzucili swój urok, których wyobraźnię i ducha udało im się schwytać w jedwabne sidła słów i idei, rozpaścić marzeniami.

„Biorę udział w początkach czegoś, czego jeszcze w ogóle nie rozumiem — myślał. — Wszystko, co robiłem do tej pory, to załedwie inicjacja; lata walki, zmagania, zabijania były tylko treningiem. Teraz wreszcie gotów jestem wziąć udział w tym, do czego poprowadzi mnie Mojżesz Gama, cokolwiek by to było. Nie muszę tego wiedzieć, wystarczy, że to on mnie prowadzi.”

— Lenin to nie człowiek — mówił Mojżesz — to bóg, który zstąpił na ziemię.

Czując ciarki na plecach słuchali opowieści o północnej kramie, gdzie plemiona zjednoczone pod sztandarem tego boga-człowieka Lenina zmiotły króla, a czyniąc to same dostąpiły boskości.

Urzeczeni i podnieceni słuchali opowieści o wojnie, jakiej świat jeszcze nie widział, a atawistyczna żądza walki rozpierała im piersi, burzyła krew, hartowała i rozpaliała do czerwoności serca jak ogień i młot kowala ostrza wojennych toporów. Mojżesz nazywał tę wojnę „rewolucją”, a kiedy im wyjaśniał, co to znaczy, zaczęli pojmować, że i oni mogliby wziąć udział w tej opromieniającej chwałą bitwie, że i oni mogliby zmiatać z ziemi królów i dostąpić boskości.

Drzwi w przodzie wagonu odskoczyły z hałasem na bok i stanął w nich biały nadzorca, wsparty pod boki, z bezlitosnym uśmiechem na ustach. Wszyscy spuścili głowy i wbili wzrok w podłogę, odwracając i osłaniając oczy. Lecz tym siedzącym najbliżej Mojżesza zaczęło nagle świtać w głowach, gdzie rozegra się ta bitwa i kim są królowie, których trzeba zmiąć.

Biały nadzorca wyczuł napiętą atmosferę. Była ciężka jak smród niemytych czarnych ciał i fetor z latryny w rogu wagonu; naelektryzowana jak powietrze w południe w porze samobójców, w listopadzie, tuż przed nadejściem ulewnych deszczów. Pobiegł szybko wzrokiem na środek wagonu, do miejsca, gdzie siedział Hendrick.

„Jeden zgniły kartofel — pomyślał z goryczą — i zaraz cały worek zaczyna się psuć.” Położył rękę na pałce za pasem. Metodą prób i błędów zdążył już odkryć, że pejcz jest za długi, by można nim było efektywnie operować w ciasnocie wagonów. Trzydziestopięciocentymetrowa pałka z twardego drewna o końcu nabitym ołowianym śrutem działała szybciej i skuteczniej. Mógł nią złamać rękę lub nogę, w razie potrzeby jednym uderzeniem roztrzaskać czaszkę i zabić, albo też subtelnie osłabiając siłę ciosu tylko ogłuszyć. Posługiwał się pałką z tym samym mistrzostwem co pejczem, wiedział, na które narzędzie kiedy jest miejsce i pora. Teraz była pora na pałkę. Ruszył powoli wzdłuż wagonu, udając, że nie zwraca uwagi na Hendricka, i lustrując twarze wszystkich mijanych. Dostrzegł w nich jakieś nowe, buntownicze zacięcie, co jeszcze bardziej rozsierdziło go na tego bydlaka, który ważył się utrudniać mu robotę.

„Trzeba było zabrać się za niego na samym początku — pomyślał ze złością. — Omal nie pokpiłem sprawy. I to ja, co tak lubię łatwe i spokojne życie. No cóż, nie pozostaje nic innego, jak to szybko nadrobić.”

Mijając Hendricka zerknął na niego przelotnie i kątem oka dostrzegł, że zwałisty Oyambo

odpręża się ukradkiem i oddycha z ulgą.

„Widzę, że się tego spodziewasz, chłopcze. Wiesz, że cię to nie ominie, więc nie mogę ci sprawić zawodu.”

Przed przeciwległymi drzwiami wagonu przystanął, jakby coś sobie przypomniał, i zawrócił powoli, uśmiechając się do siebie. Zatrzymał się dokładnie przed Hendrickiem i z głośnym cmoknięciem zassał dziurę po zębie.

— Spójrz no na mnie, czarnuchu — polecił łagodnie. Hendrick uniósł głowę i wlepił z niego tępo wzrok.

— Który to twój *m „pahie?* Który to twój bagaż?

Wzięty przez zaskoczenie Hendrick odruchowo zerknął na półkę nad głową na swój skórzany worek. Z całą wyrazistością uświadomił sobie, że ma tam wszystkie swoje diamenty.

— Dobrze. — Nadzorca ściągnął worek z półki i rzucił go na podłogę przed Hendrickiem.

— Otwórz — polecił wciąż z tym samym uśmiechem, kładąc jedną rękę na biodrze, a drugą na rączce pałki.

— No, dalej! — ponaglił widząc, że Hendrick ani drgnie. Jego uśmiech stał się mrozący i drapieżny. — Otwórz ten worek, czarnuchu. Zobaczymy, co tam ukrywasz.

To jeszcze nigdy nie zwiodło. Nawet najbardziej potulni odruchowo bronili swego dobytku, choćby składały się nań same bezwartościowe śmieci.

Powoli, bardzo powoli Hendrick schylił się i rozsuptał rzemienie ściągające worek, po czym wyprostował się i zastygł w biernym bezruchu.

Nadzorca sięgnął w dół, chwycił worek od spodu i nie spuszczać wzroku z twarzy Hendricka wytrząsnął całą zawartość na podłogę. Pierwszy wypadł zrolowany koc. Nadzorca rozwinął go czubkiem buta. W środku była futrzana kamizelka, trochę zapasowego ubrania i długi nóż w skórzanej pochwie.

— Groźna broń. Dobrze wiesz, że w czasie podróży nie wolno posiadać żadnej broni. — Podniósł nóż, wepchnął ostrze w szparę pod oknem, jednym ruchem złamał je na pół, po czym wyrzucił obie części przez zakratowane okno nad głową Hendricka.

Hendrick nie zareagował, choć nadzorca odczekał prawie minutę nie spuszczać z niego prowokującego spojrzenia. Słysząc było tylko stukot kół na złączach szyn i odległe sapanie lokomotywy na początku długiego pociągu. Zaden z pozostałych czarnych pasażerów nie obserwował rozwoju wydarzeń; wszyscy siedzieli bez ruchu, ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie, z twarzami starannie pozbawionymi Wszelkiego wyrazu.

— A to co za śmieci? — spytał nadzorca, trącąc czubkiem buta jeden z twardych płaskich placków z prosa. Choć Hendrickowi nadał nie drgnął na twarzy nawet jeden mięsień, biały dostrzegł w jego czarnych, jakby zasnutych dymem, oczach pierwszą iskierkę.

„Tak! — stwierdził z radością. — To jest to. Teraz się ruszy.” — Podniósł placek i powąchał go z namysłem.

— Chleb czarnuchów — mruknął. — Zabronione. Zarządzenie firmy... Żadnej obcej żywności w czasie podróży. — Przekręcił placek pionowo, żeby zmieścić się między kratami, i wyrzucił go przez okno. Brunatny krążek odbił się od nasypu poniżej łoskocących stalowych kół i rozprysnął na kawałki. Nadzorca zaśmiał się i schylił po następny placek.

Coś przeskoczyło Hendrikowi w głowie, za długo się hamował. Utrata diamentów doprowadziła go do szału, na oczy opadła mu czerwona płachta. Zerwał się z ławki i rzucił na białego, ale

nadzorca tylko na to czekał. Raptownym ruchem wyprostował prawą rękę, dźgając Hendricka w gardło końcem rączki, a gdy ten poleciał do tyłu, krztusząc się i zaciskając ręce na rozbitej krtani, rąbnął go pałką w głowę, starannie wyliczając siłę ciosu tak, żeby nie zabić. Zaciśnięte wokół szyi ręce opadły bezwładnie i Hendrick runął do przodu, ale nadzorca nie pozwolił mu upaść. Odepchnął go z powrotem na ławkę i przytrzymując lewą ręką w pozycji siedzącej wymierzył następny cios.

Nabijana ołowiem pałka odskoczyła od czaszki Hendricka z odgłosem, jaki wydaje wbijana w pień drzewa siekiera, cienka skóra na głowie pękła i z powstałej rany trysnęły małe rubinowe fontanny krwi. Nadzorca zadał jeszcze dwa precyzyjnie wyliczone ciosy, po czym wbił czubek pałki w otwarte szeroko usta Hendricka łamiąc mu oba górne siekacze dokładnie na linii dziąseł.

„Zawsze trzeba ich napiętnować. — To była jedna z żelaznych reguł. — Zostawić trwałe ślad, żeby nigdy nie zapomnieli.”

Dopiero wtedy puścił nieprzytomnego Hendricka, który zwałił się głową do przodu na podłogę w przejściu, i błyskawicznie odwrócił się na palcach przyczajony na niczym uniesiona do zadania śmiertelnego ciosu zmija. Z pałką w ręku powiódł wzrokiem po wstrząśniętych czarnych twarzach otaczających go mężczyzn. Jeden po drugim pospiesznie spuszczały oczy, kamienieli w bezruchu, kołysząc się jedynie w rytm postukiwań kół rozpędzonego pociągu.

Od kałuży krwi wokół głowy Hendricka zaczęły się rozpełzać na wszystkie strony ciemnoczerwone węże. Nadzorca jeszcze raz się uśmiechnął, spoglądając na rozciągniętą między ławkami postać z niemal ojcowską durną. To był prawdziwy popis, załatwił sprawę szybko i skutecznie, dokładnie tak, jak to sobie zaplanował. Rozpierało go zadowolenie. Leżący u jego stóp człowiek był tworem jego własnych rąk, a to dawało powód do dumy.

Podniósł z kałuży krwi pozostałe placki z prosa i jeden po drugim wyrzucił przez zakratowane okno. Na koniec ukucnął obok leżącego i połą jego koszuli wytarł dokładnie wszystkie ślady z pałki. Potem wstał, wsunął pałkę za pas i nie spiesząc się odszedł przejściem w stronę końca wagonu.

Znów wszystko było w porządku. Nastrój uległ zmianie, napięta atmosfera została skutecznie rozładowana. Nie będzie już żadnych kłopotów. Zrobił, co do niego należało, i zrobił to dobrze.

Wyszedł na pomost przy końcu wagonu i uśmiechając się pod nosem zamknął za sobą na klucz zasuwane drzwi.

W chwili, gdy rozległ się szcęk klucza w zamku, jadący w wagonie ożyli. Na suchy rozkaz Mojżesza dwóch mężczyzn podniosło Hendricka i posadziło na ławce, trzeci z beczki koło latryny przyniósł wody. Mojżesz otworzył własny worek i wyjął z niego zakorkowany róg antylopy.

Mężczyźni przytrzymali opadającą głowę Hendricka, a Mojżesz posypał mu ją brązowym proszkiem z rogu i palcem wtarł lekarstwo w otwarte rany. Była to drobniotko zmielona mieszanina popiołu i ziół. Kiedy krwawienie ustało, otarł zwilżoną szmatką rozbite usta brata, po czym objął ramionami jego głowę, przytulił do piersi i czekał. Narastający konflikt między bratem a białym obserwował z niemal klinicznym zainteresowaniem, umyślnie hamując Hendricka i sterując jego reakcjami, aż dramat osiągnął ten wstrząsający punkt kulminacyjny. Nigdy nie był specjalnie przywiązany do brata. Ich ojciec był człowiekiem zamożnym i jurnym, wszystkie swoje piętnaście żon regularnie obdarzał względami. Mojżesz miał ponad trzydzieścioro rodzeństwa, z czego tylko z kilkorgiem czuł się związany więzami silniejszymi niż zwykłe dość mgliste więzy plemiennej i rodowej solidarności. Hendrick, o wiele starszy od niego, opuścił *kraal*, kiedy Mojżesz był jeszcze dzieckiem. Od tamtej pory docierały do niego wieści o szalonych i brawurowych wyczynach brata, przydających mu sławy śmiałka i zawadiaki. Ale dopóki nie ma dowodów, wieści pozostają tylko

wieściami, a sławę można zbudować na samych słowach, niekoniecznie na czynach.

I oto nadeszła pora próby. Po ocenieniu jej wyników podejmie decyzje co do kształtu ich przyszłych stosunków. Potrzebował twardego zastępcy, człowieka ze stali. Lenin wybrał Józefa Stalina. On też wybierze sobie kogoś twardego, człowieka jak topór, i uzbrojony w takiego zastępcę wyrąbie i wyciosa swoje własne plany z twardego pnia drzewa przyszłości. Jeśli Hendrick nie zda egzaminu, odrzuci go bez specjalnego *żalu*, tak jak odrzuciłby siekierę, której ostrze pękło przy pierwszym uderzeniu w twarde drewno.

Hendrick uniósł powieki i spojrzał na brata oczami o rozszerzonych, rozjeżdżających się źrenicach. Po chwili jęknął, dotknął otwartych ran na głowie i skrzywił się z bólu. Zrenice skurczyły się, spojrzenie nabrało ostrości i rozjarzyło się wściekłością. Hendrick szarpnął się i z trudem usiadł o własnych siłach.

— Diamenty? — Mówił cicho, z poświstem przypominającym syk małych, śmiertelnie jadowitych pustynnych żmij.

— Stracone — odparł spokojnie Mojżesz.

- Trzeba je odnaleźć... wrócić...

Ale Mojżesz potrząsnął głową.

— Rozsypały się jak nasiona traw. Nie sposób zapamiętać, gdzie upadły. Nie, mój bracie, jesteśmy uwięzieni w tym wagonie. Nie możemy wrócić. Diamenty są stracone na zawsze.

Hendrick siedział bez słowa, przesuwając językiem po rozbitych ustach, obmacując ostre pieńki dwóch przednich zębów. Rozważał suchą logikę argumentów brata. Mojżesz czekał w milczeniu. Tym razem nie miał zamiaru wydawać poleceń, wskazywać kierunku, choćby jak najsubtelniej. Hendrick musi do tego dojść o własnych siłach.

— Masz raję, bracie — oznajmił w końcu. — Diamenty stracone. Ale człowieka, który nam to zrobił, mam zamiar zabić.

Mojżesz me okazał żadnych uczuć. Nie dodawał zachęty. Po prostu czekał.

— Zrobię to sprytnie. Znajdę sposób, żeby go zabić, i nikt się nigdy nie dowie. Tylko on i my. — Mojżesz czekał dalej. Jak do tej pory Hendrick kroczył ścieżką, którą mu wyznaczył, ale to wciąż było za mało. Czekał i w końcu się doczekał.

— Czy zgadzasz się, mój bracie, że powinienem zabić tego białego psa? — Hendrick poprosił Mojżesza Game o przywołanie. Uznał się za wasala, oddał się w ręce brata. Mojżesz uśmiechnął się i dotknął jego ramienia, jakby udzielał mu inwestytury, piętnował go znakiem aprobaty.

— Zabij go, bracie — powiedział. Jeśli Hendrick zawiedzie, biali go powieszają; jeśli mu się uda, udowodni, że jest człowiekiem ze stali.

Hendrick zapadł w posępne zamyślenie i przez następną godzinę nie odezwał się ani słowem, od czasu do czasu masując tylko skronie, kiedy pulsujący ból w głowie groził rozerwaniem czaszki. Potem wstał, przeszedł powoli wzdłuż wagonu, przyglądając się uważnie zakratowanym oknom. Pokręcił głową, zamruczał z bólu i wrócił na miejsce, lecz już chwilę później podniósł się ponownie i szurając nogami powlókł się do latryny.

Zamknął się w kabynie. Przez otwartą dziurę w podłodze widać było umykającą do tyłu powierzchnię kamiennego nasypu. Wielu korzystających z latryny nie trafiało w otwór, podłoga kabiny zalana była ciemnożółtym moczem i ubabrana odchodami.

Uwagę Hendricka zwróciło jedyne okienko wychodka. Nieoszklony otwór zasłonięty był stalową siatką na drucianej ramie przykręconej do drewnianej framugi w czterech rogach i w połowie

każdego boku.

Wróciwszy na swoje miejsce szepnął do Mojżesza:

— Ten biały pawian zabrał mi nóż. Potrzebny mi jakiś inny.

Mojżesz nie zadawał żadnych pytań. Taka była zasada próby. Hendrick musiał dokonać tego sam, a gdyby mu się nie powiodło, osobiście ponieść wszelkie konsekwencje, nie licząc na to, że Mojżesz weźmie cześć winy na siebie czy że będzie starał się mu pomóc. Zamienił półgłosem kilka słów z najbliższymi siedzącymi i już po chwili w dłoń Hendricka wsunięto podany ukradkiem wzdłuż ławki składany nóż.

Wróciwszy do latryny Hendrick odkręcił ostrożnie śruby mocujące metalową siatkę, pilnując się, żeby nie zadrapać farby i nie zostawić jakichkolwiek śladów, że ktoś przy nich manipulował. Po wyjęciu wszystkich ośmiu śrub zdjął siatkę i odstawił ją na bok.

Czekał na zakręt w prawo; poczuwszy, że siła odśrodkowa odpycha go na ścianę, wyjrzał przez okienko. Pociąg skręcał w przeciwną stronę, wagonów z przodu nie było widać. Wychylił się mocniej i spojrzał w górę.

Wzdłuż krawędzi dachu biegła listwa uszczelniająca. Sięgnął ręką, przesunął palcami po dachu i natrafił na miejsce dające solidne oparcie. Podciągnął się w górę, całym ciężarem ciała zawisł na listwie. Teraz już tylko nogi pozostały mu w kabine latryny, a reszta ciała wisiała na zewnątrz. Wysunął głowę ponad krawędź dachu, zapisał w pamięci jego wygląd i kąt wybrzuszenia, po czym opuścił się i wsunął z powrotem do latryny. Wstawił na miejsce ramę z siatką, mocując ją jednak tak, by śruby dało się odkręcić samymi palcami, i wrócił na ławkę.

Przed wieczorem w wagonie zjawił się biały nadzorca i jego dwóch czarnych pomagierów z wózkiem z posiłkiem. Kiedy dotarli do Hendricka nadzorca uśmiechnął się do niego złośliwie. — Teraz jesteś piękny, czarnuchu. Czarne służące będą aż piszczeć, żeby móc całować te usta. — Odwrócił się do rzędów milczących czarnych mężczyzn. — Jeśli ktoś jeszcze chce tak wypięknąć, to wystarczy tylko dać znać. Załatwię to za darmo.

Tuż przed zapadnięciem zmroku czarni pomocnicy nadzorcy wrócili zabrać miski.

— Jutro wieczorem będziecie w *Goldi* — mruknął jeden z nich do Hendricka. — Tam jest biały lekarz, który opatrzy ci rany. — Spod obojętności na jego twarzy przebijało coś jakby współczucie. — Rozzłoszczenie szefa nie było zbyt mądre. Dostałeś nauczkę, przyjacielu. Zapamiętaj ją sobie. Wszyscy dobrze ją sobie zapamiętajcie. — Wychodząc z wagonu starannie zamknął za sobą drzwi na klucz.

Hendrick wpatrywał się przez okno w zachód słońca. Mijał czwarty dzień podróży. Od czasu, kiedy wspięli się na płaskowyż wysokiego *veldu*, krajobraz uległ całkowitej zmianie. Step był tu jasnobrazy, zwarzony bezśnieżnymi przymrozkami zimy, erozja wyłobiła w czerwonej ziemi rozpadliny i wąwozy. Jak okiem sięgnąć całą równinę podzielono na geometryczne działki ogrodzone drutem kolczastym. Stojące samotnie zabudowania wydawały się zagubione w otwartym *veldzie*, a wznoszące się obok nich wiatraki na ażurowych stalowych wieżach przywodziły na myśl wychudłych strażników. Tutejsze bydło było długorogie, łaciate — czerwono-czarno-białe — i wyraźnie zabiedzone.

Hendrickowi, który wychował się w bezludnej głuszy, te ploty wydały się duszące i więzące. Tutaj nigdzie nie można było ukryć się przed wzrokiem innych, wszystko trzeba było robić na widoku. Mijane wioski były rozległe i ludne, w niczym nie ustępowały Windhoek, największemu miastu, jakie potrafił sobie wyobrazić.

— Poczekaj, aż zobaczysz *Goldi* — powiedział Mojżesz, kiedy na dworze zapadła ciemność i w wagonie zaczęto szykować się do snu, owijając się z głowami w koce, bo od otwartych okien ciągnął chłód wyżynnego *veldu*.

Hendrick odczekał, aż nadzorca dokona pierwszego obchodu wagonów, a kiedy poświecił mu latarką w twarz nawet nie próbował udawać, że śpi, tylko zamrugał oślepiiony światłem. Biały minął go, przeszedł dalej i wychodząc z wagonu zarygłował za sobą drzwi.

Hendrick podniósł się cicho ze swego miejsca. Skulony obok Mojżesz poruszył się w ciemności, ale nie odezwał ani słowem.

Hendrick po omacku przeszedł wzdłuż wagonu i zamknął się w latrynie.

Odkręcił szybko śruby, wyjął ramę z siatką, oparł ją o ścianę i wyrzwał przez okienko. Zimne nocne powietrze uderzyło go w twarz. Mrużąc oczy przed rozżarzonymi pyłkami sadzy z komina lokomotywy, które smagały go po twarzy i czole, sięgnął nad głowę i namacał wybrane miejsce na listwie.

Podciągnął się gładko w górę, a potem odepchnięciem nóg przerzucił górną połowę ciała przez krawędź dachu. Sięgnął jedną ręką przed siebie, natrafił na kominek wentylatora sterczący dokładnie na szczycie wypukłości i podciągnął się do przodu, aż całym ciałem znalazł się na dachu.

Chwilę leżał bez ruchu, dysząc ciężko i zaciskając oczy, by zapanować nad pulsującym bólem w głowie. Potem dźwignął się na kolana i na czworakach przepełzł do przedniego końca wagonu.

Na niebie nie było ani jednej chmury, ziemia srebrzyła się w poświacie księżyca, tu i tam upstrzona plamami atramentowego cienia, wiatr gwizdał w uszach. Podniósł się powoli i próbując utrzymać równowagę na rozkołysanym dachu, w szerokim rozkroku, na ugiętych nogach ruszył dalej. Nagle przecucie niebezpieczeństwa kazało mu poderwać wzrok — coś czarnego pędziło na niego z ciemności. W ostatniej chwili rzucił się płasko na brzuch, ratując się przed zderzeniem z ramieniem kolejowego zbiornika na wodę. Jeszcze sekunda i stalowy wysięgnik odrąbałby mu głowę. Przeszywający do szpiku kości chłód i szok na myśl o unikniętej o włos śmierci sprawiły, że zaczął dygotać na całym ciele. Po upływie minuty wziął się w garść i nie podnosząc już głowy wyżej niż na kilka centymetrów poczołgał się dalej, aż dotarł do brzegu dachu nad przednim końcem wagonu.

Leżąc płasko na brzuchu, z szeroko rozpostartymi rękoma i nogami wyrzwał przez krawędź. Pod sobą miał pomosty dwóch sąsiednich wagonów, odstęp między dachami był nie większy niż długość jego ręki. Dokładnie pod nim podłogi szepionych przegubowo pomostów przesuwwały się w przeciwną stronę w rytm przechyłów wagonów na krzywiznach toru. Każdy, kto chciałby przejść z wagonu do wagonu, musiał stanąć na chwilę dokładnie pod nim. Z mruknięciem zadowolenia Hendrick obejrzał się do tyłu.

Jeden z kominków wentylacyjnych wystawał z dachu akurat na wysokości jego stóp. Odczołgał się z powrotem, wyciągnął ze szlufek spodni szeroki skórzany pas i zapiął go wokół wentylatora, tworząc mocną pętlę, w którą wsunął po kostkę jedną nogę. Zabezpieczony w ten sposób, ponownie rozpląszczył się na dachu i sięgnął rękami w głąb luki między wagonami. Zdołał dotknąć poręczy balustrady zabezpieczającej pomosty. Zarówki w oprawkach z drutu umieszczone były na spodniej stronie daszków za pomostami, toteż całe miejsce było dobrze oświetlone.

Cofnął się i przywarł płasko do dachu, tak że z dołu można było dostrzec tylko czubek jego głowy i oczy. Wiedział jednak, że nawet gdybyktoś spojrział w górę, w szparę między dachami, to i tak oślepiiony światłem żarówek nieprędko cokolwiek by zobaczył. Ułożył się wygodniej i zaczął jak lampart na gałęzi drzewa nad wodopojem.

Minęła godzina, potem druga, ale upływ czasu mógł ocenić tylko po powolnym przesuwanu się gwiazd po nocnym niebie. Smagany zimnym wiatrem zdrętwiał i zmarzł na kość, ale przyjął to ze stoickim spokojem, ani na chwilę nie dekoncentrując się, me pozwalając sobie nawet na minutę drzemki. Oczekiwanie było nieodłączną częścią polowania, a on już setki razy brał udział w tej śmiertelnej grze.

Nagle poprzez świst pędu powietrza i miarowy stukot kół pociągu dobiegło go dźwięczne uderzenie stali o stal i zgrzyt klucza w zamku. W jednej chwili spał się i sprężył do uderzenia. Ten człowiek musiał przechodzić przez pomosty najszybciej jak to możliwe, na pewno nie zatrzyma się w tym odkrytym miejscu ani chwili dłużej, niż to niezbędnie konieczne. Trzeba było być szybszym od niego.

Usłyszał ponowny trzask zasuwanych drzwi, potem zgrzyt zamykanego zamka i sekundę później spod daszka poprzedniego wagonu wyłoniło się szerokie rondo kapelusza nadzorcy.

Hendrick jednym ruchem wysunął się do przodu i całą górną połową ciała zagłębił w przerwę między wagonami. Przed upadkiem chronił go tylko zaczepiony wokół kostki skórzany pas. Lothar nauczył go kiedyś podwójnego nelsona. Otoczył jedną ręką szyję białego, zatrzasnął zaciśniętą pięść w zgięciu łokcia drugiej, i pochwyciwszy w ten sposób głowę nadzorcy jak w imadło szarpnął do góry, aż przeciwnik zawisł w powietrzu.

Biały wydał z siebie zduszony skrzek i z jego ust pociekły kropelki śliny, mieniające się w świetle elektrycznych żarówek. Hendrick windował go do góry, jakby wciągał na szubiennicę.

Kapelusz spadł białemu z głowy i poszybował w noc jak wielki czarny nietoperz, pęd powietrza rozwiął i potargał długie blond włosy. Nadzorca wierzgał i miotał się na wszystkie strony, szarpiąc palcami muskularne ręce zatrzaśnięte w uchwycie wokół jego szyi. Hendrick podciągał go w górę, aż ich oczy znalazły się o cale od siebie. Wtedy uśmiechnął się szeroko, odsłaniając poranioną czarną czeluść własnych ust z dwoma pieńkami wybitych zębów, wciąż jeszcze poplamionymi rdzawymi skrzepami krwi. W odblasku lamp nad balkonikami biały go rozpoznał. W jego bladych, wychodzących z orbit oczach rozbłysła iskierka zrozumienia.

— Tak, przyjacielu — szepnął Hendrick. — To ja, twój czarnuch.

Podciągnął nadzorcę jeszcze trochę, oparł go karkiem o krawędź dachu i z pełną premedytacją docisnął go do niej na wysokość podstawy czaszki. Biały wił się i rzucał jak ryba na ostrzu harpuna ale Hendrickowi zupełnie to nie przeszkadzało. Patrząc głębok w zamglone, bladoniebieskie oczy powolnym ruchem przedramienia zadari mu podbródek i odgiął szyję do tyłu.

Poczuł, jak pod jego naciskiem kręgosłup napręża się i stawia opór — to było wszystko co mógł wytrzymać. Jeszcze sekundę zwlekał na granicy złamania, po czym jednym szarpnięciem poderwał brodę nieco wyżej i kręgosłup trzasł niczym sucha gałąź. Przez ciało białego przebiegły konwulsyjne drgawki, bladoniebieskie oczy zaszklily się, zmatowiały i uszło z nich życie. Zwieracz odbytu zabitego Puścił i poprzez świst wiatru dobiegł cichy, bulgocący plusk bezwiednego wypróżnienia.

Hendrick rozkołysał jak wahadło zwisające bezwładnie zwłoki, a kiedy wychyliły się poza poręcz barierki, puścił je w przerwę między wagonami, dokładnie na jedną z szyn. Rozpędzone koła pociągu wessały je jak maszynka do mielenia mięsa.

Przeleżał chwilę bez ruchu, żeby odzyskać oddech. Wiedział, że rozdarte na strzępy ciało nadzorcy zostanie rozwleczone po torach na przestrzeni co najmniej kilometra.

Zdjął pasek z kominka wentylatora, wsunął go w szlufki, zapiał, po czym przeczołgał się po dachu wagonu z powrotem do miejsca nad okienkiem latryny. Spuścił nogi poza krawędź, wsunął

stopy w otwór i wyginając całe ciało w literę „S” zeskokczył do kabiny. Wstawił w okienko ramę z siatką, dokręcił mocno śruby, wrócił do wagonu i usiadł na swoim miejscu. Owijając się kocem, zauważył wpatrzone w siebie oczy Mojżesza Gamy. Skinął mu potwierdzająco głową, naciągnął róg koca na głowę i minutę później już spał.

Obudziły go krzyki i nawoływania czarnych pomocników nadzorcy oraz szarpnięcia wagonu wekslowanego na boczny tor. Na białej tablicy na peronie, przy którym się zatrzymali, widniała nazwa miejscowości która nic mu nie mówiła.

Chwilę później stacyjka i wagony zaroily się od ubranych w niebieskie mundury policjantów kolejowych i wszystkim kazano wysiąść z pociągu. Zaspanych i drżących z zimna zagnano w dwuszeręg i w powodzi świateł reflektorów sprawdzono obecność. Nikogo nie brakowało.

Hendrick szturchnął łokciem brata i pokazał mu brodą kola i podwozie ich wagonu. Piasty i osie obryzgane były krwią i oblepione kawałkami czerwonego mięsa.

Cały dzień stali na boczniccy, a policja poddała wszystkich pasażerów indywidualnym przesłuchaniom w biurze zawiadowcy stacji. Wczesnym popołudniem było już jasne, że śmierć nadzorcy należy złożyć na karb wypadku i przesiuchający stracili zainteresowanie prowadzonym śledztwem. zamknięte na klucz drzwi i zakratowane okna stanowiły przekonujący dowód, a zeznania pomocników nadzorcy i wszystkich pasażerów były jednobrzmiące i niepodważalne.

Późnym popołudniem załadowano ich z powrotem do wagonów i pociąg potoczył się w noc, w stronę owianego legendą Działu Białych Wód.

Obudził go podniecony trajkot współpasażerów. Kiedy przepchnął się do okna, pierwszym, co ujrzał, była wysoka góra, tak wielka, że przesłaniała całe niebo na północy. Góra była dziwna i niezwykła, lśniła w porannym słońcu żółtym perłowym blaskiem, miała idealnie płaski wierzchołek i równe, symetrycznie opadające zbocza.

- Co to może być? — zdziwił się.

— Góra wydartą z wnętrzości ziemi — odparł Mojżesz. — To jest górnicza hałda, bracie. Góra utworzona przez ludzi ze skał wydobytych spod ziemi.

Te płaskie, lśniące hałdy ciągnęły się jak okiem sięgnąć, pokrywały falującą równinę po najdalszy horyzont, a przy każdej z nich stały wysokie żyraby o długich szyjach, stalowych szkieletach i głowach z gigantycznych kół, obracających się bez końca na tle bladego nieba wyżynnego *veldu*.

— Wieże wyciągowe — objaśnił Mojżesz. — Pod każdą z nich jest dziura sięgająca do wnętrzości ziemi, do skalnych trzewi, kryjących żółte *Goldi*. dla którego biali pocą się, kłamią i oszukują, a często i zabijają.

W miarę tego jak pociąg toczył się dalej, ich oczom ukazywały się kolejne cuda: budynki wyższe niż kiedykolwiek byli to sobie w stanie wyobrazić, drogi jak rzeki stali z pędzącymi po nich z warkotem pojazdami, podniebne kominy wyrzucające z siebie czarne burzowe chmury i nieprzebrane mrowie ludzi. Było ich tu więcej niż skoczków w stadach przemierzających Kalahari. Czarnych ludzi w srebrzystych kaskach i gumowych butach do kolan, maszerujących całymi pułkami w stronę wysokich wież wydobywczych lub, po zmianie szychty, wysypujących się ze znużeniem z szybów, oblepionych od stóp do głów żółtym błotem. Białych ludzi na ulicach i peronach, mężczyzn i białe kobiety w barwnych sukniach i z wyrazami wyniosłej pogardy na twarzach. Nawet w oknach budynków z czerwonej cegły, które tłoczyły się ściana w- ścianę na samym skraju torów, migały twarze ludzi. Za dużo tego było, by dało się od razu ogarnąć rozumem i pojąć. Z rozdziawionymi ustami przekrzykiwali się nawzajem ze zdumienia i tłoczyli do okien wagonów.

— A gdzie kobiety? — spytał nagle Hendrick.

— Jakie kobiety? — uśmiechnął się Mojżesz.

— Jak to jakie?! Czarne, z naszego plemienia!

— Tutaj nie ma kobiet, w każdym razie kobiet, jakie do tej pory znałeś. Tu są tylko kurwy, i robią to tylko za złoto. Tu wszystko jest za złoto.

Jeszcze raz przetoczono ich z głównej linii na ogrodzoną bocznice, przy której stał ciągnący się w nieskończoność rząd białych baraków. Na tablicy nad bramą widniał napis:

WITWATERSRAND NATIVE LABOUR ASSOCIATION

OSRODEK PRZYUCZENIA CENTRALNEGO RANDU

Kilku uśmiechniętych czarnych brygadzystów zaprowadziło ich z wagonów do długiego baraku i kazało się rozebrać do naga.

Rzędy gołych czarnych mężczyzn przesuwały się do przodu pod ojcowskim okiem brygadzystów, którzy odnosili się do nich w przyjazną rubasznością.

— Niektórzy z was przywieźli ze sobą cały żywy inwentarz — żartowali. — Kozy na głowie i prosiaczki we włosach nad kuśką. — I maczając trzymane w rękach pędzle w kubłach z maścią ręciovą grubo smarowali szarą mazią głowy i krocza przyszłych górników.

— Dobrze to wetrzycie — polecali. — Nie trzeba nam tu waszych wszy, kleszczy i świerzbow. — Nagim Murzynom udzielała się atmosfera zabawy i rycząc ze śmiechu smarowali się nawzajem gdzie popadnie kleistym mazidłem.

Przy końcu baraku każdemu wręczono małą niebieską kostkę mydła karbolowego.

— Wasze matki mogą sobie uważać, że pachniecie jak kwiat mimozy, ale nawet kozy kręcą nosem, kiedy mijacie je z wiatrem — śmieli się czarni brygadziści, kierując ich pod gorące natryski.

Po drugiej stronie, na wytartych i nadal nagich, czekali już lekarze. Tym razem badano ich niezwykle dokładnie. Osłuchano im piersi, zajrzano we wszystkie zakamarki i otwory ciała.

— Co ci się stało w usta i w głowę? spytał Hendricka badający go lekarz. — Nie, nie, nic nie mów, nie chcę tego wiedzieć.

Widział już takie obrażenia. — Ci zezwierzęceni nadzorcy pociągów! No dobra, wyślemy cię do dentysty, żeby usunął te pieńki, ale na założenie szwów na głowie jest już za późno. Będziesz miał kilka ślicznych blizn! A jeśli chodzi o resztę, jesteś perła bez skazy. — Poklepał go po twardych, lśniących mięśniach pośladków. — Skierujemy cię do roboty na dole, dostaniesz premię za pracę pod ziemią.

Wydano im szare kombinezony i podkute buty, a potem porządnie nakarmiono, do syta, ile kto zdołał w siebie wepchnąć.

— Zupełnie inaczej to sobie wyobrażałem — mruknął Hendrick między jedną łyżką gęstego gulaszu a drugą. — Dobra wyżerka, biali z uśmiechem na twarzach, żadnego bicia... Nie to co w pociągu.

— Tylko głupcy głodzą i katują swoje woły, bracie. A ci biali nie są głupcami.

Jeden z pozostałych Oyambo zabrał pusty talerz Mojżesza do kuchni i przyniósł dokładkę. W takich prostych sprawach nie musiał już wydawać poleceń. Otaczający go ludzie zaspokajali jego potrzeby, jakby z urodzenia mu się to należało. Powtarzana po wielekroć historia śmierci białego nadzorcy obrosła już legendą, podbudowując pozycję i autorytet Mojżesza Gamy i jego zastępcy. Ich ludzie zbliżali się do nich na palcach, a jeśli Mojżesz lub Hendrick zwracał się do któregoś z nich, wybraniec słuchał ze spuszczoną z szacunkiem głową.

O świcie następnego ranka zerwano ich z prycz w barakach i po obfitym śniadaniu z kukurydzianych placków polanych *maas*, gęstym zsiadłym mlekiem, zaprowadzono ich do pokrytej blachą długiej klasy.

— Do *Goldi* przyjeżdżają ludzie z czterdziestu różnych plemion mówiących czterdziestoma różnymi narzeczeniami: Zulusi i Tswana, Hererowie i Basuto. I tylko jeden na tysiąc rozumie choć słowo po angielsku lub w afrikaans — wyjaśnił cicho Hendrickowi Mojżesz, kiedy z szacunkiem ustąpił im miejsca na jednej z ławek. — Więc teraz nauczą nas specjalnej mowy *Goldi*, języka, którym porozumiewają się tutaj wszyscy biali i czarni, obojętne do jakiego plemienia należą.

Instruktorem gwary pól złotonośnych, *fanakalo*, był sędziwy Zulus o głowie pokrytej czapą lśniących srebrnych kędziurów. Nazwa ta pochodziła od słowa właśnie w języku Zulusów i tłumaczona dosłownie znaczyła „tak, w ten sposób”. W ciągu najbliższych tygodni nowo przyjęci górnicy mieli często używać tego zwrotu: „Rób to tak! W ten sposób! Pracuj tak! *Sebenza fanakalo!*”

Nauczyciel stał na podwyższeniu otoczony wszystkimi elementami ekwipunku górnika ułożonymi w taki sposób, by mógł dotknąć każdego z nich wskaźnikiem i nakazać uczniom chórem skandować jego nazwę. Kaski, lampy, mioty, kilofy, ręczne świdry, skrobaki, szyny ochronne i stemple — musieli dokładnie zapoznać się z tym wszystkim, nim po raz pierwszy staną do pracy.

Potem stary Zulus wskazał na siebie i powiedział: — *Mina!* Po czym wyciągnął rękę w stronę klasy. — *Wena!*

I Mojżesz zaintonował chóralne: — Ja! Ty! Ja, ty!

— Głowa! — zawołał nauczyciel. — Ręka, noga! — Dotykał po kolei każdej części swego ciała, a uczniowie z zapalem go naśladowali.

Cały ranek uczyli się języka, a po lunchu podzielono ich na dwudziestoosobowe grupy i tę, w której znalazł się Mojżesz z Hendrickiem zaprowadzono do innego baraku o dachu z blachy, podobnego do klasy nauki języka. Różnica polegała tylko na wyposażeniu. Od ściany do ściany biegły długie stoły na kozłach. W nowej sali powitał ich biały o płomiennie rudych włosach i wąsach i ciemnozielonych oczach. Ubrany był w długi biały fartuch, taki jaki mieli lekarze, i tak jak oni uśmiechał się przyjaźnie, zapraszając gestami rąk do zajmowania miejsc za stołami. Mówił po angielsku, tak że tylko Hendrick i Mojżesz go rozumieli, choć starannie się z tym kryli, przybierając na twarze wyraz tępego zmieszania i zakłopotania.

— No dobra, chłopcy. Nazywam się Marcus Archer i jestem psychologiem. Przygotowałem dla was test, który sprawdzi wasze uzdolnienia i pozwoli ustalić, do jakiej pracy najlepiej się nadajecie. — Skinął z uśmiechem na czarnego pomocnika, który przetłumaczył:

— Macie robić, co wam *Bomyu*, Rudy, każe. Zaraz się przekonacie, jacy jesteście głupi.

Pierwszy sprawdzian polegający na układaniu klocków opracował osobiście Marcus Archer. Chodziło o wykazanie się zręcznością manualną i wyczuciem kształtu. Wielobarwne drewniane klocki różnych wielkości należało tak do siebie dopasować, by wypełniły ramę leżącą na stole przed każdym z kandydatów na górników. Przypominało to prostą układankę dla dzieci, a czas przeznaczony na wykonanie zadania wynosił sześć minut. Pomocnik wyjaśnił i zademonstrował, co należy robić, wszyscy zajęli miejsca za stołami, Marcus Archer zawołał: „*Enza! Zaczynać!*” i włączył stoper.

Mojżesz ułożył swoją układankę w minutę i sześć sekund. Zgodnie z drobiazgowymi zapiskami doktora Archera do tej pory poddano temu testowi sto szesnaście tysięcy ośmiuset szesnastu kandydatów. Zaden z nich nie wykonał go w czasie krótszym niż dwie i pół minuty. Marcus Archer zszedł ze swego podwyższenia i sprawdził sposób ułożenia kostek na stole Mojżesza. Zadanie

zostało wykonane prawidłowo. Skinął głową i w zamyszeniu popatrzył na pozbawioną wyrazu twarz Mojżesza.

Oczywiście zwrócił na niego uwagę już w chwili, kiedy Mojżesz stanął w drzwiach sali. Nigdy nie widział tak pięknego mężczyzny, białego czy czarnego, a zdecydowanie wolał ciemną skórę. To było jednym z głównych powodów, dla których przed pięciu laty zdecydował się na wyjazd do Afryki. Doktor Marcus Archer był bowiem homoseksualistą.

Uświadomił to sobie dopiero na trzecim roku studiów w Magdalene College, a człowiek, który otworzył przed nim świat gorzko-słodkich rozkoszy, poszerzył jednocześnie znacznie jego horyzonty myślowe, zapoznając go z cudownymi nowymi doktrynami Karola Marksa i ich udoskonaleniami dokonanymi przez Włodzimierza Ilicza Lenina. Kochanek wprowadził go potajemnie do Brytyjskiej Partii Komunistycznej, a po ukończeniu Cambridge przedstawił towarzyszom z Bloomsbury. Mimo to młody Marcus nie najlepiej czuł się w przeintelektualizowanym Londynie. Brakowało mu ciętości języka, bystrego, zjadliwego dowcipu i drapieżnego okrucieństwa. Po krótkim i pełnym rozczarowań romansie z Lyttonem Stracheyem [Giles Lytton Strachey (1880—1932) angielski krytyk, prozaik i eseista.] potraktowany został w typowy dla Lyttona sposób i wykluczony z grona znajomych.

Udał się na banicję na odludzie Uniwersytetu w Manchesterze i podjął studia w nowej dziedzinie psychologii przemysłowej. W Manchesterze nawiązał także długi, przepojony uczuciem i szczęśliwy romans z puzonistą z Jamajki, zaniedbując jednocześnie swe związki z Partią. Już wkrótce miał się jednak przekonać, że Partia nigdy nie zapomina o swych wybrańcach. Kiedy miał trzydzieści jeden lat, kiedy zdobył już pewną pozycję w zawodzie, a romans z Jamajczykiem dobiegł gorzkiego końca, kiedy został porzucony i po głowie chodziły mu myśli o samobójstwie, Partia wyciągnęła mackę i łagodnie zagnała z powrotem do owczarni.

Powiadomiono go, że Południowoafrykańska Izba Kopaiń potrzebuje kogoś z jego wykształceniem do pracy z tubylczymi górnikami. Do tej pory jego upodobanie do Czarnej skóry przeszło już w nałóg. Raczkująca Południowoafrykańska Partia Komunistyczna potrzebowała wsparcia, więc wystarczyło powiedzieć „tak” i robota należała do niego. Dano mu do zrozumienia, że ma pełną swobodę wyboru w tej sprawie, lecz właściwie nikt ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości odmowy. Miesiąc później był już na statku płynącym do Cape Town.

W ciągu następnych pięciu lat wykonał wiele ważnych pionierskich prac dla Izby Kopaiń, które przyniosły mu uznanie i głęboką satysfakcję. Jego powiązania z Partią starannie ukrywano, ale tajne zadania, jakie realizował na tym terenie, były może jeszcze ważniejsze. W miarę upływu czasu, gdy na własne oczy oglądał działanie nieludzkiej segregacji rasowej i klasowej, gdy co dzień na nowo przekonywał się, jak straszliwa przepaść dzieli biedny, wyzuty z wszelkich praw czarny proletariats od nieopisanie bogatej i uprzywilejowanej białej burżuazji, jego przywiązanie do idei marksizmu coraz bardziej rosło. Odkrył że w tym bogatym i pięknym kraju wszystkie krzywdy ludzkie jak rośliny w cieplarni nabierały niezwykle wybuchających kształtów, rozrastając się do rozmiarów czyniących z nich niemal karykatury zła.

Kiedy Marcus Archer patrzył teraz w szlachetną twarz tego młodego człowieka o rysach egipskiego boga i skórze barwy palonego miodu, poczuł wzbierającą w sercu tęsknotę.

— Mówisz po angielsku, prawda? — spytał.

Mojżesz skinął głową.

— Tak, mówię — odparł miękko, a Marcus Archer musiał spuścić wzrok i wrócić na podwyższenie. Nie był w stanie ukryć swego pożądania, palce mu drżały, kiedy wziął do ręki kredę i

zaczął Pisać na tablicy, dając sobie czas na opanowanie burzy namiętności.

Test trwał przez całe popołudnie, jego wyniki pozwalały stopniowo posegregować kandydatów na grupy o różnym poziomie inteligencji i uzdolnień. Pod koniec na czele grupy pozostał tylko jeden z nich. Mojżesz Gama rozwiązał wszystkie coraz trudniejsze testy z tą samą łatwością co pierwszy. Doktor Archer uświadomił sobie, że odkrył prawdziwy skarb.

O piątej sprawdziany dobiegły końca i kandydaci na górników z wyraźną ulgą wysypali się z klasy. Ostatnia godzina dała się we znaki nawet najbystrzejszym z nich. Tylko Mojżesz sprawiał wrażenie odprężonego i nie zmęczonego.

— Gama! — zawołał doktor Archer, kiedy Mojżesz nujął jego biurko. — Chciałbym, żebyś wykonał jeszcze jedno zadanie.

Przez werandę zaprowadził Mojżesza do swego gabinetu przy końcu baraku.

— Umiesz czytać i pisać?

— Tak, doktorze.

— Jestem wyznawcą teorii, że badając czyjś charakter pisma, można znaleźć klucz do osobowości piszącego — wyjaśnił Archer. — Chciałbym, żebyś coś dla mnie napisał.

Gawędząc swobodnie usiedli obok siebie za biurkiem, Marcus Archer ustawił przed Mojżeszem przybory do pisania.

— To standardowy tekst, zawsze go dyktuję.

Na kartce, którą podał Mojżeszowi, wydrukowana była dziecinna rymowanka „Kotek i skrzypki”.

Kiedy Mojżesz umoczył pióro, Archer nachylił się, żeby lepiej widzieć. Pismo było płynne i wyraźne, o ostrych czubkach liter, pochylone lekko do przodu. Wszystko wskazywało na stanowczość i niespożytą energię.

Nie odrywając wzroku od pisma, Archer swobodnym ruchem położył rękę na udzie Mojżesza, z niezwykłym przejęciem wyczuwając sprężystość twardych mięśni pod aksamitną skórą. Mojżesz drgnął, ze stalówki jego pióra spłynął duży kleks, po czym ze spokojem dopisał

ostatnie zdanie. Kiedy skończył, starannie odłożył pióro i po raz pierwszy spojrzął prosto w zielone oczy doktora Marcusa Archera.

— Gama... — Głos Archera drżał, palce jego dłoni zacieśniły uchwyt. — Jesteś o wiele za inteligentny, żeby marnować czas na przerzucaniu łopata rudy. — Urwał i powoli przesunął dłonią w górę uda Mojżesza.

Mojżesz patrzył mu spokojnie w oczy. Wyraz jego twarzy nie uległ zmianie, ale powolnym ruchem rozchylił uda. Serce zadudniło Archerowi w piersi jak młotem.

— Chciałbym, żebyś został moim asystentem, Gama — szepnął.

Oszołomiony Mojżesz próbował ogarnąć myślą wspaniałość tej propozycji. Miałby wgląd w akta wszystkich pracowników przemysłu wydobywania złota; byłby chroniony i uprzywilejowany, mógłby swobodnie bywać w miejscach, do których wstęp czarnym zwykle jest zabroniony. Korzyści były tak liczne i ogromne, że w tak krótkiej chwili po prostu nie był w stanie ogarnąć ich wszystkich rozumem. Do człowieka, który złożył mu tę propozycję, nie czuł zupełnie nic, ani odrazy, ani pożądanego, nie miał żadnych oporów przed zaplaceniem ceny, jakiej za to żądał. Jeśli ten biały chciał być traktowany jak kobieta, to on chętnie wyświadczy mu tę przysługę.

— Dobrze, doktorze — powiedział. — Będę dla pana pracował.

Wieczorem ostatniego dnia pobytu w centrum przyuczenia

Mojżesz wezwał do siebie wszystkich swoich wybrańców. Zbili się w ciasną gromadkę wokół jego pryczy.

— Już wkrótce przeniosą nas stąd do *Goldi*. Nie wszyscy będziecie razem, bo wzdhiż Randu rozsianych jest wiele kopalń. Jedni z was pójdą do pracy pod ziemią, inni dostaną robotę na powierzchni w kruszalniach i przy wytopie. Na jakiś czas zostaniemy rozdzieleni, ale nie wolno wam zapomnieć, że jesteśmy braćmi. Ja, wasz starszy brat, nie zapomnę o was. Odszukam was, gdziekolwiek traficie, i kiedy was wezwę, macie być gotowi.

— Eh he! — mruknęli zgodnie na znak posłuszeństwa. — Jesteśmy twoimi młodszymi braćmi, będziemy nasłuchiwać twojego wezwania.

— Pamiętajcie, że zawsze jesteście pod moją ochroną, że każda wyrządzona wam krzywda zostanie pomszczona. Widzieliście, co spotyka tych, którzy narażają się naszemu bractwu.

— Widzieliśmy... — mruknęli. — Widzieliśmy..., śmierć.

— Śmierć — potwierdził Mojżesz. — A czeka ona także każdego, kto zdradzi. Sinierć zdrajcom!

— Śmierć zdrajcom! — zakołysali się w zgodnym rytmie, raz jeszcze ulegając hipnotycznemu czarowi, jaki rzucał na nich Mojżesz.

— Wybrałem totem naszego bractwa — ciągnął Mojżesz. — Będzie nim bawół, bo jest czarny, potężny i we wszystkich budzi strach. Jesteśmy bawołami.

— Jesteśmy bawołami. — Już zaczęli być dumni z tego wyróżnienia. — Jesteśmy Czarnymi bawołami i wszyscy poczują przed nami strach.

— Oto znak, tajemny znak, po którym będziemy rozpoznawać swoich. — Pokazał go najpierw sam, a potem każdemu po kolei podał prawą rękę, tak jak to czynią biali, lecz uścisk był inny, podwójny z zagięciem serdecznego palca. — Po tym poznacie braci, kiedy się do was zgłoszą.

W ciemności baraku wymienili pozdrowienie, każdy uściśnął w ten nowy sposób rękę wszystkim pozostałym, jakby była to forma wprowadzenia do bractwa.

— Niedługo się do was odezwę. Do tego czasu musicie robić wszystko, czego będą od was wymagać biali. Musicie przykładać się do pracy i uczyć, żeby być gotowymi na wezwanie, kiedy je ode mnie dostaniecie.

Odesłał swoich wybrańców na własne prycze i został sam z Hendrickiem. Nachyleni głowami ku sobie pograżyli się w cichej rozmowie.

— Straciłeś swoje białe kamyki — powiedział Mojżesz. — Do tej pory ptaki rozdziobały placki z prosa, drobna zwierzyna pożarła ich resztki. Kamienie zostały połknięte, rozwłóczone po *veldzie*, nie został po nich nawet ślad, Przykryje je ziemia, porosną trawą, są stracone na zawsze, mój bracie.

— To prawda, są stracone — potwierdził żałośnie Hendrick. — Tyle zachodu, tyle krwi, tyle trudów i wszystko na nic, Rozsypały się po *veldzie* jak gnane wiatrem nasiona traw.

- Ciężyło na nich przekleństwo — pocieszył go Mojżesz. — Od pierwszej chwili, kiedy je zobaczyłem, wiedziałem, że przyniosą tylko nieszczęścia i śmierć. To zabawka białego człowieka. Cóż byś zrobił z bogactwem białych ludzi? Gdybyś spióbował z niego korzystać, gdybyś spróbował kupić to, co kupują biali, zostałbyś natychmiast namierzony przez białą policję. Przyszliby po ciebie i miałbyś z tego tylko sznur albo więzienną celę.

Hendrick w milczeniu rozważał prawdziwość tych słów. Co mógłby kupić za te kamienie? Czarni nie mogą posiadać ziemi. Ponad setka sztuk bydła wzbudziłaby zazdrość każdego lokalnego wodza. Miał już tyle żon, ile chciałby mieć, a nawet więcej, a czarni nie jeżdżą samochodami. Czarny

człowiek, jeśli jest mądry, w żaden sposób nie zwraca na siebie uwagi.

— Nie, mój bracie — ciągnął szeptem Mojżesz — te kamienie nie były dla ciebie. Dziękuj duchom przodków, że zostały ci odebrane i powróciły do ziemi, gdzie ich miejsce.

Hendrick jęknął cicho.

— A jednak dobrze byłoby mieć taki skarb, trzymać go w swoich rękach, choćby w najgłębszej tajemnicy.

— Są inne skarby, bracie, jeszcze cenniejsze niż diamenty i złoto białych.

— Co to za skarby?

— Słuchaj mnie, a ja cię do nich zaprowadzę.

— Ale co to takiego? — nalegał Hendrick.

— Dowiesz się tego w odpowiednim czasie — odparł z uśmiechem Mojżesz. — A teraz musimy porozmawiać o pilniejszych sprawach. Na skarby przyjdzie pora później. Posłuchaj. *Bomyu*, ten mój rudy doktorek, który lubi być używany jak kobieta, przydzielił cię do *Goldi* nazywanej Central Rand Consolidated. To jedna z najbogatszych kopalni, ma wiele głębokich szybów. Będziesz pracował pod ziemią i najlepiej byłoby, gdybyś wyrobił tam sobie dobrą markę. Nakłoniłem *Bomyu*, żeby skierował z tobą do CRC dziesięciu naszych najlepszych Bawołów. Będą stanowili twoją *impi*, doborową gwardię przyboczną. Zaczнеш od nich, ale będziesz ją rozbudowywał, zbierając wokół siebie wszystkich szybkich, silnych i nieustraszonych.

— Co mam z nimi robić?

— Utrzymuj ich w gotowości. Niedługo się do ciebie odezwę. Szybciej, niż myślisz.

— A co z resztą Bawołów?

— Poradziłem *Bomyu*, żeby rozesał ich w dziesięcioosobowych grupach do wszystkich pozostałych kopalni Randu. Wszędzie będziemy mieć grupki swoich ludzi. Te grupki się rozrosną i już wkrótce staniemy się wielkim stadem czarnych bawołów, którego nawet najgroźniejszy lew nie odważy się zaatakować.

Podczas zjazdu pod ziemię Swart Hendrick po raz pierwszy w życiu doznał bezgranicznego strachu, ogarnęło go takie przerażenie, że nie mógł myśleć, ani nic z siebie wykrztusić, nie był w stanie krzyczeć, ani stawiać jakiegokolwiek oporu.

Strach zaczął narastać już wtedy, gdy stał w długiej kolejce czarnych górników w szarych kombinezonach, długich czarnych gumiakach i polyskujących srebrzyście me malowanych kaskach z latarkami na głowach. Pod naporem stłoczonych ciał Hendrick posuwał się powoli wzdłuż pochylni, jak zwierzę prowadzone na rzeź. Co kilka kroków musiał przystawać, potem znów popychano go do przodu, aż nagle znalazł się przed metalową siatką drzwi zamykających wejście do szybu.

Za siatką widać było stalowe liny zwisające w głąb dziury, niczym pytony o lśniących łuskach, a w górze piętrzył się stalowy szkielet wieży wyciągowej. Kiedy podniósł wzrok, na tle jasnego nieba trzydzieści metrów nad głową ujrział ogromne koła, to kręcące się, to zatrzymujące, by zacząć się obracać w przeciwną stronę.

Nagle osiatkowane drzwi odskoczyły ze zgrzytem i trzaskiem na boki i przybój czarnych ciał popchnął go do wiszącej za drzwiami klatki. Ciasno stłoczonych, zmieściło się ich do niej siedemdziesięciu. Drzwi zasunęły się, podłoga umknęła mu spod nóg, lecz niemal natychmiast powróciła. Usłyszawszy nad głową tupot nóg poderwał wzrok i wtedy dotarło do niego, że winda ma dwa poziomy i na górny ładuje się następnych siedemdziesiąt osób.

Znów dobiegł go łoskot zatrzaskiwanych drzwi, potem przenikliwy jazgot telegrafu, cztery długie

dzwonki, sygnał do zjazdu, i klatka zaczęła spadać w dół, tym razem jednak z takim przyspieszeniem, że jego ciało jakby zawisło w powietrzu i tylko czubkami palców ledwie dotykał stalowych płyt podłogi. Zołądek podjechał mu do gardła, a całe ciało ogarnął paraliżujący strach.

Winda spadała w dół, kilometr, a potem drugi, wprost do wnętrza ziemi, dudniąc i grzechocząc w ciemności jak pędzący w tunelu ekspres, minuta za minutą, wieczność za wiecznością, a strach coraz bardziej narastał. Hendrick poczuł, że się dusi, że głowę rozsadza mu myśl o wiszącej nad nim nieprzebranej masie skał. Bębenki w uszach pękały mu od rosnącego gwałtownie ciśnienia.

Zatrzymali się tak raptownie, że nogi się pod nim ugięły, a mięśnie twarzy zjechały mu z kości policzkowych w dół, rozciągając się jakby były z gumy. Skrzydła drzwi z łoskotem odskoczyły na boki i nagle znalazł się w głównej pochylni przewozowej. W ogromnej jaskini o ścianach z połyskujących wilgocią skał roiło się od ludzi, którzy jak szczury w ściekach rozbiegali się na wszystkie strony i znikali w czeluściach niezliczonych tuneli, którymi zryte były wnętrza ziemi.

Woda była wszędzie. Lśniła i połyskiwała w płaskim świetle elektrycznych lamp, płynęła rynsztokami po obu stronach pochylni, chlupotała pod nogami, pluskała i szemrała w ciemności, kapiała z poszarpanych skał sklepienia jaskini. Nawet powietrze było ciężkie od wody, wilgotne, gorące, parne, wywołujące klaustrofobię. Było tak gęste, że aż galaretowate, zaklejało uszy, ogłuszało, niemrawo wciekało do płuc niczym lepka melasa. Strach nie opuszczał go ani na chwilę. Po długim marszu dotarli do wyrobisk, gdzie strumień ludzi podzielił się na oddzielne brygady, które rozeszły się każda w swoją stronę i zniknęły w mroku.

Wyrobiska były to rozległe puste komory, z których wydobyto już złotonośną skałę, wypełnione gęsto słupami stempli, wznoszące się pod takim kątem, pod jakim biegł w tym miejscu pokład rudy.

Idąc za innymi Hendrick dojrzał do kwatery swej brygady, gdzie pod nagą żarówką zaczęli na białego kierownika szychty, krzepkiego Afrykanera, który zjawił się w towarzystwie swoich dwóch czarnych boss-boyów. Kwatera mieściła się w wykutej w skale niszy z numerem brygady nad wejściem. Wzdłuż tylnej ściany mszy biegła długa ławka, a w rogu obok niej urządzono latrynę ze zwykłymi kubłami zasłoniętymi kawałkiem workowej juty.

Brygada usiadła na ławce, a kiedy boss-boye sprawdzili obecność, biały sztygar spytał w *fanakalo*:

— Który to jest ten nowy rębacz?

Hendrick podniósł się z ławki. Cronje, kierownik zmiany, podszedł bliżej i stanął na wprost niego. Obaj wysocy i potężnie zbudowani, patrzyli sobie prosto w oczy. Szef szychty z garbatym nosem, złamanym w dawno zapomnianej bijatyce, uważnie przyjrzał się Hendrikowi. Zauważywszy dziurę po wybitych zębach i szramy na głowie, poczuł dla swego nowego pracownika niechętny respekt. Obaj byli twardzi i nieugięci, wyczytali to nawzajem w swoich oczach. Tam, na górze, w blasku słońca, w podmuchach cudownie rześkiego powietrza, byłiby dla siebie czarnuchem i białym. Tu, pod ziemią, byli po prostu dwoma mężczyznami.

— Umiesz się obchodzić z młotem? — spytał Cranje w *fanakalo*.

— Umiem — odparł Hendrick w afrikaans. Miał za sobą dwa tygodnie praktyki w naziemnych dołach szkoleniowych.

Cronje zamrugnął i uśmiechnął się, słysząc z ust Hendricka słowa w swym ojczystym języku.

— Moja szychta jest najlepsza w całym CRC — powiedział wciąż z tym samym uśmiechem. — Nauczysz się brać skałę, przyjacielu, albo ja ci się dobiore do dupy. Jasne?

— Jasne — odparł z uśmiechem Hendrick.

— Wszyscy rębacze do mnie! — zawołał Cronje.

Wezwani wstali z ławki, pięciu potężnych chłopów postury Hendricka. Posługiwanie się młotem wymagało ogromnej siły fizycznej. Rębacze stanowili elitę górników dołowych, zarabiali niemal dwa razy tyle co reszta, plus premia za przesunięcie ściany przodka o każdy metr, i cieszyli się ogromnym prestiżem wśród wszystkich pracowników kopalni.

Cronje zapisał ich nazwiska na tablicy pod żarówką. Na pierwszym miejscu znalazł się ogromny Zulus, Zama, a Henry Tabaka na ostatnim, na samym dole listy. Kiedy Zama zdjął kurtkę i rzucił ją swemu pomocnikowi, w jaskrawym świetle żarówki załśniły sploty potężnych czarnych mięśni.

— Ha! — warknął Zulus, spoglądając na Hendricka. — A więc z pustyni przypatał nam się tu mały szakal z plemienia Oyambo. — Wszyscy pozostali roześmieli się służalczo. Zama był najlepszym rębaczem w sektorze. Nie było takich, co by się nie śmieli, kiedy żartował.

— Myślałem, że zuluskie pawiany iskają się tylko na szczycie Drakensbergu, bo stamtąd dalej ich słychać — spokojnie odciął się Hendrick.

Zapadła chwila grobowego milczenia, a potem ten i ów zarechotał niedowierzająco.

— No dobra, w gębie jesteście mocni — wmieszał się w ten słowny pojedynek Cronje. — Zobaczmy jak dajecie sobie radę ze skałą.

Poprowadził ich z kwatery do przodka, gdzie wąskim, poszarpanym pasem biegła poziomo w poprzek ściany warstwa złotonośnej skały. Ruda była szara, niepozorna, najdrobniejszym błyskiem nie zdradzała cennej zawartości, zazdrośnie kryjąc swój skarb.

Strop wisiał tu bardzo nisko, trzeba było zginać się wpół, żeby podejść do ściany przodka, ale wyrobisko sięgało daleko na boki, ciągnęło się setki metrów w każdą stronę. Z ciemności dobiegały odgłosy pracy innych brygad, spotęgowane i zniekształcone echem. W światłach lamp po stropach, ścianach i podłogach pełgały fantastyczne cienie.

— Tabaka! — zawołał Cronje. — Tutaj! — Wskazał oznakowane białą farbą punkty nawiercenia otworów pod ładunki wybuchowe. Znaczki obok podawały głębokość i kąt nachylenia każdego otworu.

Odstrzał wymagał niezwykle starannego odpalenia precyzyjnie umieszczonych ładunków dynamitu. W zewnętrzne otwory wkładano „wykrawacze”, które miały nadać kształt stropom i podłodze. Te trzeba było odpalić najpierw, a sekundę później resztę ładunków na całej płaszczyźnie między nimi. To były „rozrywacze”, które rozsadały skałę i odrywały ją, od ściany.

— Szaya! Wierć! — ryknął Cronje i przystanął jeszcze na chwilę, żeby zobaczyć, jak Hendrick daje sobie radę ze świdrem.

Niezgrabna maszyna o kształcie ciężkiego karabinu maszynowego stała na skalnej podłodze przed ścianą przodka. Przyczepione do niej rury ze sprężonym powietrzem biegły w dół pochyłości i znikwały daleko w tyle, podłączone do baterii sprężarek w głównej pochylni wyładowczej.

Hendrick sprawnie umocował sześciometrowe stalowe wiertło w szczękach świdra, po czym razem ze swym pomocnikiem podciągnął maszynę do ściany. Żeby dźwignąć ją w górę i przystawić czubek wiertła dokładnie do białej plamki wyznaczającej miejsce pierwszego otworu, obaj musieli wyżyć wszystkie siły. Teraz Hendrick ustawił się za świdrem, przyjmując cały jego ciężar na prawe ramię, a kiedy pomocnik pospiesznie się cofnął, otworzył zawór sprężonego powietrza.

Rozległ się ogłuszający huk, rozrywające bębni w uszach staccato implozji dźwięku, powietrze pod ciśnieniem trzystu pięćdziesięciu kilogramów na centymetr kwadratowy wdarło się z rykiem do świdra i wbiło długie stalowe wiertło w skałę.

Od siły odrzutu Hendrick zadrżał i zadygotał na całym ciele, ale ani na chwilę nie przestał napierać na rozedrganą maszynę. Zyty wystąpiły mu na muskularnej szyi, głowa podskakiwała tak gwałtownie, że obraz rozmazywał mu się przed oczami, ale zacisnął szczęki i ustawił wiertło dokładnie pod takim kątem, jaki wyznaczył szef zmiany. Z wydrążonego wiertła chlusnęła woda, wytryskując z otworu w ścianie obłokiem żółtawej mgły, osiadającej szybko na twarzy Flendricka. W jednej chwili jego czarna skóra spłynęła strugami potu, nagle jakby znalazł się pośrodku rześistej ulewy. Pot mieszał się ze ściekającym mu po nagich plecach szlamowatym błockiem i rozpryskiwał na wszystkie strony jak deszcz, odrzucany drganiami napiętych mięśni, przejmujących szaloną wibrację stalowego wiertła.

Nim upłynęła minuta, całe dalo zaczęło go swędzieć i palić. To było główne utrapienie rębaczy. Wibracja świdra sprawiała, że wprawion w gwałtowne drgania skórę tysiące razy na minutę pocierały drobiny potu, pyłu i powietrza, z każdą chwilą przysparzając coraz większych katuszy. Hendrick próbował o tym nie myśleć, nie dopuszczać tego doznania do siebie, lecz mimo to czuł się tak, jakby całe ciało przypalano mu płomieniem lampy lutowniczej.

Długie stalowe wiertło powoli zagłębiało się w skałę, aż w końcu osiągnęło wyznaczoną głębokość. Hendrick zamknął zawór, ale wcale nie zapadła cisza. Mimo iż słuch miał przytępiony, jakby w jego uszach tkwiły kłęby waty, czaszkę wciąż rozsadzało mu dudniące echo pracy świdra.

Pomocnik podskoczył z tyki, chwycił wiertło, pomógł je wyciągnąć z pierwszego otworu i ustawić na drugiej białej plamce. Hendrick otworzył zawór, świder zajazgotał, rozpoczęła się następna seria tortur. Stopniowo jednak palące swędzenie stępiało, całą skórę ogarnęła jakaś dziwna drętwota i Hendrick stracił czucie własnego ciała, jakby pod skórę wstrzyknięto mu kokainę.

I tak stał przy skale całą zmianę, sześć godzin, bez chwili przerwy czy odpoczynku. Kiedy po skończeniu roboty wracali na kwaterę, oblepieni od stóp do głów żółtym błockiem i wykończeni poza granicę czucia czy bólu, nawet wielki Zulus Zama chwiał się na nogach i patrzył tępo przed siebie.

Na kwaterze Cronje zanotował przy nazwiskach na tablicy urobek z tego dnia. Zama nawiercił otwory pod szesnaście odstrzałów, Hendrick pod dwanaście, a następny w kolejności rębacz pod dziesięć.

— *Hart!* — mruknął Zama, kiedy wyjeżdżali na powierzchnię zatłoczoną windą. — Na swej pierwszej szychcie szakał od razu został rębaczem numer dwa.

A Hendrick miał tylko tyle siły, żeby odpowiedzieć:

— A na drugiej zostanie rębaczem numer jeden.

Nigdy mu się to nie udało. Ani razu nie zdołał urąbać więcej rudy niż Zama. Ale pod koniec tego pierwszego miesiąca, kiedy siedział z grupą współplemieńców spod znaku Bawołu w kopalnianej piwiarni, Zulus podszedł do ich stolika z dwoma galonowymi dzbanami musującego piwa z prosa, które sprzedawała swym górnikom kopalnia. Było gęste jak śmietana i niezwykle pożywne, lecz o bardzo małej zawartości alkoholu.

— Urąbaliśmy razem w tym miesiącu trochę skały, co, szakału? — powiedział, stawiając przed Hendrickiem jeden dzban.

— A w przyszłym narąbiemy jeszcze więcej, nie, pawianie?

Obaj ryknęli śmiechem, jak na komendę podnieśli dzbany i wypili do dna.

Zama był pierwszym Zulusem przyjętym do bractwa Bawołów, a nie było to wcale tak naturalne, jakby się mogło zdawać. Uprzedzenia plemienne są bowiem trudniejsze do pokonania niż łańcuchy gór.

Minęły trzy miesiące, nim Hendrick ponownie spotkał się ze swym bratem, przez ten czas udało mu się jednak zdobyć wpływy w całym osiedlu czarnych górników kopalni CRC. Po przyjęciu Zamy na swego zastępcę powiększył oddział Bawołów o członków wielu innych plemion: Zulusów, Shangaan, Matabele. Jedynym kryterium dla nowo przyjmowanych było to, że powinni być twardzi i godni zaufania, mieć jakąś pozycję choćby wśród którejs z grup składających się na ponad ośmiotysięczną załogę i, jeśli to możliwe, piastować funkcję dającą jakiś zakres władzy — w administracji, w nadzorze, w kopalnianej policji.

Niektórzy z tych, do których się zwracano, odrzucali propozycję wstąpienia do bractwa. Jeden z takich niedoszłych członków, stary Zulus o trzydziestoletnim stażu pracy i wypaczonym poczuciu obowiązku wobec własnego plemienia i firmy, nazajutrz po odmowie wstąpienia do bractwa wpadł w zsypanię rudy na szóstym poziomie głównej pochylni transportowej. Dziesiątki ton skał, które przetoczyły się po jego ciele, zmieniły je w krwawą miazgę. Świadców wypadku nie było. Pewnego kopalnianego strażnika, który oparł się zalotom bractwa, znaleziono zadźganego nożem w budce wartowniczej przy głównej bramie kopalni, a inny spłonął żywcem w kuchni. Świadcami tego ostatniego wypadku było trzech Bawołów, którzy zgodnie stwierdzili, że przypisać go należy wyłącznie nieuwadze i niezdarności samej ofiary. Od tej pory nie notowano już przypadków odmowy przystąpienia do bractwa.

Kiedy wreszcie zjawił się posłaniec od Mojżesza i po zidentyfikowaniu się tajnym znakiem i uściskiem dłoni przekazał wezwanie na spotkanie, Hendrick mógł bez przeszkód wyjść z kopalni.

Zgodnie z dekretem rządu czarnym górnikom surowo zabraniano opuszczania ogrodzonych drutem kolczastym przykopalnianych osiedli. W opinii Izby Kopalń podzielanej przez ojców miasta Johannesburga zezwolenie dziesiątkom tysięcy samotnych czarnych mężczyzn na swobodne buszowanie po złotonośnych terenach byłoby prowokowaniem nieszczęścia. Zbawiennej nauczki dostarczyli już Chińczycy. W tysiąc dziewięćset czwartym roku do Afryki Południowej sprowadzono pięćdziesiąt tysięcy kulisów, co miało złagodzić ogromny niedobór niewykwalifikowanej siły roboczej w kopalniach złota. Ale Chińczycy okazali się o wiele zbyt inteligentni i niesforni, by dało się ich utrzymać w zamkniętych osiedlach i przeznaczać wyłącznie do najprostszych prac fizycznych. Co więcej, potrafili bardzo szybko zorganizować się w *tongi*, tajne organizacje o charakterze mafijnym. W rezultacie już wkrótce na polach złotonośnych zapanowało bezprawie i terror, grabieże i rabunki stały się czymś powszednim, rozkwitła narkomania i hazard. Dopiero w roku tysiąc dziewięćset ósmym ogromnym nakładem sił i środków zdołano ich wszystkich zgromadzić w jednym miejscu i odesłać do domu. Postanowiwszy za wszelką cenę uniknąć powtórzenia się tej sytuacji, rząd wprowadził rygorystyczne przepisy, zakazujące czarnym robotnikom przebywania poza terenem kopalni i osiedla.

A mimo to Hendrick prześliznął się przez bramy CRC jak niewidzialny, przeciął w poświacie księżycy pas otwartego *veldu* i natrafiwszy na zarośniętą drogę dotarł do starego opuszczonego szybu. Za zardzewiałą szopą z falistej blachy stał czarny ford. Kiedy Hendrick zaczął się ostrożnie zbliżać, reflektory samochodu zapłonęły niespodziewanie, zalewając go jaskrawym światłem. Hendrick skamieniał w bezruchu.

Lecz już w następnej chwili światła zgasły i z ciemności dobiegł go głos Mojżesza:

— Widzę cię, mój bracie!

Uściskali się serdecznie, po czym Hendrick powiedział ze śmiechem:

— No, no, więc jeździsz teraz samochodem, jak biały!

— To samochód *Bomyu*. — Mojżesz zaprowadził go do auta i Hendrick opadł wygodnie na skórzane siedzenie.

— Wygodniej niż chodzić piechotą mruknął z westchnieniem zadowolenia.

— No, to opowiedz mi, Hendricku, mój bracie, co tam słyhać w CRC — poprosił Mojżesz i bez słowa wysłuchał długiego raportu Hendricka. Na koniec skinął głową.

— Doskonale mnie zrozumiałeś. Zrobiłeś dokładnie to, o co mi chodziło. Bractwo musi objąć swym zasięgiem ludzi z różnych plemion, nie tylko Oyambo. Musimy dotrzeć do wszystkich plemion, do wszystkich kopaiń, do wszystkich zakamarków zagłębia.

— Już to mówiłeś — burknął Hendrick. — Tylko nigdy nie powiedziałeś mi, po co. Ja ci ufam, ale ludzie, których zebrałem, patrzą na mnie i zadają jedno pytanie. Po co? Co to całe bractwo ma im dać? Jaki mają mieć z tego zysk?

— I co im odpowiadasz, bracie?

— Że muszą być cierpliwi — nachmurzył się Hendrick. — Nie znam odpowiedzi, ale robię taką minę jakbym znał. A jeśli nie dają mi spokoju, jak dzieci... No cóż, wtedy jak dzieciom łoję im skórę. — Mojżesz roześmiał się zachwycony, ale Hendrick potrząsnął głową.

— Tu nie ma nic do śmiechu, mój bracie, me mogę ich bić w nieskończoność.

Mojżesz poklepał go po ramieniu.

Już wkrótce nie będziesz musiał tego robić. A teraz powiedz mi, czego ci najbardziej brakuje od czasu, kiedy pracujesz w CRC?

— Baby, na którą mógłbym wleźć.

— Nim noc się skończy, będziesz ją miał. Czego jeszcze?

— Palenia dobrego trunku w żołądku, nie tego cienkusa z kopalnianego browaru.

— Bracie mój — powiedział poważnie Mojżesz — sam odpowiedziałeś na swoje pytanie. To właśnie da twoim ludziom bractwo. To są właśnie ochłapy, które rzucimy naszym psom myśliwskim: kobiety, trunki i oczywiście pieniądze. Ale dla nas, ludzi stojących na czele Bawołów, będzie coś więcej. Znacznie więcej. — Zapуścił silnik forda.

Pokłady złotoñośnych skał Witwatersrandu tworzą rozległy łuk o długości stu kilometrów. Starsze kopalnie, takie jak East Daggafontein, znajdują się we wschodniej części łuku, gdzie złóże wynurza się na powierzchnię ziemi. Nowsze leżą na zachodzie, gdzie chowa się ono raptownie w głąb ziemi, ale tak jak Blyvooruitzicht te głąbokie kopalnie są bajecznie bogate. Wszystkie kopalnie ciągną się wzdłuż tego owianego legendą sierpu, obrastającego miejską zabudową zwabianą złotym bogactwem i z niego żyjącą.

Mojżesz kierował się na południowy zachód, oddalając się od kopalni i miast białych ludzi. Droga, którą jechali, szybko zwęziła się i pogorszyła, na jej wyboistej nawierzchni pojawiły się błotniste kałuże powstałe po ostatniej ulewie. Wkrótce zupełnie zatraciła kierunek, zaczęła więc się i kluczyć, rozmywając w plątaninie ledwie widocznych drózek i biegnących przez wertepy kolein.

Latarnie uliczne miasta zostały z tyłu po lewej, lecz ciemność w przodzie rozjaśniało inne oświetlenie: pomarańczowy blask setek ognisk przyćmiony zasłoną snującego się między nimi dymu. Ogniska płonęły przed skleconymi byle jak szafasami z tektury i płatów zardzewiałej blachy, tłoczącymi się tak blisko siebie, że pozostały między nimi tylko wąziutkie przejścia. Przez ściany ruder wyczuwało się obecność mrowia niewidocznych ludzi, jakby rozłożyła się tutaj obozem jakaś wielka armia.

— Gdzie jesteśmy? spytał Hendrick.

— W mieście, do którego nikt się nie przyznaje, mieście ludzi, którzy nie istnieją.

Kiedy czarny ford podskakiwał i kołysał się na wybojach uliczek między szafasami, omiatając to jedną, to drugą stronę światłami reflektorów, na mgnienie oka wylaniały się z mroku nocy zmieniające się obrazy: grupka czarnych dzieci rzucających kamieniami w sparszywiąłego kundia, leżący na ziemi pijak czy może trup, kobieta oddająca w kucki mocz pod ścianą z falistej blachy, dwaj mężczyźni splecieni w milczeniu w morderczym uścisku, rodzina przy ognisku wyjadająca resztki z puszek po konserwach, podrywającą wielkie, lśniące wystraszone oczy na przejeżdżający samochód, jakieś ciemne sylwetki przemykające chyłkiem w plamach głębszego cienia. Były ich setki, a wyczuwało się obecność dalszych tysięcy.

— To jest Farma Drake'a — wyjaśnił Mojżesz. — Jedno z dzikich osiedli otaczających kręgiem *Goldi* białych ludzi.

To płożące się bezkształtnie na wszystkie strony zbiorowisko ludzi wydzielalo woń dymu z ognisk i nieczystości, zakisłego potu rozgrzanych ciał i przypalonego na otwartym ogniu pożywienia. Był to fetor śmieci gnijących w kałużach wody i mdląco słodki zapach żywiącego się krwią robactwa, mnożącego się w najlepsze w nigdy nie sprzątanym barłogach.

— Ilu ich tu mieszka?

- Pięć, dziesięć tysięcy. Nikt tego nie wie, nikogo to nie obchodzi.

Mojżesz zatrzymał samochód, wyłączył światła i silnik. Cisza, która zapadła, nie była prawdziwą ciszą. Był to szmer czegoś wielkiego lub nieprzeliczonego, jak dobiegający z oddali szum morza; zlewający się w jedno płacz niemowląt, poszczekiwanie psów, śpiewy kobiet, przekleństwa i rozmowy mężczyzn, siorbanie, odgłosy ludzi kłócących się, kopulujących, umierających, załatwiających potrzeby fizjologiczne, chrapiących, oddających się hazardowi, pijących na umór.

Mojżesz wysiadł z auta, zawołał coś rozkazująco i z ciemności między barakami wybiegło pospiesznie kilka niewyraźnych postaci. „Dzieci” — pomyślał Hendrick, choć nie potrafił określić ich wieku i płci.

— Pilnujcie samochodu — rozkazał Mojżesz i rzucił małą monetę, która zamigotała w odblasku ognisk i zniknęła, schwytana w powietrzu przez jednego z malców.

— Oho, ach! — zapiszczeni jeden przez drugiego, a Mojżesz poprowadził brata między rudery. Po mniej więcej stu metrach podniecający, budzący wspomnienia śpiew kobiet przybrał na sile, dołączył do niego szmer wielu innych głosów, zatechły zapach pitego od dawna alkoholu i pieczonego na otwartym ogniu mięsa.

Dotarli do długiego niskiego budynku, obskurnej szopy skleconej z odpadków z wysypisk śmieci. Ściany miała krzywe, a powyginany dach wydawał się kołysać w blasku ognia. Mojżesz zapukał do drzwi, lecz nim je otworzono, ktoś poświecił mu w twarz silną lampą.

— Oto, mój bracie — powiedział Mojżesz, ujmując Hendricka pod ramię i wprowadzając go do środka — znalazłeś się w swojej pierwszej w życiu melinie. Znajdziesz tu wszystko, co ci obiecałem: kobiety i trunki. Jednego i drugiego ile dusza zapagnie.

Szopa była zatłoczona istotami ludzkimi, nabita nimi tak dokładnie, że przeciwległa ściana ginęła w błękitnawej mgłę dymu tytoniowego i trzeba było krzyczeć, żeby być słyszonym na odległość choćby kilku metrów. Czarne twarze błyszczały od potu i z podniecenia. Należały do górników, pijących, śpiewających, śmiejących się, obłapiających kobiety. Niektórzy byli już potężnie pijani, kilku leżało na podłodze z ubitej ziemi w kałużach własnych wymiocin. Kobiety pochodziły z niemal wszystkich plemion, umalowane na modłę białych, ubrane w tandetne, jaskrawe sukienki, śpiewem,

tańcem i kręceniem biodrami wabiły mężczyzn z pieniędzmi, by zaciągnąć ich do pomieszczeń na zapleczu szopy.

Mojżesz nie musiał torować sobie drogi przez ten zbity gąszcz ciał, otwierał się on przed nim, jak za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki, a wiele mijanych kobiet pozdrowiało go z wyraźnym szacunkiem. Hendrick trzymał się tuż za bratem, nie mogąc wyjść z podziwu, że w ciągu trzech miesięcy od przybycia do Randu udało mu się zdobyć taką popularność.

Drzwi przy końcu szopy pilnował strażnik, groźny zbir o zeszpeconej bliznami twarzy, lecz on także natychmiast rozpoznał Mojżesza, klasnął w dłonie na powitanie, po czym odsunął brezentową zasłonę w drzwiach i przepuścił ich do tylnego pomieszczenia.

Ten pokój był znacznie mniej zatłoczony, na klientów czekały tu stoliki z ławkami. Od tutejszych dziewcząt bił wdzięk młodości, miały świeże buzie i roziskrzone oczy. W rogu, przy osobnym stoliku siedziała ogromna czarna kobieta o pogodnej, krągłej jak księżyc w pełni twarzy Zuluski wysokiego rodu, której rysy ginęły jednak niemal zupełnie w zwałach tłuszczu. Jej ciemnobursztynowa skóra z trudem opinała się na tym nadmiarze ciała. Brzuch opadał jej na kolana kaskadą grubych fałd, tłuszcz zwisał jej pod pachami niczym dwa wielkie, czarne podgardla i tworzył szerokie obwarzanki wokół jej nadgarstków. Na stoliku przed nią leżały równiutko ułożone kupki srebrnych i miedzianych monet oraz pliki wielobarwnych banknotów, a dziewczęta co chwila donosiły następne.

Na widok Mojżesza jej idealnie białe zęby zalśniły w szerokim uśmiechu. Dźwignęła się na nogi i kołysząc biodrami tak monstualnych rozmiarów, że idąc musiała szeroko rozstawiać stopy na zewnątrz, podeszła i powitała go jak wodza plemienia, dotknięciem dłonią czoła i pełnym szacunku klaśnięciem.

— To jest Mama Nginga — przedstawił ją Mojżesz Hendrickowi. — Największa szynkarka i burdelmama na Farmie Drake'a. A już wkrótce jedyna.

Dopiero wtedy Hendrick uświadomił sobie, że zna większość siedzących przy stolikach gości. Byli to ich współpasażerowie z pociągu, razem z nim zaprzysiężeni na członków bractwa Bawołów. Powitali go teraz z nie udawaną radością i przedstawili tym, którzy go jeszcze nie znali.

— To jest Henry Tabaka. Ten z legendy. Człowiek, który zabił białego nadzorcę... — I Hendrick natychmiast dostrzegł w oczach nowych Bawołów głęboki respekt. Byli to górnicy z dalszych kopalni zagłębia, zwerbowani przez pierwszych członków bractwa. Przyjrząwszy im się uważniej Hendrick uznał, że generalnie rzecz biorąc wybór padł na właściwych ludzi.

— Mój brat od trzech miesięcy nie zaznał kobiety ani smaku trunku — powiedział Mojżesz, zajmując miejsce u szczytu środkowego stołu. — Mamo Ngingo, dziś nie dawaj nam swego *skokiaanu*. Sama go warzy — wyjaśnił na boku Hendrickowi, ale tak, żeby wszyscy słyszeli. — Na spirytusie metylowym, karbidzie, zdechłych węzach i spędzonych płodach, żeby miał większą moc i lepszy zapach.

Mama Nginga zaniósła się piskliwym śmiechem.

— Mój *skokiaan* jest znany od Fordsburga po Bapsfontein. Nawet niektórzy biali, *mabuni*, ciągną tu po niego.

— Dla nich nadaje się w sam raz — zgodził się Mojżesz ale nie dla mojego brata.

Mama Nginga przysłała im przez jedną z dziewcząt butelkę brandy z Cape, a Mojżesz objął młodą dziewczynę w pasie, przytrzymał i odpiął europejską w kroju bluzkę, którą miała na sobie, odsłaniając duże, krągłe, jędrne piersi, aż zalśniły w świetle lamp jak zwilżony węgiel.

— Od tego zaczynamy, moje bawoły, od dziewczyny i butelki — powiedział do siedzących przy

stole. — W zagłębiu jest pięćdziesiąt tysięcy samotnych mężczyzn, oderwanych od swych żon, złaknionych słodkiego młodego ciała. Pięćdziesiąt tysięcy mężczyzn, którym praca pod ziemią wysusza gardła, a biali zabraniają im tym gasić pragnienie. — Potrząsnął butelką ze złocistym trunkiem. — W *Goldi* jest pięćdziesiąt tysięcy jurnych, spragnionych mężczyzn, a wszyscy mają kieszenie wypchane pieniędzmi. Bawoły dostarczą im tego, czego pragną. — Popchnął dziewczynę Hendrickowi na kolana, a ona natychmiast oplotła się wokół niego, fachowo symulując pożądanie, i wtuliła jego twarz między swe lśniące czarne piersi.

Kiedy niebo nad miasteczkiem ruder rozjaśnił pierwszy brzask, Mojżesz i Hendrick wrócili krętą, cuchnącą uliczką do miejsca, gdzie zostawili samochód. Dzieci pilnowały go nadal, kręcąc się przy nim, jak szakale wokół zwierzyny ubitej przez iwa. Bracia całą noc spędzili w pokoju na zapleczu szynku Mamy Ngingi i wreszcie dokonano pierwszych ustaleń. Każdemu z ich zastępców przydzielono obszar działania i zakres obowiązków.

— Wciąż mamy przed sobą mnóstwo roboty, mój bracie — powiedział Mojżesz, uruchamiając samochód. — Trzeba znaleźć trunki i kobiety, trzeba spędzić wszystkie pokątne szynki i burdele, zagnać je jak kozy do naszego *kraalu*, a jest na to tylko jeden sposób.

— Wiem, jak to trzeba zrobić — skinął głową Hendrick. — I mamy już swoje *impi*.

— I *indunę*, który tym *impi* będzie dowodził. — Mojżesz spojrział na niego znacząco. — Pora, żebyś opuścił CRC, mój bracie. Cały swój czas i wszystkie siły poświęcisz teraz nam. Nie będziesz już ich marnował na rąbanie rudy za psi grosz białych. Od tej pory będziesz rąbał łby, a nagrodą będzie władza i pieniądze. Wielka władza i prawdziwe pieniądze. — Uśmiechnął się nieznacznie. — Już nigdy nie będziesz musiał płakać za tymi swoimi białymi kamykami. Ja ci dam więcej, znacznie więcej.

Marcus Archer załatwił Hendrickowi rozwiązanie umowy o pracę z CRC i wydanie dokumentów podróży na jeden ze specjalnych pociągów, odwozących do rezerwatów i odległych wiosek górników, którzy wypracowali sobie bilet powrotny do domu. Ale Hendrick nigdy do tego pociągu nie wsiadł. Wykreślony z rejestrów białych zniknął w mrocznych odmętach półświatka złotonośnych pól Randu.

Mama Nginga oddała mu do wyłącznej dyspozycji jedną z przybudówek na zapleczu swojej szopy, a któraś z jej dziewcząt zawsze kręciła się pod ręką, żeby na wezwanie posprzątać, uprać, ugotować i ogrzać Hendrickowi łóżko.

Sześć dni po jego przybyciu na Farmę Drake'a Bawoły przystąpiły do działania. Hendrick starannie wyłożył swemu *impi* cel akcji, który brzmiał prosto i zrozumiale. Mieli zamienić farmę Drake'a we własną warownię.

Pierwszej nocy poszło z dymem dwanaście konkurencyjnych szynków. Ich właściele spłonęli razem z nimi, podobnie ci z klientów, którzy byli zbyt pijani, żeby wyczołgać się z ognistego piekła. Farma Drake'a leżała daleko poza granicami sektora obsługiwanego przez straż pożarną białych, toteż nikt nawet nie próbował niczego gasić. Tłum miejscowych gapiów zebrał się raczej, by obserwować rozgrywający się spektakl, jakby to była część igrzysk zorganizowanych specjalnie ku ich rozrywce. Dzieci tańczyły i piszczały wokół szalejących płomieni, reagując wybuchami radości na fajerwerki eksplozji butelek z alkoholem. Prawie wszystkim dziewczętom udało się ująć z kataklizmu z życiem. Te, które w chwili, gdy wybuchł pożar, właśnie pracowały, wybiegały na dwór nagie, tuląc do siebie resztki skąpej odzieży i szlochając z rozpacz po utracie całego dobytku i z takim trudem uciulanych oszczędności. Ale tam czekali już na nie mili, współczujący ludzie, by po kilku słowach pociechy

zaprowadzić je do Mamy Ngingi.

W czterdzieści osiem godzin na zgłiszczach starych stanęły nowe szynki i dziewczęta znów pracowały. Ich los uległ znacznej poprawie. Były dobrze ubierane i karmione, dostały własnych Bawołów dla ochrony przed klientami, by nie mogli już ich oszukiwać i maltretować. Oczywiście jeśli same próbowały migać się od pracy lub kombinować, zostawały solidnie obite, ale było to coś, czego mogły się spodziewać. Dawało im to poczucie przynależności do związku totemicznego z opiekunami zastępującymi ojców i braci, którzy zostali w dalekich rezerwatach.

Hendrick pozwolił im zatrzymywać ustaloną część zapłaty, którą pobierały za swe usługi, i pilnował, żeby jego ludzie respektowali ich prawo własności do tych pieniędzy.

— Hojność owocuje wiernością, a niezmiennosc zasad serdecznym przywiązaniem — wyjaśniał swoim Bawołom i rozciągał politykę „szczęśliwych domów” na klientów i wszystkich pozostałych mieszkańców Farmy Drake'a. Ściągających tu ze wszystkich stron czarnych górników otaczano taką samą ochroną jak dziewczęta. Już wkrótce oczyszczono miasteczko ze wszystkich zbirów, kieszonkowców, złodziei i innych drobnych naciągaczy. Podniesiono jakość serwowanej gorzałki, poddając całą jej produkcję pod osobisty nadzór Mamy Ngingi.

Alkohol pozostał mocny jak słoń i kąsał jak rozjuszona hiena, ale nikt już od niego nie ślepl, nikt nie dostawał pomieszania zmysłów, a ponieważ pędzono go w wielkich ilościach, cena nie była zbyt wygórowana. Za dwa szylingi można się było upić do nieprzytomności, a niezła czysta dziewczyna kosztowała dokładnie tyle samo.

Ludzie Hendricka wychodzili na każdy autobus i pociąg przychodzący z głębi kraju i wybierali młode czarne dziewczęta, które uciekły z rodzinnych wiosek, skuszone powabami życia w *Goldi*, a najładniejsze z nich prowadzili na Farmę Drake'a. Kiedy wraz ze wzrostem popytu to źródło zaopatrzenia okazało się niewystarczające, Hendrick zaczął rozsyłać swoich ludzi po kraju, by tam, na miejscu, werbowali dziewczęta za pomocą słodkich słówek, obietnic i drobnych prezentów.

Policja i władze Johannesburga doskonale zdawały sobie sprawę z faktu rozrastania się na południe od pól złotonośnych zakazanych przedmieść, ale przymykały na to oko, przerażone perspektywą ich likwidacji i znalezienia zastępczego locum dla tysięcy gnieźdzących się tam nielegalnie osób. Zamiast tego, by uspokoić swe obywatelskie sumienia, organizowały okresowe naloty, połączone z aresztowaniami i masowym nakładaniem kar. Kiedy jednak liczba morderstw, napadów, rabunków i innych poważniejszych przestępstw popełnianych na Farmie Drake'a zaczęła raptownie i tajemniczo maleć i na całym jej obszarze zapanował względny spokój i porządek, podejście władz nabrało jeszcze większego pragmatyzmu. Naloty policyjne ustały i w miarę tego, jak wśród dziesiątków tysięcy czarnych robotników zagłębia Farma nabierała reputacji miejsca, gdzie można się wesoło i bezpiecznie zabawić, jej popularność szybko rosła. Wielu wychodzących na przepustki górników wołało jechać czterdzieści, a nawet sześćdziesiąt kilometrów do Farmy, niż odwiedzać któreś z położonych znacznie bliżej centrów rozrywki.

Mimo to nadal, z uwagi na ogromne odległości w zagłębiu, dziesiątki tysięcy potencjalnych klientów nie było w stanie dotrzeć do Farmy. Mojżesz Gama zwrócił na nich uwagę.

— Skoro oni nie mogą dotrzeć do nas, to my musimy dotrzeć do nich. — Wyjaśnił Hendrickowi, jak to należy zrobić, i polecił ostrożnie skupować używane furgonetki dostawcze. Już wkrótce mieli ich tyle, co spore przedsiębiorstwo przewozowe, a zatrudniony na stałe mechanik wyremontował je, odmalował i dbał o to, żeby zawsze były na chodzie.

Co wieczór konwój tych pojazdów, załadowanych alkoholem i dziewczętami, opuszczał Farmę

Drake'a i ciągnął wzdłuż pól złotonośnych do jakiegoś odludnego miejsca w pobliżu większej kopalni, jakiejś polany wśród drzew, doliny między hałdami czy baraków wokół porzuconego szybu. Strażnicy przykopalnianego osiedla, wszystko członkowie bractwa, pilnowali, żeby klienci mogli swobodnie wydostać się za bramę i wrócić, i w ten sposób wszystkie Bawoły mogły korzystać z dobrodziejstw przynależności do totemicznego klanu.

— No jak, mój bracie, nadal rozpaczasz po utracie swych kamiaków? — spytał Mojżesz po pierwszych dwóch latach działalności Farmy Drake'a.

— Jest tak, jak obiecałeś — zaśmiał się Hendrick. — Mamy wszystko, czego tylko człowiek może zapragnąć.

— Za łatwo spoczywasz na laurach — skarcił go Mojżesz.

— Bierzemy się za coś jeszcze? — zaciekawiał się Hendrick.

— To, co zrobiliśmy, to dopiero początek — odparł Mojżesz.

— A więc co teraz?

— Słyszałeś o związkach zawodowych? — spytał Mojżesz. — Wiesz co to takiego?

Hendrick zmarszczył czoło i popatrzył na niego niepewnie.

— Wiem, że biali pracownicy kopalń mają swój związek zawodowy, tak samo jak biali pracownicy kolei. Słyszałem, jak ktoś o tym mówił, ale właściwie nic na ten temat nie wiem. To sprawy białych, nam nic do tego.

— Mylisz się, bracie — powiedział cicho Mojżesz. — Afrykański Związek Zawodowy Pracowników Kopalń to nasza sprawa. Po to właśnie ty i ja przyjechaliśmy do *Goldi*.

— Myślałem, że przyjechaliśmy tu robić pieniądze.

— Pięćdziesiąt tysięcy członków związku płacących tygodniowo szylinga składek... to według ciebie nie pieniądze? — spytał Mojżesz i uśmiechnął się, widząc, jak Hendrick dokonuje w pamięci obliczeń. Chciwość wykrzywiła mu twarz, aż dziura po wybitych zębach zaczęła przypominać czarny szyb kopalni.

— To rzeczywiście pieniądze!

Mojżesz wyciągnął nauki ze swych nieudanych prób założenia górniczego związku zawodowego w kopalni H'ani. Czarni robotnicy byli prostaczkami kompletnie pozbawionymi jakiejkolwiek świadomości politycznej, rozbici podziałami plemiennymi nie uważali się za członków jednego narodu.

— Podziały plemienne to jedyna poważna przeszkoda na naszej drodze — wyjaśnił Hendrickowi. — Gdybyśmy stanowili jeden naród, byłibyśmy jak czarny ocean, niezmierny w swej potędze.

— Ale nie jesteśmy — zauważył Hendrick. — W każdym razie nie bardziej niż biali. Zulus nie mniej się różni od Owambo, niż Szkot od rosyjskiego Kozaka czy Afrykaner od Anglika.

— Ha! — Uśmiechnął się Mojżesz — Widzę, że czytałeś książki, które ci dałem. Przed przyjazdem do *Goldi* nigdy w życiu nie słyszałeś o Kozakach...

— Nauczyłeś mnie wiele o ludziach i świecie, w którym żyją — przyznał Hendrick. — Teraz jednak spróbuj mi wyjaśnić, jak sprawić, żeby Zulus nazwał Oyambo swoim bratem. W jaki sposób zdobyć władzę, którą biali tak twardo trzymają w swoich rękach.

— I jedno, i drugie jest możliwe. Rosjanie różnili *się* między sobą nie mniej niż Murzyni Afryki. Są wśród nich Azjaci i Europejczycy, Tatarzy i Słowianie, ale poprowadzeni przez wielkiego wodza zespolicili się w jeden naród i obalili tyranię jeszcze bardziej ohydną niż ta, pod której rządami

cierpimy my. Czarni ludzie potrzebują przywódcy, który wie, co dla nich dobre, i potrafi narzucić im swe cele, nawet gdyby ich realizacja miała kosztować śmierć setek tysięcy i milionów.

- Przywódcy takiego jak ty, mój bracie? — spytał Hendrick. Na twarzy Mojżesza pojawił się ten jego oderwany, enigmatyczny uśmiech.

- Najpierw Związek Zawodowy Pracowników Kopaiń — odparł. — Posuwajmy się jak dziecko, które uczy się chodzić — krok po kroku. Trzeba zmusić ludzi, żeby postępowali tak, jak tego wymaga ich długofalowy interes, nawet jeśli z początku okaże się to bolesne.

— Nie jestem tego taki pewien... — Hendrick potrząsnął swą wielką, krągłą ogoloną głową, na której, jak klejnoty ze szlifowanego onyksu, dumnie lśniły czarne blizny. — O co nam właściwie chodzi, mój bracie? O bogactwo czy władzę?

— Tak się szczęśliwie składa, że tobie o bogactwo, a mnie o władzę. Droga, którą wybrałem, zapewni każdemu z nas zdobycie tego, czego pragnie.

Nawet z pomocą istniejących już w każdej kopalni oddziałów bezwzględnych Bawołów proces tworzenia związku przebiegał powoli i z wielkimi oporami. Z konieczności niemal wszystko musiało się odbywać w głębokiej tajemnicy, gdyż rządowy dekret o polubownym rozstrzygnięciu sporów nakładał poważne ograniczenia na organizowanie się Czarnej siły roboczej, a szczególnie ostro zabraniał zbiorowych negocjacji z czarnymi robotnikami. Także sami czarni górnicy stawiali opór, z wrodzoną wrogością i podejrzliwością odnosząc się do przewodniczących rad zakładowych nowego związku, którzy wszyscy byli Bawołami, wszyscy zostali mianowani, a nie wybrani. Co więcej, zwykły, przeciętny robotnik wcale nie miał ochoty oddawać części swojej ciężko zapracowanej pensji na coś, czego ani nie rozumiał, ani nie chciał, czemu zupełnie nie ufał.

Mimo to z pomocą rad doktora Marcusa Archera i nacisków Bawołów Hendricka sprawa posuwała się powoli do przodu, aż w końcu komórki związku powstały niemal we wszystkich kopalniach Randu. Niechęć górników do rozstawania się ze swymi srebrnymi szylingami została pokonana. Były oczywiście ofiary, kilka osób zginęło, ale Związek Zawodowy Afrykańskich Pracowników Kopalń miał dwadzieścia tysięcy płacących składki członków.

Izba Kopaiń, organizacja reprezentująca interesy przedsiębiorstw przemysłu wydobywczego, postawiona została przed faktem dokonanym. Jej członkowie bili z początku na alarm; wrodzony instynkt nakazywał im zdusić to zło w zarodku. Ludzie ci jednak byli przede wszystkim biznesmenami, troszczyli się głównie o to, by móc bez hałasu i zamieszania wydobywać na powierzchnię żółty metal i regularnie płacić akcjonariuszom dywidendę. Rozumieli, jakim kataklizmem dla ich interesów byłaby otwarta wojna z masami górników, toteż już wkrótce podjęli pierwsze nieformalne rozmowy z teoretycznie nie istniejącym związkiem i ku swemu wielkiemu zadowoleniu stwierdzili, że samozwańczy sekretarz generalny jest człowiekiem rzeczowym, rozsądnym i inteligentnym. Jego wypowiedzi nie nosiły najmniejszego piętna bolszewickiej retoryki, nie było w nich śladu radykalizmu czy wojowniczości. Wręcz przeciwnie, człowiek ten sprawiał wrażenie chętnego do współpracy, we wszystkich swych kontaktach z nimi okazywał należyty respekt i szacunek.

— Z tym człowiekiem da się współpracować — mówili jeden drugiemu. — Wygiąda na to, że ma szerokie wpływy. Potrzebny nam był rzecznik pracowników, a ten wydaje się dość przyzwoity. Mogło być znacznie gorzej, z tym facetem damy sobie radę.

I oczywiście ich pierwsze spotkania przyniosły znakomite wyniki, pozwoliły od razu rozwiązać wiele małych, narosłych latami dokuczliwych problemów, ku zadowoleniu związku i z zyskiem dla

właściciele kopaiń.

Od tej chwili istniejący nieformalnie, nie uznawany związek został milcząco zaakceptowany przez Izbę i jeśli pojawiały się jakieś problemy z pracownikami, Izba posyłała po Mojżesza Game, który szybko je rozwiązywał. Po każdej takiej interwencji pozycja Mojżesza rosła. I oczywiście z jego ust nigdy nie padła nawet aluzja do możliwości zorganizowania przez związek strajku czy podjęcia jakichś innych form nacisku na Izbę.

— Rozumiecie, bracia? — tłumaczył na pierwszym zebraniu Komitetu Centralnego Związku Zawodowego Afrykańskich Pracowników Kopalń, które odbywało się w szynku Mamy Ngingi. — Gdyby uderzyli w nas z całą mocą, gdy wciąż jeszcze jesteśmy słabi, starliby nas w proch. Ten Smuts to diabeł wcielony, to on jest stalowym ostrzem włóczni rządu. W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim nie zawahał się użyć wojsk i karabinów maszynowych przeciw strajkującym białym. To co zrobiłby z czarnymi? Ziemia spłynęłaby naszą krwią. Nie, musimy uspić ich czujność. Cierpliwość jest naszą wielką siłą. Mamy już sto lat, podczas gdy biali mieszkają tu zaledwie jeden dzień. Czarne mrówki *veldu* wznoszą z czasem góry i pożerają padło słonia. Czas jest naszą bronią, a wrogiem białych. Cierpliwości, bracia, a pewnego dnia biały człowiek odkryje, że nie jesteśmy wołami, które można wpręgać w jarzmo jego wozu. Przekona się, że jesteśmy czarnogrzywymi iwami, rozsmakowanymi w białym mięsie.

36

Jak szybko zleciały nam te lata od przyjazdu pociągiem

z pustyni zachodu do płaskich, błyszczących gór *Goldi* — mruknął Hendriek, wodząc wzrokiem po ciągnących się wzdłuż horyzontu łąkach. Był niedzielny poranek, ruch niewielki, Mojżesz prowadził starego forda statecznie, nie za wolno i nie za szybko, stosując się do wszystkich przepisów drogowych, zatrzymując się w sporej odległości przed zmieniającymi się światłami ulicznymi, tymi cudami wieku techniki, które dopiero niedawno zainstalowano na głównych arteriach miasta. Mojżesz zawsze tak prowadził.

— Nigdy me zwracaj na siebie niepotrzebnie uwagi, bracie — dzielił się radą z Hendrickiem. — Nigdy nie dawaj białemu policjantowi pretekstu do zatrzymania. I tak już cię nienawidzi za to, że jeździsz samochodem, na który jego me stać. Nigdy nie oddawaj się w jego władzę.

Droga biegła skrajem falistych pól Johannesburgskiego Klubu Sportowego, oaz zieleni w spłowiałym *veldzie*, zraszanych, pielęgnowanych i strzyżonych, aż zmieniły się w aksamitne zielone dywany, po których wędrowali czwórkami biali golfiarze z bosonogimi chłopcami do noszenia kijów. W oddali bieliły się między drzewami ściany klubu. Mojżesz zwolnił i na skraju pól golfowych, tam gdzie droga przecinała wyschlą rzeczkę Sand Spruit, skręcił w bok. Na drogowskazie widniał napis „Farma Riyonia”.

Ruszyli nie utwardzoną boczną drogą, kurz wzbijany kołami forda długo wisiał za nimi we wciąż jeszcze suchym powietrzu wyżynnego *veldu*, a potem osiadał powoli na kruchych źdźbłach zwarzonej przymrozkami trawy, porastającej jarmarcznie czerwone rozpadliny.

Droga prowadziła do kilku niewielkich gospodarstw o powierzchni od pięciu do dziesięciu akrów, a posiadłość doktora Archera leżała na samym jej końcu. W przeciwieństwie do wszystkich pozostałych właściciele gospodarstw doktor nawet nie próbował uprawiać ziemi, nie trzymał kur ani koni, nie miał przydomowego ogródka warzywnego. Jedyнным budynkiem na jego farmie był dom mieszkalny, prosty i niepretensjonalny, z postrzępioną strzechą i szeroką werandą otaczającą go ze wszystkich czterech stron. Od drogi szczelnie zasłaniał go zagajnik nędznych australijskich

eukaliptusów.

Pod drzewami stały zaparkowane cztery inne samochody. Mojżesz zjechał na pobocze ścieżki i wyłączył silnik.

— Tak, mój bracie, te lata przeleciały jak z bicia strzelił — powiedział. — Zawsze tak jest, kiedy się dąży do wielkich celów. A świat wokół nas się zmienia. Zanoszą się na niezwykle wydarzenia. Minęło dziewiętnaście lat od zwycięstwa rewolucji w Rosji, Trocki został wygnany. Herr Hitler zajął Nadrenię, w Europie mówi się o wojnie... Wojnie, która zlikwiduje na zawsze przekleństwo kapitalizmu i zrodzi zwycięską rewolucję.

Hendrick roześmiał się, lecz dziura po zębach sprawiła, że wyglądało to jak brzydki grymas.

— Te sprawy nic nas nie obchodzą.

— Znów się, mój bracie, mylisz. Obchodzą nas bardziej niż cokolwiek innego.

— Ja ich nie rozumiem.

— Dlatego ci pomogę. — Mojżesz dotknął jego ramienia. — Chodź, bracie, zrobimy następny krok na drodze ku zrozumieniu świata. — Otworzył drzwiczki forda, a Hendrick wysiadł ze swojej strony i ruszył za nim do starego domu.

— Byłoby mądrze, gdybyś oczy i uszy trzymał otwarte, a usta zamknięte — poradził Mojżesz, kiedy dotarli do schodów przed werandą. — W ten sposób wiele się nauczysz.

Kiedy weszli na werandę, z głębi domu wybiegł im na spotkanie Marcus Archer. Na widok Mojżesza twarz rozjaśniła mu się z radości, uściskał go czule, po czym wciąż obejmując go w pasie, odwrócił się do Hendricka.

— Ty musisz być Henny. Często o tobie rozmawialiśmy.

— Już się kiedyś spotkaliśmy, doktorze. W centrum szkolenia.

— Och, to było tak dawno temu — uściśnął mu dłoń Marcus Archer. — Musisz mi mówić po imieniu. Jesteś przecież członkiem rodziny. — Zerknął z uwielbieniem na Mojżesza. Przywodził Hendrickowi na myśl młodą żonę, oczarowaną męskością swego nowo poślubionego męża.

Hendrick wiedział, że Mojżesz mieszka z Marcusem, ich związek nie budził w nim odrazy. Rozumiał, że sukces, który odnieśli w ciągu ostatnich lat, w ogromnej mierze zawdzięczali radom i pomocy Marcusa Archera i aprobował cenę, jaką Mojżesz za to płacił. Jemu także zdarzało się wykorzystywać do tego mężczyzn, choć nigdy nie wyrażał tym uczucia, tylko zadawał torturę schwytanym wrogom. W jego oczach było to największe upokorzenie i pohańbienie, jakie można zadać drugiemu mężczyźnie, a jednak czuł, że na miejscu swego brata ani chwili nie wahałby się używać tego dziwnego, rudowłosego białego w taki sposób, w jaki sobie tego życzył.

— Mojżesz zachował się bardzo nieładnie, że nie przyprowadził cię do nas wcześniej. — Marcus żartobliwie uderzył Mojżesza w ramię. — Bywa tu u nas mnóstwo ważnych i ciekawych ludzi, których powinieneś być poznać całe wieki temu. Chodź, przedstawię cię. — Ujął Hendricka pod ramię i poprowadził go do kuchni.

Była to tradycyjna wiejska kuchnia z kamienną posadzką, czarnym piecem na drewno i belkowanym sufitem, z którego zwisały wianki cebuli, wędzone szynki i pęta suchej kiełbasy. Za długim jasnym stołem z żółtawego drewna siedziało jedenastu mężczyzn. Pięciu spośród nich było białych, ale resztę stanowili czarni, w wieku od nieopierzonego młokosa po siwowłosego starca. Marcus oprowadził Hendricka wokół stołu i kolejno przedstawił każdemu z nich, zaczynając od człowieka siedzącego u szczytu stołu.

— To jest wielebny John Dube, ale na pewno znasz go pod innym imieniem, a mianowicie

Mafukuzeli. — Hendrick spojrział na nowo poznanego z niemal nabożną czcią.

— *Hau, Baba!* — pozdrowił z najwyższym szacunkiem przystojnego starego Zulusa. Wiedział, że jest on politycznym przywódcą plemienia Zulu oraz założycielem i wydawcą gazety „Ilanga Lase Natal” — „Słońce Natalu” — a co najważniejsze, przewodniczącym Afrykańskiego Kongresu Narodowego, jedynej organizacji politycznej, która próbowała reprezentować wszystkie narody południowoafrykańskiego subkontynentu.

— Słyszałem o tobie — powiedział cicho do Hendricka Dube. — Wniosłeś niezwykle cenny wkład w utworzenie nowych związków zawodowych. Miło mi cię poznać, mój synu.

Po Johnie Dube reszta obecnych nie wywarła na Hendricku większego wrażenia, choć jeden z czarnych, mimo swego młodego wieku — nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat — zwrócił na siebie jego uwagę godnością zachowania i siłą osobowości.

— To jest nasz młody prawnik...

— Jeszcze nie, jeszcze nie! — zaprotestował przedstawiany.

— Ale już wkrótce — zbył jego protest Archer. — Nelson Mandela, syn wodza Henry'ego Mandeli z Transkei.

Kiedy wymieniali uścisk dłoni na sposób białych, co wciąż jeszcze wprawiało go w pewne zakłopotanie, spojrział studentowi prawa w oczy i pomyślał: „Oto młody lew”.

Siedzący przy stole biali nie zrobili na nim większego wrażenia. Byli wśród nich prawnicy, dziennikarz i jakiś człowiek piszący książki i wiersze, o których Hendrick nigdy nie słyszał, ale do wygłaszanych przezeń opinii przywiązywano najwyższą uwagę.

Jedyne, co było u tych białych zupełnie niezwykle, to sposób, w jaki się do niego odnosili. W społeczeństwie, gdzie biały w ogóle rzadko dostrzegał obecność czarnego, a jeśli już, to tylko po to, żeby rzucić mu polecenie czy rozkaz, zwykle szorstkim, ostrym tonem, taka grzeczność i uprzejmość była wprost nie do uwierzenia. Bez najmniejszych oporów ściskali jego dłoń, co już samo w sobie było bardzo dziwne, zrobili mu miejsce przy stole, nalewali wina z tej samej butelki co sobie, z tego samego co sobie półmiska nakładali mu potrawy. A kiedy się do niego odzywali, to jak do równego, nazywając go zawsze towarzyszem lub bratem.

Marcus Archer był chyba znakomitym kucharzem. Bezustannie krzątał się przy kuchni i serwował potrawy tak różnorodne, wyszukane, tak ozdobnie przybrane itak suto polane sosami, że ani oglądając je, ani jedząc, Hendrick nie był w stanie stwierdzić, czy to ryba, ptactwo czy może dziczyzna, ale wszyscy zebrani wydawali okrzyki zachwytu, nie ustawiali w pochwałach i błyskawicznie pochłaniali wszystko, co podano.

Mojżesz radził Hendrickowi raczej jeść, niż mówić, odzywać się tylko wtedy, gdy bezpośrednio się do niego zwracano, a i wówczas najlepiej monosylabami, ale Hendrick przykuwał uwagę biesiadników, gdyż ze swą gładko wygoloną głową, wielką i krągłą jak armatnia kula, z szerokimi, lśniącymi szramami nad czołem, z posepnym i groźnym spojrzeniem robił w ich gronie niezwykle wrażenie.

Zagorzała dyskusja o sytuacji w Hiszpanii zupełnie go nie obchodziła, udawał jednak skupione zainteresowanie. Rządowi Frontu Ludowego, koalicji trockistów, socjalistów, lewego skrzydła republikanów i komunistów, zagroził bunt wojska dowodzonego przez generała Francisca Franco. Towarzystwo zebrane przy stole Marcusa Archera dawało wyraz radosnemu oburzeniu z powodu tej zdrady faszystów. Uznano za prawdopodobne, że Hiszpania pogrąży się w wojnie domowej, a wszyscy wiedzieli, że tylko w kuźniach wojen determinacja nabiera twardości stali. Dwóch białych,

dziennikarz i poeta, ogłosili swój zamiar jak najszybszego wyjazdu do Hiszpanii, by wziąć udział w walce, a pozostali biali nie kryli swego zazdrosnego podziwu.

— Och, szczęściarze! Ja też już bym wyjechał, ale Partia chce mnie mieć tutaj.

W ciągu tego długiego niedzielnego popołudnia wielokrotnie napomykano o „Partii” i stopniowo całe towarzystwo skupiło swą uwagę na Hendricku, zupełnie jakby to z góry ukartowano. Hendrick dziękował w duchu, że Mojżesz zmusił go do przeczytania fragmentów „Kapitału” i niektórych prac Lenina, zwłaszcza „Co robić?” i „O dwuwładzy”. To prawda, że przeczytał je z najwyższym trudem i wielu rzeczy nie zrozumiał, ale Mojżesz wycisnął mu z nich całą kwintesencję i zapoznał z podstawowymi treściami nauk Marksa i Lenina.

Teraz wszyscy po kolei zwracali się bezpośrednio do niego i już wkrótce zorientował się, że jest poddawany jakiemuś testowi. Zerknął na brata, i choć z wyrazu jego twarzy nie mógł nic wyczytać, wyczuł podświadomie, że narzuca mu w duchu jakiś kierunek działania. Czy nakazywał mu zachowanie milczenia? Nie był tego pewien, lecz w tej właśnie chwili Marcus Archer powiedział dobitnie:

— Oczywiście już samo utworzenie związku zawodowego czarnych pracowników kopaiń wystarczy, by zapewnić zwycięstwo nadchodzącej rewolucji... — Stwierdzenie to zabrzmiało jak pytanie, a Archer zerknął z ukosa na Hendricka, jakby oczekiwał od niego odpowiedzi. Hendrick poczuł nagle natchnienie, choć sam nie bardzo wiedział, skąd się ono wzięło.

— Nie zgadzam się — burknął. Zapadła pełna oczekiwania cisza. — Historia walki dobitnie świadczy o tym, że nie wspomagana klasa robotnicza jest zdolna zrodzić co najwyżej ideę unionizmu, połączyć siły w celu przeciwstawienia się pracodawcom i kapitalistycznemu rządowi. Doprowadzenie walki do ostatecznego zwycięstwa wymaga współdziałania fachowych rewolucjonistów, absolutnie oddanych swoim ideałom i podporządkowanych wojskowej dyscyplinie.

Był to niemal dosłowny cytat z „Co robić?” Lenina, a Hendrick mówił po angielsku. Mojżesz zerknął na niego najwyraźniej zdumiony tym wyczynem, a pozostali wymienili zachwycone spojrzenia. Hendrick potoczył wkoło groźnym wzrokiem i zapadł z powrotem we frapujące, monumentalne milczenie.

To wystarczyło, nie musiał już nic więcej mówić. Nim zapadł wieczór i zebrani rozeszli się w ciemność z okrzykami podziękowań i pożegnań, mm z mroku nocy dobiegł odgłos zatrząskiwanych drzwiczek, warkot uruchamianych silników i zgrzyt żwiru pod kołami odjeżdżających samochodów, Mojżesz osiągnął to, o co mu chodziło, gdy zabierał brata na lunch na Farmie Riyonia.

Hendrick został przyjęty, bez stażu kandydackiego, na członka zarówno Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej, jak i Afrykańskiego Kongresu Narodowego.

Marcus Archer umieścił Hendricka w gościnnej sypialni. Gdy tak leżał na wąskim składanym łóżku słuchając odgłosów kopulacji Mojżesza z Marcusem w głównej sypialni po przeciwnej stronie korytarza, ogarnęło go nagle nieodparte przeczucie, że to popołudnie zadecyduje o całym jego dalszym życiu, że te kilka ostatnich godzin nieodwracalnie wytyczyło koleje jego losu, a nawet moment i rodzaj śmierci. Porwany falą uniesienia i lęku odpłynął w ciemność i zasnął.

Mojżesz obudził go jeszcze przed świtem. Marcus odprowadził ich do forda. *Veld* bielił się od szronu, który skrzypiał pod nogami i osiadł cienką warstwą na szybach samochodu.

— Naprzód, towarzyszu — powiedział Marcus, podając rękę Hendrickowi. — Przyszłość należy do nas.

Zostawili go w mroźnej ciemności patrzącego w ślad za odjeżdżającym samochodem. Mojżesz me pojechał prosto do miasta. Zaparkował samochód u podnóża jednej z wysokich kopalnianych hałd i obaj z Hendrickiem wspięli się po jej zerodowanym, niemal pionowym zboczu ponad sto pięćdziesiąt metrów w górę. Stanęli na płaskim szczycie dokładnie w chwili, gdy słońce wyłoniło się iza horyzontu i powlekło zimowy *veld* bladą pozlota.

— Teraz rozumiesz? — spytał Mojżesz, kiedy stanęli ramię w ramię na krawędzi urwistego stoku. I nagle Hendrick ujrzał cały gigantyczny zamysł brata tak wyraziście, jak oglądany właśnie wschód słońca.

— Nie wystarczy ci część powiedział cicho — nawet wielka część tego wszystkiego. — Rozpostarł ramiona, obejmując od horyzontu po horyzont cały rozciągający się u ich stóp świat. — Chcesz mieć wszystko. Całą ziemię i wszystko, co zawiera. — W jego głosie słychać było zdumienie i podziw dla ogromu tej wizji.

Mojżesz uśmiechnął się. Jego brat wreszcie zrozumiał.

Spęzli po stromym zboczu hałdy i w milczeniu podeszli do forda. W milczeniu jechali do Farmy Drake'a, bo nie ma słów, którymi dałoby się opisać narodziny lub śmierć. Dopiero kiedy opuścili miasto i musieli się zatrzymać przed jednym z przejazdów, gdzie tory kolei obsługującej kopalnie przecinały drogę, znów zstąpili na padół doczesnego świata.

Do bocznego okienka forda podbiegł mały czarny obdarciuch i drząc w mroźnym powietrzu zimowego poranka zamachał przez szybę do Mojżesza złożoną gazetą. Mojżesz otworzył okienko, rzucił dzieciakowi miedziaka i położył gazetę na siedzeniu między sobą a bratem.

Hendrick zmarszczył czoło z zaciekawieniem, rozwinął pierwszą stronę i podniósł ją tak, by obaj mogli przeczytać najnowsze wiadomości. Nagłówek biegł przez całą jej szerokość:

WYBRANO REPREZENTACJĘ AFRYKI POŁUDNIOWEJ
NA IGRZYSKA OLIMPIJSKIE W BERLINIE
NARÓD ŻYCZY IM POWODZENIA

— Ja znam tego białego chłopca! — zawołał Hendrick, szczerząc w uśmiechu dziurę po zębach na widok dołączonej do tekstu fotografii. Mojżesz zerknął na długi rząd portretowych zdjęć.

— Ja też — powiedział.

Ale obaj patrzyli na twarze dwóch zupełnie różnych młodych białych ludzi.

37

Manfred wiedział oczywiście, że wuj Tromp pracuje w naj dziwniejszych godzinach. Kiedy nad ranem ucisk pęcherza wrywał go ze snu, wywlekał się nieprzytomny z warsztatu i chwiejnym krokiem brnął do żywopłotu koło przybudówki. Podnosił wtedy zaspane oczy i za każdym razem w oknach gabinetu wuja Trompa widział palące się światło.

Któregoś razu, bardziej przytomny niż zwykle, zszedł ze ścieżki i przez grządkę kapusty ciotki Trudi podkradł się do okna. Wuj Tromp siedział za swym biurkiem jak kudłaty niedźwiedź, z brodą zmierzwioną od nieustannego szarpania i przeczesywania grubymi palcami, w okularach w drucianej oprawce zsuniętych na czubek wielkiego nosa, i mamrocząc z wściekłością do siebie pisał coś na luźnych kartkach papieru, które zawałały blat całego biurka w takim nieładzie, jakby właśnie przetoczył się tędy huragan. Manfred przypuszczał, że wuj pracuje nad kolejnym kazaniem, i jakoś nie dostrzegł w tym nic dziwnego, że praca ta trwała noc po nocy niemal całe dwa lata.

Potem zakurzoną drogą przypedałował na rowerze kolorowy listonosz i przywiózł ogromną przesyłkę opakowaną w szary papier, oklejoną znaczkami, nalepkami i pieczęciami z czerwonego

wosku. Ciotka Trudi położyła tajemniczą przesyłkę na małym stoliku w holu, a wszystkie dzieci wymyślały najróżniejsze wymówki „, żeby zakraść się do holu i popatrzeć na mą z mieszaniną podziwu i lęku. Kiedy o piątej po południu wuj Tromp zajechał swoją dwukółką przed ganek, dziewczęta na czele z Sarah wybiegły mu z piskiem na spotkanie, nim zdążył zeskoczyć z kozła.

— Przyszła do ciebie paczka, tato!

Stłoczyli się za jego plecami, a wuj z teatralną dramaturgią obejrzał

dokładnie przesyłkę i odczytał na głos adres odbiorcy. Potem wyjął z kieszonki kamizelki mały scyzoryk o rękojeści z masy perłowej, niespiesznie sprawdził kciukiem, czy jest należycie naostrzony, ostrożnie przeciął sznurki i odwinął papier.

— Książki! — jęknęła Sarah.

Głęboko rozczarowane dziewczęta straciły całe zainteresowania paczką i jedna po drugiej wymknęły się z holu. Tylko Manfred zwlekał z odejściem.

Paczka zawierała sześć identycznych egzemplarzy tej samej grubej książki w czerwonej oprawie, z tłoczonym pseudozłotym tytułem, nowiutkich, prosto spod sztancy. Coś w zachowaniu wuja, w niecodziennym napięciu, z jakim czekał na reakcję Manfreda zdradzało, że ta sterta książek jest ważniejsza, niż mogłoby się zdawać.

Manfred przebiegł wzrokiem tytuł na pierwszym egzemplarzu. Wydał mu się długi i dość niezręczny: „Afrykanerzy: Ich miejsce w historii i Afryce”.

Napisane to było w afrikaans, raczkującym języku próbującym dopiero dobić się uznania. Pomyślał, że to dość niezwykle: wszystkie ważniejsze prace naukowe, nawet jeśli ich autorami byli Afrykanerzy, pisano po holendersku. Miał właśnie o tym powiedzieć, gdy jego wzrok padł na wydrukowane pod spodem nazwisko autora. Drgnął i z ust wyrwało mu się sapnięcie zdumienia.

— Wuj Tromp!

Stary człowiek zachichotał ze skromnym zadowoleniem.

— To wuj to napisał! — Twarz Manfreda rozjaśniła durna. — Napisał wuj książkę!

— *Ja, Jong*, nawet stary pies może nauczyć się kilku nowych sztuczek.

Tromp Bierman zebrał książki w ramiona i energicznym krokiem wszedł do swego gabinetu. Tam położył je na biurku i ze zdumieniem obejrzał się przez ramię, słysząc za sobą kroki chłopca.

— Przepraszam, wujku. — Manfred dopiero teraz uświadomił sobie, jakie wykroczenie popełnił. W tym pokoju był tylko raz w życiu, a i wtedy na specjalne zaproszenie. — Nie zapytałem, czy mogę. Czy mogę wejść, *Oom*?

— Za późno już chyba o to pytać — odburknął Tromp Bierman, próbując nadać swej twarzy surowy wyraz. — Ale skoro już wszedłeś, to niech będzie... Możesz zostać.

Manfred podsunął się bokiem do biurka z rękami złożonymi na plecach. W tym domu nauczył się ogromnego szacunku dla słowa pisanego. Wpojono mu, że książki są najcenniejszym skarbem człowieka, skarbnicami jego danego od Boga geniuszu.

— Czy mogę ich dotknąć? — spytał, a kiedy wuj Tromp skinął głową, skwapliwie sięgnął przed siebie i powiódł palcem po wytłoczonym literach nazwiska: — Wielebny Tromp Bierman...

Potem wziął do ręki pierwszy z góry egzemplarz, spodziewając się, że lada chwila usłyszy za plecami gniewny ryk wuja. Kiedy nic takiego nie nastąpiło, otworzył książkę i powiódł wzrokiem po kartce taniego, porowatego żółtego papieru pokrytego drobnym, gęstym drukiem.

— Czy mogę ją przeczytać, *Oom*? — spytał błagalnie i tym razem spodziewając się odmowy. Ale twarz wuja Trompa przybrała wyraz łagodnego rozbawienia.

— Chcesz to przeczytać? Zamrugał oczami ze zdumienia i zachichotał. — No cóż, chyba po to właśnie ją napisałem... żeby ludzie czytali.

Nagle uśmiechnął się psotnie jak mały urwis i wyrwał Manfredowi książkę z ręki. Usiadł za biurkiem, nałożył okulary, umoczył pióro i na pierwszej, czystej stronie książki coś napisał. Przeczytał jeszcze raz to co napisał i zamaszystym ruchem podał książkę chłopcu.

Manfredowi De La Reyowi,

*Młodemu Afrykanerowi, który pomoże na zawsze zapewnić naszemu narodowi
należne mu miejsce w Historii i Afryce*

Zawsze oddany wuj

Tromp Bierman

Tułac książkę do piersi Manfred cofnął się ku drzwiom, jakby bał się, że znów ktoś mu ją wyrwie z rąk.

— Jest moja...? — szepnął. — Naprawdę moja?

A kiedy wuj Tromp potwierdził skinieniem, chłopak odwrócił się i wybiegł z pokoju, zapominając w całym tym pośpiechu podziękować.

Czytał książkę przez trzy kolejne noce, siedząc do rana okutany w koc, wyęzając wzrok w migotliwym świetle świecy. Miała pięćset gęsto zadrukowanych stron, usiana była cytatami z *Pisma Świętego*, ale napisano ją dosadnym, prostym językiem, nie przeładowanym przymiotnikami ani zbędnymi opisami, i każde jej słowo trafiało Manfredowi prosto do serca. Ukończył lekturę rozpierany durną i podziwem dla męstwa, hartu ducha i pobożności swych rodaków i płonął gniewem z powodu okrutnych prześladowań, jakich doznali ze strony swych wrogów. Siedział z zamkniętą książką na kolanach, wpatrzony w pełgające po ścianach cienie i przeżywał w najdrobniejszych szczegółach tułaczkę i cierpienia swego młodego narodu. Cierpł ze strachu na palisadach fortów, gdy z oddali, niczym pędzone huraganem morskie fale, napływały hordy czarnych pogan, z trzepotem wojennych pióropuszy, z dudnieniem srebrzystych włóczy o tarcze ze skór dzikich zwierząt; porywał go czar wędrowek przez ocean traw bezgranicznych wyżyn do nie tkniętych stopą ludzką pięknych pustkowi, by objąć je w wyłączne władanie; doznawał katuszy goryczy, gdy butni cudzoziemcy po raz wtóry wydzielali im wolny kraj, a w końcu nieopisanego oburzenia na zniewolnienie, polityczne i ekonomiczne, które narzucano im na ich własnej ziemi, ziemi, którą zdobyli ich ojcowie i na której oni sami przyszli na świat.

Zupełnie jakby gniew i oburzenie chłopca zagrzały gromkim przyzywającym głosem, na ścieżce rozległ się zgrzyt żwiru pod stopami wuja Trompa i on sam stanął w drzwiach warsztaciku. Przystanął w progu, żeby przyzwyczać wzrok do światła świecy, po czym podszedł do skulonego na łóżku Manfreda. Materac zaskrzypiał i zapadł się pod ciężarem potężnego ciała pastora.

Siedzieli w milczeniu pełne pięć minut, nim w końcu wuj Tromp odchrząknął i spytał:

— A więc udało ci się ją przeczytać?

Manfred z trudem otrząsnął się, by powrócić do rzeczywistości.

— Według mnie to najważniejsza książka, jaką kiedykolwiek napisano — szepnął. — Tak ważna jak *Biblia*.

— To bluźnierstwo, *Jong*. — Tromp Bierman przybrał srogą minę, ale zadowolenie złagodziło linię zaciśniętych ust i Manfred nie czuł się zmuszony przeproszać. Zamiast tego dodał z zapalem:

— Po raz pierwszy w życiu wiem, kim jestem... i dlaczego tu jestem.

— W takim razie mój wysiłek nie poszedł na marne — mruknął Tromp Bierman i znów przez dłuższą chwilę milczeli. W końcu stary pastor westchnął ciężko. — Pisanie książki to bardzo samotne zajęcie. Jakbyś wypłakiwał serce do poduszki i nigdzie w ciemności nocy nie było nikogo, kto by cię usłyszał, kto by przybiegł na twój płacz.

— Ja wujka usłyszałem.

— *Ja, Jong*, ty tak, ale tylko ty.

A jednak Tromp Bierman się mylił. Byli tacy, co usłyszeli jego płacz w ciemności.

Przybycie do wioski obcego było wydarzeniem; przybycie trzech obcych było wydarzeniem bez precedensu, czymś tak niebywałym, że rozpętało burzę plotek i spekulacji, wprawiając całą ludność

w stan rozgorączkowania i podniecenia.

Obcy przyjechali z południa kursującym raz w tygodniu pociągiem pocztowym. Milczący, o kamiennych twarzach, ubrani w surowe ciemne garnitury z najlepszego sukna, z torbami podróżnymi w dłoniach przecięli drogę oddzielającą bocznice kolejową od maleńkiego, krytego blachą pensjonatu wdowy Vorster i nie widziano ich więcej aż do niedzieli rano, kiedy to ramię w ramię, sztywno wyprostowani, z koloratkami pastorów Holenderskiego Kościoła Reformowanego pod szyją, ruszyli wyboistym chodnikiem do kościółka, dzierżąc pod prawymi pachami czarne, oprawne w skórę modlitewniki, jakby to były szable, które w każdej chwili można dobyć z pochew i obrócić przeciwko Szatanowi i wszystkiemu co jego jest.

Równym krokiem przemierzali przejście między ławkami i zajęli miejsca w pierwszej z nich, tuż pod kazalnicą, jakby mieli do tego absolutne prawo, a rodziny, które od pokoleń siadały w tych ławkach, bez słowa protestu, cichutko przeniosły się do tylnych rzędów.

Plotka o pojawieniu się obcych — do których zdążyło już przylgnąć miano „trzech mędrców” — dotarła do najdalszych zakątków okręgu, toteż ciekawość zwabiła tego dnia nawet tych, którzy nie byli w kościele od lat. Wszystkie ławki zapełniły się wiernymi, wiele osób stało pod ścianami i w przejściach. Zjawilo się ich więcej niż podczas ostatniego *Dingaana*, Dnia Przymierza z Bogiem, święta dziękczynienia za zwycięstwo nad hordami Zulusów i jednego z najuroczyściej obchodzonych świąt Kościoła Reformowanego.

Śpiew robił głębokie wrażenie. Stojący obok Sarah Manfred był tak poruszony krystalicznym pięknem jej słodkiego kontraltu, że w natchnieniu zawtórował nieszkolonym lecz dźwięcznym tenorem.

W nasuniętym głęboko na oczy tradycyjnym czepku *trekkerów*, z pięknymi złocistymi włosami i twarzą rozjaśnioną religijnym uniesieniem Sarah wyglądała jak anioł. W wieku lat czternastu zaczynała delikatnie i niepewnie jeszcze przeistaczać się w kobietę, toteż Manfredowi przedziwnie zapierało oddech „, gdy zerkał na nią znad wspólnego psalterza, a ona z uśmiechem podnosiła na niego wzrok, w którym malowało się bezgraniczne zaufanie i uwielbienie.

Psalm dobiegł końca, zgromadzeni zajęli miejsca w ławkach, szuranie nóg i pokastywanie stopniowo umilkło i zapadła pełna napięcia i oczekiwania cisza. Wuj Tromp słynał ze swych kazań w całej Afryce Południowo-Zachodniej. Uważano je za rozrywkę niewiele gorszą niż fUmy, najnowszy wynalazek demonstrowany w kinoteatrze w Windoek, którego progi zresztą tylko nieliczni ośmielili się przestąpić. A tego dnia wuj Tromp był w znakomitej formie. Obecność tych trzech śmiertelnie poważnych, nieprzeniknionych gości, którzy nie mieli choćby tyle zwykłej przyzwoitości, by złożyć po przyjeździe grzecznościową wizytę na plebanii, stanowiła dla niego nie lada wyzwanie. Oparł zaciśnięte w pięści dłonie na balustradce ambony, przygarbił się nad nimi jak bokser kryjący się za gardą, po czym omiółt swoich wiernych spojrzeniem pełnym tak palącej pogardy, że skulili się pod nim z drżącym zachwytem, wiedząc doskonale, co ta mina zapowiada.

— Grzesznicy! — rozpoczął wuj Tromp rykiem, który odbił się dudniącym echem od belek dachu i wypełnił cały kościół. Trzej odziani na czarno podskoczyli w swej ławce, jakby nad ich głową huknęło działo. — Dom Boży zapełnił się grzesznikami bez skruchy...

I wuj Tromp dał się porwać swemu krasomówstwu. Chłostał potwornymi oskarżeniami, rzucanymi tym szczególnym tonem, który Manfred nazywał w duchu „biczem”, potem koił na chwilę podniosłymi obietnicami zbawienia, by znów, niczym ognistymi strzałami „, zasypać ich groźbami piekielnych mąk, siarki i potępienia, aż wiele kobiet zaczęło otwarcie płakać, a tu i tam rozległy się

ochryple, mimowolne okrzyki „Amen!” „Chwała panu na wysokościach!” i „Alleluja!”, i w końcu wszyscy padli z drzeniem na kolana błagając, by pomodlił się za ich dusze.

Po nabożeństwie wierni wysypali się z kościoła z czymś w rodzaju nerwowej ulgi, gadatliwi i rozradowani, jakby właśnie uszu w życiu z jakiegoś kataklizmu w rodzaju trzęsienia ziemi czy strasznego sztormu na morzu. Trzej przybysze opuszczali kościół jako ostatni. Przy drzwiach, gdzie wuj Tromp czekał, by się z nimi przywitać, uścisnęli mu dłoń i jeden po drugim spokojnie i poważnie zamienili z nim kilka słów.

Wuj Tromp wysłuchał ich z namaszczeniem, naradził się krótko na boku z ciotką Trudi, po czym powrócił do swych rozmówców.

— Będę zaszczycony mogąc gościć was w moim domu i przy moim stole.

Czterech mężczyzn ruszyło dystygowanym krokiem na plebanię, a ciotka Trudi z dziećmi w stosownej odległości za nimi. Po drodze wydała córkom półgłosem zwięzłe instrukcje i w tej samej chwili, w której ściany domu schroniły ich przed wścibskim wzrokiem gapiów, dziewczęta popędziły rozsunać stopy w salonie, używanym tylko w zupełnie wyjątkowych okolicznościach, i przenieść zastawę z kuchni na masywny stół odziedziczony przez ciotkę Trudi po matce.

Trzej obcy nie dopuścili, by głęboka dyskusja i popisy erudycji zakłóciły im przyjemność kosztowania dzieł sztuki kulinarnej ciotki Trudi, a i siedzące w końcu stołu dzieci zachowały pełne szacunku milczenie, choć bezustannie strzelały oczami w stronę przybyszów. Później mężczyźni przeszli na werandę na poobiednią kawę i fajeczkę, a ich dobiegające stamtąd głosy brzmiały w sennym upale jak brzęczenie pszczół. A potem znów nastąpiła pora wielbienia Pana.

Na temat swego drugiego kazania wuj Tromp wybrał ustęp: „Pan prostą czyni ścieżkę przez bezdroża”. Wygłaszając je, wzbił się na szczyty swego krasomównictwa, tym razem jednak posłużył się także cytatami z własnej książki, dowodzącymi jego wiernym, że to oni właśnie są narodem wybranym, któremu Pan wyznaczył własne miejsce na ziemi. Tylko od nich zależało, czy upomną się o to miejsce na ziemi będącej ich dziedzictwem. W czasie kiedy wuj Tromp ciągnął swój wywód, surowi nieznajomi kilkakrotnie wymienili znaczące spojrzenia.

Wyjechali w poniedziałek rano powrotnym pociągiem pocztowym na południe, lecz przez następne dni i tygodnie plebania żyła w nastroju oczekiwania. Wuj Tromp, łamiąc swe nawyki, wypatrywał codziennie rano przy frontowej furtce listonosza, po czym przerzucał pospiesznie dostarczoną pocztę, każdego dnia z coraz wyraźniejszym zawodem.

Po trzech tygodniach zaprzestał wyglądania listonosza. Toteż kiedy list w końcu nadszedł, trenował z Manfredem w wasztaciku unik Fitzsimmonsa i szlifował potężny lewy prosty chłopca.

Kiedy weszli do domu, żeby umyć się do kolacji, list leżał na stoliku w holu. Na widok pieczęci zwierzchnika kościoła na kopercie wuj zbladł, porwał list ze stolika i niemal biegiem wpadł do swego gabinetu, zatrzasnąwszy Manfredowi drzwi przed nosem. Zazgrzytał klucz w zamku. Ciotka Trudi musiała czekać z kolacją prawie dwadzieścia minut, nim wuj opuścił gabinet, a modlitwa, którą odmówił przed kolacją, pełna słów dziękczynienia i wysławiająca Pana, trwała dwa razy dłużej niż zwykle. Sarah zaczęła wywracać oczy i robić komicznego zęza do siedzącego po przeciwnej stronie stołu Manfreda, ale chłopiec ostrzegawczo zmarszczył brwi. Wreszcie rozległo się tubalne „Amen”, lecz wuj Tromp nie wziął do ręki łyżki, tylko rozpromienił się w uśmiechu do siedzącej u drugiego końca stołu ciotki Trudi.

— Droga żono — powiedział. — Znosiłaś to tyle lat, cierpliwie i bez skrag.

Ciotka Trudi oblała się rumieńcem.

— Nie przy dzieciach, *Meneer* — szepnęła, ale wuj Tromp uśmiechnął się tylko jeszcze szerzej.

— Dali mi Stellenbosch — oznajmił. Zapadła cisza jak makiem zasiał. W utkwionych w niego oczach malowało się głębokie niedowierzanie. Wszyscy rozumieli, co znaczą jego słowa.

— Stellenbosch — powtórzył wuj, wymawiając to słowo sylaba po sylabie, obracając je w ustach, smakując językiem, jakby to był pierwszy łyk rzadkiego i znakomitego wina.

Stellenbosch to małe miasteczko położone dziesięć kilometrów od Cape Town. Domy o holenderskich wysokich szczytach, kryte strzechą i pobielone, skrzą się w słońcu jak śnieg. Szerokie ulice ocienione wyniosłymi dębami, które gubernator Van Stel nakazał zasadzić swoim osadnikom jeszcze w siedemnastym wieku. Wokół miasta cudowna mozaika winnic dostarczających Win najlepszych marek. a dalej podniebna ściana ciemnych górskich urwisk.

To małe miasteczko, śliczne i malowniczo położone, było jednak także główną twierdzą afrykanerstwa, czczonego jak świętość, oprawionego w relikwiarz uniwersytetu, którego wydziały zbierały się pod rozłożystymi koronami zielonych dębów, za ochronną barykadą gór. Było to centrum intelektualne Afrykanerów. Tutaj ukuto ich mowę i nadal ją cyzelowano. Tutaj prowadzono dyskusje i debaty teologiczne. Sam Tromp Bierman także studiował pod konarami marzycielskich dębów Stellenbosch. Nauki pobierali tam wszyscy wielcy ludzie: Louis Botha, Hertzog, Jan Cheristian Smuts. Na czele rządu Związku Afryki Południowej nigdy nie stał człowiek, który by nie był absolwentem Stellenbosch. Tylko bardzo niewielu takich ludzi zostawało ministrami. To był Oksford i Cambridge południa Afryki i oto tę właśnie parafię otrzymał Tromp Bierman. Trudno było o większy zaszczyt, teraz wszystkie drzwi staną przed nim otworem. Znajdzie się w samym centrum; będzie dzierżył władzę dającą obietnicę jeszcze większej władzy; stanie się jednym z nowatorów, sprawców działań, inicjatorów. Nagle w zasięgu jego ręki znalazło się niemal wszystko: Rada Synodu, a nawet jej przewodnictwo. Nic z tych rzeczy nie było już nie do pomyślenia. Możliwe było absolutnie wszystko.

— To ta książka — szepnęła ciotka Trudi. — Nigdy bym me pomyślała... Nigdy nie rozumiałam...

— Tak, to ta książka — zachichotał wuj Tromp. — I trzydzieści lat ciężkiej pracy. Będziemy mieli wielki dom przy Eikeboom Straat i tysiąc rocznie. Każde dziecko dostanie własny pokój, a kościół opłaci im miejsca na uniwersytecie. Będę wygłaszał kazania przed rządzącymi tym krajem i najbystrzejszymi młodymi umysłami. Wejdę w skład Rady Uniwersytetu. A ty, moja droga małżonko, będziesz podejmowała obiady profesorów i ministrów; ich żony zostaną twoimi przyjaciółkami...

— Urwał ogarnięty poczuciem winy. — A teraz się pomodlimy. Poprosimy Boga o pokorę, o oddalenie od nas śmiertelnych grzechów pychy i chciwości. Na kolana! — ryknął. — Wszyscy na kolana!

A kiedy w końcu pozwolił im wstać, okazało się, że zupa już zupełnie wystygła.

Wyjechali dwa miesiące później, kiedy wuj Tromp przekazał obowiązki młodemu pastorowi prosto po wydziale teologii na uniwersytecie w Stellenbosch, dokąd teraz stary człowiek zabierał swą rodzinę.

Na stacji zjawili się chyba wszyscy mieszkańcy okręgu w promieniu stu kilometrów, od sędziwych starców po kilkumiesięczne niemowlęta. Aż do tej pory Manfred nie zdawał sobie sprawy, jakim uwielbieniem i szacunkiem cieszył się wuj Tromp. Mężczyźni w najlepszych odświętnych ubraniach po kolei ściskali „mu dłoń, mamrotali pod nosem podziękowania i żegnali tradycyjnym „niech Bóg prowadzi”. Część kobiet płakała, a wszystkie przyniosły prezenty: kosze

dżemów i przetworów, gomółek sera, ciast i woreczków biltongu[Cienkie paski suszonego mięsa.] z kudu. Było tego dość, by wyżywić całą armię.

Cztery dni później rodzina przesiadła się na dworcu centralnym w Cape Town. Między przyjazdem a odjazdem następnego pociągu mieli tylko tyle czasu, żeby wyjść na ulicę Adderley i rzucić z podziwem okiem na wznoszącą się za miastem słynną Górę Stołową i już musieli szybko wracać do wagonu. Tym razem czekała ich znacznie krótsza podróż przez równiny i porośnięte winnicami wzgórza Cape.

Na peronie stacji w Stellenbosch powitali ich przedstawiciele kościoła w towarzystwie niemal połowy parafian i już wkrótce rodzina Trompa Biermana odkryła, że tempo ich życia uległo radykalnej zmianie.

Niemal od pierwszego dnia Manfreda całkowicie pochłonęły przygotowania do egzaminu wstępnego na uniwersytet. Kuł codziennie od wczesnego ranka do późnej nocy całe dwa miesiące, potem przeżył trudny tydzień egzaminów i jeszcze trudniejszy tydzień oczekiwania na ogłoszenie wyników. Miał najlepszy wynik z niemieckiego, trzeci z matematyki i ogółem uplasował się na ósmym miejscu. Nawyk nauki, który wyrobiły w nim lata spędzone w domu Biermanów, przyniósł teraz rezultaty. Został przyjęty na wydział prawa na semestr rozpoczynający się w końcu stycznia.

Ciotka Trudi była stanowczo przeciwna jego przeprowadzce z domu do jednej z burs. Argumentowała, że przecież miał teraz własny pokój, dziewczęta będą usychać z tęsknoty — przez co w zawołowany sposób dawała do zrozumienia, że i ona znajdzie się wśród cierpiących — a poza tym, nawet przy książęcej gaży wuja Trompa opłaty za internat stanowiłyby dla rodzinnej kasy poważne obciążenie.

Wuj Tromp złożył wizytę w kweturze uniwersytetu, gdzie zawarł pewne porozumienia natury finansowej, z których nigdy nie zdał sprawozdania w rodzinnym gronie, po czym twardo stanął po stronie Manfreda.

— Nieustanne przebywanie w domu pełnym kobiet doprowadzi chłopca z czasem do szału. Musi zamieszkać tam, gdzie będzie mógł czerpać korzyści z towarzystwa innych młodych ludzi i jak najpełniej uczestniczyć w życiu uczelni.

Tak więc dwudziestego piątego stycznia Manfred z entuzjazmem zgłosił się w imponującej, zbudowanej w holendersko-przyłądkowym stylu rezydencji dla studiujących młodzieńców, Rust en Vrede. Należałoby to przetłumaczyć jako „Odpoczynek i spokój”, lecz już w ciągu kilku pierwszych minut od swego przybycia Manfred na własnej skórze odczuł, ile ironii było w takim doborze nazwy, gdyż już od progu został poddany pierwszym torturom barbarzyńskiego rytuału otrzęsin.

Pozbawiono go imienia i nazwiska, nadając mu w zamian przydome *Poep*, taki sam jak pozostałym dziewiętnastu studentom pierwszego roku, którzy zamieszkali w bursie. W swobodnym tłumaczeniu znaczy to mniej więcej „bǳioch”. Zabroniono mu używania zaimka „ja”, zamiast którego miał zawsze mówić „ten bǳioch”, musiał prosić o pozwolenie na wykonanie każdej, najprostszej czynności, i to nie tylko starszych studentów, ale także wszystkie napotykanne martwe przedmioty. W ten sposób od świtu do nocy bezustannie powtarzał idiotyzmy w rodzaju: „Czcigodne drzwi, ten bǳioch pragnie przez was przejść” czy „czcigodny sedesie, ten bǳioch pragnie na tobie usiąść”.

Na terenie bursy beanom nie wolno było poruszać się w normalny sposób, zawsze, nawet po schodach, musieli chodzić tyłem. Nie wolno im było komunikować się z przyjaciółmi i rodziną, a szczególnie surowym zakazem obłożono rozmowy z przedstawicielkami płci przeciwnej. Jeśli

przyłapano kogoś choćby na jednym zerknięciu w stronę ładnej dziewczyny, natychmiast wieszano mu na szyi tabliczkę z ostrzeżeniem „Uwaga, maniak seksualny!”. Tabliczki tej nie wolno było zdejmować nawet podczas kąpieli. Od szóstej wieczorem do szóstej rano o każdej pełnej godzinie studenci starszych lat dokonywali najazdów na ich pokoje. Zdierali pościel z łóżek, polewali ją wodą, zrzucali z półek książki i rzeczy osobiste, wytrząsali na podłogę szuflady. Robili to dotąd, aż trzęsący się z zimna beani przenieśli się ze spaniem na nagie kafelki korytarza przed swymi sypialniami, dając sobie spokój ze sprzątaniami nieopisanego bałaganu. A wtedy jeden ze studentów czwartego roku, wyniosły prymus Roelf Stander przeprowadził z ramienia rady bursy oficjalną inspekcję pokoi.

— Boksowałeś już kiedyś, bzdziochu? — spytał i wykrzywił się z rozczarowaniem słysząc odpowiedź.

— Ten bzdzioch nigdy nie stoczył walki, sir, ale trochę trenował.

— No dobra, trudno. Ja jestem w wadze ciężkiej, ponieważ jednak nie ma cię z kim zestawić, ja, bzdziochu, popartneruję ci przez kilka rund, oczywiście jeśli przyrzekniesz, że potraktujesz mnie łagodnie.

Roelf Stander był kapitanem drużyny uniwersyteckiej, amatorskim mistrzem prowincji i jednym z najpewniejszych kandydatów do reprezentacji Afryki Południowej na Igrzyska Olimpijskie w Berlinie. Jego ostatnie zdanie było łaskawym żartem starszego studenta, toteż wszyscy posłusznie zareagowali na nie śmiechem. Sam Roelf także nie próbował ukryć rozbawienia własną absurdalną prośbą o zmiłowanie.

— No, dobra, zaczniemy od muszej — zarządził i wyprowadził kandydatów do sali gimnastycznej.

Usadzono ich na długiej ławce w ostatnim rzędzie pod ścianą, skąd ledwo widzieli ring przesłonięty głowami bardziej uprzywilejowanych widzów. Roelf i jego pomocnicy, wszystko członkowie reprezentacji pięściarskiej uczelni, nałożyli rękawice pierwszej parze kandydatów i przejściem między ławkami sprowadzili ich na ring.

W tym samym czasie Manfred kątem oka dostrzegł, że ktoś siedzący w pierwszym rzędzie ławek wstaje i wpatruje się w jego stronę. Zerknął szybko na pilnujących ich starszych studentów, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy skupili się już na ringu. Po raz pierwszy pozwolił sobie spojrzeć prosto w tłum widzów.

Albo zapomniał już, jak śliczna była Sarah, albo w ciągu tych kilku tygodni, które upłynęły od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni, niezwykle wypiękniała. Oczy jej błyszczały, policzki zaróżowiły się z podniecenia, machała mu koronkową chusteczką i uszczęśliwiona poruszała wyraźnie ustami, wymawiając jego imię. Z kamienną miną ukradkiem puścił do niej oczko, a ona posłała mu obiema dłońmi pocałunek i opadła z powrotem na miejsce obok zwalistej sylwetki wuja Trompa.

„Przyszli oboje!” — Świadomość tego ogromnie podniosła go na duchu. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo samotny czuł się przez te ostatnie tygodnie. Wuj Tromp obejrzał się i uśmiechnął. W przyprószonej siwizną czarnej gęstwie jego brody odsłonięte w uśmiechu zęby wydawały się niezwykle białe. Chwilę później odwrócił się z powrotem twarzą do ringu.

Rozpoczęła się pierwsza walka. Dwóch drobnych zawodników wagi muszej skoczyło ku sobie dziarsko i obsypało się nawzajem gradem ciosów, ale jeden przewyższał drugiego o klasę i już wkrótce podłogę ringu spryskały pierwsze krople krwi. Roelf Stander przerwał walkę w drugiej

rundzie i poklepał zwyciężonego po ramieniu.

— Dobra robota! Nie wstyd tak przegrać.

Nastąpiły kolejne walki. Wszystkie były zacięte, zawodnicy wyraźnie starali się jak mogli, ale poza jednym obiecującym odkryciem w wadze średniej, pozostałym chłopcom wyraźnie brakowało wprawy i umiejętności. W końcu na ławce pozostał tylko Manfred.

— No dobra, bzdziochu! — Starszy student zawiązał mu rękawice i dorzucił: — Zobaczymy, do czego się nadajesz.

Manfred rzucił z ramion ręcznik i wstał, a dokładnie w tej samej chwili Roelf Stander wrócił z rozbieralni i wskoczył z powrotem na ring. Miał teraz na sobie oblamowaną złotem kasztanową koszulkę i takie same spodenki, co stanowiło barwy uczelni, a na nogach drogie buty z rękawiczkowej skóry, gęsto wiązane, sięgające niemal do pół łydki. Podniósł obie pięści w rękawicach, żeby uciszyć gwizdy i okrzyki na wiwat.

— Panie i panowie, dla naszego ostatniego kandydata zabrakło nam niestety przeciwnika. Wśród studentów pierwszego roku nie ma nikogo w jego wadze. Toteż z uprzejmym pozwoleniem szanownych państwa ja sam poprowadzę ten sprawdzian.

Sala znów zahuczała od wiwatów, ale teraz dołączyły do nich okrzyki „Tylko delikatnie, Roelf! Nie zabij biedaka!” Roelf szerokim gestem obu rąk zapewnił widzów, że okaże miłosierdzie, zwracając się przede wszystkim do tych rzędów ławek, które wypełniły dziewczęta z żeńskich burs. Odpowiedzią były stłumione piski i chichoty oraz wdzięczne przekrzywienia ozdobionych trwałymi główek, bo Roelf miał metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, silny zarys szczęk, białe zęby i błyszczące ciemne oczy, gęste, falujące wypomadowane włosy, okazałe baczki oraz fantazyjny wąs kawalerzysty.

Mijając pierwszy rząd ławek Manfred nie mógł się powstrzymać od zerknięcia kątem oka na Sarah i wuja Trompa. Sarah podskakiwała na swoim miejscu, przyciskając pięści do zaróżowionych z podniecenia policzków.

— Pokaż mu, Manie! — krzyknęła. — *Vat horn!* — A siedzący obok wuj Tromp skinął głową i upomniał go tak cicho, że tylko Manfred to usłyszał: — Szybki jak mamba, *Jong*, odważny jak ratel! — Chłopiec podniósł wyżej głowę, z dziwną lekkością w stopach dał nura między liny i stanął na ringu.

Obowiązki sędziego przejął jeden z pomocników Roelfa.

— W tym narożniku ważący osiemdziesiąt cztery kilogramy kapitan reprezentacji uniwersytetu i amatorski mistrz Przylądka Dobrej Nadziei w wadze ciężkiej... Roelf Stander! W tym ważący siedemdziesiąt osiem i pół kilograma — student pierwszego roku — z szacunku dla audytorium nie użył pełnych tytułów beana — Manfred De La Rey!

Rozległ się gong. Roelf lekko wybiegł ze swego narożnika, pozorując szybkie ciosy i uniki i uśmiechając się nieznacznie ponad gardą czerwonych rękawic. Zaczęli się nawzajem okrążyć, tuż poza zasięgiem ramion, najpierw w jedną, potem w drugą stronę i stopniowo uśmiech zniknął z twarzy Roelfa, a jego wargi zacisnęły się w wąską kreskę. Nastój lekceważącej beztroski ulotnił się bez śladu; tego się nie spodziewał.

W gardzie przeciwnika nie było ani jednej szczeliny; krótko ostrzyżona złotowłosa głowa tkwiła głęboko wtulona w muskularne ramiona, a bzdzioch tańczył na swych nogach lekko jak wiatr.

„On urnie boksować! — Roelf poczuł wzbierającą wściekłość. — Okłamał mnie! Dobrze wie, co robi!” — Raz jeszcze podjął próbę opanowania środka ringu, ale musiał się cofnąć, zagrożony

okrążającym manewrem rywala.

Do tej pory żaden nie zadał jeszcze ani jednego ciosu, ale doping widzów ucichł i w sali zapanowała cisza. Wszyscy czuli, że obserwują coś niezwykłego. Zauważyli zmianę zachowania Roelfa, dostrzegli w sposobie, w jaki teraz się poruszał, śmiertelną powagę i żądę zadania morderczego ciosu. A ci, którzy znali go lepiej, wiedzieli, że nieznaczne zmarszczenie kącików oczu i ust zdradza u niego niepokój i zdenerwowanie.

Roelf strzelił lewym prostym, na próbę, lecz jego przeciwnik nie raczył nawet się uchylić. Zbił cios pogardliwie w bok, a Roelfowi ciarki przebiegły po plecach, gdy uświadomił sobie, jaka siła kryje się za tym drobnym, niedbałym ruchem rękawicy. Wbił spojrzenie w oczy Manfreda stosując swoją starą sztuczkę, polegającą na narzuceniu przeciwnikowi swej przewagi za pomocą kontaktu wzrokowego.

Oczy tego człowieka miały przedziwny kolor, były jasne jak topazy albo żółte szafiry i nagle przypomniały Roelfowi ślepiea lamparta, który wykradał im bydło i którego ojciec schwytał w stalowe sidła na wzgórzach za farmą. Tak, dokładnie takie same. Wtem wyraz tych oczu uległ zmianie. Rozjarzyły się zimnym, złotym blaskiem, niehumanicznym i bezlitosnym. Roelf poczuł dławienie w gardle. Był to nie tyle strach, co przecucie straszliwego niebezpieczeństwa. Miał przed sobą dziką bestię, w której oczach płonął głód, głód mordy i krwi. Bez zastanowienia, zupełnie instynktownie wyprzedził jej morderczy atak.

Użył lewej, swej lepszej ręki, wyprowadzając potężny cios prosto w te bezlitosne ślepiea. Cios trafił w powietrze, więc szarpnął się rozpaczliwie do tyłu, by odzyskać równowagę, ale uniesiony przy zadawaniu uderzenia łokieć na mgnienie oka, może na jedną setną sekundy odsłonił mu bok. Coś eksplodowało mu w środku. Nie zauważył pięści; nie mógł pojąć, że to od kontry, bo jeszcze nigdy w życiu nikt nie zadał mu takiego ciosu. Czuł się tak, jakby uderzenie przyszło od wewnątrz, przebiło mu żebra, rozdarło trzewia i płuca. Z sykiem uchodzącego przez wykrzywione usta powietrza poleciał do tyłu.

Liny podtrzymały go w pasie i pod łopatkami i wyrzuciły z powrotem do przodu jak kamień z procy. Nagle czas jakby przestał płynąć, wszystko działo się w zwolnionym tempie. Jego wzrok nabrał niezwykłej ostrości widzenia, niczym po zażyciu jakiegoś narkotyku, i tym razem dostrzegł pięść. W przedziwnym rozbłysku fantazji wyobraźnia podsunęła mu wizję, w której pędząca w jego stronę rękawica kryła nie zaciśnięte w pięść palce, lecz bryłę żelaza, i cały skurczył się w sobie. Ale nie był w stanie uniknąć tego ciosu. Tym razem szok był jeszcze większy — niewiarygodny, przekraczający wszelkie wyobrażenia. Poczuł, że coś mu w środku pęka i nogi się pod nim ugięły, jakby były z waty.

Ból był tak potworny, że miał ochotę krzyczeć na całe gardło, lecz ostatkiem sił zdołał nad sobą zapanować. Chciał upaść na deski, nim ta pięść dosięgnie go ponownie, ale liny utrzymały go w pozycji stojącej. Kiedy poczuł wybuch następnego ciosu i liny cisnęły go do przodu, wydawało mu się, że całe ciało rozsypuje mu się na kawałki, niczym strzaskany kryształ.

Ręce opadły odsłaniając twarz i jeszcze raz ujrzał zbliżającą się pięść. Rozděła mu się w oczach do wielkości balonu, przesłoniła cały świat. ale uderzenia już nie poczuł. Odepchnięty przez liny nadział się na nią całym ciężarem ciała, głowa odskoczyła mu do tyłu, odrzucona oporem mięśni karku śmignęła z powrotem do przodu, potem jeszcze niżej i Roelf Stander runął twarzą do przodu, jak zabity, na białą podłogę ringu.

Wszystko to razem trwało ledwie kilka sekund, oniemiała widownia nie zdążyła się jeszcze

otrząsnąć z osłupienia. Manfred nadal drobił, kołysał się i podskakiwał wokół rozciągniętego na deskach przeciwnika, twarz wciąż jeszcze wykrzywił mu dziki grymas, a w jego oczach przedziwnym żółtym blaskiem płonęła nieludzka żądza zabijania.

Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk jakiejś kobiety i natychmiast rozpętało się istne pandemonium. Mężczyźni zerwali się na równe nogi i z łoskotem przewracając krzesła, rycząc z niedowierzania, podziwu i zachwytu popędzili na środek sali, przedarli się przez liny i wpadli na ring. Jedni otoczyli Manfreda, poklepując go po plecach i składając gratulacje, inni przykiękli wokół rozciągniętego martwo na deskach kasztanowo-złotego Roelfa i rzucając sobie nawzajem polecenia zaczęli go ostrożnie podnosić na rękach. Ktoś bezskutecznie próbował wytrzeć mu krew z twarzy, lecz wstrząśnięty i oszołomiony dał za wygraną.

Poblądle po przeżytych szoku kobiety nadal krzyczały ze strachu i zachwytu. Oczy błyszczały im niemal seksualnym podnieceniem, wyciągały głowy, żeby zobaczyć Roelfa Standera znoszonego ponad linami, a potem między ławkami do wyjścia — leciał przez ręce jak trup, głowa zwisała mu bezwładnie i huśtała się przy każdym kroku, cieknąca z rozbitych ust krew spływała mu po policzkach w wypomadowane włosy. Potem szybko przenosiły wzrok na Manfreda odprowadzanego do szatni przez grupę starszych studentów. Na ich twarzach malowało się przerażenie i groza, ale w oczach tliło się fizyczne podniecenie, a jedna z nich musnęła ręką biceps mijającego ją zwycięzcy.

Wuj Tromp ujął Sarah uspokajająco pod ramię, bo skakała i wydzierała się jak derwisz, i wyprowadził ją z sali na dwór.

— Był cudowny! Cudowny! — paplała, nie mogąc opanować podniecenia. — Taki szybki, taki piękny! Och, wujku nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego! Czy nie był cudowny?

Wuj Tromp mruknął coś pod nosem, ale powstrzymał się od komentarzy, słuchając jej paplaniny przez całą drogę do domu. Dopiero kiedy weszli po schodach na szeroką frontową werandę, przystanął i obejrzał się przez ramię, jakby z wielkim żalem z kimś lub czymś się rozstawał.

— Jego życie się odmieniło, a razem z tym zmieni się i nasze — mruknął z powagą. — Modłę się do Wszechmogącego, abyśmy nigdy nie musieli żałować tego, co zdarzyło się dzisiaj, bo to ja jestem tego sprawcą.

38

Inicjacja trwała jeszcze trzy dni i Manfredowi nadal nie wolno było kontaktować się z nikim poza współtowarzyszami niedoli. Teraz jednak stał się ich bożyszczem, nadzieją zbawienia, toteż garnęli się żałośnie do niego podczas finałowych poniżeń i upokorzeń, by z jego przykładu czerpać wytrwałość i siłę. Ostatnia noc była najgorsza ze wszystkich. Zawiązano im oczy, nakazano siedzieć bez drgnienia na wąskiej belce i wsadzono na głowy ocynkowane kubły, w które co jakiś czas jeden ze starszych studentów niespodziewanie walił grubą pałką. Ta bezsenna noc trwała całą wieczność. I raptem o świcie zdjęto im kubły i opaski z oczu i Roelf Stander wygłosił do nich przemowę.

— Panowie! — zaczął, a Manfred i jego koledzy drgnęli *zszokowani*, nie mogąc pojąć, do kogo właściwie się zwraca. Wciąż byli otępiali z braku snu i na wpół ogluszeni uderzeniami pałek w kubły.

— Panowie! - powtórzył Stander. — Jesteśmy z was dumni. Okazaliście się najlepszą bandą pierwszaków, jaką przyjęliśmy do tej bursy od czasu, gdy ja sam rozpocząłem studia. Wytrzymaliście wszystko, co udało nam się wymyślić, i żaden się nie spietrał, żaden me pisnął ani słowem. Witajcie w Rust en Vrede! Od tej chwili jest to wasz dom, a my jesteśmy waszymi braćmi. — I nagle studenci

starszych lat otoczyli ich ciasnym kołem, śmiejąc się, poklepując po ramionach i ściskając.

— Chodźcie, idziemy do pubu! My stawiamy! — ryknął Roelf Stander i całą setką, trzymając się pod rękę, z hymnem bursy na ustach przemaszerowali ulicą do dawnego merostwa, a tam dotąd dobijali się do drzwi, aż szynkarz ustąpił i otworzył, mimo iż o tej porze obowiązywał jeszcze zakaz podawania alkoholu.

Oszołomiony brakiem snu i wypitym dużym jasnym, Manfred uśmiechał się głupkowato, przytrzymując się ukradkiem baru. Żeby ustać na nogach, gdy poczuł nagle, że dzieje się coś dziwnego. Zerknął szybko przez ramię i odwrócił się.

Tłum wokół niego rozstąpił się, tworząc korytarz, którym szedł w jego stronę Roelf Stander, z zaciętą miną i groźnie przygarbiony. Manfredowi serce zatłukło się w piersi. Uświadomił sobie, że będzie to ich pierwsze spotkanie od stoczonyj trzy dni wcześniej walki na ringu i że spotkanie to nie będzie przyjemne. Odstawił pusty kufel, potrząsnął głową, żeby choć trochę oprzytomnieć i stanął twarzą w twarz z rywalem. Zmierzyli się twardymi spojrzeniami.

Roelf postąpił krok do przodu, a tłum studentów, tych pierwszego roku i tych starszych lat, wyciągnął głowy, żeby nie uronić ani słowa. Zapadła przedłużająca się cisza, napięcie rosło, wszyscy wstrzymali oddech.

— Zrobię teraz dwie rzeczy — warknął Roelf, a kiedy Manfred skupił się w sobie, rozpromienił się w czarującym uśmiechu i wyciągnął rękę. — Po pierwsze chcę ci podać dłoń, a po drugie postawić ci piwo. Wielki Boże, Manie, nikt z kim walczyłem, nie walił tak jak ty.

W sali zahuczało od śmiechów i wiwatów i cała reszta dnia upłynęła w atmosferze braterstwa spowitego mgiełką óparów piwa.

To powinno było zamknąć sprawę, bo mimo iż okres inicjacji dobiegł końca i Manfred został przyjęty do korporacji studentów Rust Ien Vrede, nadal od jednego z najlepszych studentów czwartego roku, kapitana drużyny bokserskiej dzieliła go ogromna przepaść. A jednak następnego wieczoru, godzinę przed obiadem rozległo się pukanie do drzwi pokoju Manfreda i stanął w nich Roelf Stander, w akademickiej todze z oznakami wydziału. Podszedł do jedynej fotela, rozwalił się w nim niedbale, skrzyżował nogi na biurku Manfreda i wdał się w swobodną rozmowę o boksie, studiach prawniczych i geografii Afryki Południowo-Zachodniej. Wstał dopiero na dźwięk gongu wzywającego na obiad.

— Obudzę cię jutro o piątej rano na trening w terenie. Za dwa tygodnie mamy ważny mecz z Ikeyami [Ikeyami przezywano studentów anglojęzycznego Uniwersytetu w Cape Town, tradycyjnych rywali Stellenbosch, gdzie językiem wykładowym był afrikaans. W rewanżu Ikeyowie nazwali studentów Stellenbosch Maties. Matey — tubylczy służący, zwykle najniższej rangi, wykonujący najbrudniejsze prace.] — oświadczył i uśmiechnął się na widok miny Manfreda. — Tak, Manie, zostałeś przyjęty do drużyny.

Od tego czasu Roelf wpadał codziennie, często z ukrytą w kieszeni togi czarną butelką piwa, które wypijali ze szklanek do mycia zębów. I każda taka wizyta coraz bardziej umacniała ich przyjaźń.

Zostało to zauważone zarówno przez studentów pierwszego roku jak i starszych lat, toteż pozycja Manfreda rosła. Dwa tygodnie później rozegrano mecz z drużyną Ikeyów, w czterech kategoriach wagowych, i Manfred po raz pierwszy przywdział barwy uczelni.

Współzawodnictwo między tymi drużynami było tak zażarte, że z Ikeyami przybyły całe autokary kibiców ubranych w barwy Uniwersytetu w Cape, dobrze podchmielonych i skorych do wszczynania

burd. Zajęli ponad połowę sali gimnastycznej i rycząc na całą gardło przyspiewki swej uczelni starali się zagłuszyć zajmujących drugi koniec sali kibiców Stellenbosch.

Przeciwnikiem Manfreda był Laurie King, doświadczony zawodnik wagi lekkociężkiej o dobrym ciosie z obu rąk i stalowej szczęce.

W czterdziestu amatorskich walkach, które stoczył, jeszcze nikomu nie udało się różciągnąć go na deskach. O Manfredzie De La Reyu niemal nikt nie słyszał, a ci, do których dotarły wieści o jego pojedynczym zwycięstwie, składali je na karb przypadku. Ot, wyjątkowo udany cios w walce z przeciwnikiem, który zbagatelizował sprawę. Natomiast sam Laurie King znał całą historię dokładnie i potraktował ją niezwykle poważnie. Przez całą pierwszą rundę trzymał się na dystans, aż w tłumie widzów rozległy się okrzyki zmecierpliwienia. Przyjrząwszy się jednak uważnie Manfredowi uznał, że chłopak nie jest tak groźny, jak go ostrzegano, i że da się go dosięgnąć lewym sierpowym. Postanowił niezwłocznie sprawdzić swą teorię. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, była para dzikich żółtych oczu rozjarzonych jak słońce Kalahari w południe i szorstkie potarcie brezentu po policzku, gdy runął twarzą w dół na deski. Samego ciosu w ogóle nie mógł sobie przypomnieć. I choć gong przerwał jego wyliczanie, Laurie King nie był w stanie stanąć do drugiej rundy. Głowa zwisała mu na piersi jak pijanemu i z takim trudem trzymał się na nogach, że sekundanci musieli odprowadzić go do szatni.

Wuj Tromp ryczał w pierwszym rzędzie jak ranny bawół, a siedząca obok niego Sarah ochrypla od krzyku, łzy radości lśniły jej na rzęsach i zrosiły policzki.

Następnego ranka korespondent sportowy wydawanego w języku afrikaans dziennika „Die Burger”, „Obywatel”, nadał Manfredowi przydomek „Lwa Kalahari” i wspomniał, że jest on nie tylko cioteczynym wnukiem generała Jacobusa Herculesa De La Reya, afrykanerskiego bohatera narodowego, lecz także kuzynem wielebnego Trompa Biermana, mistrza pięściarskiego, pisarza, a obecnie pastora Stellenbosch.

Cała drużyna bokserska z Roelfem Standerem na czele czekała na Manfreda na dziedzińcu uczelni po wykładzie z socjologii. Kiedy wyszedł, otoczyli go szczelnym kołem.

— Diaczegoś to przed nami ukrywał?! — zawołał z gniewem Roelf. — Dlaczegoś nam nigdy nie powiedział, że twój wuj to ten Tromp Bierman?! Wielki Boże, człowieku, on był pięciokrotnym mistrzem kraju! Znokautował Slatera i Czarnego Jephthę!

— Nie mówiłem wam o tym? — Zdziwił się Manfred marszcząc czoło, jakby próbował to sobie przypomnieć. — Sam nie wiem, jak to się mogło stać.

— Manie, musisz nas z nim poznać! — zawołał błagalnie zastępca kapitana drużyny. — Wszyscy o tym marzymy! Proszę cię, stary, proszę!

— Czy myślisz, Manie, że zgodziłby się zostać naszym trenerem? Nie mógłbyś go o to poprosić? Boże, gdyby tak sam Tromp Bierman... — Roelf urwał w pół zdania porażony wspaniałością własnej wizji.

— Coś ci powiem... — odparł Manfred. — Jeśli sprowadzisz całą drużynę w niedzielę rano do kościoła, to ciotka Trudi na pewno zaprosi wszystkich na lunch. A zapewniam was, panowie, że dopiero kiedy skosztujecie jej *koeksisters*, zrozumiecie, co to znaczy niebo z gębie.

Toteż wyszorowani, ogoleni, wypomadowani i odstrojeni w swe najlepsze świąteczne ubrania zjawili się pełną drużyną w kościele, gdzie zajęli cały rząd ławek i z takim zapalem brali udział w modlitwie i śpiewach, że ściany drżały.

Ciotka Trudi potraktowała proszony lunch jako wyzwanie dla swych zdolności kulinarnych i

wraz z dziewczętami przygotowywała się do niego cały tydzień. Goście, wszystko krzepko zbudowani młodzieńcy w świetnej kondycji fizycznej, od tygodni żyjący o stołówkowym wikcie, z żarłocznym niedowierzaniem wytrzeszczali oczy na przygotowany bankiet, próbując bohatercko dzielić uwagę między wuja Trompa, który, w szczytowej formie, wspominał swe najbardziej pamiętne walki, rozchichotane, zarumienione córki pana domu, które im usługiwały, i uginający się pod ciężarem pieczystego, konfitur i puddingów stół.

Pod koniec posiłku Roelf Stander, opchany jak pyton, który połknął gazelę, wstał, by w imieniu całej drużyny wygłosić mowę dziękczynną, lecz gdzieś w połowie zmienił ją w namiętne błaganie skierowane do wuja Trompa o objęcie funkcji honorowego trenera drużyny.

Wuj Tromp zbył tę prośbę jowialnym rechotem i machnięciem ręki, jakby rzecz była zupełnie me do pomyślenia, ale jego goście nie dali za wygraną i jeden przez drugiego, z Manfredem włącznie, ponawiali błaganie. Wuj Tromp wymyślał coraz to inne wymówki, jedną błahszą od drugiej, odrzucane natychmiast gromko przez całą drużynę, aż w końcu z ciężkim westchnieniem rezygnacji skapitulował. Dopiero kiedy zapanował radosny tumult i wszyscy rzucili się ścisnąć mu dłoń i dziękować, nie wytrzymał i rozpromienił się w uśmiechu.

— Mówię wam, chłopcy, że sami nie wiecie, w co się wrobiliście — ostrzegł. — Jest wiele słów, których zupełnie nie rozumiem. „Jestem zmęczony”, „mam dość” to tylko kilka z nich.

Po wieczornym nabożeństwie Manfred z Roelfem wracali pod koronami szeleszczących dębów do Rust en Vrede. Roelf był dziwnie milczący, odezwał się po raz pierwszy dopiero przy głównej bramie bursy.

— Słuchaj, Manie — powiedział w zamyśleniu. — A ta twoja kuzynka, ile ona ma lat?

- Która? — spytał Manfred bez specjalnego zainteresowania. — Ta gruba to Gertruda, ta pryszczata — Renata...

— Nie, nie, nie rób ze mnie idioty! — przerwał mu Roelf. — Ta śliczna, z niebieskimi oczyma i złocistymi włosami. Ta, z którą się ożenię.

Manfred stanął jak wryty, przygarbił się groźnie i odwrócił się niego z twarzą wykrzywioną w nieprzyjemnym grymasie.

— Nie waż się tego powtórzyć! — rzucił z ledwie powściąganą furią i chwycił Roelfa za klapy marynarki. — Nie waż się nigdy mówić takich świństw! Ostrzegam cię, jeszcze raz powiesz coś takiego, to cię zabiję!

Ich twarze dzieliło ledwie kilka centymetrów. W rozjarzonych żółtym blaskiem oczach Manfreda znów płonąła ta straszliwa żądza mordy.

— Zaraz, Manie... — szepnął ochryple Roelf. — Co ci się stało? Nie powiedziałem żadnego świństwa. Oszalałeś? Nigdy nie mógłbym obrazić Sarah.

Żółty blask przygasił powoli w oczach Manfreda, chłopak puścił klapy Roelfa i potrząsnął głową, jakby chciał się przywołać do rzeczywistości, ale kiedy znów się odezwał, w jego głosie nadal dawało się wyczuć zamroczenie.

— To jeszcze dziecko. Nie powinieneś tak mówić, stary. To jeszcze zupełne dziecko.

— Dziecko? — zaśmiał się niepewnie Roelf, wyglądając marynarkę. — Ślepy jesteś, Manie? Ona nie jest już dzieckiem. To najpiękniejsza... — Ale Manfred okręcił się gniewnie na pięcie i jak burza wpadł przez bramę na teren akademika.

— Ach tak, przyjacielu... — szepnął Roelf. — Więc to tak sprawa wygląda! — Westchnął ciężko i wepchnął ręce w kieszenie. Przypomniawszy sobie nagle, jak podczas lunchu Sarah patrzyła na

Manfreda, jak kładła mu ukradkiem i z uwielbieniem rękę na ramieniu, gdy pochylała się nad nim, by zabrać pusty talerz. Znów westchnął, czując przyływ melancholijnej zadumy. — Nie ona jedna na tym świecie, takich ładnych są tysiące — mruknął do siebie, próbując odegnać przygnębienie. — I wszystkie wzdychają do Roelfa Standera! — Wzruszył ramionami, uśmiechnął się krzywo i wszedł za Manfredem do bursy.

Manfred wygrał dwanaście kolejnych walk, wszystkie przez nokaut, wszystkie w pierwszych trzech rundach. Sprawozdawcy sportowi już powszechnie w swych doniesieniach nazywali go Lwem Kalahari.

— W porządku, *Jong*, wygrywaj póki możesz — upominał go wuj Tromp. — Ale pamiętaj, że młodość nie trwa wiecznie. Na długą metę to nie krzepa mięśni wynosi człowieka, ale to co ma w głowie, *Jong!* Nigdy o tym nie zapominaj!

Manfred z takim samym zapałem jak do treningów zabrał się do studiów. Niemieckim posługiwał się już niemal równie swobodnie jak afrikaans, znacznie swobodniej niż angielskim, w którym to języku mówił niechętnie i z wyraźnym obcym akcentem. Filozofia i logika prawa rzymskiego bardzo mu odpowiadały, toteż *Kodeks Justyniana* pochłonał jak najlepszą literaturę. Natomiast nauki polityczne i socjologia wręcz go zafascynowały. Prowadził z Roelfem nie kończące się dyskusje na tematy z tych dziedzin, w ten sposób cementując coraz bardziej ich przyjaźń.

Umiejętności bokserskie przyniosły mu natychmiastową sławę na terenie uniwersytetu, co nie zawsze wychodziło na dobre, bowiem jedni profesorowie darzyli go z tego powodu specjalnymi względami i traktowali pobłażliwiej niż pozostałych studentów, inni odnosili się do niego z wyraźną niechęcią, zakładając z góry, że musi być tępym osiłkiem. Przekonanie ich, że tak nie jest, kosztowało go wiele wysiłków.

— Może nasz znakomity pięściarz zechce wykazać się swym błyskotliwym intelektem i objaśnić nam koncepcje narodowego bolszewizmu — powiedział wykładowca socjologii i nauk politycznych, doktor Hendrick Frensch Verwoerd, wysoki surowy intelektualista o przeszywającym spojrzeniu mistyka. Choć urodził się w Holandii, już we wczesnym dzieciństwie przeniósł się z rodzicami do Afryki i z biegiem czasu został jednym z czołowych afrykanerskich myślicieli, głównym wyrazicielem, narodowych aspiracji Volku. Na pierwszym roku miał tylko jeden wykład w semestrze, rezerwował czas i zdolności dla studentów starszych lat własnego wydziału. Teraz z lekceważącym uśmiechem czekał, aż Manfred wstanie i zbierze myśli. Po kilku długich sekundach doszedł do wniosku, że facet musi być skończonym osłem i już miał mu kazać z powrotem usiąść, gdy Manfred zaczął odpowiadać, z niezwykłą starannością dobierając słowa i wymawiając je z nowo nabytym stellenboschskim akcentem, tym „oksfordzkim” akcentem Afrykanerów, który nieustannie wpajał mu Roelf.

— Terminu „bolszewizm narodowy” użyto po raz pierwszy w Niemczech na określenie polityki oporu wobec Traktatu Wersalskiego, przeciwstawiając go w ten sposób jednocześnie rewolucyjnej ideologii tradycyjnego bolszewizmu... — Doktor Verwoerd zamrugał oczami i przestał się uśmiechać. Ten człowiek wyczuł pułapkę i już na samym wstępie rozdzielił obie ideologie.

— Czy może nam pan powiedzieć, kto był twórcą tej koncepcji? — spytał z nutką irytacji w opanowanym zwykle głosie.

— Po raz pierwszy wystąpił z nią chyba Karl Radek w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym. Jego forum stanowiło zaczątek przymierza najniższych warstw społecznych przeciwko połączonym wrogim siłom Wielkiej Brytanii, Francji i Stanów Zjednoczonych.

Wykładowca pochylił się jak jastrząb świdrując acy wzrokiem zdobywcę.

— Czy ta doktryna lub choćby pewne jej elementy odgrywają pana zdaniem, jaką rolę we współczesnym życiu politycznym Afryki Południowej? — Już do końca wykładu zajęli się całkowicie sobą, podczas gdy równieśnicy Manfreda, uwolnieni od konieczności myślenia, przysłuchiwali się ich rozmowie z mądrymi minami maskującymi znudzenie i brak zrozumienia.

W następną sobotę, kiedy Manfred walczył o tytuł mistrza wagi półciężkiej uniwersytetu, doktor Verwoerd zasiadł w drugim rzędzie ławek. Po raz pierwszy w życiu oglądał jakiegokolwiek uczelniane zawody sportowe, abstrahując oczywiście od meczów rugby, których nie mógł opuścić żaden Afrykaner godny tego miana.

Kilka dni później profesor wezwał do siebie Manfreda pod pozorem konieczności przedyskutowania przygotowanej przez niego pracy na temat historii liberalizmu, ale ich rozmowa trwała dobrze ponad godzinę i objęła wiele innych zagadnień. Po jej zakończeniu Verwoerd zatrzymał Manfreda u drzwi.

— Mam tu pewną pozycję, na którą chyba nie miał pan okazji się natknąć. — Podał mu nad biurkiem jakąś książkę. — Proszę ją zatrzymać tak długo, jak będzie pan potrzebował, i podzielić się ze mną opiniami po jej przeczytaniu.

Manfred spieszył się na następny wykład, toteż nie przeczytał nawet tytułu. a po powrocie do swego pokoju bez oglądania rzucił ją na biurko. Wieczorem mieli biegać, Roelf czekał już na niego, więc wrócił do książki dopiero kładąc się spać, przebrany już w piżamę.

Kiedy wziął ją do ręki, zorientował się, że już o niej słyszał i że jest to jej niemiecki oryginał. Odłożył ją dopiero, gdy przez szpary w zasłonach wdarł się do pokoju świt, a z parapetu za oknem dobiegło głośnie gruchanie gołębi. Zamknął wtedy książkę i jeszcze raz przeczytał tytuł. *Mein Kampf*. Autor: Adolf Hitler.

Resztę dnia przeżył niemal jak w transie religijnego objawienia, a w porze lunchu popędził do swego pokoju, żeby jeszcze raz przeczytać książkę. Autor zwracał się w niej wprost do niego, apelował do jego germańskiej i aryjskiej krwi. Odnosiło się przedziwne wrażenie, że napisano ją wyłącznie dla niego, Manfreda De La Rey. Z jakiego innego powodu Herr Hitler miałby umieścić w swoim dziele tak cudowne ustępy jak na przykład ten:

To, że młody człowiek powinien znać szermierkę i toczyć na lewo i prawo pojedynki, uważa się za rzecz naturalną i zgodną z honorem, jeśli jednak ten młody człowiek boksuje, wołają, że to wulgarne! Dlaczego? Nie ma sportu, który by w takim stopniu jak boks promował ducha wojowniczości, wymagał błyskawicznego podejmowania decyzji i stalowej sprawności organizmu... A przede wszystkim uczył młode zdrowe ciała znosić ciosy. Nie jest bowiem zadaniem ludowego państwa żywić bandę żądnych pokoju estety i fizycznych degeneratów... Gdyby cała warstwa naszych intelektualistów nie została wychowana wyłącznie na ideałach etykiety wyższych sfer; gdyby zamiast tego nauczyli się oni porządnie boksować, do niemieckiej rewolucji alfonsów, dezerterów i całej tej halastry nigdy by nie doszło...

Widząc tak jasno wyłożony swój własny, nie do końca jeszcze skryształizowany pogląd na moralność, Manfred zadrżał jak w chwili ziszczającego się przecucia.

Hartując ciało trzeba równolegle rozpocząć walkę z zatrutowaniem dusz. Nasze całe dzisiejsze życie publiczne to wylęgarnia najróżniejszych nowinek i podniet seksualnych...

Manfred sam doznał tych katuszy czyhających na młodość i niewinność jak węże pokusy. Ileż to razy musiał walczyć z grzesznymi, pożądanymi żądaniami swego ciała, gdy natykał się na magazyny

i fotosy filmowe — zawsze z napisami po angielsku, w tym dogorywającym, zdegenerowanym języku, którego coraz bardziej nienawidził — przedstawiające roznegliżowane, półnagie kobiety.

— Masz rację — mrucał, przerzucając w podnieceniu strony. — Wykładasz wielkie prawdy dotyczące całej ludzkości. Musisz być szczery, nietknięty złem i silny.

Potem serce znów zabiło mu żywiej, gdy natrafił na wyłożone jasnym językiem inne prawdy, które do tej pory docierały do niego jedynie w formie zawołanych napomknięć. Cofnął się o całe lata w przeszłość, znów znalazł się w obozie włóczęgów koło torów na przedmieściach Windhoek, znów ujrzał postrzępioną karykaturę Hoggenheimera pędzącego Volk w niewolę. Ogarnęła go nieopanowana wściekłość i drżąc z gniewu czytał dalej:

Z wyrazem satanicznej radości na twarzy czarnowłosy młodzieniec żydowski czyha na nie podejrzewającą niczego dziewczynę, by splugawić ją swą krwią i wykraść najbliższym.

Oczyrna wyobraźnia ujrzał piękne, jasne ciało Sarah rozplaszczone pod tłustym włochatym cielskiem Hoggenheimera i poczuł, jak zalewa go żądza mordy.

Następnie autor z taką zręcznością naciął żyłę jego afrykanerskiej krwi, że Manfredowi wydawało się, iż sama dusza krwawi mu nad tą książką.

To Żydzi sprowadzali i sprowadzają do Nadrenii Murzynów, zawsze Z tym samym tajemnym zamysłem i w jasnym celu wyniszczenia znienawidzonej białej rasy, poprzez wiążącą się z tym nieodmiennie bastardyzację...

Zadrżał na całym ciele. „Swartgeyaar! Czarne niebezpieczeństwo!” Jego rodacy przekazywali sobie to ostrzeżenie z pokolenia na pokolenie przez wieki swego pobytu w Afryce, a teraz ten atawistyczny lęk znów owładnął jego sercem.

Skończył lekturę wstrząśnięty i wyczerpany bardziej niż po jakiegokolwiek walce na ringu. Choć było już późno, wyszedł poszukać człowieka, który mu tę książkę pożyczył, i jeszcze długo w noc rozmawiali na jej temat, poważnie i z przejęciem.

Nazajutrz profesor przesłał swoim wysoko postawionym przyjaciołom następującą notatkę:

„Znalazłem kogoś, kto moim zdaniem będzie niezwykle cennym nabytkiem. Jest to człowiek o chłonnym, błyskotliwym umyśle i znacznych, szybko rosnących wpływach wśród naszej młodzieży.”

Kandydaturę Manfreda przedstawiono na następnym posiedzeniu zarządu pewnej tajnej organizacji.

Jeden z naszych najlepszych młodych ludzi, student czwartego roku z bursy Rust en Vrede, jest jego bliskim przyjacielem...

— Zwerbować polecił przewodniczący zarządu.

Pięć razy w tygodniu Roelf i Manfred trenowali w górach, biegając trudną, stromą, wyboistą trasą. Osiem kilometrów za miastem przystawali napić się wody z jeziora pod białym pienistym wodospadem. Manfred przyklęknął na śliskim mokrym kamieniu, w złożone dłonie nabrał czystej, chłodnej wody i wlał ją do otwartych ust.

„To dobry wybór” zgodził się w duchu z decyzją zwierzchników obserwujący go Roelf. Koszulka i szorty, które Manfred miał na sobie, ukazywały potężną lecz i niezwykle proporcjonalną budowę jego ciała, miedziane włosy okalały twarz o bardzo pociągających rysach. Ale to jasnozłociste oczy, oczy jak topazy stanowiły klucz do jego osobowości Nawet Roelf czuł, że zdobywając coraz większą ufność we własne siły i pewność siebie, Manfred zaczyna go powoli zaćmiewać.

„Będzie silnym przywódcą, takim, jakiego nam teraz tak rozpaczliwie potrzeba.”

Manfred podniósł się sprężysto, ocierając usta przedramieniem.

— Chodź, ciężkodupku, pościgamy się do domu — roześmiał się. — Ten, który przegrywa, jest bolszewikiem.

Ale Roelf powstrzymał go.

— Dzisiaj chciałem z tobą porozmawiać — wyznał. Manfred zmarszczył brwi.

— Stary, przecież my nic innego nie robimy, tylko w kółko gadamy! Dlaczego akurat tutaj?

— Bo tutaj nikt nas nie podsłucha. Mylisz się, Manie, niektórzy z nas nie tylko gadają, ale i coś robią. Przygotowujemy się do działania, do twardej walki, takiej, jaką tak bardzo *lubisz*.

Manfred odwrócił się wyraźnie zaintrygowany, podszedł bliżej i kucnął przez Roelfem.

— Kto? Co to za działanie? — spytał.

Roelf pochylił głowę.

— Tajne stowarzyszenie elity Afrykanerów, przywódców naszego narodu, ludzi u szczytu władzy, piastujących eksponowane stanowiska w rządzie, szkolnictwie, gospodarce. Oto kto, Manie. I nie tylko dzisiejszych przywódców, Manie, także jutrzejszych. Ludzi takich jak tyjja. Oto kto.

— Tajne stowarzyszenie? — Manfred odchylił się do tyłu na piętach.

— Nie tylko, Manie, coś znacznie więcej. Tajna armia gotowa do walki o nasz biedny sponiewierany naród. Armia ludzi gotowych zginąć w imię przywrócenia naszemu narodowi wielkości.

Manfred poczuł, że ciarki przebiegają mu po karku i ramionach, gdy dotarła do niego sensacyjność tej wiadomości. Zareagował natychmiast i bez cienia wahania.

— Żołnierze, Manie, oddziały szturmowe naszego narodu — ciągnął Roelf.

— Czy ty do nich należysz?

— Tak, należę, tak samo jak i ty. Zwróciłeś na siebie uwagę naszej rady najwyższej. Poproszono mnie, żebym zaprosił cię do przyłączenia się do naszego marszu ku przeznaczeniu, naszej walki o spełnienie jawnego przeznaczenia naszego ludu.

— Kto nami dowodzi? Jak się nazywa ta tajna armia?

— Dowiesz się, dowiesz się wszystkiego po złożeniu przysięgi wierności — obiecał Roelf i wyciągnąwszy rękę, mocno zacisnął palce na potężnym, twardym bicepsie Manfreda.

— Czy stawisz się na wezwanie głosu powinności? — spytał. — Czy przyłączysz się do nas, Manfredzie De La Rey? Czy nałożysz nasz mundur i staniesz do walki w naszych szeregach?

Krew holenderskich przodków Manfreda, podejrzliwą i skłoną do pełnej zadumy introspekcji, pociągała obietnica tajemnych intryg, a domieszka krwi niemieckiej tęskniła za porządkiem i dyscypliną stowarzyszeń militarnych, czegoś w rodzaju współczesnych zakonów rycerskich, toczących nieubłaganą i bezlitosną walkę w imię Boga i Ojczyzny. A choć nie zdawał sobie z tego sprawy, niepoślednią rolę odgrywała tu także odziedziczona po matce francuska skłonność do teatralnych gestów, wojskowej pompy, mundurów, sztandarów i orłów. Roelf Stander zdawał się proponować wszystko to razem.

Położył rękę na ramieniu Roelfa i przez długą chwilę wpatrywali się sobie w oczy, objęci uściskiem towarzyszy broni.

— Całym sercem — odparł cicho Manfred. — Przyłączę się do was całym sercem.

Księżyc w pełni stał wysoko nad górami za Stellenbosch, srebrząc ich nagie granie, zasnuwając wąwozy i przepaście najgłębszą czernią. Krzyż Południa jarzył się na aksamitnym nieboskłonie, ale przyćmiewał go zupełnie inny wielki ognisty krzyż, płonący znacznie bliżej i jaśniej na skraju leśnej

polany. Polana tworzyła naturalny amfiteatr, osłonięty ze wszystkich stron gęstym lasem iglastym, idealne miejsce tajnych spotkań, ukryte przed oczami wścibskich i wrogów.

Pod ognistym krzyżem stały szeregi szurmowców, ich skrzyżowane na piersiach pasy i metalowe sprzączki lśniły w blasku pochodni, które trzymali wysoko nad głowami. Nie było ich więcej niż trzystu, wszak stanowili elitę. Z durną i powagą obserwowali, jak z lasu wylania się grupka nowo zwerbowanych i schodzi po pochyłości polany do miejsca, gdzie czeka na nich generał.

Manfred De La Rey jako pierwszy stanął przed dowódcą, Z gołą głową, wyprężony na baczność. Miał na sobie czarną koszulę, bryczesy i wysokie, wyglansowane na lustro sztylpy, oficjalny strój tego tajnego rycerskiego zakonu, bez jakichkolwiek ozdób poza krótkich sztyletem w pochwie u pasa.

Dowódca wystąpił do przodu i zatrzymał się o krok od Manfreda. Był to wysoki, imponujący mężczyzna o surowej, ogorzałej twarzy i mocno zarysowanej, wystającej szczęce. Choć czarna koszula opinała mu się ciasno na sporym brzuchu, był mężczyzną w kwiecie wieku, w pełni swych męskich sił, czarnogrzywym lwem, od którego biła durna, władczość i wrodzone zdolności przywódcze.

Manfred natychmiast go rozpoznał, bo jego twarz często pojawiała się na pierwszych stronach poczytnych gazet. Piastował wysoką funkcję rządową, był administratorem jednej z prowincji kraju, jego wpływy sięgały szeroko i daleko.

— Manfredzie De La Rey — spytał donośnie dowódca. — Czy jesteś gotów złożyć przysięgę krwi?

— Jestem gotów — odparł czystym głosem Manfred i wyciągnął z pochwy sztylet.

Z szeregu za jego plecami wystąpił Roelf Stander, w pełnym mundurze, w czapce i sztylpach, z oznaką złamanego krzyża na prawym ramieniu i wyjął z kabury pistolet. Odbezpieczył go i przystawił Manfredowi do piersi, celując prosto w serce. Manfred ani drgnął. Roelf był jego wprowadzającym, a pistolet symbolizował fakt, że gdyby Manfred kiedykolwiek złamał przysięgę krwi, którą miał za chwilę złożyć, to właśnie Roelf wykona na nim wyrok śmierci.

Dowódca z namaszczeniem wręczył Manfredowi kartę sztywnego pergaminu, iluminowaną u góry herbem zakonu: stylizowanym różkiem na proch, takim jak te, których używali pierwsi *trekkerzy*, pionierzy ich narodu. Poniżej wydrukowano tekst przysięgi. Manfred wziął kartę w jedną rękę, a drugą przystawił sobie własny sztylet do piersi, co miało symbolizować jego gotowość oddania życia za ideały stowarzyszenia.

— Przed Bogiem Wszechmogącym i w przytomności mych towarzyszy — przeczytał na głos — podporządkowuję się całkowicie nakazom poprowadzenia naszego narodu ku wyznaczonemu mu boskim zrządzeniem przeznaczeniu. Przysięgam dochować wierności ideałom Ossewy Brandwag, strażnika afrykanerskiego marszu, i wykonywać rozkazy swych zwierzchników. Przysięgam na życie dochować tajemnicy, nigdy nie zdradzić świętych działań i poczynań Ossewy Brandwag. A gdybym złamał tę przysięgę, zdradził swych towarzyszy lub swój lud, żądam, by jak zdrajcę zemsta ścigała mnie aż po grób. Niech wszyscy usłyszą to żądanie!

Gdybym pan do przodu, bież za mną,

Gdybym chciał się cofnąć, zastrzel mnie.

Gdybym zginął, nie zapomnij mnie pomścić.

Tak mi dopomóż Bóg!

I Manfred przeciągnął srebrzystym ostrzem po nadgarstku, aż jego ciemnorubinowa w świetle pochodni krew spryskała kartę pergaminu.

Dowódca postąpił krok do przodu, żeby go uściskać, a przez szeregi za jego plecami, niczym wojenny okrzyk legionów, przetoczył się ryk radosnej aprobaty. Roelf Stander wsunął naładowany pistolet z powrotem do kabury, czując w oczach pieczenie łez dumy, a kiedy dowódca cofnął się o krok, chwycił rękę Manfreda w obie dłonie.

— Bracie — szepnął łamiącym się głosem. — Teraz naprawdę jesteśmy braćmi.

W połowie listopada Manfred zdał egzaminy końcowe pierwszego roku prawa i zajął trzecią lokatę na stu pięćdziesięciu trzech studentów.

Trzy dni po ogłoszeniu wyników sesji reprezentacja bokserska Stellenbosch wyjechała ze swym trenerem na mistrzostwa międzyuczelniane. W tym roku gospodarzem mistrzostw był Uniwersytet Witwatersrandu w Johannesburgu, a udział w nich zgłosiły drużyny uczelni ze wszystkich prowincji i najdalszych zakątków kraju.

Reprezentacja Stellenbosch wybierała się w tysiącpięćsetkilometrową podróż pociągiem, na stację odprowadzał ją rozradowany i rozśpiewany tłum studentów i pracowników uczelni. Wuj Tromi ucałował na pożegnanie swoje kobiety, zaczynając od ciotki Trudi i kończąc na Sarah, najmłodszej, stojącej na samym końcu, a Manfred poszedł w jego ślady. Miał na sobie sweter w barwach uczelni i słomkowy kapelusz i wydawał się w nim tak wysoki, tak piękny, że Sarah nie wytrzymała i kiedy się nad nią pochylił wybuchnęła płaczem. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego ze wszystkich sił.

— No, no, nie zachowuj się jak głupia gąska — mruknął jej nad uchem Manfred dziwnie stężonym głosem, bo dotknięcie jej aksamitnego, rozpalonego policzka przyprawiło go o dziwne, nieznane wcześniej drżenie.

— Ocli, Manie, jedziesz tak daleko! — Starła się ukryć łzy wtulając twarz w załamanie jego szyi. — Nigdy jeszcze nie oddalałmsy się tak od siebie.

— No już, małpko, ludzie patrzą — skarcił ją łagodnie. — Daj buziaka, a ja ci w zamian przywiozę jakiś prezent.

— Nie chcę żadnych prezentów — zachlipała. — Chcę ciebie.

I uniósłszy swoją śliczną twarzyczkę dotknęła wargami jego ust. Te wargi zdawały się topić od własnego żaru, były wilgotne i słodkie jak dojrzałe jabłko.

Ich kontakt trwał ledwie kilka sekund, ale Manfred odebrał go z taką ostrością, jakby trzymał Sarah w ramionach zupełnie nagą. Ogarnięty poczuciem winy i odrazą do samego siebie za natychmiastową zdradziecką reakcję własnego ciała i grzeszne zło, które jakby tliło mu się we krwi, by naraz ogarnąć pożarem wszystkie jego myśli, odsunął się od niej szorstko, wskoczył na pomost wagonu i dołączył do rozbrykanych i strojących rubaszne żarty kolegów z drużyny, zostawiając ją na peronie z oszołomioną miną skrzywdzonego dziecka i wciąż jeszcze wyciągniętymi do niego rękoma.

Kiedy pociąg ruszył, stała nieco z boku, kilka kroków od pozostałych dziewcząt, a gdy tłum odprowadzających zaczął opuszczać peron, zwlekała z odejściem, patrząc w ślad za nabierającym szybkości pociągiem, aż zniknął u podnóża gór.

Kiedy kolejny zakręt skrył ich przed wzrokiem patrzących ze stacji, Manfred wsunął głowę do wagonu i wtedy spostrzegł, że Roelf Stander przygiada mu się z kpiącym uśmiechem i właśnie otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

— *Hou jou bek!* — warknął strzegawczo, wściekły na siebie i nękania wyrzutami sumienia. — Zamknij dziób, stary!

Mistrzostwa międzyuczelniane rozgrywano we wszystkich kategoriach wagowych i pięciu

grupach eliminacyjnych; w ten sposób zawodnicy walczyli co drugi dzień. Manfreda wystawiono z numerem drugim w jego kategorii wagowej, co oznaczało, że z aktualnym posiadaczem pasa mistrzowskiego spotka się prawdopodobnie w finale. Był mm świeżo upieczony absolwent inżynierii na Uniwersytecie Witwatersrand. W całej swojej karierze nie przegrał ani jednej walki i ogłosił już, że po olimpiadzie, na którą był niemal pewnym kandydatem, przejdzie na zawodowstwo.

Lew Kalahari stoi przed najtrudniejszym wyzwaniem w całej swej błyskawicznej karierze. Czy zdała wytrzymać takie same ciężki jak te, które sam zwykle spuszcza swym przeciwnikom? Jeśli wszystko potoczy się tak, jak powszechnie się tego oczekuje, Jan Rushmore dostarczy nam wkrótce odpowiedzi na to nurtujące rzesze kibiców pytanie — pisał sprawozdawca sportowy „Rand Daily Mail”. — W tej kategorii wagowej nie ma chyba nikogo, kto mógłby poważniej zagrozić De La Reyowi i nie dopuścić do jego spotkania z Janem Rushmorem w sobotnim finale, dwudziestego grudnia 1935 roku. Słynny prawy prosty Rushmore, granit i dynamit, przeciwko błyskawicznemu, potężnym oburęcznym seriom De La Reya. Będzie to pojedynek, którego Wasz korespondent nie opuściłby za całe złoto spoczywające pod ulicami Johannesburga.”

Pierwsze dwie walki eliminacyjne Manfred wygrał z niemal obraźliwą łatwością. Obaj przeciwnicy, wyraźnie zatraszeni jego sławą, skapitulowali w drugiej rundzie przed ciężkim ostrzałem czerwonych rękawic. Sroda była dla Manfreda dniem odpoczynku.

Wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali, wymknął się z bursy na terenie miasteczka uniwersyteckiego, gdzie ich zakwaterowano i rezygnując ze śniadania zdążył złapać pierwszy pociąg z dworca centralnego w Johannesburgu. Po niecałej godzinie jazdy przez otwary *veld* wysiadł na stacji w Pretorii, powoli zjadł jakąś kanapkę w dworcowy bufecie i zebrawszy się w końcu w sobie ruszył na poszukiwania, choć nogi ciążyły mu jak ołów.

Centralne więzienie w Pretorii było brzydkim, odpychającym czworobocznym budynkiem o równie przygnębiającym wnętrzu. W tym właśnie zakładzie dokonywano wszystkich egzekucji i tu przetrzymywano skazanych na dożywocie. Manfred podszedł do wejścia dla odwiedzających, zamienił kilka słów z ponurym wartownikiem w informacji i wypełnił formularz podania. Doszedłszy do rubryki: „Stopień pokrewieństwa z więźniem” zawahał się, lecz śmiało wpisał „syn”.

Kiedy oddał podanie, strażnik przeczytał je powoli, po czym podniósł wzrok i popatrzył na niego poważnie.

— Nikt nigdy go nie odwiedził powiedział bezosobowo. — Przez tyle lat.

— Wcześniej nie mogłem przyjechać — próbował się usprawiedliwi Manfred. — Z różnych powodów.

— Wszyscy tak mówią. — Nagle wyraz twarzy strażnika uległ zmianie. — Ty jesteś tym bokserem, prawda?

— Tak — Manfred skinął głową, po czym pod wpływem niespodziewanego impulsu dał strażnikowi tajny znak OB. W oczach strażnika błysnęło zaskoczenie, lecz natychmiast spuścił je na trzymane w ręku podanie.

— No, dobrze, usiądź sobie, zawołam cię, kiedy ojciec będzie gotow — powiedział łagodniejszym tonem i pod osłoną blatu biurka pokazał Manfredowi taki sam znak Ossewy Brandwag. — Zabij w sobotę tego skurwysyna — szepnął i odwrócił się. Ten niezbitý dowód, jak szeroko rozpościera swe ramiona bractwo synów Volku, był niezwykle krzepiący.

Dziesięć minut później strażnik zaprowadził Manfreda do pomalowanej na zielono celi o wysokich, zakratowanych oknach, której jedyne umeblowanie stanowił zwykły stół z desek i trzy

krzesła o prostych oparciach. Na jednym z nich siedział jakiś zupełnie obcy, stary człowiek. Manfred nie zatrzymał na nim nawet wzroku, tylko spojrzął oczekująco na przeciwnie leżące drzwi.

Nieznajomy podniósł się powoli z krzesła. Był chudy, przygarbiony wiekiem i ciężką pracą, skórę miał obwisłą, pomarszczoną i pokrytą plamami od słońca. Resztki włosów, białych i matowych niczym surowa bawełna, rzadkim wianuszkciem okalały cętkowaną jak jajo siewki łysinę. Cienka szyja sterczała mu z kołnierzyka perkalikowej więziennej koszuli jak żółwiowi z otworu w skorupie. Z wyblakłych, wodnistych, zaczerwienionych oczu płynęły mu starcze łzy, zbierające się na rzęsach niczym krople rosy.

— Tata...? — szepnął Manfred z niedowierzaniem na widok kikuta amputowanej ręki i stary człowiek rozplakał się bezgłośnie. Ramiona mu zadrżały, łzy przelały się przez obwiedzione czerwono worki powiek i spłynęły po policzkach.

— Tato! — zawołał Manfred ksztusząc się z bezsilnej wściekłości. Co om z tobą zrobili?! Rzucił się ku ojcu, by zamknąć go w ramionach, zasłonić przed strażnikiem jego twarz, ochronić go, ukryć jego słabość i łzy.

— Tato, tato! — powtarzał bezradnie, poklepując przez szorstki materiał koszuli wychudłe ramiona. Obejrzał się przez ramię z niemym błaganiem w oczach.

— Nie mogę was zostawić samych. — Strażnik zrozumiał, ale tylko potrząsnął głową. — Takie zarządzenie. Mógłbym stracić nie tylko pracę.

— Proszę... — szepnął Manfred.

— Czy dasz mi braterskie słowo honoru, że nie dopomożesz mi w ucieczce?

— Braterskie słowo honoru! — przysiągł Manfred.

— Dziesięć minut — rzucił krótko strażnik. — Więcej wam dać nie mogę. — Odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą na klucz zielone stalowe drzwi.

— Tato... — Manfred usadził drżącego starca z powrotem na krzesło i ukląkł obok niego.

Lothar De La Rey otarł mokre policzki otwartą dłonią i spróbował się uśmiechnąć, lecz wargi i głos mu drżały.

— Patrz, rozmazałem się jak stara baba. To wszystko przez to, że cię znów widzę. Już w porządku, nic mi nie jest. Niech no na ciebie popatrzę, daj mi na siebie popatrzeć.

Odchylił się do tyłu i przesunął spojrzeniem po twarzy syna.

— Ale chłop w ciebie wyrósł, ale chłop... Wysoki i krzepki, dokładnie jak ja w twoim wieku. — Przesunął palcami po twarzy Manfreda. Rękę miał zimną, a skórę szorstką jak skóra rekina.

— Czytałem o tobie, synku. Pozwalają nam czytać gazety. Wyciąłem wszystko, co pisali o tobie, i trzymam pod materacem. Jestem taki z ciebie dumny, taki dumny. Wszyscy tutaj jesteście, nawet klawisze.

— Tato, jak oni cię traktują? — przerwał mu Manfred.

— Dobrze, Manie, zupełnie dobrze. — Lothar spuścił wzrok i usta obwisły mu z rozpacz. — Tylko że... na zawsze to tak długo. Tak długo, Manie, tak długo... Czasami myślę o pustyni, o horyzontach, których dal rozmywa się w delikatną mgiełkę. o błękitnym niebie wysoko nad głową... — Urwał i spróbował się uśmiechnąć. — I o tobie, o tobie myślę codziennie. Nie ma dnia, żebym nie modlił się do Boga, by miał cię w swojej opiece.

— Nie, tato, proszę... — zawołał błagalnie Manfred. — Nie mów tak, bo ja też się rozplaczę. — Podniósł się z klęczek i przysunął sobie drugie krzesło. — Ja też o tobie myślałem, tato, myślałem codziennie. Chciałem do ciebie napisać. Rozmawiałem o tym nawet z wujem Trompem, ale on

powiedział, że lepiej będzie...

Lothar zacisnął mu rękę na ramieniu, zmuszając do milczenia.

— *Ja*, Manie, tak było najlepiej. Tromp Bierman to mądry człowiek, on wie, co najlepsze. — Znów się uśmiechnął, tym razem bardziej przekonująco. — Jak ty wyrosłeś, i ten kolor włosów, dokładnie taki jak ja kiedyś miałem. Poradzisz sobie, wiem, że sobie poradzisz. Co masz zamiar robić w życiu? Mów szybko, mamy tak mało czasu.

— Studiuję prawo w Stellenbosch. Pierwszy rok skończyłem z trzecią lokatą.

- To cudownie, synku. A co potem?

— Jeszcze nie wiem, tato, ale chyba będę walczył o nasz naród. Wydaje mi się, że czuję powołanie do walki o słuszne prawa naszego narodu.

— Polityka? — spytał Lothar, a kiedy Manfred potwierdził skinieniem głowy, dodał: — To trudna droga, kręta i wyboista. Ja zawsze wolałem proste. Strzelbę w garść, na koń i prosto przed siebie. — Nagle roześmiał się z ironią. — i patrz, dokąd mnie te proste drogi zaprowadziły.

— Ja też będę walczył, tato. Kiedy nadejdzie pora, i na polu, które sam wybiorę.

— Och, synku, historia tak okrutnie się z nami obchodzi. Czasami dochodzę do rozpaczliwego wniosku, że widać jesteśmy skazani na wieczną poniewierkę.

— Nieprawda! — Twarz Manfreda stężała, głos zaczął mu się łamać. — Nasz dzień jeszcze nadejdzie, może nawet już świta. Nasza poniewierka nie potrwa już długo. — Ogarnęło go pragnienie, żeby opowiedzieć ojcu o wszystkim, przypomniał sobie jednak przysięgę krwi i umilkł.

— Manie... — Lothar nachylił się ku niemu, rozejrzał po celi i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. — Te diamenty... Masz je jeszcze? — spytał i natychmiast wyczytał z twarzy Manfreda odpowiedź.

— Co się z nimi stało? — Lothar był tak przybity, że trudno było na to patrzeć. — To był twój spadek po mnie, jedyny jaki mogłem ci zostawić. Gdzie one są?

— Wuj Tromp... znalazł je wiele lat temu. Powiedział, że ciąży na nich zło, że pochodzą z kuźni Szatana, i kazał mi je zniszczyć.

— Zniszczyć? — powtórzył Lothar, jakby nie pojmował co Manfred do niego mówi.

— Rozbić młotem na kowadle. Na proszek, wszystkie, co do jednego.

Oczy Lothara buchnęły płomieniem, jak za dawnych czasów, kiedy ogarniała go furia. Zerwał się w krzesła i zaczął biegać po celi jak tygrys w klatce.

— Tromp Bierman! Och, żebym go dostał w swoje ręce! Zawsze był z niego kawał upartego, świętoszkowatego hipokryty... — Urwał w pół zdania i podszedł szybko do syna.

— Manie, ich jest więcej. Pamiętasz? Pamiętasz to wzgórze na pustyni? Zostawiłem je tam dla ciebie. Musisz po nie wrócić.

Manfred spuścił głowę. Przez wszystkie lata starał się usunąć z pamięci to wspomnienie. Wspomnienie zła, wielkiego zła, strachu, poczucia winy i rozpacz. Starał się wykreślić z pamięci ten okres swego życia. Upłynęło już tyle lat, że niemal mu się to udało, lecz oto teraz słowa ojca przypomniały mu przyprowadzający o mdłości smród gangreny i obraz worka skarbów, ześlizgującego się w głąb skalnej rozpadliny.

— Zapomniałem, jak tam trafić, tato. Nie ma mowy, żebym znalazł drogę.

Lothar chwycił go za ramię.

— Hendrick! — wybełkotał. — Swart Hendrick! On wie... on cię zaprowadzi.

— Hendrick... — Manfred zamrugał oczyma. To było czyjeś nazwisko... z dawnej przeszłości, na

wpół zapomniane. I nagle przed oczami stanęła mu wielka lysa głowa, głowa jak czarna kula armatnia. — Hendrick — powtórzył. — Ale on odszedł. Nie mam pojęcia gdzie. Wrócił na ustynię. Jak miałbym go znaleźć?

— Nie, nie, Manie, on jest tutaj, w Witwatersrandzie, zupełnie blisko. Jest teraz ważną figurą, wodzem wśród swoich.

— Skąd to wiesz?

— Z grypsów! My tutaj wiemy o wszystkim. Przychodzą z zewnątrz z informacjami i wiadomościami. Wiemy o wszystkim. Hendrick odezwał się do mnie. Nie zapomniał. Byliśmy kumplami. Przejechaliśmy razem dziesięć tysięcy kilometrów, stoczyliśmy setki bitew. Dał znać, gdzie go mogę znaleźć, gdyby kiedykolwiek udało mi się uciec z tego przekłętego miejsca. — Lothar nachylił się, chwycił głowę syna w obję ręce, przyciągnął ją do siebie i prosto do ucha wyszeptał natarczywie: — Musisz tam po nie wrócić! On cię zaprowadzi do granitowego kopca przed Okayango i... O Boże, jakże chciałbym móc znów pojechać z wami przez pustynię!

Rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Lothar odchylił się gwałtownie i szarpiąc Manfreda za ramię szepnęła błagalnie:

— Przyrzeknij mi, że po nie wrócisz, Manie!

— Tato, te kamienie to zło.

— Przyrzeknij mi, synku, przyrzeknij, że nie na darmo wycierpiałem tyle lat zamknięcia.

Przyrzeknij, że po nie wrócisz!

— Przyrzekam, tato — szepnął cicho Manfred i w tej samej chwili do celi wszedł strażnik.

— Przykro mi, ale widzenie skończone.

— Czy mogę odwiedzić ojca jutro?

Strażnik przecząco pokręcił głową.

— Jedno widzenie na miesiąc.

— Napiszę do ciebie, tato. — Manfred odwrócił się, żeby uściskać Lothara. — Od tej pory będę do ciebie pisał co tydzień.

Ale Lothar skinął tylko obojętnie głową. Jego twarz utraciła wszelki wyraz, oczy przesnuła mu mgła.

— *Ja*, napisz do mnie czasem — mruknął i powłócząc nogami wyszedł z celi.

Manfred wpatrywał się w zamknięte zielone drzwi, aż strażnik położył mu rękę na ramieniu.

— Chodźmy.

Szedł do wyjścia dla odwiedzających targany burzą sprzecznych uczuć. Dopiero kiedy znalazł się y blasku słońca przed bramą i ujrzał nad głową błękit afrykańskiego nieba, które z taką tęsknotą wspominał ojciec, jedno z nich wybiło się ponad wszystkie inne i zagłuszyło całą resztę — wściekłość, ślepa, bezradna wściekłość.

Ta wściekłość narastała w nim w ciągu następnych dni, aż wreszcie osiągnęła szczyt. Kiedy w lśniącym jedwabnym szlafroku i krwistoczerwonych rękawicach ruszył przejściem między rzędami rozkrzyczanych, wiwatujących widzów ku jasno oświetlonemu ringowi, czuł w sercu tylko jedno — żądzę mordy.

Centaine obudziła się na długo przed Blainem. Żal jej było każdej sekundy zmarnowanej na sen. Na dworze wciąż jeszcze panowała ciemność, bo domek stał u podnóża wysokiej, płaskiej góry, która zasłaniała go przed pierwszym światłem brzasku, ale z maleńkiego ogrodu dobiegał już zaspany

świertgot ptaków. Na jej polecenie kamienny murek wokół ogrodu obsadzono wabiącymi je pnąciami, a ogrodnik codziennie uzupełniał zapas ziarna w karmnikach.

Poszukiwania idealnego domku trwały całe miesiące. Musiał być dyskretnie odizolowany od otoczenia i mieć zamknięte garaże dla daimlera i nowego bentleya Blaine'a, samochodów, które natychmiast zwracały na siebie uwagę. Nie mógł być oddalony o więcej niż dziesięć minut spacerem od parlamentu i gabinetu Blaine'a w skrzydle imponującego gmachu Herberta Bakera, zarezerwowanym dla członków rządu. Musiał mieć widok na Górę Stołową i znajdować się w jednej z gorszych dzielnic, gdzie nie zapuszczali się ich przyjaciele i wrogowie, koledzy Blaine'a z parlamentu, dziennikarze. Lecz przede wszystkim musiał mieć ten szczególny nastrój.

Kiedy go w końcu znalazła, nawet nie zauważyła poplamionych i wyblakłych tapet, wystrzępionych dywanów na podłodze. Stała pośrodku dużego pokoju i uśmiechnęła się ciepło. „Mieszkali tu szczęśliwi ludzie. Tak, to jest to. Biorę go.”

Zakupiła dom na jedną ze swych firm holdingowych, ale jego remontu nie powierzyła żadnemu architektowi ani projektantowi wewnątrz. Od początku do końca wymyśliła wszystko sama i osobiście nadzorowała postęp robót.

„To będzie najcudowniejsze gniazdko miłosne, jakie kiedykolwiek zbudowano.” — Postawiła sobie jak zwykle niesłychanie wysokie wymagania i przez cały czas trwania prac każdy ranek spędzała na konsultacjach z właścicielem firmy budowlanej, jego murarzami, stolarzami i hydraulikami. Wyburzono ściany między czterema małymi sypialniami urządzając w tym miejscu buduar z wielkimi balkonowymi oknami z widokiem na otoczony murem z żółtego piaskowca ogród i strzelające za nim pod niebo szare urwiska Góry Stołowej. Wybudowano dwie osobne łazienki, dla Blaine'a — z kremowego, rubinowo żyłkowanego włoskiego marmuru ze złotą armaturą i dodatkami, dla Centaine — w kształcie beduińskiego namiotu z blad różowego jedwabiu.

Antyczne, inkrustowane kością słoniową i bogato złożone łóżko było zabytkiem klasy muzealnej, dziełem mistrzów rzemiosła włoskiego renesansu.

— Zawsze możemy je wykorzystać do posezonowych rozgrywek w Polo — zauważył Blaine, kiedy ujrzał je po raz pierwszy. Na ścianie naprzeciw łóżka powiesił swego wspaniałego Turnera; pełen słońca, złocisty pejzaż morski. Bonnarda umieściła w jadalni oświetlonej żyrandolem w kształcie odwróconej świątecznej choinki z rozmigotanych kropelek kryształu, tam też w przepięknej serwantce wystawiła najcenniejsze przedmioty ze swej kolekcji sreber z okresu królowej Anny i Ludwika XIV.

Zatrudniła czterech stałych służących, w tym ogrodnika i osobistego kamerdynera dla Blaine'a. Na kucharza wybrała Malaja, który przyrządzał najwspanialsze pilawy, *boboty* i *rystafele*, jakie Blaine, uwielbiający ostrą kuchnię i rozsmakowany w potrawach typu curry, jadł w swoim życiu.

Kwaciarka ze straganu przed Groote Kerk niedaleko parlamentu dostała zlecenie na codzienne dostawy ogromnych bukietów żółtych róż, a małą piwniczkę domku zaopatrzone w najszlachetniejsze wina z przepastnych piwnic Weltevreden. W spiżarni ogromnym kosztem zainstalowano pokój-chłodnię, by można było w idealnym stanie przechowywać szynki, sery, słoje kawioru, platy wędzonego szkockiego łososa i inne tego typu artykuły pierwszej potrzeby.

A jednak, pomimo rozmachu i pieczołowitej dbałości o szczegóły, pomimo całego serca włożonego w urządzenie domku, mogli mówić o szczęściu, jeśli udało im się spędzić w nim jedną noc w miesiącu. Choć bywały i inne kradzione godziny, wyłuskiwane jak diamenty i gromadzone przez Centaine, jakby była najchciwszym ze skąpców: jakiś lunch w przerwie obrad parlamentu lub

spotkanie o północy po wyjątkowo długiej debacie; jakieś popołudnie — o nieba, cóż to były za popołudnia! — gdy Izabela była przekonana, że Blaine trenuje polo lub bierze udział w posiedzeniu rządu.

Odwróciła głowę w bok na ozdobionej koronką poduszce i spojrzała na ukochanego. W sącącym się przez okiennice srebrzystym świetle brzasku jego twarz wydawała się wyrzeźbiona z kości słoniowej. Z tą władczą linią nosa i ust wyglądał jak śpiący rzymski cesarz.

„Tylko uszy ma mało cesarskie” — pomyślała i zdusiła w sobie chęć roześmiania się. To dziwne, że po trzech latach wciąż jeszcze w jego obecności zaczynała się czuć jak młoda dziewczyna. Podniosła się ostrożnie, żeby nie ugiąć materaca i nie zakłócić mu snu, i podnosząc po drodze z leżanki swój peniuar przeszła do łazienki.

Szybko wyszczotkowała włosy sprawdzając, czy nie znajdzie wśród nich pierwszych śladów siwizny, uspokojona umyła zęby i za pomocą kieliszka z błękitnego szkła specjalnym płynem przepłukała oczy, aż znów były idealnie białe i błyszczące. Potem wklepała w twarz krem i starannie usunęła jego nadmiar. Blaine lubił, kiedy jej skóra nie nosiła nawet śladu żadnych kosmetyków. Korzystając z bidetu uśmiechnęła się na wspomnienie jego zdumienia, kiedy ujrzał ten wynalazek po raz pierwszy.

— Cudownie! — zawołał. — Poidło dla konia w łazience! Jakież to przydatne!

Czasami bywał romantyczny jak Francuz. Roześmiała się w oczekiwaniu rozpoczynającego się dnia, chwyciła z szafy świeży jedwabny peniuar i pobiegła do kuchni. Służba krzątała się gorączkowo, paplając w podnieceniu, bo pan był w domu, a wszyscy wprost ubóstwiali Blaine'a.

— Masz je, *hadzi*? — spytała, używając tytułu należnego osobom, które odbyły pielgrzymkę do Mekki. Malaj uśmiechnął się i pokazał z dumą dwa grube soczyste pstrągi. W swoim czerwonym fezie z czarnym chwastem wyglądał jak bursztynowy gnom.

— Przyjechały wczoraj statkiem pocztowym, proszę pani — pochwalił się.

— *Hadzi*, jesteś prawdziwym cudotwórcą — zawołała Centaine. Szkockie pstrągi w okresie tarła były ulubionym przysmakiem śniadaniowym Blaine'a. — Przyrządzisz je tak, jak to lubi, prawda? — Blaine lubił je duszone w mleku. Urażony niewłaściwością tego pytania kucharz spojrzał na nią z wyrzutem i bez słowa odwrócił się do kuchni.

Dla Centaine była to cudowna zabawa, pozwalająca choć na chwilę zapomnieć o otaczającym ich świecie, udawać, że jest żoną Blaine'a, że Blaine naprawdę należy właśnie do niej. Toteż czujnym wzrokiem wodziła za Miriam, mielącą świeżo upaloną kawę, i Khalilem, który wycesał właśnie szary, prążkowany garnitur Blaine'a i zabierał się do nadawania jego butom lustrzanego połysku. Stwierdziwszy, że przygotowania postępują jak należy, zostawiła służących i na palcach wróciła do zaciemnionej sypialni.

Kiedy stanęła przy łóżku i spojrzała na śpiącego Blaine'a, poczuła, że zapiera jej dech w piersi. Po tylu latach jego widok wciąż jeszcze tak na nią działał.

„Jestem wierniejsza niż jakakolwiek żona... Posłuszniejsza bardziej kochająca, bardziej...

Chwycił ją za rękę tak raptownie, że krzyknęła ze strachu. Pociągnął ją ku sobie, przewrócił na łóżko i przyrzucił prześcieradłem.

— Wcale nie spałeś! — protestowała z udawanym oburzeniem. — Jesteś okropny! Nigdy nie można ci wierzyć!

Wciąż jeszcze, gdy istniała po temu okazja, potrafili doprowadzić się do stanu absolutnego zapamiętania, wprawić w zmysłowe szaleństwo wiodące nieuchronnie do eksplozji światłości i .

barw jak na obrazie Turnera na ścianie przed łóżkiem. Ale coraz częściej było tak jak tego ranka — spokojnie zamykali się w fortecy swej miłości, potężnej i niezdobytej. Opuścili ją niechętnie, z ociąganiem, lecz promienie słońca wpadające przez szpary w okiennicach zalewały już pokój złocistym blaskiem, a z tarasu za oknami dobiegał brzęk zastawy na nakrywanym przez *hadziego* do śniadania stole.

Przyniosła Blaine'owi długi, błękitny szlafrok z chińskiego jedwabiu, haftowany brokatem i oblamowany purpurą, z aksamitnymi klapami i paskiem wyszywanym drobnymi perłami. Wybrała go, ho był tak niezwykle egzotyczny, tak bardzo kontrastował z surowo eleganckim stylem, z jakim Blaine nosił się na co dzień.

— Za nic w świecie nie założyłbym tego na siebie w obecności kogokolwiek poza tobą — powiedział, kiedy sprezentowała mu go na urodziny, trzymając szlafrok na odległość wyciągniętej ręki.

— Spróbowałbyś tylko! — odparła z groźbą w głosie. Kiedy jednak minął pierwszy szok, Blaine polubił nakładać ten szlafrok na czas spędzanych wspólnie w domku chwil.

Trzymając się za ręce wyszli na taras. *Hadzi* i Miriam rozpromienili się na ich widok i kłaniając się usadzili ich przy ustawionym w porannym słońcu stole.

Centaine błyskawicznym lecz uważnym spojrzeniem omiotła zastawę, stwierdzając, że wszystko jest dokładnie, jak być powinno — od róż w wazonie z pracowni LaLique'a i śnieżnobiałego obrusu po kryształową karafkę od Fabergé z ornamentami ze złoczonego srebra, napełnioną świeżym sokiem z grejpfrutów. Dopiero wtedy rozłożyła poranną gazetę i zaczęła czytać Blaine'owi najnowsze wiadomości.

Zawsze w tej samej kolejności: nagłówki, potem doniesienia z parlamentu — czekając po każdym na jego komentarz i dodając własne zdanie na dany temat — następnie sprawozdania finansowe i giełdowe, a na końcu sport, ze szczególnym uwzględnieniem wszystkich wzmianek o Polo.

— O, widzę, że wczoraj przemawiałeś. *Związła odpowiedź ministra bez teki.*

Blaine z uśmiechem nadział na widelec płat pstrąga.

— Nie tyle związła — sprostował — co na odczepnego.

— Co to za tajne stowarzyszenia? O co tu chodzi?

- A, zrobiło się trochę zamieszania wokół tych paramilitarnych organizacji zainspirowanych, zdaje się, przykładem uroczego *Herr* Hitlera i jego bandy politycznych zbirów.

— To coś poważnego? — Pociągnęła maleńki łyk kawy. Wciąż jeszcze nie mogła przyzwyczać żołądka do tych angielskich śniadań. — Wydawało mi się, że raczej zbagatelizowałaś tę sprawę. — Podniosła nagle głowę i spojrzała na niego spod oka. — Udawałaś, tak? — Zawsze potrafiła przejrzeć go na wylot.

— Twojej uwadze nigdy nic nie ujdzie, prawda? — Uśmiechnął się z miną winowajcy.

— Możesz o tym mówić?

— Właściwie nie powinienem — odparł, marszcząc czoło. Lecz przecież nigdy jeszcze nie zdradziła jego zaufania. — Rzeczywiście, jesteście mocno zaniepokojeni — przyznał. — Szczerze mówiąc, *Ou Baas* uważa nawet, że to najpoważniejsze zagrożenie od czasu rebelii w roku dziewięćset czternastym, kiedy to De Wet wezwał wszystkie swoje oddziały do walki za kajzera. Cała sprawa jest niezwykle drażliwa z politycznego punktu widzenia i stanowi potencjalne pole minowe. — Urwał, ale choć Centaine wiedziała, że to nie wszystko, czekała cierpliwie, aż sam

zdecyduje się jej to powiedzieć. — No dobrze, *Ou Baas* polecił mi objąć przewodnictwo komisji, w jej skład wchodzi członkowie rządu, sprawa jest ściśle poufna, do zbadania działalności Ossewy Brandwag, najbardziej skrajnej i najszybciej rozrastającej się z tych organizacji. Gorszej nawet niż Broederbond.

— Dlaczego tobie? To paskudne zadanie, prawda?

— Owszem, paskudne. Wybrał mnie, ponieważ nie jestem Afrykanerem. Ma to zapewnić bezstronność osądu.

— Rzecz jasna słyszałam o OB. Mówi się o niej od lat, ale właściwie nikt nie wie nic konkretnego.

— Prawicowa nacjonalistyczna ekstrema, rasizm, antysemityzm, zrzucanie winy za wszystkie bolączki na perfidny Albion, tajne przysięgi krwi, zloty i rajdy o północy — jednym słowem coś w rodzaju neandertalskich skautów, czerpiących natchnienie z *Mein Kampf*.

— Nie czytałam tej książki, a wszyscy o niej mówią. Czy była przekładana na angielski lub francuski?

— Oficjalnie nie, ale mam tłumaczenie z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To zbiór koszmarów i plugastwa, podręcznik nagiej agresji i bigoterii. Pożyczyłbym ci swój egzemplarz, ale to naprawdę odrażająco zła literatura, a zawarte w niej treści przyprawiłyby cię o mdłości.

— Może rzeczywiście nie jest wybitnym pisarzem — zgodziła się Centaine. — Ale cokolwiek by mówić, Blaine, po całkowitej klęsce Republiki Weimarskiej Hitler znów postawił Niemcy na nogi. To jedyny kraj na świecie, gdzie nie ma bezrobocia, a gospodarka przeżywa burzliwy rozwój. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy wartość moich akcji Kruppa i Farben wzrosła niemal dwukrotnie. — Urwała, widząc jego minę. — Co się stało?

Blaine odłożył nóż i widelec i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

— Masz akcje niemieckiego przemysłu zbrojeniowego? — spytał z niedowierzaniem. Centaine potwierdziła skinieniem głowy.

— To moja najlepsza inwestycja od czasu odejścia od standardu... - Nie dokończyła. Nigdy do tego nie wracali.

— Nigdy cię o nic nie prosiłem, prawda? — spytał.

— To prawda, nigdy — odparła po chwili zastanowienia.

— No więc teraz cię proszę. Sprzedaj wszystkie akcje niemieckich fabryk zbrojeniowych.

— Dlaczego? — spytała wyraźnie zdumiona.

— Bo to jest tak, jakbyś inwestowała w propagowanie raka albo finansowała podboje Dżyngis-chana.

Nic nie odpowiedziała, tylko jej twarz przybrała nieobecny wyraz, spojrzenie straciło ostrość, a oczy zjechały się w leciutki zez. Kiedy zrobiła to po raz pierwszy, mocno go wystraszyła. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że kiedy wyłącza się tak nagle, robi po prostu w pamięci obliczenia. Szybkość z jaką ich dokonywała nieodmiennie wprawiała go w najwyższy podziw.

Z drgnieniem powiek znów spojrzała prosto na niego i uśmiechnęła się.

— Po wczorajszym kursie zarobiłabym na nich sto dwadzieścia sześć tysięcy funtów. Więc chyba i tak pora byłaby je sprzedać. Zaraz po otwarciu poczty zatalegrafuję do mojego londyńskiego maklera.

— Dziękuję, kochanie. — Blaine pokręcił ze smutkiem głową. — Wolałbym, żebyś robiła interesy na czym innym.

— Być może dramatyzujesz nieco sytuację, *cheri* — zaproponowała taktownie. — Może Hitler nie jest aż taki zły, jak sądzisz.

— On nie musi być wcale aż tak zły, jak ja sądzę, Centaine. Nawet gdyby był tylko tak zły, jak sam siebie przedstawia w *Mein Kampf*, to i tak kwalifikowałby się do gabinetu horrorów. — Włożył do ust kawałek pstrąga i przymknął oczy, delektując się jego smakiem. Przyglądała mu się z zachwytem, czerpiąc z tego przyjemność nie mniejszą niż on. Przelknął, otworzył oczy i machnięciem widelca uznał sprawę za zamkniętą.

— Za dużo już tych koszmarów jak na taki cudowny poranek — oświadczył z uśmiechem. — Bierz się do doniesień sportowych, kobieto!

Centaine zaszleściła powoli stronami, żeby przedłużyć chwilę oczekiwania, po czym wyprostowała się, by zacząć z namaszczeniem czytać, i nagle zachwiała się w krześle i krew odpłynęła jej z twarzy.

Blaine z brzękiem rzucił sztućce i zerwał się na równe nogi, by ją podtrzymać.

— Co się stało, kochanie? — zawołał przerażony i niemal tak blady jak ona.

Potrząśnięciem strąciła jego ręce z ramion, nie odrywając wzroku od drżącej w jej dłoniach gazety.

Blaine szybko obszedł stół, stanął za jej plecami i przebiegł wzrokiem stronę, na której otwarta była gazeta. Znalazł artykuł o rozegranych w poprzednim tygodniu wyścigach w Kenilworth. Wystawiony przez Centaine niezły ogier Bonheur przegrał o ćwierć długości w głównej gonitwie, lecz przecież to nie mogło być powodem takiej reakcji.

Dopiero wtedy spostrzegł, że wpatruje się w dół strony, i idąc za jej wzrokiem natrafił na zdjęcie boksera, w koszulce i spodenkach, ustawionego w typowej pozie pięściarskiej, z zaciśniętymi pięściami na wysokości piersi, z zaciętą miną na przystojnej twarzy. Zupełnie go to zaskoczyło — Centaine nigdy nie okazywała najmniejszego zainteresowania boksem. Przeczytał tytuł ilustrowanego fotografią artykułu:

ŚWIĘTO RĘKOCZYNÓW, SZYKOWNE MIEJSCE

ROZGRYWEK MIĘDZYUCZELNIANYCH

MISTRZOSTW W BOKSIE,

ale niczego mu to nie wyjaśniło. Zerknął na podpis pod zdjęciem:

„Lew Kalahari, Manfred De La Rey, kandydat do tytułu mistrzowskiego w wadze półciężkiej.

Czeka go zażarta walka.”

— Manfred De La Rey... — powtórzył półgłosem, próbując sobie przypomnieć, gdzie po raz ostatni słyszał to nazwisko. Twarz mu się rozjaśniła i ścisnął Centaine za ramię.

— Manfred De La Rey! To ten chłopak, którego szukałaś w Windhoek! Czy to on?

Centaine skinęła głową nie oglądając się za siebie.

— Centaine, kim on właściwie dla ciebie jest?

Zdjęcie przyprawiło ją o taki wstrząs, że straciła panowanie nad swymi uczuciami; gdyby nie to, być może udzieliłaby mu innej odpowiedzi. Lecz teraz, nim zdążyła się nad tym zastanowić, wymknęła jej się ona sama.

— To mój syn. Nieślubny syn.

Blaine cofnął ręce z jej ramion, usłyszała, jak zachłystuje się powietrzem.

„Chyba oszalałam! — pomyślała natychmiast. — Nie wolno było tego mówić! On nigdy nie zrozumie! Nigdy mi nie wybaczy!”

Nie śmiała obejrzeć się za siebie, w obawie przez natrafieniem na wyraz szoku i wyrzutu, który musiał się malować w jego oczach. Spuściła głowę i ukryła twarz w dłoniach.

„Straciłam go — pomyślała. — Blaine jest zbyt prawy, zbyt prostoliniorny, żeby to zaakceptować.”

I nagle znów poczuła na ramionach jego ręce. Podniósł ją z krzesła i łagodnie odwrócił do siebie.

— Kocham cię powiedział po prostu, a ona poczuła, że łyzy duszą ją w gardle. Rzuciła mu się na szyję i przytuliła się do niego z całej siły.

— Och, Blaine, jesteś dla mnie taki dobry!

— Gdybyś chciała się tym ze mną podzielić, to przecież jestem po to, żeby ci pomóc. Jeśli wolisz o tym nie mówić, zrozumieć. Chcę tylko, żebyś wiedziała jedno: jakkolwiek to było, cokolwiek zrobiłaś, nie wpłynie to w żaden sposób na to, co do ciebie czuję.

— Chcę ci o tym opowiedzieć. — Stłumiła łyzy ulgi i spojrzała mu w oczy. — Nigdy nie chciałam mieć przed tobą tajemnic. Od lat chcę ci o tym powiedzieć, ale jestem tchórzem.

— O wiele rzeczy można cię posądzać, kochanie, ale na pewno nie o tchórzostwo. — Usadził ją z powrotem w krzesło i przyciągnął sobie swoje, żeby móc ją trzymać za rękę, kiedy będzie opowiadała.

— No, mów.

— To taka długa historia, Blaine... A ty masz o dziewiątej posiedzenie rządu.

— Sprawy państwowe mogą poczekać. Nie ma dla mnie nic ważniejszego na świecie niż twoje szczęście.

Więc opowiedziała mu wszystko od momentu, kiedy Lothar De La Rey uratował jej życie, do odkrycia kopalni H'ani i urodzenia Manfreda.

Niczego nie przemilczała, niczego nie ukrywała. Opowiedziała o swej miłości do Lothara, miłości samotnej, zagubionej dziewczyny do swego wybawcy, o tym, jak miłość ta przekształciła się w zapięklą nienawiść, gdy odkryła, że Lothar zamordował starą Buszmenkę, która była jej przybraną matką, i jak ta nienawiść skupiła się na dziecku Lothara, które nosiła w swym łonie, przybierając takie rozmiary, że kazała mu je zabrać jeszcze mokre po porodzie, nawet na nie nie spojrzawszy.

— To było podłe — szepnęła. — Ale byłam taka zagubiona i przerażona. Przerażona, co powiedzą Courteneyowie, jeśli wrócę do nich z bękartem. Och, Blaine, żałowałam tego dziesiątki tysięcy razy... i nienawidziłam samej siebie nie mniej niż Lothara De La Reya.

— Chcesz pojechać do Johannesburga, żeby go zobaczyć? — spytał Baine. — Moglibyśmy polecieć na mistrzostwa.

— My? — Ten pomysł wyraźnie ją zaskoczył. — Jak to, my?.

— Nie mógłbym cię puścić samej. To za poważna sprawa.

— Ale jak zdołałbyś się wyrwać? Co z Izabelą?

— W tej chwili ty znacznie bardziej mnie potrzebujesz — odpowiedział po prostu. — Chcesz tam pojechać?

— O, tak, Blaine, tak! Bardzo cię proszę! — Otarła ostatnie łyzy koronkowym brzegiem lnianej serwetki i jej nastrój uległ natychmiastowej zmianie. Blaine'a zawsze fascynowała ta jej umiejętność potrafiła zmieniać nastroje tak jak inne kobiety kapelusze. Znów była opanowana, rzeczowa i rzutka.

— Shasa wraca dziś po południu. Zadzwoń do Windhoek do Abego i dowiem się, kiedy dokładnie wyleciał. Jeśli nie zdarzy się nic nieprzewidzianego, moglibyśmy polecieć do

Johannesburga jutro rano. O której, Blaine?

— O której zechcesz. Dziś uprzątnę swoje biurko i pojednam się z *Ou Baasem*.

— O tej porze roku pogoda powinna dopisać. Może tylko jakaś hurza na wyżynnym *veldzie*. — Wzięła go za rękę i przekręciła ją w taki sposób, żeby zobaczyć na jego rolexie, która godzina. — Jeśli się pospieszysz, *cheri*, to wciąż jeszcze masz szansę zdążyć na to posiedzenie.

Nadał grając rolę posłusznej żony odprowadziła go do drzwi garażu i ucałowała na pożegnanie przez opuszczone okienko bentleya.

— Jak tylko Shasa przyjedzie, zadzwonię do ciebie do biura — szepnęła mu do ucha. — Gdyby posiedzenie jeszcze trwało, zostawię wiadomość Doris. — Doris była sekretarką Blaine'a, jedną z bardzo niewielu osób, które o nich wiedziały.

Po odjeździe Blaine'a Centaine pobiegła prosto do sypialni i chwyciła słuchawkę telefonu. Połączenie z Windhoek zakłócały szумы i trzaski, a Abrahamsa słyszeć było tak, jakby dzwoniła na Alaskę.

— Wylecieli o pierwszym brzasku, prawie pięć godzin temu — dobiegł jego słaby, zniekształcony głos. — Oczywiście z Dawidem.

— A jak wiatr, Abe?

— Przez całą drogę powinni mieć wiatr od ogona. Jakieś trzydzieści, czterdzieści pięć kilometrów na godzinę.

— Dziękuję, wyjadę po nich.

— Nie wiem, czy to najlepszy pomysł... — W głosie Abego dało się słyszeć wahanie. — Po powrocie z kopalni zachowywali się niezwykle tajemniczo, a dzisiaj rano nie pozwolili odprowadzić się na lotnisko. Podejrzewam, że mogą mieć towarzystwo, jeśli wybaczysz ten eufemizm...

Centaine odruchowo zmarszczyła brwi, choć naprawdę nie potrafiła mieć Shasia za złe tych jego flirtów. „To ta krew de Thiryh — tłumaczyła go pobłażliwie przed samą sobą, skrycie dumna z łatwości, z jaką dokonywał sercowych podbojów. — On nic na to nie może poradzić.” Szybko zmieniła temat.

— Dziękuję, Abc. Podpisałam akty dzierżawy tych terenów w Namaqualandzie, więc możesz już zabrać się do sporządzania kontraktu. — Rozmawiali jeszcze pięć minut o sprawach zawodowych, po czym Centaine rozłączyła się. Po odbyciu dalszych trzech rozmów w interesach zadzwoniła do Weltevreden i podyktowała sekretarzowi cztery listy oraz telegram do londyńskiego brokera: „Sprzedać jak najkorzystniej wszystkie akcje Kruppa i Farben”.

Odłożyła słuchawkę, posłała po *hadziego* i Miriam i wydała im dyspozycje na czas swojej nieobecności. Potem dokonała szybkich obliczeń. „Smigły Smok”, przepiękny błękitno-srebrny dwusilnikowiec, którego kupno wymógi na niej Shasa, rozwijał szybkość dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę. Przy wietrze od ogona powinni dotrzeć do Youngsfield trochę przed południem.

— Zobaczymy, czy panicz Shasa przy wyborze kobiet nauczył się kierować trochę lepszym gustem.

Wsiadła do daimlera i powoli objechała powoli skalny występ góry, potem szóstą dzielnicę, barwne przedmieście zamieszkałe głównie przez Malajów, z wąskimi zaułkami rozbrzmiewającymi zawodzeniem muezinów wzywających wiernych na modlitwę, krzykami zachwalających swój towar ulicznych sprzedawców ryb i ptasim świergotem dzieciarni, minęła szpital Groote Schuur i gmachy uniwersytetu przylegające do wspaniałej posiadłości Cecila Rhodesa, którą zapisał testamentem

narodowi.

„To musi być najpiękniej położona uczelnia w świecie” pomyślała.

Zdobione kolumnadami kamienne budynki stały na tle porośniętego ciemnymi sosnami stromeego zbocza góry i strzelających pod niebo skalnych urwisk, a na otaczających je łąkach pasły się stadka zwierzyzny z równin: eland, gnu i zebr. Widok uniwersytetu znów przypomniał jej o Shasie. Właśnie skończył pierwszy rok studiów z przyzwoitą drugą lokatą.

— Na tych, którzy wszystko zaliczają z pierwszą lokatą, patrzę zawsze mocno podejrzliwie — powiedział Blaine, kiedy poznał wyniki Shasy. — Większość z nich jest o wiele za mądra, żeby wyszło to na dobre im samym jak i ich otoczeniu. Ja wolę zwykłych śmiertelników, których osiągnięcie najwyższych not kosztuje wiele wysiłku.

— Zarzucasz mi, że go rozpieszczęm uśmiechnęła się Centaine. — Ale sam zawsze znajdujesz dla niego jakieś wytłumaczenie.

— Być twoim synem wcale nie jest tak łatwo, moja droga — odparł Centaine zjeżyła się urażona.

— Uważasz, że me jestem dla niego dobra?

— Wręcz przeciwnie sugeruję nieśmiało, że wręcz za dobra. Chodzi mi o to, że niewiele mu pozostawiasz. Jesteś uosobieniem sukcesu, dominujesz nad całym otoczeniem. Osiągnęłaś już wszystko. Co mu zostało, w jaki sposób on mógłby się sprawdzić?

— Blaine, ja go nie tyranizuję.

— Ja nie mówię, że go tyranizujesz. To dwie różne rzeczy. Tym dominowaniem zupełnie mnie podbiłaś. A gdybyś była tyranem, miałbym dla ciebie tylko pogardę.

— Mimo wszystko nie bardzo rozumiem te twoje rozróżnienia. Będę chyba musiała zajrzeć do słowników.

— Zapytaj Shasę, właśnie angielski zaliczył na celująco — roześmiał się Blaine, po czym objął ją w ramionach. — Musisz mu trochę popuścić wodzy, Centaine, zostawić mu jakieś pole, na którym będzie mógł popełniać pomyłki i odnosić własne sukcesy. Gdyby chciał polować, nawet jeśli nie pochwalasz zabijania zwierząt bez potrzeby, to pamiętaj, że wszyscy Courteneyowie byli zapalonymi myśliwymi. Polował ojciec Shasy, a stary generał Courteney wybijał setkami słonie. Pozwól chłopakowi, niech on też spróbuje. To jedyna rzecz, w jakiej nie będzie musiał naśladować ciebie, bo ty tego nigdy nie robiłaś. Oczywiście poza grą w Polo.

— A latanie?

— Przepraszam, poza lataniem.

— A więc dobrze, pozwolę mu mordować bogu ducha winne zwierzaki. Och, Blaine, powiedz, czy Shasa zakwalifikuje się do olimpijskiej drużyny polo?

— Będę szczery, kochanie — nie.

— Ale przecież jest dobry! Sam mówiłeś!

— Owszern — przyznał Blaine. — Nawet bardzo dobry. Werwa zapał, szybkość, wspaniałe oko i uderzenie, ale brak mu doświadczenia. Gdyby się zakwalifikował, byłby najmłodszym w historii członkiem reprezentacji kraju. Myślę jednak, że do tego nie dojdzie. Sądzę, że zamiast niego wybór padnie na Clive'a Ramseya.

Popatrzyła na niego bez wyrazu, a on odpowiedział takim samym spojrzeniem. Wiedział, o co jej chodzi. Jako kapitan drużyny był członkiem komisji kwalifikacyjnej.

— David pojedzie do Berlina — nie dawała za wygraną.

— David Abrahams jest ludzkim wcieleniem gazeli — rzeczowo zauważył Blaine. — Ma czwarty czas na świecie na dwieście metrów i trzeci na czterysta. A Shasa konkuruje o miejsce z co najmniej dziesięcioma najlepszymi graczami na świecie.

— Dałabym wszystko, żeby mógł pojechać do Berlina.

— Ani przez chwilę w to nie wątpię - odparł Blaine. Kiedy w końcu zdecydowano, że Shasa nie wyjedzie do Oksfordu, lecz będzie studiował na miejscu, Centaine wybudowała nowe skrzydło w gmachu Wydziału Inżynierii Uniwersytetu w Cape Town. Tak, żadna cena nie byłaby dla niej zbyt wysoka.

— Zapewniam cię, kochanie, że dołożę wszelkich starań... — urwał na chwilę, a ona poderwała z nadzieją głowę — ...by nie być obecnym na posiedzeniu, na którym komisja — jeśli do tego dojdzie — będzie rozpatrywała kandydaturę Shasy.

— Chodząca cnota! — zawołała teraz na wspomnienie tamtej rozmowy i bezsilnie uderzyła pięścią w kierownicę daimlera. Raptem przed oczami stanęło jej inkrustowane złotem i kością słoniową łoże. — No, może z tą cnotliwością to trochę przesadzam — mruknęła z figlarnym uśmiechem.

Lotnisko było puste. Zaparkowała daimlera pod hangarem, w miejscu niewidocznym z powietrza, wyjęła z bagażnika koc i rozłożyła go pod drzewem na skraju szerokiego, porośniętego trawą pasa.

Dzień był piękny, niebo bezchmurne, tylko nad Górą Stołową jak zwykle wisiało kilka pierzastych obłoków. Silny wiatr targał koronami pinii, przyjemnie łagodził upał.

Usadowiła się na kocu i zabrała się do czytania *Nowego, wspaniałego świata* Aldousa Huxleya, książki, której od tygodnia nie miała czasu dokończyć, od czasu do czasu odrywając wzrok od kolejnych stronic, by rzuć okiem na błękitne niebo na północy.

40

Latanie oczarowało Davida Abrahamsa prawie tak samo jak bieganie. To właśnie zbliżyło ich do siebie z Shasą, bo choć Abe Abrahams niemal od narodzin swego syna pracował dla Centaine i był jednym z jej najbliższych przyjaciół, to obaj chłopcy zwrócili na siebie uwagę dopiero po równoczesnym rozpoczęciu studiów na uniwersytecie. Od tej pory stali się nierozłączni i wspólnie założyli na uczelni aeroklub, który Centaine wyposażyła w treningową „Cmę”.

David studiował prawo z milczącym założeniem, że po dyplomie wróci do Windhoek i podejmie pracę w kancelarii swego ojca, co oznaczało, że stanie się jednym z ludzi Centaine. Ona sama od lat uważnie przyglądała się chłopcu, a ponieważ nie znalazła w nim żadnych wad, z czystym sumieniem zaaprobowała jego przyjaźń z Shasą.

David był wyższy od ojca, miał szczupłą sylwetkę biegacza, sympatycznie brzydką, wesołą twarz, gęste kręcone włosy i długi nos odziedziczony po Abie. Jego największymi atutami były ciemne semickie oczy i smukłe dłonie o delikatnych palcach, w których trzymał teraz drążek sterowniczy „Smigłego Smoka”. Pilotował samolot z niemal religijnym zapamiętaniem, niczym kapłan jakiejś tajemnej sekty, odprawiający rytualne nabożeństwo. Traktował maszynę, jakby była piękną żywą istotą, gdy tymczasem Shasa latał jak inżynier — z wielką wprawą i pełną znajomością rzeczy, ale bez mistycznej namiętności Dawida.

Ta mistyczna namiętność cechowała także jego stosunek do biegania i wielu innych rzeczy w życiu i była jedną z przyczyn, dla których Shasa tak bardzo go polubił. Przydawała smaku jego własnemu życiu, zwiększała przyjemność, jaką Shasa czerpał z tego, co wspólnie robili. Bez Dawida ostatnie tygodnie byłyby nudne i przygnębiające.

Z błogosławieństwem Centaine, którego po roku upartych sprzeciwów ni stąd, ni zowąd nagle im udzieliła, wzięli „Smoka” i w dzień po pisemnych egzaminach polecili do H'ani. Tam czekały już na nich przygotowane przez Twentymana-Jonesa dwie czterotonowe ciężarówki ze sprzętem obozowym, kilka osób do obsługi, tropiciele, sprawiacze zwierzyny i kucharz. Szefem ekspedycji został jeden z poszukiwaczy złóż, człowiek świetnie obznajomiony z życiem w dzikiej głuszy, prawami buszu, mający ogromne doświadczenie w polowaniu na grubą, niebezpieczną zwierzynę.

Celem wyprawy był Capriyi Strip, ten najdalej wysunięty na wschód pas pustkowia, wciśnięty między Angolę i Beczuanę. Wstęp na ten teren podlegał surowym ograniczeniom, a polowanie — poza nielicznymi wyjątkami — było tam zakazane. W kręgach myśliwskich mówiło się z zazdrością, że Capriyi Strip to prywatny teren łowiecki członków rządu Afryki Południowej. Blaine Malcomess załatwił zgodę na wjazd ekspedycji i pozwolenie na odstrzał zwierzyny.

Siwy poszukiwacz miał twardą rękę, lecz i mnóstwo cierpliwości chętnie dzielił się swymi doświadczeniami. Już wkrótce obaj młodzi ludzie zbliżyli się do poznania pustyni i fascynującej różnorodności zamieszkujących ją form życia, zaczęli ją rozumieć i szanować. W ciągu kilku tygodni dowiedzieli się wiele o miejscu człowieka w przyrodzie, jego roli w zachowaniu kruchej równowagi natury, przyswoili sobie podstawowe zasady etyki łowieckiej.

— Śmierć każdego indywidualnego zwierzęcia to rzecz smutna, lecz nieunikniona — tłumaczył poszukiwacz. — Ale śmierć lasu, bagna czy sawanny, które są siedliskiem życia całych gatunków, to tragedia. Gdyby europejscy królowie i szlachta nie byli zapalonymi myśliwymi, jelenie, dziki i niedźwiedzie wyginęłyby już dawno. To myśliwi uratowali las przed chłopską siekierą i pługiem. — Słuchali go uważnie, zapatrzeni w płomień obozowego ogniska. — Ludzie, którzy polują z miłości do ściganych zwierząt, chronią przed kłusownikami ciężarne samice i młode, bronią lasy przed owcami, kozami i bydłem. Nie, moi przyjaciele, Robin Hood był paskudnym kłusownikiem. To szeryf z Nottingham był prawdziwym bohaterem.

Toteż spędzali całe dni w buszu, wyprawiali się z obozu pieszo jeszcze przed świtem i wracali dopiero po zachodzie słońca, ledwie powłócząc nogami ze zmęczenia. Każdy zabił swego lwa, doświadczył uniesienia i smutku, jakimi ten czyn napełnia każdego myśliwego, i otrząsnął się z nich z mocnym postanowieniem ocalenia tej pięknej, dzikiej krainy przed grabieżczymi zapędami bezmyślnych chciwców. A Shasa, któremu z urodzenia przeznaczone były bogactwa i wpływy, zaczął sobie uświadamiać, jak znaczna część odpowiedzialności za losy tego kraju pewnego dnia spocznie na jego barkach.

Tak jak przepowiadał David, kobiety okazały się zupełnie zbędne, ale Shasa uparł się, żeby je zabrać, jedną dla siebie i drugą dla Davida.

Wybranka Shasy miała prawie trzydzieści lat. — Najlepszy dźwięk mają stare skrzypce — tłumaczył Dawidowi. Kobieta była także rozwódką. — Nigdy sam nie ujeżdżam swoich kuców do polo. — Miała wielkie niebieskie oczy, dojrzałe czerwone usta i obfite kształty, ale nie była obciążona niepotrzebnym balastem rozumu.

Dawid przezwiał ją Jumbo, „bo — jak wyjaśnił — jest tak gruba, że dwa słonie mogłyby jej przejść po głowie jeden obok drugiego”.

Shasa zdał się na Jumbo w wyborze przyjaciółki dla Dawida, a ona przyprowadziła wysoką damę o ciemnych długich lokach, także rozwódkę, z rękoma obiadowanymi ciężkimi bransoletami i sznurami koralu na smukłej szyi. Kobieta ta używała cygarniczki z kości słoniowej i miała rozpalone, przenikliwe spojrzenie, ale odzywała się rzadko, najczęściej po to, by poprosić o następny dzin.

Z powodu nie nasyconego pragnienia Dawid przezwał ją Wielbłądzicą. Obie jednak okazały się wprost idealnymi towarzyszками wyprawy, bowiem z wprawą i zapałem wywiązując się ze swoich obowiązków, gdy tego od nich żądano, nie miały jednocześnie nie przeciwko temu, by resztę czasu spędzać spokojnie w obozie, gdzie całymi dniami po cichu zajmowały się same sobą, nie domagały się okazywania im uwagi, a wieczorami nie sabotowały rozmów przy ognisku włączaniem się do nich.

— To chyba najwspanialsze wakacje W moim życiu. — Shasa odchylił się w fotelu „Smoka” i w rozmarzeniu zapatrzył przed siebie, zostawiając Dawidowi, drugiemu pilotowi, prowadzenie maszyny. — Ale jeszcze się nie skończyły. — Zerknął na zegarek. — Do Cape Town pozostała nam godzina lotu. Nie schodź z kursu — polecił i odpiął pasy.

— Co masz zamiar zrobić? — spytał Dawid.

— Nie chcę cię gorszyć, więc nie odpowiem na to pytanie, ale nie zdziw się, jeśli Wielbłądzica przeniesie się tu do ciebie.

— Naprawdę mnie martwisz — powiedział Dawid poważnie. — Jeśli się nie opamiętasz, skończy się to jakimś poważnym uszkodzeniem ciała.

— Moje ciało jest nie do zdarcia — zapewnił go Shasa, wygrzebując się z fotela.

— Nie o ciebie mi chodzi, drogi chłopcze, martwię się o Jumbo — potrząsnął ze smutkiem głową Dawid. Shasa roześmiał się, poklepał go po ramieniu i zniknął w kabine pasażerskiej.

Wielbłądzica podniosła na niego ciemne, fanatyczne spojrzenie i wylała na bluzkę trochę dżinu z tonikiem, a Jumbo zachichotała i przesunęła się w bok, by zrobić miejsce dla Shasy.

Kiedy szepnął jej coś do ucha, spojrzała na niego zdziwiona, co nie było u niej niczym niezwykłym.

— Klub Kilometr w Przestworzach? A cóż to, na miłość boską, takiego?

Shasa szepnął coś jeszcze i Jumbo wyrzała szybko przez boczne okienko na przesuającą się dole ziemię.

— Wielkie nieba! Nigdy nie przypuszczałam, że jesteśmy aż tak wysoko!

— Zostając jego członkiem otrzymuje się specjalną broszkę — powiedział Shasa. — Złotą, wysadzaną diamentami. — Zainteresowanie Jumbo raptownie wzrosło.

— O rany! Jak ta broszka wygiąda?

— Przedstawia lecącego ptaszka ze sterczącą szyją, złotymi skrzydłami i oczami z brylantów.

— Ptaszka ze sterczącą szyją? Jakiego znowu ptaszka... — Urwała nagle, a w jej błękitnych oczach zaświtało zrozumienie. — Shaso Courteney, jesteś okropny! — Spuściła oczy i zamrugła z udawaną skromnością, a Shasa z uśmiechem zerknął na Wielbłądzicę.

— Dawid chciał chyba z tobą porozmawiać.

Wielbłądzica posłusznie wstała i ze szklaneczką w ręku, przy wtórze brzęku bransolet i grzechotu sznurów koralii przeszła do kabiny pilota. Godzinę później Shasa podszedł do lądowania od strony gór i posadził „Smoka” na trawiastym pasie tak lekko, jakby smarował masłem grzanekę. Nie wyhamowując do końca zawrócił, podkołował z powrotem do hangaru, zaparkował na stanowisku i wyłączył silniki. Dopiero wtedy zauważył żółtego daimlera i stojącą obok niego Centaine.

— O Allachu! Matka! Każ się tym ślicznotkom kłaść płasko na podłodze!

Za późno — jęknął Dawid. — Jumbo, niech ją piekło pochłonie, macha właśnie twojej mamusi przez okienko!

Shasa uzbroidł się w odwagę przed spotkaniem z zionącą ogniem matką, a tymczasem Jumbo

rozchichotana zeszła po schodkach, podtrzymując Wielbłądzicę, której nogi w końcu odmówiły posłuszeństwa.

Centaine nic nie powiedziała, tylko skinieniem ręki przywołała czekającą obok daimlera taksówkę i zapędziła chwiejącą się na nogach parę na jej tylne siedzenie, tnąc dziewczyny spojrzeniem jak smagnięciem bata.

— Wstaw ich walizki do bagażnika — poleciła sucho Shasie, a gdy to zrobił, skinęła głową kierowcy: — Proszę je zawieźć dokądkolwiek zechcą.

Wielbłądzica z maślanymi oczyma osunęła się na siedzenie, ale Jumbo wychyliła się przez okienko i wymachując rękoma, słała Shasie całusy, dopóki taksówka nie zniknęła za bramą lotniska. Shasa ze spuszczoną głową czekał na chłostę lodowatego sarkazmu matki.

— Czy wyprawa się udała, kochanie? — spytała słodkim głosem Centaine, nadstawiając policzek do pocałunku i o dziewczętach nie wspomniano już ani słowem.

— Było cudownie! — Pocałunek Shasy wyrażał wdzięczność, ulgę i prawdziwą radość z tego, że po tak długiej rozłące znów jest razem z matką. Zaczął jej opowiadać wszystko od początku, ale Centaine przerwała mu już po pierwszym zdaniu.

— Później, kochanie — powiedziała. — Teraz każ zatankować „Smoka” i zrobić mu dokładny przegląd. Jutro lecimy do Johannesburga.

W Johannesburgu zatrzymali się w Caritonie. Centaine miała trzydzieści procent udziałów w sieci, do której należał hotel, toteż ilekroć zjeżdżała do miasta, zawsze czekał na nią apartament królewski.

Hotel zaczynał się powoli dopraszać o generalny remont, ale był znakomicie położony w samym centrum miasta. Ubierając się do obiadu Centaine rozważała możliwość zburzenia starego budynku i postawienia na jego miejscu zupełnie nowego hotelu. Postanowiła zlecić swoim architektom opracowanie raportu w tej sprawie i zapominając o interesach poświęciła resztę wieczoru i całą swą uwagę Blaine'owi. Niemądrze ryzykując wywołanie plotek do drugiej nad ranem tańczyli w nocnym klubie na najwyższym piętrze hotelu.

Następnego dnia Blaine miał całą serię służbowych spotkań w Pretorii, co było jego wymówką do wyjazdu z Cape Town, więc Centaine mogła cały dzień spędzić z Shasą. Rankiem na torach wyścigowych odbywała się sprzedaż rocznych koni, ale żądano absurdalnie wysokich cen, toteż w końcu nie kupili ani jednego zwierzęcia. Lunch zjedli w Pawilonie Wschodnioafrykańskim, gdzie Centaine rozkoszowała się nie tyle kuchnią, co zazdrosnymi i pełnymi najdziwniejszych domysłów spojrzeniami kobiet zajmujących sąsiednie stoliki.

Po południu poszli do zoo. W przerwach między karmieniem małp i przejażdżką łodzią po jeziorze rozmawiali o zamierzeniach Shasy i jego planach na przyszłość. Centaine z radością stwierdziła, że jej syn w dalszym ciągu chce zaraz po skończeniu studiów przejąć część obowiązków związanych z zarządzaniem Courteney Mining and Finance.

Wrócili do hotelu na tyle wcześnie, by móc spokojnie przebrać się na mecz. Blaine, już w smokingu, nalał sobie whisky z wodą sodową i rozparty w fotelu przyglądał się, jak Centaine kończy toaletę. Bardzo to lubiła. To także miało, w sobie coś z zabawy w małżeństwo. Poprosiła, żeby zapiął jej kolczyki, po czym przeszła się po pokoju czekając na jego pochwały, i zakreśliła w kółko, czarując go wirowaniem długiej sukni.

— Nigdy jeszcze nie byłam na meczu bokserskim, Blaine. Czy przypadkiem nie za bardzo się wystroiliśmy?

— Zapewniam cię, że smoking jest *de rigueur*.

— O Boże, jestem taka zdenerwowana. Zupełnie nie wiem, co miałabym mu powiedzieć, nawet gdyby udało mi się... — Urwała. — Chyba udało ci się zdobyć bilety?

Pokazał je z uśmiechem.

— W pierwszym rzędzie. Załatwiłem także auto z kierowcą.

Shasa zjawił się w czarnym smokingu z narzuconym niedbale na szyję białym jedwabnym szalikiem. Jego artystycznie zawiązana muszka była odrobinę asymetryczna, by nikomu nawet przez myśl nie przeszło, że może to być jeden z tych nowomodnych, przypinanych na gumce koszmarków.

„Jakież on jest piękny! — Na widok syna serce Centaine napęczniało durną. — Jak długo jeszcze uda mi się chronić go przed harpiami?”

Ucałował ją, po czym podszedł do barku nalać jej zwyczajowy kieliszek szampana.

— Czy podać panu następną whisky, sir? — spytał Blaine'a.

— Dziękuję, Shaso, ale nigdy nie przekraczam jednej. — Shasa nalał sobie gazowanego napoju imbirowego. — „To jedyna rzecz, o jaką nie muszę się martwić — pomyślała Centaine. — Skłonność do alkoholu na pewno nie będzie jego słabością.”

— No to, mamó — podniósł swoją szklaneczkę Shasa — za twoje nowe zainteresowanie szlachetną sztuką boksowania. Czy zdążyłaś się zapoznać z regułami takiego pojedynku?

— Wydawało mi się, że dwóch młodych ludzi włązi po prostu na ring i próbuje się nawzajem zabić. Zgadza się?

— Jak najbardziej, Centaine — roześmiał się Blaine. Nigdy przy Shasie nie zwracał się do niej pieszczotliwie. Nie po raz pierwszy zastanowiła się, co jej syn sobie o nich myśli. Oczywiście musiał coś podejrzewać, ale tego wieczoru miała dość zmartwień i bez otwierania tych ciemnych drzwi. Wypiła szampana, po czym wspierając się na ramionach dwóch najważniejszych mężczyzn w swoim życiu, olśniewająca w swych diamentach i jedwabiach, zbiegła lekkim krokiem do czekającej przed hotelem limuzyny.

Alejki miasteczka uniwersyteckiego wokół hali sportowej szczelnie zapchane były samochodami, a na wzgórzu pełzły powoli zderzak w zderzak kolejne auta. Chodnikami sunął zbity tłum podnieconych studentów i kibiców pięściarskich z miasta, toteż szofer wysadził ich dwieście metrów od wejścia i resztę drogi musieli przebyć pieszo.

W hali panował zgiełk i atmosfera wyczekiwania na ważne wydarzenie. Kiedy przecisnęli się do zarezerwowanych miejsc, Centaine z ulgą stwierdziła, że w trzech pierwszych rzędach wszyscy ubrani są wieczorowo i że wśród widzów jest niemal tyle samo pań co panów. Poprzedniej nocy miała koszmarne sen, że będzie jedyną kobietą na całej widowni.

Przeczekwała pierwsze walki, udając zainteresowanie wykładem, jakiego udzielali jej Blaine i Shasa, ale zawodnicy niższych wag byli tak mali i drobni, że przypominali jej niedożywione koguty, a szybkość akcji sprawiała, że nie była w stanie rozróżnić, kto komu zadaje ciosy i kto jest górą. A poza tym nieustannie wybiegała myślą ku chwili, kiedy wreszcie ujrzy człowieka, dla którego tu przyjechała.

Zakończyła się kolejna walka, posiniaczeni, ociekający potem zawodnicy zeszli z ringu i nagle w sali zapadła pełna napięcia cisza. Tu i tam wyciągnięte głowy odwróciły się w stronę wyjścia z szatni.

Blaine zajął do programu i mruknął: — Teraz.

I w tej samej chwili rozległ się ogłuszający ryk widowni.

— Idzie. — Blaine dotknął jej ramienia, ale Centaine nie była w stanie odwrócić głowy.

„Po co ja tu przyjechałam! — pomyślała rozpaczliwie i skuliła się w swoim fotelu. — Co będzie, jeśli mnie zobaczy?!”

Pretendent do tytułu mistrza wagi lekkociężkiej, Manfred De La Rey, wyszedł na ring jako pierwszy, prowadzony przez trenera i dwóch sekundantów. Zajmujący cały osobny sektor studenci Stellenbosch wydali grzmiący ryk i przy wtórze łopotu chorągwi z barwami uczelni wzniesli swoją pieśń wojenną. Siedzący po przeciwnej stronie studenci Witwatersrandu natychmiast zareagowali na to wyciem, tupaniem i gwizdami. Kiedy Manfred wspiął się na ring i zaczął przeskakiwać z nogi na nogę z pięściami w rękawicach uniesionymi wysoko nad głowę, w jedwabnym szlafroku, zwisającym mu z ramion jak peleryna, od ryku tysięcy gardel zaczęły pękać bębny.

Długie włosy, wbrew modzie nie napomadowane brylantyną, opadały mu gęstą grzywą na ramiona i przy każdym podskoku mieniły się pozłocaną chmurą wokół głowy. Szczęki miał silne, lecz jeszcze nie kanciaste, kości czoła i policzków wydatne i czysto rzeźbione, ale w całej twarzy uwagę przykuwały oczy: jasne i nieubłagane jak ślepiea wielkich drapieżnych kotów, podkreślone ciemnymi łukami brwi.

Jego tors, szeroki w ramionach, zwężał się w odwróconą piramidę ku biodrom, z których biegly w dół długie, czysto zarysowane nogi. Na całym ciele nie było ani grama zbędnego tłuszczu, pod skórą rysowały się tylko mięśnie, można było dokładnie rozróżnić każdy z nich.

Shasa zeszytniał na swym miejscu rozpoznając rywala. Zacisnął mocno szczęki i zazgrzytał zębami. Wspomnienie uderzeń tych pięści i zalewającego mu gardło duszącego śluzu martwych ryb ożyło z taką wyrazistością, jakby od tamtego dnia nie dzieliły go lata, lecz krótkie chwile.

— Ja go znam, mam — wydusił przez zaciśnięte zęby. — To ten z którym biłem się na molo w Zatoce Wielorybów. — Centaine uspakajająco położyła mu rękę na ramieniu, ale nawet na niego nie spojrzała. Zerknęła natomiast ukradkiem na Blaine'a, a to, co zobaczyła, zupełnie ją przybiło.

Blaine siedział zasepiony, wyczuwała gotujący się w nim gniew i ból. Mógł okazać wyrozumiałość i wielkoduszność, kiedy był tysiąc kilometrów stąd, ale mając żywy dowód jej rozwiązłości przed oczyma musiał myśleć o jednym: o człowieku, który zrobił jej to dziecko i jej przyzwoleniu — nie, radosnym współudziale w akcie jego splodzenia. Musiał myśleć o tym, że jej ciało, które powinno należeć wyłącznie do niego, dawało rozkosz obcemu, wrogowi, którego pojmania omal nie przypłacił życiem.

„O Boże, po co ja tu przyjechałam?!” — powtarzała raz po raz, katując się tym pytaniem, gdy nagle poczuła, że coś topi się wewnątrz niej, rozplywa, zmienia kształt i odpowiedź sama jej się nasunęła.

„Krew z mojej krwi, kość z mojej kości.”

Przypomniała sobie jego ciężar we własnym łonie, przypomniała sobie drgnienia życia pączkującego w głębi niej samej i naraz cały tłumiony instynkt macierzyński wezbrał w niej potężną falą podchodząc do gardła, grożąc uduszeniem. W uszach rozbrzmiał jej znów krzyk noworodka, zagłuszający wszystkie inne dźwięki i myśli.

„Mój syn! — omal nie zawołała na głos. — Mój rodzony syn!”

Budzący zachwyty mężczyzna na ringu odwrócił głowę w jej stronę i po raz pierwszy ją zobaczył. Opuścił ręce, poderwał wyżej głowę i spojrzał na nią z taką nienawiścią, że Centaine poczuła się jak uderzona nabijaną kolcami maczugą. A potem z całym rozmysłem odwrócił się do niej plecami i odszedł do narożnika.

Cała trójka, Blaine, Shasa i Centaine, zeszywniała w milczeniu pośród ryczącego, rozkołysanego tłumu, nie śmiejąc na siebie spojrzeć. Centaine zagryzła wargi, by powstrzymać ich drzenie i nerwowo zaczęła miąć w rękach róg swego wyszywanego cekinami szala.

Na ring wskoczył obrońca tytułu. Ian Rushmore był o dwa i pół centymetra niższy od Manfreda, ale szerszy w barach, potężniej zbudowany; długie, małpie ręce miał silnie umięśnione, a szyję tak grubą i krótką, że wydawało się, iż głowa wyrasta mu prosto z ramion. Spod koszulki na piersi wystawała gęsta szorstka szczecina czarnych włosów, jeszcze bardziej upodabniająca go do groźnego odyńca.

Rozległo się uderzenie w gongi przy wtórze ryku żadnego krwi tłumu zawodnicy poskoczyli ku sobie na środek ringu. Na głuchy odgłos uderzeń twardych rękawic w ciało i kości Centaine mimowolnie wstrzymała oddech. W porównaniu z lekkimi, śmigającymi ciosami zawodników niższych wag ta walka przywodziła na myśl pojedynki gladiatorów.

Kiedy tak krążyli wokół siebie i przechodzili do zwarcia, okładając się tymi potwornymi ciosami, grzęznącymi w szczelnych gardach rękawic i ramion, zupełnie nie mogła się zorientować, który ma przewagę. Znow odskok, seria uników i znow zwarcie. Tłum wokół niej zdierał gardła w opętającym wrzasku.

Walka ustała równie nagle, jak się rozpoczęła, zawodnicy odstępili od siebie i wrócili do swoich narożników, gdzie natychmiast otoczyły ich grupki ubranych na biało sekundantów, doglądając ich troskliwie, wachlując, zwilżając twarze gąbkami z wodą, masując i rozcierając mięś. szepcząc coś do uszu.

Mafred pociągnął łyk wody z butelki, którą przystawił mu do ust jego zwalisty, brodaty trener, przepłukał nią gardło, po czym odwrócił głowę w stronę Centaine, wyłowił ją z tłumu tymi wodniście żółtymi oczyma i nie spuszczać z niej wzroku z pogardą splunął wodą do podstawionego kubła. Wiedziała, że to splunięcie przeznaczone było dla niej, że miało wyrażać całą jego wściekłość i pogardę. Skuliła się w obronnym geście przed takim ładunkiem nienawiści i prawie nie usłyszała uwagi Blaine'a.

— Oceniam tę rundę na remis. De La Rey nie ustępuje na krok, a Rushmore wyraźnie czuje przed nim respekt.

Chwilę później zawodnicy znow wyskoczyli na środek ringu, zaczęli krążyć wokół siebie, okładać się zakutymi w rękawice pięściami, stękając jak pociągowe woły przy zadawaniu i odbieraniu ciosów. Ich ciała spływały potem, pokryły się czerwonymi plamami w miejscach, których dosięgły uderzenia. Trwało to i trwało bez końca. Centaine poczuła, że pierwotne okrucieństwo tego widowiska, smród, odgłosy brutalnego zadawania bólu przyprawiają ją o mdłości.

— Tę wygrał Rushmore — skomentował cicho Blaine po zakończeniu rundy, a ona musiała zagryźć wargi, by nie wykrzyknąć mu jego chłodu i opanowania. Na skronie wystąpiły jej kropelki lepkiego potu, a mdłości przybrały na sile. — Jeśli De La Rey chce wygrać, musi to zrobić w ciągu dwóch następnych rund — mówił dalej Blaine. — Potem Rushmore zetrze go na proch. Z chwili na chwilę nabiera pewności siebie.

Chciała zerwać się z miejsca i wybiec z hali, ale nogi jej nie słuchały. Znow zabrzmiał gong i obaj zawodnicy wybiegli w jaskrawą plamę światła reflektorów. Próbowwała odwrócić wzrok, lecz nie była w stanie tego zrobić. Z odrażającą fascynacją musiała patrzeć szeroko otwartymi oczami na to, co się dzieje, i zarejestrowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Wiedziała, że nie zapomni tego do końca życia.

Zobaczyła rozmazaną smugę czerwieni, gdy rękawica Manfreda przedarła się przez maleńką szczelinę w obronnej zaporze rąk, i niemal równocześnie głowa jego przeciwnika odskoczyła do tyłu z takim szarpnięciem, jakby pod Rushmorem otworzyła się zapadnia szubiennicy i zawisł nagle na naprężonym stryczku. Widziała poszczególne kropelki potu, pryskające z jego włosów na wszystkie strony jak po wrzuceniu kamienia do stawu, i karnawałową maskę bólu, w którą zniekształciła groteskowo jego twarz siła uderzenia.

Usłyszała głuchy odgłos ciosu, trzask czegoś pękającego, wybijanych zębów, łamanej kości czy zrywanego ścięgna, i zaczęła krzyczeć, ale jej krzyk utonął w potwornym ryku tysiąca gardel wokół niej. Zakryła dłonią usta, bo ciosy nie przestawały się sypać, tak szybkie, że rozmazywały się w oczach, tak szybkie, że ich przerażające odgłosy zlewały się w jeden przeciągły grzechot, jak przy biciu piany trzepaczką; miejsce, w które traflały, niepostrzegalnie zmieniło się z krwawą miazgą. Krzyczała dalej, widząc morderczy szal płonący przerażającym, żółtym blaskiem w oczach tego, którego zrodziła, widząc jak przeistacza się w nieokiełznaną, krwiożerczą bestię, a człowiek na wprost niego chwieje się, wiotczeje, wali się, jakby podcięto mu nogi, i przekręciwszy się bezwładnie w powietrzu pada na plecy, wpatrzony niewidzącym spojrzeniem w światła reflektorów, rżąc chrapliwie przez gęstą jasną krew zalewającą mu usta z rozbitego nosa. Manfred De La Rey skakał nad nim, wciąż jeszcze owładnięty tym morderczym szalem, jakby lada chwila miał poderwać głowę i zawyc jak wilk lub rzucić się na powalonego, zerwać mu z czaszki krwawy skalp i potrząsnąć nim w górze w koszmarnym geście triumfu.

— Zabierz mnie stąd, Blaine — wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. — Zabierz mnie stąd natychmiast!

Blaine chwycił ją pod rękę, pomógł jej wstać i wyprowadził w ciemność nocy.

Sciany budynku stłumiły krwiożerczy ryk tłumu, a ona zachłysnęła się rześkim, kojącym powietrzem wyżynnego *veldu*, jak w ostatniej chwili ocalona przed utonięciem.

Lew Kalahari sam wystawia sobie bilet do Berlina! krzyczały nagłówki. Centaine wzdrygnęła się na wspomnienie meczu, rzuciła gazetę na łóżko i sięgnęła po słuchawkę.

— Shaso, ile czasu potrzebujesz, żeby być gotowym do powrotu do domu? — spytała natychmiast po usłyszeniu jego zaspanego głosu.

Blaine wychylił się z łazienki apartamentu hotelowego z pianą na brodzie.

— Więc jednak się zdecydowałaś? — spytał, kiedy odłożyła słuchawkę.

— Nie ma sensu nawet próbować z nim porozmawiać — odparła. — Widziałeś, jak na mnie patrzył.

— Może nadarzy się jeszcze jakaś lepsza okazja... — próbował ją pocieszyć, ale dostrzegł rozpacz w jej oczach i zrozumiał „że żadne słowa nic tu nie pomogą. Podszedł więc tylko i mocno ją przytulił.

Podczas eliminacji przedolimpijskich Dawid Abrahams poprawił swój najlepszy czas na dwieście metrów prawie o sekundę, natomiast drugiego dnia spisał się gorzej niż oczekiwano i finał czterystu metrów wygrał zaledwie o włos. Mimo to jego nazwisko znalazło się na jednym z pierwszych miejsc listy odczytanej na bankiecie kończącym pięciodniowe eliminacje w lekkiej atletyce. Siedzący obok niego Shasa pierwszy uściśnął mu dłoń i walnął go na odlew w kark. Dawid jechał do Berlina.

Dwa tygodnie później w klubie Inanda w Johannesburgu rozegrano eliminacje w Polo Shasa zakwalifikował się do drużyny „B” (ewentualnych), mającej rozegrać ostatniego dnia decydujący

mecz z zespołem Blaine'a, drużyną „A” (prawdopodobnych).

Ze swego miejsca wysoko na trybunie Centaine obserwowała, jak Shasa gra jeden z najlepszych meczów w swoim życiu, z rozpaczą w sercu czuła jednak, że to wszystko za mało. Przejął wszystkie kierowane do niego podania, nie zepsuł ani jednego strzału, a raz sprzątnął nawet piłkę sprzed nosa samemu Blaine'owi, dając taki popis jazdy, że poderwał całą widownię z miejsc. A jednak wiedziała, że to za mało.

Cliye Ramsay, rywal Shasy do pozycji numer dwa w reprezentacji olimpijskiej, przez cały tydzień spisywał się bardzo dobrze. Był to czterdziestodwuletni mężczyzna o znaczącym dorobku sportowym, grał w drużynie Blaine'a na pozycji wspierającego w trzydziestu dziewięciu meczach międzynarodowych. Zbliżał się do szczytu swojej kariery i było jasne, że selekcjonerzy nie pozwolą sobie na to, żeby zrezygnować z niego na rzecz młodszego, bardziej błyskotliwego, być może nawet bardziej uzdolnionego zawodnika, który jednak nie dorastał mu do pięt doświadczeniem, a co za tym idzie, był znacznie mniej „pewny”.

Centaine niemal widziała, jak kiwają mądrze głowami, wypuszczają kłęby dymu z cygar i dochodzą do zgodnego wniosku: „Młody Courteney będzie miał okazję wystąpić następnym razem”. Poczwała, że z góry ich za to nienawidzi, wszystkich co do jednego, nie wyłączając Blaine'a, gdy nagle przez tłum wokół niej przebiegł głośny jęk. Razem ze wszystkimi zerwała się na nogi.

Shasa, dzięki Bogu, nie miał z tym nic wspólnego. Galopował wzdłuż bocznej linii gotów do przejścia podania, gdy jego numer jeden, inny wybijający się młody zawodnik, zaatakował Cliye'a Ramseya pośrodku pola.

Nie zrobił tego umyślnie, chyba raczej był to skutek młodzieńczej brawury i chęci zabłyśnięcia, ale przechwytyjąc podanie dopuścił się fatalnego faulu. Kuc Cliye'a Ramseya runął na kolana, a sam Ramsey wyleciał z siodła i całym ciężarem ciała rąbnął na twardą jak kamień ziemię. Zrobione po południu prześwietlenie potwierdziło skomplikowane złamanie kości udowej, którą chirurg ortopeda zmuszony był odsłonić i złożyć na gwoździe.

— O Polo mowy nie ma co najmniej przez rok — oświadczył Ramseyowi, kiedy ten obudził się z narkozy.

Toteż kiedy selekcjonerzy zamknęli się na swym konklawe, Centaine czekała w podnieceniu, pozwalając sobie na nową nadzieję. Kiedy postawiono kandydaturę Shasy, Blaine, tak jak ją uprzedzał, wyszedł z sali, dość szybko jednak zawołano go z powrotem.

— No cóż... — chrząknął przewodniczący. — Młody Courteney jedzie na miejsce Cliye'a Ramsey'a.

Wbrew samemu sobie poczuł ogromną dumę i radość, bo Shasa Courteney był mu bliski jak własny syn.

Natychmiast, gdy tylko mógł to już zrobić, zadzwonił z wiadomością do Centaine. — Ogłoszą to dopiero w piątek, ale Shasa został zakwalifikowany.

Centaine nie posiadała się z radości.

— Och, Blaine, jak ja wytrzymam do piątku? — zawołała. — Och, czy to nie wspaniałe, że pojedziemy do Berlina wszyscy troje, ty, Shasa i ja? Moglibyśmy zabrać ze sobą daimlera i przejechać całą Europę!

Shasa nigdy nie był w Mort Homme. Moglibyśmy spędzić kilka dni w Paryżu i zaprosiłbyś mnie na obiad w „Laserre”. Tyle spraw trzeba załatwić, ale porozmawiamy o tym, kiedy się zobaczymy w sobotę.

— W sobotę? — W jego głosie słychać było, że zupełnie o tym zapomniał.

— Urodziny sir Garricka, piknik na Górze Stołowej! — jęknęła zdesperowana. — Blaine, to jedna z nielicznych okazji, kiedy możemy być razem, i to zupełnie legalnie.

— To już urodziny sir Garricka? — zdziwił się, grając na zwłokę. — Kiedy minął ten rok?

— Och, Blaine. wiem, że zapomniałeś, ale nie możesz mnie zawieść. W tym roku okazja będzie podwójna: urodziny i wybór Shasy do reprezentacji olimpijskiej. Przrzeknij, że będziesz.

Wahał się jeszcze przez chwilę. Obiecał już Izabeli, że na weekend zabierze ją i dziewczynki do jej matki w Franshoek.

— Przrzekam, kochanie, będę. — Nie mogła wiedzieć, ile go to będzie kosztowało. Za złamanie obietnicy Izabela ukarze go z niezwykle — wyrafinowanym okrucieństwem.

Nie przestawał tłumaczyć sobie, że to pod wpływem narkotyku następowały w niej takie zmiany, że w głębi duszy wciąż była tą samą słodką i łagodną istotą, z którą się ożenił. Widząc, jak bardzo wyniszczał ją nie ustępujący ani na chwilę ból i uśmierzający go lek, starał się zachować dla niej szacunek, okazywać najgłębsze przywiązanie.

Próbował przywoływać z pamięci jej zjawiskową urodę, subtelną i eteryczną, jak piękno rozkwitającego pąku róży, lecz uroda ta już dawno zgasła, pąk róży przekwitł i zwiędł, i zaczął rozsiewać odór zgnilizny. Ze wszystkich porów jej skóry sączył się słodkawy, mdlący zapach narkotyku, a niegojące się wrzody na pośladkach i u nasady kręgosłupa wydzielaly własną woń, słabą, lecz przenikliwą, która z czasem zaczęła go napełniać nie opanowaną odrazą. Tylko z największym trudem zmuszał się do przebywania w jej pobliżu. Jej zapach i widok raziły go, lecz jednocześnie przepelniały bezradną litością i dręczącym poczuciem winy z powodu niedochowywania jej wierności.

Wychudła tak strasznie, że przypominała szkielet. Na cienkich jak patyczki nogach nie było grama ciała. Nieforemne i idealnie proste, przypominały nogi jakiegoś brodzącego ptaka, zniekształcone tylko naroślami kolan i nieproporcjonalnie wielkimi, bezużytecznymi stopami.

Ręce miała równie cienkie, mięśnie zanikły jej nawet na twarzy i głowie. Ściągnięte wargi odsłaniały blade, niemal białe dziąsła i równe rzędy zębów, wyszczerzonych jak u kościotrupa, gdy próbowała się uśmiechnąć lub gdy, znacznie częściej, wykrzywiała twarz w grymasie bólu i złości.

Skóra jej była biała jak papier ryżowy, jak on sucha i pozbawiona życia, tak cienka i przezroczysta, że żyły na dłoniach i czole przeświecały spod niej wyraźnie błękitną siateczką. W całej twarzy tylko oczy zachowały życie. Czał się w nich jakiś złośliwy błysk, jakby miała za złe Blaine'owi, że cieszy się zdrowiem i krzepkim, sprawnym ciałem, podczas gdy jej własne, zniszczone i schorowane, do niczego się już nie nadawało.

— Jak możesz, Blaine? — spytała płaczliwym, oskarżycielskim tonem, którym do perfekcji nauczyła się posługiwać. — Przecież mi obiecałeś. Sam wiesz, jak rzadko się widzujemy. Tak się cieszyłam na ten weekend. Już wszystko sobie zaplanowałam... — Usta jej się nie zamykały, mówiła i mówiła, aż stawało się to nie do zniesienia. Próbował się wyłączyć i myśleć o czym innym, ale znów przed oczami stanęło mu jej ciało.

Nie widział jej rozebranej od ponad siedmiu lat, gdy ledwie przed miesiącem wszedł do jej garderoby, przekonany, że jest w altanie w ogrodzie, gdzie spędzała całe dni, i zastał ją nagą, leżącą na stole do ćwiczeń. Pochylona nad nią dzienna pielęgniarka masowała jej bezwładne nogi. Kiedy zaskoczone spojrzały w stronę drzwi, musiały dostrzec przerażenie malujące się na jego twarzy. Na zapadniętej klatce piersiowej Izabeli rysowały się wszystkie żebra, puste worki piersi opadały jej

pod pachy. Ciemna kępka włosów łonowych wydawała się rażąca i zupełnie nie na miejscu w kościstym zagłębieniu miednicy, z której pod nienaturalnym kątem sterczały w dół te patyczkowate nogi, tak wysuszone, że przerwa między udami miała szerokość jego dłoni.

— Wyjdź stąd! — krzyknęła przeraźliwie, a on pospiesznie oderwał od niej wzrok i wypadł z pokoju. — Wyjdź i nigdy więcej tu nie przychodź!

Teraz w jej głosie dźwięczała ta sama histeryczna nuta.

— No cóż, to jedź na ten piknik, skoro musisz. Wiem, jakim jestem dla ciebie ciężarem. Wiem, że nie wytrzymasz w mojej obecności dłużej niż kilka minut...

Nie mógł dłużej tego znieść. Przerwał jej uniesieniem ręki.

— Masz rację, kochanie. To był czysty egoizm z mojej strony, nie powinienem być o tym nawet wspominać. Oczywiście pojedę z tobą, nie ma w ogóle o czym mówić. — Dostrzegł w jej oczach błysk mściwego triumfu i nagle po raz pierwszy w życiu poczuł do niej nienawiść. „Dlaczego ona nie umrze? — przebiegło mu przez myśl, nim zdążył się powstrzymać. — Przecież tak byłoby lepiej i dla niej, i dla wszystkich dokoła.” Wstrząśnięty, że taka myśl mogła mu w ogóle powstać w głowie, i owładnięty dręczącym poczuciem winy, podszedł do niej szybko, pochylił się nad wózkiem, ujął w obie ręce jej kościstą dłoń i uściśnął ją, czule całując żonę w usta.

— Shaso, ile czasu potrzebujesz, żeby być gotowym do powrotu do domu? — spytała natychmiast po usłyszeniu jego zaspanego głosu.

Blaine wychylił się z łazienki apartamentu hotelowego z pianą na brodzie.

— Więc jednak się zdecydowałaś? — spytał, kiedy odłożyła słuchawkę.

— Nie ma sensu nawet próbować z nim porozmawiać — odparła. — Widziałeś, jak na mnie patrzył.

— Może nadarzy się jeszcze jakaś lepsza okazja... — próbował ją pocieszyć, ale dostrzegł rozpacz w jej oczach i zrozumiał, że żadne słowa nic tu nie pomogą. Podszedł więc tylko i mocno ją przytulił.

— Wybacz mi, proszę — szepnął i ni stąd, ni zowąd Oczyma wyobraźni ujrzał ją w trumnie. Leżała w niej piękna i pogodna jak za dawnych czasów, jej znów gęste i lśniące kasztanowe Włosy rozsypały się aureolą po atlasowej poduszce. Zacisnął oczy, próbując odegnać ten obraz, ale on trwał, nawet wtedy, gdy Izabela przywarła z całych sił do jego rąk.

— Och, jak to będzie wspaniale pobyć razem choć przez kilka dni! — zawołała, nie pozwalając mu Wyswobodzić ręki. — Tak rzadko mamy teraz okazję, żeby porozmawiać Całe dni spędzasz w par.. lamencie, a kiedy nie Pochłaniają cię obowiązki minjsteńskie zabiera mi cię boisko do polo.

— Widujemy się codziennie rano i wieczorem

- Tak, wiem, ale prawie nigdy nie rozmawiamy. Nie ustaliliśmy jeszcze co z Berlinem a czasu coraz mniej.

- A co takiego chciałabyś ustalić, kochanie? - spytał ostrożnie uwalniając się z jej uchwytu i wracając na swoje miejsce po przeciwnej stronie altany.

— Ależ mnóstwo rzeczy, Blaine! — zawołała Z uśmiechem odsłaniającym spod ściągniętych warg te blade dziąsła. Nadawało jej to niepokojący wygląd przebiegłej łasicy. — Tyle Spraw trzeba załatwić. Kiedy wasza drużyna wyjeżdża?

- Ja raczej nie zabiorę się z reprezentacją odparł niepewnie

- Chyba pojedę kilka tygodni wcześniej zatrzymam się W Londynie i Paryżu, by przeprowadzić rozmowy z rządami Anglii i Francji. Dopiero stamtąd udam się do Berlina.

Och, Blaine, mimo wszystko musimy tak to załatwić żebyś mogła pojechać z tobą! — zawołała, uważnie obserwując jego reakcję.

— Tak — odparł, starając się zapanować nad swą twarzą — Będzie to Wymagało bardzo starannych przygotowań.

Ta myśl była nie do zniesienia tak marzył o tym, żeby być z Centaine, bez konieczności maskowania się i udawania bez nieustannego strachu przed odkryciem

— Przede wszystkim, kochanie, musimy mieć pewność, że taka długa podróż nie Pogorszy twego stanu zdrowia

— Wcale nie chcesz, żebyś z tobą jechała prawda? - spytała ostrym tonem

- Ależ oczywiście.

- To dla ciebie wspaniała okazja, żeby się stąd wyrwać uwolnić ode mnie.

- Izabejo kochanie proszę cię, Uspokój się. To nie wpłynie dobrze na twój..

— Nie udawaj, że się o mnie troszczysz... Od dziewięciu lat jestem dla ciebie ciężarem... Wiem, że chciałbyś, żebym umarła...

— Izabelo...! — Celność tego oskarżenia przyprawiła go o wstrząs.

— Och, nie graj roli świętego, Blaine. Mogę być przykuta do fotela, ale mam oczy i uszy otwarte.

— Nie mam ochoty kontynuować tej rozmowy. — Wstał, zbierając się do odejścia. —

Porozmawiamy, kiedy odzyskasz panowanie nad...

— Siadaj! — wydarła się histerycznie. — Tym razem nie uciekniesz ode mnie jak zwykle do tej swojej francuskiej kurwy! — Drgnął, jakby go spoliczkowała, a ona ciągnęła, napawając się wrażeniem, jakie wywarły na nim jej słowa. — No, W końcu zdobyłam się, żeby to powiedzieć. Mój Boże, nigdy nie będziesz wiedział, ile razy miałam to już na końcu języka. Nigdy nie zrozumiesz, jakie to wspaniałe uczucie móc to w końcu z siebie wyrzucić! Kurwa! Ladacznicą!

— Jeśli nie przestaniesz, natychmiast stąd odejść.

— Dziwka — rzuciła, rozkoszując się brzmieniem tego słowa.— Ściera! Szmata!

Określił się na pięcie i zbiegł po schodach altany, pokonując je po dwa naraz.

— Blaine! — krzyknęła za nim za całe gardło. — Wracaj tu natychmiast!

Nie zatrzymał się, sadząc wielkimi krokami w stronę domu, a ona zmieniła nagle ton.

- Blaine, przepraszam, wybac mi. Wróć, proszę cię! Proszę! — Nie był w stanie oprzeć się jej błaganiom. Z ociąganiem się zawrócił i stanął u szczytu schodów. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania i gniewu, więc zacisnął je w pięści i wepchnął w kieszenie.

— No dobrze — powiedział cicho - to o mnie i Centaine Courteney to prawda. Kocham ją. Ale prawdą jest także, że zrobiliśmy wszystko co w naszej mocy, żeby oszczędzić ci przykrości i upokorzeń. Więc nigdy więcej nie waż się tak o niej mówić. Gdyby mi na to pozwoliła, już lata temu zostawiłbym cię i odszedł do niej. Niech mi Bóg wybaczy, ale tak właśnie by było. Tylko ona trzymała mnie przy tobie i nadal trzyma.

Wydawała się zdruzgotana i wstrząśnięta tak jak on, ale były to tylko pozory. Kiedy podniosła na niego oczy, zrozumiał, że udawała skrucę tylko po to, żeby zwabić go z powrotem w zasięg swego głosu.

— Wiem, że nie mogę jechać z tobą do Berlina, Blaine. Rozmawiałam już o tym z doktorem Josephem i kategorycznie mi tego zabronił. Twierdzi, że taka podróż musiałaby mnie zabić. Wiem jednak także, co planujecie, ty i ta kobieta. Wiem, że użyliście wszelkich wpływów, żeby wepchnąć Shasę Courteneya do reprezentacji po to tylko, by dostarczyć jej pretekstu do wyjazdu z tobą. Wiem, że macie zamiar odbyć cudowną, romantyczną podróż we dwoje i że nie zdołam wam w tym przeszkodzić...

Rozłożył ręce w geście gniewnej rezygnacji. Prostowanie czegokolwiek nie miało najmniejszego sensu. Izabela podniosła głos do świdrującego w uszach przeraźliwego krzyku.

— Ale coś ci powiem... Jeśli wam się zdaje, że to będzie idylliczny miodowy miesiąc, to grubo się mylicie! Powiedziałam już dziewczynkom, Tarze i Matyldzie Janinie, że pojedą z tobą. Już im to powiedziałam, a one nie posiadają się z radości. Więc masz do wyboru: albo okażesz taki brak serca, że sprawisz własnym córkom straszliwe rozczarowanie, albo w Berlinie nie będziesz odgrywał Romea, tylko niańczył dzieci. — Oczy błysnęły jej mściwie i podniosła głos jeszcze o ton.

— I ostrzegam cię, mój drogi mężu! Jeśli nie zabierzesz ze sobą swych córek, to ja wyjaśnię im, z jakiego powodu tego nie zrobiłeś! Biorę Boga na świadka, że powiem im, jaki to z ich ukochanego tatusia oszust, kłamca, rozpustnik i dziwkarz!

Chociaż wszyscy, poczynając od najlepiej zorientowanych dziennikarzy sportowych a kończąc na najzwyczajniejszych kibicach, spodziewali się, że Manfred De La Rey wejdzie w skład reprezentacji olimpijskiej na Igrzyska w Berlinie, to kiedy oficjalnie ogłoszono skład drużyny i Manfred rzeczywiście się w niej znalazł w wadze lekkociężkiej, a na dodatek Roelf Stander w wadze ciężkiej, i kiedy ujawniono, że obowiązki trenera reprezentacji powierzono wielebnemu Trompowi Biermanowi, uniwersytet w Stellenbosch i całe miasto oszalało z radości i dumy.

Wydano przyjęcie dla wszystkich obywateli miasta zakończone huczną paradą na głównej ulicy, a na walnym zgromadzeniu Ossewy Brandwag naczelny dowódca postawił ich za wzór afrykanerskich cnót męskich, wychwalając oddanie i umiejętności pięściarskie.

— To właśnie tacy młodzi ludzie poprowadzą nasz naród do walki o odzyskanie należnego miejsca na tej ziemi — zakończył swe przemówienie, a kiedy szeregi umundurowanych członków organizacji oddały im honory, przykładając do piersi zaciśniętą pięść, przypiął Manfredowi i Roelfowi do bluz dystynkcje oficerskie.

— Ku chwale Boga i Volku! — odparł Manfred. Nigdy jeszcze nie był taki dumny, nigdy jeszcze nie postanawiał tak twardo, że nie zawiedzie pokładanego w nim zaufania.

W ciągu następnych tygodni podniecenie nie przestawało narastać. Zaczęły się przymiarki u krawca reprezentacji przygotowującego złoto-zielone marynarki i białe spodnie, stanowiące wraz z panamami o szerokich rondach oficjalny strój, w którym mieli wmaszerować na stadion w czasie uroczystości otwarcia Igrzysk. Na niezliczonych naradach i zebraniach omawiano wszelkie możliwe tematy: od niemieckiej etykiety i norm dobrego wychowania przez ustalenia dotyczące podróży i zakwaterowania, po charakterystyki przeciwników których mogli napotkać w drodze do finału.

Obaj z Roelfem udzielili wywiadów wszystkim dziennikom i tygodnikom w kraju, a jedna ze stacji radiowych poświęciła im cały półgodzinny program z cyklu „To jest twój kraj”.

Był jednak ktoś, kto nie uległ atmosferze ogólnego podniecenia i radości.

— Te kilka tygodni, kiedy cię nie będzie, wydadzą mi się dłuższe niż całe moje życie — powiedziała pewnego razu Sarah.

— Nie bądź głupią gąską — roześmiał się Manfred. — Nim się obejrzysz, będzie po wszystkim, a ja stanę przed tobą ze złotym medalem na piersi.

— Nie nazywaj mnie głupią gąską! — zawołała, strzelając gniewnie oczami. — Słyszysz? Nigdy więcej!

Smiech zamari mu na ustach.

— Masz rację — powiedział. — Zaslugujesz na coś lepszego.

Sarah wzięła na siebie obowiązek mierzenia czasów Manfreda i Roelfa podczas ich wieczornych biegów treningowych. Smigając bosymi stopami pędziła na skróty przez las, by w umówionym miejscu na wzgórzu czekać na nich z pożyczonym od wuja Trompa stoperem, mokrą gąbką i butelką zimnego, orzeźwiającego, świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Kiedy zwilżyli ciała gąbką, napili się i biegli dalej, rzucała się natychmiast na przelaj przez dolinę czy stok wzgórza, by wyprzedzić ich i czekać na następnym postoju.

Dwa tygodnie przed terminem odpłynięcia statku Roelf musiał opuścić wieczorny trening, gdyż wypadło mu nadzwyczajnie zebranie rady studentów, której przewodniczył, i Manfred tego dnia

ćwiczył sam.

Sadząc długimi, sprężystymi susami wbiegał pełnym pędem, najszybciej jak mógł na strome zbocze Hartenbosch, gdy naraz podniósł wzrok na wznoszący się nad nim szczyt góry. Sarah czekała już tam na niego; nisko stojące jesienne słońce świeciło zza jej pleców, opromieniając ją złocistą aureolą i przeświecając przez cienki materiał jej sukienki tak, że wyraźnie widać było zarys jej nóg i wszystkie wdzięczne linie i kąty jej ciała, zupełnie jakby stała przed nim naga.

Mimowolnie stanął jak wryty i zapatrzył się w nią jak w obraz, dysząc ciężko i czując, że serce wali mu w piersi nie tylko ze zmęczenia.

„Jakaż ona jest piękna!” Nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia, że do tej pory nigdy tego nie zauważył. Nie spuszczać z niej wzroku przeszedł powoli ostatni odcinek zbocza, zmieszany tym nagłym odkryciem i zaskakującym pragnieniem, które do tej pory zawzięcie w sobie tłumił, do którego istnienia nigdy się przed sobą nie przyznał, a które nagle rozgorzało w nim trawiącym płomieniem.

Wyszła mu kilka kroków naprzeciw; bosy sięgała mu ledwie do ramienia, lecz to tylko jeszcze bardziej rozpalało dojmujące pragnienie. Podała mu gąbkę, a kiedy nawet nie drgnął, żeby ją od niej wziąć, podeszła bliżej i sama otarła mu z potu szyję i ramiona.

— Śniło mi się wczoraj, że znów byliśmy w obozowisku — szepnęła, przesuwając delikatnie gąbką po jego rękach. — Pamiętasz tamto obozowisko przy torach, Manie?

Skinął głową. Gardło miał tak zaciśnięte, że nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

— Zobaczyłam mamę leżącą w grobie. To było straszne. Potem coś się zmieniło i to nie była już mama, ale ty, Manie. Byłeś taki blady i piękny, ale czułam, że cię straciłam.. I z tego żalu sama chciałam umrzeć, żeby być z tobą na wieki.

Objął ją i przytulił, a ona rozplakała się i przywarła do niego całym ciałem. Było takie chłodne, takie miękkie, takie uległe...

— Och, Manie — zawołała drżącym głosem. — Nie chcę cię stracić! Proszę cię, wróć do mnie... Bez ciebie nie mam po co żyć!

— Kocham cię, Sarie — powiedział ochryple, a ona drgnęła w jego ramionach.

— Och, Manie...

— Do tej pory nie zdawałem sobie z tego sprawy — wydukał.

— Och, Manie, ja zawsze wiedziałam. Kocham cię od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam, i będę kochać, póki żyję. — Rozplakała się i uniosła głowę. — Pocałuj mnie, Manie, pocałuj mnie, bo umrę.

Dotyk jej ust rozpalił w nim pożar, którego płomienie i dym odcięły go od rzeczywistości, zasnuły rozsądek. Nie wiadomo, w jaki sposób znaleźli się pod sosnami obok ścieżki i spoczęli na posłaniu z wonnego igliwia.. Na plecach czuł miękkie muśnięcia parnego jesiennego powietrza nie tak jednak miękkie jak jej ciało pod nim, ani tak gorące jak wilgotna głębia, w którą go przyjęła.

Nie rozumiał, co się dzieje, dopóki nie zaczęła krzyczeć z bólu i bezgranicznej radości, lecz wtedy było już za późno i sam odpowiedział krzykiem na jej krzyk, niezdolny już, by się wycofać, i dał się ponieść wirującej fali przyływu tam, gdzie nigdy jeszcze nie był, do miejsc, o których istnieniu nawet mu się nie śniło.

Kiedy poczucie rzeczywistości i głos rozsądku powoli powróciły z najdalszych dali, odsunął się od niej z przerażeniem, naciągając pospiesznie ubranie.

- To co zrobiliśmy, jest niewybaczalnie plugawe...

— Nie! — przerwała mu, potrząsając gwałtownie głową i, Wciąż naga, wyciągnęła do niego rękę. — Nie, Manie, miłość nie jest plugawa. Jakże mogłaby być? To rzecz dana od Boga, piękna i święta.

Ostatniej nocy przed odpłynięciem do Europy razem z wujem Trompem i całą drużyną, Manfred spał w swoim pokoju w domu wujostwa. Kiedy w starym domostwie zaległa ciemność i zapanowała cisza, Sarah wymknęła się na korytarz. Drzwi pokoju Manfreda były uchylone. Nie protestował, gdy zrzuciła z ramion koszulę nocną i wśliznęła się do jego łóżka.

Pozostała z nim aż ciemność za oknami rozjaśnił pierwszy brzask i w koronach dębów przed werandą zaczęły gruchać budzące się gołębie. Pocałowała go wtedy po raz ostatni i szepnęła:

— Teraz należymy do siebie, już na zawsze.

41

Do odpłynięcia pozostało zaledwie pół godziny, a salon kabiny Centaine był tak zatłoczony, że stewardzi musieli podawać kieliszki szampana ponad głowami gości, a przedostanie się z jednego końca kajuty w drugi wymagało nie lada zręczności. Ze wszystkich przyjaciół Centaine nie było tylko Blaine'a Malcomessa.

Postanowili nie afiszować się, że płyną tym samym statkiem i spotkać dopiero po opuszczeniu portu.

Zarówno Abe Abrahams, trzymający z dumą pod rękę swego syna, Dawida, jak i Twentyman-Jones, wysoki i ponury jak stary marabut, nie odstępowali Centaine na krok. Wybrali się aż z Windhoek, żeby odprowadzić ją na statek. Na pożegnalne przyjęcie przybył także oczywiście sir Garrick z Anną oraz generał Smuts ze swą filigranową żoną w wielkich okularach w metalowej oprawie na nosie.

W najdalszym kącie Shasa zabawiał grono oblegających go młodych dam historyjkami wywołującymi okrzyki rozbawienia, niedowierzania i podziwu, gdy nagle, wyrzawszy przypadkiem przez bulaj, stracił wątek i zapomniał zupełnie o czym mówił. Bulaj wychodził na pokład łodziowy, a jego uwagę przykuła przechodząca dziewczyna, której głowa mignęła mu w okienku.

Nie widział jej twarzy, tylko profil i tył głowy z kaskadą opadających na smukłą szyję kasztanowych loków i sterczącym spomiędzy nich, lekko odstającym małym uszkiem. Było to ledwie mignięcie, ale coś w sposobie, w jaki dziewczyna trzymała głowę, sprawiło, że stracił całe zainteresowanie tłumem oblegających go młodych kobiet.

Wspiął się na palce, rozlewając szampana, i wytknął głowę przez otwarty bulaj, ale dziewczyna przeszła już dalej i zobaczył ją tylko od tyłu. Była nieprawdopodobnie wąska w talii, lecz zuchwale kręciła małą pupką, przy każdym kroku kołysząc rytmicznie spódnicą. Łydki miała idealnie krągłe, jak toczony, a kostki szczupłe i zgrabne. Kiedy zniknęła za rogiem, Shasa powziął decyzję: musi natychmiast zobaczyć jej twarz.

— Panie wybaczą... — Przez jego audytorium przebiegł jęk rozczarowania, ale udało mu się prześliznąć przez otaczający go wianuszek dam i zaczął się przeciskać w stronę drzwi. Nim jednak do nich dotarł, syreny okrętowe ryknęły ostrzegawczo i przez pokład przebiegł okrzyk: „Panie i panowie, prosimy zejść na brzeg! Wszystkich odprowadzających prosimy o niezwłoczne opuszczenie statku!” Zrozumiał, że się spóźnił.

„Trudno — pocieszył się — pewnie wcale nie była taka nadzwyczajna. Jak to często bywa, z tyłu cudo, a z przodu koszmarek. A w dodatku i tak na pewno z nami nie płynie.” W tej samej chwili Twentyman-Jones uścisnął mu na pożegnanie rękę, życząc powodzenia na Olimpiadzie, i nie

pozostało nic innego, jak skupić się na wypełnianiu obowiązków towarzyskich i spróbować zapomnieć o burzy kasztanowych włosów. Nie było to jednak wcale takie łatwe.

Z pokładu rozglądał się za kasztanowymi lokami wśród tłumu schodzących po trapie i zgromadzonych na nabrzeżu, lecz już szczelina między statkiem a ziemią zaczęła się rozwierać i Centaine pociągnęła go za rękę.

— Chodźmy, *cheri*, trzeba sprawdzić, jak usadzono nas w jadalni.

— Ale przecież zostałam zaproszona do stołu kapitańskiego! — zaprotestował. — Widziałem zaproszenie...

— Owszem, ale tylko ja, a ty i Dawid nie. Chodźmy, Dawidzie, zobaczymy, gdzie macie miejsca, a gdyby okazały się nieodpowiednie, zarządzymy ich zmianę.

Shasa zorientował się, że matka coś knuje. Normalnie nie zajmowałyby się sposobem usadzenia przy siole, pewna, że samo nazwisko gwarantowało jej wszystkie należne względy. Teraz jednak obstawała przy tym z uporem, a do tego miała w oku ten tak dobrze znany błysk, który nazywał w myślach makiawelicznym.

— No to chodźmy — zgodził się dla świętego spokoju i zeszli we troje na niższy pokład, do jadalni pierwszej klasy.

Na dole wytrawni podróżnicy dokonywali wymiany grzeczności z szefem sali. Pięćofuntowe banknoty znikwały w kieszeni tego światowca, jak za sprawą czarów, bez śladu, zupełnie jej nie wypychając, i puszczone w ruch gumka wycierała z planu rozmieszczenia gości jedne nazwiska, a ołówki wpisywał na nich miejsce inne.

Nieco z boku Shasa dostrzegł wysoką znajomą postać, którą rozpoznał od pierwszego spojrzenia. Coś w postawie tego mężczyzny, w pełnych oczekiwania zerknięciach, którymi obrzucał schody, zdradzało, że kogoś wypatruje. Kiedy na widok Centaine rozpromienił się w uśmiechu, stało się jasne, kogo.

— Wielki Boże, mamó! — zawołał Shasa. — Nie wiedziałem, że Blaine płynie dzisiaj... Myślałem, że później, z całą resztą... — urwał, czując jak matka ścisła go mocniej za rękę i wstrzymuje oddech na widok Blaine'a.

„Wszystko to ukartowali! — uświadomił sobie z nagłym zdumieniem. — Dlatego tak jej się tu spieszyło. — I wreszcie poczuł, że coś mu świta w głowie. — U własnej matki nigdy się tego nie dostrzega, ale oni są kochankami. Przez tyle lat byłem zupełnie ślepy. — Dziesiątki drobnych zdarzeń, nieistotnych w swoim czasie, nabierały nagle zupełnie innego sensu i znaczenia. — Matka i Blaine, a niech mnie! Kto by to pomyślał... — Poczul przyływ sprzecznych uczuć. — Ze wszystkich mężczyzn świata, wybrałbym właśnie jego... — W tym momencie uzmysłowił sobie jak bardzo Blaine Malcomess zastępował mu ojca, którego nigdy nie znał, lecz myśl tę natychmiast zagłuszył przyływ zazdrości i moralnego potępienia. Blaine Malcomess, wzór cnót wszelakich i filar rządu... I moja matka, która marszczy surowo czoło i z naganą kręci głową na moje wysoki... Coś takiego! A to cwaniaczki! Szaleją sobie razem od lat i nikomu nawet przez myśl nie przejdzie coś podejrzewać!”

Blaine już do nich podchodził.

— Centaine, co za niespodzianka!

Matka podała mu ze śmiechem rękę.

— Wielki Boże, Blaine, nie miałam pojęcia, że płyniesz tym samym statkiem!

„Cóż za popis gry! — pomyślał z przekąsem Shasa. — Przez tyle lat mydlić oczy wszystkim wokoło! Przy was Clark Gable i Ingrid Bergman to para niedouczonej nowicjuszy!”

I nagle wszystko to straciło jakiegokolwiek znaczenie. Ważne było tylko to, że za plecami Blaine'a stały dwie młode dziewczyny.

— Centaine, na pewno pamiętasz moje córki. To jest Tara, a to Matylda Janina.

„Tara... — Shasa poczuł, że te dwie sylaby rozbrzmiewają mu w uszach cichą muzyką. — Jakie piękne imię...” — To była właśnie ta dziewczyna, która mignęła mu na pokładzie łodziowym, tylko że okazała się sto razy piękniejsza, niż przypuszczał.

Tara. Była wysoka, ledwie kilka centymetrów niższa od niego, lecz wiotka w talii jak trzcina, a nogi miała smukłe jak wierzbowe witki.

Tara. Twarz madonny, pogodnie owalna, o cerze jak mleko z płatkami róż, niemal zbyt idealna jak na żywą istotę, lecz dzięki dymnokasztanowym włosom, szerokim ustom ojca i przenikliwym oczom, błyszczącym inteligencją i stanowczością, daleka od mdłej ekliwości.

Przywitała się z Centaine okazując należyłą dozę szacunku, po czym odwróciła głowę i spojrzała prosto na Shasę.

— Shaso, ty też powinieneś ją pamiętać — powiedział Blaine. — Cztery lata temu była z wizytą w Weltevreden.

Shasa spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Czy to możliwe, żeby to był ten sam hałaśliwy, niezdolny bachor? Ten w krótkich sukienkach, ze strupami na poobijanych, kościstych kolanach, nieustannie wprawiający go w zakłopotanie niesfornym objawianiem mu swego dziecinnego uwielbienia? Nie mógł w to uwierzyć, a głos z trudem przechodził mu przez gardło.

— Miło cię znów widzieć, Taro, po tylu latach...

„Pamiętaj, Taro Malcomess — napomniała się Tara — że masz panować nad sobą i zachować chłodną rezerwę. — Na wspomnienie tego, jak biegała za nim krok w krok i łąsiła się niczym skamlący o pogłaskanie szczeniak, omal nie zadrżała ze wstydu. — Ależ ze mnie była niezdolna, nieopierzona gęś!” — Ale zadurzyła się w nim od pierwszego wejrzenia i to tak bardzo, że cierpienia, jakie wtedy przeżywała, jeszcze teraz dawały o sobie znać stłumionym echem. Mimo to udało jej się przybrać wyraz uprzejmej obojętności.

— Och, to myśmy się już spotkali? — powiedziała lekkim tonem. — Musiałam zapomnieć, proszę mi wybaczyć. — Podała mu rękę. — Więc miło znów cię widzieć... Shaso?

- Tak, Shasa. — potwierdził skwapliwie i ujął jej dłoń, jakby to były relikwia świętej. — „Dlaczego od tamtej pory już nigdy jej nie spotkałem? — zapytywał sam siebie, nie mogąc się temu nadziwić, a odpowiedź natychmiast sama mu się nasunęła. — To nie przypadek. Blaine i matka dobrze pilnowali, żebyśmy się więcej nie spotkali, bo mogłoby to mocno skomplikować ich własny układzik. Po co Tara miałaby donosić mamusi o tym, co się dzieje.” — Ale był zbyt szczęśliwy, żeby mieć teraz o to do nich pretensję.

— Czy dokonaliście już rezerwacji miejsc przy stole? — spytał nie puszczając jej ręki.

- Tata siedzi przy stole kapitańskim — spojrzała z uwielbieniem na ojca. — A my mamy dostać osobny stolik.

— Moglibyśmy usiąść we czwórkę przy jednym — zaproponował błyskawicznie Shasa. — Chodźmy porozmawiać z szefem sali.

Blaine i Centaine wymienili pełne ulgi spojrzenia. Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak zaplanowali, choć czegoś jednak nie przewidzieli.

Podając rękę Dawidowi Matylda Janina spłonęła rumieńcem. Z dwóch córek Blaine'a to ona była brzydkim kaczątkiem, bo odziedziczyła po ojcu nie tylko szerokie usta, lecz także wydatny nos i

odstające uszy, a jej włosy nie miały barwy kasztanowej, lecz rudą jak marchewka.

„Ale on też ma duży nos — bronila się w myślach, przyglądając się Dawidowi, gdy nagle zupełnie co innego wzbudziło w niej wręcz panikę. — Jeśli Tara mu powie, że mam dopiero szesnaście lat, to chyba umrę!”

Dla wszystkich czworga podróż okazała się jedną wielką burzą namiętności, zachwyków, zaskoczeń, rozczarowań i cierpień. W ciągu czternastu dni jej trwania Blaine i Centaine spędzali z nimi niewiele czasu, spotykali się najczęściej na drinku przed lunchem i obowiązkowych tańcach po kolacji, kiedy to Shasa na zmianę z Dawidem wirowali wokół parkietu z Centaine, a Blaine tańczył ze swymi córkami. Potem cała czwórka wymieniała szybkie spojrzenia i wynajdując najbardziej wyszukane wymówki znikala w zejściu do klasy turystycznej, bo dopiero tam można było się rzeczywiście zabawić, zostawiając Blaine'owi i Centaine korzystanie ze statecznych rozrywek salonów pierwszej klasy.

Widok Tary w jednocześnie zielonym kostiumie kąpielowym przyprawiał Shasę o zawrót głowy. Jej piersi pod ściśle przylegającym materiałem miały kształt niedojrzałych gruszek, a kiedy wyłaniała się z basenu, cała ociekająca wodą, widać było nawet dołeczek pępka i małe twarde kulki sutków. W takich chwilach tylko najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywał się, by nie wydać z siebie głośnego jęku.

Matylda Janina i Dawid odkryli u siebie identyczne błazeńskie poczucie humoru i niemal cały czas pokładali się ze śmiechu. Matylda Janina wstawiała codziennie rano o wpół do piątej, bez względu na Sto, jak późno poprzedniego dnia się położyli, by dopingować Dawida podczas jego pięćdziesięciu treningowych okrążeń pokładu.

„Biega jak pantera — podziwiała za każdym razem. — Miętko, sprężyste, z cudownym kocim wdziękiem.” I codziennie musiała wymyślić pięćdziesiąt nowych ciętych uwag, które wykrzykiwała za nim, gdy mijał ją w pełnym pędzie. Ganił się wokół basenu i mocowali radośnie pod wodą, gdy udało im się do niego razem wpaść, ale poza ukradkowym pocałunkiem przed drzwiami kajuty, którą Matylda Janina dzieliła z Tarą, żadne nie dążyło do niczego więcej. Choć Dawid odniósł wiele korzyści z przelotnej znajomości z Wielbłądzą, nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby uprawiać takie same akrobacje z kimś tak niezwykłym jak Matty.

Shasa natomiast zupełnie nie miał takich zahamowań. Był o wiele bardziej doświadczony seksualnie od Dawida i kiedy otrząsnął się z początkowego niemego zachwywu urodą Tary, przypuścił podstępny lecz zdecydowany szturm na twierdzę jej dziewictwa. Jego efekty okazały się jednak jeszcze mniej satysfakcjonujące niż zdobycze Dawida.

Prawie cały tydzień potrwało, nim ich znajomość osiągnęła taki stopień zażyłości, by Tara pozwoliła mu nasmarować sobie olejkiem do opalania plecy i ramiona. Kiedy nad ranem przygasały światła na parkiecie, konferansjer ogłaszał ostatni taniec i orkiestra zaczynała grać landrynkowo romantyczną „Poincianę”, Tara przytulała do jego twarzy aksamitny policzek, ale jeśli próbował przycisnąć do niej biodra, już po chwili odginała się do tyłu, a gdy przed drzwiami kabiny chciał ją pocałować, odpychała go delikatnie lecz stanowczo obiema rękami z tym cichym śmiechem, który tak go prowokował.

„Ta głupia jędza jest kompletnie oziębła! — wykrzykiwał podczas golenia do swego odbicia w lustrze. — W majtkach ma pewno wielki kawał lodu!” — Myśl o tych partiach jej ciała przyprawiała go o dreszcz bezsilności i zawodu i po raz kolejny postanawiał dać sobie z nią spokój. Na statku było pięć czy sześć kobiet, w różnym wieku, które wodziły za nim niedwuznacznie zachęcającym

wzrokiem. „Zamiast uganiać się za panną Cnotą mógłbym mieć każdą z nich albo wszystkie po kolei...” Ale już godzinę później partnerował jej w mistrzostwach par mieszanych w rzutach pierścieniem, drżącymi z pożądania rękoma nacierał olejkiem te nieskazitelne, rzeźbione plecy lub robił co mógł, by nie wyjść na ignoranta, gdy zaczynała poważną dyskusję o wadach i zaletach rządowego projektu pozbawienia praw wyborczych kolorowej ludności, zamieszkującej prowincję Cape.

Z konsternacją odkrył, że Tara Malcomess ma znakomicie wyrobiony zmysł polityczny i choć między nim a matką istniało ciche porozumienie, że pewnego dnia czeka go kariera polityczna i parlamentarna, pod względem orientacji w złożonych problemach kraju nie dorastał Tarze do pięt. Jej poglądy bulwersowały go niemal w takim samym stopniu, w jakim pociągała go jej uroda.

— Tak jak tata uważam, że nie tylko me powinniśmy odbierać prawa wyborczego tej garstce czarnych, która je jeszcze ma, lecz wręcz przeciwnie — powinniśmy dać je wszystkim kolorowym.

— Wszystkim?! — powtórzył Shasa, wyraźnie zszokowany. — To niemożliwe, żebyś naprawdę tak uważała!

— Owszem, tak właśnie uważam. Nie wszystkim naraz, ale stopniowo, w oparciu o kryterium dojrzałości. Rządzić mogą ci, którzy to potrafią. Prawo głosowania powinni otrzymać wszyscy o odpowiednim poziomie wykształcenia i poczucia obywatelskiej odpowiedzialności. W ciągu dwóch pokoleń wszyscy biali Czarni, mężczyźni i kobiety, znaleźliby się na spisach wyborców.

Shasa wzdrygnął się w duchu. Przy takim rozwiązaniu już teraz mógłby się pożegnać z myślą o miejscu w parlamencie. A i tak był to chyba jeden z jej mniej radykalnych poglądów.

— Jak można zakazywać ludziom posiadania ziemi w ich własnym kraju, jak można zabraniać im sprzedawania swej siły roboczej temu, kto najlepiej za nią płaci, zabraniać im zbiorowych negocjacji wysokości wynagrodzenia?

Związki zawodowe to dzieło Lenina i szatana. To przekonanie Shasa wyszał z mlekiem matki.

„To bolszewiczka — myślał. — Ale, na Boga, przepiękna bolszewiczka!” — I zrywał się z pokładu, by przerwać ten niestrawny wykład.

— Chodź, popływamy!

„Ciemniak i faszysta!” — wyzywała go z wściekłością w duchu Tara, ale kiedy widziała, jak inne kobiety zerkają na niego zza słonecznych okularów, miała ochotę wydrapać im oczy. A nocami, leżąc na swej koi i odtwarzając z pamięci wspomnienie dotyku jego rąk na swoich nagich plecach i muśnięć jego ciała w tańcu na parkiecie, płonila się w ciemności, zawstydzona marzeniami, które wirowały jej w głowie.

„Jeśli pozwolę mu choćby na odrobinę..., najmniejszą odrobinę... to nie będę już w stanie go powstrzymać... nie znajdę w sobie dość siły... — Wysiłkiem woli ponawiała postanowienie bycia twardą i nieustępliwą. — Chłodno i z rezerwą” — powtarzała jak zaklęcie mające ją uchronić przed zdradliwymi pułapkami, które zastawiało na nią jej własne ciało.

Zdumiewającym zbiegiem okoliczności Blaine Malcomess zabrał ze sobą w podróż swojego bentleya, który przebył drogę do Southhampton w ładowni statku obok daimlera Centaine.

— Och, to może pojedziemy do Berlina razem! — wykrzyknęła Centaine, jakby ten pomysł dopiero w tej właśnie chwili wpadł jej do głowy. Młodzież niezwykle skwapliwie przystała na tę propozycję, rozpoczynając natychmiast podchody i knowania, by uzyskać odpowiedni rozdział miejsc. Po słabych protestach Centaine i Blaine wspaniałomyślnie zgodzili się jechać przodem bentleyem, zostawiając młodemu daimlera z Shasą jako kierowcą.

Za Hawrem odbili na północny wschód i ruszyli zakurzonymi drogami Pikardii i Artois, przejeżdżając przez miasta, których nazwy wciąż jeszcze budziły grozę: Amiens i Arras. Błotniste pola bitewne, na których walczył Blaine, zarosły zieloną trawą, ale pola białych krzyży jaśniały W słońcu jak łany stokrotek.

— Oby Bóg sprawił, by ludzkość nigdy więcej nie musiała przeżyć czegoś takiego — mruknął Blaine, a Centaine delikatnie położyła rękę na jego ramieniu.

W małej wiosce Mort Homme zaparkowali przed oberżą przy głównej ulicy, a kiedy Centaine weszła do środka zapytać o możliwość noclegu, stara szynkarka natychmiast ją rozpoznała.

— *Henn, viens vite! C'est Mademoiselle de Thiry du chiteau!* [Henn, chodź szybko! To panienska de Thiry z zamku!] — zawołała nie posiadając się z radości i podbiegła do Centaine, by ją uściskać i wycalować w oba policzki.

Wyrzucono jakiegoś komiwojażera i oddano im do dyspozycji najlepsze sypialnie; kiedy Centaine i Blaine poprosili o osobne pokoje, trzeba było udzielić kilku wyjaśnień, ale kolacja, którą podano tego wieczoru, miała dla Centaine cudownie nostalgiczny urok. Były wszystkie miejscwe specjały, terriny, trufle i tarty, do tego wino z okolicznych winnic, a oberżystka nie odstępowała Centaine, dzieląc się z nią ploteczkami na temat tego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich dziewiętnastu lat, opowiadając kto umarł, komu urodziły się dzieci, kto się z kim ożenił, kto kogo uwiódł i porzucił, które rodziny żyją w przyjaźni, a które są ze sobą skłócone.

Nazajutrz wczesnym rankiem Centaine i Shasa zostawili śpiącą resztę i pojechali do *chateau*. Zostały po nim osmalone ruiny o ścianach podziurawionych kulami, z ziejącymi oczodołami pustych okien, opuszczone i zarośnięte. Centaine stanęła pośrodku dawnego salonu i zapłakała nad ojcem, który wolał spłonąć razem ze swym domem niż porzucić go na pastwę nacierających Niemców.

Po wojnie cała posiadłość została sprzedana na pokrycie długów, w które wpędziły starego człowieka lata wystawnego życia i upodobanie do dobrych trunków. Przeszła na własność Hennessy, znanej flrmy produkującej koniaki. Centaine pomyślała z uśmiechem, że ojca ubawiłaby ta mała ironia losu.

Wspięli się razem na pagórek za zameczkiem i Centaine pokazała stamtąd Shasie sad i winnicę, za którymi znajdowało się w czasie wojny polowe lotnisko.

— Tam właśnie stacjonowała eskadra twojego ojca, na skraju tego sadu. Czekałam tu każdego ranka, aż wystartują do walki i machałam im na pożegnanie.

— Latali na SE5, prawda?

— Dopiero później. Z początku na starych sopwithach. — Powiodła wzrokiem po niebie. — Samolot twojego ojca był jasnożółty. Nazywałam go *le petit jaune*, żółtaczkciem... Wciąż jeszcze widzę go w skórzanej pilotce. Przelatując nade mną podnosił na czoło gogle, żebym mogła mu popatrzeć w oczy. Och, Shaso, jakiż on był młody, radosny i szlachetny... Jak młody orzeł wzbijający się w przestworza.

Zeszli z pagórka i ruszyli w drogę powrotną, niespiesznie mijając kolejne winnice. W pewnym momencie Centaine poprosiła Shasę, by zatrzymał się przy małej stodółce z polnego kamienia, stojącej w narożniku pola północnego. Patrzył zdumiony, jak stoi długą chwilę bez ruchu w progu krytego strzechą budyneczku, po czym wraca do daimlera z błakającym się po ustach uśmiechem i ciepłym lśnieniem w oczach.

— Tu spotykaliśmy się z twoim ojcem — wyjaśniła cicho w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie. W przeblysku janowidzenia Shasa uświadomił sobie, że właśnie tu został poczęty, w tej

walącej się stodołę, tysiące kilometrów od domu. Wydało mu się to tak dziwne, że przez całą drogę do oberży pozostawał pod wrażeniem tego odkrycia.

Przy wjeździe do wioski, naprzeciwko kościółka z wieżyczką pokrytą spatynowaną na zielono miedzianą blachą, zatrzymali się po raz drugi i weszli na miejscowy cmentarz. Michaela Courteneya pochowano w jego najdalszym końcu, pod wyniosłym cisem. Już z Afryki Centaine zamówiła mu kamienny nagrobek, ale jeszcze nigdy go nie widziała. Na drzewcu postrzępionej chorągwi pułkowej siedział zrywający się do lotu marmurowy orzeł o szeroko rozpostartych skrzydłach. Shasa pomyślał, że jak na pomnik wystawiony zmarłemu rzeźba jest chyba nieco zbyt ozdobna.

Stojąc obok siebie odczytali inskrypcję:

PAMIĘCI

KAPITANA MICHAELA COURTNEYA, RFC

KTÓRY ZGINĄŁ W WALCE 19 KWIETNIA 1917r.

NIKT NIE MA WIĘKSZEJ

Grób zarósł chwastami, więc uklękli razem i starannie go oczyścili, po czym stanęli przed nim z opuszczonymi głowami.

Shasa spodziewał się, że grób ojca wywrze na nim głębokie wrażenie, tymczasem nie czuł właściwie nic. Leżący w nim człowiek obrócił się w proch na długo przed jego przyjściem na świat. Michael Courteney był mu bliższy dziewięć tysięcy kilometrów stąd, kiedy spał w jego łóżku, nosił jego starą tweedową kurtkę, używał jego starej strzelby, wędek, pióra ze złotą stalówką lub spinek do mankietów z oprawnymi w platynę onyksami.

Alejką wrócili do kościoła i w zakrystii zastali wiejskiego proboszcza. Był to młody człowiek, niewiele starszy od Shasy. Jego młodość rozczarowała Centaiflę, bo jakby zrywała wątłą nić łączącą ją z Michaelem i przeszłością. Mimo to wypisała dwa czeki na pokaźne sumy, jeden na naprawę miedzianego dachu dzwonnicy, drugi na cięte kwiaty, których świeży bukiet miał być po wieczność umieszczany w każdą niedzielę na grobie Michaela Courteneya. Odprowadzani żarliwym błogosławieństwem księdza wsiedli do daimlera i wrócili do oberży.

Następnego dnia dotarli do Paryża, gdzie mieli telegraficznie zarezerwowane pokoje u Ritza przy placu Vendôme. Blaine i Centaine byli bardzo zajęci śniadaniem, obiadem i spotkaniami z członkami Iancuskiego rządu, toteż młodszy członek grupy byli zdani sami na siebie i już wkrótce odkryli, że Paryż to miasto romantyczne i ekscytujące.

Wjechali skrzypiącą windą na pierwsze piętro Wieży Eiffela, potem ścigając się po wiszących w powietrzu stalowych schodach wdrapali się na sam szczyt i głośnymi okrzykami wyrazili zachwyt nad rozciągającym się w dole miastem. Trzymając się pod rękę spacerowali ścieżkami wzdłuż brzegu rzeki pod słynnymi mostami na Sekwanie. Zrobili sobie zdjęcie na schodach Montmartre'u z bazyliką Sacre Coeur w tle. Przysiadali w ulicznych kafejkach na kawę z *croissantami*, na lunch chodzili do Caf de la Paix, obiady jadali w La Coupole, wybrali się do opery na „Trawiatę”.

O północy, kiedy dziewczęta mówiły dobranoc Centaine i Blaine'owi i ze skromnymi minami szły do swego pokoju, Shasa i Dawid pomagali im się wykraść przez balkon i całą czwórka wypuszczali się na tańce do jakiejś *boites* na Lewym Brzegu albo posłuchać jazzu w piwnicach Montparnassu, gdzie odkryli czarnego puzonistę, który grał tak, że ciarki chodziły po plecach, albo do małej knajpki, gdzie nawet o trzeciej nad ranem można było dostać porcję ślimaków lub poziomek z bitą śmietaną.

Kiedy o pierwszym brzasku na palcach przekradali się korytarzem, żeby odstawić dziewczęta z

powrotem do ich pokoju, słyszeli znajome głosy w szybie windy zbliżającej się do ich piętra. Ledwie zdążyli zbiec na niższe półpiętro i dusząc się ze śmiechu przypaść do niewidocznej z góry ściany klatki schodowej, gdy z windy nad ich głowami wysiadła Centaine z Blainem. Oboje w pełnych wieczorowych strojach, nieświadomi bliskości swoich dzieci, ręka w rękę maszerowali korytarzem prosto do apartamentu Centaine.

Z najwyższym żalem opuścili Paryż i w znakomitym nastroju dotarli do niemieckiej granicy. Okazawszy paszporty francuskim *douaniers*, którzy z igrzyskami galijską galanterią machnięciem ręki przepuścili ich na stronę niemiecką, zatrzymali samochody przed szlabanem i całą grupką pomaszerowali do niemieckiego posterunku granicznego, gdzie natychmiast uderzyła ich kolosalna różnica między urzędnikami granicznymi obu tych państw.

Niemieccy celnicy byli nieskazitelnie ubrani, na ich wyglansowanych do połysku oficerkach nie znalazłoby się jednego pyłku, czapki mieli nasadzone na głowy dokładnie pod regulaminowym kątem, a na ich lewych ramionach czerniły się swastyki na biało-szkarłatnym tle. Ze ściany za biurkiem, z oprawnego w ramy portretu patrzył groźnie na przybyszów ich Führer, surowy człowiek o małym czarnym wąsiku.

Z przyjaznym *Guten Tag, mein Herr* Blaine położył na biurku stertę paszportów i odszedł na bok, by rozmową umilić Centaine czas oczekiwania. Urzędnik zaczął przeglądać paszporty, jeden za drugim, porównując starannie zdjęcie z wyglądem osoby, na którą dokument był wystawiony, i przybijając na wizie stempel z czarnym orłem i swastyką, nim zabrał się do następnego.

Paszport Dawida Abrahamsa leżał na samym spodzie. Kiedy urzędnik doszedł do niego, zawahał się, po raz drugi rzucił wzrokiem na okładkę, po czym pedantycznie przejrzał cały dokument, strona po stronie, przy każdym przewróceniu kartki spoglądając na Dawida, jakby szukał czegoś na jego twarzy. Po kilku minutach tego przedstawienia grupka wokół Dawida umilkła i zaczęła spoglądać po sobie z zaskoczeniem.

— Chyba coś jest nie w porządku — mruknęła Centaine do Blaine'a, który bez słowa podszedł do biurka.

— Jakież komplikacje? — spytał.

— Abrahams to żydowskie nazwisko, nie? — odpowiedział pytaniem na pytanie urzędnik, dość sztuczną lecz poprawną angielszczyzną.

Blaine zaczerwienił się z irytacji, ale nim zdążył otworzyć usta, do biurka podszedł Dawid.

— To żydowskie nazwisko, tak! — powiedział cicho, a urzędnik w zamyśleniu skinął głową, stukając palcem w paszport.

— Przyznaje pan, że jest pan Żydem?

— Jestem Żydem — potwierdził Dawid tym samym spokojnym tonem.

— W pańskim paszporcie nie jest to napisane — zauważył celnik.

— A powinno być? — spytał Dawid.

Urzędnik wzruszył ramionami.

— Jest pan Żydem... i chce pan wjechać na terytorium Niemiec?

— Jadę do Niemiec na zaproszenie niemieckiego rządu, wziąć udział w Igrzyskach Olimpijskich.

— O, a zatem jest pan olimpijczykiem! Żydowskim olimpijczykiem?

— Nie, jestem członkiem reprezentacji olimpijskiej Związku Afryki Południowej. Czy z moją wizą jest coś nie w porządku?

Celnik nie odpowiedział na to pytanie.

— Proszę zaczekać — polecił i zniknął w drzwiach, zabierając ze sobą paszport Dawida.

Usłyszeli, że rozmawia z kimś na zapleczu, i wszyscy spojrzeli na Tarę. Tylko ona z całej grupy mówiła trochę po niemiecku, zdawała niemiecki na egzaminie maturalnym i zaliczyła go z wynikiem dobrym.

— Co on mówi? — spytał Blaine.

— Strasznie szwargoce... coś o „Żydach” i „Olimpiadzie”.

W tym momencie tylne drzwi otworzyły się i celnik wrócił w towarzystwie drugiego, pulchnego, rumianego urzędnika, który, sądząc po ozdobach munduru i sposobie bycia, musiał być jego zwierzchnikiem.

— Który to jest Abrahams? — spytał obcesowo naczelnik posterunku.

— Ja.

— I pan jest Żydem? Przyznaje się pan do tego?

— Owszem, jestem Żydem. Powtarzam to już po raz nie wiadomo który. Czy panowie mają jakieś zastrzeżenia do mojej wizy?

— Proszę zaczekać. — Tym razem obaj zniknęli na zapleczu, znów zabierając ze sobą paszport Dawida. Zza zamkniętych drzwi dobiegło stłumione brzęczenie dzwonka telefonu, a potem donośny, służalczy głos naczelnika.

— Co tu się dzieje? — Znów wszyscy spojrzeli na Tarę.

— Rozmawia z kimś w Berlinie. O Dawidzie.

Jednostronna rozmowa za ścianą zakończyła się czterokrotnym *Jawohl, mein Kapitan*, powtarzonym za każdym razem głośniejsz, niemal wykrzyczanym *Hej! Hitler!* i stuknięciem odkładanej słuchawki.

Trzej celnicy wkroczyli rządkiem do frontowego biura posterunku, rumiany naczelnik własnoręcznie ostemplował paszport Dawida i podał mu go z rozmachem.

— Witamy w Trzeciej Rzeszy! — oświadczył i wyrzuciwszy do przodu prawą rękę skierowaną otwartą dłonią w ich stronę, wrzasnął: — *Hej! Hitler!*

Matylda Janina wybuchnęła nerwowym chichotem. — Czego on się wygłupia? — Ale Blaine natychmiast chwycił ją pod ramię i wszyscy razem pospiesznie opuścili posterunek.

Takie było ich pierwsze zetknięcie z Niemcami. Milczący i przygnębieni przekroczyli granicę i zatrzymali się w najbliższym przydrożnym zajeździe. Wbrew swemu zwyczajowi Centaine bez słowa przystała na proponowane im pokoje, nie sprawdzając stanu łóżek, łazienek ani kuchni. Po kolacji nikt nie miał ochoty na grę w karty czy zwiedzanie miasteczka, toteż jeszcze przed dziesiątą położyli się spać.

Następnego ranka odzyskali jednak dobry nastrój, a Matylda Janina rozbawiła ich do łez napisanym przez siebie poematem na cześć fantastycznych zwycięstw, które jej ojciec, Shasa i Dawid mieli odnieść podczas zbliżających się Igrzysk.

Ich nastrój jeszcze się poprawił w czasie wspaniałej całodziennej jazdy przez malowniczy kraj, z wioskami i zamkami na szczytach wzgórz jak z bajek Andersena, z sosnowymi lasami, których ciemna zieleń wspaniale kontrastowała z rozległymi, pastelowymi łąkami, z licznymi kamiennymi mostkami przerzuconymi nad szemrzącymi w dole rzekami i strumieniami. Po drodze widzieli grupy młodzieży w ludowych strojach, chłopców w *lederhosen* [Krótkie, skórzane spodenki] i filcowych kapeluszach z piórkiem i dziewczęta w *dirndls* [Tyrolski strój ludowy, złożony z obcisłego, głęboko wyciętego stanika, koszuli o krótkich rękawach i marszczonej spódniczki.] które machały do dwóch

przejeżdżających limuzyn i pozdrawiały okrzykami ich pasażerów.

Obiad zjedli w gwarnej, rozbrzmiewającej śmiechem i muzyką gospodzie, gdzie podano im wspaniały udziec dzika z pieczonymi ziemniakami i jabłkami, a do tego bladozielone mozelskie wino o smaku winogron i słońca.

— Wszyscy wyglądają tutaj dostatnio i zdają się być zupełnie szczęśliwi — zauważył Shasa, rozglądając się po zatłoczonej sali.

— To jedyny kraj na świecie, gdzie nie ma bezrobocia i biedy — potwierdziła Centaine, ale Blaine skosztował tylko wina i nic nie powiedział.

Kiedy tego popołudnia wjechali na północną równinę u wrót Berlina, Shasa, który prowadził daimlera, tak gwałtownie skręcił na pobocze, że Dawid musiał przytrzymać się deski rozdzielczej, a dziewczęta zapiszczały na tylnym siedzeniu ze strachu.

Zostawiając samochód na chodzie Shasa wyskoczył na drogę i zawołał:

— Dawid, Dawid! Spójrz tylko! Czy to nie najpiękniejsza cacka, jakie widziałeś w życiu?

Pozostali wysypali się z auta i zadani głowy. Blaine zatrzymał bentleya za daimlerem i razem z Centaine dołączył do młodzieży, osłaniając oczy ręką przed chylącym się ku zachodowi słońcem.

Wzdłuż autostrady ciągnęło się lotnisko z pomalowanymi na srebrno hangarami i powiewającym na wietrze długim, białym rękawem lotniskowym. Eskadra trzech myśliwców zatoczyła krąg od słońca i zwartym szykiem podchodziła do lądowania. Były smukłe jak rekiny, podbrzusza i spód skrzydeł miały pomalowane na błękitno, wierzchy w ochronne brunatno-zielone cętki, a wypukłości silników na jasnożółto.

— Co to za samoloty? — zawołał Blaine do Shasy i Dawida.

— Sto dziewiątki, meserszmity — odpowiedzieli równocześnie.

Z czołowych krawędzi skrzydeł sterczały lufy karabinów maszynowych, a z osi wirujących silników groźnie łypały ślepiec działek.

— Co ja bym dał, żeby się takim przelecieć!

— Odciąć sobie rękę...

— Nogę...

— Zapisać duszę diabłu!

Trzy myśliwce zmieniły szyk i jeden za drugim zaczęły schodzić w dół.

— Podobno wyciągają pięćset siedemdziesiąt kilometrów na godzinę...

— O rany, o rany! Patrzcie jak lecą!

Ich podniecenie udzieliło się dziewczętom, które śmiały się i klaskały w dłonie, gdy maszyny przeleciały nisko nad ich głowami i wylądowały na pasie zaledwie kilkaset metrów dalej.

— Warto by nawet pójść na wojnę, żeby postrzelać sobie do takich latających cacek — wykrzyknął Shasa.

Blaine wsiadł z powrotem do bentleya, żeby ukryć gniew, jaki wzbudziła w nim uwaga chłopca. Centaine wśliznęła się na fotel obok niego i po kilku minutach jazdy przerwała milczenie.

— On jest jeszcze taki młody i głupi. Wiem, jak cię zdenerwował. Strasznie mi przykro.

— My byliśmy tacy sami — odparł z westchnieniem Blaine. — Nazywaliśmy to wielką zabawą, myśleliśmy, że wojna opromieni nas chwałą na całe życie, uczyni z nas mężczyzn i bohaterów. Nikt nam nie mówił o potwornym strachu, wyprutych wnętrznościach i o tym, jak cuchną trupy po pięciu dniach leżenia w słońcu.

— To się nie powtórzy! — zawołała gwałtownie Centaine. — Musisz zrobić wszystko, żeby do

tego nie dopuścić!

Oczami wyobraźni znów ujrzała płonący samolot i ciało człowieka, którego kochała, czerniejące, kurczące się i zwęglające na popiół. Tylko tym razem nie miało twarzy Michaela, lecz jego jedyne go syna. Piękna twarz Shasy pękła jak kielbaska pieczona zbyt blisko ognia i ociekła tryskającymi z wnętrza życiodajnymi sokami.

— Zatrzymaj samochód, Blaine — szepnęła zdławionym głosem. — Chyba będę wymiotować.

Jadąc ostro i nie zatrzymując się po drodze, dotarliby tego wieczoru do Berlina, ale ulice jednego z małych miasteczek, przez które przejeżdżali, udekorowane były jakby na jakąś uroczystość, a kiedy zaintrygowana Centaine spytała co tu się dzieje, wyjaśniono jej, że właśnie odbywa się doroczny odpust.

— Och, Blaine, musimy tu zanocować! — zawołała i już po chwili całą szóstką wmieszali się w odświętny tłum.

Tego popołudnia ulicami miasteczka przechodziła procesja. Wąskimi, brukowanymi zaułkami obnoszono podobiznę świętego, za którą kroczyła orkiestra dęta, jasnowłose dziewczynki w ludowych strojach i drużyny młodych chłopców z mundurach.

- To *Hitlerjugend* — wyjaśnił Blaine. — Taka organizacja młodzieżowa, w rodzaju skautingu starego Baden-Powella, tylko oni tutaj kładą znacznie większy nacisk na wychowanie patriotyczne i rozbudzenie niemieckich aspiracji narodowych.

Po procesji rozpoczęły się tańce na rynku. Kiedy zapadł zmrok zapalono pochodnie, dziewczęta o pызatych buziach, zarumienionych jak dojrzałe jabłuszka, w koronkowych fartuszkach na spódniczkach roznosiły tace wyładowane po brzegi golonką, galaretką z nówek, wędzonymi makrelami i serami, wytoczono beczki z piwem, które lało się pianistymi strugami do podstawianych kuflów, a na bardziej wybrednych czekały kieliszki sektu, niemieckiego odpowiednika szampana.

Znaleźli wolne miejsca w rogu placu, a biesiadnicy zajmujący sąsiednie stoliki pozdrawiali ich wesoło, przekomarzali się, stroili żarty. Wszyscy śmieli się i śpiewali, pili piwo, tańczyli i postukiwali kuflami w rytm um-pa-pa dętej orkiestry.

I nagle atmosfera uległa raptownej zmianie. Śmiech przy stolikach zaczął rwać się i brzmieć wymuszenie, na twarzach świętujących pojawił się wyraz czujności, orkiestra zagrała zbyt głośno, a zapal tańczących nabrał cech przesadnej gorliwości.

Na rynek wkroczyło czterech mężczyzn w brunatnych mundurach z nieodłącznymi opaskami ze swastykami na ramieniu. Brunatne czapki mieli naciągnięte głęboko na czoło, zapięte na paski pod brodą. Każdy niósł małe drewniane pudełko na datki z podłużną szczeliną w wieczku. Rozeszli się po placu i zaczęli podchodzić po kolei do każdego stolika.

Wszyscy wrzucali do pudełka po jednej lub kilka monet, wyraźnie jednak unikając spoglądania na kwestujących. Uśmiechali się nerwowo, zaglądali do kuflów lub wpatrywali się we własne ręce, aż mężczyzna w brunatnym mundurze przeszedł do następnego stolika, a wtedy spoglądali po sobie z wyraźną ulgą.

— Kto to jest? — spytała naiwnie Centaine, nie próbując ukryć zaciekawienia.

— SA — odparł Blaine. — Bojówkarze Partii Narodowosocjalistycznej. Spójrz na tego. — Wskazał jej jednego z czterech bojówkarzy, osiłka o twarzy tępego brutala. — Czy to nie niezwykle, że zawsze znajdzie się ludzi do takiej roboty... Potrzeba rodzi człowieka. Módlmy się, by nie była to twarz całych nowych Niemiec.

Bojówkarz zauważył, że stał się obiektem ich nie skrywanego zainteresowania, i ruszył wprost

do ich stolika, groźnie pochylając głowę.

— Dokumenty! — warknął.

— Żąda okazania dokumentów — przetłumaczyła Tara.

Blaine podał mu swój paszport.

— A, zagraniczni turyści... — Zachowanie żołnierza uległo zmianie. Uśmiechnął się przymilnie i oddał paszport z kilkoma miłymi słowami.

— Mówi: „Witajcie w rajach narodowosocjalistycznych Niemiec” — przetłumaczyła Tara, a Blaine skinął głową.

— Powiedział, że zobaczymy, jak bardzo szczęśliwy i dumny jest teraz naród niemiecki i coś jeszcze, czego nie zrozumiałam.

— Powiedz, że życzymy mu, żeby zawsze mogli być dumni i szczęśliwi.

Żołnierz rozpromienił się w uśmiechu, strzelił obcasami i wyprężył się na baczność.

— *Heil Hitler!* — pożegnał ich nazistowskim pozdrowieniem, a Matylda Janina wybuchnęła bezradnym chichotem.

— Nie mogę się powstrzymać — szepnęła, kiedy Blaine skarcił ją ostrym spojrzeniem. — Po prostu konam, kiedy oni to robią.

Bojówkarze opuścili rynek i napięcie natychmiast zelżało. Orkiestra zwolniła tempo, tańczący przestali tak gorączkowo objawiać zapał do zabawy. Ludzie zaczęli spoglądać sobie w oczy, uśmiechać się naturalnie.

Tej nocy Centaine naciągnęła po uszy puchową pierzynę i przytuliła się do piersi Blaine'a.

— Czy zauważyłeś — spytała — że ludzie tutaj żyją jakby między nerwową wesołością a łzami?

Blaine milczał przez chwilę, po czym mruknął potakująco.

— A w powietrzu wisi coś niepokojącego... — Wzdrygnął się i przytulił ją mocniej do siebie.

— Coś jakby fetor morowej zarazy.

Z daimlerem jadącym przodem szeroką białą autostradą dotarli do przedmieść stolicy Niemiec.

— Ile tu wody, ile zieleni!

— Miasto zbudowano na sieci kanałów — wyjaśniła Tara. — Rzek i rzeczulek zamkniętych w rowach między pagórkami moreny czołowej biegnącej ze wschodu na zachód...

— Skąd ty to wszystko zawsze wiesz? — przerwał jej żartobliwym tonem Shasa, ale w jego głosie podzwaniała nuta szczerzej irytacji.

— Widzisz, w przeciwieństwie do niektórych jestem osobą piśmienną — odcięła się Tara, a Dawid skrzywił się teatralnie.

— Och, aleś mu dosoliła! Bo przecież nie mogło ci chodzić o mnie.

— No dobrze, panienko wszystkowiedząca — podjął rękawicę Shasa. — Skoroś taka mądra, to co tam jest napisane? — Wskazał ręką stojącą na poboczu wielką białą tablicę z wyraźnym czarnym napisem.

— „Zydzi! Jechać prosto przed siebie! — odczytała na głos Tara. — Ta droga zaprowadzi was z powrotem do Jerozolimy, gdzie wasze miejsce!”

Kiedy uświadomiła sobie, co powiedziała, zaczerwieniła się ze zmieszania i pochyliwszy się do przodu, położyła Dawidowi rękę na ramieniu.

— Och, przepraszam, Dawidzie, tak mi przykro! Nie powinnam była tłumaczyć tych bzdur.

Dawid siedział sztywno wyprostowany, ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie. Po chwili otrząsnął się i na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

— Witajcie w Berlinie — szepnął. — Centrum aryjskiej cywilizacji.

42

Witajcie w Berlinie! Witajcie w Berlinie!

Pociąg, którym przemierzyli połowę Europy, wjechał na stację w kłębach pary dobywającej się z sykiem z hamulców próżniowych, a grająca skoczną wojskową melodię orkiestra niemal całkowicie zagłuszyła powitalne okrzyki.

— Witajcie w Berlinie!

Do zatrzymującego się wagonu podbiegł tłum oczekujących i kiedy Manfred De La Rey zszedł po schodkach na peron, otoczyła go liczna grupka sympatyków, ściskających mu przyjaźnie dłoń, poklepujących po ramionach, zasypujących pytaniami. Rozbrzmiewał radosny śmiech, błyskały flesze, na szyję założono mu wieniec z kwiatów.

Także pozostałych sportowców, wszystkich ubranych tak jak on w zielone marynarki ze złotą lamówką, białe spodnie i buty oraz panamy z szerokim rondem, otoczyły ciasno grupki witających i w powstałym zamieszaniu minęło ładnych kilka minut, nim ponad zgiełk zdołał wybić się donośny głos.

— Uwaga, proszę o uwagę! Proszę o uwagę!

Orkiestra urwała skoczną melodię i przy wtórze werbli do przodu wystąpił wysoki mężczyzna w ciemnym mundurze i okularach w stalowej oprawie.

— Przede wszystkim chciałbym serdecznie pozdrowić państwa w imieniu Fihrera i narodu niemieckiego i powitać na jedenastych Igrzyskach Olimpijskich ery nowożytnej. Życzymy wam, reprezentantom ducha i męstwa narodu Afryki Południowej, wszelkich sukcesów i wielu, wielu medali. — Rozległy się brawa i radosne okrzyki, lecz przemawiający przerwał je uniesieniem rąk. — Przed dworcem czekają na państwa samochody, którymi dotrzecie do swych kwater w wiosce olimpijskiej. Przekonacie się tam, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby wasz pobyt u nas był jak najprzyjemniejszy i zostawił po sobie jak najlepsze wspomnienia. A teraz pozwolą państwo, że spełnię miły obowiązek i przedstawię państwu młodą damę, która przez cały czas trwania Igrzysk pełnić będzie rolę waszej przewodniczki i tłumaczki. Skinął ręką w stronę tłumu i do przodu wystąpiła młoda kobieta. Kiedy odwróciła się do swych podopiecznych, przez grupkę przebiegł pomruk uznania.

— To jest Heidi Kramer.

Dziewczyna była wysoka i mocno zbudowana, lecz jednocześnie bardzo kobieca. Kształt jej piersi, talii i bioder przywodził na myśl klepsydrę, ale sposób, w jaki stała, zdradzał wdzięk baletnicy i zwinność gimnastyczki. Włosy miała barwy wschodu słońca na Kalahari, zęby idealnie równe, prześwitujące leciuteńko na krawędziach jak najlepsza porcelana, a oczy wprost nie do opisanego — jaśniejsze i bardziej błękitne niż najczystsze afrykańskie niebo. Manfred bez chwili namysłu uznał, że to najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Na tę myśl ogarnęło go poczucie winy wobec Sarah, ale w zestawieniu z tą niemiecką Walkirią Sarah wydawała się uroczym burym kotkiem, gdy tymczasem Heidi Kramer porównać można było tylko do wspaniałej lwicy w rozkwicie wieku i sił.

— Heidi zajmie się odbiorem bagażu i rozlokuje państwa w limuzynach. Od tej chwili ze wszystkimi kłopotami, prośbami i problemami proszę się zwracać właśnie do niej. Będzie wam starszą siostrą, niańką i przyszywaną mamą.

Wybuchnęli śmiechem, gwizdząc i wiwatując radośnie, a Heidi objęła dowództwo, uśmiechnięta

i czarująca, lecz szybka i niezwykle sprawna. W kilka minut umundurowani bagażowi zajęli się wszystkimi walizami i kuframi, a Heidi wyprowadziła swoich sportowców długim, przykrytym szklaną kopułą peronem przed wspaniałą portal dworca, gdzie czekał na nich rząd czarnych mercedesów.

Manfred zapakował się z wujem Trompem i Roelfem Standerem na tylne siedzenie jednego z nich i kierowca miał już właśnie ruszać, gdy Heidi dała mu znak ręką i podbiegła do krawężnika. Była w butach na wysokim obcasie, co napinało mięśnie jej łydek, uwydatniając ich wspaniałą linię i szczupłość kostek. Ani Sarah, ani żadna inna z dziewcząt, które Manfred spotkał w swoim życiu, nie nosiła butów na wysokim obcasie.

Heidi otworzyła przednie drzwiczki i wetknęła głowę do samochodu.

— Czy panowie mają coś przeciwko temu, żebym zabrała się z nimi? — spytała z promiennym uśmiechem.

Zaprzeczyli pospiesznie, nawet wuj Tromp potrząsnął głową z wyraźnym ożywieniem.

— Nie, nie, ależ skądże! Proszę wsiadać!

Wskoczyła na fotel obok kierowcy, zatrzasnęła drzwiczki i natychmiast odwróciła się na siedzeniu, tak by być twarzą do nich, obejmując rękoma oparcie fotela.

— Tak się cieszę, że mogłam was poznać — powiedziała z silnym niemieckim akcentem. — Tyle czytałam o Afryce, o zwierzętach i Zulusach, pewnego dnia wybiorę się tam do was. Musicie mi obiecać, że opowiecie mi wszystko o swoim pięknym kraju, a ja opowiem wam wszystko o moich pięknych Niemczech.

Przystalina to z entuzjazmem, a Heidi spojrzała na wuja Trompa.

— Teraz będę zgadywać. Wielebny Tromp Bierman, trener drużyny pięściarskiej, tak? — spytała, wprawiając tym wuja z wyraźny zachwyty.

— Jest pani niezwykle domyślna.

— Widziałam pana zdjęcie — przyznała się z uśmiechem. — Jakże miałabym zapomnieć tak wspaniałą brodę? — Zachwyty wuja jakby jeszcze wzrósł. — Ale musi mi pan przedstawić pozostałych.

— To jest Roelf Stander, nasz reprezentant w wadze ciężkiej — dokonał prezentacji wuj Tromp. — A to Manfred De La Rey, waga lekkociężka.

Manfrednie miał wątpliwości, że na dźwięk jego nazwiska usta jej dziwnie drgnęły i zmrużyła odrobinę oczy, lecz już w następnej chwili uśmiechała się jak przedtem.

— Wszyscy będziemy przyjaciółmi — zapewniła, a Manfred odpowiedział jej po niemiecku:

— My, Afrykanerzy, zawsze byliśmy lojalnymi przyjaciółmi narodu niemieckiego.

— Och, mówisz po niemiecku jak rodowity Niemiec! — wykrzyknęła z zachwytem w tym samym języku. — Gdzie się tego nauczyłaś?

— Moja babka ze strony ojca i moja matka były czystej krwi Niemkami.

- W takim razie nasz kraj na pewno bardzo cię interesuje. — Przeszła z powrotem na angielski i zaczęła wykład o zabytkach miasta, mijanych przez kawalkadę czarnych mercedesów z powiewającymi na maskach olimpijskimi proporczykami.

— To jest słynna Unter den Linden, ukochana ulica berlińczyków. — Szeroką aleję dzieliła na dwoje wspaniała promenada zrozłożystymi lipami. — Ma ponad półtora kilometra długości. Za nami pałac królewski, a tam, z przodu, Brama Brandenburska. — Wysoką kolumnadę zdobiły ogromne flagi zawieszane na postumencie wieńczącego Bramę czterokonnego rydwanu i sięgające aż do samej

ziemi. Purpurowo-czarne swastyki otoczone kolorowymi kółkami olimpijskimi wzdymały się i łopotały na lekkim wietrze.

— A to opera — pokazała przez boczne okienko. — Zbudowana w roku 1741... — Mówiła zajmująco, przekazywała mnóstwo ciekawych informacji.

— Patrzcie, jak witają was berlińczycy! — zawołała w pewnym momencie z radosnym, gorączkowym entuzjazmem, który zdawał się cechować wszystkich mieszkańców narodowosocjalistycznych Niemiec. — Patrzcie, patrzcie!

Cały Berlin udekorowany był flagami i transparentami. Na każdym gmachu publicznym, na każdym sklepie i domu powiewały i łopotały swastyki w otoczeniu kół olimpijskich — były ich tysiące, dziesiątki i setki tysięcy.

Kiedy dotarli w końcu do wyznaczonego im na kwaterę bloku mieszkalnego w wiosce olimpijskiej, ujrzeni stojącą przed wejściem wartę honorową chłopców z Hitlerjugend. Na ich widok zapalono pochodnie, a oczekująca w pobliżu orkiestra odegrała „Głos Południowej Afryki”, ich hymn narodowy.

W holu budynku Heidi rozdała wszystkim karnety kolorowych kuponów, za pomocą których do najdrobniejszego szczegółu zorganizowano im cały pobyt: od przydzielenia pokoju i łóżka, na którym mieli spać, przez przejazdy autobusami kursującymi między wioską a obiektami sportowymi, po numery zarezerwowanych dla nich na stadionie szatni i szafek.

— Będziecie tu mieli własną kuchnię i jadalnię. Szef kuchni uwzględni wszelkie wasze życzenia dotyczące sposobu przyrządzania potraw czy ewentualnych diet. Na miejscu jest lekarz i dentysta, obaj będą dyżurować dwadzieścia cztery godziny na dobę. Macie do swojej dyspozycji pralnię zwykłą i chemiczną, radioodbiorniki i telefony, masażystę, sekretarkę z maszyną do pisania... — Sposób, w jaki to wszystko zorganizowano, zdumiewał niesłychaną starannością i precyzją.

— Proszę odszukać swoje pokoje, wasz bagaż będzie już tam czekał. Proszę się rozpakować i odpocząć. Jutro rano zabiorę państwa na przejażdżkę po *Reichssportfeld*, kompleksie olimpijskim. To piętnaście kilometrów stąd, więc wyjedziemy zaraz po śniadaniu, punktualnie o ósmej trzydzieści. A tymczasem, gdybyście czegoś chcieli, wszystko jedno czego, proszę zwracać się z tym do mnie bez najmniejszego wahania.

— Już ja wiem, czego bym od niej chciał — szepnął jeden z ciężarowców, przewracając oczyma. Manfred zacisnął pięści wściekły na jego bezczelność, choć Heidi nie mogła przecież usłyszeć jego słów.

— No to do jutra! — zawołała wesoło i poszła do kuchni na rozmowę z kucharzami.

- Oto kobieta co się zowie! — mruknął wuj Tromp. — Dziękuję Najwyższemu, że jestem duchownym, starym i szczęśliwym w swym stadle małżeńskim, a więc nieczułym na pokusy Ewy. — Rozległy się głośnie okrzyki udawanego współczucia, bo Tromp Bierman zdążył już stać się wujkiem wszystkich. — No dobra! — spoważniał nagle. — Trampki na nogi, śmierdzące leniwce, i szybkie piętnaście kilometrów przed kolacją!

Kiedy rano zeszli na śmadanie, Heidi już na nich czekała. Wesoła, pogodna i uśmiechnięta, rozdała pocztę, odpowiadała na wszystkie pytania, rozwiązując szybko i bez zbędnych ceregieli drobne problemy, a po skończonym posiłku zabrała ich na przystanek autobusowy.

Większość sportowców z innych krajów przybyła już do Berlina, toteż wioska olimpijska tętniła życiem, wszędzie widać było biegaczy w sportowych strojach, nawołujących się w mieszaninie języków. Z ich jasnych, młodych twarzy i z każdego ruchu biła znakomita sprawność fizyczna. Kiedy

znaleźli się na stadionie, jego ogrom wprawił ich w niemy podziw. Wokół porośniętego trawą boiska i owalnej bieżni wzniesiono imponujący kompleks hal sportowych i krytych basenów. Rzędy ławek wydawały się ciągnąć w nieskończoność, a olimpijski ołtarz z gigantycznym trójnogiem nie zapalonego znicza przydawał tej świątyni, wzniesionej ku czci ludzkiego ciała, religijnej powagi.

Zwiedzanie wszystkiego potrwało aż do południa, a każdy miał do Heidi dziesiątki pytań. Odpowiadała na me wszystkie, lecz Manfred szybko zauważył, że trzyma się jego boku, a to, że mogli rozmawiać po niemiecku, nawet w największym tłumie dawało im poczucie zażyłości i intymnej bliskości. Nie była to tylko gra jego wyobraźni, bo nawet Roelf zauważył, że Heidi poświęca Manfredowi więcej uwagi niż innym.

— Jak tam twoje lekcje niemieckiego? — spytał z miną niewiniątka podczas lunchu, a kiedy Manfred odburknął coś opryskliwie, wyszczerzył zęby w uśmiechu, bynajmniej nie skruszony.

Gospodarze zapewнили im partnerów sparringowych z miejscowych klubów bokserskich i w ciągu następnych dni wuj Tromp nie darował im ani chwili, twardo prowadząc ku zwieńczeniu miesięcy i lat przygotowań.

Manfred uderzał na swych przeciwników jak burza, zasypywał ich takim gradem ciosów, że nawet w watowanych kamizelkach i chroniących głowę kaskach wytrzymywali co najwyżej rundę czy dwie i szybko się poddawali. A kiedy wracał do swego narożnika i rozglądał się po sali, najczęściej spóstrzegał gdzieś w pobliżu Heidi Kramer. Przyglądała się z wypiekami na nieskazitelnej szyi, z dziwnie intensywnym spojrzeniem niewiarygodnie błękitnych oczu, z leciutko rozchyłonymi wargami i zagryzionym między białymi zębami koniuszkiem różowego języka.

Minęły jednak całe cztery dni, nim znalazł się z nią sam na sam. Po jednym z bardzo intensywnych treningów w sali ćwiczeń wziął prysznic, przebrał się w szare spodnie i sweter w barwach uczelni i wyszedł główną bramą przed stadion. Był już prawie na przystanku autobusowym, kiedy zawołała go po imieniu i podbiegła, żeby go dogonić.

— Ja też wracam do wioski, muszę prozmawiać z kucharzami. Mogę się z tobą zabrać? — Musiała na niego czekać. Pochlebiło mu to, lecz jednocześnie poczuł się nagle dziwnie stremowany.

Szła lekko i swobodnie, kołysząc przy każdym kroku biodrami, a za każdym razem, kiedy podnosiła głowę, by na niego spojrzeć, włosy wirowały wokół jej twarzy niczym woal ze złocistego jedwabiu.

- Przyglądałam się bokserom z innych krajów — powiedziała — zwłaszcza w wadze lekkociężkiej i przyglądałam się tobie.

— Owszem. — Zmarszczył brwi, żeby pokryć zmieszanie. — Widziałem cię.

— Nie masz się kogo obawiać, poza jednym Amerykaninem.

— Cyrusem Lomaxem — przytaknął. — Tak, „Ring Magazine” uważa go za najlepszego amatorskiego pięściarza wagi lekkociężkiej w świecie. Wuj Tromp także mu się przyglądał. Przyznaje, że facet jest bardzo dobry. Jest potężnie zbudowany, a jako Murzyn musi mieć czaszkę jak słoń.

— To twój jedyny prawdziwy konkurent do złota. — „Złoto”, to słowo zabrzmiało w jej ustach jak muzyka i przyspieszyło rytm bicia jego serca. — Będę trzymał za ciebie kciuki.

— Dziękuję ci, Heidi.

Wsiedli do autobusu. Na widok spojrzeń, jakimi inni mężczyźni obrzucili Heidi, Manfred poczuł wzbierającą dumę.

— Mój wuj jest zagorzałym kibicem bokserskim. On też podziela moje zdanie, że masz spore

szanse pokonać tego amerykańskiego Murzyna. Wuj bardzo chciałby cię poznać.

— To miło z jego strony.

— Dzisiaj wieczorem wydaje u siebie małe przyjęcie. Nalegał, żebym cię zaprosiła.

— Wiesz, że to niemożliwe — potrząsnął głową. — Treningi...

— Mój wuj jest człowiekiem wysoko postawionym i ogromnie wpływowym — nie dawała za wygraną, przechylając wdzięcznie na bok głowę i uśmiechając się czarująco. — Przyjęcie jest bardzo wcześnie. Obiecuję, że przed dziewiątą będziesz z powrotem. — Spostrzegłszy, że Manfred się waha, ciągnęła dalej: — Sprawisz wujkowi... I mnie..., ogromną przyjemność.

— Ja także mam wujka. Wuj Tromp...

— A jeśli uda mi się zdobyć zgodę wuja Trompa... Obiecasz, że przyjdiesz?

Tak jak było umówione, Heidi czekała na niego w mercedesie przed wejściem do ich domu w wiosce olimpijskiej. Szofer z ukłonem otworzył drzwiczki i Manfred wskoczył na obijane skórą siedzenie.

— Wyglądasz wspaniale, Manfredzie — powiedziała z uśmiechem.

Zaplotła jasne włosy w dwa grube, lśniące warkocze i upięła je w koronę na szczycie głowy. Odkryte ramiona i okazały biust zachwycaly idealną, śnieżną bielą. Koktajlowa suknia z błękitnej tafty znakomicie podkreślała kolor jej oczu.

— Jesteś piękna — powiedział z zachwytem z głosem.

Nigdy do tej pory nie prawil kobietom komplementów, a i tym razem było to po prostu stwierdzenie faktu. Spuściła oczy ze skromnością, która wzruszała u kogoś, kto musiał być przyzwyczajony do męskich pochlebstw.

— Na Rupertstrasse — rzuciła kierowcy.

Powoli przejechali Kurfiirstendammem obserwując wesoły tłum kłębiący się na jasno oświetlonych chodnikach, a potem mercedes przyspieszył i pomknęli ulicami zachodniej części Griinewaldu, ekskluzywnej dzielnicy milionerów położonej na obrzeżu rozległego miasta. Manfred odprężyl się, zapadł w wygodne skórzane siedzenie i odwrócił twarzą do siedzącej obok niego przepięknej kobiety. Rozmawiała z nim poważnie, wypytywała o niego samego, o jego rodzinę i kraj, z którego pochodził. Bardzo szybko zorientował się, że wie o Afryce Południowej znacznie więcej, niż można by przypuszczać, i zaczął się zastanawiać, gdzie tę wiedzę zdobyła.

Znała historię wojen, konfliktów i buntów, całej walki jego przodków z barbarzyńskimi plemionami murzyńskimi, a potem podporządkowania sobie Afrykanerów przez Brytyjczyków, wiedziała, jak bardzo zagrożony jest ich byt jako narodu.

— Anglicy... — mówiła, a w jej głosie słychać było ostrą nutę gorczy. — Oni są wszędzie, wszędzie niosą ze sobą wojnę i cierpienia w Afryce, Indiach, nawet w moich Niemczech. My także cierpieliśmy ucisk i prześladowania. Gdyby nie nasz ukochany Fuhrer, nadal jęczelibyśmy w jarzmie Żydów i Anglików.

— Tak, to wielki człowiek, ten wasz Fuhrer — przyznał Manfred i zacytował: — *Musimy walczyć o zapewnienie naszemu narodowi i naszej rasie środków egzystencji i możliwości reprodukcji, o zabezpieczenie przyszłości naszym dzieciom, o czystość krwi, wolność i niezawisłość naszego narodu, aby mógł dojrzeć do spełnienia dziejowej misji, którą wyznaczył mu stwórca wszechświata.*

— *Mein Kampf!* — zawołała. — Cytujesz Fuhrera! — Manfred zrozumiał, że ich znajomość zdecydowanie posunęła się o krok naprzód.

— W tych słowach zawarł wszystko, co czuję i w co wierzę — powiedział. — To wielki człowiek, przywódca wielkiego narodu.

Dom przy Rupertstrasse stał z dala od ulicy, w głębi rozległych ogrodów ciągnących się wzdłuż brzegów jednego z jezior, przez które przepływa Hawela. Na podjeździe stało kilkanaście limuzyn z roporczykami ze swastyką na maskach i umundurowanymi szoferami czekającymi” za kierownicą. Wszystkie okna wielkiej willi jarzyły się światłem, a kiedy wysiedli z mercedesa pod ozdobym portykiem, dobiegły ich dźwięki muzyki, śmiech i ożywione rozmowy.

Manfred podał Heidi ramię, weszli przez otwarte frontowe drzwi, minęli hol o marmurowej posadzce w czarno-białą szachownicę i wyłożonych boazerią ścianach, ozdobionych licznymi porożami jeleni, i przystanęli w drzwiach ogromnego salonu. Pokój wypełniony był już gośćmi. Większość mężczyzn miała na sobie galowe mundury z błyszczącymi dystynkcjami, oznakami rang, formacji i jednostek, kobiety olśniewały kreacjami z aksamitu i jedwabiu, nagimi ramionami i ostatnim krzykiem mody — krótkimi fryzurami „na pazia”.

Na ich widok śmiech i rozmowy przycichły, wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi, a w taksujących spojrzeniach, którymi obrzucono nowo przybyłych, malowało się zaciekawienie i stonowany podziw, gdyż Manfred i Heidi stanowili uderzająco urodziwą parę. Po chwili podjęto przerwane rozmowy i salon rozbrzmiał poprzednim gwarem.

— O, jest wuj Sigmund! — zawołała półgłosem Heidi i pociągnęła Manfreda za sobą ku wysokiemu mężczyźnie, który ruszył im naprzeciw.

— Heidi, kochanie! — Mężczyzna pochylił się w ukłonie i złożył na jej dłoni pocałunek. — Piękniejsz z dnia na dzień!

— Manfredzie, to jest mój wuj, pułkownik Sigmund Boldt. Wujku, pozwól, że przedstawię ci *Herr* Manfreda De La Reya, boksera z Afryki Południowej.

Pułkownik Boldt wymienił z Manfredem uścisk dłoni. Miał szczupłą, pociągłą twarz naukowca o wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i wąskim, arystokratycznym nosie. Zaczesane do góry, idealnie białe włosy przylegały mu gładko do głowy.

— Heidi mówiła mi, że jest pan z pochodzenia Niemcem. Czy to prawda?

Na wyłogach kurtki jego czarnego munduru połyskiwały srebrne trupie czaszki. Jedna powieka opadała mu na oko, które nieprzejwani łzawiło, toteż wycierał je co chwila rogiem cienkiej batystowej chusteczki.

Prawda, panie pułkowniku — odparł Manfred. — Moje związki z waszym krajem są bardzo silne.

— O, i nawet mówi pan znakomicie po niemiecku! Pułkownik ujął go pod ramię. — Jest tu dziś wiele osób, które chciałyby pana poznać. Ale najpierw proszę mi zdradzić, co pan sądzi o tym czarnym amerykańskim pięściarzu, Cyrusie Lomaxie. I jaką taktykę pan zastosuje, kiedy pan się z nim spotka.

Przez cały wieczór Heidi i pułkownik byli zawsze pod ręką, by dyskretnie skierować go od jednej grupy gości ku następnej, a kiedy odmówił wypicia szampana, kelner natychmiast podał mu szklankę wody mineralnej. Przy jednym z gości pozostawiono go jednak na dłużej. Był to wysoki pruski oficer w polowym, szarym mundurze z Krzyżem Żelaznym na szyi, którego Heidi przedstawiła jako generała Zollera. Pomimo dość nijakiej twarzy o nie zapadających w pamięć mdłych i bezbarwnych rysach, okazał się człowiekiem niezwykle przenikliwym i błyskotliwie inteligentnym. Dokładnie wypytał Manfreda o sytuację polityczną w Afryce Południowej i panujące tam warunki, a

zwłaszcza o stosunek przeciętnego Afrykanera do Anglii i Imperium Brytyjskiego.

Podczas rozmowy generał palił, jednego za drugim, cienkie papierosy w żółtej bibułce o bardzo silnym zapachu ziołowym, a od czasu do czasu brał głęboki, świszczący oddech astmatyka. Manfred szybko stwierdził, że to człowiek życzliwy, dysponujący encyklopedyczną wiedzą o sprawach Afryki. Czas upływał mu niezwykle szybko, zupełnie nie zauważył, kiedy z drugiej strony salonu nadeszła Heidi i dotknęła jego ramienia.

— Proszę mi wybaczyć, panie generale, ale obiecałam trenerowi drużyny pięściarskiej, że odprowadzę mu jego gwiazdę przed dziewiątą.

— Miło mi było pana poznać, młody człowieku. — Generał uścisnął dłoń Manfreda. Nasze kraje powinny nawiązać ze sobą przyjaźń.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, panie generale — zapewnił go Manfred — żeby do tego doprowadzić.

— Powodzenia na Igrzyskach, *Herr De La Rey*.

— Mój wuj bardzo cię polubił stwierdziła Heidi, kiedy wsiedli do mercedesa. — Podobnie jak wielu jego przyjaciół, na przykład generał Zoller.

— Przyjęcie było bardzo miłe.

— Lubisz muzykę, Manfredzie?

Zaskoczyła go tym pytaniem.

— Owszem, chociaż nie bardzo się na niej znam.

— A Wagnera?

— O tak, Wagnera bardzo lubię.

— Wuj Sigmund dał mi dwa bilety na piątkowy koncert w Filharmonii. W programie będzie Wagner, a orkiestrę poprowadzi młody dyrygent, Herbert von Karajan. Wiem, że w piątek po południu masz pierwszą walkę eliminacyjną, ale potem moglibyśmy to uczcić. — Zawahała się, po czym dodała szybko: — Wybacz, pewnie masz mnie za zbyt śmiałą, ale zapewniam cię...

- Ależ skądże! Będę zaszczycony, mogąc ci towarzyszyć... bez względu na to czy wygram, czy przegram.

— Wygrasz — oznajmiła z prostotą. — Wiem, że wygrasz.

Odwiozła go do wioski olimpijskiej, odczekała, aż wejdzie do domu reprezentacji Afryki Południowej i dopiero wtedy poleciała kierowcy:

— Z powrotem na Rupertstrasse.

Kiedy wróciła do Willi pułkownika, większość gości właśnie wychodziła. Odczekała spokojnie, aż gospodarz wróci po odprowadzeniu ostatnich z nich i na dany znak ruszyła za nim w głąb domu. Stosunek pułkownika do niej uległ raptownej zmianie. Traktował ją wyniośle i z wyższością, skiniecie głowy, którym nakazał jej iść za sobą, było szorstkie, nie znoszące sprzeciwu.

Energicznym krokiem skierował się ku nie rzucającym się w oczy dębowym drzwiom w najdalszej ścianie pokoju i przeszedł przez nie pierwszy. Heidi weszła za nim, cicho zamknęła za sobą drzwi i, przybrawszy pozycję na baczność, stanęła pod nimi w oczekiwaniu. Pułkownik zostawił ją samą, nalał koniaku do dwóch pękatych kieliszków i zaniósł jeden z nich generałowi Zollerowi, który siedział w wysokim fotelu przed kominkiem, paląc kolejnego ziołowego papierosa i wertując rozłożoną na kolanach teczkę z aktami.

— Proszę siadać, *Fraulein*. — Pułkownik Boldt usadowił się w drugim skórzanym fotelu i wskazał Heidi kanapę. — Niech się pani rozgości w domu swego „wujka”.

Heidi uśmiechnęła się grzecznie, ale usiadła na samym brzeжку kanapy, sztywno wyprostowana. Pułkownik Boldt odwrócił się z powrotem do generała.

— Czy mogę prosić pana generała o opinię na temat interesującej nas sprawy?

Generał Zoller podniósł wzrok znad teczki.

— Kwestia matki wydaje się dość niejasna. Czy udało się potwierdzić, że rzeczywiście była Niemką, tak ja to on podaje?

— Obawiam się, że niestety nie mamy takiego potwierdzenia. Nie udało się zdobyć żadnych informacji na temat pochodzenia jego matki, choć nasi ludzie w Afryce Południowo-Zachodniej badali tę kwestię niezwykle intensywnie. Uważa się powszechnie, że kobieta ta umarła przy porodzie gdzieś w afrykańskiej głuszy. Natomiast posiadamy niezbite dowody, że jego dziadek ze strony ojca był Niemcem, a sam ojciec walczył w armii kajzera, tam w Afryce, i odznaczył się niezwykłym męstwem.

— Tak, to widzę. — Mruknął z rozdrażnieniem generał i przeniósł spojrzenie na Heidi. — Jakie przekonania zdradzał w czasie waszych rozmów, *Fraulein*?

— Jest bardzo dumny ze swego niemieckiego pochodzenia i uważa się za naszego naturalnego sprzymierzeńca. Jest zagorzałym wielbicielem Fuhrera i zna na pamięć całe ustępy z *Mein Kampf*.

Generał zakasłał, wciągnął ze świstem powietrze, zapalił następnego papierosa i znów skupił całą uwagę na czerwonej teczce z orłem i swastyką na okładce. Pułkownik i Heidi czekali cierpliwie całe dziesięć minut, nim ponownie podniósł wzrok.

— Jakie stosunki nawiązała pani z obiektem, *Fraulein*?

— Na rozkaz pułkownika Boldta byłam dla niego niezwykle miła i udało mi się z nim zaprzyjaźnić. W delikatny sposób dałam mu do zrozumienia, że interesuje mnie także jako mężczyzna. Wykazałam, że dysponuję pokazną wiedzą o jego ojczyźnie oraz że lubię boks i dobrze się na mm znam.

— *Fraulein* Kramer jest jedną z najlepszych moich agentek — wyjaśnił pułkownik Boldt. — Nasz departament przeszkolił ją gruntownie w historii Afryki Południowej oraz dostarczył jej wszelkich dostępnych informacji na temat boksu.

Generał skinął głową.

— Proszę dalej, *Fraulein* — rozkazał.

— W rozmowach z nim — ciągnęła Heidi — wyraziłam zrozumienie dla politycznych aspiracji jego narodu i zadeklarowałam przyjaźń, sugerując, że może się ona przekształcić w coś więcej.

— Czy doszło między wami do zbliżenia seksualnego?

— Nie, panie generale. Oceniam, że zbyt ni pośpiech w tych sprawach mógłby go zrazić. Jak wiemy z akt, obiekt wychował się w środowisku ortodoksyjnych kalwinistów. A poza tym nie otrzymałam od pułkownika Boldta rozkazu zainicjowania kontaktów seksualnych.

— Dobrze — generał skinął głową. — To sprawa wielkiej wagi. O naszej operacji informowany jest osobiście sam Fuhrer. Uważa on, podobnie jak ja, że południowy cypel Afryki ma ogromne znaczenie dla naszych planów globalnej ekspansji, zarówno z taktycznego jak i strategicznego punktu widzenia. Strzeże szlaków morskich do Indii i na Daleki Wschód i w sytuacji, gdyby nasza flota nie mogła korzystać z Kanału Sueskiego, stanowiłby jedyną dostępną dla nas drogę w tamte regiony. Co więcej, jest to skarbnica surowców niezbędnych naszemu przemysłowi zbrojeniowemu — chromu, diamentów, metali z grupy platynowców. Mając to na uwadze i opierając się na wrażeniach, jakie odniosłem podczas bezpośredniej rozmowy z obiektem, stanowczo uważam, że operację należy

kontynuować. Dlatego też niniejszym nadaję jej priorytet „A”. Przy jej realizacji możecie od tej chwili korzystać ze wszystkich środków, jakimi dysponuje departament.

— Znakomicie, panie generale.

— Operacja nosić będzie kryptonim *Das Weisse Schwert*. „Biały Miecz”.

— *Jawohl, Herr General*.

— *Fraulein* Kramer, od tej chwili zostaje pani oddelegowana wyłącznie do operacji „Biały Miecz”. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zainicjuje pani kontakty seksualne, oczywiście w taki sposób, by nie wzbudzić czujności obiektu ani go nie zrazić, lecz raczej wzmocnić swój wpływ na interesującą nas osobę i skuteczniej ją sobie podporządkować.

— Tak jest, panie generale.

— W odpowiednim czasie może się okazać konieczne dalsze zacieśnienie znajomości z obiektem, aż do zawarcia z nim małżeństwa. Czy istnieją jakieś powody, dla których nie mogłaby pani tego zrobić, gdyby zaszła taka potrzeba?

Heidi nie wahała się ani chwili.

— Nie ma takich powodów, panie generale. Może pan całkowicie na mnie polegać. Zrobię wszystko, czego wymagać będzie dobro ojczyzny i wierność ideałom Fuhrera.

— Doskonale, *Fraulein*. — Generał Zoller zaniósł się kaszlem i dopiero po chwili z dużym trudem udało mu się złapać oddech. — A zatem naszym pierwszym celem, pułkowniku — podjął, wciąż jeszcze z głośnym świstem wciągając powietrze — będzie zdobycie przez interesującą nas osobę złotego medalu olimpijskiego. Leży to w naszym własnym interesie. Przyda mu w ojczyźnie ogromnego prestiżu, nie mówiąc już o ideologicznych aspektach zwycięstwa aryjczyka nad przedstawicielem niższej, czarnej rasy.

— Rozumiem, panie generale.

— W wadze lekkociężkiej nie ma żadnego Niemca, który by poważnie pretendował do tytułu mistrzowskiego, prawda?

— Nie ma, panie generale. Obiekt jest jedynym liczącym się białym kandydatem. Możemy dopilnować, żeby wszystkie walki, w których brać będzie udział obiekt, sędziowali członkowie NSDAP, pozostający pod nadzorem naszego departamentu. Naturalnie w wypadku nokautu nie będziemy w stanie wpłynąć na wynik walki, ale...

— To jasne, Boldt, ale zrobicie wszystko, co w waszej mocy. A *Fraulein* Kramer będzie codziennie składać panu raporty ze swych postępów w zacieśnianiu znajomości z obiektem.

Rody Courteneyów i Malcomessów zatrzymały się rzecz jasna nie w wiosce olimpijskiej, lecz w luksusowym hotelu Bristol. Tylko Dawid Abrahams podporządkował się zarządzeniom trenera dryżyny lekkoatletycznej i zamieszkał z kolegami z reprezentacji, toteż w czasie tych kilku wypełnionych intensywnymi treningami dni, które pozostały do otwarcia Igrzysk, Shasa prawie go nie widywał.

Matylda Janina wymogła na Tarze, by towarzyszyła jej na treningi biegaczy, proponując z zamian spędzanie tyłu samo godzin na boisku do poło, tak więc większość czasu gnały razem zielonym bentleyem ojca przez cały Berlin z ogromnego kompleksu olimpijskiego na hippodrom i z powrotem.

Krótką przerwą w treningach w połączeniu z bliskością Igrzysk nie tylko nie włączyła ujemnie na formę Dawida, lecz wręcz przeciwnie, jakby dodała mu skrzydeł. W ciągu tych pięciu dni osiągnął kilka znakomitych czasów, dzielnie opierając się sugestiom Matyldy Janiny, że wieczorami mógłby się wymknąć z wioski olimpijskiej „choćby na godzinkę”.

— Masz duże szanse, Dayie — oznajmił trener spoglądając na stoper po ostatnim biegu przed oficjalną uroczystością otwarcia Olimpiady. — Teraz się tylko skoncentruj, a zabierzesz ze sobą do domu jakiś blaszany krążek.

Shasa i Blaine byli zachwyceni kucami, które przygotowali dla nich niemieccy gospodarze. Jak wszystko inne na hipodromie — masztalerze, stajnie i całe wyposażenie — były bez zarzutu. Prowadzona żelazną ręką drużyna zabrała się do intensywnych treningów i już wkrótce znów stanowiła idealnie zgraną falangę jeźdźców.

W przerwach między własnymi ćwiczeniami obserwowali treningi drużyn, z którymi mieli się spotkać w czasie Igrzysk. Amerykanie, nie licząc się z kosztami, przywieźli ze sobą zza Atlantyku własne konie. Argentyńczycy posunęli się jeszcze dalej i zabrali także swoich stajennych, smagłych *gaucho* w charakterystycznych kapeluszach z szerokim rondem i skórzanych spodniach, nabijanych srebrnymi ćwiekami.

— Te dwie drużyny to nasi najgroźniejsi przeciwnicy — ostrzegął Blaine. — Ale i Niemcy pokazują zaskakującą formę, a i Anglicy, jak zawsze, będą trudni do pokonania.

— Możemy ich roznieść w puch — ocenił możliwości swej drużyny Shasa, opierając się na swym ogromnym doświadczeniu. — Oczywiście przy odrobinie szczęścia.

Tylko Tara potraktowała tę przechwałkę poważnie. Gdy ze swego miejsca na trybunie widziała, jak galopuje wzdłuż boiska, szczupły i gibki, błyskając białymi zębami w ciemno opalonej twarzy, wydawał jej się pięknym, młodym centaurem.

„Jest taki zarozumiały, ma tak przewrócone w głowie! — lamentowała w duchu. — Och, jakże bym chciała po prostu me zwracać na niego uwagi! Tylko że kiedy go nie ma, życie staje się takie... bezbarwne...”

43

O dziewiątej rano pierwszego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku olbrzymi stadion olimpijski, największy na świecie, zapełnił się stutysięcznym tłumem. Murawę jego centralnej części wypieszczono tak, że zmieniła się w aksamitny szmaragdowy dywan, pocięty śnieżnobiałymi liniami i kołami, wytyczającymi miejsce rozgrywania poszczególnych konkurencji lekkoatletycznych. Otaczała go owalna bieżnia wysypana ubitym ceglasczerwonym tłuczniem. Wysoko nad murawą ustawiono trybunę honorową, miejsce, z którego miano odbierać tradycyjną paradę sportowców, a u końca stadionu wznosił się olimpijski ołtarz z wciąż jeszcze nie zapalonym zniczem na gigantycznym trójnogu.

Przed bramą stadionu rozciągała się Maifeld — olbrzymia otwarta przestrzeń, na której wzniesiono wysoką dzwonnice z napisem: *Ich ruje dw Jugend der Wek* — „Wzywam młodzież świata”. Zbite szeregi sportowców stały ciasno wzdłuż Kaiserdanimu, przemianowanego na tę uroczystość na Via Triumphalis. Wysoko w górze unosił się ogromny sterowiec, „Hindenburg”, ciągnący za sobą flagę olimpijską z pięcioma spieczonymi ze sobą kołami,

Skądś z dali dobiegł ledwie słyszalny pomruk, powoli przybrał na sile, zaczął się zbliżać. W głębi Via Triumphalis pojawiła się długa kawalkada otwartych czterodrzwiowych limuzyn, czarnych, o lśniących niczym lustra chromowaniach. Wolno sunęła między dwoma szeregami pięćdziesięciu tysięcy umundurowanych na brązowo żołnierzy, stojących po obu stronach ulicy i powstrzymujących napór rozgorączkowanego tłumu. Dziesiątki rzędów tłoczących się gapiów entuzjastycznym rykiem witały otwierający kawalkadę pojazd, wyrzucając prawe ręce wysoko w górę w nazistowskim pozdrowieniu.

Kawalkada zatrzymała się przed legionem sportowców i z pierwszego mercedesa wysiadł Adolf Hitler. Miał na sobie zwykłą brązową koszulę, bryczesy i wysokie żołnierskie buty. Ten prosty strój bez jakichkolwiek ozdób nie tylko jednak nie czynił go niepozornym, lecz wręcz przeciwnie, zdecydowanie wyróżniał go z tłumu mieniących się złoceniami galowych mundurów, szub, orderowych gwiazd i baretek, którymi olśniewała świta sunąca za nim krok w krok między szeregami sportowców w stronę maratońskiej bramy stadionu.

„Więc to jest ten fanatyk” — pomyślał Blaine Malcomess, kiedy Hitler go mijał, w odległości niecałych pięciu kroków. Wyglądał dokładnie tak jak na zdjęciach i portretach, których tysiące dekorowały miasto — zaczesane na czoło ciemne włosy, mały kwadratowy wąsik. Te wizerunki nie przygotowały go jednak na przenikliwe, mesjanistyczne spojrzenie, jakie spoczęło na nim na ułamek chwili, nim Hitler przeszedł dalej. Blaine poczuł, że włos mu się jeży na karku i po plecach przebiegają mu ciarki, zrozumiał, że spojrzał właśnie w oczy biblijnego proroka albo... szaleńca.

Tuż za Hitlerem postępowali wszyscy jego faworyci: Goebbels był w jasnym letnim garniturze, ale potężnie zbudowany Goering miał na sobie błękitny galowy mundur marszałka Luftwaffe, a przechodząc salutował sportowcom złotą buławą. W tym właśnie momencie wielki spiżowy dzwon zawieszony wysoko nad Meifeld zaczął bić, wzywając młodzież całego świata.

Hitler i jego świta zniknęli w tunelu pod trybunami, a po kilku minutach z gigantycznych megafonów zagrzmiały wzmocnione setki razy fanfary i połączone chóry odśpiewały *Deutschland iiber alles*. Szeregi sportowców zaczęły się przemieszczać, zajmując pozycje do rozpoczynającej się parady.

Kiedy wyłonili się z mrocznego tunelu i wkroczyli na zalaną słońcem płytę stadionu, Shasa wymienił spojrzenia z idącym obok Dawidem. Roześmieli się jak na komendę, podekscytowani nawalą dźwięków, która ich zalała, wzmocnionej muzyki orkiestrowej i głosów chóru śpiewającego hymn olimpijski, rykiem stu tysięcy wiwatujących widzów. Potem podnieśli wyżej głowy i ze wzrokiem utkwionym przed siebie ruszyli równym krokiem w takt majestatycznego utworu Richarda Straussa.

Kilka szeregów przed nimi równie dziarsko kroczył Manfred De La Rey, ale on nie spuszczał wzroku z ubranej na brązowo figurki stojącej hen, w pierwszym rzędzie trybuny honorowej, między królami i książętami. Kiedy znaleźli się bliżej, chciał wyrzucić do przodu prawą rękę i krzyknąć *Hej! Hitler!*, w porę jednak zdążył nad sobą zapanować. Po długich i zażartych dyskusjach przeważała propozycja Blaine'a Malcomessa i pozostałych anglojęzycznych członków drużyny. Zamiast niemieckiego pozdrowienia reprezentacja Południowej Afryki wykonała tylko komendę „na prawo patrz” i w ten sposób oddała honory odbierającym paradę. Większość niemieckich widzów zareagowała na to tupaniem i gwizdami dezaprobaty. Manfred poczuł, że oczy palą go ze wstydu. Ogarnęła go wściekłość, że zmuszono go do wyrządzenia takiej zniewagi wielkiemu człowiekowi stojącemu wysoko na podium. Gniew nie opuścił go przez cały czas trwania fantastycznego festynu otwarcia Igrzysk: zapalenia znicza olimpijskiego, uroczystego przemówienia Fuhrera, wypuszczenia pięćdziesięciu tysięcy białych gołębi, których skrzydła przesłoniły niebo, popisów tanecznych i akrobatycznych, pokazów sztucznych ogni i zamykającego uroczystość przelotu eskadr lotnictwa Goeringa, których silniki wypełniły grzmotem wieczorne niebo.

Blaine i Centaine jedli tego wieczoru we dwoje kolację podaną do jej apartamentu w Bristolu. Po ekscytujących przeżyciach dnia oboje odczuwali znużenie, popadli w refleksyjny nastrój.

— Ależ przedstawienie zgotowali światu! — mruknęła Centaine. — Chyba nikt nie spodziewał

się czegoś takiego.

— A należało się spodziewać — odparł Blaine. — Zdobywszy doświadczenie przy okazji zjazdów w Norymberdze naziści stali się mistrzami w organizowaniu widowisk. Nawet starożytni Rzymianie nie potrafili z taką finezją nadawać uwodzicielskiego czaru spektaklom dla tłumów.

— To było wspaniałe — przyznała Centaine.

— Pogańskie bałwochwalstwo, krzykliwa propaganda. *Herr* Hitler reklamował światu swoje nazistowskie Niemcy i nową rasę nadludzi. A jednak, owszem, zgadzam się z tobą. Widowisko było niestety znakomite, a złowieszczą szczypta zła i zagrożenia przydawała mu tylko smaku.

— Blaine, jesteś niepoprawnym cynikiem.

— To moja jedyna prawdziwa cnota — zgodził się z uśmiechem, po czym zmienił temat. — Ogłoszono wyniki losowania pierwszej rundy eliminacji. Mieliśmy szczęście. Nie trafiliśmy ani na Argentyńczyków, ani na Jankesów.

Wylosowali Australijczyków, lecz ich nadzieje na łatwe zwycięstwo natychmiast się rozwiały. Od pierwszego gwizdka Australijczycy przypuścili atak niczym szarża kawalerii, spychając Blaine'a i Shasę daleko w głąb własnej połowy, zmuszając ich do rozpaczliwej obrony. Ten atak nie słabł ani na chwilę przez zażarte pierwsze trzy części meczu, a jego impet nie pozwolił drużynie Blaine'a otrząsnąć się i przyjść do siebie.

Shasa doskonale panował nad swą skłonnością do popisywania się własnymi umiejętnościami i podejmowania indywidualnych akcji. Podporządkował się całkowicie swemu kapitanowi, reagując natychmiast na jego „odcinaj lewą!”, „kryj odwrót!” czy „wszyscy do tyłu!”, posilkując się jego doświadczeniem, czyli tym, czego jemu samemu brakowało. W ciągu tych kilkudziesięciu minut rozpaczliwej obrony nic porozumienia i wzajemnego zaufania, której usnucie trwało tak długo, wystawiona została na brutalną próbę i omal nie pękła. W końcu jednak wytrzymała i w połowie czwartej części Blaine podjechał do swego młodego numeru dwa i mruknął:

— Wyprztykali się, Shaso. Teraz zobaczymy, czy wytrzymają tempo, które sami narzucili.

Shasa w pełnym galopie przyjął następne wysokie podanie Blaine'a, stając w strzemionach, by zdjąć piłkę z powietrza, potem płynnie poprowadził ją daleko w głąb połowy przeciwnika, ściągając na siebie obronę Australijczyków, po czym miękko, płaską parabolą posłał ją z powrotem do tyłu, wprost pod kopyta pędzącego kuca Blaine'a. To był punkt zwrotny. Po zakończeniu meczu zjechali na spienionych koniach z boiska, zeskoczyli na ziemię i śmiejąc się radośnie zaczęli ścisnąć się i poklepywać po ramionach. Wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć, że jednak odnieśli zwycięstwo.

Lecz już chwilę później ich uniesienie ustąpiło miejsca przygnębieniu. W następnej rundzie mieli spotkać się z Argentyńczykami.

Dawid Abrahams pobiegł fatalnie w eliminacjach na czterysta metrów, zajął czwarte miejsce i odpadł. Matylda Janina nie jadła tego dnia kolacji i położyła się bardzo wcześnie spać, ale już dwa dni później znów paplała rozgorączkowana i podniecona — Dawid wygrał swój przedbieg na dwieście metrów i zakwalifikował się do półfinału.

Pierwszym przeciwnikiem Manfreda De La Reya był Francuz, Maurice Artois, nie klasyfikowany w swojej wadze.

— Szybko jak mamba, odważnie jak ratel — szepnął wuj Tromp, kiedy rozległ się pierwszy gong.

Heidi Kramer siedziała w czwartym rzędzie obok pułkownika Boldta. Kiedy Manfred opuścił swój narożnik i wyszedł na środek ringu, niespodziewanie przebiegł ją dreszcz podniecenia. Ten

chłopak poruszał się jak kot.

Aż do tej chwili udawanie zainteresowania tym sportem przychodziło jej z dużym trudem. Wszystko tu raziło jej oczy, uszy i powonienie; przenikliwy smród zapoconego brezentu i skóry, zwierzęce postękiwania, głuchoe odgłosy uderzeń okrytych rękawicami pięści w nagie ciało, krew, pot i pryskająca ślina zadawały gwałt jej wyrafinowanemu smakowi. Teraz jednak, gdy ubrana w jedwabie i koronki, uczesana i wyperfumowana, siedziała wśród równie elegancko ubranych i wypielegnowanych innych widzów, stwierdziła, że ten kontrast z królującą na ringu brutalnością i dzikością napawa lękiem, lecz jednocześnie ekscytuje.

Manfred De La Rey, ten cichy, poważny młody człowiek, pozbawiony poczucia humoru i surowy, dość niezręcznie czujący się w garniturze wśród eleganckiego towarzystwa, przeistoczył się nagle we wspaniałą nieposkromioną bestię. Bijąca od niego pierwotna dzikość, wściekły błysk tych okolonych czarnymi brwiami żółtych oczu, z jakim zmienił twarz Francuza w zakrwawioną, zdeformowaną maskę, po czym rzucił go na kolana pośrodku nieskazitelnie białego ringu, były tak perwersyjnie podniecające, że musiała mocno zewrzeć uda, bo podbrzusze paliło ją jak ogniem, topiło się i rozpływało, grożąc poplamieniem kosztownej krepdeszynowej sukni.

To podniecenie przybrało jeszcze na sile, gdy wieczorem tego dnia zasiadła z Manfredem w łożu opery i powietrze przeszły pierwsze dźwięki teutońskiej, heroicznej muzyki Wagnera. Przesuwała się powoli w fotelu, aż dotknęła go nagim ramieniem. Poczowała jak drgnął, zaczął się odsuwać, po czym zmienił zdanie. Dotykali się niezwykle lekko, ledwie się muskali, lecz oboje odczuwali ten kontakt niezwykle intensywnie.

Tego wieczoru pułkownik Boldt znów oddał Heidi do dyspozycji swojego mercedesa. Kiedy zeszli ze schodów przed operą, szofer już na nich czekał. Siadając na tylnym siedzeniu Manfred skrzywił się mimowolnie.

— Co się stało? — spytała szybko.

— Och, to nic takiego.

Pewnymi, mocnymi palcami dotknęła jego ramienia.

— Tu? Boli?

— Zesztywnienie mięśni... Jutro wszystko będzie w porządku.

— Hans, zawieź nas do mnie — poleciła kierowcy, a Manfred spojrzał na nią zmieszany.

— *Mutti* przekazała mi jeden ze swych sekretów. Miksturę z dzikich paproci, która działa cuda.

— To zupełnie niepotrzebne... — zaprotestował słabo.

— Moje mieszkanie leży po drodze do wioski olimpijskiej. To nie potrwa długo, a Hans cię potem odwiezie.

Nie bardzo wiedziała, jak doprowadzić do spotkania sam na sam tak, by go nie wystraszyć, ale teraz przyjął jej propozycję bez dalszych kometerzy. Milczał przez całą drogę, wyczuwało się w nim napięcie, więc nie próbowała go już więcej dotykać.

Manfred rozmyślał o Sarah, próbował przywołać z pamięci jej twarz, lecz obraz wciąż mu się rozpływał, rozmywał w słodkie, clikliwe mazaje. Chciał polecić Hansowi, by zawiózł go prosto do wioski, ale nie mógł się na to zdobyć, zabrakło mu silnej woli. Czuł, że to, co robi, jest niewłaściwe, nie powinien przebywać sam na sam z atrakcyjną młodą kobietą, ale skłonny był sobie wmówić, że rzecz jest zupełnie niewinna. Naraz przypomniał sobie dotyk jej ramienia i zesztywniał.

— Wciąż boli? — spytała Heidi, błędnie interpretując jego drgnienie.

— Troszeczkę — wyszeptał przez ściśnięte gardło.

Zawsze najtrudniej było po walce. Przez wiele godzin był napięty, nerwowy i przewrażliwiony i wtedy właśnie ciało płatało mu najwięcej szatańskich figli. Teraz też czuł, że na to się zanosi. Upokorzenie i poczucie winy uderzyły mu na twarz gorącą falą krwi. Co pomyślałaby sobie o nim ta niepokalana, czysta, niemiecka dziewczyna, gdyby zauważyła to sprośne i grzeszne obrzmienie? Otworzył usta, by powiedzieć, że nie wysiadzie z nią z samochodu, ale już pochylała się ku kierowcy.

— Dziękuję, Hans. Wysadź nas na tym rogu i zaczekaj w jakimś wolnym miejscu, trochę dalej.

Wyskoczyła z auta i przecinała już chodnik. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko szybko ją dogonić.

W holu kamienicy panował półmrok.

— Przykro mi, ale mieszkam na ostatnim piętrze, a tutaj nie ma windy.

Wspinaczka po schodach dała mu czas na przyjście do siebie. Weszli do małej kawalerki.

— Oto mój pałac — uśmiechnęła się przepraszająco. — W Berlinie strasznie trudno o mieszkania. — Wskazała mu ręką łóżko. — Usiądź tutaj, Manfredzie.

Zdjęła żakiet i wspiąwszy się na palce powiesiła go w szafie. Kiedy podniosła w górę gładkie, mlecznobiałe ręce, jej piersi zakołysały się ciężko pod białą jedwabną bluzką.

Manfred odwrócił wzrok. Na ścianie była półka z książkami. Wypatrzył na niej dzieła zebrane Goethego i przypomniał sobie, że to ulubiony poeta jego ojca. „Myśl o czymkolwiek — nakazał sobie gorączkowo. — Wszystko jedno o czym, byle nie o tych spiczastych piersiach pod cieniutkim, białym materiałem.”

Zniknęła w maleńkiej łazience, z której dobiegł szum wody i brzęk szklanki. Chwilę później wróciła z małą zieloną buteleczką w ręku i stanęła przed nim.

— Musisz zdjąć płaszcz i koszulę — powiedziała z uśmiechem, wprawiając go tym w kompletne zmieszanie. Nie przyszło mu do głowy, że będzie się musiał rozebrać.

— To nie wypada, Heidi.

Roześmiała się cicho, miękko, gardłowo.

— Nie masz się czego wstydzić, Manfredzie — mruknęła z rozbawieniem w głosie. — Potraktuj mnie jak pielęgniarkę.

Delikatnie zsunęła mu z ramion płaszcz i pomogła go zdjąć. Jej piersi znów zakołysały się leniwie, muskając mu niemal twarz. Cofnęła się o krok, powiesiła płaszcz na oparciu jedyne krzesła i chwilę później położyła na nim koszulę. Ogrzała buteleczkę w umywalce: płyn natychmiast koił i łagodził ból, palce miała zręczne i mocne.

— Odpręż się — szepnęła. — O tu, czuję go. Jest twardy jak węzeł. Odpręż się, pozwól, żeby ból po prostu odpłynął. — Przyciągnęła łagodnie jego głowę do siebie. — Oprzyj się o mnie, Manfredzie, o tak, właśnie tak...

Stała na wprost niego z biodrami wysuniętymi lekko do przodu, tak że oparł się czołem o jej brzuch. Ciało Heidi było miękkie i ciepłe, a głos hipnotyzujący. Poczul, jak od ugniatających go palców rozchodzą mu się po plecach przyjemne fale.

— Jesteś taki twardy i silny, Manfredzie, taki biały, silny i taki piękny... — Upłynęła dłuższa chwila, nim dotarło do niego, co powiedziała, a jej palce muskały go i pieściły, pozbawiając resztek woli i rozsądku. Nie istniało już nic poza tymi rękoma, tymi szeptanymi czułościami i słowami zachwyty, gdy wtem poczul coś jeszcze — sączący się od brzucha, w który wtulał swą twarz, ciepły, piżmowy zapach. Choć nie rozpoznał w nim zapachu podniecone, gotowej do miłości młodej,

zdrowej kobiety, to jego reakcja była zupełnie instynktowna i nie dało się jej już dłużej ukrywać.

— Wybacz mi Heidi — szepnął drżącym głosem — ale cię kocham. O Boże, jak ja cię kocham...

— Tak, *mein Schatz*, wiem — wymruczała cicho. — Ja też cię kocham.

Popchnęła go delikatnie na łóżko i stojąc nad zaczęła powoli rozpinąć swoją białą bluzkę. Kiedy pochyliła się, jej wielkie jedwabiste białe piersi o rubinowych sutkach wydały mu się najpiękniejszą rzeczą, jaką widział w życiu.

— Kocham cię! — powtarzał tej nocy bez końca, za każdym razem z innym odcieniem zachwytu, podziwu i ekstazy, bo to, co z nim robiła, co robili razem, przekroczyło jego wszystkie wyobrażenia.

Na pierwszy dzień finałów konkurencji lekkoatletycznych Shasa wyłudził dla dziewcząt bilety zarezerwowane dla reprezentacji, ale miejsca były wysoko na północnej trybunie. Matylda Janina pożyczyła od niego lornetkę i w podnieceniach penetrowała ogromną arenę.

— Nie widzę go — jęknęła zrozpaczona.

— Bo jeszcze nie wyszedł, najpierw będą finały stu metrów... — uspakajał ją Shasa, ale sam był równie przejęty. W półfinale dwustu metrów Dawid zajął drugie miejsce za znakomitym biegaczem amerykańskim, Jesse Owensem, „Hebanową Antylopą”, i w ten sposób zapewnił sobie udział w finale.

— Jestem taka zdenerwowana, że chyba dostanę waporów — sapnęła Matylda Janina, nie odrywając lornetki od oczu.

Tara także ledwo mogła usiedzieć na swoim miejscu, choć z innego powodu.

— To oburzające! — zawołała nagle z taką siłą, że Shasa spojrzał na nią zaskoczony.

— Co takiego?

— Czy ty w ogóle nic nie słyszysz?

— Przepraszam, ale Dawid wyjdzie lada chwila...

Resztę jego słów zagłuszył potworny ryk dopingów, tysiące widzów zerwało się z miejsc. Finaliści stu metrów wystartowali z bloków i popędzili swoimi torami. Ale kiedy przebiegli linię mety, ryk na widowni przycichł i owacja na cześć zwycięzcy zmieszała się z jękiem złości i zawodu.

— Posłuchaj! — Tara szarpnęła Shasę za ramię. — Posłuchaj, co krzyczą!

Jakiś głos w otaczającym ich tłumie zawołał: „Znow wygrał jakiś amerykański czarnuch!”, a ktoś jeszcze bliżej dodał: „Wstydziliby się pozwalać tym zwierzakom występować w ich barwach!”

— Ci fanatycy są odrażający. — Tara potoczyła wokół wściekłym spojrzeniem, próbując wyłowić z tłumy wznoszących te okrzyki. Kiedy jej się to nie udało, spojrzała z powrotem na Shasę. — Ci Niemcy grożą nieuznaniem wszystkich medali zdobytych przez przedstawicieli, jak to nazywają, niższych ras, Murzynów i Żydów — powiedziała na cały głos. — To po prostu wstrętne.

— Uspokój się — szepnął Shasa.

— Nic cię to nie obchodzi? — spytała wyzywająco Tara. — Przecież Dawid jest Żydem.

— Obchodzi, oczywiście, że obchodzi — odparł cicho Shasa, rozglądając się z zażenowaniem. — Ale daj już spokój, budzisz sensację.

— Uważam... — Na przekór Shasie Tara jeszcze bardziej podniosła głos, lecz mimo to krzyk Matyldy Janiny zupełnie ją zagłuszył.

— Jest, jest! Jest Dawid!

Shasa z ulgą zerwał się ze swego miejsca.

— Jest! Pokaż im, Dayie, jak się biega! Pędź jak gazela!

Finaliści dwustu metrów zbili się w gromadkę po przeciwnej stronie stadionu, podskakiwali w

miejscu, robili skłony i skręty tułowia, robili rozgrzewkę.

— Czy ten Dawid nie jest po prostu nie do opisania? — spytała z zachwytem w głosie Matylda Janina.

— Moim zdaniem to właśnie jego najlepszy opis — odparł Shasa.

Matylda Janina żartobliwie uderzyła go w ramię.

— Dobrze wiesz, co miałam na myśli.

Biegacze zajęli miejsca, sędzia startowy wystąpił krok do przodu. Na ogromnym stadionie znów zaległa cisza, przykucnięci sprinterzy zamarli w bezruchu maksymalnego skupienia.

Pistolet wypalił z ledwie słyszalnym z tej odległości puknięciem i biegacze skoczyli przed siebie. Z migotaniem długich nóg i wyrzucanych wysoko rąk pomknęli idealnie równą linią na fali narastającego ryku. Po chwili szereg załamał się, wyrzusił pośrodku.

Szczupła ciemna postać wyrwała jak pantera przed innych, a z ryku

Itłumu dało się wyłowić poszczególne słowa.

— Je-se O-wens! Je-se O-wens! — skandowały tysiące gardeł, aż ciemny biegacz przeciął linię mety, wyprzedzając wyraźnie resztę biegaczy.

— No i co?! — zawołała zdenerwowana Matylda Janina.

— Wygrał Jesse Owens! — odkrzyknął Shasa, żeby zdołała go usłyszeć w panującym zgiełku.

— To wiem! Ale Dawid... co z Dawidem?!

— Nie wiem, nie widziałem, wszyscy wpadli taką zbitą grupą... Czekali w napięciu na stentorowe dudnienie megafonów ogłaszających oficjalne wyniki.

— *Achtung! Achtung!* — I z płataniny niemieckich słów wyłowili nazwiska: — Jesse Owens, Carter Brown... — i wymówione z nutą zdziwienia — Dawid Abrahams.

— Trzymajcie mnie, bo zemdleję! — krzyknęła Matylda Janina. — Dawid zdobył brązowy medal!

Piszcziała, skakała w miejscu i wymachiwała rękoma, nie kryjąc spływających po policzkach i skapujących z brody łez nieopanowanej radości, aż do chwili, gdy na zielonej murawie w dole pojawiła się wysoka szczupła postać w koszulce i spodenkach, wspięła się na najniższy stopień piramidy zwycięzców, pochyliła głowę i na szyi zawisł jej brązowy medal olimpijski.

Świętowanie sukcesu Dawida rozpoczęli tego wieczoru w salonie apartamentu Centaine w Bristolu. Blaine wygłosił krótką mowę gratulacyjną do zmieszanego i zakłopotanego Dawida, po czym wszyscy wzniesli toast najlepszym szampanem, bollingerem rocznik 1929, o który na tę okazję wystarała się Centaine. Ponieważ chodziło o Dawida, nawet Shasa wypił do dna cały kieliszek wspaniałego musującego trunku.

Następny kieliszek wypił w „Cafe Ku-damm”, na rogu Kurftirstendammu, zaledwie kilka kroków od hotelu, gdzie wybrali się już

Itylko we czwórkę. Potem, wzięwszy się pod rękę, ruszyli ulicami berlińskiej dzielnicy rozrywki. Na czas trwania Igrzysk Olimpijskich nazistowskie władze udzieliły specjalnej dyspensy, zezwalając na powrót wszystkich zakazanych symboli dekadencji — na ulicznych straganach sprzedawano coca-cole, z kawiarenek sączyły się dźwięki standardów jazzowych, słupy ogłoszeniowe oklejono plakatami filmów z Clarkiem Gable i Myrną Loy.

Wstąpili do następnej kafejki i tym razem Shasa zamówił sznapsy.

— Zwolnij trochę — szepnął mu nad uchem Dawid, który wiedział, że Shasa rzadko pija alkohol, a jeśli już, to nigdy więcej niż jeden kieliszek wina czy szklanekę piwa.

— Dawid, staruszku, w końcu nie codziennie mój stary kumpel zdobywa olimpijskie medale! Jego ciemno opalone policzki nabrały dodatkowych kolorów, a oczy błyszczały mu jak w gorączy.

— Ja cię do domu taszczyć nie będę — ostrzegł Dawid.

Ruszyli dalej Ku-dammem, a podochocony Shasa zaczął błaznować, doprowadzając dziewczęta do wybuchów śmiechu.

— Ach, so, meine lieblings, dis is dc słynna kawiarnia Kanziera, nie? Może fejdziemy wypić otropinę szampana, tak?

— To brzmi nie jak niemiecki tylko seplenienie — zauważyła Tara. — A poza tym chyba już jesteś zalany.

— „Zalany”? Jak tak plugawe słowo może kalać tak piękne usta! — odparł Shasa i wzięwszy Tarę pod rękę wprowadził ją do eleganckiej kawiarni.

— Tylko żadnego szampana — opierał się Dawid.

— Drogi chłopcze, chyba nie myślisz, że będę pił twoje zdrowie piwem! — Shasa pstryknął palcami przyzywając kelnerkę, która napełniła cztery wysokie kieliszki musującym słomkowym winem.

Zaśmiewali się i paplali jedno przez drugie, toteż upłynęło kilka chwil, nim dotarło do nich, że w zatłoczonej kawiarni zaległa pełna napięcia cisza.

— O mój Boże — mruknęła pod nosem Tara. — Znów ta kawaleria.

Do sali weszło sześciu żołnierzy w brunatnych mundurach. Musieli brać udział w jakiejś uroczystości czy ceromonii wojskowej, bo dwóch z nich trzymało w rękach zwinięte proporce. Równie jasne było to, że już gdzieś pili. Zachowywali się buńczucznie, toczyli wokół wojowniczym wzrokiem. Kilku gości pospiesznie zapłaciło rachunek, zabrało płaszcze i kapelusze i starając się zrobić to jak najdyskretniej opuściło kawiarnię.

Żołnierze podeszli rozkołysanym krokiem do wolnego stolika tuż obok tego, który zajmowali Dawid, Shasa, Tara i Matylda Janina, i zamówili u kelnerki sześć kufli piwa. Natychmiast zjawił się sam właściciel kawiarni i ze służalczym uśmiechem przywitał nowo przybyłych. Po zamienieniu z nimi kilku słów, stanął na baczność, podniósł rękę w nazistowskim pozdrowieniu i wrócił na zaplecze. Żołnierze natychmiast zerwali się na równe nogi, by odwzajemnić pozdrowienie, i z trzaskiem obcasów jak jeden mąż krzyknęli *Heil Hitler!*

Matylda Janina, która wypila co najmniej jeden pełny kieliszek szampana, prychnęła śmiechem i zanosła się niepowstrzymanym chichotem, ściągając na siebie spojrzenia wszystkich sześciu żołnierzy.

— Siedź cicho, Matty — szepnął błagalnie Dawid, ale to tylko pogorszyło sprawę.

Matylda Janina wywróciła oczy i poczerwieniała na twarzy od daremnego wysiłku, by się opanować, lecz już sekundę później parsknęła bezsilnie i wybuchnęła zupełnie nie tłumionym, dźwięcznym śmiechem. Żołnierze wymienili spojrzenia, bez słowa podnieśli się z krzeseł i ciasnym półkolem otoczyli sąsiedni stolik.

Ich dowódca, krzepki sierżant w średnim wieku, warknął coś nieprzyjemnie, na co Tara odpowiedziała w szkolnej niemczyźnie.

— Ach, więc jesteście Anglikami — wycedził sierżant po angielsku z silnym niemieckim akcentem.

— Moja siostra jest bardzo młoda i głupia.

Tara spiorunowała wzrokiem Matyldę Janinę, która natychmiast znów wydała z siebie zduszony chichot i pospiesznie zatkła sobie usta chusteczką.

— To Anglicy — wyjaśnił sierżant swoim kompanom takim tonem, jakby tłumaczyło to najdziksze szaleństwo, i sprawa pewnie by się na tym zakończyła, gdyby jeden z młodszych żołnierzy nie zwrócił uwagi na Dawida.

— Ty jesteś tym biegaczem? — spytał w przywoitej angielszczyźnie. — Zdobyłeś brązowy medal. Jesteś Dawid Abrahams.

Dawid z zakłopotaniem skinął głową.

— Ty jesteś Dawid Abrahams, żydowski biegacz — ciągnął z wyraźnym zadowoleniem żołnierz.

Dawid zbladł i zacisnął zęby. Obaj znający angielski żołnierze wyjaśnili swoim kolegom o co chodzi, wielokrotnie powtarzając słowo *Juden*. Twarze całej szóstki przybrały wyraz wrogości, dłonie którymi wspierali się pod boki, zacisnęły się w pięści.

— Czy Anglicy i Amerykanie nie wstydzą się — spytał na cały głos sierżant — pozwalać Żydom i Murzynom zdobywać dla nich medale?

Nim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, Shasa wstał z krzesła i uśmiechnął się grzecznie.

— Widzicie, panowie, obszczekujecie niewłaściwe drzewo. On wcale nie jest Żydem tylko Zulusem.

— Jak to możliwe? — Sierżant wydawał się zupełnie zbity z tropu. — Przecież Zulusi są czarni.

— Ależ skądże. Zulusi rodzą się zupełnie biali. Czernieją dopiero od przebywania na słońcu. A tego tutaj zawsze trzymaliśmy w cieniu.

— To są żarty! — zawołał oskarżycielskim tonem sierżant.

— A pewnie, że żarty! — odparł Shasa, przedrzeźniając jego wymowę. — Przecież kiedy się na was patrzy, trudno zachować powagę.

— Shasa, na miłość boską, siadaj! — szarpnął go za rękaw Dawid. — Za chwilę będzie awantura.

Ale Shasa, upojony szampanem i własnym dowcipem, popukał sierżanta palcem w pierś.

— Ale co tam, mój drogi, niech wam będzie! Jeśli szukacie Żydów, to jedynym Żydem w tym towarzystwie jestem ja.

— Obaj jesteście Żydami? — spytał sierżant, mrużąc groźnie oczy.

— Nie bądź tępy. Już wam to wytłumaczyłem — on jest Zulusem, a ja Żydem.

— To kłamstwo!

Tej głośniejszej wymianie zdań przysłuchiwała się tymczasem już cała kawiarnia. Ci, którzy znali angielski, tłumaczyli pozostałym. Shasa widząc, że znalazł się w centrum uwagi, nabrał jeszcze większego animuszu.

— Widzę, że będę wam to musiał udowodnić. A zatem, aby wam dowieść, że odwieczne tajemnice judaizmu są mi świetnie znane, zdradzę wam jeden z naszych najściślej strzeżonych sekretów. Czy nie zastanawialiście się nigdy, co robimy z tym małym kawałeczkiem, który rabini odcinają nam z koniuszka?

— Zamknij się! — próbował mu przerwać Dawid.

— O czym on mówi? — spytała zaciekawiona Matylda Janina.

— Shaso Courteney, zacznasz być wulgarny — rzuciła zimno Tara.

— *Bitte?* — powiedział żołnierz przenosząc niepewnie wzrok z jednego na drugie, ale goście w kawiarni uśmiechali się pod nosem w oczekiwaniu na rozwiązanie zagadki. Słone dowcipy nie były

na Ku-dammie niczym wyjątkowym, a i niecodzienny widok zbitych z tropu żołnierzy sprawiał wszystkim wyraźną przyjemność.

— No dobrze, powiem wam — ciągnął Shasa, ignorując uwagi Dawida i Tary. — Przesypujemy je solą, jak śledzie, i wysyłamy do Jerozolimy. Tam, w świętej grocie na górze Oliwnej, naczelny rabin sadi je w dzień Paschy równiutkimi rzędami i czyni nad nimi magiczny znak. I staje się cud — prawdziwy cud! One zaczynają rosnać! — Shasa rozpostarł ręce i zaczął je unosić w górę. — Rosną i rosną, coraz wyżej i wyżej Żołnierze wpatrywali się w jego ręce z nabożnym skupieniem. — I wiecie, co się dzieje dalej? — spytał Shasa, a sierżant odruchowo potrząsnął głową. — Kiedy wyrosną z nich prawdziwe wielkie krzepkie *schmucki*, wysyłamy ich do Berlina, żeby wstąpili do nazistowskich bojówek.

Żołnierze rozdziawili gęby, nie dowierzając własnym uszom, a Shasa dokończył swego popisu:

— I tam uczą ich wykrzykiwać... — wyprężył się na baczność i poderwał wyprostowaną prawą rękę — *Hej!...*, zaraz, zaraz, jak się ten facet nazywa?

Sierżant wydał z siebie gardłowy ryk i prawą ręką zamachnął się do ciosu. Shasa zrobił unik, ale pod wpływem wypitego szampana stracił równowagę i z hukiem runął na podłogę, ściągając obrus ze stolika. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, butelka szampana potoczyła się po posadzce strzelając na wszystkie strony strugami piany, dwóch żołnierzy przygwoździło Shasę do ziemi i zasypało go gradem ciosów. Dawid zerwał się z krzesła, by pospieszyć mu z odsieczą, lecz trzeci żołnierz wykręcił mu rękę do tyłu. Dawid szarpnął się, zdołał wyswobodzić jedną rękę, odwinął się i wspaniałym prawym sieI rpowym trafił napastnika prosto w nos. Żołnierz zawył, puścił Dawida, by chwycić się za twarz, lecz natychmiast dwóch następnych żołnierzy pochwyciło Dawida od tyłu i ponownie wykręciło mu rękę.

— Puście go! — krzyknęła przeraźliwie Matyllda Janina, bez namysłu wskoczyła jednemu z żołnierzy na plecy, wbiła mu czapkę na oczy i obiema garściami złapała o za włosy, szarpiąc z całych sił. — Puść Dawida, ty bydlaku! — Żołnierz zaczął się kręcić w kółko, próbując się od niej uwolnić.

Kobiety krzyczały przeraźliwie, trzaskały łamane meble. Właściciel kawiarni stanął w drzwiach do kuchni i przyglądał się bójce Iz żalowaną miną.

— Shaso, zachowujesz się jak chuligan! — zawołała wściekła Tara. — Skończ z tym natychmiast!

Shasa nie zdołał nic odpowiedzieć, przygnieciony do ziemi stertą ciał w brązowych mundurach. Szamotał się rozpaczliwie, ale żołnierze otrząsnęli się już z zaskoczenia i błyskawicznie przychodzili do siebie. Uliczne bójki były ich żywiołem.

Jeszcze jedno potrząśnięcie szerokich barów w brunatnej koszuli i Matylda Janina poszybowała w kąt sali. Trzech żołnierzy poderwało Shasę z podłogi i wykręciwszy mu ręce na plecach wyprowadziło go Ina zaplecze. Dawida potraktowano dokładnie w ten sam sposób, choć jego prowadziło tylko dwóch Niemców. Trzeci, ten z rozbitym nosem, siedł w tyłu, klnąc na czym świat stoi i próbując wytrzeć zakrwawioną koszulę.

Właściciel pospiesznie zszedł im z drogi. Roztrącając kucharzy i kelnerki popędzono Dawida i Shasę przez kuchnię, a potem tylnym wyjściem na ciasne podwóreczko za kawiarnią, gdzie szarpiący się bezsilnie Shasa przewrócił kilka kubłów na śmieci.

Żaden z żołnierzy nie odezwał się ani słowem. Wydawanie rozkazów okazało się zupełnie zbędne. To byli profesjonaliści, uprawiający ukochany sport. Podzielili się na trójki, dwóch z ogromną wprawą przyszpilało ofiarę do ceglanej ściany kamienicy, a trzeci obrabiał ją fachowo, okładając pięściami na zmianę brzuch i twarz i chrząkając jak świnia przy korycie w rytm zadawanych ciosów.

Matylda Janina przybiegła za nimi i raz jeszcze chciała przyjść Dawidowi z pomocą, lecz bijący go żołdak nie przerwał nawet swej roboty, tylko lekkim kułakiem odrzucił ją daleko do tyłu, między kubły na śmiecie.

Tara wróciła do kuchni i podbiegła do właściciela kawiarni.

— Niech pan natychmiast wezwie policję! — krzyknęła z wściekłością. — Słyszysz pan?! Natychmiast! Mordują niewinnych ludzi!

— To nic nie da, *Frdulejn* — odparł drżącym głosem właściciel, rozkładając bezradnie ręce. — Policja nie przyjedzie.

Shasa zgiał się bezwładnie wpół, żołnierze puścili go i pozwolili mu upaść na ziemię, po czym wszyscy trzej zaczęli go kopać. Podkute buciory miażdżyły mu brzuch, boki i plecy.

Oprawca Dawida zasapał się, pot zalał mu twarz. Odstąpił o krok, wymierzył starannie i potężnym hakiem rąbnął od dołu w zwieszoną głowę swej ofiary, trafiając dokładnie w usta. Głowa Dawida odskoczyła do tyłu i z tępym trzaskiem rąbnęła w ceglany mur. Wtedy puścili go, by runął na twarz na płyty chodnika. Dawid nie poruszał się, nie próbował nawet kulić się przed kopniakami, które spadały na jego bezwładne ciało, aż napastnikom znudziła się ta zabawa. Kopanie kogoś, kto nie wije się, nie skręca, nie krzyczy o litość, nie sprawiało im zbyt przyjemności. Pozbierali szybko czapki, chwycili zwinięte proporce i zwartą grupką odmaszerwali w stronę Ku-dammu mijając u wylotu zaułka dwóch policjantów, którzy robili, co mogli, żeby udawać, że niczego nie widzą.

Matylda Janina uklękła obok Dawida, podniosła jego zmaltretowaną głowę i położyła ją sobie na kolanach.

— Powiedz coś, Dawidzie, odezwij się! — załkała rozpaczliwie. Tara wyszła z kuchni ze zmoczoną ścierką w ręku i pochyliła się nad Shasą, starając się nie zdradzić swojego niepokoju.

Minęło kilka minut, nim pobici zaczęli dawać oznaki życia. Shasa dźwignął się do pozycji siedzącej, zwiesił głowę między kolanami i potrząsnął nią w zamroczeniu. Dawid uniósł się na łokciu i wypluł zęb oklejony zakrwawioną śliną.

— Nic ci nie jest, staruszkę? — spytał przez rozbite wargi Shasa.

— Nigdy więcej nie przychodź mi z pomocą — wychrypiął Dawid. — Następnym razem dzięki tobie mnie zabiją.

Matylda Janina pomogła im wstać, ale Tara, teraz, gdy Shasa przyszedł już do siebie, przybrała minę surowego potępienia i dezaprobaty.

— Nigdy w życiu me byłem świadkiem równie haniebnych popisów, Shaso Courteney. Zachowywałeś się wulgarnie i wyraźnie szukałeś zwady. Zasłużyłeś sobie na wszystko, co cię spotkało.

— Chyba jesteś trochę zbyt surowa — zaprotestował Shasa. Podtrzymując się nawzajem z Dawidem powlekli się zaułkiem w stronę ruchliwej ulicy. Jeden z mijanych policjantów warknął coś do nich półgłosem.

— Co on powiedział? — spytał Shasa.

— Że wam się należało — przetłumaczyła lodowatym tonem Tara. — I że następnym razem zostaniecie aresztowani za zakłócanie porządku.

Kiedy z trudem powłócząc nogami, posiniaczeni i zakrwawieni ruszyli Ku-dammem w stronę hotelu, przechodnie obrzucali ich szybkimi, przerażonymi spojrzeniami, po czym natychmiast odwracali wzrok i czym prędzej schodzili im z drogi.

— Słuchaj, Shaso, a ta twoja historia? — spytała w zamyśleniu Matylda Janina, kiedy wsiedli do windy w Bristolu. — No, wiesz, o tym sadzeniu czegoś tam na Górze Oliwnej... Prawdę mówiąc, niczego nie zrozumiałam. Co to jest *schmuck*?

Dawid i Shasa zgięli się wpół ze śmiechu, jęcząc z bólu i chwytając się skopane brzuchy.

— Błagam cię, Matty — jęknął Dawid — nie mów już nic więcej. Strasznie boli, kiedy się śmieję.

Tara spiorunowała wzrokiem siostrę.

— Poczekaj no, panienko, niech ja opowiem tacie, jaki ty miałaś udział w tym wszystkim. Dostanie po prostu szału.

Miała rację, Blaine był wściekły jak rzadko mu się to zdarzało, lecz jednak nie tak wściekły jak Centaine Courteney.

Okazało się, że Shasa ma złamane cztery żebra i obojczyk, co oczywiście wykluczyło go z dalszych rozgrywek. Od tej pory już zawsze utrzymywał, że to właśnie na skutek jego nieobecności dwa dni później sromotnie przegrali z Argentyńczykami cztery do dziesięciu i odpadli w ćwierćfinałach. Dawid stracił dwa zęby, lecz poza tym jego obrażenia okazały się powierzchownymi stłuczeniami, rozcięciami i otarciami.

— Wyszliście z tego obroną ręką — przyznała w końcu Centaine. — Przynajmniej nie będzie wokół tego szumu. Mali wścibscy pismacy nie będą wypisywać z zachwytem złośliwych atrykulów. — A jednak się myliła. Jednym z gości kawiarni był korespondent Reutera, którego doniesienie wydrukował południowoafrykański „Jewish Times”. W artykule położono szczególny nacisk na rolę, jaką odegrał Shasa Courteney, broniąc swego przyjaciela Żyda, brązowego medalisty olimpijskiego w biegu na dwieście metrów. Kiedy w końcu wrócili do Cape Town, okazało się, że Shasę uznano tam niemal za bohatera. Obaj z Dawidem poproszeni zostali o wygłoszenie okolicznościowych

przemówień podczas lunchu Przyjaciół Syjonu.

— Oto dowód, że tak naprawdę nigdy niczego me można być zupełnie pewnym — skwitował to Blaine.

— Jak myślisz, ilu mamy wyborców pochodzenia żydowskiego? — spytała Centaine i skupiła się, żeby to obliczyć. Oczy zjechały jej się w charakterystycznym zezie.

— Jesteś zupełnie niepoprawna, kochanie — roześmiał się Blaine.

Przed finałowym meczem w wadze lekkociężkiej hala bokserska w ogromnym kompleksie *Reichssportfeld* wypełniła się po same brzegi. Po obu stronach przejścia do szatni stały rzędy umundurowanych żołnierzy, tworzących szpaler honorowy dla wychodzących na ring pretendentów do tytułu mistrza.

— Doszliśmy do wniosku, że mogą nam się przydać — wyjaśnił Heidi Kramer pułkownik Boldt, kiedy zajmowali swoje miejsca w pierwszym rzędzie, i spojrzał znacząco na czterech sędziów. Wszyscy byli Niemcami, wszyscy należeli do NSDAP. Delikatną perswazją i targami pułkownik dopiął swego.

Manfred De La Rey wszedł na ring jako pierwszy. Miał na sobie zielone jedwabne spodenki i taką samą koszulkę ze złotym skoczkiem na piersi. Jasne włosy obciął na krótkiego jeża. Szybko powiódł spojrzeniem po pierwszych rzędach wokół ringu i wyrzutem obu pięści nad głowę podziękował za ogłuszające powitalne brawa. Niemieccy kibice uznali go za jednego ze swych bohaterów. Jego wygrana tego wieczoru miała dowieść niepodważalnej wyższości białej rasy.

Wiedział, gdzie szukać Heidi Kramer, toteż wypatrył ją niemal natychmiast, ale nie posłał jej uśmiechu. Odwzajemniła mu się równie poważnym spojrzeniem, poczuł jednak, że sama jej obecność przydaje mu sił. Nagle kątem oka dostrzegł inną znajomą postać i w jednej chwili przepelniająca go miłość ustąpiła miejsca wściekłości.

Ta kobieta. Manfred nigdy nie myślał o Centaine Courteney inaczej niż „ta kobieta”. Siedziała tylko o trzy fotele od jego ukochanej Heidi, elegancka, z dumnie uniesioną głową. Tej burzy ciemnych, gęstych włosów nie sposób było pomylić, a do tego miała na sobie żółtą jedwabną suknię i te swoje diamenty. Odżyła w nim nienawiść tak silna, że niemal poczuł na języku jej smak, smak żółci i ałunu.

„Dlaczego ona mnie tak prześladowuje?” — zastanowił się. Siedziała na widowni podczas prawie wszystkich jego walk, zawsze w towarzystwie tego wysokiego aroganta z wielkim nosem i odstającymi uszami.

Centaine przyglądała mu się tym enigmatycznym, zbijającym z tropu spojrzeniem, które tak dobrze nauczył się rozpoznawać. Z rozmysłem odwrócił się do niej plecami, próbując wyrazić w ten sposób całą swą pogardę i nienawiść, i skupił uwagę na Cyrusie Lomaxie, wspinającym się właśnie do swego narożnika po przeciwnej stronie ringu.

Amerykanin miał muskularne ciało barwy mlecznej czekolady, natomiast twarz o wybitnie afrykańskich rysach, przywodzących na myśl wspaniałe brązowe odlewy dawnych władców Aszanti — wysoko sklepione czoło, głęboko i szeroko osadzone oczy, wydatne usta rzeźbione w kształt łuku asyryjskich wojowników, szeroki, płaski nos. Na piersi miał biało-czerowo-granatowy emblemat z gwiazdami, wyglądał groźnie i niebezpiecznie.

— To najtrudniejszy przeciwnik, jakiego spotkasz w całym swoim życiu — ostrzegł Manfreda wuj Tromp. — Jeśli jego uda ci się pokonać, to znaczy, że nie masz sobie równych na całym świecie. Sędzia przywołał ich na środek ringu i przedstawił publiczności.

Na dźwięk nazwiska De La Rey widowia wydała grzmiący ryk.

Wracając do swego narożnika Manfred poczuł się silny i niezwycięzony. Wuj Tromp posmarował mu brwi i policzki wazeliną i wsunął mu do „ ust czerwony gumowy ochraniacz na zęby. Potem rąbnął go otwartą dłonią w plecy, mocno, aż zapiekło, zupełnie jakby dźgał szpikulcem byka, by rozjuszyć go przed walką na arenie, i syknął mu do ucha:

— Szybko jak mamba! Odważnie jak ratel!

Manfred skinął głową, obracając w ustach gruby gumowy ochraniacz i na dźwięk gongu wybiegł na ring, w plamę jaskrawego, grzejącego światła jupiterów. Amerykanin wyszedł mu naprzeciw, cicho i miękko jak czarna pantera.

Walczyli jak równy z równym, w tym samym stylu, twardo i zawzięcie, ciosy mogące ogłuszyć lub okaleczyć chybiały ledwie o włos. Z niemal nadnaturalnym skupieniem badali się nawzajem, tańczyli wokół siebie, uskakiwali, robili uniki, odbijali się od sprężystych lin, parowali ciosy rękawicami, przedramionami i łokciami, ani na chwilę nie dopuszczając do zwarcia; szybcy, groźni i niebezpieczni. Gong obwieszczał zakończenie kolejnych rund — piątej, szóstej, siódmej. Manfred jeszcze nigdy nie musiał walczyć tak długo. Zwycięzał zawsze szybko, nagłą serią morderczych ciosów, które zwały przeciwnika na deski ringu. Ale twardy trening narzucony przez wujka Trompa zrobił swoje — wzmocnił mu nogi i ręce, pogłębił oddech. Nadal czuł się silny i niezwycięzony, wiedział, że rozstrzygnięcie nastąpi już wkrótce. Należało tylko spokojnie odczekać. Amerykanin zaczynał odczuwać zmęczenie, jego ciosy nie miały już dawnej szybkości. Lada chwila musiał popełnić pierwszy błąd. Panując nad namiętym pragnieniem, by ujrzeć jego krew, Manfred skupił się i czekał na ten moment.

Moment nadszedł w połowie siódmej rundy.

Amerykanin strzelił jedną ze swych błyskawicznych lewych, tak szybkich, że słyhać było świst przecinanego powietrza. Manfred nie tyle ją dostrzegł, co wyczuł zwierzęcym instynktem, szarpnął się do tyłu, wtulił podbródek w szyję i rękawica otarła mu się o twarz, ale cios okazał się za krótki.

Manfred zakołysał się na piętach, odzyskał równowagę i gotów do natychmiastowej kontry odwiódł prawą rękę z pięścią zaciśniętą jak młot kowala. Amerykanin okazał się o jedną setną sekundy za wolny. Siedem męczących rund dało o sobie znać, spóźnił się z osłonięciem prawego boku. Szczelina w jego obronie była tak nikła, otworzyła się na tak krótką chwilę, że Manfred w ogóle jej nie dostrzegł, lecz raz jeszcze zadziałał instynkt i doświadczenie. Z układu ramion Amerykanina, z kąta, pod jakim trzymał ręce i głowę, wyczuł, gdzie należy zaatakować.

Wszystko odbyło się zbyt szybko na podjęcie świadomej decyzji. Nim zdążył cokolwiek pomyśleć, jego cios ciał już powietrze i sam instynkt zdecydował, że musi to być cios kończący. Nie błyskawiczna, mordercza seria z obu rąk, lecz jeden jedyny cios, nie do cofnięcia, rozstrzygający, kończący walkę.

Uderzenie wzięło swój początek z potężnych, sprężystych mięśni łydek i ud, skręt miednicy, kręgosłupa i barków nadał mu przyspieszenie kamienia wylatującego z procy, i przeniósł cały jego impet na prawą rękę, jakby kierował wielką, ryczącą rzekę do ciasnego ąwozu. Cios przebił zasłonę Amerykanina i trafił w bok jego ciemnej głowy z siłą, od której Manfred we własnej głowie usłyszał szcęk zębów. Dał z siebie wszystko. Włożył w ten cios całą swą siłę i odwagę, lata treningów i doświadczeń, całe serce i wysiłek wszystkich idealnie zgranych mięśni. Trafił pewnie i czysto, lecz w tej samej chwili poczuł suchy trzask. Kości jego prawej ręki pękły jak kruche gałązki, a błyskawica bólu przeszła mu cały bark i eksplodowała w głowie burzą płomieni. Ale ten ból był

bólem triumfu i nieopanowanej radości, bo wiedział, że wreszcie jest po wszystkim. Wygrał.

Kiedy płomienie bólu rozwiały się i odzyskał zdolność widzenia, niecierpliwie spojrział w dół, by zobaczyć Amerykanina rozciągniętego na deskach u swych stóp i w tej samej chwili przepelniająca jego serce nieokiełznana radość ustąpiła miejsca czarnej rozpacz. Cyrus Lomax nadal trzymał się na nogach. Chwiał się i zataczał, wzrok mu zmętniał, a oczy uciekały mu na boki, nogi miał jak z waty, w czaszce roztopiony ołów, balansował na krawędzi utraty przytomności, ale wciąż stał o własnych siłach.

— Skończ z nim! — ryczał tłum. — Dokończ go!

Manfred widział, jak niewiele by do tego trzeba — jeszcze jednego jedyne go prawego, tylko jednego. Ale tego akurat nie mógł zrobić. W złamanej prawej ręce nie miał zupełnie czucia.

Amerykanin zataczał się jak pijak, objął się o liny, nogi się pod nim uginały i nagle jakimś niewyobrażalnym wysiłkiem woli zaczął przychodzić do siebie.

„Lewa! — przywołał Manfred wszystko, co mu pozostało, swą ostatnią rezerwę. — Muszę go dosięgnąć lewą!” — I targany falami przeszywającego bólu raz jeszcze ruszył do przodu.

Strzelił lewym prostym, mierząc prosto w szczękę, ale Amerykanin zatoczył się bezwładnie do przodu, mimowolnie unikając w ten sposób ciosu, objął Manfreda oboma rękami w ramionach i uczepił się go w determinacją tonącego. Manfred próbował się wyswobodzić, ryk oszalałego tłumu przeistoczył się w przeciągły, ogłuszający grzmot, przez który tylko z najwyższym trudem przebijało się *Break, break!* sędziego, ale Amerykanin przetrzymał go wystarczająco długo.

Kiedy sędzia ich w końcu rozdzielił, Cyrus Lomax patrzył już przytomnym wzrokiem. Po wznowieniu walki zdołał ujść przed rozpaczliwą serią lewych prostych Manfreda — i rozległ się gong.

— Co się stało, Manie? — zawołał wuj Tromp, chwytając go wpół i prowadząc do narożnika. — Mogłeś go położyć. Co się stało?

— Moja prawa — wymamrotał Manfred przez zaciśnięte z bólu zęby.

Wuj Tromp dotknął jego ręki tuż ponad nadgarstkiem, a Manfred omal nie zawył. Ręka obrzmiała jak bania, opuchlizna w oczach pęzła w górę.

— Rzucam ręcznik - szepnął wuj Tromp. — Nie możesz walczyć z taką ręką.

— Nie! — warknął Manfred, utkwivszy rozjarzone spojrzenie w przeciwnym narożniku, gdzie sekundanci na wszelkie sposoby cucili oszołomionego Amerykanina — zimnymi kompresami, solami trzeźwiącymi, klepaniem po policzkach i mówieniem do niego, mówieniem bez chwili przerwy.

Uderzenie w gong oznajmiło rozpoczęcie ósmej rundy, Manfred wyszedł na ring i z rozpaczą stwierdził, że Amerykanin przychodzi do siebie, a jego ruchy nabierają koordynacji. Wciąż jeszcze był niepewny, bał się i wycofywał, czekając na natarcie Manfreda, ale z każdą minutą odzyskiwał siły. I w pewnej chwili jego zdumienie, że Manfred nie próbuje znów zaatakować prawą, ustąpiło miejsca zrozumieniu.

— Skończyłeś się — warknął Manfredowi do ucha przy następnym zwarciu. — Nie masz już prawej, białasku. No to teraz cię pozrę!

Jego proste nabrały siły, zaczęły sprawiać ból, Manfred zaczął się cofać. Lewe oko zapuchło mu, w ustach czuł miedziano-słony smak krwi.

Amerykanin strzelił mocnym lewym prostym, a Manfred odruchowo zablokował go prawą, przyjmując cios na rękawicę. Ból był tak potworny, że przed oczami zawirowały mu czarne mroczki, a ziemia zakołysała się pod nogami. Przy następnym prostym bał się już blokować prawą, więc cios

Amerykanina przebił się przez jego gardę i trafił go w podbite oko. Pulsująca opuchlizna zwisała mu z twarzy jak opity krwią kleszcz, jak wielka purpurowa narośl całkowicie już przesłaniająca oko. Gong zakończył ósmą rundę.

— Jeszcze dwie — szepnął wuj Tromp, okładając mu zapuchnięte oko lodem. — Wytrzymasz, Manie?

Manfred skinął głową i równo z gongiem wyszedł na ring. Amerykanin skwapliwie wybiegł mu na spotkanie — chyba zbyt skwapliwie, bo tak wyraźnie zasygnalizował potężny prawy sierpowy, że Manfred zdążył go ubiec. Błyskawicznym lewym prostym osadził go w miejscu, aż Lomax zakołysał się na piętach.

Gdyby władał prawą, znów mógłby go rozłożyć na deskach, idąc za tym lewym prostym z wściekłą serią ciosów, której żaden przeciwnik nie był w stanie wytrzymać, ale jego prawa ręka była zupełnie bezużyteczna. Lomax zrobił unik, odskoczył do tyłu, powoli znów przyszedł do siebie i krążąc wokół Manfreda skupił się na jego oku, starając się w nie trafić.

Ostatnim ciosem w dziewiątej rundzie dopiął swego. Wyprowadził szybki lewy prosty, wewnętrzną stroną rękawicy trafił w sinofioletową torbiel zasklepiającą oko Manfreda i rozdarł ją supłami sznurowania.

Opuchlizna pękła, płachta krwi zalała Manfredowi twarz i ściekła mu na piersi.

Nim sędzia zdążył przerwać walkę, by zbadać ranę, rozległ się gong i Manfred powlókł się do swego narożnika, podtrzymywany przez wujka Trompa, który wybiegł mu naprzeciw.

— Poddaję cię, poddaję cię natychmiast! — zawołał gwałtownie Tromp Bierman przyjrzawszy się potwornej ranie. — Nie ma mowy, żebyś tak walczył! Mógłbyś stracić oko!

— Jeśli mnie poddasz, nigdy ci tego nie wybaczę! — odparł cicho Manfred.

Mówił prawie spokojnie, ale jarzący się w jego kocich oczach płomień ostrzegł wujka Trompa: chłopak nie żartuje. Westchnął ciężko, oczyścił ranę, zatamował krew laseczką ałunu. Podeszedł sędzia, żeby obejrzeć oko Manfreda, odwrócił mu twarz do światła.

— Dotrwasz do końca? — spytał cicho.

— Ku chwale Volku i Fihrera — odparł równie cicho Manfred.

Sędzia skinął głową.

— Jesteś dzielnym człowiekiem! — mruknął i dał znak do wznowienia walki.

Ostatnia runda trwała całą wieczność, zmieniła się w koszmar tortur i najwymyślniejszych katuszy. Ciosy Amerykanina miażdżyły ciało Manfreda, otwierały, rozcinały i rozorywały wcześniejsze rany, a każdy coraz bardziej podkopywał jego siły, odbierał możliwość Iosłonięcia się przed następnym.

Każdy oddech przeszywał nową błyskawicą bólu, napinał naderwane mięśnie i wiązała piersi, palił miękką tkankę płuc. Ból w prawej ręce promieniował aż do barku, zlewał się z bólem po każdym nowym ciosie, spuszczał zasłonę ciemności na jedyne widzące oko, pozbawiając go zdolności dostrzeżenia sypiących się ciosów, huczał mu w oszach jak wicher, lecz mimo to Manfred trzymał się na nogach. Lomax zasypywał go gradem ciosów, rozbijał mu twarz na krwawą miazgę, a Manfred trzymał się na nogach.

Widzowie przyglądali się temu wstrząśnięci, ich początkowa żądza krwi ustąpiła miejsca współczuciu, a w końcu przerażeniu. Już dziesiątki osób wołały do sędziego, by przerwał tę rzeź, ale Manfred nadal trzymał się na nogach, podejmując nieporadne, żalosne wysiłki, by odcinać się lewymi prostymi. A grad ciosów nadal bombardował jego ośleplą twarz i skatowane ciało.

W końcu, za późno, o wiele za późno, rozległ się dźwięk gongu, a Manfred De La Rey nadal stał o własnych siłach. Chwiał się pośrodku ringu; oślepiły i pozbawiony czucia nie był w stanie trafić do własnego narożnika. Wuj Tromp podbiegł do niego i objął go delikatnie w pól. Nie kryjąc łez, które zalewały mu policzki znikając w gęstej brodzie, odprowadził Manfreda na miejsce.

— Manie, mój biedny Manie — szeptał. — Jak ja mogłem na to pozwolić... Powinienem być to przerwać...

Po drugiej stronie ringu Cyrusa Lomaxa otoczył tłumek gratulujących. Smieli się i poklepywali go po ramionach. Czekając na potwierdzający werdykt sędziów, Amerykanin z trudem odtańczył taniec zwycięstwa, lecz ani na chwilę nie przestawał rzucać niespokojnych spojrzeń w stronę przeciwnego narożnika i człowieka, którego zniszczył. Natychmiast po ogłoszeniu wyniku miał zamiar podejść do niego i wyrazić swój najwyższy podziw dla takiego popisu odwagi, hartu i wytrwałości.

— *Achtung! Achtung!* — Sędzia ringowy trzymał w jednej ręce karteczki od sędziów punktowych, a w drugiej mikrofon. Jego głos zadudnił tubalnie z megafonów. — Panie i panowie, walkę o tytuł mistrza olimpijskiego w wadze lekkociężkiej wygrał na punkty... Manfred De La Rey, reprezentant Afryki Południowej!

Na widowni zapadła pełna napięcia i niedowierzania cisza, trwająca trzy uderzenia tłukącego się jak oszalałe serca Manfreda, po czym rozpętała się burza protestów. Przez salę przetoczył się ryk oburzenia i wściekłości, rozległy się gwizdy, tupot, trzask przewracanych krzeseł. Cyrus Lomax rzucał się po ringu jak szaleniec, szarpał za liny i krzyczał na sędziów, a setki widzów próbowały wdrzeć się na ring, by urządzić demonstrację przeciwko oburzającemu werdyktowi.

Pułkownik Boldt skinął głową komuś stojącemu pod ścianą hali. Natychmiast przejściami ruszyły oddziały żołnierzy w brunatnych koszulach, sprawnie otoczyły ring, odpierając atak rozzłoszczonego tłumu i utworzyły wiodący do szatni korytarz, którym pospiesznie wyprowadzono Manfreda.

Sędzia ringowy próbował usprawiedliwić przez mikrofon werdykt jurorów:

— Sędzia Krauser: pięć rund dla De La Reya, w jednej remis, cztery dla Lomaxa...

Ale nikt go nie słuchał, a jego głos, choć wzmocniony przez megafony, utonął w ogólnym zgiełku.

— Wiem, że chciałaby, żebym był szczęśliwy — przerwał mu

44

Ta kobieta musi być starsza od ciebie o ładnych parę lat — zauważył ostrożnie wuj Tromp, starannie dobierając słów,

Spacerowali w Ogrodach Tegel, w powietrzu czuć było pierwszy jesienny chłód.

— O trzy — odparł Manfred. — Ale to nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest tylko to, że się kochamy.

Prawą rękę ciągle jeszcze miał w gipsie i trzymał ją na temblaku.

Manie, ty nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat... Nie możesz się ożenić bez zgody opiekuna.

— Ty jesteś moim opiekunem — zauważył Manfred, utkwivszy w wuju to zbijające z tropu, nieruchome spojrzenie żółtych jak topazy oczu.

Tromp Bierman spuścił głowę.

— Jak utrzymasz żonę? — spytał.

— Departament Kultury Rzeszy przyznał mi stypendium na dokończenie studiów prawniczych tu, w Berlinie. Heidi ma dobrą pracę w Ministerstwie Informacji i mieszkanie, a ja przejdę na zawodowstwo, co pozwoli mi zarabiać na życie, dopóki nie zostanę prawnikiem. Wtedy wrócimy do

Afryki Południowej.

— Wszystko już sobie ułożyłeś... — westchnął ciężko Tromp Bierman, a Manfred skinął głową. Brwi miał ciągle sklezione spękanyimi czarnymi strupami; te blizny miały mu pozostać na całe życie. Dotknął teraz palcem gojących się ran i spytał:

— Nie odmówisz mi swojej zgody, wujku, prawda? Weźmiemy ślub przed twoim powrotem do domu... Oboje chcielibyśmy, żebyś to ty nam go udzielił.

— Czuję się zaszczycony... — odparł z roztargnieniem stary pastor. Znał tego chłopaka, wiedział, z jakim uporem potrafi dążyć do realizacji raz postawionego sobie celu. Wysuwanie dalszych argumentów utwierdziłoby go tylko w uporze.

— Jesteś dla mnie ojcem — powiedział z prostotą Manfred. — A nawet więcej niż ojcem. Twoje błogosławieństwo będzie darem bez ceny.

— Och, Marne, Manie... Stałeś się dla mnie synem, którego me dane mi było mieć, chcę dla ciebie jak najlepiej. W jaki sposób mógłbym cię przekonać, żebyś się tak nie spieszył, poczekał z tym jeszcze trochę...

— Nic nie odwiedzie mnie od tego zamiaru.

— Manie, pomyśl o ciotce Trudi... Manfred.

— No, tak, na pewno... A co z Sarah?

— Co: „co z Sarah”?

W oczach Manfreda zapłonął zimny blask, wyzywająco wysunął szczękę, by zagłuszyć własne wyrzuty sumienia.

— Sarah cię kocha, Manie. Zawsze cię kochała, nawet ja zdołałem to zauważyć.

— Sarah jest dla mnie jak siostra i kocham ją, ale kocham jak brat. Heidi kocham jak mężczyzna, a ona kocha mnie jak kobieta.

— Chyba nie masz racji, Manie. Zawsze myślałem, że ty i Sarah...

— Dość, wuju, nie chcę tego więcej słuchać. Ożenię się z Heidi, mam nadzieję, że z twoim błogosławieństwem i za twoim przyzwoleniem. Czy zechcesz, wujku, podarować nam to w ślubnym prezencie? Proszę!

I stary człowiek skinął głową, ciężko i ze smutkiem.

— Daję ci swoją zgodę i błogosławieństwo, mój synu. I z radością w sercu połączę was węzłem małżeńskim.

Heidi i Manfred pobrali się na brzegu Jeziora Hawelskiego, w ogrodach willi pułkownika Sigmunda Boldta w Griinewaldzie. Było złociste wrześnie popołudnie, pierwsze muśnięcia jesieni zaczynały żółcić i czerwienić liście na drzewach. Zeby wziąć udział w uroczystości, zarówno wuj Tromp jak i Roelf Stander musieli pozostać w Berlinie po rozjechaniu się do domów wszystkich reprezentacji olimpijskich. Roelf wystąpił w roli drużby pana młodego, a wuj Tromp dopełnił prostej ceremonii.

Heidi była sierotą, toteż do ołtarza poprowadził ją pułkownik Boldt. Przybyło kilkunastu jej przyjaciół, w większości kolegów i zwierzchników z Ministerstwa Propagandy i Informacji, sporo bliższych i dalszych krewnych w czarnych mundurach elitarnych jednostek SS, błękitnych mundurach Luftwaffe i szarych Wehrmachtu, a także kilka ładnych dziewcząt w tradycyjnych ludowych strojach, które tak mocno propagowała partia nazistowska.

Po krótkiej i prostej ceremonii zaślubin w obrządku kalwińskim, której dokonał wuj Tromp, pułkownik Boldt wydał przyjęcie weselne na świeżym powietrzu, w czasie którego przygrywał

czterosobowy zespół w tyrolskich kapeluszach i skórzanych *lederhosen*. Grali aktualne, aprobowane przez władze przeboje, przeplatając je skoczną muzyką ludową, a goście mogli tańczyć na ułożonym pośrodku trawnika prowizorycznym parkiecie z desek.

Manfred był tak zaabsorbowany swą trzymaną w objęciach nowo poślubioną żoną, że zupełnie nie zauważył nagłego podniecenia reszty gości ani pośpiechu, a jakim pułkownik Boldt niemal wybiegł na powitanie grupki osób nadchodzących od strony domu. Dopiero kiedy orkiestra zagrała nagle marszową pieśń partii nazistowskiej, zorientował się, że dzieje się coś niezwykłego.

Zbliżający się do niego mężczyzna miał na sobie białą, zapiętą pod samą szyję kurtkę mundurową, której jedyną ozdobą był zwykły żelazny Krzyż. Twarz miał bladą, kanciastą i silną, ciemne włosy zaczesywał na wysokie czoło, pod wydatnym kształtnym nosem czernił się mały, starannie przystrzyżony wąs. Twarz ta nie miałaby w sobie nic niezwykłego, gdyby nie oczy — oczy, jakich Manfred nie widział jeszcze nigdy w życiu. Swidrowały go na wylot, zaglądały mu w najgłębsze zakamarki serca i duszy, czyniąc zeń już na zawsze uległego niewolnika.

Poderwał rękę w gipsie W nazistowskim pozdrowieniu, na co nowo przybyły uśmiechnął się i podziękował mu skinieniem głowy.

— Słyszałem już, *Herr De La Rey* — powiedział Adolf Hitler — że jest pan przyjacielem Niemiec i Niemców.

— Szczerym przyjacielem i zagorzałym wielbicielem — sam jestem z pochodzenia Niemcem. Nie potrafię znaleźć słów, które byłyby w stanie oddać, jak wielkim zaszczytem jest dla mnie pańska obecność na moim ślubie.

— Gratuluję dzielnego zwycięstwa nad tym amerykańskim czarnuchem — powiedział Adolf Hitler podając mu rękę. — Gratuluję także gustu, który sprawił, że wybrał pan sobie na żonę jedną z pięknych cór Rzeszy. — Manfred ujął dłoń Fihrera lewą, nieuszkodzoną ręką, czując, że podniosłość tej chwili napawa go drżeniem. — Życzę panu szczęścia — ciągnął Hitler — I niech to małżeństwo zwiąże pana stalowymi więzami z naszym narodem i krajem.

Dłoń Fihrera była sucha i chłodna; była to silna, lecz wrażliwa dłoń artysty. Radość i uniesienie zaczęły dławić Manfreda w gardle.

— Zawsze, *mein Fuhrer!* Te więzy przetrwają na zawsze!

Adolf Hitler jeszcze raz skinął głową, podał rękę Heidi, uśmiechnął się na widok jej łez radości i tak niespodziewanie jak przybył, tak nagle opuścił wesele, zamieniając po drodze słowo czy dwa z najważniejszymi gośćmi.

— Nigdy w najśmielszych marzeniach.. — szepnęła Heidi przywerając do ramienia Manfreda. — Teraz to już pełnia szczęścia.

— To wielki człowiek — odparł Manfred, patrząc w ślad za odchodzącym Fihrerem. — Niewyobrażalnie wielki. Aż trudno uwierzyć, że jest zwykłym śmiertelnikiem.. a nie bogiem.

Sarah Bester jechała na rowerze główną ulicą Stellenbosch, wymijając nieliczne auta i machając z uśmiechem do wszystkich znajomych przechodniów. Na bagażniku za siodełkiem miała książki i zeszyty szkolne. Wiatr podwiewał jej spódnicę niemal do kolan, jedną ręką musiała przytrzymywać na głowie gimnazjalny kapelusik.

Tego ranka w jej klasie ogłoszono wyniki poprzedniego semestru i Sarah nie mogła się doczekać, kiedy powie ciotce Trudi, że podciągnęła się z piątego miejsca na drugie. Dyrektorka napisała na jej pracy semestralnej: „Dobra robota, Sarah, tak trzymać”. To był ostatni rok w szkole. W październiku skończy siedemnaście lat, a miesiąc później podejdzie do matury.

Manie będzie z niej taki dumny. To jego słowa zachęty sprawiły, że została jedną z najlepszych uczennic w szkole. Pedalując w cieniu wielkich dębów zaczęła teraz o nim myśleć, oddając się marzeniom na jawie. Tak długo go nie było, lecz już wkrótce wróci do domu. Wtedy mu powie i znów wszystko będzie dobrze. Nie będzie już musiała się zamartwiać i przeplakiwać całych nocy. Manie wróci silny, dobry, kochany — i znów wszystko będzie dobrze.

Wyobraziła sobie, że zostaje jego żoną, gotuje mu śniadanie, ceruje skarpetki, idzie u jego boku do kościoła, nazywa go *Meneer*, tak jak ciotka Trudi wuja Trompa, co noc, śpi z nim w jednym łóżku, co ranka budzi się i widzi na poduszce obok siebie jego piękną jasnowłosą głowę — i poczuła, że nie pragnie niczego więcej w świecie.

— Manie... — szepnęła. — Zawsze i tylko Manie. On jest wszystkim, co kiedykolwiek miałam, do czego kiedykolwiek tęskniłam.

Koło furtki przed domem zobaczyła listonosza.

- Ma pan co dla nas, panie Grobler? — zawołała zeskakując z roweru.

Listonosz uśmiechnął się i wyjął ze skórzanej torby beżową kopertę.

— Telegram — powiedział ważnym tonem. Telegram z Europy. Ale nie do ciebie, moja mała, tylko do twojej ciotki.

— Ja pokwituję!

Podpisała się szybko w książce doręczeń, oparła rower o furtkę i wbiegła po dwa schodki naraz na werandę.

— Ciociu, ciociu, telegram! — zawołała podniecona. — Gdzie jesteś, ciociu?

Poczuła kuchenne zapachy i już wiedziała, gdzie jej szukać.

— Telegram!

Wpadła jak bomba do kuchni. Ciotka Trudi stała pochylona nad długim stołem i wałkowała ciasto. Łokcie miała ubielone mąką, kosmyki siwiejących jasnych włosów opadały jej na oczy i lachotały w nos, toteż prostując się odrzuciła je dmuchnięciem na bok. Żar bijący od kuchni zaczerwienił jej policzki i pokrył je kropelkami potu, w powietrzu unosił się zapach bulgocących na ogniu dżemów z fig i brzoskwiń.

— Wielki Boże, a co to za rwetes! Musisz nauczyć się zachowywać jak dama, Sarie, a nie jak małe dziecko...

— Telegram! Patrz, ciociu, prawdziwy telegram! Pierwszy telegram, jaki dostaliśmy w życiu!

Nawet na ciotce Trudi zrobiło to wrażenie. Sięgnęła po depeszę, lecz cofnęła rękę.

— Jestem cała wybrudzona mąką. Ty otwórz, Sarie.

Sarah rozdarła kopertę.

— Mam czytać na głos? — spytała.

— Tak, czytaj. Od kogo to?

— Od wuja Trompa — podpisał: *Twój pozostający z szacunkiem małżonek Tromp Bierman*.

— Taki stary, a taki głupi! Zapłacił za sześć zupełnie niepotrzebnych słów — mruknęła gderliwie ciotka Trudi. — Czytaj, co tam napisane.

— *Muszę cię zawiadomić, że w dniu dzisiejszym Manfred...* — Głos zamarł Sarah w gardle, jej rozradowana twarz skurczyła się i zmarszczyła. W milczeniu wpatrywała się niepojmującym spojrzeniem w trzymaną w ręku kartkę.

— No dalej, dziecko ponagliła ją ciotka. — Czytaj dalej.

— *Muszę cię zawiadomić* — powtórzyła Sarah ledwie słyszalnym szeptem — *że w dniu*

dzisiejszym Manfred poślubił Heidi Kramer, Niemkę z Berlina. Ma zamiar dokończyć studiów na tutejszym uniwersytecie i nie wróci do domu ze mną. Jestem pewien, że tak jak ja życzysz mu szczęścia. Twój pozostający z szacunkiem małżonek Tromp Bierman.

Sarah podniosła wzrok znad telegramu i obie z ciotką popatrzyły sobie w oczy.

— To niemożliwe... — sapnęła ciotka. — Nie nasz Manfred. On by nigdy... on nie mógłby nas porzucić.

Dopiero teraz dostrzegła minę Sarah. Twarz dziewczyny poszarzała jak pokryta warstwą popiołu z paleniska.

— Och, moje biedactwo...

Na pulchnej twarzy ciotki Trudi pojawił się wyraz współczucia, bólu i zrozumienia. Wyciągnęła ręce do Sarah, by objąć ją i przytulić, ale dziewczyna upuściła telegram na podłogę, okręciła się na pięcie i wybiegła z kuchni.

Chwyciła oparty o furtkę rower, wskoczyła na siodełko i stanęła na pedałach żeby jechać szybciej, przebierając nogami w rytm walenia serca. Kapelusik spadł jej z głowy i przytrzymywany gumką podskakiwał na plecach. Z szeroko otwartymi suchymi oczyma, z twarzą nadal trupio bladą po przeżytych szoku wypadła z wioski i skręciwszy za posiadłością starego Lanzeraca instynktownie skierowała się w stronę gór.

Kiedy ścieżka stała się zbyt wyboista i stroma, zostawiła rower i pobiegła dalej pieszo, przez sosnowy las, aż dotarła do szczytu pierwszego wzgórza. Tam skręciła między drzewa i rzuciła się jak długa na łożę z wilgotnego igliwia, dokładnie w miejscu, gdzie ofiarowała Manfredowi swą miłość, ciało i duszę.

Odzyskawszy oddech po długim biegu pod górę ucichła i zastygła w bezruchu. Nie płakała, nie szlochała, zamknęła tylko oczy i wtuliła twarz w zagięcie ręki. Kiedy popołudnie zaczęło chylić się ku wieczorowi, wiatr zmienił kierunek na północno zachodni i nad szczytami gór, gdzie leżała, zaczęły się gromadzić ciemne chmury. O zmierzchu rozpadało się, noc nastąpiła wcześniej niż zwykle. Zrobiło się lodowato zimno, wiatr zawodził między sosnami, strząsając z gałęzi ogromne krople deszczu, aż zupełnie przemoczył jej szkolny mundurek. Nie otworzyła oczu, nie podniosła głowy, tylko leżała drżąc jak zagubiony szczeniak, a jej serce krzyczało W ciemności.

„Manfredzie, och, Manfredzie! Gdzie jesteś? Dokąd odszedłeś? Dlaczego musiałam cię stracić”

Tuż przed świtem jedna z grup poszukiwawczych które przez całą noc przetrząsały zbocza gór, natknęła się na nią i zniosła ją do wioski.

— Zapalenie płuc, *Meyrou* Biernian — orzekł lekarz wezwany przez ciotkę Trudi po raz drugi następnej nocy. — Będzie pani musiała walczyć o jej życie... Jej samej chyba na mm nie zależy.

Ciotka Trudi nie pozwoliła zabrać Sarah do nowo zbudowanego szpitala. Umieściła ją w” małej sypialni od tyłu i nie odstępowała jej dzień i noc, sama ją pielęgnując, obmywając całe jej spocone ciało, gdy gorączka rosła, trzymając ją za rozpalone ręce, kiedy nastąpił kryzys. Nie odchodziła od niej na krok nawet wtedy, gdy nastąpiło przesilenie i Sarah po raz pierwszy zasnęła spokojniej, blada i wymizerwafla, ze sterczącymi kośćmi policzkowymi, z zapadniętymi głęboko, ciemno podkrążonymi oczyma.

Szóstego dnia, kiedy dziewczyna mogła już usiąść i bez pomocy ciotki wypić trochę zupy, przyszedł z ostatnią wizytą lekarz i za zamkniętymi drzwiami sypialni dokładnie zbadał chorą. Potem odszukał w kuchni ciotkę Trudi i przez dłuższą chwilę rozmawiał z nią poważnie. Po jego wyjściu ciotka wróciła do sypialni Sarah i usiadła przy jej łóżku, w tym samym fotelu, w którym spędziła

przy niej tyle długich bezsennych nocy.

— Sarah...

Ujęła wychudłą dłoń dziewczyny. Dłoń była bardzo lekka, krucha i zimna.

— Kiedy ostatni raz miałaś period? — spytała cicho.

Kilka długich sekund Sarah patrzyła na nią bez słowa, po czym po raz pierwszy zaczęła płakać. Jej podkrążone, zaszczute oczy wezbrały wielkimi, niemal lepkiemi łzami, wychudłymi ramionami wstrząsnął bezgłośny szloch.

— Och, moje maleństwo! — Ciotka Trudi objęła ją i przytuliła do swej miękkiej jak piernat piersi. — Moje biedactwo... Kto ci to zrobił? — Poglaskała po głowie łkającą bezgłośnie Sarah. — Musisz mi powiedzieć...

Ręka zamarła jej nagle w pół ruchu. W przeblýsku domyślności zawołała:

— Manie! To był Manie!

Nie było to pytanie, ale dojmujący szloch, który wyrwał się z udręczonej piersi Sarah, natychmiast dostarczył potwierdzenia.

— Och, Sarie... Och, moja biedna, mała Sarie!

Ciotka Trudi mimowolnie spojrziała na fotografię stojącą na nocnym stoliku przy łó¿ku chorej. Było to studyjne zdjęcie Manfreda De La Reya w spodenkach i koszulce boksera. Stał w klasycznej pozie pięściarskiej ze srebrnym pasem mistrza na biodrach. U spodu widać było dedykację: „Małej Sarie starszy brat Manie”.

— To straszne! — jęknęła. — Co my teraz zrobimy?

Następnego popołudnia ciotka Trudi szpikowała właśnie słoniną udziec sarni, dar jednego z parafian, gdy do kuchni weszła bosą Sarah.

— Nie powinnaś jeszcze wstawać z łó¿ka, Sarie — skarciła ją surowo i umilkła. Sarah nawet na nią nie spojrziała.

Była tak chuda, że cienka biała koszula nocna wisiała na niej jak na kiju, i tak osłabiona, że musiała się mocno wesprzeć na oparciu krzesła, by nie upaść. Po chwili jednak zebrała się w sobie, niczym lunatyczka podeszła do kuchennego pieca i zdjęła pogrzebaczem kilka czarnych, żeliwnych fajerek. Spod płyty zamigotały pomarańczowe płomienie. Dopiero wtedy ciotka Trudi zauważyła, że Sarah trzyma w ręku wyjęte z ramki zdjęcie Manfreda. Podniosła je do oczu, raz jeszcze na nie popatrzyła i i wrzuciła do paleniska.

Prostokątny kartonik natychmiast zwinął się i szerniał. Uwieczniona nim podobizna zbiakła, poszarzała upiornie i zniknęła w płomieniach. Sarah zaczęła dźgać pogrzebaczem miękkie płatek popiołu, w który zmieniła się fotografia, rozbiła go na proch i dźgała płomienie jeszcze długo po tym, jak nie pozostał po nim nawet ślad. Potem zasunęła z powrotem fajerki, odłożyła pogrzebacz, zachwiała się na nogach i byłaby się przewróciła, gdyby ciotka Trudi nie chwyciła jej w pól i nie usadziła na kuchennym krześle.

— Nienawidzę go — szepnęła Sarah po kilku długich minutach wpatrywania się w piec.

Ciotka pochyliła głowę nad udźcem, nie wiedząc, gdzie podziać oczy.

— Musimy porozmawiać, Sarie — powiedziała łagodnie. — Trzeba postanowić co zrobimy.

— Ja wiem, co mam zrobić — odparła dziewczyna tonem, od którego ciotce Trudi ciarki przebiegły po plecach. Nie był to już głos uroczego, słodkiego dziecka. Mówiła do niej dojrzała kobieta, twarda, zgorzkniała i zimna, zła na życie i świat za to, co ją spotkało.

Jedenaście dni później do Stellenbosch wrócił Roelf Stander i nie minęło sześć tygodni, gdy

Roelf i Sarah wzięli ślub w Holenderskim Kościele Reformowanym. Syn Sarah przyszedł na świat szesnastego marca tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku. Poród był trudny, bo dziecko było duże, a matka wąska w biodrach, a do tego wciąż jeszcze odczuwała skutki przebytego zapalenia płuc.

Roelfa wpuszczono do sali porodowej natychmiast po rozwiązaniu. Stał przy łóżeczku i pochylił się noworodkiem, na którego czerwonej, opuchniętej twarzy wyraźnie rysowały się niebieskawe żyłki.

— Nienawidzisz go, Roelf? — spytała ze swego łóżka Sarah. Włosy miała mokre od potu, twarz ściągniętą, oczy podkrążone z wyczerpania. Roelf milczał przez chwilę badając własne uczucia. Potem pokręcił powoli głową.

— Jest częścią ciebie — powiedział. — Nie mógłbym nienawidzić niczego, co twoje.

Wyciągnęła do niego rękę, a on podszedł do łóżka i ujął ją w obie dłonie.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Roelf. I ja będę ci dobrą żoną. Obiecuję ci to.

— Doskonale wiem, co masz zamiar powiedzieć, tatusiu. Słowo w słowo. — Matyllda Janina siedziała naprzeciwko Blaine'a w jego wykładanym boazerią ministerialnym gabinecie w gmachu parlamentu.

— Ach tak? No to chciałbym to od ciebie usłyszeć. Słowo w słowo.

— Po pierwsze — Matyllda Janina wyciągnęła palec wskazujący — masz zamiar powiedzieć, że Dawid Abrahams to wspinały młody człowiek, znakomity student prawa i wybitny sportowiec, zdobywca jednego z dwóch medali, które reprezentacja naszego kraju przywiozła z Olimpiady w Berlinie. Potem dodasz, że ma świetne maniery, jest miły i troskliwy, ma cudowne poczucie humoru, pięknie tańczy, że na swój sympatyczny sposób jest bardzo przystojny i że taki mąż mógłby uszczęśliwić każdą dziewczynę. W tym miejscu dodasz jednak „ale” i spojrzysz na mnie z powagą.

— Więc ja to wszystko miałem zamiar powiedzieć? — Blaine potrząsnął głową z podziwem. — No dobrze, teraz mówię „ale” i spoglądam na ciebie w powagę. Wyręcz mnie dalej, Matty.

— „Ale — powiesz z naciskiem — on jest Żydem”. Zauważysz ten nacisk w swoim głosie i popatrzysz na mnie już nie tylko poważnie, ale i znacząco.

— To wystawi na próbę moje zdolności mimiczne — poważnie i znacząco. Ale cóż tam, kontynuuj.

— Mój kochany papcio nie okaże się tak niezręczny, żeby szybko dodać: „Tylko me zrozum mnie źle, Matty. Wśród moich najlepszych przyjaciół jest wielu Żydów”. Niegdy nie pozwoliłbyś sobie na takie *faux-pas*, prawda?

— Nigdy. — Mimo całej powagi sytuacji i swego zaniepokojenia Blaine z trudem zapanował nad uśmiechem. Wobec szelmostwa tego ukochanego rudzielca był zawsze zupełnie bezradny. — Czegoś takiego po prostu nie mógłbym powiedzieć.

— Zamiast tego powiedziałbyś tak: „Ale mieszane małżeństwa są niełatwe, Matty. Małżeństwo to bardzo trudna sprawa i bez dodatkowego komplikowania go różnicami religii, zwyczajów, trybu życia”.

— Jakże to mądrze z mojej strony — skinął głową Blaine. — I co ty byś na to odpowiedziała?

— Ze od roku pobieram nauki u rabiego Jacobsa i pod koniec tego miesiąca zostanę Żydówką. Blaine drgnął.

— Nigdy do tej pory niczego przede mną nie ukrywałaś, Matty.

— Powiedziałaś o tym mamie.

— Ach tak...

Matylda Jamna uśmiechnęła się figlarnie, nadal próbując obrócić wszystko w zabawę. — Na to powiedziałabyś: „Ależ, Matty, przecież ty wciąż jeszcze jesteś dzieckiem!”

— A ty odparłabyś z dumą: „Niedługo skończę osiemnaście lat”.

— A ty nastroszyłabyś się i spytał: „Jakie on ma perspektywy?”

— A ty odpowiedziałabyś: „Pod koniec roku Dawid podejmie pracę w Courteney Mining and Finance z płacą dwóch tysięcy dolarów rocznie”.

— Skąd wiesz? — spytała zaskoczona. — Dawid nie mówił o tym nikomu oprócz mnie...

Urwała, uprzytomniwszy sobie, kto musiał mu o tym powiedzieć, i poruszyła się nieswojo w krześle. Choć starała się z tym nie zdradzić, stosunki łączące ojca z Centaine Courteney od dawna nie dawały jej spokoju.

— Kochasz go, Matty?

— Tak, tatku. Całym sercem.

— I jak znam życie, na pewno wydebiłaś już zgodę mamy... — Na przestrzeni lat zarówno Matylda Janina jak i Tara nabrały wielkiej wprawy w wygrywaniu rodziców przeciwko sobie.

Matylda Janina skinęła głową ze skruszoną miną. Blaine wyjął ze szkatułki stojącej na biurku ciemne cygaro i marszcząc w zamyśleniu czoło zabrał się do jego przycinania.

— Takiej decyzji nie można podejmować pochopnie, Matty.

— Ja nie podejmuję jej wcale pochopnie. Znam Dawida już ponad dwa lata.

— Zawsze liczyłem, że kiedyś zrobisz karierę...

— Właśnie chcę ją zrobić, tatku. Dla mnie kariera to uczynić Dawida szczęśliwym mężem i urodzić mu mnóstwo, mnóstwo dzieci.

Blaine zapalił cygaro i mruknął przez kłęby dymu:

— No cóż, w taki razie przyślij go tu do mnie. Muszę go ostrzec, co go czeka, gdyby nie dbał jak należy o moją małą córeczkę.

Matylda Janina jak strzała obiegła biurko, wskoczyła ojcu na kolana i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Jesteś najcudowniejszym ojcem, jakiego można sobie wymarzyć! — zawołała, niemal dusząc go w uścisku.

— Zwłaszcza wtedy, kiedy ci ustępuję... — wymamrotał Blaine precyzując trzeźwo jej komplement. — No dość już, puść, szyja mnie boli.

Shasa i Dawid polecili po państwa Abrahamsów do Windhoek „Smokiem”. Reszta rodziny Dawida i większość jego przyjaciół, w tym doktor Twentynan-Jones, przyjechała pociągiem. Razem z rodziną i przyjaciółmi Matyldy Janiny Macomess gości było tylu, że szczerlnie wypełnili wielką synagogę na przedmieściu Gardens.

Dawid bardzo chciał, żeby jego drużbą był Shasa, niestety jednak już samo nakłonienie ortodoksyjnego rabiego Jacobsa do udzielenia ślubu parze, w której panna młoda nawróciła się na judaizm wyraźnie nie tyle pod wpływem religijnego objawienia, co po to, by spełnić wymogi obrządku, wymagało sporo zachodu i zdolności dyplomatycznych; o przesznurowaniu goja w roli drużby nie było w ogóle co marzyć. Shasa musiał się zadowolić rolą trzymacza narożnego drążka baldachimu. Zrekompensował to sobie na przyjęciu wydanym przez Blaine'a w domu przy Newslands Ayenue wygłaszając przekomiczną mowę, w której obiektem wszystkich kpín i żartów był oczywiście Dawid.

Wesele dostarczyło Shasie okazji do kolejnego pogodzenia się z Tarą Malcomess. W ciągu tych

ponad dwóch lat, które upłynęły od Olimpiady w Berlinie, ich wzajemne stosunki przypominały to sielankę, to burzę, a zmiany te następowały tak szybko po sobie, że oboje nie zawsze wiedzieli, jak w danej chwili stoją sprawy między nimi.

Mieli talent do zajmowania dokładnie przeciwnych pozycji niemal w każdej sprawie. Choć ulubionym tematem ich sprzeczek była polityka, to istniało także wiele innych wiecznych kości niezgody, jak choćby położenie biednych i uciskanych w kraju, gdzie obie te klasy stanowiły znakomitą większość społeczeństwa.

Tara miała zwykle wiele do powiedzenia na temat znieczulicy rządzących klas uprzywilejowanych białych posiadaczy i niegodziwości systemu, pozwalającego młodemu człowiekowi, który poza urodą, bogactwem i wyjątkowo pobłażliwą matką nie wyróżniał się niczym, ale to absolutnie niczym szczególnym, mieć wśród swych zabawek piętnaście koni do polo, ciemnozielonego jaguara z montowanym na indywidualne zamówienie trzyipółlitrowym silnikiem i dwupłatowego de hayillanda, podczas gdy tysiące czarnych dzieci miały tylko wzdęte od niedożywienia brzuchy i pałkowate, zdeformowane krzywicą nogi.

Na tym ich talent do wynajdywania spornych tematów wcale się nie kończył. Tara miała ściśle sprecyzowane zdanie o, jak to mówiła, „tak zwanych sportowcach”, którzy uzbrojeni w potężne strzelby wyprawiali się w *veld*, by kłaść pokotem bezbronne i piękne zwierzęta; nie mogła znieść wyraźnego zadowolenia, z jakim niektórzy bezmyślni młodzi ludzie obserwowali gromadzące się powoli, lecz nieubłagane chmury wojny, widząc w nich tylko zapowiedź ekscytujących czasów i przeżyć; miała w pogardzie każdego, kto zadowalał się gorszą oceną na dyplomie, kiedy było zupełnie jasne, że gdyby się odrobinę bardziej przyłożył, mógłby ukończyć niesłychanie kosztowne studia inżynierskie, niedostępne dla dziesiątków tysięcy innych, z dyplomem *cum laude*.

Shasa ze swej strony uważał, że to świętokradztwo, żeby dziewczyna o urodzie i kształtach bogini próbowała zatuszować te dary i robiła co mogła, by ją brano za córę proletariusza. Nie mógł się pogodzić z tym, że ta sama młoda kobieta spędza większość swego czasu albo na kuciu, albo w slumsach i miastach baraków, które jak grzyby po deszczu wyrastały na równinach Cape, wydając zasmarkanym murzyniátkom darmową zupę, gotowaną za pieniądze zebrane przez nią samą na rogach ulic w żebraczą puszkę.

Nie lubił zwłaszcza studentów medycyny i świeżo upieczonych lekarzy, jeden w drugiego bolszewików, z którymi spędzała tyle czasu w organizowanych przez zapaleńców darmowych szpitalach, pracując jako niewykwalifikowana i nie opłacana pomoc medyczna. Pielęgnowała tam brudnych czarno- i brązowoskórych pacjentów cierpiących na silnie zaraźliwe schorzenia: gruźlicę, syfilis, dezynterię, świerzb, wtórne skutki chronicznego alkoholizmu i wszelkie inne niepiękne przypadłości wynikające z biedy i ciemnoty.

— Święty Franciszek z Asyżu miał szczęście, że nie musiał współzawodniczyć z tobą. Przy tobie uznano by go za wodza Hunów, Attylę.

Jej przyjaciele nudzili go swą śmiertelną powagą i prostolinijnością, drażnili lewackimi brodami i ostentacyjnie skromnym ubiorem.

— Oni po prostu nie mają stylu ani klasy, Taro. Jak ty w ogóle możesz iść z kimś takim ulicą?

— Ich styl to styl jutra, a klasa to klasa całej ludzkości.

— Na miłość boską, już nawet zaczynasz mówić ich językiem!

Wszystkie te różnice okazywały się jednak niewielkie i niemal bez znaczenia w porównaniu z diametralną sprzecznością ich podejścia do zagadnienia czystości i dziewictwa Tary Malcomess.

— Na Boga, Taro, królowa Wiktorija umarła trzydzieści siedem lat temu. Mamy dwudziesty wiek!

— Dziękuję panu za lekcję historii, panie Courteney, ale jeśli jeszcze raz spróbuje pan wsadzić mi rękę w spodnie, to połamię ją panu w trzech różnych miejscach, najlepiej w stawach.

— To, co tam masz, to znowu nie takie mecyje. Jest całe mnóstwo młodych dam...

— „Dama” to w tym wypadku zwykły eufemizm, ale mniejsza z tym. Proponuję tylko, żebyś w przyszłości ograniczył swe zainteresowanie właśnie do owych „dam”, a mnie zostawił w spokoju.

— To pierwsze sensowne słowa, jakie usłyszałem do ciebie tego wieczoru — odparł Shasa z chłodną furią frustrata i uruchomił sportowego jaguara. Ryk spalin i sprzęzarek doładowujących przetoczył się echem przez sosnowy las i wystraszył pozostałe pary siedzące po ciemku w samochodach wokół pseudoantycznej świątyni-pomnika, wzniesionego ku czci Cecila Johna Rhodesa.

Z piskiem opon zjechali serpentynami górskiej drogi, po czym Shasa zatrzymał wielki sportowy wóz przed podwójnymi mahoniowymi drzwiami domu Malcomessów tak gwałtownie, że rozległ się głośny zgrzyt żwiru.

— Nie fatyguj się, żeby otworzyć mi drzwiczki — rzuciła lodowatym tonem Tara i zatrzasnęła je z takim impetem, że Shasa aż drgnął.

Od tamtej pory upłynęły dwa miesiące, lecz w czasie tym nie było dnia, żeby Shasa o niej nie myślał. Jej obraz stawał mu ni z tego, ni z owego przed oczyma w najmniej spodziewanych chwilach: kiedy spływał potem w kominie wielkiego wyrobiska kopalni H'ani, kiedy ślęczał z Abem Abrahamsem w Windhoek nad jakimś kontraktem, kiedy przyglądał się, jak wirujące nad głową zraszacze systemu nawadniającego zmieniały zamulone, brązowe wody rzeki Oranje w płachty żywego srebra.

Próbował zatrzeć jej wspomnienie latając tak nisko nad pustynią, że koła de hayillanda wzbijały w powietrze kłęby pyłu, albo wykonując w zapamiętaniu niezwykle skomplikowane ewolucje, korkociągi, becзки i świece, ale gdy tylko wylądował, przed oczyma znów stawała mu Tara. Zapuszczał się w pustynne ostępy za wzgórzami H'ani, by zapolować na rudogrzywe lwy, oddawał się bez reszty załatwianiu wszelakich spraw Courteney Finance and Mining, ucząc się pod okiem matki, obserwując jej metody działania, przyswajając sobie jej sposób rozumowania, aż w końcu nabrała do niego dość zaufania, by powierzyć mu nadzór nad kilkoma mniejszymi przedsiębiorstwami należącymi do firmy.

W Polo grał z niemal gniewnym zapamiętaniem, dając z siebie wszystko i wyciskając siódme poty z dosiadanych zwierząt; z takim samym zacięciem uganiał się za kobietami, uwodząc ich zastraszające mrowie — młodych i nie takich już młodych, pięknych i mocno przeciętnych, panien i mężatek, doświadczonych i nie, lecz kiedy znów spotykał Tarę Malcomess ogarniało go przedziwne, dręczące uczucie, że w czasie który upłynął od ich ostatniego spotkania, żył tylko pozornie i połowicznie.

Z okazji ślubu siostry, na którym miała wystąpić w roli druhny, Tara odłożyła na bok ostentacyjnie prosty i skromny strój lewicującej intelektualistki. Wybrała suknię z szarego jedwabiu z błękitnym połyskiem, której kolor, choć bardzo piękny, nie mógł się jednak równać z barwą jej stalowoszarych oczu. Zmieniła też fryzurę. Obcięła krótko włosy, tak że gęste, naturalne loki tworzyły na jej głowie coś w rodzaju eleganckiej czapeczki, odsłaniając całą długą szyję, co w jakiś dziwny sposób podkreślało jej wzrost, smukłość sylwetki i doskonałość proporcji ciała.

Kiedy spojrzeli na siebie przez całą długość zatłoczonego namiotu, Shasa poczuł się tak, jakby powietrze nad tłumem gości przeszła błyskawica. Przez ułamek sekundy był zupełnie pewien, że tęskniła za nim nie mniej niż on za nią i myślała o nim tak często, jak on o niej. Lecz już w następnej chwili skinęła mu uprzejmie głową i całą uwagę skupiła na siedzącym obok niej mężczyźnie.

Shasa widział go już kiedyś. Nazywał się Hubert Langley i był jednym z kompanów Tary z tej ich brygady krwawiących serc. Gdy większość mężczyzn nałożyła na tę uroczystą okazję zakieci, Hubert Langley wystąpił w znoszonej tweedowej marynarce ze skórzanymi łatami na łokciach. Był o dwa centymetry niższy od Tary, nosił okulary w stalowej oprawce, miał jasne włosy przedwcześnie rzednące nad czołem. I oczywiście brodę, barwą i wyglądem przywodzącą na myśl upierzenie jednodniowego kurczęcia. Wykładał socjologię na uniwersytecie w Cape.

— Huey jest aktywnym członkiem Partii Komunistycznej — zwierzyła mu się kiedyś Tara. — Czy to nie fantastyczne? — W jej głosie słychać było bezmierny zachwyt i podziw. — Jest absolutnie oddany sprawie. To niezwykle błyskotliwy umysł.

— Można by go nazwać skrzącym się klejnotem w niechlujnej i paskudnej oprawie — odparł, inicjując w ten sposób sprzeczkę, która doprowadziła do którejś tam z ich cyklicznych rozłąk.

Patrzył teraz jak Huey kładzie swoje piegowate łapsko na nieskazitelnym ramieniu Tary, a kiedy musnął policzek Tary szczeciniastymi wąsami i podzielił się z nią szeptem jakąś bezcenną myślą-perłą ze skarbnicy swego błyskotliwego umysłu, Shasa poczuł, że nawet śmierć przez włóczenie końmi i ćwiartowanie byłaby za lekka dla tego typu.

Powoli precyzyjnie się przez tłum, żeby mu przeszkodzić, a Tara przywitała go chłodno, idealnie skrywając fakt, że serce tłucze jej się w piersi jak oszalałe. Aż do momentu, kiedy zaczął wygłaszać swą przemowę, taki swobodny i pewny siebie, zupełnie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jej go brakowało. Miał takie poczucie humoru!

I był tak obłędnie przystojny!

„Mimo to już nigdy więcej nie wsiądziemy na tę samą starą karuzelę” — postanowiła twardo i zatrzasnęła bramy swych murów obronnych, patrząc jak przystawia sobie krzesło i uśmiecha się do niej z me skrywanym zachwytem, któremu tak trudno było się oprzeć. Tak wiele ich łączyło, wspólni przyjaciele, wspomnienia wspólne odwiedzanych miejsc, wspólne szaleństwa i kłótnie, to samo poczucie humoru. Nikt nie potrafił jej rozbawić tak jak on, wiedziała jednak doskonale, że jeśli raz mu się to uda, będzie po wszystkim. Toteż stawiała twardy opór, lecz Shasa zręcznie rozbijał jej obronne fortyfikacje, robiąc w nich wyłomy równie szybko, jak ona je wznosiła, aż w końcu musiała skapitulować. Wybuchnęła śmiechem, którego nie była w stanie dłużej powstrzymać, a on natychmiast poszedł za ciosem i manewrem oskrzydającym odciął ją od wpływu Hueya.

Matylda Janina wyłowiła z tłumy starszą siostrę i rzuciła jej z balkoniku swą wiązaną ślubną. Tara nawet nie drgnęła, ale Shasa chwycił kwiaty w powietrzu i podał je z głębokim ukłonem. Tłum zareagował na to brawami i wiwatami, weselni goście popatrzyli po sobie znacząco.

Natychmiast po odjeździe młodej pary, ciągnącej za starym morrisem Dawida pęki starych butów i blaszanych puszek, Shasa zręcznie wyprowadził Tarę z namiotu i porwał ją do swego jaguara. Nie popełnił tego błędu, by zabrać ją na górę do pomnika Rhodesa, miejsca ich ostatniej historycznej bitwy. Zamiast tego wywiózł ją nad zatokę Hout i zaparkował samochód na krawędzi pionowych urwisk. Kiedy ognista kula słońca pogrążyła się z niemą eksplozją oranżu, czerwieni i złota w ciemnozielonych wodach Atlantyku, rzucili się na siebie w gorączce pojednania.

Niewidoczna, lecz wyraźna granica, przebiegająca dokładnie w pasie dzieliła ciało Tary na

dwie strefy. Gdy pragnęła okazać maksimum dobrej woli, w chwilach takich jak ta, górna strefa — po chwili manifestowania należytego oporu — stawała się dla niego dostępna. Natomiast wstęp na obszar poniżej tej granicy pozostawał kategorycznie zakazany, co sprawiało, że kiedy o świcie zegnali się pocałunkiem przed drzwiami domu Tary, oboje drżeli z nerwowego napięcia.

To ostatnie pogodzenie się trwało cztery miesiące, co było ich nowym rekordem. Po zestawieniu bilansu uczuć, w którym wszystkie zalety stanu kawalerskiego nie były w stanie przewiżyć jednego jedyne go ważkiego argumentu — „Nie mogę bez niej żyć”, Shasa oficjalnie oświadczył się Tarze Malcomess, lecz jej odpowiedź była zupełnie druzgocąca.

— Nie bądź głupi, Shaso. Poza swego rodzaju zwierzęcym, wulgarnym pociąganiem, jaki do siebie czujemy, me łączy nas absolutnie nic.

— Przecież to wierutne brednie — zaprotestował. — Pochodzimy z tego samego środowiska, mówimy tym samym językiem, śmiejemy się z tych samych żartów...

— Ale ciebie nic w życiu nie obchodzi.

— Wiesz, że mam zamiar kandydować do parlamentu.

— Chodzi ci tylko o zrobienie kariery. To nie ma nic wspólnego z potrzebą serca, nie wynika z pragnienia niesienia pomocy biednym, potrzebującym i bezradnym.

— Właśnie że biedni mnie obchodzą...

— Obchodzi cię tylko Shasa Courteney, tylko i wyłącznie. — W jej głosie zgrzytnął ostry ton, niby szczęk dobywanego z pochwy sztyletu. — Dla ciebie biedakiem jest ten, kto może sobie pozwolić na utrzymanie tylko pięciu koni do polo.

— Twój tatko miał ostatnio w swojej ujeżdżalni piętnaście kuców — zauważył zgryźliwie.

— Nie mieszaj do tego mojego ojca! — zawołała ze złością. — On bardzo wiele zrobił dla czarnych i brązowych mieszkańców tego kraju...

Shasa przerwał jej uniesieniem obu rąk.

— Dajże już spokój! Przecież wiesz doskonale, że jestem najzagorzalszym wielbicielem Blaine'a Malcomessa. Nie miałem najmniejszego zamiaru go obrażać. Po prostu chcę, żebyś wyszła za mnie za mąż.

— To bez sensu, Shaso. Wśród moich niewzruszonych przekonań jest i takie, że bogactwa tego kraju powinny zostać redystrybuowane, powinno się je odebrać tym wszystkim Courteneyom i Oppenheimerom i przekazać...

— Teraz mówi do mnie nie Tara Malcomess, ale Huey Langley. Niech ten twój czerwony kumpel wymyśli lepiej sposób, jak tworzyć nowe bogactwa, a nie jak rozdawać stare. Jeśli zabierzecie wszystko Courteneyom i Oppenheimerom i podzielicie równo, to starczy akurat na jeden porządny posiłek na głowę, a dwadzieścia cztery godziny później znów wszyscy będą głodować — w tym także Courteneyowie i Oppenheimerowie.

— Tu cię mam! — zawołała triumfalnie. — Kiedy głodują wszyscy oprócz ciebie, masz to głęboko w nosie.

Zatkała go ta niesprawiedliwość i już zbierał się do potężnego przeciwnatarcia, lecz w samą porę dostrzegł ten stalowoszary bojwy błysk w jej oku i w ostatniej chwili się zreflektował.

— Gdybyśmy się pobrali — powiedział, starając się nadać swemu głosowi ton pokornego błagania — mogłabyś wywierać na mnie wpływ, przekonać do swoich poglądów...

Tara szykowała się już do jednego z tych ich cudownie upajających słownych pojedynków, jego rejterada wyraźnie zbiła ją z tropu.

— Ty szczywany mały burżu! Walczysz nieuczciwie!

— Ja wcale nie chcę z tobą walczyć. Powiedziałbym nawet, że wręcz przeciwnie. To, co chciałbym z tobą robić, ma nic wspólnego z walką.

— To także mam ci za złe — odparła, śmiejąc się wbrew samej sobie. — Ty myślisz tylko tym, co nosisz w spodniach.

— Wciąż nie dałaś mi odpowiedzi. Wyjdiesz za mnie?

— Na jutro rano muszę przygotować opracowanie, a dziś wieczorem mam od szóstej dyżur w klinice. Odwieź mnie do domu.

— Tak czy nie?

— Może... Ale dopiero wtedy, gdy poważnie zmienisz swe podejście do problemów społecznych i na pewno nie wcześniej, niż skończę studia.

— Przecież do obrony masz jeszcze całe dwa lata!

— Osiemnaście miesięcy — sprostowała. — A i tak nie jest to żadna obietnica, tylko jedno wielkie mgliste „może”.

— Nie wiem, czy będę w stanie tak długo czekać.

— Do widzenia, Shaso Courteney.

Rekordowy okres pogodzenia me przedłużył się ponad te cztery miesiące, bo trzy dni później Shasa odebrał telefon. Brał właśnie udział w naradzie matki z nowym specjalistą od wyrobu win, którego Centaine sprowadziła z Francji do Weltevreden. Omawiali projekt nalepek na butelki ostatniego rocznika cabernet sauyignon, gdy do gabinetu wszedł jeden z sekretarzy.

— Telefon do pana.

— Teraz nie mogę. Proszę przyjąć wiadomość i powiedzieć, że zadzwonię później.

Shasa nawet nie podniósł oczu znad projektów nalepek, którymi usłane było biurko Centaine.

— To panienska Tara, paniczu. Twierdzi, że sprawa jest bardzo pilna.

Shasa z zakłopotaniem zerknął na matkę. Jedna z jej niezłomnych zasad głosiła, że interesy mają bezwzględne pierwszeństwo i nie należy ich w żaden sposób łączyć z zajęciami sportowymi czy towarzyskimi. Tym razem jednak skinęła przyzwalająco głową.

— To potrwa tylko minutę.

Wyszedł spiesznym krokiem, lecz już po kilku sekundach stanął z powrotem w drzwiach gabinetu.

— Wielki Boże, co się stało? — spytała Centaine na widok wyrazu jego twarzy i zerwała się z za biurka.

— Tara — wybełkotał. — Tara...

— Na litość boską, co Tara?!

— Została aresztowana.

45

W grudniu roku tysiąc osiemset trzydziestego ósmego nad jednym z dopływów rzeki Buffalo zuluski król Dingaan rzucił zastępy swoich wojowników uzbrojonych w dzidy i tarcze ze skór przeciwko taborowi *yoortrekkerów*, przodków Afrykanerów. Koła wozów spięto grubymi łańcuchami, wszystkie przerwy i szczeliny wypełniono gałęziami kolczastych krzewów. Na tak przygotowanej barykadzie stanęli *trekkerzy* ze swymi łaadowanymi od przodu długolufymi karabinami, wszystko weterani takich walk, nieustraszeni i waleczni, najlepsi strzelcy świata.

Położyli pokotem hordy Zulusów, aż rzeka wypełniła się trupami, a woda nabrała koloru

ciemnego wina, tak że do dopływu tego już na zawsze przylgnęła nazwa Krwawej Rzeki.

Tego jednego dnia potężne państwo Zulusów legło w gruzach, a przywódcy *yoortrekkerów* stanęli z odkrytymi głowami na poboju i złożyli Bogu ślubowanie, że w rocznicę tego zwycięstwa po wiek wieków odprawiać będą uroczyste nabożeństwo dziękczynne.

Z biegiem czasu dzień ten nabierał coraz większego znaczenia i wkrótce stał się drugim co do ważności świętem wyznających kalwinizm Afrykanerów, zaraz po narodzinach Chrystusa. Był to dzień uroczystego czczenia ich narodowych aspiracji, dzień pamięci narodowej, dzień przypomnienia bohaterskich czynów i zasług przodków.

Nic więc dziwnego, że setna rocznica tej bitwy miała dla Afrykanerów szczególne znaczenie. W czasie trwających wiele dni niezwykle uroczystych obchodów przywódca Partii Narodowej oświadczył: „Musimy dołożyć wszelkich starań, by Afryka Południowa była dla białych. To hańba, że biali ludzie są zmuszeni żyć i pracować razem z przedstawicielami podlejszych ras. Kolorowa krew to zła krew. Musimy się jej strzec i bronić się przed nią. Jeśli cywilizacja białych ma się uratować, potrzebne nam jest następne wielkie zwycięstwo”.

W ciągu następnych miesięcy Partia Narodowa doktora Malana złożyła w parlamencie projekty kilku ustaw dyskryminacyjnych.

Dotyczyły one różnych dziedzin życia, poczynając od wprowadzenia zakazu zawierania mieszanych małżeństw, przez ustanowienie fizycznej segregacji białych i kolorowych — Murzynów, Mulatów i Azjatów — a kończąc na odebraniu praw wyborczych wszystkim kolorowym, którzy je mieli, przy jednoczesnym wprowadzeniu zakazu przyznawania go tym, którzy dotychczas byli go pozbawieni. Niemniej aż do połowy roku trzydziestego dziewiątego Hertzog i Smuts z powodzeniem przeciwstawiali się przyjęciu tych propozycji.

Prawo południowoafrykańskie rozróżniało kilka grup rasowych, a wśród nich „kolorowych tubyiców Cape i innych mieszaińców”.

Określenie to nie odnosiło się, jak można by przypuszczać, do potomków białych osadników spłodzonych w kobietami z miejscowych plemion, lecz do członków wymierających plemion Khoi Hotentotów, Buszmenów i Damarów oraz potomków azjatyckich niewolników, którzy przybyli niegdyś do Kolonii Przylądka Dobrej Nadziei w ładowniach statków Kompanii Wschodnioindyjskiej.

Byli to ludzie drobnej budowy, o jasnej karnacji, lekko skośnych oczach i delikatnie orientalnych rysach twarzy. Weseli, bystrzy i inteligentni, uwielbiający pokazy, korowody i muzykę, potrafili zrećznie, chętnie i wydajnie pracować, stając się pożytecznymi członkami złożonej społeczności. Po części chrześcijanie, po części muzułmanie od setek lat ulegali wpływom zachodnioeuropejskiej cywilizacji, odczasów niewolnictwa żyli w przyjaznej symbiozie z białymi.

Największe skupiska członków tej grupy występowały w prowincji Cape, a ich sytuacja była znacznie lepsza niż pozostałych kolorowych. Mieli prawo głosu — choć sporządzano dla nich odrębne spisy wyborcze — a niektórzy, rzemieślnicy, drobni kupcy i handlarze, prześcignęli poziomem życia i zasięgiem wpływów swych białych sąsiadów. Jednak większość z nich najmowała się do służby po domach lub do zwykłej pracy fizycznej i żyła tuż powyżej lub na samej granicy ubóstwa. I właśnie ci ludzie stali się teraz celem ataków doktora Daniela Malana, próbującego ustanowić ścisłą segregację rasową zarówno w Cape, jak i we wszystkich innych najdalszych zakątkach kraju.

Hertzog i Smuts doskonale zdawali sobie sprawę, że wiele popierających ich osób po cichu

sympatyzuje z nacjonalistami i że twarde przeciwstawienie się ich propozycjom może z łatwością obalić kruchą koalicję rządową. Z wyraźną niechęcią wysunęli zatem własną kontrpropozycję uwarunkowania prawa głosu koniecznością zamieszkiwania w miejscu głosowania. Rozwiązanie to w minimalnym stopniu zakłóciłoby delikatną równowagę społeczną, sankcjonując jedynie istniejącą sytuację, a jednocześnie powinno było zadowolić członków ich partii i odebrać argumenty nacjonalistycznej opozycji.

— Celem naszym jest utrwalenie istniejącego stanu rzeczy — wyjaśnił generał Smuts. Tydzień po tym wyjaśnieniu na Greenmarket Square w centrum Cape Town zebrał się spokojny tłum kolorowych mieszkańców miasta, wspieranych przez wielu białych liberałów, by w pokojowej manifestacji zaprotestować przeciwko projektowi ustawy.

Inne organizacje, takie jak Komunistyczna Partia Afryki Południowej, Afrykański Kongres Narodowy, Trockistowska Liga Wyzwolenia Narodowego i Organizacja Ludów Afryki zwąchały w powietrzu krew i ich członkowie błyskawicznie powiększyli szeregi demonstrantów. W pierwszym rzędzie, tuż przed pospiesznie wzniesioną trybuną dla mówców, stała Tara Malcomess, zwracając na siebie uwagę lśniąca burzą kasztanowych włosów i rozpalonym słusznym gniewem spojrzeniem stalowoszarych oczu. Obok niej, choć nieco z tyłu, stał Hubert Langley w otoczeniu grupki studentów socjologii z uniwersytetu. Wszyscy utkwili wzrok w mówcy, zachwyceni i oczarowani.

— Ten facet jest znakomity — szepnął Hubert. — Dziwię się, że nigdy do tej pory o nim nie słyszeliśmy.

— On jest z Transwalu — wyjaśnił jeden ze studentów nachylając się ku niemu. — To jeden z przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego w Witwatersrandzie.

Hubert skinął głową.

Wiesz, jak się nazywa?

— Gama... Mojżesz Gama. To imię bardzo do niego pasuje. On też chce wyprowadzić swój lud z domu niewoli.

Tara pomyślała, że chyba jeszcze nie widziała tak wspaniałego mężczyzny, ani czarnego, ani białego. Był wysoki i szczupły, miał twarz młodego faraona — biła z niej inteligencja, dostojeństwo i żarliwy zapał.

— Żyjemy w czasach smutku i wielkiego zagrożenia. — Skala i tembr głosu Garny wprawiały Tarę w mimowolne drżenie. — W czasach, które przepowiada Księga Przypowieści. Urwał rozpostarł ręce w krasomówczym geście i zacytował: — *Jest rodzaj, którego zęby są jako miecze, a trzonowe zęby jego jako noże na pożarcie ubogich na ziemi, a nędzników między ludźmi.* [Księga Przypowieści Salomonowych, 30, 14. Biblia Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego.]

— To cudowne!

Tarę znow przebiegł ten sam dreszcz.

— Jesteśmy biedni i w potrzebie, przyjaciele. W pojedynkę, każdy jest słaby. Pada łatwym łupem owych zębów jako miecze. Ale razem urosniemy w siłę. Razem zdołamy się przed nimi obronić.

Tara przyłączyła się do braw, klaszcząc w dłonie, aż straciła w nich czucie. Mówca stał bez ruchu czekając na ciszę. Kiedy wreszcie zapadła ciągnął dalej:

— Świat jest jak wielki kocioł powoli ogrzewającej się oliwy. Kiedy oliwa zawrze, zakotłuje się, spieni i przeleje przez brzegi, podsycając płonący pod kotłem ogień. Płomienie strzelą pod niebiosa i potem już nic nigdy nie będzie tak samo. Świat, który znamy, na zawsze ulegnie zmianie. I

tylko jedno jest dziś pewne, pewne jak to, że jutro wstanie słońce. Przyszłość należy do ludu, a Afryka do Afrykanów.

Tara zaczęła bić brawo i krzyżeć w uniesieniu, zanosząc się histerycznym szlochem. Po Mojżeszu Gamie wszyscy pozostali mówcy byli mdli i nudni, wydawało się, że dukają coś bez ładu i składu, irytowali nieprzygotowaniem. Ale kiedy Tara rozejrzała się wokół, stwierdziła, że Mojżesz Gama zniknął bez śladu.

— Człowiek taki jak on nie zagrzewa miejsca — wyjaśnił Hubert. — Musi śmigać jak błędny ogień, żeby nie wpaść w ręce policji. Generałowie nie walczą w pierwszej linii. Są zbyt cenni, żeby służyć za mięso armatnie. Lenin wrócił do Rosji dopiero po zakończeniu walk. Ale o Mojżeszu Gamie jeszcze usłyszymy — zapamiętaj moje słowa.

Tłum demonstrantów ustawił się w czwórki i piątki za piętnastoosobową orkiestrą marszową — dla skośnookich mieszkańców Cape każda okazja była dobra do muzykowania. Długa kolumna zaczęła opuszczać plac. Orkiestra zagrała „Alabamę” wprowadzając nastrój festynu raczej niż demonstracji. Tłum śmiał się, żartował, przekomarzał, pokrzykiwał radośnie do siebie.

— Zachować spokój i porządek! — ponowili swoje zarządzenia organizatorzy, przekazując je wzdłuż kolumny. — Żadnych wybryków. Nie trzeba nam kłopotów z policją. Idziemy pod parlament, żeby wręczyć petycję premierowi.

Demonstracja zgromadziła dwa czy nawet trzy tysiące osób, znacznie więcej niż organizatorzy na to liczyli. Tara maszerowała w piątym szeregu, tuż za doktorem Goollamem Goolem, jego córką Cissie i resztą przywódców kolorowych.

Poprzedzani przez orkiestrę skręcili w Adderley Street, główną arterię komunikacyjną miasta. W miarę jak zbliżali się do parlamentu, do pochodu dołączali ciekawscy i gapie, toteż u wylotu Parlament Lane kolumna miała już znaczną długość i liczyła sobie pięć tysięcy osób, z których połowa brała udział w marszu nie tyle z powodów politycznych, co dla zabawy i z ciekawości.

Na skrzyżowaniu z Parlament Lane czekał oddziałek policji. Ulicę przegradzono barykadą, a nieco dalej, przed ogrodzeniem z kutego żelaza otaczającym gmach parlamentu, stały w rezerwie następne oddziały policji, uzbrojone w pałki i długie czarne bicz ze skóry hipopotamów.

Kolumna zatrzymała się nierówno przed policyjną zaporą, doktor Gool dał znać orkiestrze, żeby przestała grać, po czym wystąpił do przodu pertraktować z oficerem dowodzącym oddziałkiem. Dziennikarze i fotoreporterzy z miejscowych gazet stłoczyli się ciasno wokół nich, by nie uronić ani słowa z prowadzonych negocjacji.

— W imieniu kolorowych mieszkańców prowincji Cape chciałbym wręczyć premierowi petycję — zaczął Gool.

— Panie doktorze, przewodniczy pan nielegalnej demonstracji — odparował oficer. — Jestem zmuszony prosić pana, by nakazał pan swoim ludziom rozejść się.

Żaden z policjantów nie miał broni palnej, atmosfera była niemal przyjazna. Jeden z trębaczy prychnął głośno na trąbce, a inspektor skwitował uśmiechem ten niewybredny żart i pogroził mu palcem, jak nauczyciel niesfornemu uczniowi. Tłum wybuchnął śmiechem. Takie ojcowskie skarcenie było dla wszystkich zrozumiałe i powszechnie akceptowane.

Doktor dyskutował z inspektorem i targował się z nim pogodnie, nie zwracając uwagi na docinki tłumu, aż w końcu posłano po gońca z parlamentu. Doktor Gool wręczył mu petycję, po czym odwrócił się, by przemówić do zgromadzonych. Gapiom znudziło się już wyczekiwanie na wynik pertraktacji i zdążyli się rozejść. Na miejscu pozostali właściwi uczestnicy manifestacji.

— Przyjaciele! Przekazaliśmy petycję premierowi. Osiągnęliśmy zatem nasz cel i teraz pozostaje nam polegać na generale Hertzogu, człowieku dobrego serca i przyjacielu ludu, wierzyć, że postąpi słusznie, tak jak należy. Obiecałem policji, że rozejdziemy się spokojnie do domów, bez burd i zamieszek.

— Znieważono nas! — zawołał na cały głos Hubert Langley. — Nie poniżyli się do tego, żeby do nas wyjść!

— Trzeba ich zmusić, żeby nas wysłuchali! — krzyknął ktoś inny.

Odpowiedział mu głośny pomruk poparcia i równie głośny szmer sprzeciwu. Kolumna zakołysała się, zaczęła tracić uporządkowany szyk i falować.

— Przyjaciele! Proszę...!

Głos doktora Goola niemal utonął w panującym zgiełku. Inspektor rzucił rozkaz, odwody policyjne podciągnęły bliżej i ustawiły się w szyku tuż za zaporą, przodem do demonstrantów.

Przez kilka minut panowało zamieszanie, atmosfera zrobiła się nieprzyjemna, lecz w końcu przywódcy kolorowych opanowali sytuację i zebrani zaczęli się powoli rozchodzić. Ale nie wszyscy. Po kilkunastu minutach u wylotu alei prowadzącej do parlamentu nadal stała grupa trzystu, czterystu najbardziej zaciętych. Byli to młodzi ludzie, w większości studenci, biali i czarni. Jedną z nielicznych kobiet w ich gronie była Tara Malcomess.

Kiedy policja ruszyła do przodu i stanowczo odepchnęła ich od zapory, demonstranci dokonali spontanicznego przegrupowania, utworzyli mniejszą, lecz bardziej zwartą kolumnę i pomaszerowali z powrotem do Szóstej Dzielnicy, przylegającej do śródmiejskiego centrum handlowego. Była to dzielnica zamieszkiwana niemal wyłącznie przez kolorowych, a jej rozległy obszar i niejasno sprecyzowane granice stanowiły jeden z pretekstów do wprowadzenia nowego prawa fizycznej segregacji poszczególnych grup rasowych.

Młodszy i bardziej agresywni demonstranci ujęli się pod ręce, zaczęli śpiewać i wznosić okrzyki. Oddziały policji posuwały się krok w krok za nimi, twardo udaremniając wszelkie próby zawrócenia w stronę centrum.

— Afryka dla Afrykanów! - skandowali na całe gardło.

— Pod skórą wszyscy jesteśmy tego samego koloru!

— Chleba i wolności!

Potem studentów Huberta Langleya ogarnął bardziej liryczny nastrój i zaczęli nucić starą pieśń uciskanych, której nauczył ich mistrz:

Kiedy Ewa przędła, a Adam motyką rył ziemię,

Kogo wówczas wywyższało szlachetne urodzenie?

Orkiestra zagała bardziej współczesną pieśń protestu: *Moje oczy widziały chwałę nadejścia Pana*, a potem *Nkosi sikelela Africa* — „Boże, zachowaj Afrykę.

Kiedy zapuścili się w wąskie uliczki i splątane zaułki Szóstej Dzielnicy, z zakamarków wybiegły zaciekawione łobuziaki i czując świetną zabawę przyłączyły się do tłumu. Wśród przechodniów na rojnych ulicach było wielu takich, z którymi mieli osobiste porachunki. Za nimi w kolumnę demonstrantów wmieszali się członkowie zwykłych gangów kieszonkowców i rzezimieszków.

Wysokim łukiem ze zwartych szeregów pochodu poszybowała jakaś cegłówka i roztrzaskała szybę wystawową w sklepie białego kupca, człowieka znanego ze zdzierstwa i niechęci do sprzedawania na kredyt. Brzęk tłuczonego szkła zelektryzował tłum, jakaś kobieta zaczęła przeraźliwie krzyczeć, mężczyźni zawyli jak stado wilków.

Ktoś sięgnął przez dziurę po wybitej szybie i chwycił naręczę męskich gatnirów. Kilka domów dale, brzęk tłuczonego szkła obwieścił wybicie następnej szyby wystawowej. Policjanci zacieśnili szeregi i przyspieszyli kroku.

Tara rozpaczliwie próbowała przywrócić ład i porządek, powstrzymać roześmiany tłum przed plądrowaniem sklepów, ale odepchnięto ją na bok i omal nie stratowano.

— Do domu, biała damulko, nic tu po tobie! — krzyknął jej prosto w twarz jakiś ulicznik i wpadł do najbliższego sklepu, by wynieść nowiutką maszynę do szycia.

— Odstaw to! — Tara zastąpiła mu drogę, gdy próbował wybiec ze swym hipen na ulicę. — Wszystko zepsujecie! Czy nie rozumiesz, że oni tylko na coś takiego czekają?!

Zaczęła go bić zaciśniętymi pięściami w pierś, aż wystraszony jej furią cofnął się o krok. Ale ulica była już zupełnie zakorkowana zbitą ludzką ciżbą, demonstrantami, przygodnymi przechodniami, gapiami, korzystającymi z okazji złodziejami. Zdezorientowany tłum nie wiedział, co robić, zaczął go ogarniać strach i złość. Od strony centrum policja spychała go zwartym szykiem w głąb ulicy, poszły w ruch pałki i długie bicze.

Tara wybiegła z plądrowanego sklepu dokładnie w chwili, gdy potężny policjant w granatowym mundurze zaczął okładać pałką, z wyraźną ochotą, chudego drobnego malajskiego krawca, który odważył się wychylić na ulicę, by odzyskać belę skradzionego mu materiału.

Policjant rąbnął krawca z pełnego zamachu, miażdżąc mu jego czerwony fez, a kiedy drobny Malaj upadł na chodnik, pochylił się nad nim, szykując do zadania następnego uderzenia w głowę. Tara rzuciła się na niego bez namysłu, w tym samym instynktownym odruchu, który każe lwicy bronić swoich małych. Policjant stał pochylony, tyłem do niej. Impet ataku zbił go z nóg. Runął na ziemię, a w tym samym momencie uczipiona kurczowo jego pałki Tara szarpnęła za nią ze wszystkich sił, owinięty wokół nadgrastka policjanta pasek pęki i pałka została jej w ręku.

W ten sposób ni z tego, ni z owego uzbrojona Tara odniosła triumfalne zwycięstwo nad odzianym w grantowy mundur wrogiem proletariatu i sługusem burżujów. Niespodziewanie dla samej siebie znalazła się także za szeregiem nacierających policjantów, którzy minęli już sklep i pani dalej zwróceni do niej plecami. Tępe odgłosy uderzeń pałek i przerażone krzyki ofiar doprowadziły ją do ślepej furii. To krzyczeli biedni, potrzebujący i ciemieni, a ich, ciemiężców, miała wprost przed sobą. Tara Malcomess uniosła pałkę nad głowę i ruszyła na odsiecz.

W normalnych okolicznościach dotarcie jaguarem z Weltevreden do aresztu przy Victoria Street zajęłoby Shasie niewiele ponad pół godziny, tym razem jednak stracił na to prawie godzinę i jeszcze musiał przywołać na pomoc całą swą zdolność perswazji.

Policja odcięła kordonem rejon ulic Obserwatory Main Road i Grand Parade, aż po stary fort u południowego krańca tej ostatniej. Nad Szóstą Dzielnicą wisiała złowieszczą chmura czarnego dymu, przesuwająca się powoli nad Zatokę Stołową. Policjanci w kordonie byli zdenerwowani i napięci.

— Nie może pan przejechać, sir — powiedział sierżant, nakazawszy Shasie chorągiewką zjechać do krawężnika. — Nie wolno nam nikogo przepuścić. Te czarne bydlaki rzucają cegłami i palą, co im wpadnie w ręce.

— Sierżancie, właśnie dostałem wiadomość od mojej narzeczonej. Ona tam jest i błaga o pomoc. Jest w strasznym położeniu. Musi mnie pan do niej puścić.

— Niestety, sir, rozkaz na to nie pozwala. Strasznie mi przykro.

Przy zaporze stało sześciu policjantów, w tym czterech kolorowych z policji miejskiej.

— Sierzancie, a gdyby to pańska żona czy matka pana potrzebowała? Co by pan zrobił?

Sierzant spojrział na niego z zakłopotaniem.

— Coś panu powiem, sir. Uchylimy na chwilę zaporę i popatrzymy w inną stronę. Nikt pana nie słyszał, nikt pana nie widział.

Ulice były wyludnione, lecz zasypane kamieniami, cegłami i odłamkami szkła chrzęszczącymi pod kołami jaguara. Shasa przyspieszył, wstrząśnięty zniszczeniami, które widział wokół, i zmrużył oczy przed dymem zasnuwającym co kilkaset metrów całe pole widzenia. Raz czy dwa dostrzegł jakieś postacie w wylocie uliczki lub górnych oknach nie zniszczonego budynku, ale nikt nie próbował na niego napaść ani go zatrzymać. Mimo to poczuł głęboką ulgę, kiedy dotarł wreszcie do komisariatu przy Victoria Street i znalazł się pod ochroną pospiesznie sformowanych oddziałów do zwalczania zamieszek.

— Tara Malcomess. — Sierzant w informacji aresztu natychmiast rozpoznał to nazwisko. — A żeby pan wiedział, że wbiło mi się w pamięć! W końcu trzeba było aż czterech ludzi, żeby ją tu doprowadzić.

— O co jest oskarżona, sierzancie?

— Zaraz zobaczymy... — Policjant zajrzał do dokumentów. — Jak do tej pory mamy tylko udział w nielegalnym zgromadzeniu, umyślne niszczenie mienia, podburzanie do stosowania przemocy, używanie obelżywych zwrotów i gróźb, stawianie oporu, napaść na policjanta (policjantów), napaść przy użyciu broni, umyślne uszkodzenie ciała.

— Złożę za nią kaucję.

— To może się okazać bardzo kosztowne, sir.

— Ona jest córką pułkownika Malcomessa, ministra w rządzie generała Hertzoga.

— Dlaczego od razu pan tego nie powiedział? Proszę zaczekać.

Tara miała podbite oko i podartą bluzkę. Kiedy przysunęła twarz do kraty w swej celi, potargane kasztanowe włosy opadły jej w nieładzie na czoło.

— Co z Hueyem? — spytała natarczywie.

— Jeśli o mnie chodzi, to Huey może się smażyć w Hadesie.

— W takim razie ja będę się smażyć razem z nim — oświadczyła wojowniczo. — Nie wyjdę stąd bez niego.

Shasa rozpoznał na jej twarzy madonny ten tak dobrze mu znany wyraz krnąbrnego uporu i westchnął ciężko. W ten sposób przyszło mu zapłacić sto funtów — pięćdziesiąt za Tarę i pięćdziesiąt za Hueya.

— Ale prędzej szczepnę, niż go gdziekolwiek podwiozę — oświadczył stanowczo. — Pięćdziesiąt funtów za jakiegoś drobnego bolszewika to i tak świat i ludzie. Może wracać do swej nory na piechotę.

Tara wsiadła do jaguara, założyła ręce w urażonym geście i nie odezwała się ani słowem. Shasa włączył silnik, wdepnął na pedał gazu i z piskiem opon ruszył spod aresztu. Zamiast jednak skierować się na południe, ku eleganckim przedmieściom zamieszkiwanym przez bogatych białych, skręcił pod górę, w drogę wiodącą na Diabli Szczyt i zatrzymał samochód w jednym z punktów widokowych, skąd doskonale widać było Szóstą Dzielnicę i dokonane w niej zniszczenia.

— Co ty robisz? — spytała, kiedy wyłączył silnik.

— Nie masz ochoty popatrzeć na swoje dzieło? Przecież musisz być z tego dumna.

Tara poruszyła się nieswojo na siedzeniu.

— To nie my — mruknęła. — To bandy chuliganów i ulicznych gangów.

— Moja droga Taro, tak właśnie robi się rewolucję. Najpierw zachęca się elementy przestępcze do zniszczenia istniejącego ustroju, do obalenia rządów ładu i prawa, a kiedy tego dokonają, nastaje czas przywódców, którzy wkraczają, by przywrócić porządek drogą rozstrzelania wszystkich rewolucjonistów. Czyżbyś nie studiowała nauk swego bożyszczka Lenina?

— Wszystkiemu winna policja...

— Tak, tak, zawsze wszystkiemu winna jest policja. To także jedna z nauk towarzysza Lenina.

— To wcale nie jest tak...

— Siedź cicho — przerwał jej ostro. — Choć raz w życiu siedź cicho i posłuchaj, co ja ci mam do powiedzenia. Aż do tej pory znosiłem to twoje pozowanie na Joannę D'arc. Zachowywałaś się niemądrze i naiwnie, ale przymykałem na to oko, bo cię kocham. Ale skoro zaczęłaś palić ludziom domy, wybijać szyby cegłami i rzucać bomby, to sprawa przestaje być zabawna.

— Nie waż się mówić do mnie takim protekcyjnym tonem! — zawołała z wściekłym błyskiem w oku.

— Patrz, Taro, patrz tam, na ten dym i pożary. To płoną domy ludzi, których los podobno tak bardzo cię obchodzi, którym, jak twierdzisz, tak bardzo chciałabyś pomóc. To ty obróciłaś w perzynę cały ich dobytek, dorobek życia ich i ich ojców.

— Nie myślałam...

— Och, że nie myślałaś, to pewne. Powiem ci teraz coś i lepiej to sobie zapamiętaj. Ja kocham ten kraj. Jeśli spróbujesz go zniszczyć, przysporzyć cierpień tym, którzy tu żyją, mieszkają i ciężko pracują, to staniesz się moim wrogiem i wydam ci walkę na śmierć i życie.

Odwróciła głowę i przez długą chwilę milczała, po czym cichym głosem poprosiła:

— Zawieź mnie do domu.

Wybrał jak najdłuższą drogę, przez Kloof Nek, brzegiem Atlantyku i wokół Góry Stołowej, by ominąć zniszczone w czasie zamieszek dzielnice. Nie zamienili ze sobą ani słowa, dopóki nie zatrzymał auta przed domem Malcomessów w Newlands.

— Może masz rację — powiedział Taro. — Może rzeczywiście jesteśmy wrogami.

Wysiadła z jaguara, wyprostowała się i popatrzyła z góry na Shasę, siedzącego nisko w sportowym kabriolecie.

— Żegnaj, Shaso — powiedziała cicho, ze smutkiem i weszła do domu.

— Żegnaj, Taro — szepnął, kiedy zniknęła za drzwiami. — Żegnaj, mój ukochany wrogu.

We frontowym salonie Weltevreden zebrali się wszyscy Courteneyowie.

Sir Garrick i Anna siedzieli na długiej sofie w stylu regencji, pokrytej wzorzystym, pasiastym adamaszkim. Przyjechali z Natalii na urodziny sir Garricka i przed tygodniem wspięli się razem ze wszystkimi na Górę Stołową na tradycyjny piknik. Było miło i wesoło, zwłaszcza że i tego roku, jak zwykle, towarzyszył im *Ou Baas*, generał Jan Cheristian Smuts. Mieli zamiar zaraz potem wracać do domu, ale upiorna wiadomość o napaści Niemiec na Polskę zatrzymała ich w Weltevreden. W tak dramatycznych czasach rodzina powinna się trzymać razem.

Sir Garrick i lady Anna siedzieli tuż obok siebie, trzymając się za ręce jak młodzi kochankowie. W ciągu ostatniego roku sir Garrick zapuścił małą, siwą kozią bródkę, być może nieświadomie naśladując tym swego starego przyjaciela, generała Smutsa. Łagodziła ona nieco jego ascetyczne rysy, przydając mu dostojęstwa i jeszcze bardziej uczonego wyglądu. Pochylił się lekko do przodu, zwrócony w stronę żony, lecz całą uwagę skupił na radioodbiorniku, który Shasa próbował nastroić,

kręcąc gałkami i marszcząc czoło, gdy udawało mu się złapać tylko dalekie szумы i trzaski.

— BBC nadaje w paśmie czterdziestu jeden metrów — rzuciła ostro Centaine i spojrzała na swój wysadzany brylantami zegarek. — Pospiesz się, *cheri*, bo przegapimy komunikat.

— Jest! — ucieszył się Shasa.

Trzaski ucichły i z głośnika popłynęły czyste głębokie uderzenia Big Bena. Kiedy przebrzmiały, dobiegł ich głos spikera.

— Jest godzina dwunasta zero zero czasu Greenwich. Zamiast serwisu informacyjnego nadamy teraz oświadczenie premiera Neyille'a Chamberlaina.

— Zrób głośniejsze, *cheri* — poprosiła z napięciem w głosie Centaine i w eleganckim salonie zadudniły odmierzane powoli i z powagą historyczne słowa.

Wysłuchali wszystkiego do końca w skupionym milczeniu. Sir Garrickowi drżała broda, zdjął z nosa okulary i nieświadomie zaczął gryźć jeden z zauszników. Anna, nie mogąc usiedzieć na miejscu, przesunęła się na brzeg sofy, który rozpląszczył się i ugiął pod jej ciężarem. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w mahoniową skrzynkę radioodbiornika mocniej zaciskając w rękę dłoń męża, a jej rumiana twarz nabrała ceglastej barwy.

Centaine siedziała przed wielkim kamiennym kominkiem w obszernym fotelu z wysokim oparciem. W białej letniej sukience przewiązanej w pasie szeroką żółtą szarfą wyglądała na młodą dziewczynę. Skończyła trzydzieści dziewięć lat, ale jej gęstej ciemnej czupryny nie pstrzył nawet jeden siwy włos, skórę miała jasną i gładką, kosztowne oliwki i kremy wciąż jeszcze skutecznie usuwały zaczątki drobniutkich zmarszczek w kącikach oczu. Wsparta na łokciu dotykała jednym palcem policzka, ani na chwilę nie spuszczając wzroku ze swego syna.

Shasa chodził w tę i z powrotem, od niszy na radio między wzorzystymi okiennymi zasłonami do fortepianu w drugim końcu salonu, pod ścianą zastawioną po sufit półkami na książki. Tam zawracał, przemierzał szybkim, nerwowym krokiem lśniący jak lustro parkiet, usłany całą kolekcją orientalnych dywanów, i z rękoma założonymi na plecach, z pochyloną w skupieniu głową podchodził z powrotem do radia.

Centaine myślała o tym, jak niezwykle przypomina swego ojca. Choć Michael był starszy i nie tak niezwykle przystojny, to obaj mieli ten sam niepowtarzalny wdzięk. Przypomniła sobie swą niewzruszoną wiarę w nieśmiertelność Michaela i słysząc teraz, jak w jej domu, tej pięknej fortecy, w której tak starannie obwarowała się przed całym światem, rozbrzmiewają słowa wojny, poczuła, że w jej serce znów wkrada się strach — ten sam bezsilny, porażający strach.

„Człowiek nigdy nie jest bezpieczny — pomyślała. — Nie ma dokąd uciec. nie ma się gdzie schronić. Znów wszystko od początku i znów nie jestem w stanie uratować tych, których kocham. Shasa i Blaine... Obaj pójdą na wojnę i ja ich przed tym nie powstrzymam. Wtedy Michael i papa, teraz Shasa i Blaine... O Boże, jak ja tego nienawidzę! Jak ja nienawidzę wojny i tych, którzy ją wywołują! Panie Boże, oszczędź nas tym razem. Zabrałeś papę i Michaela, oszczędź Shasę i Blaine'a. Oni są wszystkim, co mam. Proszę Cię, nie zabieraj mi ich.”

Płynące z głośnika słowa zabrzmiały donośniej i poważniej. Shasa znieruchomiał pośrodku salonu i przez ramię obejrzał się na mahoniową skrzynkę.

— Tak więc — zakończył powoli swe przemówienie Neyille Chamberlain — z najgłębszym smutkiem informuję państwa, że od tej chwili Wielka Brytania i Niemcy pozostają w stanie wojny.

Transmisja zakończyła się i zaczęto nadawać spokojną, smutną muzykę kameralną.

— Wyłącz to, *cheri* — poleciła cicho Centaine i w salonie zapadła martwa cisza. Przez długą

chwile nikt nawet się nie poruszył. Nagle Centaine poderwała się z fotela i z wesołym uśmiechem ujęła Shasę pod ramię.

— Lunch od dawna gotowy! — zawołała lekkim tonem. — Pogoda jest tak piękna, że zjemy na tarasie. Shasa otworzy butelkę szampana, do której udało mi się zdobyć pierwsze w tym sezonie ostrygi.

Prowadziła ten lekki, podnoszący na duchu, monolog, dopóki wszyscy nie zajęli miejsc za stołem i nie napełniono kieliszków. Wtedy nagle załamała się i udręczonym wzrokiem spojrzała na sir Garricka.

— Nie będziemy musieli przystąpić do tej wojny, prawda tato? Generał Hertzog obiecał, że nas przed tym wybroni. Mówił, że to wojna Anglików. Nie będziemy musieli wysyłać swoich ludzi. Tym razem już nie, prawda tato?

Sir Garrick pochylił się i nakrył dłonią jej rękę.

— Oboje wiemy, jaką cenę przyszło nam zapłacić ostatnim razem.. — Głos uwiązł mu w gardle, nie był w stanie wymówić imienia Michaela. Po chwili opanował się i dokończył: Chciałbym móc cię pocieszyć, moja droga. Chciałbym móc ci powiedzieć to co pragniesz usłyszeć.

— To nieuczciwe — szepnęła zrozpaczona. — To po prostu nieuczciwe.

— Masz rację, zgadzam się. Ale gdzieś tam wyrosła potworna tyrania, zło tak wielkie, że jeśli nie przeciwstawimy mu się z całą mocą, to w końcu pożre i nas, i cały nasz świat.

Centaine zerwała się od stołu i wbiegła do domu. Shasa podniósł się, żeby iść za nią, ale sir Garrick przytrzymał go za ramię. Dziesięć minut później Centaine wróciła na taras. Obmyła twarz, poprawiła makijaż i znów się uśmiechała, ale kiedy zajęła miejsce u szczytu stołu, oczy błyszczały jej jak w gorączce.

— Będziemy się bawić i weselić — roześmiała się nieco sztucznie. — To rozkaz! Żadnych ponurych mm, żadnych czarnych myśli, żadnego biadolenia. Będziemy cieszyć się szczęściem, bo...

Urwała i nie dokończyła. Chciała powiedzieć: „bo być może to ostatni raz, kiedy możemy być razem i szczęśliwi”.

46

Czwartego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku w dzień po wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię i Francję wojny hitlerowski Niemcom generał Barry Hertzog wygłosił przemówienie do parlamentu Związku Afryki Południowej.

— Cięży na mnie bolesny i przykry obowiązek powiadomienia Wysokiej Izby, iż kwestia stanowiska naszego kraju wobec stanu wojny, w którym znalazły się Wielka Brytania i Francja z jednej strony, a Niemcy z drugiej, doprowadziła do głębokiego podziału w rządzie.

Urwał, nałożył z powrotem okulary, by przesunąć uważnym spojrzeniem po twarzach siedzących za nim w rządowych ławach ministrów, i z najwyższą powagą ciągnął dalej:

Uważam stanowczo, że ultimatum wystosowane przez rząd Wielkiej Brytanii, domagające się wycofania z Polski wojsk niemieckiego Wehrmachtu, nie jest w żadnej mierze zobowiązujące dla naszego kraju, a także, że niemiecka okupacja Polski nie Stanowi zagrożenia dla interesów i bezpieczeństwa Związku Afryki Południowej. — Z ław Opozycji dobiegł potężny ryk aprobaty, a doktor Daniel Malan, podobny w swych wielkich okularach do żaby, uśmiechnął się z zadowoleniem, natomiast zwolennicy Smutsa z koalicji rządowej równie głośno zgłosili swój sprzeciw.

— To lokalny konflikt między Niemcami a Polską — ciągnął Hertzog — nie dający naszemu krajowi podstaw do wypowiedzenia komukolwiek wojny. W związku z tym wnoszę o podjęcie

uchwały deklarującej neutralność Związku Afryki Południowej. Uważam, że poza odstąpieniem bazy marynarki wojennej w Simonstown Wielkiej Brytanii, pod każdym innym względem Powinniśmy utrzymywać normalne stosunki z obiema walczącymi stronami, tak jakby nie pozostawały one w stanie wojny.

Starzejący się premier miał dar wymowy i przekonywania z których korzystał teraz w całej pełni, rozwodząc się dalej nad koniecznością zachowania neutralności Blaine Malcomess siedzący w pierwszym rzędzie ław rządowych z coraz większym niepokojem obserwował reakcje dotychczasowych stronników Smutsa. Wiedział doskonale, którzy z nich, równie stanowczo jak on sam i *Ou Baas*, obstają po stronie Anglii, a którzy wahają się lub wciąż jeszcze nie mają wyrobionego zdania. W miarę tego jak Hertzog przedstawiał swoje racje, wielu niezdecydowanych zaczęło przechylać się na stronę sędziwego premiera. Z niedowierzaniem i narastającym wstydem stwierdził, że jeszcze chwila i sprawa przybierze haniebny obrót. W tym momencie oprócz wstydu odezwał się w nim gniew.

Generał Hertzog mówił dalej, ale Blaine słuchał go już tylko jednym uchem, pospiesznie pisząc krótki liścik, który miał zamiar podać Smutsowi. Nim jednak zdążył go skończyć, kolejne słowa premiera znów przykuły całą jego uwagę.

Na koniec wreszcie, należy rozpatrzyć etyczną stronę zagadnienia inwazji Niemiec na Polskę. Sądzę, że nietrudno byłoby usprawiedliwić tę akcję, gdyby wziąć pod uwagę, iż bezpieczeństwo państwa niemieckiego wymagało...

Blaine rozejrzał się szybko w nagłym przypiływie otuchy. Przeczucie go nie zawiodło. Nawet ci, którzy dali się już przekonać do zachowania neutralności, przyjęli słowa premiera z wyrazem szoku odrazy na twarzy.

Przesadził napisał szybko na nowej kartce papieru. — *Broni Hitlera. Wygraliśmy.*

Wyrwał kartkę z notatnika i podał ją generałowi Smutsowi, który rzucił na nią okiem i skinął głową. W tym momencie premier skończył i nadszedł moment przedstawienia argumentów przeciwników neutralności.

— Wielka Brytania jest naszym przyjacielem — powiedział wstając generał Smuts — najstarszym i najlepszym przyjacielem. Powinniśmy do końca stać po jej stronie. Inwazja Niemiec na Polskę bez wątpienia nie jest jedynie lokalnym konfliktem o Gdańsk i korytarz. Jej skutki odczują wszyscy mieszkańcy tego globu, aż po jego najdalsze krańce.

Kiedy w końcu zarządzono głosowanie, za zachowaniem neutralności głosował blok nacjonalistów doktora Malana, jedna trzecia członków partii Hertzoga i trzech ministrów jego gabinetu. Mimo to zwycięstwo odniósł Smuts i jego ludzie — Reitz, Malcomess, Stuttaford i inni. Osiemdziesięcioma głosami za przy sześćdziesięciu czterech przeciwko Związek Afryki Południowej wypowiedział wojnę hitlerowskiemu Niemcom.

W ostatniej, rozpaczliwej próbie zawieszenia tej deklaracji generał Hertzog wezwał do rozwiązania parlamentu i rozpisania powszechnych wyborów, ale gubernator generalny, sir Patrick Duncan, odmówił przychylenia się do jego prośby. Zamiast tego przyjął rezygnację sędziwego generała i poprosił Jana Cheristiana Smutsa o sformowanie nowego gabinetu, który miał przygotować naród do wojny.

Ou Baas nie chce mnie puścić — powiedział z goryczą Blaine, a Centaine podbiegła do niego przez całą sypialnię ich domku i wspierała się na palce, żeby go uścisnąć.

Och, kochanie, dzięki Bogu! Modliłam się i modliłam, i w końcu On mnie wysłuchał. Nie

zniósłabym rozłąki z wami oboma, z tobą i Shasą. Po prostu nie przeżyłabym tego.

— Nie mam być z czego dumny, że zostaję w domowych pieleszach, kiedy inni idą na wojnę.

— W jednej już walczyłeś dzielnie, nie myśląc o sobie — odparła. Tutaj przydasz się tysiąc razy bardziej, niż gdybyś leżał jako trup gdzieś w obcej ziemi.

— *Ou Baas* też tak mnie przekonywał — westchnął ciężko, objął ją ramieniem i poprowadził do saloniku. Centaine wyczuła, że tej nocy wyjątkowo me będą się kochać. Był zbyt przybity i rozgoryczony. Wiedziała, że chce tylko porozmawiać, a jej obowiązkiem było wysłuchać wszystkich wątpliwości, obaw i żalów, które pragnął z siebie wylać.

Wyrzucił je chaotycznie, bez ładu i składu, a ona usiadła obok niego, tak blisko, by mógł jej dotknąć wyciągnawszy po prostu rękę, i słuchała w milczeniu.

— Nasz pozycja jest mocno niepewna. Jak można toczyć wojnę, gdy ma się tylko trzynastogłosową przewagę w parlamencie, a przeciwko sobie skonsolidowaną Opozycję, nienawidzącą *Ou Baasa* i jego angielskiej wojny, jak ją nazywają. Będą walczyć z nami zażarcie na każdym kroku, a przecież i naród jest głęboko podzielony i w znacznej części opowie się przeciwko nam. We własnym kraju mamy wrogów nie mniej groźnych od hitlerowców: Ossewa Brandwag, Czarne Koszule, Szare Koszule, Deutsche Bund w Afryce Potudniowozachodniej — wrogowie na zewnątrz i wewnątrz

Nalala mu następną whisky i podała rżniętą kryształową szklaneczkę. Był to już jego drugi drink tego wieczoru, a jeszcze nigdy nie widziała, żeby wypił więcej niż jeden.

- Pirow nas zdradził. Przeszedł na ich stronę, a my przez tyle lat darzyliśmy go pełnym zaufaniem. — Oswald Pirow był ministrem obrony w rządzie Hertzoga. — Daliśmy mu w budżecie pięćdziesiąt sześć milionów na obronę z zaleceniem stworzenia skutecznej nowoczesnej armii, a on tymczasem wystawił nam armię papierową. Wierzyliśmy ślepo wszystkim jego zapewnieniom i raportom, no i teraz, kiedy odszedł, okazało się, że mamy niemal archaiczne uzbrojenie, kilka zdezelowanych czołgów i rozklekotanych samolotów, a cała stała armia liczy sobie nie więcej niż tysiąc pięciuset żołnierzy. Pirow robił po prostu cały czas krecią robotę. Obaj z Hertzogiem postanowili, że nigdy nie Przystąpimy do tej wojny, uznali więc, że armia nam niepotrzebna

Godziny mijały, zrobiło się bardzo późno, ale oboje byli zbyt napięci, żeby myśleć o położeniu się spać. Kiedy Blaine zrezygnował z trzeciej whisky, poszli do kuchni zaparzyć dzbanek kawy. Czekając, aż woda się zagotuje, Blaine stanął za Centaine, objął ją obiema rękami w pasie i przytulił do siebie.

— Generał Smuts zaproponował mi stanowisko ministra Spraw wewnętrznych. Głównym powodem podjęcia przez niego tej decyzji było to, że swego czasu przewodniczyłem komisji do spraw zbadania działalności Ossewy Brandwag i pozostałych organizacji wywrotowych. Jednym z moich najważniejszych zadań będzie bowiem właśnie udaremnianie wszelkich prób zakłócania toku przygotowań do wojny. Ministerstwo obrony objął sam *Ou Baas* i już obiecał Wielkiej Brytanii pięćdziesięciotysięczny korpus ochotników gotowych walczyć w dowolnym zakątku Afryki.

Zanieśli tacę z kawą do saloniku, a kiedy Centaine napełniała filiżanki, rozległ się dzwonek telefonu. W panującej w domku ciszy zabrzmiał natarczywie i groźnie. Centaine drgnęła wystraszona i rozlała parującą kawę na tacę.

— Która to godzina, Blaine?

— Za dziesięć pierwsza.

— Nie odbiorę, niech dzwoni — potrząsnęła głową Centaine, wpatrując się z napięciem w

aparatu.

Ale Blaine podniósł się z fotela.

— Tylko Doris wie, że tu jestem — powiedział. — Musiałem jej powiedzieć na wypadek...

Nie musiał kończyć. Doris była jego sekretarką, jedyną osobą, której mógł zaufać. Oczywiście musiała wiedzieć, gdzie go znaleźć. Centaine podniosła słuchawkę.

— Centaine Courteney, słucham.

Milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

— Tak, Doris, jest tutaj, już go daję.

Podawała słuchawkę Blaine'owi, odwróciła się i odeszła przed kominek. Blaine słuchał przez chwilę, po czym rzucił cicho:

— Dziękuję, Doris, będę za dwadzieścia minut.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Centaine.

— Strasznie mi przykro.

— Przyniosę ci płaszcz.

Podawała mu okrycie, a on wsunął ręce w rękawy, odwrócił się przodem do niej i zapinając guziki powiedział tonem wyjaśnienia:

— To Izabela — A dostrzegłszy zaskoczenie na jej twarzy, dodał: — Jest u niej lekarz. Jestem im potrzebny. Doris nie chciała powiedzieć nic więcej, ale zdaje się, że to coś poważnego.

Po wyjściu Blaine'a zaniósł dzbanek i filiżanki do kuchni i umyła je w zlewie. Rzadko czuła się tak samotna. W domku panowała grobowa cisza, było zimno, wiedziała, że nie uśnie. Wróciła do saloniku i nastawiła płytę ze swą ulubioną arią z „Aidy” Verdiego. Kiedy zasłuchana zagłębiła się w fotelu, ukradkiem ożyły w niej dawne wspomnienia Michaela, Mort Hommes, tamta wojna sprzed dwóch dziesiątków lat — i już zupełnie zalała ją fala dojmującego smutku i melancholij

Zwinięta w fotelu zapadła w końcu w płytki sen, z którego wyrwał ją kolejny dzwonek telefonu. Drgnęła przestraszona i wciąż jeszcze nieprzytomna sięgnęła po słuchawkę.

— Blaine! — Natychmiast rozpoznała jego głos. — Która godzina?

— Czwarta... Kilka minut po czwartej.

— Coś się stało? — spytała przytomniejąc nagle.

— Izabela — odparł. — Pyta o ciebie.

— O mnie? — spytała kompletnie zaskoczona

— Chce, żebyś tu przyjechała.

— To niemożliwe, Blaine. Sam wiesz, że nie mogę tego zrobić.

— Ona umiera, Centaine. Lekarz mówi, że nie dotrzyma do wieczora.

- O Boże, tak mi przykro! — zawołała, stwierdzając z najwyższym zdziwieniem, że niczego nie udaje, że to rzeczywiście prawda. — Biedna Izabela...

— Przyjedziesz?

— A chcesz, żebym przyjechała?

— To jej ostatnia prośba. Jeśli jej me spełnimy, do końca życia będzie nas dręczyło poczucie winy.

— Przyjadę — zdecydowała i odłożyła słuchawkę.

Obmyła twarz, przebrała się, zrobiła lekki makijaż i w kilka minut była już gotowa. Na ulicach nie było żywego ducha, a wielki dom Blaine'a przy Newlands Avenue był jedynym, w którym paliły się światła.

Wyszedł po nią przed podwójne mahoniowe drzwi wejściowe i zamiast powitania powiedział po prostu:

— Dziękuję ci.

Dopiero wtedy Centaine dostrzegła w holu za jego plecami córkę.

— Dzień dobry, Taro — przywitała się. Dziewczyna płakała, wielkie szare oczy miała mocno podpuchnięte i zaczerwienione i była tak blada, że jej ciemnokasztanowe włosy zdawały się gorzeć jak krzak ognisty. — Strasznie mi przykro z powodu twojej mamy.

— Niech pani nie kłamie!

Tara spojrzała na nią z gniewną nienawiścią, lecz nagle jej twarz skurczyła się i zadrgała od płaczu, dziewczyna odwróciła się i uciekła w głąb domu. Po chwili dobiegło ich stłumione trząśnięcie drzwi.

— Jest bardzo zdenerwowana powiedział Blaine. — Przepraszam cię za nią.

— Rozumiem ją — odparła Centaine. — Przynajmniej po części sobie na to zasłużyłam.

Blaine przecząco pokręcił głową, lecz nawet nie próbował wdawać się w dyskusję.

— Chodź — powiedział łagodnie.

Ramię w ramię wspięli się po krętych schodach.

— Co jej jest, Blaine? — spytała cicho Centaine.

— Zwrodnienie rdzenia kręgowego i układu nerwowego, proces, który postępuje powoli od lat. A teraz dostała jeszcze zapalenia płuc, którego osłabiony system obronny organizmu nie jest już w stanie zwalczyć.

— Cierpi?

— Strasznie. Od lat ciepi bóle, których nie zniósłby żaden przeciętny człowiek.

Przeszli szerokim, wyłożonym dywanem korytarzem, Blaine zapukał do drzwi u jego końca i nacisnął klamkę.

— Wejdz, proszę.

Pokój był duży, urządzone w chłodnych, odprężających zieleniach i błękitach. Story na oknach szczelnie zaciągnięto, na stoliku przy łóżku paliła się nocna lampka. Stojący obok mężczyzna już na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie lekarza. Blaine podprowadził Centaine do szerokiego łóża. Mimo iż starała się przygotować na najgorsze, widok wspartej na poduszkach postaci przyprawił ją o wstrząs.

Pamiętała Izabelę Malcomess subtelną i pogodną, piękną niepowtarzalną urodą madonny. Teraz z jej zapadniętych oczu wyzierała śmierć, a rozchylone w przyklejonym uśmiechu, wyschłe, pomarszczone wargi, ukazujące dwa rzędy pożółkłych zębów, budziły głęboką odrazę. Burza gęstych kasztanowych włosów rozsypanych aurełą wokół jej głowy podkreślała tylko wstrząsającą, śmiertelną bladość zniszczonej twarzy.

— To miło, że zechciała pani przyjść.

Centaine musiała nachylić się nad łóżkiem, żeby usłyszeć utrudzony szept.

— Przyjechałam na pierwszą wiadomość, że chciała mnie pani widzieć.

— Może pani tu zostać najwyżej kilka minut — wtrącił się cicho lekarz. — Pani Malcomess musi wypoczywać.

Ale Izabela machnęła niecierpliwie dłonią, podobną raczej do ptasich szponów. Kruche kości ciasno opinała ziemista skóra, spod której przeświecała siatka sinofioletowych żył.

— Musimy porozmawiać w cztery oczy — szepnęła. — Proszę nas zostawić same, doktorze.

Blaine pochylił się nad żoną, by poprawić jej poduszki pod głową.

- Proszę cię, kochanie, tylko się nie męcz - powiedział z taką troską w głosie, że Centaine wbrew samej sobie poczuła w sercu ukłucie zazdrości.

Blaine i lekarz wyszli z pokoju zamykając za sobą cicho drzwi. Centaine po raz pierwszy została sam na sam z Izabelą. Ogarnęło ją poczucie zupełnej nierzeczywistości tej sytuacji. Ta kobieta przez tyle lat odciskała swe piętno na jej życiu, samym swym istnieniem rozbudzając w niej najpodlejsze ludzkie uczucia od zazdrości i wyrzutów sumienia po złość i nienawiść. Lecz oto teraz, gdy stanęła przy jej łożu śmierci, wszystkie te burzliwe emocje zniknęły, jakby ich nigdy nie było. Pozostały tylko Litosc i współczucie

— Podejdz bliżej, Centaine - wyszeptała Izabela, przywołując ją ledwie dostrzegalnym ruchem bezsilnej kruchej dłoni. — Mówienie kosztuje tyle wysiłku...

Pod wpływem odruchu Centaine uklękła przy jej łóżku, tak że ich oczy znalazły się tuż obok siebie. Ogarnęła ją dręcząca potrzeba odpokutowania za wszystkie zgryzoty, których była przyczyną, i wyblągania od Izabeli przebaczenia. Ale umierająca nie dała jej przyjść do słowa.

— Powiedziałaś Blaine'owi zaczęła mówić słabym głosem że chcę się z tobą pogodzić, Centaine. Powiedziałaś mu, że rozumiem, że nie byliście w stanie oprzeć się miłości i że mam świadomość iż staraliście się w tym wszystkim maksymalnie mnie oszczędzić. Powiedziałaś mu że wiem, że nigdy nie byłaś mściwa, i choć mogłaś mi go zabrać, nie skazałaś mnie na to ostateczne upokorzenie Mimo iż nie byłam już kobietą, pozwoliłaś mi zachować resztki kobiecej godności.

Centaine poczuła, jak zalewa ją fala Współczucia, jej oczy wezbrały łzami. Miała ochotę wziąć tę kruchą, umierającą istotę w ramiona i przytulić ją do siebie, ale powstrzymał ją przed tym dumny błysk w oku Izabeli. Schyliła więc tylko głowę i zachowała milczenie.

— Powiedziałaś Blaine'owi że wniosłaś w jego życie szczęście, którego ja nie mogłam mu już dać, i że mimo to, a dzięki twojej szlachetności mogłam nadal, choć w części, mieć go dla siebie.

— Och, Izabelo, nie wiem jak ci powiedzieć — Głos uwiązał Centajne w gardle, a Izabela nikłym gestem nakazała jej zachować milczenie.

Wydawało się, że zbiera siły przed jakimś ogromnym wysiłkiem. Na jej policzki powrócił ledwie dostrzegalny rumieniec, błysk durny w jej oczach rozgorzał pełnym blaskiem. Oddychała szybciej i głębiej, a kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał mocniej i ostrzej.

— Powiedziałaś mi to wszystko tylko po to, żeby dał się przekonać i cię tu sprowadził. Gdyby domyślił się, o co naprawdę mi chodzi, nigdy nie pozwoliłby ci tu przyjść.

Oderwała głowę od poduszki i jej głos zmienił się w wężowy syk.

— Teraz mogę ci powiedzieć, jak bardzo cię nienawidziłam przez te wszystkie lata, każdej godziny i każdego dnia. To ta nienawiść utrzymywała mnie tak długo przy życiu, bo tylko w ten sposób mogłam nie dopuścić do tego, byś miała go także jako męża. Teraz, kiedy umieram, ta nienawiść płonie we mnie ze stokrotnie większą mocą...

Urwała, z trudem łapiąc oddech, a Centaine skuliła się przed jej spojrzeniem. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że potworne cierpienia, które ta kobieta znosiła przez tyle lat, toczona bólem, nienawiścią i zazdrością, doprowadziły ją do obłędu.

— Jeśli klątwa umierającej ma jakąkolwiek moc podjęła z siłą Izabela — to ja rzucam ją na ciebie, Centaine Courteney, w swym ostatnim tchnieniu. Obyś doznała tych samych krzywd, które ty mnie wyrządziłaś, obyś zaznała tych samych cierpień, które za twoją sprawą były moim udziałem. Tego dnia, kiedy staniesz przed ołtarzem z moim mężem, osiągnę cię zza grobu...

— Nie, nie! — Centaine wstała z podłogi i chwiejnym krokiem zaczęła cofać się ku drzwiom. — Przestań! Proszę cię, przestań!

Izabela wybuchnęła piskliwym, szyderczym śmiechem.

— Przeklinam cię i niech ta klątwa zawiśnie czarną chmurą nad waszą cudzołożną namiętnością. Przeklinam każdą minutę, którą spędzicie razem, kiedy mnie już nie będzie. Przeklinam nasienie, które kiedykolwiek złożył i złoży w twym łonie, przeklinam każdy pocałunek, każdą pieśczołę! Przeklinam ciebie i twoje potomstwo, cały twój diabelski pomiot! Oko za oko, Centaine Courteney. Zapamiętaj moje słowa — oko za oko!

Centaine rzuciła się do drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem i wybiegła na korytarz. Blaine biegł jej naprzeciw po schodach, pokonując po kilka stopni naraz. Próbował ją zatrzymać, ale wyrwała mu się bez słowa, wypadła przed dom i umknęła do samochodu.

Jechała jak szalona, wciskając gaz do deski, wyduszając z siedmiolitrowego silnika najwyższe obroty, wzbijając za sobą wysoki, błądy słup pyłu. Dopiero po wielu godzinach tej jazdy uświadomiła sobie, że instynktownie kieruje się w głąb pustyni, ku rozedrganym wśród pustynnych miraży, owianych tajemnicą wzgórzom, nazywanych przez małych Buszmenów „Miejscem Wszelkiego Zycia”.

Minęły dwa miesiące, nim Centaine wróciła z Kalahari. Przez cały ten czas udaremniała wszelkie próby Blaine'a, by się z nią skontaktować, nie Odpowiadała na jego listy ani na telefony, którymi zamęczał Abego Abrahamsa i Twentymana-Jones'a

O Śmierci Izabeli Maicomess dowiedziała się z nekrologów w gazetach dostarczanych do H'ani z Wielotygodniowym Opóźnieniem ale to tylko Wzmocniło W niej Uczucie osamotnienia i nieuchronnego nadciągania tragedii i katastrof, które miała na nią ściągnąć klątwa Izabeli.

Do Weltevreden wróciła dopiero na usilne nalegania Shasy. Kiedy zajechała przed dom, włosy miała białe od kurzu, twarz spaloną Pustynnym słońcem na mahoń, była zupełnie wykończona, a po głowie wciąż chodziły jej najczarniejsze myśli. Shasa musiał dostać jej telegram i Powinien był spodziewać się jej przyjazdu, musiał także usłyszeć warkot silnika w alei dojazdowej ale nie wyszedł na spotkanie na werandę przed domem. Dopiero kiedy stanął w drzwiach swego gabinetu, zrozumiała dlaczego. Odwrócił się od okna, przez które obserwował, jak wysiadała z samochodu, i podszedł się przywitać. Był w mundurze.

Znieruchonijała w progu, czując, że przenika ją lodowaty chłód. Kiedy tak patrzyła, jak ku niej idzie, przed Oczyma stanął jej inny wysojdzący nieprawdopodobnie Przystojny mężczyzna w takiej samej bluzie koloru *khaki*, z lśniąca sprzączką u pasa, w nasuniętej zawadiacko na czoło czapce z daszkiem i skrzydlatym emblematem lotnika na piersi.

- Dzięki Bogu, żeś przyjechała, mamó. - Powiedział na przywitanie Shasa. - Nie mógłbym wyjechać bez pożegnania z tobą.

- Kiedy? — wydusiła z siebie sparaliżowana strachem przed tym, co usłyszy. — Kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro.

— Dokąd? Dokąd cię wysyłają?

— Najpierw do Roberts Heights. — Była to baza szkoleniowa lotnictwa w Transwalu - Tam przesiądziemy się na myśliwce. A potem dokądkolwiek nas wyślą. Zyc mi szczęścia, mamó.

Zauważyła że na epoletach bluzy ma pomarańczowe błyskawice wyróżniające tych, którzy zgłosili się na ochotnika do wykonywania zadań poza granicą kraju.

- Tak, kochanie życzę ci szczęścia odparła drewnianym głosem, czując, że pęka jej serce.

47

Pomimo skórzanej pilotki i naciśniętych na nią słuchawek radiotelefonu ryk silnika Rolls-Royce'a wypełniał mu całą głowę. Kabina pilota w hurricanach była otwarta, więc pęd powietrza szarpał go i tarosił, lecz jednocześnie dawało mu to niczym nie zakłócony widok na rozpościerające się nad nim błękitne afrykańskie niebo. Trzy myśliwce leciały w luźnym szyku trójkątnym. Płowe pustynne barwy maskujące nie były w stanie ukryć pięknych, groźnych kształtów ich kadłubów.

Eskadrą dowodził Shasa. Awansował niezwykle szybko. Zdolności dowódcze miał niemal we krwi, lekcje, których udzielała tnu Centaine, nie poszły na marne. Wystarczyło osiemnaście miesięcy, żeby został dowódcą eskadry.

Pilotował w koszuli z krótkimi rękawami w kolorze khaki, szortach i sandałach na gołych nogach, bo lejący się z abisyńskiego nieba żar był trudny do zniesienia. U pasa miał służbowego webleya, zupełnie archaiczną broń jak na pilota nowoczesnego myśliwca, ale od czasu kiedy wywiad rozprowadził te koszmarnie zdjęcia, nikt nie ruszał na akcję bez broni osobistej. Jeden ze zmotoryzowanych oddziałów zwiadowczych zajął maleńką górską wioskę i natrafił w niej na szczątki dwóch południowoafrykańskich pilotów zestrzelonych i pojmanych przez abisyńskich partyzantów, *shufta* — dzikich górskich bandytów. Pilotów wydano na pastwę kobietom. Najpierw ich wykastrowały, potem obdarły ze skóry rozpalonymi do czerwoności szczypcami i rozpruły im brzuchy z taką wprawą, że kiedy trzewia z nich wypłynęły, musieli jeszcze żyć. Na koniec rozwarło im szczęki ciernistymi gałęziami i kobiety dotąd oddawały im mocz w usta, aż obaj się utopili. Tak więc wszyscy piloci nosili teraz broń u pasa, po pierwsze dla obrony, a po drugie, by mieć pewność, że nikt nie schwyta ich żywcem.

Tego dnia powietrze było krystalicznie czyste, lazurowe niebo bezchmurne, widoczność znakomita. Przed i pod nimi ciągnęła się poszarpana Wyżyna Abisyńska, z potężnymi masywami górskimi o płaskich szczytach, z ciemnymi czeluściami głębokich przepaści, skalista i pustynna, sucha i spalona słońcem na kolor sierści starego steranego życiem lwa.

Myśliwce zadany nosy, wchodząc na wyższy pułap. Wystartowali przed kilkanaście minutami z polowego pasa w Yirga Alem na ledwie słyszalne, lecz rozpaczliwe radiowe wezwanie nacierającej piechoty, i skierowali się na północ wzdłuż cienkiej, bladej nitki drogi, wijącej się daleko w dole między górami.

Po jej wypatrzeniu Shasa zaczął natychmiast przeczesywać wzrokiem niebo, kręcąc głową na wszystkie strony, zerkając nieustannie w górę, w dół i na boki, ani na chwilę nie pozwalając sobie zatrzymać spojrzenia na jakimkolwiek nieistotnym obiekcie i on to zobaczył ich pierwszy.

Maleńkie kropeczki, kilka czarnych pyłków na kłującym w oczy błękitcie.

— Eskadra zwiadowcza, tu dowódca! Wróg w zasięgu wzroku! — rzucił do mikrofonu swego radiotelefonu. — Jedenasta zero zero, wysoko w górze! Ponad dziesięć, chyba włoskie caproni. W gaz, w gaz!

„W gaz” było rozkazem do rozwinięcia maksymalnej prędkości.

— Mam ich — odparł natychmiast Dawid Abrahams.

To niezwykle, że przez cały ten czas zdołali utrzymać się razem, od szkolenia w Roberts Heights przez wszystkie nieprzewidziane zwroty kampani wschodnioafrykańskiej aż do teraz, gdy włączeni do Korpusu Południowoafrykańskiego Dana Pienaara spychali Włochów księcia D'aosty z powrotem w stronę Addis Abeby.

Shasa zerknął szybko w prawo. Dave zadarł swego hurricana i piął się w górę. On także miał kabinę otwartą. Posłał Shasie szeroki uśmiech. Słońce spaliło mu na czerwono wydatny, zagięty nos, pod brodą zwisły mu nie zapięte paski pilotki. Dobrze było mieć go na swym skrzydle. Szykując się do ataku, jak na komendę zasunęli kopuły kabin i skupili się na tym, co dzieje się w przodzie. Shasa zdecydował się na klasyczny manewr i poprowadził eskadrę łagodnym łukiem, by zająć wroga od słońca.

Maleńkie pyłki rosły szybko i już wkrótce nabrały znajomych kształtów trzysilnikowych bombowców z zakładów Caproniego. Shasa naliczył ich dwanaście, cztery rzędy po trzy. Kierowały się znów ku skrzyżowaniu dróg w Kerene, gdzie czoło nacierającego Korpusu Południowoafrykańskiego natrafiło na wąską przełęcz między niemal pionowymi ścianami skalnymi górskich masywów. W tej właśnie chwili Shasa dostrzegł, że pierwszy rząd maszyn zaczyna zrzucać bomby.

Nadal na pełnym ciągu, z przejmującym rykiem protestujących silników wspięli się na najwyższy pułap i zawrócili od słońca oślepiającego włoskich strzelców pokładowych. Shasa złożył swego myśliwca na skrzydło i runął do ataku.

Teraz widział już rozpryski wybuchów, maleńkie fontanny bladego pyłu tryskające wokół skrzyżowania i pomiędzy pojazdami kolumny pełzającej dnem górskiego wąwozu niczym rządkiem mrówek. Ci biedacy tam w dole dostawali potężnego łupnia. Nim zdążyli spaść z góry na swą zdobycz, następna grupa bombowców zrzuciła swój ładunek. Grube szare jaja, upierzone z jednego końca, opadały ze zwodniczo powolnym kolebaniem się na boki. Po raz ostatni odwrócił głowę i mrużąc oczy przed słońcem omiół spojrzeniem niebo, sprawdzając, czy gdzieś tam nie czają się w zasadzce włoskie myśliwce osłony, ale błękitu nie mącił nawet najdrobniejszy pyłek. Spojrzał więc wprost przed siebie i całą uwagę skupił na przyrządach celowniczych.

Wybrał maszynę prowadzącą trzeci rząd, mając nadzieję, że w ten sposób pokrzyżuje im szyki, uniemożliwi precyzyjne zrzucenie ładunków. Musnął lewy ster i dotąd zniżał nos swego hurricana, aż srebrzysto-niebieski caproni zakołysał się łagodnie w rozetce celownika.

Jeszcze sześćset metrów. Widział już emblematy na kadłubie, pęki różg liktorskich i topór cesarskiego Rzymu. Obaj piloci w kabinie spoglądali w dół, śledząc wzrokiem tor lotu bomb. Lufy dwóch sprzężonych karabinów maszynowych sterczące z obrotowej wieżyczki zwrócone były dokładnie do tyłu.

Pięćset metrów. Widział już głowę i ramiona strzelca w wieżyczce. Siedział tyłem do Shasy. Nie zauważył jeszcze trzech myśliwców spadających w morderczym ataku z góry i od lewej.

Czterysta metrów. Już tak blisko, że widać było rozedrgane od żaru spaliny wokół otworów wydechowych silników, a strzelec w dalszym ciągu nie zdawał sobie z niczego sprawy.

Trzysta metrów. Pod pękatymi brzuchami capronich, brzemienymi śmiercią, zaczęły się otwierać klapy ładowni bomb. Teraz widział już równiutkie rzędy nitów spajających srebrny kadłub i szerokie niebieskie skrzydła. Mocniej zacisnął rękę na drążku sterowym między kolanami i odsunął bezpiecznik przycisku spustowego uruchamiającego wszystkie osiem karabinów maszynowych na skrzydłach jego hurricana.

Dwieście metrów. Nacisnął stopami dźwignie sterów poziomych i celownik przesunął się wzdłuż kadłuba caproniego. Shasa wbił weń wzrok, marszcząc w skupieniu czoło i zagryzając dolną wargę. Nagle przed nosem śmignęła mu smuga rozjarzonych fosforyzujących paciorków. To wypatrzył go w końcu strzelec drugiego bombowca i bez namysłu posłał w jego stronę nerwową serię ostrzegawczą.

Sto metrów. Strzelec i obaj piloci pierwszego caproniego zaalarmowani strzałami obejrżeli się gwałtownie i zabaczyli atakującego myśliwca. Strzelec zaczął rozpaczliwie obracać wieżyczkę, by naprowadzić swe karabiny na cel. Shasa widział w celowniku jego pobladłą twarz wykrzywioną panicznym strachem.

Osiemdziesiąt metrów. Wciąż marszcząc brwi Shasa nacisnął kciukiem przycisk spustowy. Hurricane zadrżał i zwolnił, szarpnięty do tyłu odrzutem ośmiu browningów, Shasa poleciał łagodnie do przodu, aż napięły się trzymające go w fotelu pasy. Jaskrawe paciorki pocisków smugowych, iskrzących się jak przy elektrycznym spięciu, dopadły caproniego, a Shasa uważnie śledził tor ich lotu, korygując go kilkoma drobnymi muśnięciami sterów.

Włoski strzelec nie zdążył uruchomić działka w wieżyczce. Otaczająca go kopuła z pleksiglasu przestała istnieć, a salwa skoncentrowanego ognia rozniosła go w strzępy. Pół głowy i jedna ręka odpadły od tulowia jak oderwane szmacianej lalce przez złośliwe dziecko, struga powietrza za śmigłem wyssała je ze szkieletu kopuły i porwała do tyłu. Shasa natychmiast przeniósł celownik na srebrzystą monetę wirującego śmigła i czuły punkt caproniego u spojenia skrzydła z kadłubem. Kruche linie skrzydła roztopiły się jak wosk w płomieniu świecy. Gliceryna i pary paliwa chlusnęły z silnika płachtą cieczy i całe skrzydło w miejscu spojenia odgięło się powoli do tyłu, po czym oderwało się i poszybowało w tył, niczym martwy jesienny liść na wietrze. Bombowiec przewrócił się na plecy i pozbawiony brakiem skrzydła stabilności zaczął spadać płaską, odwróconą spiralą, rysując w powietrzu nieregularne zygaki oparów paliwa, dymu i ognia. Ale Shasa już tego nie widział; całą uwagę skupił na następnej eskadrze bombowców.

Wciąż na pełnym ciągu wykonał akrobatyczny zwrot, kładąc maszynę w tak ostry zakręt, że krew odpłynęła mu z mózgu, a przed oczami zawirowały szare i czarne mroczki. Napiął mięśnie brzucha i zacisnął szczęki, by przeciwdziałać odpływowi krwi, wyprowadził maszynę z zakrętu i wszedł dokładnie na tor kolizyjny z następnym capronim w rzędzie.

Oba samoloty pędziły na siebie z przerażającą szybkością. Dziób caproniego rozdymał się jak za sprawą czarów, aż wypełnił całe pole widzenia Shasy. Z tej odległości wszystkie pociski z browningów musiały trafić w cel. Shasa nacisnął spust i natychmiast poderwał maszynę niemal pionowo w górę. Przemknął nad bombowcem tak blisko, że niemal się o niego otarł, a uderzenie strumienia zaśmigłowego caproniego wprowadziło kadłub myśliwca w potężną wibrację. Znow

zawrócił, szybko i ostro, natarł z furją na Włochów, rozerwał ich szyk, rozpedził ich po niebie, nurkując, atakując i strzelając dotąd, aż wszyscy pierzchli i zniknęli „, tak nagle, jak to się zdarza tylko w czasie starć powietrznych.

Został sam w bezmiarze pustego błękitnego nieba zlany potem od pulsującej we krwi adrenaliny. Drażek sterowniczy zaciskał w rękę z taką siłą, że omal nie odgniółł sobie palców. Zmniejszył dopływ paliwa i sprawdził stan zbiorników. Przez te dziesięć minut szalonej gonitwy na pełnym ciągu spalił ponad połowę zapasów paliwa.

— Eskadra zwiadu, tu dowódca — rzucił do mikrofonu. — Zgłosić się i meldować.

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

— Dowódca, tu trzeci! — To był pilot jego trzeciej maszyny, młody Le Roux. — Mam jedną czwartą baku.

— W porządku, trzeci, wracaj samodzielnie do bazy — rozkazał Shasa i wywołał po raz drugi:

— Eskadra zwiadu, tu dowódca. Drugi, czy mnie słyszysz?

Przeszukał wzrokiem niebo, próbując wypatrzeć samolot Dawida i poczuł pierwsze ukłucie niepokoju.

— Drugi eskadry zwiadu, zgłoś się! — powtórzył i spojrzał w dół na poszarpaną brunatną równinę, rozglądając się za słupem dymu bijącego od roztrzaskanego samolotu. I nagle serce zabiło mu żywiej — w słuchawkach czysto i wyraźnie rozbrzmiał głos Dawida.

— Dowódca, tu drugi. Mam uszkodzenie.

— Dawid! Gdzie ty, u diabła, jesteś?

— Mniej więcej piętnaście kilometrów na wschód od skrzyżowania w Kerene, na wysokości dwóch tysięcy pięciuset metrów.

Shasa przeniósł szybko wzrok w stronę wschodniej ćwiartki i prawie natychmiast dostrzegł nad niebieskim horyzontem cienką, szarą kreskę przedłużającą się w kierunku na południe.

— Dawid, widzę w twojej okolicy dym. Czy ty się palisz?

— Tak jest. Pali mi się silnik.

— Trzymaj się, zaraz tam będę!

Shasa położył swego hurricana na skrzydło, zawrócił ostro, szarpnął przepustnicą, zwiększając maksymalnie dopływ paliwa, i runął z wyciem silników w dół, by dogonić lecącego nieco niżej Dawida.

— Dawid, jak to wygląda?

— Na pieczenie indyka — odparł lakonicznie Dawid.

W tej samej chwili daleko w przodzie Shasa dostrzegł płonącego hurricana.

Dawid prowadził swoją maszynę w głębokim, bocznym przechyle, tak by płomienie z palącego się silnika nie sięgały do kabiny pilota, lecz spychane pędem powietrza strzelały na bok. Schodził szybko w dół, próbując osiągnąć krytyczną prędkość, przy której dopływ tienu zmniejsza się tak bardzo, że pożar musiałby się ugasić samoczynnie.

Shasa dogonił go, po czym zwolnił i uczeplił się Dawida nieco z góry, dwieście metrów za ogonem. Teraz widział już podziurawione kulami skrzydło i osłonę silnika. Któryś z włoskich strzelców musiał trafić Dawida całą porządną serią. Farba na kadłubie szerniała i złuszczyła się aż po kabinę pilota, a Dawid mocował się z kopułą z pleksiglasu, próbując ją odsunąć.

„Jeśli się zablokowała, to się żywcem upiecze” — przemknęło przez myśl Shasie, lecz w tej samej chwili kopuła zsunęła się gładko do tyłu i Dawid spojrzał w jego stronę. Powietrze wokół jego

głowy drżało od bijącego od niewidocznych płomieni żaru, na rękawie bawełnianej koszuli Dawida zaczęła rosnać brązowa plama.

— Nic z tego! Skaczę!

Zobaczył ruch warg Dawida, a potem ze słuchawek jak echo dobiegły jego słowa, lecz nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Dawid zerwał z głowy pilotkę i odpiął pasy. Podniósł rękę w geście pożegnania, przewrócił płonąca maszynę na plecy i wypadł z otwartej kabiny.

Z początku spadał z rozpostartymi rękoma i nogami, jak nieforemna rozgwiazda, lecz po chwili zaczął się obracać, z jego plecaka wystrzelił pęk jedwabiu i rozwinął się nad nim w połyskliwy, śnieżnobiały kwiat. Ostre szarpnięcie wyhamowało spadek na rozciągającą się dwa tysiące metrów niżej spaloną słońcem, brązowoPŁOWĄ Ziemię, a lekki wiatr poniósł spadochron na południe.

Shasa zmniejszył prędkość swego hurricana aż zaczął tracić wysokość w tym samym tempie, co opadający spadochron, i trzymając się w odległości dwustu, trzystu metrów od huśtającego się na linkach ciała krążył wokół, wyglądając w dół z otwartej kabiny, by oszacować miejsce lądowania Dawida, i co chwila zerkając z niepokojem na wskaźnik paliwa, którego strzałka drgała tuż nad czerwoną kreską.

Płonący hurricane Dawida roztrzaskał się na piaszczystej równinie u podnóża gór, eksplodował i zasnuł powietrze jednym, szybko rozwiewającym się obłokiem czarnego dymu. Shasa powrócił do lustrowania powierzchni ziemi.

Dokładnie pod nimi ciągnęły się stalowoszare granie wieńczące stożki ciemniejszych skał. Między graniami widać było kamieniste zagłębienia, o dnach szorstkich jak skóra krokodyla, a dalej, tuż za ostatnim grzbietem, otwierała się gładsza, bardziej gościnna dolina. Kiedy opadu niżej, Shasa dostrzegł na jej łagodnych stokach regularne prostokąty prymitywnych zagonów. Dawid musiał wylądować albo na tym ostatnim szczycie, albo już w dolinie.

Zmrużył oczy. Ludzkie siedziby! Przy końcu doliny stała grupka krytych strzechą chat. Na chwilę ożyła w nim nadzieja, lecz natychmiast przypomniał sobie tamte zdjęcia — te zmasakrowane, zbeszczeszczone ochłapy ludzkiego ciała, i zacisnąwszy szczęki spojrzał na Dawida, huśtającego się i kołyszącego na linkach spadochronu.

Zostawił Dawida, zszedł w dół, wyrównał lot piętnaście metrów nad ziemią i między wysokimi skalnymi ścianami wleciał w płytką dolinę. Przemknął z rykiem silników nad prymitywnymi zagonami rachitycznego, nierówno posadzonego sorga, skarłałego i zbrązowiałego od suszy, i daleko w przodzie ujrział sylwetki ludzi.

Dnem doliny biegła od wioski grupka mężczyzn. Było ich dwudziestu czy trzydziestu, długie brudne szare chałaty płątały im się wokół czarnych bosych nóg. Na głowach mieli rozczochrane ciemne czupryny sfilcowanych kędzierzawych włosów, wszyscy byli uzbrojeni — jedni w archaiczne, ładowane od przodu, długie i ciężkie muszkiety, inni w nowoczesne karabiny, zapewne wyszabrowane z pola bitwy.

Kiedy myśliwiec przemknął z rykiem tuż nad ich głowami, trzech czy czterech przystanęło i póderwało broń do oka. Shasa dostrzegł małe obłoczki dymu z czarnego prochu, i choć nie poczuł, by którakolwiek z kul go trafiła, ten dowód wrogich zamiarów w zupełności mu wystarczył. Wymachując karabinami uzbrojeni mężczyźni popędzili dnem doliny, by przechwycić huśtającego się na spadochronie skoczka.

Shasa zawrócił, ponownie zszedł w dół, ustawił sobie biegnących rzędem od lewej do prawej i z odległości pięciuset metrów otworzył ogień ze wszystkich ośmiu browningów. Strugi pocisków

smugowych wzbily wokół odzianych w nędzne chałaty postaci wirującą kurzawę pyłu i skosiły kilka z nich na ziemię. W tej samej chwili musiał jednak nabrać wysokości, by nie roztrzaskać się o zamykające dolinę wzgórze, a kiedy zatoczył koło, zobaczył, że *shufta* przegrupowali się i znów pędzili w stronę przewidywanego miejsca lądowania Dawida, który opadł już na wysokość trzystu metrów. Nie było wątpliwości, że siądzie w dolnych partiach zbocza doliny.

Zszedł nurkiem do następnego ataku, lecz tym razem *shufta* rozpięchli się przed nadlatującym myśliwcem i zza osłony skał otworzyli do niego wściekły ogień. Jego własne działka wznieciły tumany kurzu i odłupały wiele odłamków kamienia, ale poza tym nie wyrządziły żadnej szkody.

Znów odbił w górę, wyrównał lot i wyciągając szyję śledził tor ślizgu spadochronu Dawida. Spadochron przeleciał dosłownie kilka stóp nad granią, tam dostał się w zstępujący prąd powietrza i raptownie spadł na ziemię.

Dawid wylądował twardo, przekoziółkował kilka razy po kamienistym zboczu, aż spadochron znów poderwał go na nogi. Szamocząc się ze splątanymi linkami i wzdymającym się materiałem ciał i dziurawił czaszę, aż uszło z niej powietrze i opadła na ziemię w srebrzystą stertę jedwabiu. Wtedy natychmiast wyswobodził się z uprzęży, podskoczył do krawędzi grani i spojrzał w dół, w stronę ścigających go partyzantów. Shasa zobaczył, że odpina kaburę, wyciąga pistolet, po czym ocienia oczy ręką i podnosi wzrok na krążący w górze samolot.

Shasa zniżył lot niemal do jego poziomu i przelatując obok natarczywym ruchem wskazał w dół zbocza. Dawid patrzył na niego pustym wzrokiem, nie pojmując, o co mu chodzi. Na tym długim, pustym stoku wydawał się malutki i zupełnie zagubiony. Z wyrazem rezygnacji na twarzy pomachał Shasie na pożegnanie, po czym odwrócił się, by stawić czoło nacierającej bandzie dzikusów.

Shasa raz jeszcze przemknął nad głowami *shufta*, jeszcze raz otworzył ogień, lecz i tym razem rozbiegli się na boki kryjąc za lwystępami skał. Wciąż jeszcze mieli do Dawida ponad kilometr. Opóźnił ich pościg o wiele cennych sekund. Złożył hurricana w najostrzejszy zakręt, jaki maszyna mogła wytrzymać, musnął skrzydłem cierniste krzaki porastające grzbiet wzgórze i natychmiast po wyrównaniu lotu wypuścił podwozie. Z kołami gotowymi do lądowania przemknął Dawidowi nad głową, wskazując mu gorączkowo tym samym gestem dno doliny.

Tym razem twarz Dawida rozjaśnił błysk zrozumienia. Odwrócił się i popędził w dół długimi, lekkimi susami, zupełnie jakby unosił się nad brunatną ziemią, ledwie muskając stopami szare kamienie. Shasa zawrócił u końca doliny i namierzył na niechlujnie zaorany pas ziemi u stóp zbocza. Kątem oka dostrzegł, że Dawid jest już w połowie stoku, a *shufta* próbują mu zabiec drogę, ale teraz całą uwagę musiał skupić na lądowaniu.

W ostatniej chwili zamknął dopływ paliwa, opuścił całkowicie klapy i z całej siły ściągnął do siebie drążek sterowniczy. Tuż przed zaoraniem skrawkiem ziemi maszyna wytraciła rozpęd, opadła z hukiem na ziemię, odbiła się, znów opadła, zaryła kołem w bruzdę i zaczęła stawać dęba. Wydawało się już, że mc nie uchroni jej od przekoziółkowania na grzbiet, gdy ogon opadł z powrotem na ziemię i samolot potoczył się do przodu, drżąc, dygocąc i podskakując, ciskając brutalnie przypiętym pasami Shasę na wszystkie strony.

Usiadł. Liczył, że ma pięćdziesiąt procent szans wylądować i nie rozbić hurricana i oto mu się to udało. Usiadł, a Dawid był już prawie na dnie doliny.

I w tej samej chwili zorientował się, że mimo wszystko Dawid nie zdąży do niego dobiec. Czterech najszybszych *shufta* wysforowało się do przodu i musiało mu zabiec drogę, nim dotrze do zaoranego pola. Reszta przerwała pościg i zaczęła strzelać. Kule wzbijały na zboczu maleńkie

pióropusze pyłu, zatrważająco zbliżające się do szczupłej sylwetki uciekającego.

Obrócił hurricana stając na jednym sterze, by koła zdołały pokonać opór nierównych bruzd, a kiedy znalazł się dokładnie przodem do czterech biegnących partyzantów, otworzył raptownie dopływ paliwa i ogon myśliwca poderwał się w górę. Na jedną chwilę samolot zawisł poziomo, umożliwiając mu użycie browningów. Pociągnął pełną długą serią omiatając burzą ognia całe pole przed sobą, wykosił zagon zwarzonego suszą sorga i trafił w grupkę biegnących. Dwóch z nich zmieniło się natychmiast w przesiąknięte krwią kupki łachmanów, trzeci rozpostarł ręce na boki, zakreślił się w kółko w piruecie śmierci i zniknął w kurzawie wznieconego pyłu. Czwarty zdążył rzucić się na ziemię. W następnej chwili ogon hurricana opadł i karabiny maszynowe stały się bezużyteczne.

Dawid miał już tylko kilkaset metrów, śmigając długimi nogami pędził jak gazela. Shasa zawrócił hurricanem, ustawiając go z powrotem przodem w dół zbocza. Spadek terenu powinien pomóc im nabrać szybkości potrzebnej do oderwania się od ziemi.

— Dawaj, Davie, dawaj! — zawołał, wychylając się z kabiny. — Tym razem murowany złoty medal, stary!

Coś uderzyło z metalicznym zgrzytem w poszycie kadłuba tuż przed kabiną i odbiło się świszczącym rykoszetem, wydrapując w farbie srebrną ryse. Shasa obejrzał się przez ramię. *Shufta* dotarli już do skraju pola i biegli dalej, przyklękając co kilka kroków, żeby oddać strzał. Skulił się i wcisnął głębiej w fotel, bo w tej samej chwili tuż na głowę przemknęła mu następna kula.

— Szybciej, Davie!

Poprzez dudnienie silnika słuszał już dyszący oddech Dawida. Kolejna kula trafiła w skrzydło, wybijając w nim idealnie okrągłą dziurkę.

— No, dawaj!

Pot pokrył czarnymi plamami koszulę Dawida, ściekał mu grubymi kroplami po twarzy. Jeszcze dwa susy, jeszcze jeden i dopadł wreszcie hurricana, wskakując z rozpędu na skrzydło. Samolot przysiadł pod jego ciężarem.

— Wskakuj mi na kolana! — zawołał Shasa.

Dawid wdrapał się do kabiny, z najwyższym trudem łapiąc oddech i przygniótł go swoim ciężarem.

— Nic me widzę! — krzyknął Shasa. — Trzymaj drążek i przepustnicę, ja będę operował sterami!

Poczuwszy, że Dawid chwycił drążek i dźwignię gazu, puścił jedno i drugie. Silnik ryknął na wyższych obrotach i hurricane potoczył się do przodu.

— Odrobina lewego! — zawołał Dawid głosem ochryłym z napięcia i zmęczenia. Shasa pchnął leciutko lewy ster.

Silnik Rolls-Royce'a osiągał z hukiem pełną moc. Wzbijając tumany kurzu toczyli się po polu i podskakiwali, z trudem trzymając się linii prostej, gdyż Shasa operował sterami na oślep, często zbyt gorliwie wykonując polecenia Dawida.

Shasa nie widział nic przed sobą. Dawid przygniótł go własnym ciałem w fotelu i całkowicie zasłonił mu widok z przodu. Pozostało mu tylko wyciągnąć szyję, by ponad krawędzią kabiny obserwować przemykającą coraz szybciej obok ziemię i jak najszybciej reagować na wołania Dawida o trochę lewego czy prawego steru. Suche łodygi sorga smagały czołowe krawędzie skrzydeł, wydając przy tym odgłos niemal równie paskudny, jak przelatujące obok kule. Wszyscy

pozostali przy życiu *shufta* wciąż jeszcze do nich strzelali, ale dzieląca ich odległość błyskawicznie się powiększała.

Hurricane trafił na garb w ziemi, Shasa i Dawid podskoczyli wysoko na siedzeniu i w tej samej chwili dygotanie maszyny raptownie ustało — wzniesli się w powietrze.

— Udało się! — zawołał Shasa na cały głos, zdumiony własnym wyczynem i w tym właśnie momencie coś uderzyło go w twarz.

Kula była kawałkiem nóżki od kociołka z kutego żelaza, miała długość i grubość kciuka dorosłego mężczyzny. Wystrzelono ją ze starego osiemnastowiecznego muszkietu przy użyciu garści czarnego prochu. Trafiła w metalową ramę kabiny obok głowy Shasy, spłaszczona odbiła się od niej rykoszetem i wirując uderzyła go w twarz. Po uderzeniu w ramę wytraciła jednak znaczną część szybkości, dzięki czemu nie przebiła się do mózgu.

Shasa nie stracił nawet przytomności. Czuł się, jakby ktoś walnął go z całej siły młotkiem do poła tuż obok zewnętrznego kącika lewego oka. Głowa odskoczyła mu tak gwałtownie, że uderzył nią w krawędź kabiny po przeciwnej stronie.

Poczuł, jak kość nadoczodołowa pęka na drobne kawałki, oko zalała mu krew, a na twarz opadła mu zasłona ze strzępów własnej skóry i własnego żywego mięsa.

— Dawid! — krzyknął przeraźliwie. — Trafili mnie! Nic nie widzę!

Dawid obejrzał się przez ramię i na widok, który zobaczył, wydał okrzyk przerażenia. Krew tryskała, chlustała i ciekła, a pęd powietrza rozbijał ją w różowy woal, osiadający szybko kropelkami na jego własnej twarzy.

— Nic nie widzę — powtarzał w kółko Shasa. Jego czoło skroń i policzki zmieniły się w jedną otwartą, ociekającą krwią ranę. Nic nie widzę, Dayie! O Boże, nic nie widzę!

Dawid zerwał z szyi jedwabną apaszkę i wepchnął ją Shasie w rękę.

— Spróbuj zatamować krwotok! - zawołał przekrzykując ryk silnika.

Shasa zmiął apaszkę i przycisnął ją do potwornie poszarpanej rany, a Dawid skupił się całkowicie na dotarciu do bazy, ciągnąc nisko, tuż ponad dzikimi brunatnymi wzgórzami.

Do pasa w Yirga Alem dolecieli piętnaście *minut* później, prawie zawadzając już o czubki drzew. Dawid posadził twardo hurricana i podkołował prosto do czekającego już na nich ambulansu, który udało im się wezwać przez radio w trakcie lotu.

Wyciągnęli Shasę z zalanej krwią kabiny, po czym potykającego się jak ślepiec na wpół zanieśli, na wpół zaprowadzili do karetki. Piętnaście minut później Shasa znalazł się na stole operacyjnym w namiocie szpitalnym, został uszponiony i zajął się nim wojskowy chirurg.

Kiedy obudził się po narkozie, panowała nieprzenikniona ciemność. Sięgnął ręką do twarzy — cała była grubo obandażowana. Ogarnął go paniczny strach.

Chciał krzyknąć: „David!”, ale chloroform sprawił, że z jego gardła dobył się tylko niewyraźny bełkot.

— Wszystko w porządku, Shaso, jestem przy tobie.

Głos dobiegał z bardzo bliska. Shasa na oślep wyciągnął ręce w jego stronę.

— Davie, Davie!

— Wszystko dobrze, Shaso, wszystko będzie dobrze.

Shasa natrafił na jego rękę i przywarł do niej kurczowo.

— Oślepiłem, nic nie widzę.

— To tylko opatrunek — zapewnił go Dawid. — Lekarz jest z ciebie bardzo zadowolony.

— Nie kłamiesz? — spytał błagalnie Shasa. — Powiedz, że nie oślepiłem.

— Nie oślepiłeś — szepnął Dawid, dziękując Bogu, że Shasa może zobaczyć wyrazu jego twarzy.

Shasa powoli puścił jego rękę, a chwilę później zadziałały środki przeciwbólowe i znów odpłynął w litościwy sen.

Dawid czuwał przy nim przez całą noc. Nawet po zajściu słońca w namiocie było gorąco jak w piecu. Ocierał Shasia pot z szyi i piersi i trzymał go za rękę, kiedy ten jęczał i dopytywał się przez sen:

„Mamo? Jesteś tam, mamo?”

Po północy lekarz polecił Dawidowi zostawić rannego i samemu

Itrochę odpocząć, ale Dawid odmówił.

— Muszę być przy nim, kiedy się obudzi. To ja muszę mu o tym powiedzieć. Chociaż tyle jestem mu winien.

O brzasku, gdy gdzieś w oddali zaszczekały szakale a brezent namiotu rozjaśniły pierwsze promienie słońca, Shasa obudził się po raz drugi i natychmiast powiedział:

— Dawid?

— Jestem, Shaso.

— Boli jak wszyscy diabli, Dayie, ale powiedziałaś, że wszystko będzie dobrze. Dobrze pamiętam. Powiedziałaś tak, prawda?

— Tak, tak właśnie mówiłem.

— I już niedługo znów razem polecimy, prawda, Dayie? Stary tandem Courteney-Abrahams wróci do roboty?

Czekał na odpowiedź, a kiedy nie nadeszła, jego ton uległ gwałtownej zmianie.

— Nie jestem ślepy, prawda? Będziemy znów latać?

— Nie jesteś ślepy — odparł cicho Dawid. — Ale latać już nie będziesz. Wracasz do domu, Shaso.

— Mów! — rozkazał Shasa. — Nie próbuj mnie oszczędzać, bo to tylko wszystko pogarsza!

— W porządku, powiem ci prosto z mostu. Kula rozerwała ci lewą gałkę oczną. Musieli ci ją usunąć.

Shasa z niedowierzaniem sięgnął ręką do lewej strony swej twarzy.

— Odzyskasz pełną zdolność widzenia w prawym oku, ale nie będziesz już mógł prowadzić hurricanów. Strasznie mi przykro.

— Mnie też — szepnął ledwie słyszalnie Shasa.

Wieczorem Dawid znów przyszedł go odwiedzić.

— Dowództwo przedstawiło cię do DFC [Distinguished Flying Cross — odznaczenie przyznawane oficerom lotnictwa.]. Na pewno go dostaniesz.

— To miło z ich strony — odparł Shasa. — Cholernie miło.

Milczeli przez chwilę, po czym Dawid powiedział cicho:

— Uratowałeś mi życie.

— Och, zamknij się, Dayie, nie nudź.

— Jutro rano przewiozą cię transportową dakotą na wybrzeże. Na Święta będziesz w Cape Town. Ucałuj ode mnie Matty i maleństwo, ty szczęściarzu.

— Zamieniłbym się z tobą w każdej chwili — odparł Shasa. — Jak wrócisz do domu, wydamy

na twą cześć przyjęcie, jakiego Cape nie widziało.

— Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić? — spytał Dawid wstając. — Potrzebujesz czegoś?

— Szczerze mówiąc, tak. Może udałoby ci się zdobyć gdzieś dla mnie butelkę whisky?

48

Dowódca łodzi podwodnej oderwał oczy od okulara peryskopu i skinął na Manfreda De La Reya.

— Proszę spojrzeć! — powiedział.

Manfred zajął jego miejsce, przycisnął czoło do gumowej podkładki i popatrzył przez peryskop.

Stali pięć kilometrów od brzegu, na powierzchni był późny wieczór. Ostatni skrawek słońca zniknął właśnie za lądem.

— Czy rozpoznaje pan tę okolicę? — spytał po niemiecku dowódca U-Boota, a Manfred nie od razu odpowiedział. Był tak przejęty, że nie mógł wykrztusić z siebie ani słowa.

Minęło pięć lat, pięć długich lat od czasu, kiedy po raz ostatni wodził wzrokiem po swym ukochanym wybrzeżu. Po prostu nie posiadał się z radości. Zawsze wiedział, że jedynym miejscem, gdzie będzie czuł się naprawdę szczęśliwy, jest Afryka.

Nie znaczy to, że te pięć lat były jednym pasmem nięszczęść. Zawsze miał swoją Heidi, a od roku także syna, Lothara, nazwanego tak na cześć dziadka. Tych dwoje stanowiło oś, wokół której obracało się jego życie. A do tego praca — zajmująca, wymagająca, dostarczająca wielkiej satysfakcji.

Po ukończeniu studiów na wydziale prawa uniwersytetu w Berlinie i uzyskaniu dyplomu z prawa międzynarodowego i rzymskiego prawa holenderskiego w całości poświęcił się zdobywaniu sprawności wojskowych. Czasami odrywało go to od rodziny na cały miesiąc lub dłużej, lecz oto teraz był znakomicie wyszkolonym i oddanym współpracownikiem niemieckiej Abwehry. Zdobył niezwykle i różnorakie umiejętności: radiooperatora, szyfranta, snajpera, eksperta w dziedzinie ładunków wybuchowych i broni ręcznej, mistrza w walce wręcz. Zaliczył dziesięć skoków ze spadochronem, z tego pięć w nocy, potrafił pilotować niewielkie samoloty. Nauczono go sztuki przemawiania i porywania za sobą tłumów na wiecach, studiował schematy wojskowych i politycznych struktur Afryki Południowej, aż poznał ich wszystkie czułe punkty i wiedział, w jaki sposób je wykorzystać. Przygotowano go do wykonania zadania, biorąc pod uwagę każdą ewentualność, którą on sam i jego mocodawcy byli w stanie przewidzieć. Nawet jednemu człowiekowi na milion nie trafiała się taka szansa, jaką dano jemu — szansa kształtowania historii i wywrócenia do góry nogami znieawidzonego porządku świata. Powierzono mu wykonanie zadania niezmiernie wagi, a on czuł, że potrafi sprostać czekającym go wyzwaniom.

— Tak — odpowiedział dowódcy U-Boota. — Rozpoznaję ten brzeg.

Spędził kiedyś tu, na tym odludnym skrawku południowo-wschodniego wybrzeża Afryki wspaniałe, beztrudne wakacje. Rodzina Roelfa Standerera miała tu pięć tysięcy hektarów ziemi, należało do niej osiem kilometrów kamienistego brzegu.

Manfred wypuszczał się z Roelfem na nadbrzeżne skały, by w spienionych zielonych falach przyboju rozbijającego się o czarne głązy łowić wielkie srebrzyste dorsze. Wspinali się na niskie wzgórza, by na czerwonych wrzosowiskach i wśród zarośli obsypanych cudownymi kwiatami dzikich srebrnic zapolować na buszunki. W tej maleńkiej zatoczce okolonej pasemkiem gładkiego żółtego piasku kąpali się nago, a potem wylegiwali na słońcu prowadząc nie kończące się rozmowy o przeszłości i fantazjując na temat niecodziennych ról, jakie mają w niej do odegrania. A tam, u

podnóża gór błyszczały w ostatnich promieniach słońca pobielone ściany domku. w którym wtedy mieszkali.

— Tak — powtórzył. — Jesteśmy dokładnie w miejscu spotkania.

— Zaczekamy na wyznaczoną porę — odparł dowódca i rozkazał opuścić peryskop.

Łódź podwodna zastygła w bezruchu pięć kilometrów od brzegu i dwadzieścia metrów pod powierzchnią oceanu, zawieszona w ciemnej wodnej otchłani, a tymczasem słońce zniknęło już za horyzontem i nad Afryką zapadła noc. Manfred zszedł wąskimi schodkami do maleńkiej kajuty, którą zajmował do spółki z dwoma młodszymi oficerami, i zaczął się przygotowywać do zejścia na ląd.

W czasie tych kilku tygodni, które upłynęły od wyjścia łodzi z Bremerhayen, zdążył ją całym sercem znienawidzić. Nienawidził ciasnoty powieszceń i nieustannej, natrętnej obecności innych mężczyzn, nienawidził kołysania i nie cichnącej ani na chwilę wibracji silnika, nienawidził smrodu ropy i smarów, zatęchłego fetoru stłoczonych na małej powierzchni ludzi. Nigdy nie oswoił się z myślą, że siedzi zamknięty w stalowym pudle w zimnych głębinach oceanu.

Całym sercem tęsknił do czystego, nocnego powietrza i palącego afrykańskiego słońca.

Zdjął szybko biały sweter i granatową, marynarską kurtkę, a zamiast tego nałożył podniszczone, pozbawione fasonu ubranie ubogiego Afrykanera. Twarz wciąż jeszcze miał mocno opaloną po treningach górskiej wspinaczki, zapuścił włosy i gęstą, kręconą brodę, która postarzała go o ładne parę lat. Przyjrzał się sobie w małym lusterku zawieszonym na ścianie kajuty nad koją.

— Nikt mnie nie rozpozna — orzekł na głos. — Nawet własna rodzina.

Włosy i brodę ufarbował na czarno, na kolor swych brwi i rzęs, nos miał grubszy i garbaty — złamany podczas finałowej walki olimpijskiej z Cyrusem Lomaxem nigdy nie zrósł mu się jak należy — jedną brew przeciętą blizną. W niczym nie przypominał młodego, schludnego, jasnowłosego sportowca, który pięć lat temu odpłynął z Afryki do Niemiec. Nacisnął na oczy sfatygowany filcowy kapelusz, z zadowoleniem skinął głową swemu odbiciu w lustrze, po czym odwrócił się i opadł na czworaka, by wyciągnąć spod koi ekwipunek.

Ekwipunek zapakowany był w gumowe wodoszczelne pojemniki oklejone taśmą. Kiedy sprawdził po kolei wszystkie numery z listą, niemiecki marynarz wyniósł pojemniki i ułożył je u stóp drabinki w wieżyczce łodzi.

Manfred spojrział na zegarek. Jeszcze szybki posiłek i będzie gotowy. Ale nim skończył jeść, wywołano go z kambuza i z ustami jeszcze zapchanymi chlebem i kiełbasą pobiegł do sterowni.

— Na brzegu widać światła.

Dowódca odsunął się od peryskopu i gestem dał Manfredowi znak, by zajął jego miejsce.

Na powierzchni było zupełnie ciemno, toteż Manfred natychmiast dostrzegł trzy ogniska sygnalizacyjne, dwa na najdalej wysuniętych w morze cypelkach zatoki i jedno w osłoniętym miejscu na plaży.

— To właściwy znak rozpoznawczy, panie kapitanie. — Wyprostował się i skinął głową. — Musimy się wynurzyć i nadać odpowiedź.

Przy wtórze huku i dudnienia sprężonego powietrza wdzierającego się do zbiorników balastowych U-Bot wynurzył się z ciemnych morskich głębin niczym biblijny Lewiatan i wychynał na powierzchnię.

Łódź podwodna huśtała się jeszcze w spienionej przez siebie kipieli, gdy dowódca i Manfred wspięli się po drabince i wyszli na mostek. Owionęło ich chłodne nocne powietrze, rześkie i upojne. Manfred wciągnął je kilka razy głęboko w płuca, po czym spojrział przez lornetkę na majaczącą w

oddali czarną linię brzegu.

Dowódca półgłosem rzucił rozkaz sygnalizatorowi, który poruszając szybko rączką aldisa posłał ponad mrocznym, upstrzonym srebrem piany oceanem serię dłuższych i krótszych rozbłysków żółtego światła, układających się w dwie litery alfabetu Morse'a: „B” i „M” — skrót od słów „Biały Miecz”. Chwilę później jedno z ognisk zgasło, wkrótce pomm drugie i zapalone pozostało tylko to środkowe, w głębi zatoczki.

— Zgadza się — mruknął Manfred. — Proszę polecić wynieść na pokład mój ekwipunek, kapitanie.

Czekali prawie pół godziny, nim ze smolistych ciemności tuż obok łodzi dobiegł czyjś głos:

— Biały Miecz?

— Dobijcie do burty — zawołał w afrikaans Manfred i do okrętu podpłynęła na wiosłach mała otwarta łódź rybacka.

Manfred pospiesznie wymienił uścisk dłoni z dowódcą U-Bota, pożegnał się z nim nazistowskim *Heil Hitler!* i szedł po drabince na niższy pokład. W chwili, gdy drewniany kadłub łodzi stuknął o stalową burzę, Manfred jednym lekkim susem znalazł się na środkowej ławce wiosłarza.

Z ławki u dziobu podniosła się jakaś postać.

— To ty, Manie?

— Roelfi — zawołał Manfred chwytając go w objęcia. — Jak to dobrze Znów cię widzieć! Trzeba przeladować mój bagaż.

Gumowe pojemniki przerzucono na linie przez pokład załogowy U-Bota i ułożono je na dnie łodzi, która bez chwili zwłoki odbiła w stronę brzegu. Manfred usiadł obok Roelfa, chwycił drugie wiosło i ciągnął równo z nim, dopóki nie odbili na bezpieczną odległość. Tam przerwali na chwilę wiosłowanie, by popatrzeć jak czarna łódź podwodna pogrąża się w wodzie i znika pod powierzchnią w wirze białej piany.

Znów” przyłożyli się do wiosł, a Manfred nachylił się ku Roelfowi i wskazując brodą pozostałych trzech wiosłarzy spytał półgłosem:

— Co to za ludzie?

— Swoi. Farmerzy z okolicy. Znam ich od małego. Można im całkowicie ufać.

Na tym przerwali rozmowę. Następny raz odezwali się do siebie dopiero wtedy, gdy pokonali linię niskiego przyboju, dobili do plaży, wyciągnęli łódź na brzeg i ukryli ją w zaroślach.

— Pójdę po ciężarówkę — mruknął Roelf.

Kilka minut później na ledwie przetartym zjeździe na plażę zabłysły żółtawe światła reflektorów. Roelf zaparkował rozklekotanego czterotonowego forda w pobliżu łodzi.

Farmerzy pomogli im przenieść bagaż Manfreda na skrzynię ciężarówki, przyrzucić gumowe pojemniki belami suszonej lucerny i pokryć wszystko płachtą starego, porwanego brezentu. Potem sami usiedli na wierzchu, a Manfred zajął miejsce pasażera w kabinie.

— Najpierw opowiadaj wszystko o mojej rodzinie! — zawołał niecierpliwie Manfred. — Na omówienie interesów będzie mnóstwo czasu później.

— Wuj Tromp zupełnie się nie zmienił. Jakież kazanie ten człowiek potrafi posunąć! Co niedziela chodzimy z Sarie...

— Jak tam Sarah? — przerwał mu Manfred. — A mały?

— Jesteś mocno zapóźniony — roześmiał się Roelf. — Małych jest już trójka. Dwóch chłopców i trzymiesięczna dziewczynka. Wkrótce zabaczysz je wszystkie.

Kolebali się krętą wiejską drogą, wysadzając po kolei farmerów i żegnając się z każdym słowem podziękowania i krótkim uściskiem dłoni, aż w końcu zostali sami. Kilka kilometrów dalej, w pobliżu wioski Riyersdale dotarli do głównej drogi nabrzeżnej i skręcili na zachód, w stronę odległego o trzysta kilometrów Cape Town. Jechali przez noc przystając tylko po to, by zmienić się za kierownicą, a raz, w maleńkim miasteczku Swellendam, żeby zatankować paliwo.

Cztery godziny później zostawili za sobą góry i stromą, wąską przełęczą zjechali na szeroki pas nadmorskiej równiny. Tu znów się zatrzymali, kilka kilometrów przed Stellenbosch, w jednej z małych winiarskich kooperatyw. Mimo iż była trzecia w nocy kierownik wytwórni win czekał na nich, pomógł wyładować gumowe pojemniki i znieść je do piwnic.

— To jest Sakkie Van Vuuren — przedstawił go Roelf. — Przyjaciel, który przygotował bezpieczny schowek na twój ekwipunek.

Kierownik podprowadził ich do tylnej ściany piwnicy, pod którą leżał ostatni rząd drewnianych bek. Te olbrzymie dębowe kufy zawierały po cztery i pół tysiąca litrów niedojrzałego wina. Sukkie Van Vuuren podszedł do jednej z nich, uderzył w nią otwartą dłonią, a kiedy wydała głuchy odgłos, powiedział z uśmiechem:

— Sam wszystko zrobiłem. — Prząd czy raczej denko beczki otwierało się na zawiasach jak drzwi. Beczka była pusta. — Nikomu nie przyjdzie do głowy czegokolwiek tu szukać.

Kiedy włożyli pojemniki do środka i zamknęli wieko, beczka nie różniła się absolutnie niczym od pozostałych dębowych kuf w rzędzie.

— Będziemy gotowi, kiedy nadejdzie pora — obiecał Manfredowi winiarz. — Kiedy to będzie?

— Wkrótce, przyjacielu, już wkrótce — zapewnił go Manfred i pojechał z Roelfem do Stellenbosch.

— Jak to dobrze być znowu w domu.

— Przenocujesz tu tylko dziś, Manie — powiedział Roelf. — Mimo tej czarnej brody i złamanego nosa mógłbyś zostać rozpoznany. Zbyt wiele osób za dobrze cię tu zna.

Zostawił ciężarówkę koło torów, na podwórzu pośrednika w handlu używanymi samochodami, a kluczyki wsunął pod matę na podłodze. Ostatni kilometr pokonali pieszo, przeszli pustymi ulicami do domu Roelfa, jednego ze stojących w długim ciągu małych domków jednorodzinnych. Kiedy Roelf wpuścił Manfreda do kuchni przez tylne drzwi, od stołu podniosła się na powitanie znajoma postać.

— Wuj Tromp! — zawołał Manfred.

Stary człowiek rozpostarł ramiona i zamknął Manfreda w uścisku.

— Ależ ta broda zrobiła z ciebie zbira! — zaśmiał się Tromp Bierman. — Widzę, że ten Amerykanin załatwił ci nos na dobre.

Manfred zerknął ponad ramieniem wuja. W drzwiach do kuchni stała jakaś kobieta. To właśnie go zmyliło — nie dziewczyna tylko kobieta. Na jej twarzy, naznaczonej jakimś dziwnym piętnem smutku i mądrości, malował się wyraz pozbawionego radości napięcia.

— Sarah? — Manfred puścił wuja Trompa i podszedł do drzwi. — Jak się masz, moja mała siostrzyczko?

— Nigdy nie byłam twoją małą siostrzyczką, Manfredzie — odparła. — Ale mam się dobrze, dziękuję. — Nie potrudziła się, żeby go uściskać, a chłód jej powitania wyraźnie zbił Manfreda z tropu.

— Jesteś szczęśliwa?

— Mam dobrego męża i trójkę pięknych dzieci — odparła, spoglądając na Roelfa. — Na pewno

jesteście głodni. Siadajcie. Możecie rozmawiać, kiedy będę szykowała wam śniadanie.

Trzech mężczyzn usiadło przy kuchennym stole, a Manfred co jakiś czas ukradkiem zerkał na krzątającą się przy garnkach Sarah. Odżywające wspomnienia i poczucie winy sprawiły, że czuł się coraz bardziej nieswojo. Po chwili jednak wziął się w garść i ponownie skupił na tym, co do niego mówiono.

— Wszystkie wieści są dla nas pomyślne. Anglicy zostali starci i zmiażdżeni pod Dunkierką, padła Francja i Holandia. Niemieckie U-Boaty wygrywają bitwę o Atlantyk i nawet Włosi odnoszą zwycięstwa w Północnej Afryce...

— Nie wiedziałem, że do nas należysz, wujku — wtrącił się do rozmowy Manfred.

— A owszem, synu, jestem nie mniejszym patriotą niż ty. Ossewa Brandwag liczy sobie już czterdzieści tysięcy członków. Czterdzieści tysięcy wpływowych ludzi na eksponowanych stanowiskach w aparacie władzy i administracji, gdy tymczasem Jannie Smuts wyprawił sto sześćdziesiąt tysięcy anglofilów z pomarańczowymi naszywkami na naramiennikach poza granice kraju. W ten sposób zdał się na naszą łaskę.

— Nasi przywódcy wiedzą o twoim przybyciu, Manie — powiedział Roelf. — Wiedzą także, że przywozisz posłanie od samego Fuhrera i palą się do spotkania z tobą.

— Czy możesz zorganizować takie spotkanie? — spytał Manfred. — Najszybciej jak to możliwe. Czeka nas mnóstwo pracy. Pracy niosącej chwałę i cześć.

Sarah Stander stała cicho przy kuchni, zajęta wbijaniem jajek na patelnię i przewracaniem kawałków pieczeni na grillu. Nie obejrzała się, aie zrobiła niczego, co mogłoby zwrócić na nią uwagę, lecz w duchu pomyślała:

„Wróciłeś, by znów wnieść w moje życie smutek i cierpienie, Manfredzie De La Rey. Każdym słowem, spojrzeniem i gestem otwierasz rany, które z takim trudem udało mi się zasklepić. Przybyłeś, by zniszczyć tę odrobinę szczęścia i spokoju, którą znalazłam w życiu. Roelf rzucił się ślepo za tobą w to nowe szaleństwo. Zagrożasz mojemu mężowi i moim dzieciom...”

I jej nienawiść do niego, wykarmiona szczątkami miłości, którą zamordował, rozgorzała ze zdwojoną mocą.

Podróżował sam. Ruch ludności nie podlegał żadnym ograniczeniom, nie było posterunków na drogach, patroli policyjnych, kontroli dokumentów. Afryka Południowa leżała tak daleko od głównych ognisk wojny, że poza wprowadzeniem zakazu mielenia białej mąki i racjonowaniem paliw, na rynku nie notowano żadnych poważniejszych braków towarów konsumpcyjnych. Nie było zatem potrzeby wprowadzania kartek na żywność i inne towary czy obowiązku dodatkowego dokumentowania źródeł ich pochodzenia.

Zaopatrzony w małą, podręczną walizkę Manfred po prostu kupił bilet drugiej klasy do Bloemfontein, stolicy Wolnego Państwa Orania, i z pięcioma innymi pasażerami zajął sześćosobowy przedział, by odbyć tę długą podróż.

Spotkanie, którego celem było przygotowanie obalenia prawowitego rządu, odbyło się jak na ironię w siedzibie zarządu prowincji u podnóża Wzgórza Artyleryjskiego. Kiedy Manfred znalazł się w imponującym gabinecie zarządcy, po raz nie wiadomo który uświadomił sobie, jak daleko i wysoko sięgają wpływy ich tajnego stowarzyszenia.

U drzwi powitał go dowódca OB. Od tamtej uroczystości, kiedy to o północy przy świetle pochodni odebrał od Manfreda uroczystą przysięgę, niewiele się zmienił. Nadal zażywny, o surowej twarzy, miał teraz na sobie ciemny dwurzędowy garnitur. Powitał Manfreda serdecznie, ściskając mu

dłoń i poklepując po ramieniu.

— Oczekiwaliśmy cię, bracie — powiedział z uśmiechem. — Najpierw jednak chciałbym ci pogratulować tego, co osiągnąłeś od czasu naszego ostatniego spotkania, wybitnych zasług, które położyłeś już dla naszej sprawy.

Wprowadził Manfreda do gabinetu i przedstawił pięciu mężczyznom siedzącym wokół długiego stołu.

— Wszyscy złożyliśmy przysięgę krwi, możesz mówić swobodnie — powiedział do Manfreda, który wiedział już, że ma przed sobą Najwyższą Radę Stowarzyszenia.

Usiadł przy końcu stołu, naprzeciwko dowódcy i zebrał myśli przed wygłoszeniem przemówienia.

— Panowie — zaczął — przywożę wam osobiste pozdrowienia od Fuhrera narodu niemieckiego, Adolfa Hitlera. Prosił, żebym was zapewnił, że Niemców i Afrykanerów zawsze wiązała bliska przyjaźń, i bym oświadczył w jego imieniu, iż gotów jest wspomagać w każdy możliwy sposób naszą walkę o odzyskanie tego, co słusznie nam się należy, o przywrócenie Afrykanerom władzy nad krajem, który prawem zdobywców i z urodzenia stanowi ich niepodważalną własność.

Mówił logicznie i z mocą. W przygotowaniu tego przemówienia pomagali mu niemieccy eksperci od propagandy; ćwiczył dotąd, aż potrafił je wygłosić wręcz po mistrzowsku. Po wyrazie najwyższego skupienia, malującym się na twarzach słuchaczy, widział, że wszystkie te przygotowania nie poszły na marne.

— Fuhrer jest w pełni świadom, że kraj nasz został pozbawiony niemal wszystkich mężczyzn w wieku poborowym sympatyzujących ze Smutsem i Anglikami. Prawie sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy wysłano na północ, poza granice kraju. To znakomicie ułatwia nam zadanie.

— Smuts zarządził zdanie wszelkiej broni znajdującej się w prywatnych rękach — przerwał mu jeden ze słuchaczy. — Odebrał broń sportowcom i myśliwym, nakazał nawet usunąć z rynków działa służące do oddawania pamiątkowych salutów. Bez broni nie będzie powstania.

— Trafił pan w samo sedno problemu — przyznał Manfred. — Aby odnieść sukces, potrzebna jest broń i pieniądze. Otrzymamy je.

— Od Niemców?

— Nie — potrząsnął głową Manfred. — Rozważano takie rozwiązanie, ale je odrzucono. Zbyt duża odległość, za wiele kłopotów z wyładunkiem dużych partii broni na niegościnnym wybrzeżu, a porty są dobrze strzeżone. Niemniej natychmiast po opanowaniu przez nas portów, niemieckie łodzie podwodne dostarczą nam cięższego uzbrojenia, w zamian za co my te porty przed nimi otworzymy. Zamkniemy je natomiast dla Anglików.

— Skąd w takim razie weźmiemy broń potrzebną do wzniesienia powstania?

— Od Janniego Smutsa — odparł Manfred.

Zebrani poruszyli się nieswojo na krzesłach i spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

— Przeprowadzę werbunek do niewielkiego elitarnego oddziału szturmowego, który sam następnie przeszkolę. Naturalnie po uzyskaniu waszej aprobaty. Dokonamy kilku napadów na rządowe arsenały i zdobędziemy całą potrzebną nam broń i amunicję. To samo dotyczy pieniędzy. Zabierzemy je z banków.

Rozmach tego pomysłu, jego prostota i zuchwałość, wprawiły ich w osłupienie. Bez słowa wpatrywali się w Manfreda, a on ciągnął dalej.

— Będziemy działać błyskawicznie i bezwzględnie, zdobywać broń i natychmiast ją rozprowadzać. Potem na dany sygnał wzniciemy w całym kraju powstanie. Czterdzieści tysięcy patriotów przechwyci całą władzę nad policją i wojskiem, opanuje systemy łączności, kolej, porty. Przecież już teraz wszędzie tam mamy swoich ludzi. Wszystkiego tego dokonamy na wcześniej ustalony sygnał.

— Co ma być tym sygnałem? — spytał dowódca OB.

— Coś, co postawi cały ten kraj na głowie, coś druzgocącego, ale na razie za wcześnie o tym mówić. Wystarczy powiedzieć, że jego wyboru już dokonano, tak jak dokonano wyboru osoby, która ten sygnał da. — Manfred popatrzył na nich poważnie, bez drgnienia powieki. — To ja dostąpię tego zaszczytu. Zostałem odpowiednio przeszkolony i przygotowany, wykonam to zadanie sam i bez niczyjej pomocy. Potem zostanie wam tylko przechwycić cugle, przerzucić poparcie na stronę zwycięskich Niemiec i poprowadzić nasz naród ku wielkości, której z takim uporem odmawiają mu nasi wrogowie.

Umilkł i potoczył wzrokiem po zgromadzonych, dostrzegając na ich twarzach patriotyczny zapal, a w ich oczach nowy błysk.

— Panowie, czy mam waszą zgodę na przystąpienie do działania? — spytał.

Dowódca po kolei przenosił wzrok z jednego członka rady na drugiego i każdy odpowiadał mu krótkim, zdecydowanym skinieniem.

Po ostatnim potwierdzeniu odwrócił się w stronę Manfreda.

— Masz naszą zgodę i nasze błogosławieństwo. Dopilnuję, żeby każdy z czterdziestu tysięcy członków naszego bractwa udzielił ci wszelkiej możliwej pomocy.

— Dziękuję, panowie — powiedział cicho Manfred. — A teraz niechaj wolno mi będzie zacytować słowa samego Adolfa Hitlera z jego wybitnego dzieła, *Mein Kampf*. *Boże Wszechmogący, gdy czas dojrzeje, pobłogosław naszą broń. Bądź sprawiedliw, Panie, jak zawsze byłeś. Osądź, czy zasługujemy na wolność. Panie, Boże Wszechmogący, pobłogosław naszą walkę.*

— Amen! — zawołali jak jeden mąż, zrywając się z krzeseł i przyciskając do piersi zaciśniętą pięść w geście pozdrowienia Ossewy Brandwag. — Amen!

49

Zielony jaguar stał na otwartej przestrzeni, w miejscu, gdzie droga biegła skrajem urwiska. Sprawiał wrażenie porzuconego zupełnie jakby stał tu już od wielu dni, a może i tygodni. Blaine Malcomess zaparkował swego bentleya za jaguarem i podszedł do krawędzi urwiska. Nigdy tu nie był, ale Centaine opisała mu zatoczkę i prowadzącą do niej ścieżkę. Stanąwszy na samym brzegu, wychylił się i spojrział w dół. Klif był stromy, ale nie pionowy. Udało mu się wypatrzyć ścieżkę schodzącą zakosami do leżącej dziewięćdziesiąt metrów niżej zatoki Smitswinkel, a na samym dole dachy trzech czy czterech prymitywnych chat, rozsypanych wzdłuż krzywizny zatoki, dokładnie tak, jak to mówiła Centaine.

Strząsnął z ramion marynarkę i rzucił ją na przednie siedzenie bentleya — schodzenie w dół powinno go porządnie rozgrzać. Zamknął drzwiczki na kluczyk i opuścił się poza krawędź urwiska. Sprowadziły go tu nie tylko błagania Centaine, lecz i własne przywiązanie do Shasy Courteneya, durna z tego chłopca i poczucie odpowiedzialności za jego los.

W przeszłości było wiele takich momentów, kiedy spodziewał się, że Shasa zostanie albo jego pasierbem, albo zięciem. Schodząc teraz w dół znów poczuł żal, nie, więcej niż żal — głęboki smutek, że jak do tej pory oczekiwania te się nie sprawdziły.

Od śmierci Izabeli minęły już prawie trzy lata, a mimo to nie ożenił się z Centaine. Pamiętał, jak uciekla od niego tamtej nocy, kiedy umarła Izabela, i przez wiele miesięcy starannie go unikała, niwecząc wszystkie jego wysiłki, by ją odnaleźć. Czuł, że musiało się wtedy zdarzyć coś strasznego. Ale nawet wówczas, gdy zaczęli się znów spotykać, Centaine nigdy nie chciała o tym mówić, nigdy, choćby w najbardziej zawołowanej formie nie zdradziła, co zaszło między nią a umierającą. Wyrzucał sobie, że tamtej nocy zaufał Izabeli i zwabił Centaine do swego domu. Nie powinien był tego robić. Szkody wyrządzone przez Izabelę na łożu śmierci były nie do naprawienia. Dopiero po roku jego czułych i cierpliwych zabiegów Centaine przyszła do siebie na tyle, że powróciła do roli kochanki i podopiecznej, co przedtem było dla niej źródłem tak wielu radości.

Nadal jednak nie pozwalała mu nawet słowem wspomnieć o małżeństwie, a gdy próbował nalegać, denerwowała się i wpadała w przygnębienie. Zupełnie jakby Izabela nadal żyła, jakby zza dawno wystygłego grobu rozciągała na nich jakąś złą moc. Niczego w życiu nie pragnął tak bardzo, jak tego, by pojąć Centaine Courteney za prawowitą małżonkę, małżonkę w oczach Boga i świata, ale powoli zaczynał wątpić, czy kiedykolwiek mu się to uda.

— Proszę cię, Blaine, nie mówmy o tym. Ja po prostu nie jestem w stanie o tym rozmawiać. Nie, nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Od tylu lat jesteśmy szczęśliwi, niech pozostanie tak, jak jest. Nie chcę ryzykować utraty tego szczęścia.

— Ja cię proszę, żebyś została moją żoną. To nie zniszczy naszej miłości, tylko ją potwierdzi i scementuje.

— Proszę cię, Blaine, dajmy temu spokój. Nie teraz.

— A kiedy, Centaine? Powiedz, kiedy?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem, kochanie. Wiem tylko, że bardzo cię kocham.

Do tego Shasa i Tara. Przypominali dwie zagubione dusze błądzące w ciemności. Od samego początku widział, jak rozpaczliwie się nawzajem potrzebują i jak niewiele brakuje, by ruszyli przez życie ręką w rękę. A jednak zawsze wzdragali się przed zrobieniem tego ostatniego kroku i rozchodzili się każde w swoją stronę, usychając za sobą z tęsknoty. Wydawało się, że nie ma po temu żadnego powodu, że jedyną tego przyczyną jest wybujała duma, zacietrzewienie i głupi upór. Każde bez tego drugiego traciło na wartości, nie było w stanie spełnić ogromnych oczekiwań, wykorzystać tych wszystkich, niezwykle rzadkich, darów i dobrodziejstw, tak hojnie zesłanych im przez los, choćby z racji samego urodzenia.

Tych dwoje młodych, pięknych, utalentowanych ludzi, obdarzonych siłą i energią, trwoniło cały swój potencjał na poszukiwania czegoś, co w ogóle nie istniało, na pogoń za czczymi mrzonkami lub spalało się w czarnej rozpacz, zwątpieniu i zniechęceniu.

„Nie mogę dopuścić, żeby to tak trwało — postanowił. — Nawet gdyby mieli mi mieć to za złe, muszę coś z tym zrobić.”

Dotarł do końca ścieżki i przystanął, żeby się rozejrzeć. Nie potrzebował odpoczywać, bo choć zejście było trudne i męczące, a on dobijał już pięćdziesiątki, wciąż był sprawniejszy i miał lepszą kondycję, niż wielu mężczyzn piętnaście lat od niego młodszych.

Zatokę Smitswinkel okalał półkiszyc wysokich urwisk; tylko z przeciwległego końca otwierała się na znacznie przestronniejszą Zdradliwą Zatokę. Zamknięta praktycznie ze wszystkich stron była gładka jak jezioro, a wody miała tak czyste, że można było powieść wzrokiem wzdłuż wstęg wodorostów aż do miejsca, gdzie zakotwiczyły się w dnie, dziewięć metrów pod powierzchnią. Stanowiła cudowną kryjówkę. Blaine jeszcze przez kilka chwil napawał się cichym, spokojnym

pięknem tego miejsca.

Na skałach za wąskim pasem piasku, w sporej odległości jedna od drugiej przycupnęły cztery prymitywne chaty, właściwie szałas, zbudowane głównie z wyrzuconego przez wodę drewna. Trzy były puste, okna miały szczelnie zamknięte okiennicami z desek, lecz jego interesowała ta czwarta, ostatnia w rzędzie. Powoli ruszył wąskim skrawkiem plaży w jej stronę

Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł, że okna są otwarte, lecz zaciągnięto w nich zasłony, wyblakłe, nadzarte przez słońce morskie powietrze. Na balustradzie werandy wisiała sieć do połowu langust, w głębi stały oparte o ścianę dwa wiosła i bambusowa wędka. Na piasku przed domem leżał ponton, wyciągnięty poza górną granicę przyływu.

Blaine wspiał się po kilku kamiennych schodkach, przeciął werandę i stanął przed drzwiami. Były otwarte, więc bez pukania wszedł do jednoizbowej chaty.

Pod najdalszą ścianą stała mała, dawno wystygła kuchnia na drewno, a na niej brudna patelnia z zaschniętymi resztkami jakiejś tłustej potrawy. Stół póśrodku izby zawałały nie umyte talerze i kubki, po jednej jego nodze płynął strumień czarnych mrówek unoszących w szparę w podłodze obfity łup. Podłogi nikt nie zmiatał, naniesiony z plaży piasek głośno zgrzytał pod stopami. Pod boczną ścianą stało piętrowe łóżko. Z górnej pryczy zostały gołe deski, natomiast na dolnej, na twardym, podartym i poplamionym materacu z włókna kokosowego, leżał kłęb szarych skotłowanych koców. W barłogu tym spał Shasa Courteney.

Dochodziło południe, a on jeszcze spał. Miał na sobie tylko stare spodenki do rugby, na zapiaszczonej podłodze obok jego zwisającej bezwładnie ręki stała szklanka i niemal pusta butelka whisky. Był spalony słońcem na kolor nasączonego oliwą mahoni, kolor człowieka żyjącego z tego, co wyrzuci morze; meszek na rękach spłóviał mu do odcienia jasnego złota, ale włosy na piersi pozostały ciemne i kręcone. Musiał nie golić się od wielu, wielu dni, a rozrzucone w nieładzie na brudnej poduszce włosy były zmierzwiowane i dopraszały się grzebienia. Mimo to głęboka opalenizna skrywała wszystkie wyraźniejsze ślady zaniedbania i rozwiązłego trybu życia.

Spał spokojnie, wyraz jego twarzy niczym nie zdradzał głębokiego wewnętrznego rozdarcia, które sprowadziło go z Weltevreden do tego nędznego szałasu. Wciąż jeszcze pod każdym względem można by go uznać za świetnie zbudowanego i niezwykle przystojnego młodego mężczyznę, gdyby nie jedno — lewe oko. Może dlatego właśnie jego brak tym bardziej szokował. Po zewnętrznej stronie oka, tam gdzie kość została strzaskana, łuk brwiowy był Wgnieciony, ciemna brew przecięta białą, lśniąca, poszarpaną blizną. Pusty oczodół zapadł się w głąb czaszki, powieki nie domykały się, w szczelinie między gęstymi rzęsami czerwono połyskiwała wilgotna tkanka.

Nie sposób było patrzeć na to potworne okaleczenie nie ulegając uczuciu litości. Minęło parę sekund, nim Blaine uodpornił się i mógł przystąpić do zrobienia tego, co musiał zrobić.

— Shaso!

Nadał swemu głosowi surowy i szorstki ton. Shasa jęknął cicho, powieka na pustym oczodole drgnęła nieznacznie.

— Wstawaj, stary, wstawaj! — Podszedł do pryczy i potrząsnął Shasę za ramię. — Musimy pogadać.

— Odejdz — mruknął Shasa, nie całkiem jeszcze przytomny. — Odejdz i zosiaw mnie w spokoju.

— Do cholery, wstawaj!

Shasa zamrugał zdrowym okiem, otworzył je i mętym wzrokiem spojrzął na Blaine'a. Jego

spojrzenie nabrało ostrości, a wyraz twarzy uległ zmianie.

- Do diabła, po coś tu przyszedł?

Przekręcił głowę na bok, żeby ukryć pusty oczodół, i zaczął grzebać w skotłowanej pościeli, aż znalazł skrawek czarnego materiału na elastycznej opasce. Z wciąż odwróconą głową przesłonił klapką oko, wcisnął opaskę na głowę i dopiero wtedy z powrotem spojrzął na Blaine'a. Opaska nadawała mu wygląd pirata i w jakiś przewrotny sposób podkreślała jego urodę.

— Muszę się odlać — burknął i powlókł się na werandę.

Podczas jego nieobecności Blaine wytarł z kurzu jeden ze stołków, postawił go pod ścianą, po czym usiadł, oparł się i zapalił długie, czarne cygaro.

Po chwili Shasa wrócił do chaty podciągając przód spodenek, podszedł do pryczy i usiadł na jej brzegu, chowając twarz w dłoniach.

— Mam taki smak, jakby tchórz mi naszczał do gęby — mruknął.

Sięgnął po stojącą na podłodze butelkę, nalał sobie do szklanki resztkę whisky, zlizął z szyjki ostatnią kroplę i poturłał pustą butelkę po podłodze w stronę przepelnionego kubła na śmieci obok kuchni.

— Chcesz się napić? — spytał, unosząc szklanekę, a kiedy Blaine pokręcił przecząco głową, spojrzął na niego spod oka.

— Ta twoja mina może oznaczać tylko jedno z dwojga — powiedział. — Albo poczułeś właśnie, że właśnie ktoś pierdnął, albo nie pochwalasz mojego zachowania.

— Rozumiem, że ten język to jeden z twoich najnowszych nabytków, tak jak skłonność do nadużywania trunków. Winszuję ci jednego i drugiego — znakomicie pasują do twego nowego stylu bycia.

— Pieprz se zdrowo! — odburknął z zaciętą miną Shasa i podniósł szklanekę. Siorbnał whisky przez zęby, wypłukał nią usta, przełknął palący w gardle alkohol, wzdrygnął się i z głośnym prychnięciem wydmuchnął jego opary. — Matka cię przysłała — stwierdził.

— Powiedziała mi, gdzie cię mogę znaleźć, ale mnie nie przysłała.

— Na jedno wychodzi — odparł Shasa. Podniósł wysoko w górę szklanekę i wytrząsał na język ostatnią kropelkę whisky. — Chce, żebym wrócił wykopywać diamenty, zrywać winogrona, hodować bawełnę, odwalać papierkową robotę... Do diabła, ona nic nie rozumie!

— Rozumie więcej, niż ci się zdaje.

— Tam trwa walka. Davie i reszta moich kumpli lata i bije się, a ja... ja siedzę tu na ziemi... kaleka... jak ten kret w norze.

— Sam sobie tę norę wybrałeś — odparł Blaine z niesmakiem tocząc spojrzeniem po obskurnej chacie. — I sam zdecydowałeś, że zamiast coś robić, lepiej skamleć i rozczulać się nad sobą.

— Słuchaj no pan! — warknął Shasa. — Zabieraj się lepiej stąd, nim stracę cierpliwość.

— Z prawdziwą przyjemnością — powiedział Blaine wstając. — Pomyliłem się co do ciebie. Przyszedłem tu zaproponować ci pracę, ważną, odpowiedzialną pracę związaną z wojną, widzę jednak, że do niej nie dorosłeś. — Podszedł do drzwi i odwrócił się w progu. — Chciałem także przekazać ci zaproszenie na przyjęcie w piątek. Tara ogłosi na nim oficjalnie swoje zaręczyny z Hubertem Langleyem. Myślałem, że mogłoby cię to zabawić... ale zapomnijmy o tym.

Odszedł szybkim, stanowczym krokiem, a po chwili Shasa stanął na werandzie i popatrzył w ślad za nim. Blaine wspiął się ścieżką na szczyt urwiska, ani razu nie oglądając się za siebie, a kiedy zniknął za jego górną krawędzią, Shasę ogarnęło nagle uczucie straszliwego zagubienia i

osamotnienia. Aż do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak wielką rolę w jego życiu odgrywał Blaine Malcomess, jak bardzo polegał na jego radach i doświadczeniu, zarówno na boisku do polo, jak i poza nim.

— Tak bardzo chciałem być do niego podobny — powiedział głośno. — A teraz już nigdy nie będę. — Dotknął ręką czarnej opaski na oku.

— Dlaczego ja, dlaczego właśnie ja?! —, wykrzyknął na cały głos odwieczne pytanie wszystkich, których dotknęło nieszczęście, po czym opadł na najwyższy stopień schodów i zapatrzył się w spokojne zielone wody u wejścia do zatoczki.

Powoli zaczął do niego docierać sens słów Blaine'a. Jego myśli zaczęły krążyć wokół pracy, którą Blaine chciał mu zaproponować, ważnej, odpowiedzialnej pracy związanej w wojną, a potem nagle przed oczami stanęła mu Tara i Hubert Langley. Tara... Ujrzał jej szare oczy i ciemnorude włosy i poczuł, jak zalewa go czarna, zimna fala litości nad samym sobą.

Podniósł się apatycznie, wrócił do chaty i otworzył szafkę nad zlewem. Stała w niej jeszcze jedna, ostatnia butelka Haiga. „Gdzie reszta? Co się z nimi stało? — zdziwił się w duchu. Myszy je zżarły czy co?”

Odkręcił butelkę i rozejrzał się za szklanką. Wszystkie były brudne, leżały stertą w zlewem. Uniósł butelkę do ust, lecz pary alkoholu zapiekły go w oczy, więc opuścił ją z powrotem i wlepił wzrok w bladobrazową ciecz. Poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, a całym ciałem wstrząsa dreszcz fizycznego i psychicznego wstrętu.

Przechylił butelkę nad zlewem, patrząc, jak ciemnozłoty płyn z bulgotem chlusta z szyjki i ścieka do dziury odpływowej. Kiedy wylał już wszystko, kiedy było już za późno, potrzeba alkoholu powróciła nagle z całą mocą i ogarnęła go panika. W wyschniętym gardle piekło go i drapało, trzymająca pustą butelkę ręka zaczęła nieopanowanie drżeć. Potrzeba zapadnięcia w dający zapomnienie niebyt przeszywała bólem całe ciało, oko paliło go tak, że musiał mocno zacisnąć powiekę.

Cisnął butelką o ścianę chaty, wypadł na dwór, na słońce i zbiegł po schodkach na wąską plażę. Zerwał z głowy opaskę, zrzucił spodenki, dał nura w zimną zieloną wodę i popłynął przed siebie ostrym, szybkim kraulem. Kiedy dotarł do wejścia do zatoczki, bolały go wszystkie mięśnie, oddech rozrywał mu płuca. Zawrócił i nie zwalniając tempa popłynął z powrotem ku plaży, a gdy tylko wyczuł pod stopami grunt, zawrócił po raz drugi. Pływał w tę i z powrotem, godzina za godziną, aż był już tak wykończony, że nawet najwyższym wysiłkiem nie mógł wydobyć ręki ponad wodę i ostatnie sto metrów ledwie zdołał pokonać rozpaczliwym pieskiem.

Gdy usłyszał piknięcie świadczące o tym, że telefonistka wyłączyła się i nie może słyszeć rozmowy.

— Tu Van Niekerk.

— Tu Biały Miecz.

Ta odpowiedź, choć przecież jej się spodziewał, sprawiła, że ciarki przebiegły mu po karku.

— Ma dwadzieścia trzy minuty spóźnienia. Odjechał dwie minuty temu. Numery wagonów: dwanaście i trzystaście.

— Dobra robota.

Manfred De La Rey odwiesił słuchawkę, spojrzął na zegarek, po czym uśmiechnął się do dwóch kobiet, które przyglądały mu się z niepokojem spod przeciwległej ściany kuchni wiejskiego domu.

— Dziękuję, *Meyrou* — zwrócił się do starszej z nich. — Jesteśmy ogromnie wdzięczni za

okazaną pomoc. Nie będzie pani miała z tego powodu żadnych kłopotów. Daję na to słowo.

— Kłopoty to dla mnie nic nowego, *Meneer* — odparła dumnie stara kobieta. — W osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym *rooinikke* spalili mi farmę i zamordowali męża.

Manfred wrócił za stodołę do zostawionego tam motocykla, zapalił silnik i wiejską drogą cofnął się do głównej szosy. Tam skręcił na północ i kilka kilometrów dalej jechał już wzdłuż torów kolejowych. U podnóża skalistego wzgórza linia kolejowa i droga rozchodziły się w swoje strony. Tory wspinały się na wzgórze i znikły za jego grzbietem.

Manfred zatrzymał się, sprawdził, czy nikogo nie widać, po czym skręcił w następną wiejską drogę i wzdłuż torów kolejowych przedostał się na drugą stronę wzgórza. Tam znów się zatrzymał, postawił motocykl na nóżkach i jeszcze raz omiół wzrokiem miejsce akcji.

Położone było dość daleko od farmy wdowy, by nie ściągnąć na staruszkę żadnych podejrzeń, a wzgórze zasłaniało ten fragment torów i czyniło go niewidzialnym z drogi, przy czym sama droga była na tyle blisko, że błyskawiczna ucieczka w jedną czy drugą stronę nie nastęczała żadnego problemu. Co więcej, przy pokonywaniu stoku wzgórza parowóz musiał zwolnić niemal do szybkości spacerowego kroku. Przekonał się o tym, obserwując przejeżdżające tędy inne pociągi.

Zjechał na pobocze trzymając się wygniecionych w trawie śladów kół. Za pierwszym fałdem terenu stały ukryte w kępie drzew ciężarówki. Cztery: trzytonowa, dwie dwutonowe i wielka brązowa dziesięcotonówka bedforda. Zdobycie kartek na paliwo dla tych smoków nie było wcale takie łatwe.

Ledwie sto metrów dzieliło linię kolejową od miejsca, gdzie czekały samochody z jego ludźmi. Odpoczywali rozwaleni w trawie, ale na odgłos warkotu motocykla zerwali się z ziemi i wybiegli mu na spotkanie. Dowódcą tej grupy był Roelf Stander.

— Będzie tutaj o dziewiątej trzydzieści — oznajmił mu Manfred. — Wagony dwunasty i trzynasty. Obliczcie to sobie.

Jeden z członków grupy był kolejarzem, toteż szybko uporali się ze skalkulowaniem odległości od parowozu do wagonów z materiałami wybuchowymi. Manfred i Roelf kazali wszystkim pozostać, a sami poszli wyznaczyć tę odległość w terenie. Chodziło o to, żeby po zatrzymaniu pociągu dwa interesujące ich wagony znalazły się dokładnie na wprost kępy drzew i czekających tam ciężarówek.

Odmierzwszy odpowiednią liczbę kroków, umieścili ładunki wybuchowe pod nakładkami na złączach szyn, po czym wrócili i korzystając z wyliczeń kolejarza rozłożyli czerwone flary ostrzegawcze.

Nim uporali się z tym wszystkim, zapadła już ciemność, toteż mogli przejść do następnego etapu przygotowań — rozstawienia ludzi na stanowiskach. Wszyscy byli młodzi, wybrani z uwagi na wzrost i siłę fizyczną, wszyscy ubrani na ciemno i uzbrojeni w to, co udało się ocalić ze zbiórki broni zarządzanej przez Smutsa: dubeltówki, stare lee enfieldy, mannlichery pamiętające dawno minione wojny. Tylko Manfred i Roelf dysponowali nowoczesnymi niemieckimi lugerami, stanowiącymi jeden z elementów ekwipunku, który Manfred zabrał ze sobą w gumowych pojemnikach z łodzi podwodnej.

Manfred objął dowództwo mniejszego oddziałku szturmowego, a Roelf wrócił do reszty grupy, która miała się zająć wyładunkiem wagonów. Teraz pozostało już tylko czekać.

Manfred pierwszy go usłyszał — niewyraźny szmer w ciemności nocy, wciąż bardzo cichy i odległy — i trzema przenikliwymi gwizdkami poderwał wszystkich na nogi. Potem włożył baterie do detonatora, wsunął końcówki przewodu pod łebki mosiężnych śrub i mocno je przykręcił. Na

równinie pod wzgórzem zalsniło ogromne cyklopowe oko zbliżającego się parowozu. Czekający mężczyźni naciągnęli na głowy maski, ukryli się w biegnącym wzdłuż torów rowie, padli na ziemię i wtulili w wysoką trawę.

Kiedy lokomotywa dotarła do stoku wzgórza, dudnienie jej silnika spowolniało, nabrało bardziej basowych tonów. Parowóz mozolnie parł pod górę, minął grupę rozładunkową i chwilę później najechał na pierwszą flarę ostrzegawczą. Rozległ się głośny trzask, zapłonęło czerwone migotliwe światło i oświetliło *veld* w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Usłyszawszy metaliczny pisk hamulców Manfred odetchnął z ulgą. Maszynista miał refleks, zareagował błyskawicznie, nie będzie trzeba wysadzać torów.

Zapłonęła druga rakietka, strzelając spod kół długimi jęzorami czerwonego płomienia, ale parowóz hamował już gwałtownie, spod kół sypały się skry, a z zaworów awaryjnych z przeraźliwym świstem tryskały gejzery białej pary. Nim pociąg stanął, Manfred wskoczył na schodki lokomotywy i podstawił pod nos zaskoczonemu maszyniście i jego pomocnikowi swojego lugera.

— Zamknąć dopływ pary! Wyłączyć reflektor! — krzyknął przez maskę. — A potem wysiadać!

Zostawiwszy lokomotywę na zaciągniętych hamulcach, maszynista i jego pomocnik wysiedli z kabiny i podnieśli wysoko ręce. Zrewidowano ich natychmiast i związano, a Manfred pobiegł do tyłu pociągu. Roelf i jego ludzie wyłamali już drzwi wagonów z materiałami wybuchowymi, rozstawili się łańcuchem i podając sobie z rąk do rąk skrzynki z dynamitem przeładowywali je do pierwszej ciężarówki.

— Co ze strażnikiem w ostatnim wagonie? — spytał Manfred.

— Związany — odparł lapidarnie Roelf i Manfred pobiegł z powrotem do przodu, przed lokomotywę. Rozbroił i usunął ładunek, który umieścił pod szynami, szczęśliwy, że nie musiał go odpalić. Kiedy wrócił do tyłu, pierwsza ciężarówka była już pod wierzch załadowana skrzyniami dynamitu.

— Odjazd! — zawołał.

Jeden z ludzi wskoczył do kabiny, zapalił silnik i z wygaszonymi światłami odjechał w ciemność.

Na miejsce pierwszej ciężarówki podstawiono tyłem drugą i natychmiast wznowiono wyładunek. Manfred zerknął na zegarek.

— Dwanaście minut — mruknął.

Wszystko szło szybciej niż się spodziewali.

Związanych starannie maszynistę, palacza i strażnika zamknięto w ostatnim wagonie, rozładunek postępował sprawnie i bez przeszkód.

— Dość! — zawołał w końcu Roelf. — Nie mamy już więcej miejsca!

— Czterdzieści osiem minut — stwierdził Manfred. — Świetnie się spisaliście. No dobra, każ się swoim ludziom zbierać.

— A ty?

— Ruszajcie! - rozkazał Manfred. — Ja dam sobie radę.

Odczekał aż dziesięcotonowy bedford wykręci, dojedzie do drogi i włączy reflektory. Warkot silnika ucichł w oddali. Został sam. Gdyby Roelf i jego ludzie wiedzieli co zamierza, mogliby postawić się okoniem i próbować mu w tym przeszkodzić.

Wdrapał się do otwartego wagonu, który wciąż jeszcze był do połowy załadowany białymi skrzyniami z dynamitem. Nie byli w stanie zabrać więcej, a drugiego wagonu nawet nie tknęli.

Musiało się w nich znajdować co najmniej dwadzieścia pięć ton materiałów wybuchowych.

Ustawił zapalnik zegarowy na piętnaście minut, wsunął ładunek w szparę między skrzyniami a stalową ścianą wagonu i wepchnął go tak głęboko, że stał się praktycznie nie do zauważenia. Następnie zeskoczył na ziemię i podbiegł do lokomotywy. Zaden z trzech związanych nie był członkiem Ossewy Brandwag. Pozostawieni przy życiu bez wątpienia wyśpiewaliby policji wszystko, co wiedzieli. Nie mógł do tego dopuścić i nie bardzo się nad nimi litował. Wojna pociąga za sobą ofiary.

Wskoczył do kabiny parowozu, zwolnił hamulce i powoli otworzył przepustnicę. Koła zabuksowały, odzyskały przyczepność i z nagłym szarpnięciem pociąg potoczył się przed siebie. Manfred przesunął dźwignię przepustnicy na pozycję „pół pary”, zablokował ją w tym położeniu i kiedy pociąg zaczął nierównymi zrywami nabierać prędkości, wyskoczył na ziemię, przystanął i powiódł spojrzeniem po mijających go z kłopotem i stukaniem buforów wagonach. Wyraźnie przyspieszały. Po przejechaniu ostatniego wagonu wrócił wzdłuż torów do kępy drzew i okrakiem usiadł na siodełku motocykla.

Czekał niecierpliwie, zerkając co minutę na zegarek.

Kiedy wybuch w końcu nastąpił, wydawało się, że to rozbłysk pomarańczowej racy, płaska błyskawica nad północnym horyzontem. Po kilku sekundach poczuł na twarzy podmuch fali uderzeniowej i usłyszał stłumiony, przeciągły grzmot, niczym odległy łoskot bijącej o skalisty brzeg fali przyboju.

Jednym kopnięciem uruchomił motocykl, zawrócił na południe i odjechał w ciemną noc.

„Początek udany — pomyślał. — Ale wciąż jeszcze tyle zostało do zrobienia.”

Blaine podniósł wzrok na wchodzącego. Shasa Courteney ubrany był w schludny mundur lotnika z baretkami odznaczeń na piersi, Krzyża Zasługi i Gwiazdy Afryki, z oznakami rangi na naramiennikach. Napotkawszy wzrok Blaine'a zawahał się w progu.

— Dzień dobry, Shaso — powitał go z nieprzeniknioną miną Blaine. — Już dziesiąta. Może masz ochotę na whisky?

Shasa drgnął i wyprostował się na baczność.

— Przyszedłem przeprosić za swoje zachowanie tamtego dnia, sir. Było niewybaczalne.

— Siadaj — *odparł* Blaine, wskazując mu pikowany skórzany fotel obok biblioteczki. — Każdy z nas w pewnym momencie życia zachowuje się jak skończony idiota. Sztuka w tym, żeby się połapać, że właśnie nas to naszło. Przeprosiny przyjęte.

Shasa zajął wskazane miejsce, założył nogę na nogę, po czym szybko ją zdjął, isiadł sztywno wyprostowany z rękoma na kolanach.

— Wspominał pan o jakiejś pracy, sir...

Blaine skinął głową, wstał zza biurka, podszedł do okna i powiódł wzrokiem po parku. Jakaś staruszka karmiła gołębnie okruchami z papierowej torby. Przyglądał jej się podejmując ostateczną decyzję. Czy aby troska o Centaine Courteney i jej syna nie zmąciła mu poczucia odpowiedzialności? Praca, którą miał na myśli, dotyczyła najbardziej żywotnych interesów państwa. Czy Shasa nie był zbyt młody i zbyt niedoświadczony, żeby się jej podjąć? Ale rozważał ten problem już tyle, tyle razy. Bez słowa wrócił za biurko i wziął do ręki zwykłą, czarną, nie opisaną teczkę.

— To ściśle tajny materiał — powiedział, ważąc teczkę w dłoni. — Raport na temat niezwykle drażliwej kwestii i analiza płynących z niego wniosków. — Podał teczkę Shasie. — Nie może opuścić tego pokoju. Zapoznaj się z tym tutaj. Ja mam spotkanie z feldmarszałkiem Smutsem. —

Odsunął mankiet koszuli i spojrzął na zegarek. — Wróć za godzinę. Wtedy porozmawiamy.

Nie było go dłużej, ale kiedy wrócił, Shasa wciąż jeszcze pogrążony był w lekturze. Spojrzął na Blaine'a znad otwartej teczki z miną zdradzającą przejęcie i niepokój.

— I co o tym sądzisz? — spytał Blaine.

— Oczywiście słyszałem o OB — odparł Shasa. — Ale nie miałem pojęcia, że to aż tak poważna sprawa. Prawdziwa tajna armia rozsiana po wszystkich zakątkach kraju. Gdyby ktoś zarządził jej mobilizację i rzucił ją przeciwko nam... — Potrząsnął głową, szukając odpowiednich słów. — Rewolucja, wojna domowa... A większość naszych zdolnych do noszenia broni ludzi przebywa poza granicami kraju.

— Już zaczynają się ruszać — powiedział cicho Blaine. — Do tej pory ociągali się i zwłóczyli, jak to Afrykanerzy, handryczyli się między sobą. Ale ostatnio musiało zajść coś, co przydało im zdecydowania, popchnęło do realizacji wytyczonych celów... — Urwał, zamyślił się na chwilę, po czym dodał: — Nie muszę chyba cię uprzedzać, Shaso, że ta rozmowa ma pozostać wyłącznie między nami. Nie wolno ci nikomu powtórzyć ani słowa, nawet najbliższej rodzinie.

— Oczywiście, sir.

Shasa wyraźnie poczuł się dotknięty.

— Przeczytałeś o eksplozji ładunku dynamitu, która miała miejsce dwa tygodnie temu na linii kolejowej nad rzeką Touws?

— Tak jest, sir. To straszny wypadek. Cała obsługa pociągu zginęła na miejscu.

— Zdobyliśmy trochę nowych dowodów, które obalają tezę, że był to wypadek. Wszyscy trzej członkowie obsługi pociągu znajdowali się w wagonie strażnika, a pewne ślady wskazują na to, że przynajmniej jeden z nich miał skrupowane ręce i nogi. Przypuszczamy, że z pociągu skradziono pokaźne ilości materiałów wybuchowych, a dopiero potem resztę wysadzono w powietrze, by w ten sposób zamaskować kradzież.

Shasa zagwizdał cicho.

— Według mnie to dopiero początek. Początek nowego etapu działalności OB, która od tej chwili nabierze tempa. Jak powiedziałem, musiało zajść coś takiego, co zadziało jak detonator. Naszym zadaniem jest dowiedzieć się, co to było i zniszczyć to.

— W jaki sposób mogę pomóc, sir?

— To sprawa o ogromnym zasięgu, zasięgu ogólnokrajowym. Muszę pozostawać w stałym kontakcie z szefami policji wszystkich prowincji, z wywiadem i kontrwywiadem wojskowym. Cała operacja wymaga niezwykle precyzyjnej koordynacji. Potrzebny mi jest adiutant, oficer łącznikowy. To stanowisko właśnie ci proponuję.

— Czuję się zaszczycony, sir, ale doprawdy nie wiem, dlaczego pański wybór padł na mnie. Muszą być dziesiątki znacznie lepiej...

— Znamy się od lat, Shaso — przerwał mu Blaine. — Graliśmy razem i tworzyliśmy dobraną drużynę. Darzę cię pełnym zaufaniem. Wiem, że masz olej w głowie i jesteś odważny. Do tej roboty nie potrzebuję policjanta. Potrzebuję kogoś, kto chwyta mój tok rozumowania, osoby, co do której będę miał pewność, że dokładnie wykona moje rozkazy. A poza tym — dodał z niespodziewanym uśmiechem — jesteś bezrobotny, prawda?

— Prawda, sir. I dziękuję.

— W tej chwili przebywasz na zwolnieniu na czas rekonwalescencji, ale każę cię natychmiast oddelegować z Powietrznych Sił Zbrojnych do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Zachowasz

stopień i gażę dowódcy eskadry, ale od tej pory będziesz podlegał bezpośrednio i wyłącznie mnie.

- Rozumiem, sir.

— Czy próbowałaś latać od czasu, kiedy straciłeś oko? — Zadał to pytanie prosto z mostu, wspomniawszy o oku bez ogródek, bez owijania w bawełnę. Nikt, nawet matka, nie potrafiła tego zrobić. Uznanie Shasy dla Blaine'a jeszcze wzrosło.

— Nie, sir — odparł.

— A szkoda. Może się okazać, że będziesz musiał poruszać się po kraju, i to piekielnie szybko. Spojrzał na Shasę i zobaczył, że chłopak zaciska stanowczo szczęki.

— To tylko kwestia precyzyjnej oceny odległości — wymamrotał Shasa. — Kwestia nabrania wprawy.

Blaine poczuł wzbierającą radość.

— Spróbuj potrenować z piłką do Polo — zaproponował od niechcenia. — To świetnie rozwija umiejętność oceny dystansu... Ale wróćmy do poważniejszych Spraw. Z ramienia policji odpowiedzialnym za całość operacji jest główny inspektor Louis Nel z Komendy Głównej w Cape. Poznam was ze sobą. Polubisz go, to świetny facet.

Rozmawiali jeszcze godzinę układając plany na najbliższą przyszłość, aż wreszcie Blaine uznał, że jak na pierwsze spotkanie wystarczy.

— Wiesz już, od czego masz zacząć. Zameldujesz się u mnie jutro o ósmej trzydzieści rano.

Ale kiedy Shasa podszedł do drzwi, Blaine zatrzymał go jeszcze w progu.

A co do piątkowego przyjęcia, Shaso, zaproszenie pozostaje aktualne. Punkt ósma. Smoking albo galowy mundur. Mam nadzieję, że nie sprawisz mi zawodu i przyjdiesz.

50

Sarah Stander leżała w mosiężnym łóżku, sama i samotna w zalegającej dom ciemności. Starsze dzieci spały w sąsiednim pokoju, najmłodsze z zadowoleniem posapywało w kołysce obok jej łóżka.

Zegar na ratuszu wybił czwartą. Od północy co godzinę słuchała jego głosu. Pomyślała, że może zajrzy do drugiego pokoju i sprawdzi, czy dzieci są porządnie przykryte — mały Petrus co noc skopywał kołderkę — lecz w tym samym momencie usłyszała skrzypnięcie ostrożnie otwieranych drzwi wejściowych. Zesztywniała i wstrzymała oddech.

Dobiegły ją ciche kroki Roelfa idącego rozebrać się do łazienki, dwa stłumione stuknięcia, kiedy zrzucił buty, a chwilę potem uchyliły się drzwi do sypialni i łóżko ugięło się pod jego ciężarem. Udawała, że śpi. Pierwszy raz zdarzyło mu się wrócić tak późno. Od czasu powrotu Manfreda Roelf bardzo się zmienił.

„To zwiastun nieszczęść — myślała w ciemności, kiedy sen nie nadchodził. — Wszystkich nas zniszczy. Nienawidzę cię, Manfredzie De La Rey.”

Czuła, że leżący obok Roelf także nie może zasnąć. Wiercił się niespokojnie, napięty i rozbudzony. Godziny wlokły się w nieskończoność, lecz ona zmuszała się do leżenia bez ruchu. Nad ranem niemowlę zakwiliło przez sen, więc wzięła je do łóżka i dała mu pierś. Mleko zawsze miała gęste i dobre, maleństwo napiło się łapczywie, czknęło i z powrotem zapadło w spokojny sen. Ułożyła je w kołysce, a kiedy ponownie wślizgiwała się pod kołdrę, Roelf bez słowa wyciągnął do niej rękę. Zacisnęła w milczeniu zęby, biernie poddając się jego pieszczotom. Nienawidziła tego. Z Roelfem nigdy nie było tak, jak w podczas tamtych pamiętnych chwil z Manfredem. Tej nocy jednak był jakiś inny. Wziął ją nagle, niemal brutalnie, skończył szybko, z dzikim gardłowym okrzykiem, po czym stoczył się na bok i natychmiast zapadł w kamienny sen. Długo jeszcze leżała bez ruchu

wysłuchując się w jego chrapanie.

— Gdzie wczoraj byłeś? — spytała go cicho przy śniadaniu.

— Stul pysk! — krzyknął, wściekły. — Nie jesteś moim dozorcą!

— Wplątałeś się w jakieś niebezpieczne szaleństwo — zlekceważyła ostrzeżenie. — Masz troje małych dzieci, Roelf. Nie możesz sobie pozwolić na głupie...

— Dość tego! — wrzasnął. — To męska sprawa. Radzę ci nie mieszać się do tego!

Zerwał się od stołu i wyszedł na uniwersytet, gdzie był wykładowcą na wydziale prawa.

Wiedziała, że jeśli tylko nie wpakuje się w jakąś kabałę, ma wszelkie szanse zostać za kilka lat dziekanem.

Posprzątała mieszkanie, zaścieliła łóżka, po czym wsadziła dzieci do dużego podwójnego wózka i ruszyła na spacer do centrum miasteczka. Po drodze przystanęła, żeby zamienić kilka słów z napotkaną żoną innego wykładowcy z uczelni, potem wstąpiła do sklepiku ze słodyczami po cukierki dla starszych dzieci. Kiedy płaciła za paczuszkę łakoci, jej wzrok padł na tytuły gazet rozłożonych na ladzie.

— Wezmę jeszcze także „Burgera”.

Przeszła z wózkiem na drugą stronę ulicy i wybrawszy sobie samotną ławkę w parku, przeczytała uważnie artykuł o eksplozji ładunku materiałów wybuchowych i katastrofie pociągu gdzieś w głębi *karoo*. Skończywszy lekturę, złożyła starannie gazetę i zamyśliła się.

Roelf wyszedł z domu zaraz po lunchu. Eksplozja nastąpiła tuż przed wpół do jedenastej wieczorem. Zaczęła liczyć czas i odległości i po plecach przebiegł jej zimny dreszcz panicznego strachu. Zapakowała dzieci z powrotem do wózka, podeszła do budynku poczty i wybrała przeskłoną budkę telefoniczną, z której mogła mieć na oku stojący obok wózek.

— Centrala? Z komendą główną policji w Cape Town.

— Proszę się nie rozłączać.

Nagle z całą wyrazistością uświadomiła sobie, co właściwie ma zamiar zrobić. Jakże mogła zadenuncjować Manfreda de La Reya, nie denuncjując jednocześnie własnego męża? A przecież czuła, że po prostu musi powstrzymać Roelfa przed braniem udziału w czymś tak strasznym, nim skończy się to prawdziwą katastrofą. To był jej obowiązek jako żony i matki.

— Komenda główna policji w Cape Town. Czy możemy w czymś pani pomóc?

— Tak... — wyjąkała Sarab. — To znaczy, nie. Bardzo przepraszam, to nic takiego, nic ważnego.

Odwiesiła słuchawkę, wybiegła z budki i pchając przed sobą wózek stanowiącym krokiem wróciła do domku. Usiadła przy kuchennym stole i rozplakała się bezgłośnie; samotna, zagubiona, niepewna co począć. Aż w końcu otarła oczy rąbkiem fartucha i zaparzyła sobie filiżankę kawy.

Shasa zaparkował jaguara przed domem Blaine'a Malcomesa, lecz po przeciwnej stronie ulicy i nie od razu wysiadł. Siedział po ciemku, z wyłączonym silnikiem i zastanawiał się nad tym, co ma zamiar zrobić.

„Pewnie znów zrobię z siebie po prostu idiotę” — pomyślał i przekręcił wsteczne lusterko, by móc się w nim przejrzeć. przecesał grzebieniem włosy, poprawił starannie opaskę na oku i z ociąganiem się otworzył drzwiczki.

Obie strony Newlands Ayenue były ciasno zastawione samochodami. Przyjęcie musiało być wielkie, na dwieście, trzysta osób, ale też Blaine Malcomes należał do osób na świeczniku, więc zaręczyny jego córki były ważnym wydarzeniem towarzyskim.

Przeszedł na drugą stronę ulicy. Frontowe drzwi domu otwarto na oścież, lecz dostanie się do środka okazało się nie takie proste. Nawet w holu panował ogromny ścisk, przyjęcie toczyło się już w najlepsze. Złożona z ciemnoskórych muzyków orkiestra grała tasiemcowego lambeth-Walka, stłoczeni w salonie tancerze podrygiwali radośnie w rytm żywych taktów muzyki. Shasa powoli przepchnął się do baru. Nawet Blaine Malcomess nie mógł zaproponować swoim gościom whisky; po prostu nie sposób jej było zdobyć. Za objaw patriotyzmu uważano teraz picie rodzimego koniaku, ale Shasa zamówił piwo imbirowe.

„Czas picia minął dla mnie bezpowrotnie” — pomyślał kwaśno i ze szklanką w ręku zaczął przedzierać się przez zatłoczone salony, wymieniając uściski dłoni ze starymi przyjaciółmi, całując w policzki kobiety, z których wiele całował na przestrzeni mionionych lat znacznie mniej niewinnie.

— Dobrze, że wróciłeś, Shaso.

Wszyscy starannie udawali, że nie zauważają czarnej opaski na oku. Po kilku zdawkowych uwagach przeproszał i podejmował swe poszukiwania.

Znalazł ją w jadalni, gdzie w towarzystwie kucharza i dwóch pokojówek dokonywała ostatniej lustracji wykwintnie zastawionych stołów.

Na jego widok drgnęła i znieruchomiała. Miała na sobie zwiewną wieczorową suknię w kolorze popiołu z róż, rozpuszczone włosy sięgały jej do ramion. Zapomniał już, jak perłowym blaskiem potrafią lśnić jej oczy. Dymnoszaroperłowym.

Kiedy ruchem ręki odprawiła służbę, podszedł do niej powoli.

— Cześć, Taro, wróciłem.

— Tak, słyszałam. Pięć tygodni temu. Myślałam, że... — Urwała i przyjrzała mu się uważnie. — Słyszałam, że zostałeś odznaczony — dotknęła baretek na jego piersi. — I ranny.

Popatrzyła na niego otwarcie, nie unikając wzrokiem lewego oka. I nagle uśmiechnęła się.

— Wyglądasz z tym po prostu zabójczo.

— Niestety wcale się tak nie czuję.

— Widzę — skinęła głową. — Zmieniłeś się.

— Tak uważasz?

— Tak, nie jesteś już taki... — potrząsnęła głową zirytowana, że nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa. — Taki zuchwały, taki zadufany w sobie.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — powiedział. — Poważnie.

— Dobrze, a o czym?

— Nie tutaj. Nie w tym tłumie.

— Jutro?

Jutro będzie za późno. Zaraz. Tylko wyjdźmy gdzieś.

— Oszalałeś? Shaso, to moje przyjęcie. Ja tu jestem gospodynią. Moje zaręczynowe przyjęcie.

— Podjadę jaguarem pod wejście dla dostawców. Tylko narzuć coś na siebie. Zimno dzisiaj.

Ustawił jaguara tuż pod ścianą, dokładnie w miejscu, gdzie niegdyś prowadzili te długie, nie kończące się pożegnania. Wyłączył światła. Był pewien, że Tara nie przyjdzie, lecz mimo to czekał.

Kiedy otworzyła drzwiczki i wskoczyła na fotel, był szczerze zaskoczony, zarazem jednak poczuł się tak, jakby ktoś zdjął mu z ramion ogromne brzemię. Przebrała się w spodnie i sweter pod szyję. Widać nie miała zamiaru natychmiast wracać na przyjęcie.

— Jedź! — zawołała. — Zmykajmy stąd!

Milczeli długą chwilę, a Shasa zerkał na nią za każdym razem, kiedy blask mijanej latarni

oświetlał wnętrze samochodu. Patrzyła wprost przed siebie z nikłym uśmiechem na ustach, i to w końcu ona odezwała się pierwsza.

— Nigdy nikogo i niczego nie potrzebowałeś. Tego właśnie nie mogłam u ciebie znieść.

Nic me odpowiedział.

— A teraz chyba mnie potrzebujesz. Wyczułam to od pierwszej chwili, kiedy cię zobaczyłam. W końcu naprawdę mnie potrzebujesz.

Milczał, bo słowa wydawały się zbędne. Zamiast mówić, sięgnął i zacisnął w dłoni jej rękę.

— Teraz jestem gotowa, Shaso — powiedziała cicho. — Zabierz mnie gdzieś, gdzie będziemy sami, zupełnie sami.

Księżyc i gwiazdy wystarczająco oświetlały ścieżkę. Przywarła do niego, wspierając się na jego ramieniu, w połowie urwiska przystanęli bez tchu, roześmiani, by się pocałować.

Otworzył przed nią drzwi chaty i zapalił lampę naftową. Z ulgą stwierdził, że służący z Weltevreden wykonali jego polecenia. Całą izbę dokładnie wysprzątało, wypastowano podłogę, zmieniono pościel.

Tara stanęła pośrodku chaty obejmując się rękoma w obronnym geście. W świetle lampy jej oczy wydawały się ogromne, lśniły przedziwnym blaskiem. Kiedy wziął ją w ramiona, zaczęła nieopanowanie drżeć na całym ciele.

— Tylko bądź delikatny — szepnęła błagalnie. — Tak się boję.

Był cierpliwy i niezwykle delikatny, lecz ona nie potrafiła ocenić jego doświadczenia i wprawy. Wiedziała tylko, że wyczuwał każdą najdrobniejszą zmianę jej nastroju, przewidywał z góry każdą reakcję jej ciała, tak że nagość zupełnie nie budziła w niej wstydu, a wszelkie inne niepokoje i wątpliwości rozwiały się szybko pod czułą pieczęcią jego dłoni i ust. Na koniec stwierdziła, że wybiega przed niego, że nie wiadomo kiedy przyswoiła sobie sztukę kierowania nim i zachęcania go nieznacznymi ruchami ciała, westchnieniami i jękami zachwyty.

Toteż kiedy w końcu spoczęli wyczerpani obok siebie, spojrzała na niego oszołomiona, zadziwiona i szepnęła gardłowo:

— Nigdy me przypuszczałam... nigdy nie marzyłam, że to może być aż tak. Och, Shaso, tak się cieszę, że do mnie wróciłeś.

Fordsburgski oddział Standard Bank obsługiwał wszystkie kopalnie złota zagłębia Centralnego Randu, wszystkie cotygodniowe płace dziesiątków tysięcy czarnych górników pobierano z tego właśnie oddziału. Jeden z pracujących tam księgowych był członkiem OB.

Nazywał się Willem De Kok, był małym człowieczkiem o ziemistej cerze i krótkowzrocznych, zamglonych oczach przesłoniętych grubymi soczewkami okularów. Ale jego wygląd wprowadzał w błąd. Po kilku minutach pierwszej rozmowy Manfred De La Rey przekonał się, że Willem De Kok jest niezwykle bystry, absolutnie oddany sprawie i niemal zbyt odważny jak na człowieka tak lichej postury.

— Pieniądze przywożone są we czwartki, między piątą a szóstą po południu. Opancerzonym samochodem z policyjną eskortą na motocyklach. To nie jest odpowiednia pora na przeprowadzenie akcji. Niemal na pewno doszłoby do strzelaniny.

— Rozumiem — skinął głową Manfred. — Nim jednak omówimy tę kwestię, proszę nam powiedzieć, ile pieniędzy zazwyczaj wtedy przyjeżdża.

— Pięćdziesiąt do siedemdziesięciu tysięcy funtów. Tylko w ostatni czwartek każdego miesiąca jest tego więcej, około stu tysięcy, bo wtedy dochodzą pensje opłacanych miesięcznie pracowników

wyższego nadzoru. Do tego trzeba dodać nasze zwykłe pogotowie kasowe, mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Zebrawali się w domu wyższego urzędnika jednej z większych kopalni złota Randu, człowieka, który także zwerbował miejscowych *stortnjagters* do przeprowadzenia akcji. Nazywał się Lourens, był wielkim chłopem o czerwonej, nalanej twarzy, zdradzającej silne upodobanie do wysokoprocentowych trunków. Nie podobał się Manfredowi; choć jak do tej pory nic właściwie nie uzasadniało niechęci; czuł intuicyjnie, że w sytuacji kryzysowej człowiek ten może łatwo zawieść.

— Dziękuję, *Meneer De Kok*, proszę mówić dalej.

— Dyrektor oddziału banku, pan Cartwright, osobiście otwiera drzwi tylnego wejścia i pieniądze zostają wniesione do środka. O tej porze bank jest już oczywiście zamknięty, nie obsługuje normalnych klientów. Pan Cartwright, ja i dwóch starszych kasjerów liczymy pieniądze i wystawiamy pokwitowanie. Potem całą sumę deponuje się w skarbcu i zamyka na noc. Ja mam jeden klucz i znam połowę kombinacji szyfru, pan Cartwright drugi i zna drugą połowę.

— To właśnie ta odpowiednia pora — domyślił się Manfred. — Po odjeździe eskorty policyjnej, a przed zamknięciem drzwi skarbcza.

— To jedna z możliwości — potwierdził De Kok. — Niemniej o tej porze jest wciąż jeszcze widno. Na ulicach tłumy ludzi. Pan Cartwright to twarda sztuka, za wielkie ryzyko, że coś się nie uda. Czy wolno mi zasugerować, jak ja bym to zorganizował, gdybym dowodził akcją?

— Oczywiście, *Meneer De Kok*. Pańska pomoc jest dla nas wprost nieoceniona.

Dochodziła północ, kiedy Peter Cartwright wyszedł z zebrania łoży masońskiej, które zakończyło się przed kilkoma minutami. Był mistrzem tej łoży i wciąż jeszcze miał na sobie nałożony na smoking fartuszek. Jego morris stał jak zawsze w wąskiej alejce na zapleczu budynku, tuż pod ścianą, tej nocy jednak, kiedy Peter Cartwright usiadł za kierownicą i wsunął kluczyk w stacyjkę, poczuł na karku dotyk czegoś zimnego i twardego.

— To jest pistolet, panie Cartwright — usłyszał zza pleców. — Jeśli nie zrobi pan dokładnie tego, co mówię, zostanie pan zabity strzałem w tył głowy. Proszę jechać do banku.

Smiertelnie przerażony Peter Cartwright wykonał polecenie dwóch zamaskowanych mężczyzn, podjechał pod budynek banku i zaparkował obok tylnego wejścia. W ciągu ostatnich kilku miesięcy zapanowała istna plaga napadów na banki, w samym Witwatersrandzie dokonano co najmniej czterech, a podczas jednego z nich zastrzelono stawiającego opór strażnika. Cartwright nie miał żadnego powodu wątpić w bezwzględność bandytów i realność ich groźby.

Przed bankiem kazali mu wysiąść, chwycili z obu stron pod ręce i popchnęli pod tylne wejście. Jeden z nich zapukał kolbą rewolweru w drzwi, które ku absolutnemu zaskoczeniu Cartwrighta natychmiast się otworzyły. Dopiero, kiedy znalazł się za nimi, zrozumiał, w jaki sposób bandyci dostali się do środka. Jego główny księgowy, Willem De Kok, był już na miejscu, w piżamie i szlafroku, potargany i szary na twarzy z przerażenia. Było zupełnie jasne, że został brutalnie wyciągnięty z łóżka.

— Przepraszam, panie dyrektorze — wybełkotał na jego widok. — Zmusili mnie.

- Weź się, człowieku, w garść — warknął Cartwright, pokrywając szorstkim tonem własny strach. I w tej samej chwili wyraz jego twarzy uległ zmianie — za plecami De Koka dostrzegł dwie kobiety: jego małą, pulchną żonę i swą własną, ukochaną Mary, w papilotach i długim różowym szlafroku ozdobionym z przodu sztucznymi różami.

— Peter! — rozszlochała się na jego widok. — Och, Peter, nie pozwól, żeby nam cokolwiek

zrobili!

— Przestań, Mary. To ty nie pozwól, by oglądali cię w takim *stanie*.

Cartwright powiódł wzrokiem po bandytach. Było ich sześciu, wliczając w to tych dwóch, którzy doprowadzili jego samego, ale lata doświadczenia w ocenianiu ludzkich charakterów i osobowości pozwoliły mu niemal natychmiast wyłowić z ich grona przywódcę. Był nim wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna o gęstej, czarnej kręconej brodzie i widocznych w otworach maski dziwnie jasnych oczach, przywodzących na myśl ślepiec wielkich drapieźnych kotów. Kiedy spojrzał w te oczy, jego strach zmienił się w paniczne przerażenie — były zimne, bezwzględne, nie znalazł w nich ani cienia litości.

— Otwórz skarbiec — polecił mężczyzna.

Mówił po angielsku z silnym obcym akcentem.

— Nie mam klucza — odparł Cartwright.

Bandyta o kocich oczach chwycił za rękę Mary Cartwright i zmusił ją do ukłęknięcia.

— Nie ośmielisz się! wybuchnął Cartwright.

Bandyta przystawił lufę pistoletu do skrom kłęczącej.

— Moja żona spodziewa się dziecka!

— Tym bardziej Powinieneś oszczędzić jej dalszych nieprzyjemności.

— Otwórz im ten skarbiec, Peter! — krzyknęła piskliwie Mary Cartwright. — To nie nasze pieniądze! Niech je sobie biorą! To pieniądze banku. Niech je sobie wezmą! — I nie zdoławszy zapanować nad pęcherzem oddała mocz, który rozlał się żółtą plamą na jej różowym szlafroku.

Cartwright podszedł do oksydowanych na zielono stalowych drzwi skarbcza i wyjął z kieszonki kamizelki klucz, przymocowany na końcu łańcuszka zamiast zegarka. Gotując się z wściekłości i upokorzenia nastawił kombinację, przekręcił klucz w zamku i odsunął się na bok, ustępując miejsca De Kokowi. Główny księgowy wybrał pozostałe cyfry kombinacji, włożył w zamek swój klucz, przekręcił go i powoli odciągnął ciężkie drzwi. I w chwili, gdy uwaga wszystkich skupiona była całkowicie na uchylających się drzwiach, dyrektor banku zerknął szybko w stronę swego biurka. W górnej szufladzie po prawej ręce miał tam służbowy pistolet. Był to webley kalibru 0.455, zawsze nabity i gotowy do strzału. W ciągu ostatniej minuty wściekłość z powodu sposobu, w jaki potraktowano jego żonę, zagłuszyła w dyrektorze banku początkowy paraliżujący strach.

— Brać forszę! — rozkazał herszt i trzech bandytów weszło szybko do skarbcza, rozwijając przygotowane wcześniej brezentowe worki.

— Moja żona... — powiedział Cartwright, kiedy zniknęli za drzwiami. — Muszę się nią zająć.

Nikt mu nie przeszkadzał, gdy podszedł do kłęczącej, pomógł jej wstać i podprowadził do biurka. Usadził ją delikatnie na krześle, nie przestając uspokajać i pocieszać, by zagłuszyć w ten sposób ciche skrzypnięcie otwieranej szuflady.

Wyjął pistolet, wsunął go do kieszeni fartuszka mistrza łoży masońskiej, po czym zostawił żonę za biurkiem i z uniesionymi w górę rękoma wrócił pod ścianę. Stał obok De Koka i jeszcze raz zlustrował sytuację. Obie kobiety były bezpieczne, poza linią strzału. Odczekał jednak, aż ze skarbcza wynurzą się trzej bandyci obładowani workami z paczkami banknotów i znów wszyscy skupią uwagę na tych wypchanych workach. Wtedy sięgnął do kieszeni białego skórzanego fartuszka, jednym ruchem wyszarpnął z niej rewolwer, lecz huk jego pierwszego strzału rozpląnął się w ostrym grzechocie serii z pistoletu maszynowego. Strzelał jednak dalej, nawet wtedy, gdy kule z lugera rozdarły mu ciało, a ich impet odrzucił go na ścianę. Strzelał dotąd, aż nie został mu ani jeden nabój,

aż ostatnim pociskiem trafił w betonową podłogę między własnymi stopami. Nim osunął się pod połupaną kulami ścianę i legł w kałuży własnej krwi, był już martwy.

STRZELAMNA W BANKU W RANDZIE
DWÓCH ZABITYCH
NAPAD ŁĄCZONY Z OB

To właśnie litery OB przykuły uwagę Sarah do gazet na stojaku przed sklepikiem. Weszła do środka, kupiła jak zawsze trochę słodyczy dla dzieci, a potem, jakby pod wpływem chwilowego kaprysu, wzięła także „Burgera”.

Przeszła do parku, usiadła na tej samej ławce co zawsze i kiedy dwa starsze brzdące pobiegły bawić się na trawniku, w napięciu przeczytała atrykuł na pierwszej stronie, odruchowo bujając wózkem ze śpiącym w środku niemowlęciem.

Wczoraj w nocy w czasie próby udaremnienia napadu zginął na terenie swego banku dyrektor oddziału Standard Bank w Fordsburgu. Razem z nim zginął także jeden z bandytów, a drugi, ciężko ranny został schwytany przez policję.

Według pierwszych szacunków pozostali czterej bandyci zdołali zbiec z łupem wartości ponad stu tysięcy funtów.

Rzecznik policji ogłosił dziś rano, że wstępne przesłuchanie rannego bandyty dostarczyło niezbitych dowodów, iż ta wstrząsająca zbrodnia jest dziełem członków Ossewy Brandwag.

Minister spraw wewnętrznych, pułkownik Blaine Malcomess, wydał oświadczenie stwierdzające, że zarządził przeprowadzenie śledztwa w sprawie dywersyjnej działalności OB. W oświadczeniu tym minister prosi także wszystkich, którzy posiadają jakiegokolwiek informacje mogące przyczynić się do powodzenia śledztwa, o skontaktowanie się z najbliższym posterunkiem policji lub telefonicznie bezpośrednio z ministerstwem. Numery telefonów: 78114 w Johannesburgu oraz 42444 w Cape Town. Minister gwarantuje wszystkim, którzy zechcą dopomóc władzom w tej sprawie, całkowitą anonimowość oraz zachowanie ich kontaktów z policją w absolutnej tajemnicy.

Prawie godzinę biła się z myślami, rozdarta między poczuciem odpowiedzialności za losy swej rodziny a nakazem zachowania patriotycznej solidarności z działaniami swoich współziomków. Zupełnie, ale to zupełnie nie wiedziała, jak powinna postąpić. Czy w imię wolności i sprawiedliwości wolno wysadzać w powietrze pociągi, napadać na banki i zabijać niewinnych ludzi? Czy próba uratowania męża i ocalenia rodziny może być uznana za zdradę? I co z tymi wieloma następnymi niewinnymi ludźmi, których na pewno spotka śmierć, jeśli pozwoli się Manfredowi De La Reyowi kontynuować jego dzieło? Nie miała trudności z wyobrażeniem sobie tego potwornego chaosu, jaki musiałby zapanować, gdyby cały kraj pogrążył się w wojnie domowej.

Raz jeszcze spojrzała na koniec artykułu, zanotowała w pamięci numer telefonu, po czym wstała, zawołała dzieci i pchając wózek przeszła na drugą stronę ulicy. Była już na chodniku i skręcała właśnie w stronę poczty, gdy zauważyła w jej oknie starego Oberholstera, naczelnika urzędu. Wyglądał na ulicę i patrzył w jej stronę. Wiedziała, że jest jednym z nich, widziała go kiedyś w mundurze OB, gdy przyszedł do domu zabrać Roelfa na jedno z tych ich zebrań.

Natychmiast ogarnęła ją panika. Wszystkie rozmowy telefoniczne łączono przez pocztową centralę. Oberholster z łatwością mógł podsłuchać, o czym będzie mówiła, telefonistka mogła rozpoznać ją po głosie. Minęła pocztę i ruszyła w stronę rzeźnika, jakby od początku miała zamiar tam właśnie się udać. Kupiła dwa kilogramy schabu na ulubione przez Roelfa kotlety i natychmiast

wróciła do domu, by jak najszybciej zniknąć z ulicy i móc wszystko spokojnie jeszcze raz przemyśleć.

Wchodząc do kuchni usłyszała męskie głosy dobiegające z pokoju od frontu, którego Roelf używał jako gabinetu. Pomyślała, że wrócił z uczelni znacznie wcześniej niż zwykle, i nagle serce zabiło jej szybciej, gdyż usłyszała głos Manfreda. Ogarnęło ją poczucie winy, że ten głos wciąż jeszcze tak na nią działa. Manfred nie był u nich od ponad trzech tygodni, lecz dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że bardzo za nim tęskniła i myślała o nim codziennie z uczuciami wahającymi się od zapiekłej nienawiści przez niechęć aż po nieopanowane fizyczne podniecenie.

Zabrała się do gotowania obiadu dla Roelfa i dzieci, ale głosy z pokoju dobiegały do kuchni dość wyraźnie. Co jakiś czas przerywała pracę, żeby lepiej słyszeć, i raz dotarło do niej całe pełne zdanie Manniego: „Kiedy byłem w Jo”burgu...” A więc był w Johannesburgu! Napadu na bank dokonano dwa dni wcześniej. Dość czasu, żeby wrócić samochodem czy pociągiem. Pomyślała o dwóch zabitych. W gazecie pisali, że dyrektor banku zostawił dwoje małych dzieci i żonę w ciąży. Zastanowiła się, jak ta kobieta się teraz czuje, owdowiała, sama z trójką dzieci.

Z tych rozmyślań znów wyrwały ją głosy z pokoju. Zastygła w bezruchu, żeby niczego nie uronić. To, co usłyszała, wzmocniło jej najgorsze przeczucia.

„Czy to się nigdy nie skończy? — zasepiła się. — Och, żeby tak już przestali, żeby tak Manie wyjechał i zostawił nas w spokoju...”

Ale na myśl o tym ogarnęło ją poczucie zupełnej bezradności i dziwnego żalu.

51

Shasa przyleciał z Johannesburga „Śmigłym Smokiem” sam i wylądował w Youngsfield już po zapadnięciu zmroku. Prosto z lotniska pojechał do domu Blaine'a przy Newlands Ayenue.

Drzwi otworzyła mu Tara, a kiedy stwierdziła, że to on, twarz rozpromieniła jej się w uśmiechu. — Och, kochanie, tak się za tobą stęskniłam!

Przywarli do siebie w długim pocałunku i z miłosnego uniesienia wyrwał ich dopiero głos Blaine'a.

— Nie chciałbym ci, Shaso, przeszkadzać w ważnych sprawach, ale gdybyś znalazł wolną chwilkę, to chętnie wysłuchałbym twojego sprawozdania.

— Szpiegowałeś nas! — zawołała Tara, czerwieniąc się gwakownie.

— Hol to miejsce publiczne, kochanie — odparł Blaine. — Nie musiałem szpiegować, wystarczyło popatrzeć. Chodźmy, Shaso.

Ruszył przodem do swego gabinetu i gestem wskazał krzesło.

— Napijesz się czegoś?

— Imbirowego piwa, sir.

— Cóż za upadek! — Blaine nalał sobie odrobinę oszczędzanej pieczołowicie whisky i podał Shasie szklankę piwa. — Więc co to takiego, czego nie mogłeś mi powiedzieć przez telefon?

— Być może w końcu uśmiechnęło się do nas szczęście, sir. — Gdy tylko wyszło na jaw, że z napadem na bank w Fordsburgu może mieć coś wspólnego Ossewa Brandwag, Shasa natychmiast otrzymał od Blaine'a polecenie udania się do Johannesburga. Tam pojechał na Marshall Square, do siedziby Wydziału Kryminalnego Policji i był obecny przy przesłuchaniu schwytanego rannego bandyty. — Jak pan wie, ten facet pracuje w zarządzie jednej z kopalń. Nazywa się Thys Lourens i oczywiście figuruje na naszej liście znanych członków OB. choć nie należy do grubych ryb. Potężnie zbudowany gość, wygląda na takiego, co lubi sobie wypić. Powiedziałem inspektorowi, że oczekuje

pan odpowiedzi...

— Żadnych brutalnych metod — zmarszczył brwi Blaine.

— To nie było potrzebne. Okazało się, że Lourens nie jest takim twardzielem, na jakiego wygląda. Wystarczyło mu przypomnieć, że karą za napad z bronią w rękę i współudział w morderstwie jest szubienica, a potem zasugerować, że gotowi jesteśmy dobić z nim targu, i zaraz zaczął sypać. Większość z tego, co nam powiedział, przekazałem panu rano przez telefon.

— Zgadza się, mów dalej.

— Potem podał nam nazwiska pozostałych uczestników napadu, to znaczy trzech z nich. Jeszcze przed moim wyjazdem z Johannesburga udało się ich aresztować. Ale przywódcę bandy widział pierwszy raz na oczy dopiero trzy dni przed napadem. Nie zna jego nazwiska, nie wie, gdzie go szukać.

— Podał wam rysopis?

— Owszem. Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna, czarne włosy, czarna broda, garbaty nos, blizna nad okiem — dość szczegółowy opis. Zdradził nam jednak coś jeszcze, co może mieć niezwykle istotne znaczenie.

— Co takiego?

— Kryptonim. Przywódca bandy znany jest jako *Die Wit Swaard*, Biały Miecz. A rozkaz podjęcia z nim współpracy pochodził w samej górze dowództwa *stormjagers*.

— Biały Miecz — mruknął Blaine. — Brzmi to jak coś z gazetki skautów.

— Niestety na tym podobieństwo do dzieciennych zabaw się kończy. Polecilem prowadzącemu śledztwo, by do czasu otrzymania od pana osobiście innych rozkazów zachował kryptonim i rysopis w ścisłej tajemnicy.

— Dobrze. — Blaine pociągnął łycezek whisky zadowolony, że zaufanie, jakim obdarzył Shasę Courteneya, tak szybko okazało się w pełni uzasadnione. — Biały Miecz... Ciekawe, czy to właśnie jest ten poszukiwany przez nas zapalnik, ten katalizator, który popchnął w końcu OB do działania.

— Bardzo prawdopodobne, sir. Wszyscy aresztowani członkowie bandy wyraźnie się go bali. Bez wątplenia to on właśnie zorganizował cały napad, po czym po prostu zapadł się pod ziemię. Ani śladu zrabowanych pieniędzy. Nawiasem mówiąc, udało się ustalić, że było tego sto dwadzieścia siedem tysięcy funtów.

— Ładna sumka — mruknął Blaine. — I należy założyć, że powędrowała do kasy wojennej OB. pewnie razem z dynamitem z tamtego pociągu.

— Co do tego kryptonimu, sir, chciałbym zaproponować, żeby zachować go w ścisłej tajemnicy przed prasą i wszystkimi osobami nie biorącymi bezpośredniego udziału w śledztwie.

— Zgadzam się. Ale chętnie wysłucham uzasadnienia tej propozycji. Sprawdźmy, czy chodzi nam o to samo.

— Po pierwsze, żeby me spłoszyć zwierzyny. Wolę, żeby nie wiedział, że wpadliśmy na jego trop.

— Ja też — skinął głową Blaine.

— Po drugie, zapewni to wiarygodność każdemu informatorowi, który użyje tego kryptonimu.

— Nie rozumiem — zmarszczył czoło Blaine.

— Pański apel do społeczeństwa o pomoc w prowadzeniu śledztwa przyniósł nam istny zalew telefonów, niestety jednak większość przekazanych nam informacji jest zupełnie bezwartościowa. Jeśli ten kryptonim przecieknie do publicznej wiadomości, wszyscy będą się nim posługiwać.

— Ach tak, użycie tego kryptonimu pozwoli od razu stwierdzić, że informacje przekazywane przez dzwoniącego mają istotną wartość.

— Właśnie.

— Zgoda, a zatem przetrzymamy ten kryptonim jakiś czas pod korcem. Coś jeszcze?

— Na razie wszystko.

To teraz ja zdam ci sprawozdanie z tego, co zaszło tutaj pod twoją nieobecność. Rozmawiałem z premierem i postanowiliśmy ogłosić OB organizacją o charakterze politycznym. Wszyscy urzędnicy państwowi, w tym także pracownicy wojska i policji, będą musieli natychmiast zrezygnować z jej członkostwa.

— To nie zmieni ich przekonań — zauważył Shasa.

— Oczywiście, że nie. Nadal czterdzieści czy pięćdziesiąt procent społeczeństwa będzie przeciwko nam, nadal popierać będzie hitlerowskie Niemcy.

— Dłużej tak być nie może, sir. Już wkrótce pan i *Ou Bass* będziecie musieli zagrać w otwarte karty.

— Tak, wiemy o tym. Natychmiast po zakończeniu śledztwa i skompletowaniu w miarę obszernej listy przywódców podejmiemy odpowiednie kroki.

Shasa drgnął zaskoczony.

— Masowe aresztowania?

— Tak. Zostaną internowani na czas trwania wojny jako wrogowie państwa.

— To drastyczne posunięcie, sir — powiedział Shasa gwizdnąwszy cicho. — Może się nieźle zakotłować.

— Dlatego właśnie musimy zgarnąć wszystkich za jednym zarzuceniem sieci. Nie wolno nam przeoczyć nawet jednego. — Blaine wstał zza biurka. — Widzę, że jesteś zmęczony, Shaso, a poza tym *mademozelle* Tara ma ci na pewno do powiedzenia wiele ważnych rzeczy. Oczekuję cię jutro w moim biurze punktualnie o ósmej trzydzieści rano. — Kiedy podeszli do drzwi gabinetu, Blaine dodał, zmieniając temat: — Dziś rano przyjechał do Weltevreden twój dziadek, sir Garrick.

— Na swoje własne urodziny — odaprzł Shasa z uśmiechem. — Cieszę się, że znów go zobaczę. Mam nadzieję, że razem z feldmarszałkiem Smutsem weźmiecie panowie jak zwykle udział w pikniku.

— Nic w świecie mnie przed tym nie powstrzyma!

Blaine otworzył drzwi. Tara kręciła się po drugiej stronie holu, udając z niewinną miną, że wybiera książkę ze stojącej pod ścianą biblioteczki.

— Taro! — zawołał z uśmiechem Blaine. — Pozwól mu się dziś w nocy choć trochę przespać. Słyszysz? Nie chcę jutro pracować z nieprzytomnym z niewyspania tumanem!

Spotkanie w biurze Blaine'a trwało dłużej, niż obaj się spodziewali, a potem przeszli do gabinetu premiera, gdzie feldmarszałek Smuts osobiście wypytał Shasę o stan śledztwa. Jego pytania były tak przenikliwe, że wysiłek, jakiego wymagało dotrzymanie kroku błyskotliwemu umysłowi premiera, zupełnie Shasę wykończył. Umknął z gabinetu oddychając z ulgą, słysząc jeszcze w usach ostatnie napomnienie marszałka:

— Musimy dopaść tego Białego Miecza, kimkolwiek on jest, i to zanim wyrządzi jakieś dalsze szkody. Proszę to przekazać wszystkim osobom biorącym udział w śledztwie.

— Tak jest, panie premierze.

— I do końca tego tygodnia chcę mieć te listy na swoim biurku. Tych ludzi trzeba zamknąć i

unieszkodliwić.

Pół godziny później Shasa zajechał jaguarem przed Wydział Kryminalny Komendy Głównej Policji i zaparkował w zarezerwowanej dla niego zatoczce.

Pokój operacji specjalnych usytuowany był w jednym z rozległych podziemi. Shasa podpisał się w księdze dużyującego stale pod drzwiami policjanta. Wstęp do pokoju operacyjnego miały tylko osoby ze specjalnej listy, powszechnie wiadomo było bowiem, że wielu policjantów należy do OB lub po cichu sympatyzuje z tą organizacją. Inspektor Louis Nel dobrał sobie zespół z niezwykle starannością.

Był to łysiejący milczek, któremu wiek i kwalifikacje zawodowe nie pozwoliły zgłosić się na ochotnika do służby militarnej poza granicami kraju, co wprawiło go w nie skrywane rozgoryczenie. Shasa przekonał się jednak szybko, że człowieka tego można z łatwością polubić i podziwiać, choć już znacznie trudniej go zadowolić. Szybko nawiązali między sobą nic porozumienia.

Nel, w koszuli z krótkimi rękawami, z papierosem w ustach, rozmawiał przez telefon, ale zasłonił dłonią słuchawkę i przywołał Shasę niecierpliwym gestem.

— Gdzie pan się, u diabła, podziewał? — burknął nie tracąc czasu na powitania. — Już miałem kazać pana szukać. Niech pan siada, musimy porozmawiać.

Shasa przysiadł na rogu jego biurka czekając, aż inspektor skończy rozmowę, i popatrzył przez wewnętrzną szybę do pokoju operacyjnego.

Inspektorowi Nelowi przydzielono ośmiu wywiadowców i cały zespół stenografek. W pomieszczeniu było szaro od papierosowego dymu i głośno od nieustannego stukotu maszyn do pisania. W tej właśnie chwili rozdzwonił się następny z kilku aparatów stojących na biurku Nela i inspektor podniósł wzrok na Shasę.

— Niech pan odbierze! Ta piekielna centrala przełącza na mnie.

Shasa podniósł słuchawkę.

— Dzień dobry, tu Wydział Kryminalny Komendy Głównej Policji. Czym mogę służyć? W słuchawce zaległa cisza, więc powtórzył to raz jeszcze w afrikaans.

— Halo, chcę z kimś mówić... — Rozmówczynią była kobieta, młoda kobieta, bardzo zdenerwowana. Mówiła w afrikaans, z wyraźnym wahaniem, z trudem łapiąc oddech, jakby była zdyszana. — W gazecie pisali, że chcecie wiedzieć o Ossewie Brandwag. Chcę mówić z kimś w tej sprawie.

— Moje nazwisko Courteney — odparł Shasa w afrikaans. — Dowódca eskadry Courteney. Jesteśmy pani bardzo wdzięczni za chęć dopomożenia policji. Może pani ze niną swobodnie rozmawiać. — Starał się nadać swemu głosowi łagodne, uspokajające brzmienie. Czuł, że ta kobieta się boi, boi do tego stopnia, że w każdej chwili gotowa jest zmienić zdanie i przerwać połączenie. — Proszę się nie spieszyć. Jestem tu po to, żeby pani wysłuchać.

— Pan jest z policji?

— Tak, proszę pani. Czy może mi pani podać swoje nazwisko?

— Nie! To niemożliwe! Nie mogę...

Zorientował się, że popełnił błąd.

— To nic nie szkodzi — zapewnił pospiesznie. — Jeśli woli pani tego nie robić, wcale nie musi mi go pani podawać.

Zapadła długa cisza. Słyszał w słuchawce jej ciężki oddech.

— Proszę się nie spieszyć — powtórzył łagodnie. Powie mi pani tylko to, co chce pani

powiedzieć.

— Wykradają broń. — Kobieta zniżyła głos do szeptu.

— Czy może mi pani powiedzieć, skąd ją wykradają? — spytał ostrożnie.

— Z fabryki w Pretorii, z warsztatów kolejowych.

Shasa drgnął, wyprostował się i obiema rękoma przycisnął słuchawkę do ucha.

Warsztaty kolejowe w Pretorii były praktycznie jedynym producentem broni i amunicji w kraju. Tylko tam mieli szybkoobrotowe tokarki, prasy parowe i pozostały ciężki sprzęt pozwalający wytwarzać lufy i zamki do karabinów ręcznych i maszynowych. Łuski do amunicji wytłaczano w mennicy, ale do ostatecznej obróbki przewożono je właśnie do zakładów kolejowych.

— Pani informacja ma niezwykle znaczenie — powiedział ostrożnie. — Czy może mi pani powiedzieć, jak to robią?

— Sypią do skrzyń opiłki żelaza, a broń wykradają — szepnęła kobieta.

— Czy wie pani, kto to robi? Kto organizuje tę kradzież?

— Nie wiem, kto to robi W fabryce, ale znam tego, który tym kieruje. Wiem, kto to jest.

— Musimy poznać jego nazwisko — powiedział Shasa z łagodnym naleganiem w głosie, ale kobieta zacięła się i umilkła. Czuł, że walczy ze sobą, i że jeśli będzie ją naciskał, to spłoszy się i rozłączy.

— Czy zechce mi pani powiedzieć, kto to jest? — spytał po dłuższej chwili. — Niech się pani zastanowi, proszę się nie spieszyć.

— Nazywa się... — Znów się zawahała, zamilkła na chwilę, po czym jednym tchem wyrzuciła z siebie: — Nazywają go *Wit Swaard*, Biały Miecz.

Shasa poczuł, że ciarki przebiegają mu po karku, a serce zamiera w piersi, opuszcza jedno uderzenie, po czym zaczyna bić jak oszalałe, jakby chciało nadrobić tę zaległość.

— Czy może pani powtórzyć? — poprosił powoli.

— Biały Miecz! Nazywa się Biały Miecz — zawołała zduszonym głosem jego rozmówczyni, po czym w słuchawce rozległo się ciche piknięcie i połączenie zostało przerwane.

— Halo! Halo! — zawołał rozpaczliwie Shasa. — Jest pani tam?! Proszę się nie rozłączać!

Ale odpowiedział mu jedynie głuchy, szydrczy trzask dalekich zakłóceń na linii.

Shasa stał przy biurku Blaine'a Malcomessa, kiedy ten dzwonił do szefa Wydziału Kryminalnego Komendy Policji w Johannesburgu.

— Natychmiast po uzyskaniu nakazu rewizji otoczyć całe zakłady. Nie wpuszczać i nie wypuszczać absolutnie nikogo. Rozmawiałem już z dowódcą okręgu wojskowego Transwalu. Zarówno on jak i jego kwatermistrz udzielą wam jak najdalej idącej pomocy. Proszę natychmiast rozpocząć rewizję, otworzyć wszystkie skrzynie z bronią w magazynach i sprawdzić każdą sztukę z raportami produkcyjnymi fabryki. Ja już do was lecę, samolot czeka na lotnisku. Proszę wysłać po mnie samochód do Roberts Heights, będę tam... — zerknął na Shasę, by podpowiedział mu godzinę — o piątej. Tymczasem proszę wydać wszystkim biorącym udział w rewizji rozkaz zachowania ścisłej tajemnicy. I jeszcze jedno, panie komisarzu — proszę wybrać do przeprowadzenia akcji tylko tych ludzi, co do których jest pan absolutnie pewien, że nie należą do żadnych organizacji wywrotowych, a zwłaszcza do Ossewy Brandwag.

Jaguarem Shasy pojechali na Youngsfield, a kiedy Shasa zaparkował za hangarem, Blaine wyprostował długie nogi i z trudem wygrzebał się z niskiego sportowego auta.

— No, najgorszy odcinek drogi mamy za sobą — mruknął.

Kiedy Shasa podkołował na stanowisko pod wieżą kontrolną w Roberts Heights i wyłączył silniki, zobaczyli czekającego na nich inspektora policji. Wybiegł im na spotkanie i przywitał się, mm jeszcze zeszli po schodkach na płytę lotniska.

— Jak postępuje śledztwo? — spytał Blaine po wymianie uścisków dłoni. — Co do tej pory udało wam się znaleźć?

— Nic, panie ministrze — potrząsnął głową inspektor. — Sprawdziliśmy ponad sześćset skrzyń karabinów. To bardzo żmudna robota. Ale jak do tej pory wszystkie są w porządku.

— Ile skrzyń jest w magazynach?

— Dziewiećset osiemdziesiąt.

— To znaczy, że przejrzeście już ponad połowę — pokręcił głową Blaine. — No cóż, tak czy inaczej jedziemy zobaczyć.

Nacisnął kapelusz na głowę i zapiął jesionkę pod samą szyję, bo po płycie lotniska hulał zimny wiatr niosący wspomnienie śniegów z gór Drakensbergu, a ostatnie silne przymrozki tej zimy osrebrzyły trawę szronem. Obaj z Shasą wsiedli do czarnego policyjnego packarda, lecz w czasie krótkiej podróży do centrum Pretorii nie odzywali się już do siebie ani słowem.

Przed bramą warsztatów kolejowych stały straże: policyjna i wojskowa. Jedna i druga starannie sprawdziły tożsamość pasażerów packarda, niczym nie zdradzając, że stanowisko Blaine'a zrobiło na nich jakieś wrażenie.

Dowodzącego operacją głównego inspektora znaleźli w biurze dyrektora zakładów, lecz jego raport nie wniósł do sprawy praktycznie nic nowego. Nadal nie natrafiono na żadne ślady nieprawidłowości w produkcji i magazynowaniu broni.

— Proszę mnie oprowadzić po zakładzie — zażądał ponuro Blaine i cała grupa, Blaine, Shasa, główny inspektor oraz dyrektor fabryki, przeszła do hali produkcyjnej.

Nazwa „warsztaty” nie bardzo pasowała do ogromnej fabryki, w której się znaleźli. Zakłady zbudowano pierwotnie dla obsługi i napraw taboru kolei państwowych, lecz z czasem rozrosły się, zostały zmodernizowane, aż w końcu mogły same produkować tabor od drezyn po lokomotywy. Teraz całą długą linię produkcyjną, wzdłuż której przechodzili, przestawiono na produkcję pojazdów opancerzonych na potrzeby wojsk toczących wojnę pustynną w Afryce Północnej.

Policja nie wstrzymała pracy w zakładach, toteż przepastne hale o dachach z falistej blachy rozbrzmiewały hukami pras parowych, jazgotem tokarek, metalicznym zgrzytem wiertarek rewolwerowych.

— Ilu ludzi pan zatrudnia? — spytał Blaine, przekrzykując piekielną kakofonię dźwięków.

— Prawie trzy tysiące. Pracujemy teraz na trzy zmiany. Produkcja na rzecz armii.

Dyrektor zaprowadził ich do najdalszego budynku.

— Tu właśnie robimy broń ręczną! — krzyknął. — A raczej jej metalowe części. Lufy i zamki. Drewniane elementy dostarczają nam kooperanci z zewnątrz.

— Niech pan nam pokaże gotową produkcję i pakownię - polecił Blaine. — Jeśli dzieje się tu coś dziwnego, to właśnie tam.

Po złożeniu i sprawdzeniu kompletne karabiny pokrywano smarem, zawijano w pergaminowy papier, po czym pakowano w długie drewniane zielone skrzynie, po dziesięć sztuk w jednej. Na koniec skrzynie ładowano na stalowe palety i wózkami przewożono do magazynów wysyłkowych.

Kiedy weszli do jednego z takich magazynów, ujrzeli kilkunastu policjantów nadzorujących co najmniej pięćdziesięciu robotników w granatowych kombinezonach. Z wysokich stert pod ścianami zdejmowano po kolei każdą skrzynię, otwierano ją w obecności policjanta, wyjmowano karabiny, przeliczano je, a następnie z powrotem wkładano do skrzyni i przybijano wieko. Zamknięte ponownie skrzynie przenoszono pod przeciwległą ścianę magazynu, toteż już od progu widać było, że do sprawdzenia pozostało ich zaledwie pięćdziesiąt.

Na widok wchodzących naczelną magazynier wybiegł zza swego biurka i zawołał z oburzeniem do Blaine:

— Nie wiem, kim pan jest, ale jeśli właśnie tym głupcem, który zarządził to wszystko, to należy się panu kilka dobrych kopniaków w dupę! Straciliśmy całodniową produkcję! Na bocznicę stoi pociąg, a w porcie w Durbame konwój statków! Na tę broń czekają nasi chłopcy na północy!

Shasa odłączył od grupy i podszedł do jednego z policjantów.

— Nic? — spytał.

— To strata czasu — burknął policjant, nie podnosząc wzroku. Shasa skłął się w duchu. Przez niego stracono całodniową produkcję. Przytłoczony brzemieniem odpowiedzialności z rozpaczą patrzył, jak robotnicy otwierają, sprawdzają i zamykają z powrotem ostatnie skrzynie.

Policjanci zebrali się przy drzwiach magazynu, a robotnicy wrócili przez wielkie rozsuwane wrota na swoje stanowiska produkcyjne. Główny inspektor podszedł do grupki niepokieszonych gości.

— Nic, panie ministrze. Bardzo mi przykro.

— Musieliśmy to zrobić — powiedział Blaine, spoglądając na Shasę. — Nie ma w tym niczyjej winy.

— Niczyjej?! Akurat! — wszedł mu zapalczywie w słowo naczelny magazynier. — Ktoś powinien za to beknać, i to porządnie! Czy teraz, kiedyście się już nabawili, mogę załadować resztę partii?

Shasa spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. W zachowaniu tego człowieka było coś, co uruchamiało cichy, ostrzegawczy dzwoneczek w jakimś zakamarku jego mózgu. Ta zuchwałość, ten napastliwy ton, to umykanie wzrokiem w bok...

„Jasne pomyślał. — Jeśli dokonywano jakiejś podmiany, to robiono to właśnie tu, a ten facet musi tkwić w tym po uszy.” — Jego umysł otrząsnął się z inercji rozczarowania i zaczął pracować na najwyższych obrotach.

— Proszę — powiedział Blaine. — To szukanie wiatru w polu. Niech pan przystąpi do pracy.

— Chwileczkę, sir! — zawołał Shasa i odwrócił się z powrotem do magazyniera.

— Ile wagonów już załadowaliście?

Znów to samo umknięcie wzrokiem w bok, lekkie, prawie nieuchwytne wahanie. Ten człowiek miał zamiar skłamać. I w tym momencie magazynier zupełnie mimowolnie zerknął na papiery leżące na biurku przy drzwiach na peron.

Shasa podszedł szybkim krokiem do biurka i chwycił z blatu wykaz załadowczy.

— Trzy wagony — odczytał z dokumentu. — Gdzie one są?

— Zostały odtoczone — z ociąganiem wymamrotał magazynier.

— W takim razie proszę kazać je natychmiast przetoczyć z powrotem — polecił z ożywieniem Blaine.

Przy świetle łukowych lamp zawieszonych nad betonową rampą załadunkową odpięczętowano drzwi pierwszego z załadowanych już wagonów i rozsunięto je na boki. Wagon zastawiony był pod sufit zielonymi skrzyniami karabinów.

— Jeśli są tutaj, to na samym dnie — zasugerował Shasa. — Ten, kto to zrobił, na pewno chciał jak najszybciej pozbyć się takiego towaru. Stanął na głowie, a dopilnował, żeby podmienione skrzynie załadowano jako pierwsze.

— Wyciągnąć dolne skrzynie! — rozkazał me znoszącym sprzeciwu tonem Blaine.

Policjanci zdjęli kilka górnych warstw i zestawili na peron.

— No dobra, proszę wyjąć tamtą i otworzyć! — polecił Blaine wskazując skrzynię w ostatnim rzędzie pod ścianą.

Wiek odeskoczyło i upadło z hałasem na beton rampy.

— Panie ministrze! — zawołał otwierający skrzynię policjant. — Niech pan zobaczy!

Blaine dwoma długimi krokami znalazł się obok niego, zajrzał do otwartej skrzyni i niemal natychmiast poderwał z powrotem wzrok.

Magazynier przemyślał chyłkiem przez halę składu w stronę drzwi w jej przeciwległej ścianie.

— Aresztować tego człowieka! — krzyknął Blaine. Dwóch policjantów dogoniło i pochwyciło uciekającego. Wrywał im się z wściekłością, lecz mimo to po chwili wywlekli go na peron.

Blaine odwrócił się do Shasy.

— No, mój chłopcze, mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowany — powiedział z kamienną twarzą. — Zwaliliś nam na kark furę roboty i przysporzyłeś wielu nieprzespanych nocy.

Piętnaście osób siedzących wokół długiego politurowanego stołu słuchało z powagą raportu Blaine'a Malcomessa.

— Nie ma sposobu, żeby z jakimkolwiek sensownym prawdopodobieństwem ustalić, ile broni brakuje. Od pierwszego tego miesiąca wysłano dwie duże partie karabinów, z których żadna nie dotarła jeszcze do Kairu. Są nadal w drodze, ale należy się spodziewać, że w obu partiach część broni podmieniono. Szacuję, że razem skradziono około dwóch tysięcy karabinów i jakieś półtora miliona sztuk amunicji.

Siedzący za stołem poruszyli się niespokojnie, ale nikt nic nie powiedział.

— Te liczby są oczywiście alarmujące. Jednak pewien aspekt tej sprawy jest jeszcze bardziej niepokojący. Otóż z tego samego źródła skradziono także trzydzieści do pięćdziesięciu karabinów maszynowych typu Vickers.

— Niewiarygodne — mruknął Deneys Reitz. — To dość, żeby wzniecić ogólnonarodowe powstanie. Znów może się powtórzyć rok 1914. Trzeba zrobić wszystko, żeby zachować to w najściślejszej tajemnicy. Najmniejszy przeciek wywoła nieobliczalną w skutkach panikę.

— Nie wolno nam także zapominać — ciągnął Blaine — o tych kilkunastu tonach dynamitu, które skradziono na *karoo*. Niemal na pewno mają posłużyć do zniszczenia linii komunikacyjnych i utrudnienia nam w ten sposób przemieszczanie tych nielicznych oddziałów wojska, które pozostały w kraju. Gdyby rzeczywiście wzniecono rebelię...

— Powiedz nam, proszę, Blaine — przerwał mu premier uniesieniem dłoni — czy jakiegokolwiek wskazówki pozwalają określić, kiedy dokładnie zamierzają wyjść z ukrycia i podjąć próbę zamachu stanu?

— Nie, panie premierze. Jedyne w miarę konkretny termin, jaki mi przychodzi do głowy, to termin wykrycia ich kradzieży. Muszą sobie zdawać sprawę, że natychmiast po zawinięciu pierwszego konwoju do Kairu kradzież się wyda, i na pewno zamierzają uderzyć, zanim to nastąpi.

— Kiedy konwój dotrze do Kairu?

— Mniej więcej za dwa tygodnie.

— A zatem należy się spodziewać, że ich uderzenie to kwestia raczej dni niż tygodni?

— Obawiam się, że tak, panie premierze.

— Następne pytanie, Blaine. Na jakim etapie jest twoje dochodzenie? Czy masz już pełną listę przywódców OB?

Lista nie jest jeszcze pełna. Do tej pory udało nam się zdobyć nazwiska około sześciuset ważniejszych członków. Sądzę, że są wśród nich wszyscy przywódcy, ale oczywiście nie sposób mieć co do tego pewność.

— Dziękuję, Blaine.

Jan Smuts w zamyśleniu skubał małą srebrzystą kozią bródkę. Wyraz jego twarzy wydawał się

niemal pogodny, z niebieskich oczu bił niezmacony spokój. Wszyscy czekali na to, co powie.

— Jak wysoko postawione osoby obejmuje ta lista? — spytał.

— Jest na niej zarządca Wolnego Państwa Orania.

— Tak, o nim wiem.

— Dwunastu członków parlamentu, w tym jeden były minister.

— Immunitet poselski — mruknął feldmarszałek. — Nie możemy ich tknąć.

— Kilku hierarchów kościelnych, co najmniej czterech wyższych rangą oficerów armii, kilku urzędników ministerialnych, zastępca komisarza policji...

Nim Blaine dobiegi do końca listy, premier podjął już decyzję.

— Nie możemy sobie pozwolić na żadną zwłokę — powiedział. — Proszę przygotować nakazy zatrzymania i internowania wszystkich osób z listy, poza członkami parlamentu. Podpiszę je, jak tylko będą gotowe. Proszę równolegle sporządzić plan ich równoczesnego aresztowania i przygotować miejsce odosobnienia.

— W Bayiaanspoorcie i Pietermaritzburgu mamy gotowe obozy dla włoskich jeńców wojennych — zaproponował Blaine.

— Świetnie — zgodził się marszałek Smuts. — Ci ludzie muszą zostać jak najszybciej odizolowani za drutem kolczastym. Trzeba także odnaleźć skradzioną broń i materiały wybuchowe. I to bezzwłocznie.

52

Nie możemy dłużej czekać — powiedział ostrożnie Manfred De La Rey. — Każda godzina zwiększa ryzyko, każdy dzień to krok w stronę przepaści. Tydzień może oznaczać katastrofę.

— Nie jesteśmy jeszcze gotowi, trzeba nam jeszcze czasu — odparł jeden z pozostałych pasażerów przedziału pierwszej klasy.

Wraz z Manfredem było ich ośmiu. Wsiadali do ekspresu pojedynczo, na różnych stacjach na odcinku ponad trzystu kilometrów. Konduktor był sympatykiem OB, na korytarzu wagonu stało na straży kilku szturmowców. Nikt nie mógł podejść nie zauważony, nikt nie mógł podsłuchać narady.

— Obiecałeś nam jeszcze dziesięć dni na ostateczne zakończenie przygotowań.

— Człowieku, nie mamy tych dziesięciu dni! — zawołał Manfred.

— Nie słyszałeś, co mówiłem?!

— To się nie da zrobić — powtórzył z uporem jego oponent.

— Właśnie, że się da! Musi się dać!

— Dość tego, panowie — wmieszał się do rozmowy zarządca Wolnego Państwa Orania. — Bić się będziemy nie między sobą, tylko z wrogami.

— Przepraszam za swój wybuch — powiedział Manfred z wyraźnym wysiłkiem łagodząc ton swego głosu. — Powtarzam jednak, że nie mamy czasu do stracenia. Akcja pozyskiwania broni z warsztatów kolejowych została odkryta, aresztowano dziesięciu naszych członków. Jeden z naszych ludzi na Marshall Square donosi, że otrzymali tam nakazy aresztowania dwustu wyższych rangą działaczy OB i że ternim aresztowań wyznaczony został na niedzielę — czyli za cztery dni.

— Wszyscy doskonale o tym wiemy — odezwał się po raz drugi zarządca. — Zebraliśmy się tu jednak po to, żeby rozstrzygnąć, czy jesteśmy w ogóle w stanie przystąpić do realizacji całego planu, czy też powinniśmy z tego zrezygnować. Wysłucham po kolei opinii każdego z was, a potem przeprowadzimy głosowanie. Decyzja większości będzie wiążąca. Proszę bardzo, brygadierze Koopman, pan pierwszy.

Wszyscy spojrzeli na generała. Ubrany był po cywilnemu, lecz mimo to już na pierwszy rzut oka można w nim było rozpoznać wojskowego. Generał rozpostarł na małym składanym stoliku dokładną mapę i posiłkując się nią złożył beznamiętnym głosem zawodowego żołnierza raport o sytuacji w kraju. Zaczął od opisu stanu gotowości bojowej armii i rozmieszczenia tych oddziałów, które zostały w kraju — lotnictwa, piechoty i jednostek zmotoryzowanych — po czym ciągnął dalej:

— Jak więc, panowie, widzicie, mamy dwa główne punkty koncentracji oddziałów: w bazie szkoleniowej piechoty W Roberts Heights i w Durbanie, gdzie czekają jednostki gotowe do wysłania poza granice kraju. Ponieważ na północ wysłano już prawie sto sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, tych oczekujących nie może być więcej niż pięć, sześć tysięcy. Poza pięćdziesięcioma samolotami treningowymi nie ma żadnych nowoczesnych maszyn. Daje to możliwość unieruchomienia tych oddziałów w obecnych miejscach zgrupowania przez co najmniej kilka krytycznych dni potrzebnych do przechwycenia władzy. Można to osiągnąć niszcząc wszystkie ważniejsze drogi i mosty kolejowe, zwłaszcza te na rzekach Vaal, Oranje i Umzindusi.

Ciągnął swój wykład jeszcze dziesięć minut, po czym podsumował:

— Mamy swoich ludzi we wszystkich punktach dowodzenia aż po sztab generalny, zostaniemy więc zawczasu ostrzeżeni o wszelkich próbach użycia przeciwko nam wojska. Potem ludzie ci aresztują i zatrzymają zwolenników Smutsa w sztabie generalnym, przeciągną wojsko na naszą stronę i poprą nowy rząd republikański.

Jeden po drugim wszyscy obecni złożyli raporty ze swoich odcinków działania. Ostatni zabrał głos Manfred.

— Panowie — zaczął — w ciągu ostatnich dwunastu godzin nawiązałem bezpośredni kontakt z dowództwem niemieckiej Abwehry poprzez ich rezydenta w portugalskiej Angoli. Przekazał nam zapewnienia Naczelnego Dowództwa i samego Führera. Niemiecka łódź podwodna Altmark z pięciuset tonami broni na pokładzie znajduje się w chwili obecnej niecałe trzysta mil morskich od Cape Town. Czekają tylko na sygnał, by pospieszyć nam z pomocą.

Mówił spokojnie, zdecydowanie i przekonująco, czując, że powoli udaje mu się przeciągnąć niezdecydowanych na swoją stronę. Kiedy skończył zapadła krótko lecz absolutna cisza, po czym głos zabrał zarządca.

— Znamy już teraz wszystkie fakty. Musimy podjąć decyzję. Ostateczną i nieodwołalną. Czy przystępujemy do realizacji naszego planu, mm policja dokona aresztowań, uwięzi nas i pozostałych przywódców Volku? Czy dajemy hasło do wybuchu powstania, które obali obecny rząd, przekaże władzę w nasze ręce i przywróci naszemu narodowi wolność? Będę pytał każdego po kolei: tak czy nie?

— *Ja* — odparł pierwszy z zapytanych.

— *Ek stem ja.* — Mówię tak.

— *Ek stem ookja.* — Ja też mówię tak.

Na koniec zarządca dokonał podsumowania.

— Nikt nie jest przeciwko naszemu przedsięwzięciu, wszyscy wyraziliśmy na nie zgodę. — Urwał i spojrzął na Manfreda De La Reya. — Mówiłeś, że sygnałem do wybuchu powstania będzie coś niezwykłego. Coś, co postawi cały kraj na głowie. Czy teraz możesz nam zdradzić, co będzie tym sygnałem?

— Sygnałem będzie zabicie zdrajcy Jana Cheristiana Smutsa — odparł Manfred.

Wszyscy wytrzeszczyli na niego oczy. Było jasne, że choć spodziewali się czegoś ważkiego, w

najśmielszych myślach nie przyszło im do głowy, że można się poważić na taką zuchwałość.

— Wykonanie tego politycznego wyroku zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach — zapewnił ich Manfred. — W Berlinie sporządzono trzy warianty tej akcji, przyjmując trzy różne terminy jej wykonania w zależności od rozwoju sytuacji. Plan pierwszy, ten z najwcześniejszym terminem, nadaje się do wykorzystania wprost idealnie. Smuts zostanie zastrzelony w najbliższą sobotę. Za trzy dni, w przeddzień zamierzonych aresztowań naszych ludzi.

Cisza trwała jeszcze całą minutę.

— Gdzie? — spytał w końcu zarządca. — W jaki sposób masz zamiar dokonać tego zamachu?

— Nie musicie tego wiedzieć. Zrobię to sam, w pojedynkę, bez niczyjej pomocy. Wam pozostanie tylko zareagować na pierwszą wieść o jego śmierci, błyskawicznie i z całą stanowczością. Musicie wykorzystać próżnię, jaką po sobie zostawi, i przechwycić władzę.

— Niech i tak będzie — zgodził się cicho zarządca. — Będziemy gotowi, kiedy nadejdzie pora. I niech Bóg pobłogosławi naszą walkę.

Kiedy ekspres wytoczył się ze stacji w Bloemsfontein i nabierając szybkości ruszył w ostatni długi odcinek drogi na południe, do Cape Town, z ośmiu pasażerów z przedziału pierwszej klasy pozostał tylko Manfred De La Rey.

— Mam pozwolenie na broń — powiedział Sakkie Van Vuuren, kierownik spółdzielni produkującej wina. — Używamy jej do odpędzania pawianów, które schodzą z gór i wyrządzają potworne szkody w winnicach i sadach.

Zeszli po długich schodach, aż otoczył ich chłodny piwniczny mrok.

— Nikt nie zwróci żadnej uwagi na kilka strzałów w górach. Ale gdyby ktoś się czepiał, proszę powiedzieć, że jest pan zatrudniony w spółdzielni i odesłać go do mnie.

Otworzył fałszywe denko beczki i odszedł na bok, a Manfred ukląkł i wydobyl jeden ze swych gumowych pojemników.

Najpierw wyjął nadajnik radiowy i podłączył nowe baterie, o które wystarał się dla niego Van Vuuren. Nadajnik umieszczony był w brezentowym plecaku i dawał się bardzo łatwo przenosić.

Z drugiego pojemnika wyjął futerał na strzelbę. W środku był mauzer 98, karabin snajperski o tak znakomitej konstrukcji, że ciśnienie wyrzutowe gazów nadawało kuli o wadze jedenaście i dwadzieścia jeden setnych grama prędkość wylotową siedemset sześćdziesiąt metrów na sekundę. Do karabinu dołączono pięćdziesiąt sztuk amunicji, pocisków o wymiarach siedem na pięćdziesiąt siedem milimetrów, sporządzonych ręcznie przez jednego z najlepszych fachowców Deutsche Waffen und Munitionsfabrik, oraz lunetę z zakładów Zeissa. Manfred przymocował lunetę do karabinu, załadował magazynek, a resztę nabojów włożył do pojemnika, który ukrył z powrotem w beczce.

Van Vuuren podwiózł go swoją starą rozklekotaną furgonetką Forda do jednej z górskich dolin Holandii Hotentockiej, wysadził w miejscu, gdzie ścieżka zupełnie zniknęła na kamienistym gruncie, a sam zawrócił i zjechał w dół krętą wyboistą drożyną. Manfred patrzył za nim w ślad, dopóki kierownik kooperatywy nie zniknął mu z oczu, a potem podniósł z ziemi karabin i plecak i ruszył pod górę. Miał mnóstwo czasu, nie musiał się spieszyć, ale intensywny wysiłek fizyczny sprawiał mu ogromną przyjemność, więc wspinał się długim, sprężystym krokiem, rozkoszując się zalewającym oczy i twarz potem.

Przekroczył pierwszy łańcuch wzgórz, zszedł do płytkiej zalesionej doliny i znów zaczął się wspinać, tym razem na leżący wprost przed nim jeden z głównych szczytów. W pobliżu wierzchołka góry przystanął ustawił nadajnik na ziemi a jego anteny rozwiesił na dwóch karłowatych drzewkach,

pilnując starannie, by skierowane były na północ.

Potem usadowił się pod wielkim głazem, oparł plecami o kamień i zabrał do jedzenia kanapek, które przygotowała mu mała Sarah. Czas kontaktowy z agentem Abwehry w Luandzie, stolicy portugalskiej Angoli, wyznaczono na piętnastą zero zero GMT, więc miał przed sobą prawie godzinę oczekiwania.

Posiliwszy się, wziął do rąk mauzera, pogłaskał pieszczotliwie lufę, zważył go w dłoniach, oswajając się na nowo z kształtem i wyważeniem broni, kilka razy zarepetował, przycisnął kolbę do ramienia i przez lunetę powiódł wzrokiem po kamieniach i krzewach na niższych partiach zbocza.

W Niemczech nieskończoną liczbę razy ćwiczył się w strzelaniu z tego właśnie karabinu. Wiedział doskonale, że na odległość do trzystu metrów może swobodnie wybierać, w które oko ofiary chce trafić. Teraz jednak musiał jeszcze raz sprawdzić karabin, żeby mieć absolutną pewność, że po długiej podróży celowniki są nadal ustawione tak idealnie jak niegdyś. Potrzebny mu był cel jak najbardziej przypominający kształtem ludzką sylwetkę, ale z miejsca, gdzie siedział, nie udało mu się wypatrzeć niczego takiego. Ostrożnie odłożył karabin, spojrzął na zegarek i całą uwagę skupił na nadajniku.

Przygotował i podłączył klucz, po czym otworzył notatnik na stronie, na której zapisał zaszyfrowaną już wiadomość. Strzepnął dłońmi, by rozluźnić palce i zaczął nadawać, stukając mosiężnym kluczem szybko i płynnie jak zwykle. Daleko na północy operator w Luandzie bez wątpienia rozpozna jego styl nadawania i będzie to dla niego lepszy dowód tożsamości Manfreda, niż zawarty w wiadomości kryptonim.

— Gniazdo Orła, tu Biały Miecz.

Po czwartym wywołaniu otrzymał odpowiedź. Sygnał w słuchawkach był czysty i silny.

— Gniazdo Orła do Białego Miecza. Nadawaj.

— Uruchamiam plan numer jeden. Powtarzam, plan numer jeden. Proszę o potwierdzenie.

Żadne długie wiadomości, które zwiększały tylko ryzyko przechwycenia lub wykrycia, nie były potrzebne. Wszystko w najdrobniejszych szczegółach, z istic niemiecką precyzją ustalono przed jego wyjazdem z Berlina.

— Rozumiem, plan numer jeden. Powodzenia. Gniazdo Orła, koniec transmisji.

— Biały Miecz, koniec.

Zwinął druty anten, zapakował nadajnik do plecaka i już miał go sobie zarzucić na ramiona, gdy po zboczu przetoczyło się echem ni to szczekanie, ni to donośny gardłowy kaszel. Manfred przypadł do ziemi za głazem i sięgnął po mauzera. Wiatr mu sprzyjał, pozostało tylko czekać.

Leżał tak prawie pół godziny, bez ruchu, bez jednego drgnienia, napięciu przeczesując wzrokiem dno doliny, gdy wreszcie na porośniętym mchem rumowisku skalnym, między skarłowaciałymi krzewami srebrnicY dostrzegł jakiś ruch. Pawiany posuwały się swoim normalnym szykiem plądrującym z kilkoma młodymi samcami na czele, samicami i małymi W środku i trzema ogromnymi siwymi samcami w straży tylnej. Niemowlęta wisały do góry nogami pod brzuchami matek, uczipione łapkami gęstego futra, kręcąc na wszystkie strony główkami O różowych, pozbawiony owłosienia mordkach. Starsza młodzież jechała na grzbietach swoich matek, dosiadając ich jak dżokeje wierzchowców. Zamykające pochod wojownicze samce trzymały się butnie, biły w ziemię pięściami poruszając się na czworaka, niemal jak psy, z wysoko uniesionymi głowami. Pyski miały długie i spiczaste, oczy jasne, osadzone blisko siebie.

Manfred wybrał największego z trzech starych samców, przytknął oko do lunety karabinu i nie

spuszczając wzroku z pawiana pozwolił mu podejść z górę zbocza na trzysta metrów od miejsca, gdzie leżał ukryty.

Wielki samiec wyrwał nagle do przodu i kilkoma zwinnymi susami wskoczył na ogromny odłamek skały wielkości wiejskiej chaty. Usadowił się na jego szczycie, uparł łokcie na kolanach tylnych nóg, prawie w ludzkiej pozie i rozdziawił pysk w rozdzierającym ziewnięciu. Kły miał żółte, ostre, długości palca wskazującego dorosłego mężczyzny.

Manfred ostrożnie wybrał luz spustu, aż rozległo się prawie niesłyszalne stuknięcie zaskakującej zapadki włosowej, po czym przesunął krzyżujące się linie celownika lunety, tak by punkt ich przecięcia znalazł się na czole pawiana. Odczekał jedną setną sekundy i nacisnął spust. Kolba karabinu kopnęła go w ramię, huk wystrzału przetoczył się przez dolinę i odbity od urwistych ścian gór powrócił grzmącym echem.

Pawian wyleciał łukiem do tyłu, spadł ze swego miejsca i zniknął za skałą, a reszta stada w obłąkańczej panice umknęła w dół zbocza.

Manfred wstał, zarzucił plecak na ramiona i z mauzerem z ręki zaczął wyszukiwać drogę w dół. Kilka chwil później znalazł za wielką szarą skałą trupa pawiana. Zwłoki podrygiwały jeszcze i drżały, ale był to tylko pośmiertny odruch — głowa zwierzęcia pozbawiona była całej górnej części. Wyglądało to tak, jakby odrąbano ją siekierą na poziomie oczu. Jasna krew przelewała się przez brzegi dolnej części czaszki i ściekała na kamienie.

Manfred odwrócił trupa nogą na plecy i skinął głową z zadowoleniem. Specjalne kule z wgłębieniem na czubku dokładnie tak samo mogły roztrzaskać czaszkę człowieka, a karabin zachował celność. Z odległości trzystu metrów trafiał z dokładnością szerokości palca.

— No, teraz jestem już gotowy mruknął Manfred i rażnym krokiem zszedł z gór.

53

Od czasu, kiedy wrócili z Blainem z Pretorii po wykryciu kradzieży broni, Shasa nie był w domu, w Weltevreden, ani nie widział się z Tarą. Nie ruszał się na krok z Komendy Głównej

Policji, jadł w policyjnej kantynie, spał — gdy padał już z nóg — w sypialni, na którą zamieniono jedną z sal nad pokojem operacyjnym.

Przez cały ten czas gorączkowo przygotowywał zaplanowaną na niedzielę akcję internowania przywódców OB.

W samej prowincji Cape należało zatrzymać stu pięćdziesięciu podejrzanych. Dla każdego trzeba było wystawić osobny nakaz aresztowania, ustalić wszystkie prawdopodobne miejsca jego pobytu, oddelegować policjantów, którzy mieli tego aresztowania dokonać.

Wybór niedzieli nie był przypadkowy. Prawie wszyscy podejrzani byli żarliwymi kalwinami, należeli do Holenderskiego Kościoła Reformowanego i nigdy nie opuszczali poranych nabożeństw niedzielnych. W ten sposób znacznie wzrastało prawdopodobieństwo prawidłowego ustalenia miejsca ich pobytu. Co więcej, w taki dzień nie spodziewający się niczego podejrzani powinni być raczej w nasroju odpowiednim do religijnej refleksji, niż stawiania oporu przeprowadzającym aresztowanie funkcjonariuszom.

Dopiero wczesnym popołudniem w piątek Shasa przypomniał sobie, że następnego dnia są urodziny sir Garricka i tradycyjny urodzinowy piknik. Z pokoju operacyjnego zadzwonił do Centaine, do Weltevreden.

— Och, *cheri*, to straszne, sir Garrickowi będzie bardzo przykro. Od swojego przyjazdu codziennie o ciebie pyta. Wszyscy nie możemy się już doczekać, kiedy cię wreszcie zobaczymy.

— Przykro mi, mamó.

— Nie możesz się do nas wyrwać? Choćby na godzinę?

— Nie dam rady. Jest mi nie mniej przykro niż wam. Naprawdę.

— Nie musiałbyś wchodzić z nami na górę, Shaso. Wypilibyśmy tylko razem kieliszek szampana przed wyruszeniem na piknik. Natychmiast potem mógłbyś wrócić do tego, czym się tam zajmujesz, skoro to aż takie ważne. Zrób to dla mnie, *chki*, proszę! — Wyczuła, że zaczyna się wahać. — Będzie Blaine i feldmarszałek Smuts. Obaj już obiecali. Jeśli przyjedziesz na ósmą, tylko po to, żeby złożyć dziadkowi życzenia, to obiecuję ci, że o wpół do dziewiątej będziesz z powrotem wolny.

— No, dobrze — skapitulował i uśmiechnął się do słuchawki. — Czy stawianie zawsze na swoim nigdy ci się nie nudzi?

— To krzyż pański, który nauczyłam się jakoś dźwigać — odparła ze śmiechem, wyraźnie uradowana. — No, to do jutra.

— Do jutra.

— Kocham cię, *cheri*.

— I ja cię kocham, mamó.

Odłożył słuchawkę dręczony wyrzutami sumienia, że jednak jej ustąpił. i miał właśnie zadzwonić do Tary z wiadomością, że nie będzie mógł jej towarzyszyć podczas pikniku, gdy zawołał go jeden z sierżantów.

— Kapitanie Courteney, to do pana — powiedział, podając mu słuchawkę telefonu.

— Kto to?

— Jakaś kobieta, nie przedstawiła się.

Shasa z uśmiechem podszedł do jego biurka. Tara wyczuła, że ma zamiar do niej zadzwonić i go ubiegła.

— Halo, czy to ty Taro? — rzucił do słuchawki.

Odpowiedziała mu cisza zakłócana tylko delikatnym szmerem czyjegoś nerwowego oddechu. Natychmiast czujny, zniżył głos i starając się mu nadać ciepłe brzmienie przeszedł na afrikaans.

— Tu kapitan Courteney. Czy rozmawiam z panią, która już kiedyś do mnie dzwoniła?

— *Ja*. To ja.

Rozpoznał jej głos, głos młodej, zdyszanej, wystraszonej kobiety.

— Jestem pani bardzo wdzięczny. To, co pani zrobiła, uratowało życie wielu ludziom... wielu niewinnym ludziom.

— W gazetach nic nie pisali o tej broni — szepnęła kobieta.

— Może być pani z siebie dumna — powiedział i w przypiływie natchnienia dodał: — Gdyby nie pani, zginęłoby wielu, wielu ludzi, nnoże nawet kobiet i małych dzieci.

Wzmianka o małych dzieciach jakby przechyliła szalę.

— Znow dzieje się coś strasznego — wyrzuciła z siebie jednym tchem. — Planują coś okropnego. Biały Miecz ma coś zrobić. Niedługo, bardzo niedługo. Słyszałam, jak mówił, że to ma być sygnał, który postawi całe państwo na głowie...

— Czy może im pani powiedzieć, co to takiego ma być? — spytał Shasa, starając się jej nie spłoszyć, wciąż tym samym łagodnym, krzepiącym tonem. — Co dokładnie planują?

— Nie wiem, wiem tylko, że zrobią to bardzo niedługo.

— Czy może się pani tego dowiedzieć?

— Nie wiem, mogę spróbować...

— Czy postara się pani tego dowiedzieć? Przez wzgląd na życie tych wszystkich niewinnych ludzi, kobiet i maleńkich dzieci?

— Tak, postaram się.

— Będę tutaj, pod tym telefonem... — Nagle przypomniał sobie obietnicę złożoną Centaine. — Albo pod numerem... — Podał numer telefonu do Weltevreden. — Proszę próbować najpierw tutaj, a gdyby mnie pani nie zastała, zadzwonić pod ten drugi numer.

— Rozumiem.

— Czy może mi pani powiedzieć, kto jest Białym Mieczem? — podjął skalkulowane ryzyko. — Czy zna pani jego prawdziwe nazwisko?

Natychmiast rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane. Powoli odjął słuchawkę od ucha i zapatrzył się w nią niewidzącym spojrzeniem. Wyczuł, że tym ostatnim pytaniem wytraszył ją na dobre, i ogarnęła go czarna rozpacz.

„Coś, co postawi całe państwo na głowie.” Te słowa dudniły mu w uszach przepełniając go złowieszczym przeczuciem nadciągającej katastrofy.

Manfred jechał powoli ulicą De Waal obok zabudowań uniwersytetu. Minęła już północ, ulice prawie zupełnie opustoszały, tylko tu i tam jeszcze jakiś birbant wracał chwiejnym krokiem do domu z piątkowej popijawy. Samochodem, który wybrał, był nie rzucający się w oczy mały morris, karabin leżał w bagażniku, ukryty pod płachtą wystrzępionego brezentu, a ubrał się w granatowy kolejarzski kombinezon, gruby rybacki golf i watowane palto.

Postanowił zawczasu zająć pozycję, by uniknąć ryzyka paradowania z karabinem w ręku w pełnym świetle dnia. W czasie weekendu stoki

Góry Stołowej były ulubionym miejscem wycieczek rowerzystów i alpinistów, amatorów obserwowania dzikiego ptactwa i pikników na świeżym powietrzu, skautów i kochanków.

Minął Instytut Leśnictwa, skręcił w Aleję Rhodesa i niespiesznie przejechał obok Ogrodu Botanicznego. Czarny masyw Góry przesłaniał pół wygwieżdżonego nocnego nieba. Na dolnych zboczach droga wiała się przez mroczny las. Przed przełęczą Constantia Nek zwolnił i sprawdziwszy we wstecznym lusterku, czy ktoś go nie śledzi, zgasił światła i skręcił ostro w leśną przecinkę.

Jechał na pierwszym biegu, z szybkością kroku spacerowego, aż dotarł do bramy parku. Tam zatrzymał się i nie wyłączając silnika podszedł do bramy. Roelf dał mu klucz i zapewnił go, że strażnik jest sympatykiem OB. Bez trudu otworzył kłódkę, wjechał do parku i zamknął bramę za sobą. Spiał z powrotem łańcuch kłódką, ale nie zamknął jej na klucz.

Przed sobą miał teraz dolny odcinek ścieżki do jazdy konnej. Na niskim biegu wspiał się nią powoli na zbocze, pokonując kilka ostrych serpentyn. Minął trasę widokową opasującą Górę na wysokości trzystu metrów nad poziomem morza i kilometr dalej zjechał tyłem między drzewa, chowając morrisa przed wzrokiem przygodnych wycieczkowiczów między krzewami poszycia. Wyjął z bagażnika mauzera, owinał go starannie cienkim brezentem, zamknął samochód i z karabinem przerzuconym przez ramię cofnął się do trasy widokowej. Starał się nie korzystać z latarki, tylko w najtrudniejszych miejscach na chwilę oświetlał drogę, zasianiając snop światła własnym ciałem.

Dwadzieścia minut później natrafił na stromą ścieżkę biegnącą prosto Wąwozem Szkieletów. Błysnął latarką na prostopadłościenny betonowy drogowskaz i w jej świetle odczytał wyryty na nim napis: ŚCIEZKA SMUTSA. Betonowy blok przypominał raczej nagrobek niż drogowskaz. Manfred uznał z zimnym uśmiechem, że i to, i wyryte na nim nazwisko to dobry omen. Stary feldmarszałek uczynił to podejście najsłynniejszą drogą na szczyt Góry Stołowej.

Szybko, bez jednego odpoczynku wspiał się czterysta metrów w górę Wąwozem Szkieletów, aż za Skałą Śniadaniową wy dostał się na płaski wierzchołek Góry. Tam przystanął na chwilę i obejrzał się za siebie. Daleko w dole leżała pogrążona we śnie Dolina Constantii, osrebrzona tylko gwiazdnym pyłem światła. Odwrócił wzrok i zabrał się do ostatecznych przygotowań. Dwa dni wcześniej przecesał pieszo cały ten teren, wybrał stanowisko do oddania strzału i krokami wyliczył dokładną odległość od miejsca, w którym musiał się pojawić człowiek wchodzący ścieżką na szczyt.

Teraz podszedł do wybranej przez siebie pozycji. Było to zagłębienie między dwiema skałami, zamaskowane lekko przez rosnące tam paprocie. Przyczepił niskie, sztywne jak drut orlice płachtą brezentu, po czym położył się na nim, ugniatając paprocie własnym ciężarem ciała, aż zmieniły się w wygodny, sprężysty materac.

Przetoczył się na brzuch, przycisnął do policzka kolbę mauzera i wycelował w miejsce, gdzie dwieście pięćdziesiąt metrów od niego zza krawędzi zbocza wyłaniała się ścieżka. Przez lunetę Zeissa doskonale widział poszczególne gałązki krzaków po obu stronach ścieżki, rysujące się ostro na tle srebrzystej luny bijącej od leżącej u podnóża Góry doliny.

Położył pod ręką nabitą, gotową do natychmiastowego użycia broń, po czym naciągnął na uszy kołnierz palta i wtulił głowę w ramiona. Było zimno, a on miał przed sobą kilka długich godzin oczekiwania. Dla zabicia czasu dokonał przeglądu wszystkich szczegółów planu, który przywiódł go do tego miejsca, i raz jeszcze zaczął rozpatrywać szanse, że nazajutrz rano, tuż przed lub tuż po wpół do jedenastej cel akcji pojawi się na ścieżce nazwanej jego własnym imieniem i znajdzie się w celowniku zeissowskiej lunety.

Gromadzone skrupulatnie przez Abwehrę *dossier* Jana Cheristiana Smutsa, które tak starannie studiował w Berlinie, wskazywało, że od dziesięciu lat feldmarszałek ani razu nie zawiódł swego starego przyjaciela i nie opuścił jego urodzinowego pikniku. Teraz losy całego narodu zależały od tego, czy i tym razem go nie zawiedzie.

Shasa skręcił w bramę Weltevreden i wjechał na długi podjazd do willi. Przed domem stało już kilkanaście samochodów, w tym bentley Blaine'a. Zaparkował obok niego i spojrział na zegarek. Dziesięć po ósmej. Spóźnił się, matka będzie wściekła. Miała absolutnego fioła jeśli chodzi o punktualność.

Lecz i tym razem go zaskoczyła. Zerwała się radośnie od długiego stołu w jadalni i podbiegła do drzwi, żeby go uściskać. Tego dnia na jednym ze słynnych welteyredeńskich śniadań zebrało się ponad dwadzieścia osób. Komody pod ścianami uginały się od sreber i wykwinnych potraw. Na widok Shasy służący w białych strojach i czerwonych fezach na głowach rozpromienili się w uśmiechach, a przy stole rozległy się okrzyki radosnych powitań.

Zebrawali się tu wszyscy, których Shasa kochał: dziadek Garry, siedzący u szczytu stołu jak rozradowany chochlik; obok niego Anna z twarzą, którą setki zmarszczek uśmiechu upodobały do pyska przyjaznego buldoga; Blaine; Tara, śliczna jak wiosenny poranek; Matty, cała w piegach, ruda jak marchewka; *Ou Baas* i oczywiście matka. Brakowało tylko Dawida.

Shasa podchodził do każdego z nich po kolei, rzucał ze śmiechem żartobliwe docinki, witał się, wymieniał uściski dłoni, całował nadstawiane policzki. Kiedy natrafił na zarumieniony policzek Tary, rozległy się brawa i głośnie okrzyki aprobaty. Wręczył dziadkowi prezent urodzinowy i przystanął obok, czekając aż sir Garry rozwinie specjalnie oprawione pierwsze wydanie *Podróż* Burchella. Z szacunkiem uściśnął dłoń *Ou Baasa* i rozpromienił się na jego cichą pochwałę:

„Dobrze się spisujesz”. Na koniec zamienił szybko kilka słów z Blainem, po czym nałożył sobie

na talerz stojących na komodzie przysmaków, wrócił do stołu i zajął miejsce między matką a Tarą.

— Mam dzisiaj mnóstwo roboty — odmówił wypicia szampana i muskając pod stołem stopą nogę Tary włączył się do panującej przy stole ogólnej wesołości.

Nim się spostrzegł, było już po śniadaniu, kobiety udały się po płaszcze, a mężczyźni do samochodów sprawdzić, czy załadowano do nich koce i kosze z przekąskami na piknik.

— Strasznie mi przykro, że nie możesz iść z nami — powiedział sir Garrick, biorąc go na stronę. — Miałem nadzieję, że sobie trochę pogawędzimy. Ale wiem od Blaine'a, że zajmujesz się czymś niezwykle ważnym.

— Postaram się wpaść do domu jutro wieczorem. Do tego czasu najgorsze powinno się już przewalić.

— Nie wrócę do Natalu, zanim nie uda mi się spędzić z tobą kilku chwil. Na ciebie spadł obowiązek dbania o imię rodu; jesteś moim jedynym wnukiem.

Shasa poczuł przyływ głębokiej miłości do tego mądrego, łagodnego starca. To, że obaj zostali okaleczeni — sir Garnek stracił nogę, a on oko — w jakiś dziwny sposób jeszcze bardziej umocniło łączącą ich więź.

— Już całe lata nie byłem u was w Theuniskraalu — powiedział pod wpływem nagłego impulsu. — Czy mogę wpaść do was na tydzień czy dwa?

— Nic nie sprawi nam większej przyjemności — odparł sir Garry, ściskając go z radością. W tym momencie podszedł do nich feldmarszałek Smuts.

— Wciąż gadasz, Garry? Czy ty milkniesz choć na chwilę? Dość tego trzepania dziobem, czeka nas kawał wspinaczki. A ostatni na szczycie wędruje do domu starców.

Starzy przyjaciele uśmiechnęli się do siebie. Można by ich wziąć za braci — obaj byli szczupli, lecz sprężyści i zwinni, obaj mieli siwe kozie bródki a na głowach znoszone kapelusze.

— Naprzód!

Sir Garrick wywinął laseczką, ujął pod ramię marszałka i poprowadził go do żółtego daimlera Centaine.

Daimler odjechał pierwszy, za nim bentley Blaine'a, z którego Tara posłała przez szybę pożegnalny pocałunek. Shasa pomachał jej ze schodów przed domem i patrzył w ślad za odjeżdżającymi, aż zniknęli za bramą i zapanowała niemal dźwięcząca w uszach cisza.

Wszedł do domu, a potem po schodach na piętro, do swojego pokoju, wyjął z szuflad kilka czystych koszul, skarpetek i majtek i wepchnął je do małej walizeczki. Przed wyjściem z domu skręcił do gabinetu Centaine, żeby zadzwonić. Telefon odebrał jeden z sierżantów dyżurujących w pokoju operacyjnym.

— Czy nikt nie zostawił dla mnie żadnych wiadomości, sierżancie?

— Chwileczkę, panie kapitanie, zaraz sprawdzę. — Trwało to zaledwie kilka sekund. — Był tylko jeden telefon, panie kapitanie, dziesięć minut temu. Dzwoniła kobieta, ale nie chciała się przedstawić.

— Dziękuję — odparł Shasa i szybko odłożył słuchawkę. Stwierdził, że ręka mu drży i serce wali w piersiach. Kobieta, ale nie chciała się przedstawić. To musiała być ona. Dlaczego nie zadzwoniła tutaj? Przecież podał jej numer.

Nie ruszał się od telefonu, wpatrując się weń z takim nateżeniem, jakby siłą wzroku chciał go zmusić do zadzwonienia. Nic. Po pięciu minutach zaczął krążyć po pokoju, od szerokich balkonowych okien do wielkiego połączanego biurka w stylu Ludwika XIV, nieustannie zerkając na

milczący aparat. Nie wiedział, co robić: wracać do komendy, czy czekać tutaj? Może zadzwonić do sierżanta i jeszcze raz podać telefon do Weltevreden? Ale w ten sposób zablokuje linię.

— No, dzwoń! — zawołał głośno. — No, proszę cię, dzwoń!

Spojrzał na zegarek. Przez swoje niezdecydowanie stracił już trzydzieści pięć minut.

— Muszę coś postanowić, nie mogę tu sterczeć cały dzień.

Podszedł do biurka, sięgnął do telefonu, ale nim zdążył go dotknąć, telefon zadzwonił — ostro, przenikliwie, świdrująco. Było to tak niespodziane, że aż podskoczył, lecz już w następnym ułamku sekundy zerwał słuchawkę z widełek.

— Kapitan Courteney — rzucił szybko w afrikaans. — Czy to pani, *Meyrou*?

— Zapomniałam numer, musiałam wrócić do domu — powiedziała głosem ochryplym ze zmęczenia. Musiała całą drogę biec. — Nie mogłam zadzwonić wcześniej... Było dużo ludzi, mój mąż... — urwała nagle. Za dużo powiedziała.

— Nic nie szkodzi. Proszę się nie martwić, wszystko będzie w porządku.

— Nie, nie, nie będzie — zaprzeczyła nerwowo. — To, co mają zamiar zrobić, jest straszne, po prostu straszne.

— Czy chce mi pani powiedzieć co to takiego?

— Mają zamiar zabić feldmarszałka...

— Feldmarszałka?!

— *Ou Baasa*, feldmarszałka Smutsa...

Przez chwilę nie był w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

— Czy wie pani, kiedy mają zamiar to zrobić? — spytał w końcu, nakazując sobie zachowanie spokoju.

— Dzisiaj, zastrzelą go dzisiaj.

— To niemożliwe... — Nie mógł, nie chciał w to uwierzyć. — Dzisiaj *Ou Baas* jest na Górze Stołowej, wybrał się na piknik z...

— Tak, tak! — zawołała zduszonym głosem kobieta. Chyba płakała. — Na Górze. Biały Miecz czeka na niego na Górze!

— O mój Boże! — szepnął Shasa.

Czuł się jak sparaliżowany. Nogi miał jak z ołowiu, a pierś przygniótł mu jakiś ciężar, tak ogromny, że przez chwilę nie mógł złapać oddechu.

— Jest pani dzielną kobietą — wykrztusił w końcu. — Dziękuję za to, co pani zrobiła.

Rzucił słuchawkę na widełki i jednym szarpnięciem otworzył szufladę w biurku Centaine. Inkrustowane złotem beretty leżały w swoim futerale, niczym ptaki w gniazdach z zielonego aksamitu. Wyjął jedną z nich i sprawdził, czy jest nabita. Magazynek był pełny, a w bocznej szczelinie futerału tkwił jeszcze jeden, zapasowy, z kolejnymi sześcioma kulami. Wepchnął pistolet za pasek, wrzucił dodatkowy magazynek do kieszeni, odwrócił się w stronę drzwi i zatrzymał w pół kroku.

Pistolet nadawał się do użycia tylko w bezpośredniej odległości, ale strzelby do polowania były zamknięte w szafce w innym pokoju, a amunicja do nich jeszcze gdzie indziej. Wszystkie klucze miał w samochodzie. Przyniesienie kluczy, otwarcie szafki, odczepienie zabezpieczonego łańcuchem *mannichera*, znalezienie nabojów do niego — wszystko to trwałoby wiele cennych minut. Nie mógł sobie na to pozwolić. Sir Garrick i jego goście mieli nad nim czterdzieści minut przewagi. Do tej pory mogli już być w połowie góry. Wszyscy, których kochał — a gdzieś tam na zboczach czaił się morderca.

Zbiegł po schodach, wskoczył przez zamknięte drzwiczki do jaguara i przekręcił kluczyk w stacyjce. Kiedy silnik zadudnił gardłowo, dodał gazu, ze zgrzytem żwiru pryskającego spod tylnych kół zawrócił i pomknął długą aleją dojazdową. Strzałka szybkościomierza wspięła się błyskawicznie do kreski oznaczającej sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Wypadł przez bramę na wąską krętą drogę wijącą się wokół podnóża Góry. Kilka razy omal nie wypadł z drogi, biorąc z piskiem opon i zgrzytem skrzyni biegów ostre zakręty, ale dopiero po piętnastu minutach przemknął przez bramę Ogrodu Botanicznego i wpadł na parking za biurem zarządu parku. Zobaczył daimlera Centaine, bentleya Blaine'a i packarda Deneysa Reitza, ale poza tym na parkingu nie było żywego ducha.

Powiódł szybko wzrokiem po wznoszącej się na sześćset metrów górze. Udało mu się wypatrzeć nitkę ścieżki. Wyłaniała się z lasu, pięła zygzakami Wąwozem Szkieletów, omijała krostę rysującej się na tle nieba Skały Sniadaniowej i znikła za krawędzią płaskiego szczytu.

Po nitce przesuwały się drobniutkie paciorki, właśnie wyłaniały się z lasu. *Ou Baas* i dziadek jak zwykle narzucali szaleńcze tempo, dowodząc sobie nawzajem, jacy to jeszcze są sprawni, a kiedy osłonił oczy, udało mu się wypatrzeć żółtą sukienkę matki i turkusową spódnicę Tary, dwie maleńkie plamki koloru na tle szarozielonej ściany góry. Obie trzymały się daleko w tyle za prowadzącymi.

Puścił się biegiem. Pierwszy łagodny stok pokonał szybkim truchtem, powstrzymując się przed przyspieszaniem kroku. Na trasie widokowej, przy betonowym drogowskim przystanku przystanął na chwilę dla nabrania oddechu i powiódł wzrokiem po szlaku Smutsa. Od tego miejsca ścieżka robiła się bardzo stroma, pięła się zygzakami przez las, brzegiem strumienia, a potem pokonywała kilka nierównych stopni skalnych. Ruszył przed siebie szybkim krokiem, kale jego pantofle miały cienkie, gładkie podeszwy i słabo trzymały się gruntu. Kiedy wyłonił się z lasu, dyszał jak miech kowalski, a mokra od potu koszula lepiała mu się do karku. Do szczytu wciąż jeszcze miał ponad trzysta metrów, lecz natychmiast zorientował się, że odległość dzieląca go od sir Garry'ego i jego gości znacznie się zmniejszyła.

Podzieleni na małe grupki rozsypali się wzdłuż ścieżki na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Te dwie figurki na czele, to musiał być dziadek i *Ou Baas*, ale z tej odległości nie sposób było powiedzieć, który jest który. Trzecia, kilka kroków za nimi, to bez wątpienia Blaine. Trzymał się z tyłu, żeby nie narzucać starszym mężczyznom tempa przerastającego ich siły. Reszta grupy, pojedynczo i parami, rozciągnęła się w długi wąż z kobietami w ogonie.

Zaczerpnął głęboko powietrza i krzyknął na całe gardło. Kobiety przystanąły i obejrzały się.

— Stać! — krzyczał, ile sił w płucach. — Zatrzymajcie się!

Jedna z kobiet — chyba Matty — pomachała mu ręką i wszystkie znów ruszyły przed siebie. Nie poznały go i nie zrozumiały, co woła.

Wzięły go za jakiegoś sobotniego wycieczkowicza. Marnował czas, a sir

Garry i *Ou Baas* docierali już do ostatniego odcinka drogi na szczyt. Rzucił się szaleńczo przed siebie, wspinając się najszybciej, jak potrafił, przeskakując nierówności ścieżki, nie zwracając uwagi na palenie w płucach, zmuszając do ruchu drętwiące ze zmęczenia nogi, brnąc pod górę, napędzany już tylko samym wysiłkiem woli.

Tara obejrzała się dopiero wtedy, gdy był niecałe trzy metry pod nią.

— Shasa! — zawołała, zachwycona lecz i zdziwiona. — Co ty tutaj robisz?

— Nie mogę się zatrzymać — wychrypiał, przeciskając się ścieżką obok niej i pospieszył dalej, doganiając matkę i Annę.

— Co się stało, Shaso?

— Później!

Miał za mało powietrza w płucach, żeby tracić je na wymawianie słów. Poza dwoma rozdzieranymi bólem kłodami, w jakie zmieniły się jego nogi, nie czuł w ogóle swego ciała. Pot zalewał mu oczy, rozmazując wszystkie obrazy.

Jak przez mgłę zobaczył, że prowadzący pokonują ostatni krótki trawers prowadzący do wejścia na szczyt. Zatrzymał się i jeszcze raz spróbował krzyknąć, ale z jego ust dobył się tylko cichy chrapliwy jęk. I w tej samej chwili sir Garry i *Ou Baas* zniknęli za krawędzią płaskiego wierzchołka góry.

Odległość stłumiła huk, lecz mimo to Shasa natychmiast rozpoznał w nim charakterystyczny, ostry trzask wystrzału z mauzera.

Nie wiadomo skąd czerpiąc nowe siły pomknął w górę zbocza, przeskakując z kamienia na kamień. Ten jeden pojedynczy strzał rozbrzmiewał mu w uszach nie milkącym echem, przez które usłyszał czyjś krzyk, choć może był to tylko dziki świst jego własnego oddechu i dudnienie krwi w jego własnych skroniach.

Manfred De La Rey przeleżał w swej kryjówce całą noc. O świcie wstał, zabił ręce, zrobił kilka przysiadów i skrętów tułowia, by przywrócić krążenie w zdrętwiałym ciele i odegnąć chłód, który przeniknął go do szpiku kości. Potem odszedł na bok i opróżnił pęcherz.

Wróciwszy między skały zdjął watowane palto i gruby sweter.

Kupione u handlarza starzyzną w jednej z uboższych dzielnic nie miał żadnych naszywek ani metek, w żaden sposób nie mogły naprowadzić na jego ślad. Zwinął je ciasno i wepchnął pod jakiś większy kamień, a potem ułożył się wygodnie na brezencie i zajął pozycję. Kilka źdźbeł trawy przesłaniało mu widok, więc złamał je i spojrzał przez lunetę na miejsce, gdzie zza krawędzi szczytu wyłaniała się ścieżka.

Widok był znakomity, nic mu go nie zakłócało. Zarepetował mauzera, sprawdził, czy pocisk przesunął się z magazynka na swoje miejsce i zatrzasnął zamek.

Wycelował ponownie, lecz tym razem przyłożył palec do spustu i przycisnął go delikatnie, aż usłyszał to suche, cichutkie, podbudowujące stuknięcie. Wtedy kciukiem zabezpieczył karabin, położył go na brezencie przed sobą i zastygł w bezruchu. Z cierpliwością lamparta czającego się na gałęzi drzewa nad wodopojem czekał godzina za godziną, ani na chwilę nie pozwalając sobie na osłabienie czujności.

Kiedy wreszcie wyczekiwana chwila nadeszła, nastąpiło to tak nagle, że ktoś inny mógłby dać się zupełnie zaskoczyć. Nie było żadnego ostrzeżenia, żadnego uprzedzającego odgłosu kroków czy szmeru ludzkich głosów. Odległość była na to za duża. Po prostu raptem u końca ścieżki pojawiła się ludzka sylwetka, czarno rysująca się na tle błękitnego nieba.

Manfred był na to przygotowany. Jednym płynnym ruchem podniósł karabin do ramienia i przyłożył oko do okularu lunety. Nie musiał nawet naprowadzać broni na cel — męska sylwetka pojawiła się od razu w wizjerze lunety, znacznie powiększona i idealnie ostra.

To był stary człowiek, chudy i wąski w ramionach, w białej, rozpiętej pod szyją koszuli i poźółkłej ze starości panamie. Jego kozia bródka mieniła się srebrzyście w jaskrawym wiosennym słońcu. Punkt przecięcia kamiennie nieruchomych linii celownika spoczywał idealnie pośrodku jego piersi, na szerokość dłoni poniżej trójkąta rozpięcia pod szyją. Manfred uznał, że nie warto kusić się o finezyjny strzał w głowę, lepsze będzie pewne trafienie w serce.

Dotknął pierwszego spustu, huk wystrzału uderzył go w uszy, odrzut broni szarpnął jego

ramieniem.

Widział, jak kula trafia w cel, rozplaszcza luźną białą koszulę na kościstej piersi. Obraz miał tak ostry, że zobaczył nawet jak pocisk wylatuje z drugiej strony. Wyprysnął z pleców starca, ciągnąc za sobą długi ogon krwi i żywych tkanek, niby pióro flaminga, a kiedy kruche ciało osunęło się i zniknęło w trawie, obłok krwi utrzymał się jeszcze chwilę, unosząc się w czystym powietrzu poranka jedną tysięczną sekundy, nim opadł w ślad za nim.

Manfred poderwał się na nogi i zaczął biec. Miał precyzyjnie opracowaną całą drogę ucieczki do morrisa, a dzikie uniesienie dodawało mu skrzydeł.

Zza pleców dobiegł go czyjś krzyk, żalospny, niedowierzający lament, ale Manfred ani nie zwolnił kroku, ani nawet się nie obejrzał.

Shasa wypadł na szczyt pełnym biegiem. Dwaj mężczyźni klęczeli pochyleni nad ciałem leżącym w trawie przy ścieżce. Kiedy podnieśli na niego wzrok, ujrzał na ich twarzach wyraz kompletnego szoku.

Wystarczył mu jeden rzut oka na leżące na brzuchu zwłoki. Morderca musiał użyć kuli typu dum-dum. Tylko one zostawiały tak potworne rany wylotowe. W dziurę, która powstała w plecach, dałoby się włożyć dwie pięści.

Nie było cienia nadziei. Był martwy. Trzeba się wziąć w garść. Na żal i smutek będzie czas potem. Teraz trzeba go pomścić.

— Widzieliście, kto to zrobił? — zapytał bez tchu.

Tak. — Blaine poderwał się z ziemi. — Mignął mi z daleka. Jest ubrany na niebiesko. Pobiegł wokół Oudekraal Kop.

Shasa doskonale znał tę stronę góry, każdą ścieżkę i urwisko, każdy wąwóz i parów od Szyi po Siodło. Morderca miał nad nim jakieś dwie minuty przewagi.

— Ścieżka do konnej jazdy! — wydyszał. — Biegnie do ścieżki! Spróbuję mu zabiec drogę przy wylocie Dziecięcego Jaru.

Odwrócił się i pobiegł z powrotem w stronę Skały Sniadaniowej.

— Uważaj na siebie! — zawołał za nim Blaine. — On ma ze sobą karabin!

„Ścieżka do konnej jazdy to jedyna droga, którą można się dostać na szczyt Góry jakimś mechanicznym pojazdem — tłumaczył sobie Shasa, pędząc przed siebie. — A to morderstwo było tak starannie zaplanowane, że zabójca z pewnością miał gdzieś pod ręką samochód do ucieczki. Skoro tak, to musiał go zaparkować gdzieś na ścieżce.”

Ścieżka zataczała szeroką pętlę wokół Oudekraal Kop, potem wracała ku krawędzi szczytu i biegła brzegiem urwisk obok wylotu Dziecięcego Jaru, by osiemset metrów dalej przeciąć ścieżkę do konnej jazdy. Była jednak jeszcze inna ścieżka, bardzo trudna i rzadko używana, biegnąca tą stroną Kopu, samym brzegiem zbocza. Jej początek trudno było znaleźć, a pomyłka wyprowadziłaby go prosto na krawędź przepaści, ale gdyby udało mu się na nią natrafić, znacznie skróciłby sobie drogę.

Znalazł ścieżkę i szybko w nią skręcił. W dwóch miejscach tak zarosła, że trzeba było przedzierać się przez splątany gąszcz krzaków, a nieco dalej brzeg urwiska osunął się, czyniąc w ścieżce pokaźną dziurę. Musiał cofnąć się kilkanaście kroków, wziąć rozbieg i przeskoczyć otwierającą się w-dole głęboką przepaść. Wylądował na czworakach, rozpaczliwie czepiając się rękoma najbliższych gałęzi, po czym poderwał się na nogi i pognął dalej.

Zupełnie niespodziewanie wypadł na główną ścieżkę i zderzył się w pełnym pędzie z biegnącym z przeciwnej strony mordercą.

Ledwie zdążył dostrzec niebieski kombinezon wysokiego, potężnie zbudowanego przeciwnika, gdy zwalili się razem na ziemię, spleceni w morderczym uścisku, szarpiąc się i mocując, turlając po pochyłości gruntu. Impet zderzenia wytrącił zabójcy karabin, ale Shasa czuł sprężystą twardość jego mięśni, których każdy ruch zdradzał niebywałą siłę fizyczną. Od pierwszej sekundy było jasne, że przeciwnik ma nad nim ogromną przewagę. Choć walczył jak oszalały, morderca przetoczył go na plecy i przygwoździł okrakiem do ziemi.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Gęsta, kręcona, ciemna broda napastnika ociekała potem, nos miał garbaty po złamaniu, brwi krzaczaste i czarne, ale to widok jego oczu przyprawił Shasę o dreszcz strachu. Były żółte i przerażająco znajome. Ten strach jednak przydał Shasi nowych, niemal nadludzkich sił.

Potężnym szarpnięciem uwolnił jedną rękę i odepchnął mordercę dość daleko w bok, by wyrwać z pasa swoją berettę. Nie było czasu jej załadować, więc po prostu rąbnął na odlew krótką lufą i usłyszał trzask stali uderzającej w kości skroni napastnika.

Uścisk potężnych rąk osłabił i morderca osunął się na plecy. Shasa podniósł się chwiejnie na czworaka, obiema rękami ładując gorączkowo berettę. Z metalicznym trzaskiem pocisk wskoczył do komory. Shasa uniósł broń. Nie zdawał sobie sprawy, jak blisko brzegu urwiska się stoczyli. Klęczał na samej jego krawędzi. Kiedy próbując opanować drżenie rąk wycelował w tę brodatą głowę, morderca złożył się jak scyzoryk i potężnym wyrzutem obu nóg trafił go w pierś. Pistolet wypalił, ale pocisk przeszył powietrze, a Shasa poleciał do tyłu, przetoczył się przez krawędź urwiska i zaczął spadać. Kątem oka dostrzegł czeluść przepaści — otwierała się na setki metrów w dół — ale ledwie trzy metry niżej zaczepił się o młodą sosnę, która zapuściła korzenie w jakąś szczelinę w skale.

Zawisł na pionowej skalnej ścianie, z nogami huśtającymi się w powietrzu, oszołomiony i bez tchu, i powoli podniósł wzrok. Znad krawędzi wysunęła się głowa mordercy; dziwne, żółte oczy wpatrywały się w niego przez sekundę, po czym szybko zniknęła. Dobiegł go odgłos kroków na ścieżce, a potem łatwy do rozpoznania trzask ładowanego i odbezpieczanego karabinu.

„To już koniec” — przebiegło mu przez głowę i w tej samej chwili uświadomił sobie, że nadal zaciska w ręku berettę. Rozpaczliwym ruchem otoczył pień sosenki lewym ramieniem i wycelował z pistoletu w górę, tuż ponad krawędź urwiska.

Raz jeszcze na tle nieba pojawiła się głowa i ramiona mordercy, próbującego skierować w dół długą lufę mauzera. Ale użycie broni w tej pozycji nie było takie łatwe — tym razem Shasa był szybszy. Usłyszał ciche plaśnięcie, gdy mała kula z jego beretty trafiła w ciało, morderca warknął coś przez zaciśnięte zęby i jego głowa zniknęła znad krawędzi. W tej samej chwili z oddali dobiegły czyjeś krzyki, a Shasa rozpoznał głos Blaine'a.

Na ścieżce zatupotały kroki oddalającego się biegiem mordercy i minutę później nad krawędzią urwiska pojawiła się głowa Blaine'a.

— Trzymaj się!

Blaine był czerwony ze zmęczenia, głos mu się łamał. Odpiął gruby skórzany pas, wyciągnął go ze szlufek spodni i zrobił pętlę. Leżąc płasko na brzuchu opuścił pętlę w dół, aż Shasa mógł przez nią przełożyć rękę. Choć Blaine był potężnym mężczyzną, o barach i klatce piersiowej nadmiernie rozbudowanych od gry w polo, potrafiło kilka minut, nim udało mu się wyciągnąć Shasę na szczyt góry.

Dyszząc ciężko przeleżeli obok siebie długą chwilę, po czym Shasa podniósł się chwiejnie na nogi i ruszył ścieżką w pościg za uciekinierem. Po kilkunastu metrach Blaine zdołał go wyprzedzić, a

jego równy krok podziałął na Shasę jak spięcie ostroga.

— Krew! — wysapał przez ramię Blaine do doganiającego go Shasy, wskazując mokre czerwone plamki na jakimś płaskim kamieniu. — Trafiłeś go!

Wybiegli na szeroki szlak do konnej jazdy i puścili się w dół, teraz już ramię w ramię, wspomagani spadkiem zbocza, ale nie zdążyli dotrzeć do pierwszego ostrego zakrętu, gdy z lasu w dole dobiegł ich warkot zapalanego silnika.

— Ma samochód! — wysapał Blaine, gdy silnik zawył na najwyższych obrotach i auto zaczęło szybko się oddalać.

Przystanęli słuchając, jak zapada zupełna cisza. Shasa nie był już w stanie utrzymać się na nogach. Zwalił się na ziemię pośrodku ścieżki, jakby go ktoś podciął.

W biurze zarządu parku był telefon, z którego Shasa połączył się z inspektorem Nelem podając mu rysopis mordercy.

— Musicie działać natychmiast! Ten facet ma dokładnie opracowaną drogę ucieczki.

W biurze zarządu pogotowia górskiego byty lekkie nosze, bo góra co roku zbierała żniwo ludzkiego życia. Leśniczy przydzielił im do pomocy sześciu swoich czarnych pracowników i sam wspinał się z nimi ścieżką do korniej jazdy, a potem krawędzią zbocza do Parowu Szkieletów.

Na miejscu zastali kobiety. Centaine i Anna tuliły się do siebie, zalane łzami, szukając u siebie nawzajem pociechy. Jednym z koców przykryły zabitego.

Shasa ukląkł przy zwłokach i uniósł róg koca. Po śmierci policzki sir Garry’ego Courteneya zapadły się, nos sterczał mu w górę jak ptasi dziób, zamknięte oczy osunęły się w głąb oczodołów, ale biło od niego jakieś szlachetne dostojeństwo, jego twarz przywodziła na myśl maski pośmiertne rzymskich cesarów.

Shasa ucałował go w czoło, zimne i jedwabiące gładkie pod dotykiem warg, i wstał.

— Tak mi przykro, chłopcze — powiedział feldmarszałek Smuts, kładąc mu rękę na ramieniu w geście pocieszenia. — Ta kula była przeznaczona dla mnie.

54

Manfred de La Rey zjechał z drogi, trzymając kierownicę jedną ręką. Nie wysiadając z morrisa, ani nie wyłączając silnika zaczął rozpinać kombinezon.

Kula weszła nieco obok i tuż poniżej pachy, wbiła się w gruby splot mięśnia piersiowego i skręciła w górę. Nie mógł znaleźć rany wylotowej — kula musiała nadal tkwić gdzieś w jego ciele. Kiedy obmacał delikatnie tył własnego barku, natrafił na wybrzuszenie tak bolesne, że z trudem udało mu się zdusić w gardle krzyk.

Tkwiała tuż pod skórą, wydawało się jednak, że nie przebiła klatki piersiowej. Przyłożył na ranę pod pachą chusteczkę do nosa, z powrotem zapiął kombinezon i spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Zaledwie dwadzieścia trzy minuty minęły od chwili, gdy oddał strzał, który miał przynieść wyzwolenie jego narodowi.

Poczucie upojenia i triumfu zagłuszyło ból rany. Wrócił na drogę i spokojnie skręcił w ulicę wiodącą wokół podnóża góry. Przy bramie stacji przetokowej okazał strażnikowi przepustkę i zaparkował morrisa za noclegownią dla maszynistów i palaczy.

Mauzera zostawił pod siedzeniem samochodu. I jednym, i drugim miał się już ktoś zająć. Szybkim krokiem podszedł do tylnego wejścia do noclegowni. Wewnątrz już na niego czekano.

Roelf zerwał się na równe nogi zaniepokojony widokiem plamy krwi na niebieskim kombinezonie.

— Nic ci nie jest? Co się stało?

— Smuts nie żyje — odparł Manfred.

Jego nieokiełznana radość udzieliła się pozostałym. Nie wiwatowali, nic nie powiedzieli, tylko w milczeniu otoczyli go kołem, delektując się chwilą, która miała zmienić bieg historii.

— Jesteś ranny — przerwał po jakimś czasie milczenie Roelf.

Jeden ze *stormjagers* wyszedł odprowadzić morrisa, a Roelf pomógł Manfredowi zdjąć brudny kombinezon. Rana już prawie nie krwawiła, ale ciało wokół niej napuchło i zsiniało. Włot kuli wyglądał jak czarne oko roniące wodniste łyzy różowawej limfy. Roelf opatrzył ranę i obandażował ramię środkami z kolejowej apteczki pierwszej pomocy.

Ponieważ Manfred z najwyższym trudem posługiwał się lewą ręką, Roelf namydlił mu twarz i zgolił brzytwą czarną brodę. Jej brak odmłodził Manfreda o kilka lat, znów uczynił go przystojnym, młodym człowiekiem, nieco bladym z powodu utraty krwi i osłabienia raną. Roelf i jego koledzy pomogli mu nałożyć czysty kombinezon i wcisnęli na głowę czapkę palacza.

— Wkrótce znów się zobaczymy — powiedział Roelf. — Jestem dumny, że mam takiego przyjaciela. Od tej chwili wszystkie dni twego życia opromieniać będzie sława i chwała.

Z kręgu zebranych wystąpił jeden z maszynistów.

— Musimy jechać — powiedział.

Roelf i Manfred uścisnęli sobie na pożegnanie dłonie, Manfred odwrócił się i wyszedł za maszynistą na peron do czekającego parowozu.

Policja zatrzymała jadący na północ skład towarowy na stacji w Worcester. Otworzono i przeszukano wszystkie wagony, a jeden policjantów wsiadł do lokomotywy, by i ją także przeszukać.

— O co chodzi? — spytał maszynista.

— Dokonano morderstwa. Dziś rano na Górze Stołowej zastrzłono jakąś szychę. Mamy rysopis mordercy. Zarządzono blokadę policyjną wszystkich dróg. Przeszukujemy wszystkie pojazdy, statki i pociągi...

— Kto to zginął? — spytał Manfred.

Policjant wzruszył ramionami.

— A skąd ja mogę wiedzieć? Ale sądząc z tego zamieszania, musiał to być ktoś bardzo ważny.

Wyskoczył z kabiny, minutę później zmieniono sygnał na zielony i pociąg potoczył się dalej na północ.

Nim dotarli do Bloemfontein, ramię Manfreda stwardniało w wielki siny guz, a ból stał się nie do zniesienia. Skulił się w kącie kabiny, pojękując cicho, balansując na krawędzi przytomności. Głowę wypełniał mu szelest czarnych skrzydeł.

Roelf uprzedził telefonicznie o jego przybyciu, toteż na dworcu w Bloemfontejn czekali już przyjaciele. Bez przeszkód udało im się przemycić Manfreda poza bramę stacji.

— Dokąd jedziemy?

— Do lekarza — odparł czyjś głos i rzeczywistość rozpadła się w wirujące plamy czerni przeszywanej błyskawicami bólu.

Zapamiętał jeszcze duszący smród chloroformu, a kiedy się obudził, stwierdził, że leży w łóżku w słonecznym, choć ascetycznie umeblowanym pokoju. Ramię owinięte miał śnieżnobiałym bandażem i choć męczyły go mdłości po narkozie, znów czuł się cały.

Na krześle pod oknem siedział jakiś mężczyzna. Gdy tylko zauważył, że Manfred się obudził, wstał i podszedł do łóżka.

— Jak się czujesz? — spytał.

— Nie najgorzej. Co z powstaniem? Czy już wybuchło? Czy przejęliśmy już władzę?

Mężczyzna popatrzył na niego dziwnie.

— To jeszcze nic nie wiesz? — spytał.

— Wiem tylko, że mi się udało... — zaczął Manfred, ale mężczyzna wyciągnął z kieszeni gazetę i rozłożył ją na łóżku. Stał obok, patrząc jak Manfred przesuwając niepojmującym spojrzeniem po nagłówku:

MORDERSTWO NA GÓRZE STOŁOWEJ

OB OSKARŻONE O ZABÓJSTWO WYBITNEGO HISTORYKA SMUTS ZARZĄDZA

ARESztOWANIE I INTERNOWANIE SZEŚCIUSET OSÓB

— Zabiłeś nie tego, co trzeba. Smuts ma już teraz potrzebny pretekst. Zamknęli wszystkich naszych przywódców i urządzili obławę na ciebie. Przetrzęsają cały kraj. Nie możesz tu zostać. Lada chwila spodziewamy się policji.

Przekazano go dalej i tego samego wieczoru opuścił miasto w skrzyni ciężarówki pod ładunkiem cuchnących skór. Aresztowania zdziesiątkowały Ossewę Brandwag, a ci jej członkowie, którzy pozostali na wolności, drżeli ze strachu. Wszyscy szukali kryjówek. Nikt nie chciał dać schronienia poszukiwanemu w całym kraju zbiegowi. Przekazywano go dalej i dalej.

Opracowany plan nie sięgał poza zamordowanie Smutsa i wzniesienie zwycięskiego powstania, które miało uczynić z Manfreda bohatera narodowego i zapewnić mu należne miejsce w nowym republikańskim rządzie. Teraz był zbiegiem i uciekinierem, chorym i wycieńczonym, za jego głowę wyznaczono nagrodę pięciu tysięcy funtów. Nikt nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Swą obecnością ściągał na każdego ogromne niebezpieczeństwo, toteż każdy pozbywał go się najszybciej, jak mógł.

Na opublikowanej liście aresztowanych i internowanych znalazł wiele znajomych nazwisk, a wśród nich nazwisko Roelfa i wielebnego Trompa Biermana. Zastanawiał się, jak teraz da sobie radę ciotka Trudi, Sarah i dziewczęta, ale stwierdził, że trudno mu się skupić i myśleć. Rozpacz pozbawiła go odwagi, coraz częściej czuł się jak zaszczute ranne zwierzę.

Po ośmiu dniach dotarł do Johannesburga. Nie kierował się tam specjalnie, uległ raczej presji okoliczności i namowom tych, którzy pomagali mu w ucieczce. Pociągami i ciężarówkami, a potem, gdy rana zaczęła się goić i odzyskał nieco sił, także nocą przy świetle księżyca pieszo przez otwarty *yeid*, dotarł w końcu do miasta.

Miał jakiś adres, ostatni kontakt z członkami bractwa. Na dworcu głównym wsiadł w tramwaj i jadąc wzdłuż Braamfontei obserwował zmieniające się numery domów.

Wypatrywał numeru 36. Był to jeden z długiego ciągu wolno stojących domków. Już miał się podnieść, żeby wysiąść na następnym przystanku, gdy w drzwiach domku numer 36 dotrzedł granatowy mundur policyjny. Wcisnął się głębiej w siedzenie i przejechał całą trasę aż do pętli.

Tam wysiadł i wszedł do greckiej kafejki po przeciwnej stronie ulicy. Zamówił kawę, zapłacił za nią ostatnimi pieniędzmi i próbując myśleć siorbał ją małymi łyżkami, skulony nad filiżanką.

W ciągu ostatnich ośmiu dni udało mu się ominąć kilkanaście blokad dróg i uniknąć kilku rewizji, czuł jednak, że wyczerpał już swój zapas szczęścia. Nie miał już gdzie się ukryć. Od tego miejsca droga prowadziła prosto na szubiennicę.

Popatrzył przez zalepione brudem okno kafejki i naraz jego uwagę przykuła tabliczka z nazwą ulicy. Coś drgnęło w najdalszym zakamarku jego pamięci, lecz w pierwszej chwili zupełnie nie był

stanie połapać się, co. I nagle poczuł przypływ otuchy, jakby w ciemnym tunelu zabłysła maleńka iskierka nadziei.

Wyszedł z kawiarni i ruszył ulicą, której nazwa wydała mu się znajoma. Porządne domy szybko ustąpiły miejsca barakom i budom slumsów; na zrytej wybojami, nie brukowanej ulicy coraz rzadziej spotykało się białych. Z okien i cuchnących zaułków śledziły go czarne oczy w pozbawionych wyrazu czarnych twarzach, przyglądając mu się przez tę niewyobrażalną otchłań, jaka dzieli w Afryce ludzi różnych ras.

Znalazł to, czego szukał. Mały wielobranżowy sklepik, zatłoczony czarnoskórymi kobietami, hałaśliwymi i roześmianymi, z dziećmi na plecach, targującymi się przez ladę o cukier i mydło, parafinę i sól. Kiedy w drzwiach stanął biały, w sklepie zaległa cisza, kobiety rozstały się przed nim z szacunkiem, skromnie opuszczając wzrok.

Właścicielem był stary *Zulus* o wełnistej białej brodzie ubrany w workowaty garnitur zachodniego kroju. Natychmiast zostawił czarną kobietę, którą właśnie obsługiwał, i schyliwszy z uniżeniem głowę podszedł do Manfreda, by przyjąć jego zamówienie.

— Proszę za mną, *Nkosi*.

Poprowadził Manfreda do składziku towarów na zapleczu sklepu.

— Będziesz musiał poczekać, może nawet długo — powiedział i zostawił go samego.

Manfred opadł na stertę worków z cukrem. Był głodny, zmęczony, rana znów zaczynała dawać mu się we znaki. Nie wiadomo kiedy zapadł w sen, z którego wyrwało go potrząsanie za ramię.

— Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? — usłyszał na uchem gardłowy głos.

Oszołomiony snem podniósł się na nogi.

— Ojciec powiedział mi, gdzie cię mogę znaleźć — odparł. — Witaj, Swartcie Hendricku.

— Mój mały Manie... — Wielki Oyambo wyszczerzył do niego w uśmiechu dziurę po wybitych przednich zębach. Jego poorana bliznami Czarna głowa lśniła jak kula armatnia. — To już tyle lat... Ale nigdy nie zwątpiłem, że znów się spotkamy. Bogowie pustyni związali ze sobą nasze losy, mój mały Manie. Zawsze wiedziałem, że kiedyś znów się zjawisz.

Usiedli razem w tylnym pokoju domu Sarta Hendricka. Był to jeden z nielicznych murowanych domów wśród baraków Farmy Drake'a, ale zbudowano go z mewypalanej cegły i cały budynek nie odbijał zbytnio wyglądem od otaczających go ciasno bud i szałasów. Swart Hendrick już dawno nauczył się nie ściągać uwagi białej policji na swoje bogactwo.

W pokoju od frontu kobiety zajmowały się pracami domowymi i gotowaniem obiadu, a roześmiane dzieci baraszkowały między ich nogami. Jak przystało człowiekowi o jego pozycji, Hendrick miał sześć miejskich żon, żyjących razem w przyjaznej symbiozie. Zaborcza zazdrość monogamicznych kobiet Zachodu była im najzupełniej obca. Starsze żony chętnie pomagały w wyborze młodszych, bo im więcej ich było, tym większym każda cieszyła się poważaniem. Nie miały także nic przeciwko regularnemu zaopatrywaniu wiejskich żon i ich potomstwa ani systematycznym wyprawom małżonka do *kraalu* w celu powiększenia liczby tego potomstwa. Uważały się za jedną wielką rodzinę. Kiedy wiejskie dzieci dorastały wieku, w którym mogły wyjechać do miasta, by tam szukać wykształcenia i majątku, czekało już na nie wiele przyrodnych matek, otaczających je tą samą miłością, co rodzone matki w *kraalu*.

Mniejsze dzieci szalały po całym domu i właśnie jedno z nich, golusieńkie jak przysło na świat, wdrapało się na kolana Hendrickowi, który siedział na swym rzeźbionym stołku, symbolu władzy wodza plemienia. Choć pograżony był w poważnej rozmowie z Manfredem, co jakiś czas czule

głaskał brzdąca jak ulubionego psiaka, a kiedy w dzbanie z piwem ukazywało się dno, klaskał w ręce i wtedy jedna z młodszych żon, piękna Zuluska o twarzy krągłej jak księżyc, lub młodziutka dziewczyna z plemienia Basuto o piersiach kształtnych i twardych niczym jaja strusia przynosiła nowy dzban i klękając przed Hendrickiem podawała mu go ze spuszczoną skromnie głową.

— A więc, mój mały Manie, omówiliśmy już wszystko, powiedzieliśmy sobie, co było do powiedzenia, i wróciliśmy znów do punktu wyjścia. — Swart Hendrick podniósł dzban i pociągnął łyk gęstej, białej, musującej papki. Oblizwał usta, utarł ręką półksiężyc piany z górnej wargi i podał dzban Manfredowi. — Problem w tym, że biała policja szuka cię na każdej stacji i na wszystkich drogach. Wyznaczyli nawet cenę na twoją głowę — i to jaką cenę! Oferują za ciebie pięć tysięcy funtów! Ile żon i sztuk bydła można by kupić za tyle pieniędzy? — Urwał, próbując to policzyć i potrząsnął głową w podziwieniu. — Chcesz, żebym ci pomógł wyjechać z miasta i przekroczyć wielką rzekę na północy. Ale co by ze mną zrobiła biała policja, gdyby mnie na tym przyłapano? Czy powiesiliby mnie na tym samym drzewie co ciebie, czy też zesłali tylko do kamieniołomów w więzieniu *Ou Baasa* Smutsa i króla Jerzego? — Westchnął teatralnie. — To jest problem, mój mały Manie. Czy potrafisz mi udzielić odpowiedzi na to pytanie?

- Jesteś dla mnie jak ojciec, Hennie — odparł cicho Manfred. Czy ojciec zostawia swoje dzieci na pożarcie hienom i sępom?

— Jeśli jestem twoim ojcem, Manie, to dlaczego ty masz twarz białą, a ja czarną? — uśmiechnął się Hendrick. — Nie mamy wobec siebie żadnych długów. Zostały spłacone dawno, dawno temu.

— Mój ojciec i ty byliście dla siebie braćmi.

— Ileż to lat minęło od tamtych dni! — Hendrick potrząsnął ze smutkiem głową, żałując dawno minionych czasów. — I jak bardzo zmienił się świat i ci, co go zamieszkują.

— Jest coś, co się nigdy nie zmienia, Hennie. Nawet przez setki i tysiące lat.

— A cóż to takiego, dziecię o białej twarzy, które mieni się moim synem?

— Diament, mój czarny ojciec. Diament się nigdy nie zmienia.

— Porozmawiajmy zatem o diamencie — powiedział Hendrick, skinąwszy głową.

- Nie o jednym — odparł Manfred. — O wielu diamentach, całym worku *diamentów*, który spoczywa w dalekiej kryjówce znanej tylko mnie i tobie.

— Ryzyko jest ogromne — powiedział Hendrick do swego brata. — I wątpliwości czają się w mej głowie jak lew ludojad w kępie krzaków za wioską. Może ten biały chłopak mówi prawdę i te diamenty rzeczywiście tam są, ale lew wątpliwości nie daje mi spokoju. Jego ojciec był przebiegłym człowiekiem twardym i bezlitosnym... Coś mi się zdaje, że syn stał się bardzo do niego podobny. Mówi o łączącej nas przyjaźni, ale nie wyczuwam w nim dawnego ciepła i serdeczności.

Mojżesz Gama zapatrzył się w ogień. Spojrzenie jego Czarnych oczu było nieprzeniknione.

— Próbował zamordować Smutsa — zaczął rozmyślać na głos. — Musi być z tych twardych Burów, tych podobnych do swych przodków, którzy urządzili rzeź naszych nad Krwawą Rzeką i rozbili władzę wielkich wodzów. Tym razem przegrali, tak jak w roku 1914, ale nie zostali zniszczeni. Kiedy wojna białych za morzem się skończy, ci twardzi Burowie znów poderwą się do walki, zwołają swoje zastępy wielkich jeszcze raz wydadzą bitwę Smutsowi. Tak to już jest z białymi, studiowałem ich historię, kiedy nastaje pokój, często odrzucają tych, którzy najbardziej zasłużyli się w walce. Mam przeczucie, że w następnym starciu biali odrzucą Smutsa i zwycięstwo odniosą ci twardzi

Burowie...A ten biały chłopak jest jednym z nich.

— Masz rację, mój bracie — przytaknął Hendrick. — Nie zaglądałem tak daleko w przyszłość. To wróg naszych ludów. Jeśli on wielkich jemu podobni dojdą do władzy, czekają nas gorzkie czasy prawdziwego niewolnictwa. Trzeba go wydać na pastwę zemsty tych, którzy go szukają.

Mojżesz Gama uniósł swą szlachetną głowę i ponad płomieniami spojrzął na starszego brata.

- Słabość tłumu tkwi w *tym*, że nie potrafi dojrzeć horyzontu — powiedział Mojżesz. — Nie widzi dalej swego brzucha i swoich genitaliów. Przyznałeś się właśnie do tej słabości, mój bracie. Dlaczego nie starasz się wyrosnąć ponad ten tłum? Dlaczego nie podniesiesz głowy wyżej i nie spróbujesz spojrzeć w przyszłość?

— Nie rozumiem.

— Największym zagrożeniem dla naszego ludu jest jego własna cierpliwość i bierność. Jesteśmy jak wielkie stado bydła w ręku przebiegłego pasterza. Jak despotyczny ojciec wymusza na nas posłuszeństwo, a większość z nas, nie rozumiejąc tego, daje się omamić i wyraża na to przyzwolenie, wmawiając sobie, że jest zadowolona ze swego losu. Więc pasterz doi nas do woli, a gdy przyjdzie mu na to ochota, pożywia się naszym ciałem. To nasz największy wróg, bo trzyma nas w niewoli tak sprytnie, tak podstępnie, że nie sposób podburzyć stada, by się przeciwko temu zbuntowało.

— Jeśli on jest naszym największym wrogiem, to co powiesz o tych Burach, których nazywasz twardymi? — spytał osłupiały Hendrick. — Czy oni nie są jeszcze gorsi?

— W nich cała nadzieja na ostateczne wyzwolenie naszego ludu. To ludzie pozbawieni sprytu i subtelności. Nie potrafią uśmiechem i miłym słowem maskować brutalnych czynów. To gniewni ludzie przepełnieni strachem i nienawiścią. Nienawidzą Hindusów, Żydów i Anglików, ale najbardziej nienawidzą czarnych plemion, bo nas jest dużo, a ich niewielu. Nienawidzą i boją się nas, bo zagrabili naszą prawowitą własność. Oni nie będą w stanie tej nienawiści ukryć. Jeśli dojdą do władzy, pokażą nam, jak naprawdę wygląda niewolnictwo. Swoim uciskiem przeistoczą nasze plemiona ze stada pogodzonego z losem bydła w rozszalałe stado dzikich bawołów, które tratuje wszystko, co stanie mu na drodze. Musimy się modlić za tego twojego białego chłopca i wszystko, co sobą reprezentuje. W jego rękach spoczywa los naszego ludu.

Hendrick długo jeszcze wpatrywał się w ogień, po czym powoli podniósł wielką łysą głowę i spojrzął na brata.

— Czasami myślę, synu mego ojca, że jesteś najmądrzejszym człowiekiem wśród wszystkich naszych plemion — wyszeptał z nabożnym podziwem.

Swart Hendrick posłał po *sangomę*, czarownika plemienia, który przyrządził okład na ramię Manfreda. Zaogniona i brzydko cuchnąca rana zaczęła się goić niemal w oczach i po dziesięciu dniach Manfred był już w stanie ruszyć w dalszą podróż.

Ten sam czarownik dostarczył ziołowego barwnika, który przyciemnił skórę Manfreda i nadał jej odcień, jaki mieli ludzie jednego z północnych plemion. Oczy, te niesamowite żółte oczy, nie stanowiły poważniejszego problemu. Czarni pracownicy, którzy po zakończeniu pracy w kopalni wracali do domu, lubili szczyścić się symbolami swej pozycji ludzi bywałych w świecie. Należały do nich blaszane skrzyneczki na zdobyte w czasie pracy skarby, różowe książeczki pocztowej kasy oszczędności z wpisaną kwotą obrazującą nagromadzone bogactwo, srebrzyste kaski górnicze, które wolno im było zatrzymać i w których paradowali z durną wszędzie, od szczytów Basutolandu po równikowe dżungle, i wreszcie ciemne okulary przeciwsłoneczne.

Dokumenty wystawił Manfredowi jeden z Bawołów Hendricka, urzędnik w dziale finansów

jednej z kopaiń, i były one jak najbardziej prawdziwe. Wsiadając do pociągu Manfred nałożył okulary, jego skóra miała dokładnie taki sam kolor, jak skóra tłoczących się wokół czarnych byłych górników. Niemal wszyscy byli Bawołami Hendricka i mieli za zadanie starannie chronić go podczas całej podróży.

Biali, których spotykał w czasie długiego, powolnego powrotu do Afryki Południowo-Zachodniej, rzadko spoglądali wprost na niego. Czul się z tym dziwnie, ale jednocześnie podnosiło go to na duchu. Skoro ich spojrzenie prześlizgiwało się po jego twarzy, jakby jej nie dotykając, znaczyło to, że w ich głowach nie powstał nawet cień podejrzenia co do tego, czy aby na pewno jest czarny.

Wysiedli z Hendrickiem w Okahandji i wraz z grupą innych byłych górników wpełnęli się do autobusu, którym w spiekocie i kurzu pokonali ostatnie kilkanaście kilometrów do *kraalu* Hendricka. Dwa dni później wyruszyli w dalszą drogę, tym razem pieszo, kierując się na północ, w głąb rozpalonych słońcem pustkowi.

Ostatnia pora deszczowa przyniosła spore opady, toteż w wielu zagłębieniach południowego Kayango natrafiali na wodę i przed upływem dwóch tygodni w błękitnej rozedrganej mgiele na horyzoncie ujrzeli garby kopców przywodzące na myśl karawanę wielbłądów.

Dopiero podczas marszu w stronę wzgórz Manfred uświadomił sobie, jak bardzo obco czuje się na tej pustyni. Dla Hendricka i ojca była ona domem, ale on sam od wielu lat mieszkał w mniejszych lub większych miastach. Bez pomocy Hendricka nigdy by tu nie trafił. Szczerze mówiąc, nie przeżyłby bez niego w tym niegościnnym pustkowiu nawet kilku dni.

Wzgórze, ku któremu wielki Oyambo poprowadził Manfreda, na pierwszy rzut oka nie różniło się niczym od wszystkich pozostałych. Dopiero kiedy pokonali stromą granitową ścianę i stanęli na szczycie, odżyły dawne wspomnienia. Może do tej chwili podświadomie je w sobie tłumił, ale teraz nagle przypomniał sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Przed oczami stanęła mu trawiona gorączką twarz ojca i niemal poczuł w powietrzu smród rozkładanego gangreną ciała. W uszach zadzwoniły mu ostre słowa, którymi ojciec zmusił go do odejścia i zapewnił bezpieczeństwo, i raz jeszcze poczuł ból, jaki wtedy mu one sprawiły.

Wysiłkiem woli otrząsnął się z tych wspomnień i przywołał do rzeczywistości. Bez wahania podszedł do szczeliny w granitowej kopule, ukląkł nad nią, zajrzał w głąb i serce zamarło mu w piersi. W głębokim cieniu, ostro kontrastującym z blaskiem słońca i jego odbiciem od skał, nic nie było widać.

— A więc zniknęły te słynne diamenty — zachichotał cynicznie Hendrick na widok rozpaczliwej malującej się na twarzy Manfreda. — Może pożarły je szakale.

Nie zwracając na niego uwagi Manfred wyjął z plecaka kłębek rybackiej żyłki. Przywiązał na jej końcu gruby potrójny haczyk, obciążył go kawałkiem ołowiu, spuścił w głąb szczeliny i zabrał się do cierpliwego sondowania szczeliny na całej jej długości. Hendrick przykucnął w skrawku cienia pod jednym z głazów na szczycie i beznamietnym wzrokiem obserwował jego wysiłki, nawet nie próbując przyjść mu z pomocą.

Nagle kotwiczka zaczęła się o coś głęboko w szczelinie. Ostrożnie naprężył żyłkę. Trzymała. Owinał ją sobie wokół nadgarstka i pociągnął w górę. Coś puściło i żyłka przestała stawiać opór. Wydobył ją ze szczeliny i uważnie obejrzał. Jeden z haczyków odgiął się, ale na zadziórze tkwiły strzępki nadgryzionego zębem czasu brezentu.

Zagiął z powrotem haczyk i cal po calu opuścił kotwiczkę. Jeszcze raz zaczął sondować czarną

czeluść od jednego końca po drugi, coraz głębiej i głębiej. Po pół godzinie haczyk znów o coś zaczepił.

Tym razem trzymał mocno. Manfred ostrożnie zaczął wybierać żyłkę. Usłyszał, jak coś trze o szorstki granit i powoli w ciemności w dole zamajaczył bezkształtny tobolek. Wstrzymując oddech powoli podciągnął go wyżej, aż pakunek znalazł tuż przy krawędzi szczeliny. Wtedy chwycił go ręką, jednym ruchem wydobył na szczyt i w tej samej chwili brezent starego plecaka pękł, sypiąc na granitową płytę wokół Manfreda kaskadę skrzących się w słońcu kamieni.

Podzielili diamenty na dwie równe części, tak jak się umówili, ciągnąc losy o to, który ma wybierać pierwszy. Wygrał Hendrick i szybko dokonał wyboru. Manfred wsypał swoje kamienie do pustego kapciucha na tytoń, który specjalnie w tym celu ze sobą przyniósł.

— Mówiłeś prawdę, mój mały Manie — przyznał Hendrick. — Myliłem się, wątpiąc w twe słowa.

Wieczorem następnego dnia dotarli do rzeki, noc przespali obok siebie przy ognisku, a rano zrolowali koce i stanęli twarzą w twarz.

— Do widzenia, Hennie. Może pewnego dnia nasze drogi znów się skrzyżują.

— Mówiłem ci już, mój mały Manie, że bogowie pustyni związali nasze losy ze sobą. Jeszcze się spotkamy, jestem tego pewien.

— Już dziś cieszę się na ten dzień.

— Tylko od bogów będzie zależało, czy spotkamy się znów jak ojciec z synem, jak bracia... czy jako śmiertelni wrogowie — odparł Hendrick.

Zarzucił plecak na ramię i nie oglądając się odszedł na południe. Manfred patrzył w ślad za nim, dopóki Hendrick nie zniknął mu z oczu, po czym odwrócił się i ruszył wzdłuż brzegu rzeki na północny zachód. Wieczorem trafił do wioski rzecznych ludzi. Tam dwóch młodych ludzi przewiozło go czółnem z wydrążonego pnia na portugalski brzeg. Trzy tygodnie później dotarł do Luandy, stolicy kolonii portugalskiej, i nacisnął dzwonek przy kutej w żelazie bramie niemieckiego konsulatu.

Na rozkazy z dowództwa Abwehry w Berlinie musiał czekać całe trzy tygodnie i powoli dotarło do niego, że ta zwłoka nie była niezamierzona. Zawiódł, nie spełnił pokładanych w nim oczekiwań, a w hitlerowskich Niemczech było to coś niewybaczalnego.

Sprzedził jeden z najmniejszych diamentów za ułamek jego prawdziwej wartości i czekał na wymierzenie kary. Codziennie rano dzwonił do konsulatu i codziennie niemiecki attaché wojskowy zbywał go z ledwie skrywaną pogardą.

— Wciąż nie ma żadnych rozkazów, *Herr De La Rey*. Musi pan być cierpliwy.

Większość czasu spędzał w portowych tawernach, nocował w tanich hotelikach, bez końca na nowo rozstrząsając najdrobniejsze szczegóły swojej klęski, rozmyślając o Roelfie i wuju Trompie zamkniętych w obozie koncentracyjnym albo o Berlinie, o Heidi i swoim dziecku.

W końcu rozkazy nadeszły. Wystawiono mu niemiecki paszport dyplomatyczny i umieszczono na portugalskim frachtowcu, którym dotarł aż na Wyspy Kanaryjskie. Stamtąd małym cywilnym junkersem z hiszpańskimi znakami poleciał do Lizbony.

W Lizbonie spotkał się z tym samym pogardliwym przyjęciem. Odprawiono go niedbale, każąc na własną rękę poszukać sobie locum i czekać na rozkazy, z których przysłaniem wyraźnie nikt się nie kwapił. Napisał prywatne listy do pułkownika Sigmunda Boidta i Heidi, lecz choć zapewniono go, że zostały one przesłane pocztą dyplomatyczną do Berlina, odpowiedzi nie nadeszły.

Sprzedził następny mały diament i wynajął ładne, przestronne mieszkanie w starej kamienicy nad

brzegiem Tagu, spędzając ciągnące się w nieskończoność dni na czytaniu, studiach i próbach pisania. Równocześnie rozpoczął pracę nad dwoma projektami literackimi, historią polityczną Afryki Południowej i autobiografią, pisząc jedno i drugie wyłącznie dla podbudowania się na duchu, nie myśląc o tym, by kiedykolwiek oddać te zapiski do druku. Nauczył się portugalskiego, biorąc lekcje u emerytowanego dyrektora szkoły, który mieszkał w tej samej kamienicy. Przez cały czas prowadził ostry trening fizyczny, jakby nadal był zawodowym bokserem, i przetrząsał wszystkie antykwariaty miasta kupując każdą książkę traktującą o prawie, jaka wpadła mu w ręce, zarówno po angielsku, jak po niemiecku i portugalsku. Czuł jednak, jak czas przecieka mu przez palce, gdy tymczasem światem wstrząsa największa wojna w historii ludzkości. Niemożność wzięcia w niej udziału, ta wymuszona bezczynność coraz bardziej dawała mu się we znaki.

A szale w tym dziejowym konflikcie przechyliły się raptownie na niekorzyść państw Osi. Do wojny przystąpiły Stany Zjednoczone, ich latające fortece bombardowały miasta Rzeszy. Po przeczytaniu o ogromnym pożarze, który zniszczył całą Kolonię, jeszcze raz napisał do Heidi, chyba po raz setny od czasu, kiedy znalazł się w Portugalii.

Trzy tygodnie później, podczas kolejnej wizyty w niemieckim konsulacie, attache wojskowy wręczył mu kopertę, na której Manfred, ku swej nieopisanej radości, zobaczył adres pisany charakterem Heidi. Dowiedział się, że Heidi nie otrzymała żadnego jego listu i była już niemal pewna, że Manfred nie żyje. Wyrażała zachwyt, dziękowała Bogu za jego ocalenie i przesyłała swoje zdjęcie z małym Lotharem. Zobaczył na nim, że trochę przytyła, lecz przydało jej to nowego dostojenia i wydała mu się jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy widział ją po raz ostatni. A w ciągu tych trzech lat ich syn wyrósł na krzepkiego chłopaka o burzy jasnych loków i rysach twarzy zapowiadających zarówno siłę charakteru, jak i nieprzeciętną urodę. Fotografia była czarno-biała i nie dało się rozpoznać koloru jego oczu. Tęsknota za żoną i synkiem stała się wprost nie do zniesienia. Natychmiast napisał do Heidi długi list z wyjaśnieniem swego położenia i błaganiem o to, by poruszyła wszelkie możliwe sprężyny, załatwiła sobie paszport i przyjechała z synkiem do niego do Lizbony. Nie wdając się w szczegóły, zapewnił ją, że finansowo stoi mocno i ma plany na przyszłość obejmujące całą ich trójkę.

Heidi De La Rey leżała z szeroko otwartymi oczami i wsłuchiwała się w pomruk bombowców. Nadlatywały już trzecią noc z rzędu. Centrum miasta legło w gruzach, opera i dworzec kolejowy przestały istnieć. Z informacji Ministerstwa Propagandy, do których miała dostęp, wiedziała także, że alianci odnoszą sukcesy we Francji i Rosji, znała prawdę o wzięciu do niewoli setek tysięcy niemieckich żołnierzy pod Mińskiem.

Leżący obok niej pułkownik Sigmund Boldt spał niespokojnie, rzucał się przez sen mamrocząc niezrozumiałe słowa, tak że przeszkadzał jej bardziej niż odległy warkot amerykańskich bombowców. „Ma powody, żeby się bać” — pomyślała. Wszyscy bali się od czasu zakończonej niepowodzeniem próby zamordowania Fiihrera. Widziała filmy z egzekucji zdrajców, każdy najdrobniejszy szczegół ich agonii na rzeźniczych hakach. A wśród skazanych był także generał Zoller.

Pułkownik Boldt nie brał udziału w spisku, tego była pewna, ale stał dość blisko konspiratorów, by wir, który powstał po ich utonięciu, wessał także i jego. Heidi już niemal od roku była jego kochanką i właśnie zaczęła dostrzegać pierwsze oznaki jego znudzenia sobą. Nie miała także wątpliwości, że dni jego władzy i wpływów są policzone. Już wkrótce znów zostanie sama, bez dodatkowych racji żywnościowych dla siebie i małego Lothara.

Wysłuchała się w dudnienie bombowców. Nalot dobiegał końca, ryk silników przycichł do muszego bzyczenia, wiedziała jednak, że wrócą. W ciszy, która zapadła po ich odlocie, pomyślała o Manfredzie i tych wszystkich listach od niego, na które ani razu nie odpisała. Manfred był w Lizbonie. Portugalii nie groziły bombardowania.

Następnego dnia po śniadaniu przeprowadziła rozmowę z Sigmundem.

— Myślę tylko o małym Lotharze — wyjaśniła i wydało jej się, że dostrzega w jego oczach błysk ulgi. Może sam już się zastanawiał, w jaki sposób, bez większego hałasu, się jej pozbyć. Tego samego popołudnia napisała do Manfreda na adres niemieckiego konsulatu w Lizbonie i włożyła do listu swoje zdjęcie z Lotharem.

Pułkownik Boldt zadziałał bardzo szybko. Nadal miał dość wpływów w swoim departamencie, by w ciągu tygodnia załatwić jej paszport i wszystkie dokumenty podrózne. Odwiózł ją na lotnisko Tempelhof czarnym mercedesem i ucałował na pożegnanie przed schodkami transportowego junkersa.

Trzy dni później pułkownik Boldt został aresztowany w swoim domu w Grinewaldzie i tydzień później umarł podczas przesłuchania w kwaterze gestapo, do końca obstając przy swej niewinności.

55

Mały Lothar De La Rey zobaczył po raz pierwszy Afrykę między słupkami relingu portugalskiego frachtowca, wpływającego do Zatoki Stołowej. Stał między matką i ojcem, trzymając

ich za ręce i posapując z zachwytu na widok parowych holowników, które spiesznie nadciągały od strony portu, by powitać ich statek.

Wojna zakończyła się już przed dwoma laty, ale Manfred przedsięwziął ogromne środki ostrożności, nim sprowadził swą rodzinę do Afryki. Najpierw napisał do wuja Trompa, którego po zakończeniu wojny zwolniono z internowania, prosząc go o wszystkie wieści na temat rodziny i sytuacji politycznej w kraju. Dowiedział się od niego, że ciotka Trudj ma się dobrze, a obie dziewczęta wyszły za mąż. Roelfa wypuszczono z obozu w tym samym czasie co wuja Trompa i pozwolono mu powrócić do pracy na uniwersytecie. Jego pożycie z Sarah układało się jak najlepiej i przed końcem roku spodziewali się powiększenia rodziny.

Wieści polityczne były również zachęcające. Chociaż Ossewa Brandwag i inne organizacje paramilitarne zostały skompromitowane i zdelegalizowane, ich członkowie zasili szeregi Partii Narodowej doktora Daniela Malana, odmładzając ją i potężnie wmacniając. Afrykanerzy nigdy jeszcze nie byli tak zjednoczeni. Budowa ogromnego pomnika *Voortrekker*a na wzgórzu nad Pretorią urosła do rangi czynu wszystkich synów Volku, tak że nawet ci, którzy walczyli w armii Smutsa w Afryce Północnej i Włoszech gremialnie w niej pomagali.

Jednocześnie narastała opozycja wobec Smutsa i jego Zjednoczonej Partii. Uważano powszechnie, że stary feldmarszałek za bardzo przedkłada interesy Commonwealthu, którego był jednym z głównych twórców, nad interesy własnego kraju.

Co więcej, Smuts popełnił polityczny błąd zapraszając brytyjską rodzinę królewską do złożenia wizyty w Afryce Południowej. Ta wizyta dodatkowa spolaryzowała społeczeństwo złożone z anglojęzycznych szowinistów i mówiących w afrikaans Burów. Nawet niektórzy zwolennicy Smutsa poczuli się nią urażeni i dotknięci.

Doktor Hendrick Frensch Verwoerd, który porzucił stanowisko wykładowcy na uniwersytecie w Stellenbosch, by zostać redaktorem naczelnym „Die Vaderland”, tylko raz wspomniał w swym piśmie o królewskiej wizycie. Ostrzegł mianowicie swych czytelników, że w związku z obecnością

cudzoziemców w Johannesburgu mogą wystąpić zakłócenia w ruchu ulicznym.

W czasie mowy poddańczej na otwarciu sesji parlamentu Południowej Afryki doktor Daniel Malan i wszyscy posłowie z ramienia Partii Narodowej na znak protestu byli nieobecni.

Więc my, jako Volk, wyszliśmy z tej burzy wzmocnieni, oczyszczeni i bardziej niż kiedykolwiek do tej pory zdeterminowani. Przed nami wielkie dni, Manie. Wracaj do domu. Potrzebujemy ludzi takich jak ty — zakończył swój list wuj Tromp.

A mimo to Manfred nie spieszył się z przyjazdem. Najpierw ponownie napisał do wuja. W mocno zawołowanej formie pytał, jak wygiąda sprawa z białym mieczem, który zostawił w kraju. Po dłuższym czasie uzyskał krzepiącą odpowiedź, że nikt nic nie wie o jego mieczu. Dyskretny wywiad wśród przyjaciół w policji ujawnił, że choć akta zaginionego miecza nie zostały zamknięte, nie prowadzono już w tej sprawie dochodzenia i nikt nic nie wie o miejscu pobytu miecza ani o tym, kto był jego prawdziwym właścicielem. Należało wnioskować, że miecz nigdy nie zostanie odnaleziony.

Po otrzymaniu tych wyjaśnień Manfred zostawił Heidi i syna w Lizbonie, a sam udał się pociągiem do Zurichu, gdzie sprzedał resztę diamentów. Powojenna euforia wywindowała ceny, toteż udało mu się zdeponować na zaszyfrowanym koncie w Credit Suisse prawie dwieście tysięcy funtów.

Po przybiciu do nabrzeża w Cape Town zeszli na brzeg starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, choć przecież Manfred, gdyby tylko chciał, mógłby jako złoty medalista olimpijski wzbudzić swoim przybyciem zainteresowanie całej prasy. Poruszał się ostrożnie, odwiedzając po cichu starych przyjaciół, byłych członków OB i politycznych sprzymierzeńców. Dopiero gdy był całkowicie pewien, że nie czekają go żadne paskudne niespodzianki, udzielił pierwszego wywiadu „Burgerowi”. Wyjaśnił w nim, że wojnę spędził w neutralnej Portugalii, gdyż nie miał ochoty walczyć po żadnej ze stron, teraz jednak wraca do kraju swoich narodzin, by w każdy dostępny mu sposób przyczynić się do spełnienia marzenia każdego Afrykanera: ustanowienia Republiki Południowej Afryki, państwa wyzwolonego spod dyktatu obcych mocarstw.

Powiedział dokładnie to, co należało powiedzieć, a do tego był złotym medalistą olimpijskim, i to w kraju, gdzie tężyznę flzyczną otaczano najwyższą czcią. Był przystojny, bystry i pełen oddania, miał ładną żonę i syna. Wciąż znał wiele wysoko postawionych osób, a szeregi tych wysoko postawionych przyjaciół ciągle rosły.

Wszedł na wspólnika do świetnie prosperującej kancelarii adwokackiej mecenasa Van Schoora, człowieka bardzo aktywnego politycznie, jednego z luminarzy Partii Narodowej. On to właśnie wprowadził wkrótce Manfreda w jej szeregi.

Do pracy w kancelarii zabrał się niemal z takim samym zapalem jak do działalności partyjnej. Okazał spory talent organizacyjny i na tyle dobrze radził sobie z gromadzeniem funduszy, że pod koniec 1947 roku został członkiem *Broederbondu*.

Broederbond, czyli braterstwo, było kolejną tajną organizacją Afrykanerów. Nie zastąpiło zdelegalizowanej Ossewy Brandwag, lecz istniało równolegle, często nawet z nią rywalizując. W przeciwieństwie do OB nie była to organizacja szumna i otwarcie paramilitarna, jej członkowie nie nosili mundurów i nie odbywali zjazdów przy świetle pochodni. Działali cicho w małych grupkach, w domach i gabinetach potężnych i wpływowych osób, bo członkostwo zarezerwowane było tylko dla najlepszych i najwybitniejszych, tych którzy uważali się za superelitę Afrykanerów, a za ostateczny cel stawiali sobie ustanowienie Republiki Afrykanerskiej. Tak jak w OB cała działalność

Broederbondu otoczona była najściślej tajemnicą, ale aby zostać jego członkiem, nie wystarczyło być po prostu czystej krwi Afrykanerem. Kandydat musiał być przywódcą lub przynajmniej typem przywódcy, a zaproszenie do wejścia do braterstwa niosło ze sobą obietnicę wysokich stanowisk politycznych i zaszczytów w przyszłej Republice.

Uzyskanie członkostwa *Broederbondu* opłaciło się Manfredowi niemal natychmiast, gdyż po rozpoczęciu kampanii przed wyborami powszechnymi w roku 1948 Partia Narodowa wystawiła jego kandydaturę na posła w okręgu Holandia Hotentocka.

Dwa lata wcześniej w wyborach uzupełniających mandat w tym okręgu zdobył wystawiony przez Zjednoczoną Partię Smutsa młody bohater wojenny z bogatej angielskojęzycznej rodziny z Cape. Partia Smutsa i tym razem wystawiła w Holandii Hotentockiej kandydaturę Shasy Courteneya.

Manfredowi De La Reyowi proponowano pewniejsze miejsce, ale z rozmysłem wybrał Holandię Hotentocką. Chciał znów się zmierzyć z Shasą Courteneyem. Wciąż jeszcze żywo pamiętał ich pierwsze spotkanie w porcie rybackim w Zatoce Wielorybów. Od tamtej pory ich losy splecione zostały czymś na kształt węzła gordyjskiego i Manfred czuł, że musi jeszcze raz stanąć twarzą w twarz ze swym rywalem, by węzeł ten ostatecznie przeciąć.

By przygotować się do kampanii wyborczej, a także, by podsycić swą cichą, zapiekłą wrogość, zaczął zbierać informacje na temat rodziny Courteneyów, a zwłaszcza na temat Shasy i jego matki, Centaine de Thiry Courteney. Niemal natychmiast natrafił na niejasności w przeszłości tej kobiety, a im bardziej próbował je rozwikłać, tym bardziej stawały się one tajemnicze. W końcu był już tak zaintrygowany, że wynajął pewną paryską firmę detektywistyczną, by dokładnie zbadała historię i pochodzenie rodziny Centaine.

Podczas jednej z comiesięcznych wizyt u ojca, w Centralnym Więzieniu w Pretorii, poruszył sprawę Courteneyów, błagając zasuszonego starca, by powiedział mu wszystko, co wie na ich temat.

Kiedy kampania ruszyła, Manfred był już pewien, że to śledztwo dało mu już na starcie ogromną przewagę, toteż rzucił się w wir twardej walki o miejsca w południowoafrykańskim parlamencie z zapałem i pewnością zwycięstwa.

Centaine de Thiry Courteney stała na szczycie Góry Stołowej w pewnym oddaleniu od reszty towarzystwa. Od śmierci sir Garricka widok tej góry zawsze ją przygnębiał, nawet gdy patrzyła na nią z okien swego gabinetu w Weltevreden. Znalazła się tu po raz pierwszy od dnia tamtej tragedii i tylko dlatego, że nie mogła odmówić prośbie Blaine'a, by zechciała wystąpić w roli jego partnerki. „A poza tym jestem wystarczającą snobką, by skusiła mnie perspektywa przedstawienia królowi i królowej Anglii!” Nigdy nie potrafiła się okłamywać.

Ou Baas rozmawiał z królem Jerzym pokazując laską co ciekawsze fragmenty wspaniałej panoramy. Miał na sobie luźne spodnie do wspinaczki i starą słomkową panamę i tak bardzo przypominał sir Garricka, że Centaine poczuła bolesne ukłucie w sercu. Odwróciła głowę i spojrzała w inną stronę.

Blaine stał w małej grupce otaczającej księżniczki krwi. Opowiadał jakąś dykteryjkę, którą księżniczka Małgorzata skwitowała zachwyconym śmiechem. „Jakaż ona jest piękna — pomyślała Centaine. — Cóż za cera — prawdziwie królewska angielska róża.” Księżniczka odwróciła się i powiedziała coś do jednego z towarzyszących jej młodych mężczyzn. Centaine została mu już przedstawiona. Był to oficer lotnictwa, tak jak Shasa, przystojny, o delikatnej, wrażliwej twarzy. Teraz kobiecy instynkt Centaine pozwolił jej dostrzec ukradkowe spojrzenie, które wymieniła ta para. Nie mogło być mowy o pomyłce. Centaine poczuła przypływ lepszego humoru, jak zawsze, gdy

widziała zakochanych.

Lecz nastrój przygnębienia powrócił nienal natychmiast. Rozmyślając o miłości i młodych kochankach, zaczęła przyglądać się Blaine'owi. Nie poczuł na sobie jej spojrzenia, był odprężony i czarujący, ale włosy przyprószyła mu już siwizna, nad tymi odstającymi uszami, które tak kochała, pojawiły się lśniące srebrne skrzydła, na ogorzalej twarzy wokół oczu i ust pojawiła się sieć głębokich zmarszczek. Dzięki konnej jeździe i spacerom ciało miał nadal jędrne, a brzuch twardy i płaski, lecz coraz bardziej przypominał podstarzałego lwa. Z pogłębiającym się przygnębieniem stwierdziła, że kwiat wieku miał już za sobą i stanął właśnie u progu starości.

„O mój Boże! — pomyślała. — Ja sama za kilka miesięcy skończę czterdzieści osiem lat!” — Uniosła rękę, by poprawić włosy. Wśród nich także było wiele siwych, ale z takim mistrzostwem je farbowała, że wyglądały jedynie na rozjaśnione palącym afrykańskim słońcem. Lustro w buduarze zdradzało jeszcze wiele innych nieprzyjemnych prawd, mm udawało jej się je zatuszować kremami, pudrami i różem.

„Ile czasu nam jeszcze zostało, najdroższy? — spytała się ze smutkiem w duchu. — Jeszcze wczoraj byliśmy młodzi i nieśmiertelni, lecz dziś dotarło do mnie wreszcie, że wszystko ma swój kres.”

W tym momencie Blaine spojrział na nią i na widok jej miny przez jego twarz przemknął cień głębokiej troski. Przeprosił towarzystwo i podszedł do Centaine.

— Skąd ta powaga w taki piękny dzień? — spytał z uśmiechem.

— Myślałam właśnie o tym, że jest pan zupełnie bezwstydnym, panie Malcomess — odparła i uśmiech zniknął z jego twarzy.

— O co chodzi, Centaine?

— Jak panu nie wstyd afiszować się bezczelnie ze swą kochanką przed koronowanymi władcami imperium? — spytała surowo. — Jestem pewna, że za to jest kara główna! Powinni pana skrócić o głowę i zatknąć ją dla przykładu nad bramą Tower!

Blaine wytrzeszczył na nią oczy, po czym na jego twarz powrócił uśmiech, tym razem młodzieńczy i radosny.

— Musi być jakiś sposób, o pani, bym zdołał uniknąć tego straszliwego losu. A co by było, gdybym zmienił twój status i z pozycji nierządnej kochanki podniósł cię do rangi czcigodnej małżonki?

Centaine zachichotała jak dziewczynka. Robiła to bardzo rzadko, lecz kiedy już robiła, nie był w stanie się temu oprzeć.

— Cóż za niezwykła pora i miejsce na oświadczyzny! — zawołała. — Po prostu nie sposób ich nie przyjąć!

— Jak sądzisz, co powiedzieliby ich królewskie moście, gdybym pocałował cię w tym niezwykłym miejscu i o tej niezwykłej porze?

Nachylił się ku niej, a ona odskoczyła wystraszona.

— Zwariowałeś?! Poczekaj, wróćmy tylko do domu! Już ja ci pokażę!

Ujęła go pod ramię i statecznym krokiem poprowadziła go do towarzystwa.

— Weltevreden to jedna z najpiękniejszych siedzib w Cape — przyznał Blaine. — Ale nie należy do mnie. A ja chciałbym przenieść swą świeżo poślubioną małżonkę przez próg własnego domu.

— Nie możemy zamieszkać w domu przy Newlands.

Centaine nie musiała mówić nic więcej. Duch Izabeli przemknął obok nich jak mroczny cień.

— A w domku? — roześmiał się, żeby odegnąć ponure wspomnienia. — Tam jest cudowne łóżko, a czegoż więcej nam potrzeba?

— Domek zatrzymamy. I od czasu do czasu będziemy się wymykać, żeby uciec przed światem.

— Sprośne weekendy! Cudo!

— Czy wiesz, że jesteś nieopisanie wulgarny?

— No to gdzie będziemy mieszkać?

— Znajdziemy jakieś miejsce. Nasze własne.

Było to pięćset akrów górskiego zbocza, plaży i kamienistego wybrzeża, zarośnięte chaszczami srebrnicy, z cudownym widokiem na zatokę Hout i dalej, na otwarty szmaragdowy Atlantyk.

Rozłożysty wiktoriański dwór zbudowany na przełomie stuleci przez jednego z dawnych magnatów z Witwatersrandu rozpaczliwie domagał się troski i opieki, których Centaine gotowa była mu nie skąpić. Pozostawiła jednak starą nazwę posiadłości Rhodes Hill. Jedną z głównych jej zalet zdaniem Centaine było to, że przez przełęcz Constantia miała stamtąd tylko dwadzieścia minut jazdy daimlerem do Weltevreden.

Po zakończeniu wojny Shasa przejął od niej przewodniczenie radzie nadzorczej Courteney Mining and Finance, choć Centaine zachowała miejsce w radzie i nigdy nie opuściła żadnego posiedzenia. Do zwolnionego wielkiego *chiteau* w Weltevreden wprowadził się teraz Shasa z Tarą, lecz Centaine odwiedzała ich co tydzień, a czasami nawet częściej. Doznała wstrząsu, kiedy Tara poprzestawiała jej ukochane meble, zmieniła kształt trawników przed domem i zarządziła gruntowną odnowę ogrodów, lecz zacisnęła zęby i nie skomentowała tego ani słowem.

W tym czasie często powracała myślą do dwojga starych Buszmenów, którzy uratowali ją przed morzem i pustynią, i nuciła cicho pieśń pochwalną skomponowaną przez O'wę na cześć nowo narodzonego Shasy:

Jego strzały sięgną gwiazd,

A gdy kto wymówi jego imię,

Aż tam je będzie słyszeć...

I znajdzie dobrą wodę,

Gdziekolwiek wyruszy, znajdzie dobrą wodę.

Choćpo tylu, tylu latach mlaski i kłąśnięcia języka San dziwnie wykręcały jej język, wiedziała, że błogosławieństwo O'wy w znacznej mierze się ziściło. Ono i jej surowe nauki sprawiły, że Shasa znalazł dobrą wodę życia.

Z pomocą Davida Abrahamsa udało mu się tchnąć w zasiedziałą w Windhoek Courteney Mining and Finance Company nowego ducha młodości i przygody. Choć starzy wyjadacze, tacy jak Abe Abrahams i Twentyman-Jones zrzędzili i kręcili głowami, a ona sama musiała czasami brać ich stronę i zgłaszać veto wobec co bardziej szalonych i ryzykownych zamierzeń Shasy, firma odzyskała rozpęd i wkroczyła na tory szybkiego rozwoju. Za każdym razem, gdy sprawdzała księgi i zajmowała miejsce obok syna w sali zebrań rady nadzorczej, miała mniej powodów do narzekań, a coraz więcej do zadowolenia. Nawet Twentyman-Jones, urodzony pesymista, mruknął kiedyś pod nosem: „Ten chłopak ma głowę na karku”. I natychmiast, przerażony tym, co mu się wyrwało, dodał szybko: „Tylko że wszyscy musimy harować od świtu do nocy, żeby jej nie stracił”.

Kiedy partia Smutsa zgłosiła kandydaturę Shasy w wyborach uzupełniających w Holandii Hotentockiej i po zaciętej walce z kandydatem narodowców Shasa został posłem z tego okręgu,

Centaine stwierdziła, że wszystkie ambitne plany, jakie snuła w życiu dla swego syna, zaczynają się spełniać. Po następnych wyborach, tym razem powszechnych, z pewnością czekała go kariera rządowa, mógł nawet dostać stanowisko wiceministra górnictwa i przemysłu. Potem pełne członkostwo gabinetu, a potem... Ta myśl przyprawiała ją o dreszczyk podniecenia, ale nie próbowała jej ubierać w słowa, żeby przypadkiem niczego nie zapeszyć. A przecież było to zupełnie realne. Shasa był przystojny, nawet opaska na oku przydawała mu indywidualności, mówił jasno i zajmująco, potrafił wzbudzić zainteresowanie i sympatię słuchaczy. Był bogaty, ambitny i inteligentny — miał silne podpory w niej i Tarze. To było realne, bardziej niż realne.

Za sprawą jakiegoś przedziwnie dialektycznego podejścia Tara Malcomess Courteney przejęła zarząd domostwem w Weltevreden, jakby była do tego stworzona, a jednocześnie zachowała całe swe uwrażliwienie na krzywdę społeczną. Dla podkreślenia swej niezależności zatrzymała swe panięskie nazwisko i nieustannie kursowała między wytwornymi salonami Weltevreden a przytułkami i szpitalami dla biednych na przedmieściach Cape, wspierając je znacznie większymi datkami, niż życzyłby sobie tego Shasa.

Z tym samym zapamiętaniem poświęciła się obowiązkom żony i matki. Pierwsze trzy próby przyniosły chłopców, dużych, silnych i zdrowych. W kolejności, w jakiej przyszli na świat, otrzymali imiona: Sean, Garrick i Michael. Za czwartym razem, po dość diugim i trudnym porodzie, Tara wydała na świat swe arcydzieło. Na cześć swojej matki nazwała ją Izabelą, a Shasa od pierwszej chwili, kiedy wziął ją na ręce i maleńka Izabela zwymiotowała mu na ramię trochę kwaśnego mleka, nie widział poza nią świata.

Aż do tej pory temperament i intrygująca osobowość Tary nie pozwalały Shasie popaść w znudzenie i bez specjalnego wysiłku odrzucał subtelne i mniej subtelne zaproszenia, którymi zasypywały go krążące wokół drapieżniki w kobiecych postaciach. Centaine, która znakomicie zdawała sobie sprawę z tego, że w żyłach Shasy tętni gorąca krew de Thiry, cierpiała katusze, gdy Tara, jakby zupełnie nieświadoma niebezpieczeństwa, zbywała jej zawołane ostrzeżenia machnięciem ręki i lekkim: „Och, mamo, Shasa nie jest taki”. Ona najlepiej wiedziała, jaki jest jej syn. „*Mon Dieu*, zaczął w wieku czternastu lat!” Ale kiedy w jego życiu pojawiła się w końcu inna kobieta, przybierając kształt Izabelli de Thiry Malcomess Courteney, Centaine odetchnęła z ulgą. Jakże łatwo jakieś fatalne potknięcie mogło wszystko zepsuć, wyrwać jej z rąk puchar słodczy, który właśnie podnosiła do ust, by do końca jej zasmakować. Teraz jednak była wreszcie bezpieczna.

Siedziała pod dębami przy boisku do polo, gość w posiadłości, którą sama zbudowała i wypieściła, lecz gość podejmowany z honorami i zadowolony. Kolorowe niańki zajmowały się dziećmi, Michael miał niewiele ponad roczek, Izabela wciąż jeszcze karmiona była piersią.

Sean szalał po boisku. Siedział z Shasą w siodle piszcząc z zachwytu i podniecenia, gdy ojciec popędził kuca galopem do odległej bramki, osadził go w miejscu w tumanie kurzu, zawrócił i z tętentem kopyt pognął w przeciwną stronę. Bezpieczny w objęciu lewej ręki Shasy ponaglał go na całe gardło: „Szybciej, tato! Szybciej!”

Siedzący na kolanach Centaine Garrick wiecił się niecierpliwie.

— Ja! — zawołał drżącym z przejęcia głosem. — Teraz ja!

Shasa nadszedł pełnym galopem, ściągnął wodze i zatrzymał się tuż przed matką. Zsadził na ziemię zapierającego się rękami i nogami Seana i spojrzął na Garricka. Garrick natychmiast zeskoczył z kolan Centaine i podbiegł do ojca.

— Ja, teraz ja! Teraz moja kolej!

Shasa pochylił się w siodle, podniósł malca z ziemi, posadził go przed sobą i już pędzili galopem wzdłuż boiska. Ta zabawa nigdy im się nie nudziła; od lunchu musiał już dwa razy zmieniać wymęczone kuce.

Od strony *cheatu* dobiegł warkot samochodu. Centaine mimo woli zerwała się na nogi rozpoznając basowe dudnienie silnika bentleya. Opanowała się jednak natychmiast i wyszła Blaine'owi na spotkanie znacznie stateczniej, niż dyktował jej to nastrój. Ale gdy wysiadł z samochodu i ujrzała jego minę, znów przyspieszyła kroku.

— Co się stało, Blaine? — spytała, całując go w policzek. — Bo coś się stało, prawda?

— Och, nie, skądże znowu — uspokoił ją. — Po prostu narodowcy ogłosili swoją listę kandydatów do parlamentu, to wszystko.

— I kogo wystawili przeciwko tobie? — Już całą jej uwagę zaprzętał tylko ten problem. — Znowu starego Van Schoora?

— Nie, kochanie, tym razem świeża krew. Ktoś, o kim pewnie nigdy nie słyszałaś. Niejaki Dawid Van Niekerk.

— A w Hotentockiej Holandii? — Kiedy zawahał się z odpowiedzią przyparła go do muru: — Mów kto, Blaine!

Ujął ją pod rękę i powoli poprowadził pod dęby, do stołu nakrytego do podwieczorku dla całej rodziny.

— Przedziwne są koleje losu — mruknął.

— Panie Malcomess, proszę odpowiedzieć na moje pytanie, a nie serwować mi tu jakieś perły z kufierka domorosłego filozofa. Kogo wystawili w Hotentockiej Holandii?

— Strasznie mi przykro, kochanie — powiedział ze współczuciem. — Ich oficjalnym kandydatem w Holandii Hotentockiej został Manfred De La Rey.

Centaine stanęła jak wryta, krew odpłynęła jej z twarzy i zachwiała się na nogach. Od początku wojny nie miała żadnych wieści o swoim drugim, nie uznanym synu.

Shasa rozpoczął swoją kampanię otwartym zebraniem w świetlicy harcerskiej w Somerset West.

W czterdziestopięciokilometrową podróż z Cape Town do tej pięknej wioski położonej malowniczo u podnóża przełęczy sir Lowry'ego i poszarpanej bariery gór Hotentockiej Holandii wybrał się razem z Tarą, która nalegała, żeby pojechali jej starym packardem. W nowym roilsie Shasy nigdy nie czuła się dobrze.

— Jak możesz jeździć czymś, co jest warte tyle, że można by za to odziać, posłać do szkół i wyżywić setkę czarnych dzieci od kołyski po grób?

Tym razem zdrowy rozsądek Shasy przyznał, że rzeczywiście lepiej nie popisywać się przed wyborcami swoim majątkiem. Po raz kolejny uświadomił sobie, jakim nieocenionym skarbem jest Tara. Ambitny polityk nie mógłby sobie wymarzyć lepszego współtowarzysza kampanii — matka czwórki dzieci, szczerą i otwartą, o silnych własnych przekonaniach, z wrodzonym darem wyczuwania zmiennych nastrojów tłumu. Do tego była uderzająco piękna z tą burzą kasztanowych włosów i uśmiechem, który potrafił rozruszać najbardziej drętwy spęd przedwyborczy. Po czterech porodach na przestrzeni mniej więcej tyluż lat figurę miała nadal znakomitą — wąską talię, krągłe biodra, i tylko piersi wyraźnie jej urosły.

„Postawiłbym na nią w każdej rywalizacji, nawet z Jane Russell. Wygrałaby z nią o całą długość.” — Roześmiał się na głos, a ona spojrzała na niego spod oka.

— Tak się śmiejesz, kiedy w myślach świętuszysz — powiedziała oskarżycielskim tonem. —

Nie, nie chcę wiedzieć, o czym myślałeś. Zamiast tego potrenujemy twoją mowę.

Próbował tę mowę przed nią, z odpowiednią mimiką i gestami, a Tara zgłaszała swoje uwagi do treści i sposobu prezentacji. „Tu zrobiłabym dłuższą przerwę” albo „Mów to ostrzej i z większym przekonaniem” czy też „Nie rozwodziłabym się tak bardzo nad tym imperium. To już wyszło z mody”.

Nadal prowadziła jak szatan, toteż już wkrótce dojechali do celu. Przy wejściu rozlepiono wielkie plakaty z podobizną Shasy, a sala ku ich radości była wypełniona. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, a z tyłu kilkunastu młodych ludzi nawet stało pod ścianą. Wyglądali na studentów, którzy nie osiągnęli jeszcze wieku uprawniającego do głosowania.

Miejscowy działacz Partii Zjednoczonej z rozetką w klapie przedstawił Shasę zebrany jako człowieka, który nie potrzebuje przedstawiania, i w kilku słowach przypomniał, czym Shasa zasłużył się w parlamencie w czasie upływającej, krótkiej kadencji.

Teraz wstał Shasa. Wysoki, elegancki w granatowym garniturze, nie najnowszy ani najmodniejszy, lecz ze śnieżnobiałą koszulą — tylko spekulanci nosili kolorowe koszule — i krawatem lotnika, który miał przypominać o jego czynach wojennych. Opaska na oku jasno dowodziła, co poświęcił dla swej ojczyzny, uśmiechał się szczerze i otwarcie.

— Przyjaciele... — zaczął i nie udało mu się powiedzieć nic więcej. Zagłuszył go dziki wrzask, tupanie i wykrzykiwane na cały głos drwiny. Próbował to obrócić w żart, udając, że dyryguje orkiestrą prześmiewców, ale jego uśmiech stawał się coraz bardziej sztuczny, a ryk tłumu nie milkł ani na chwilę, z minuty na minutę nabierając coraz większej mocy i coraz mniej sympatycznego charakteru. W końcu zdecydował się wygłosić swoje przemówienie przekrzykując panujący zgiełk.

Było ich około trzystu, zajmowali cały tył sali i nie kryli się ze swą przynależnością do Partii Narodowej. Wymachiwali partyjnymi sztandarami z haftowanym rogiem na proch i plakatami z portretami posępnie przystojnego Manfreda De La Reya.

Po kilku minutach część starszych wyborców z przodu sali zabrała żony i czując w powietrzu zamieszki wymknęła się bocznym wyjściem, co wywołało nowy wybuch radosnej wrzawy.

Nagle Tara siedząca obok Shasy, zerwała się na równe nogi. Zaczerwieniona z gniewu, spiorunowała twardym, wyzywającym spojrzeniem rozhlukany tłum.

— Co z was za ludzie?! — krzyknęła na cały głos. — To ma być *fair*? Nazywacie siebie chrześcijanami? Gdzie wasze chrześcijańskie miłosierdzie? Dajcie temu człowiekowi szansę!

Jej głos dotarł do najdalszych zakątków sali, jej uroda i gniew zmieszały hałasujących. Zaczęła się w nich odzywać wrodzona rycerskość, ten i ów z zażenowanym uśmiechem zajął miejsce, zgiełk zaczął cichnąć. Lecz w tej samej chwili do przodu wyskoczył jakiś wysoki brunet, by na powrót podjudzić tłum.

— *Kom krels*, dalej, chłopcy! Niech ten *soutie* wraca do Anglii, gdzie jego dom!

Shasa znał tego człowieka, był to jeden z miejscowych działaczy partyjnych. W trzydziestym szóstym brał udział w Olimpiadzie, a większą część wojny spędził w obozie dla internowanych. Teraz pracował jako starszy wykładowca prawa na uniwersytecie w Stellenbosch.

— To tak *Meneer* Roelf Stander wierzy w rządy prawa i wolność wypowiedzi? — zaatakował go w afrikaans.

Nie zdążył jednak skończyć, gdy rzucono pierwszy pocisk. Nadleciał wysoką parabolą z tyłu sali i rozprysł się na stole przed Tarą. Była to szara papierowa torba wypełniona psim łajnem. W ślad za nią posypały się natychmiast miękkie owoce, rolki papieru toaletowego, zdechłe kurczaki i nadpsute ryby.

Siedzący w przednich rzędach zwolennicy Patrii Zjednoczonej zerwali się z miejsc protestując głośno i wzywając do przywrócenia porządku, ale Roelf Stander ruchem ręki pchnął do przodu swoich ludzi, którzy rzucili się hurmem, by wydać bitwę swym przeciwnikom. Rozległ się huk wywracanych krzeseł, przerażony krzyk kobiet, wołania i przekleństwa mężczyzn, mocujących się ze sobą i padających na ziemię.

— Trzymaj się jak najbliżej mnie! Najlepiej uczip się mojej marynarki! — polecił Shasa Tarze i zaczął przebijać się do drzwi, waląc na oślep każdego mężczyznę, który stanął mu na drodze.

— Stary, ja jestem po twojej stronie! — żałośnie zaprotestował z podłogi jeden z nich, powalony prawym siewowym Shasy, ale ten bez słowa wyciągnął Tarę przez boczne drzwi na dwór i uprowadził ją do samochodu.

Nie odezwali się do siebie ani słowem, dopóki Tara nie wyjechała na główną drogę i snopy świateł reflektorów nie skierowały się w stronę ciemnego masywu Góry Stołowej. Dopiero wtedy spytała:

— Iluś ich załatwił?

— Trzech ich, jednego naszego — odparł i oboje wybuchnęli przynoszącym ulgę śmiechem.

— Coś mi się wydaje, że zanosi się na niezłą zabawę.

Walka przed wyborami w roku 1948 toczyła się coraz bardziej bezpardonowo. Powoli cały naród zaczął sobie uświadamiać, że kraj znalazł się na jakichś złowróżbnych rozdrożach.

Ludzie Smutsa z osłupieniem obserwowali, jak głębokie uczucia potrafili wyzwolić u Afrykanerów narodowcy i byli zupełnie nie przygotowani na niemal wojskową mobilizację wszystkich sił pod komendą Partii Narodowej.

Czarnych uprawnionych do głosowania było bardzo niewiele, a wśród białej ludności Afryki Południowej Afrykanerzy stanowili nieznaczną większość. Smuts ubiegał się o poparcie anglojęzycznego elektoratu, a także umiarkowanych Afrykanerów. Lecz w miarę zbliżania się dnia wyborów coraz więcej umiarkowanych dawało się ponieść fali nacjonalistycznej histerii i w obozie Partii Zjednoczonej zaczęło szerzyć się przecucie klęski.

Trzy dni przed wyborami Centaine nadzorowała w swoim nowym ogrodzie sadzenie setek dodatkowych krzewów herbacianych róż, kiedy z domu wyszedł do niej spiesznym krokiem jej sekretarz.

— Przyszedł pan Duggan, proszę pani.

Andrew Duggan był redaktorem „Cape Argus”, największej anglojęzycznej gazety w mieście. Od dawna przyjaźnił się z Centaine, był stałym gościem w jej domu, a jednak zjawienie się bez zapowiedzi wydawało się sporym nietaktem z jego strony. Mimo chustki na głowie włosy Centaine rozsypywały się na wszystkie strony w zupełnym nieładzie, była zaczerwieniona i spocona od wysiłku, nie zdążyła się jeszcze tego dnia umalować.

— Proszę mu powiedzieć, że mnie nie ma — poleciła.

— Pan Duggan bardzo przeprasza, ale twierdzi, że to sprawa najwyższej wagi. Użył sformułowania „sprawa życia i śmierci”.

— No dobrze, proszę mu powiedzieć, że przyjdę za pięć minut.

Zmieniła spodnie i sweter na jasną sukienkę, przypudrowała szybko nos i lekkim krokiem weszła do salonu. Andrew Duggan stał przy wielkim oknie z widokiem na Atlantyk. Przywitała się z nim niezbyt wylewnie, me podała mu policzka do ucałowania, wyrażając w ten sposób swoje niezadowolenie. Andrew natychmiast zaczął się kajać.

— Strasznie cię przepraszam, Centaine, wiem, jaka to beczelność z mojej strony łądować się tu bez zapowiedzenia, ale po prostu musiałem z tobą porozmawiać, a nie mogłem tego zrobić przez telefon.

Zmiękła trochę i uśmiechnęła się.

— Wybaczam ci i na dowód tego poczęstuję cię filiżanką herbaty.

Nalała mu aromatycznej *orange pekoe* do cienkiej jak pergamin filiżanki i usiadła obok niego na sofie.

— Cóż to za sprawa „życia i śmierci”? — spytała.

— Właściwie nie tyle życia i śmierci, co życia i narodzin.

— Zaintrygowaleś mnie, Andy. Mów dalej,

— Słuchaj, Centaine, otrzymałem niezwykle informacje, poparte dokumentami, które na pierwszy rzut oka wydają się zupełnie prawdziwe. Jeśli rzeczywiście takie są, będę zmuszony tę historię wydrukować. Informacje dotyczą ciebie i twojej rodziny, a przede wszystkim ciebie i Shasy. Są druzgocące... — Urwał i spojrzał na nią, jakby chciał zapytać, czy ma kontynuować.

— Mów dalej — poprosiła Centaine ze spokojem, którego wcale me czuła.

— Nie bawiąc się w niuanse, Centaine, poinformowano nas, że Blaine jest twoim pierwszym i jedynym mężem... — Centaine poczuła, że piersi przytłacza jej ołowiany ciężar. — Co oznaczałoby, rzecz jasna, że Shasa jest twoim nieślubnym synem.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — przerwała mu uniesieniem ręki. — Twoim informatorem jest kandydat z ramienia Partii Narodowej w Holandii Hotentockiej albo któryś z jego agentów. Dobrze zgaduję?

Skinął nieznacznie głową, lecz natychmiast dodał:

— Nie ujawniamy źródeł swoich informacji. To zasada naszej redakcji.

Zapadło długie milczenie, podczas którego Duggan obserwował twarz Centaine. „Cóż to za niezwykła kobieta — pomyślał. — Nieugięta nawet w obliczu zupełnej katastrofy.” Zrobiło mu się smutno, że to on będzie musiał zniszczyć jej marzenia. Domyślał się, jak wysoko mierzyła w swych planach i znakomicie ją rozumiał. Shasa Courteney był tego wart, miał wiele do zaoferowania temu narodowi..

Naturalnie masz te dokumenty? — spytała Centaine, a Diggan pokręcił przecząco głową.

— Mój informator wstrzymuje się z ich przekazaniem do momentu uzyskania ode mnie obietnicy, że na pewno wydrukuję tę historię przed dniem wyborów.

— Którą oczywiście mu złożysz?

- Jeśli nie uzyskam od ciebie czegoś, co pozwoliłoby odeprzeć te zarzuty, to nie będę mógł o tym nie napisać. W grę wchodzi interes publiczny.

— Daj mi czas do jutra rana — poprosiła, a kiedy się zawahał, dodała: — Proszę cię, wyświadczyć mi tę przyjacielską przysługę.

— Dobrze — przystał. — Tyle na pewno jestem ci winien.

Wstał z sofie i skinął głową na pożegnanie.

— Przepraszam, Centaine, i tak zabrałem ci już zbyt wiele czasu.

Natychmiast po wyjściu Duggana pobiegła na górę, wykapała się i przebrała. Pół godziny później pędziła już swoim daimlerem w stronę Stellenbosch.

Było już sporo po piątej, kiedy zaparkowała samochód przed kancelarią adwokacką Van Schoora i De La Reya, ale po naciśnięciu klamki drzwi ustąpiły i okazało się, że jeszcze zastała jednego ze

wspólników.

— *Meneer De La Rey* wyszedł dziś wcześniej. Wziął ze sobą pewne materiały, nad którymi chciał popracować w spokoju.

— Mam do niego sprawę nie cierpiącą zwłoki. Czy może mi pan podać jego adres domowy?

Był to miły choć skromny dom na brzegu rzeki, jego jednoakrowy ogród przylegał do rozległej posiadłości Lanzeraców. Ktoś otaczał ten ogród ogromną troską. O tak późnej porze roku, gdy w górach spadły już pierwsze śniegi, tu wciąż jeszcze pełno było wielobarwnych kwiatów.

Otworzyła kobieta, wysoka blondynka o pełnych kształtach i bardzo ładnej twarzy. Uśmiechnęła się w rezerwę i przytrzymała nogą na wpół tylko uchylone drzwi.

— Chciałabym mówić z *Meneerem De La Reyem* — powiedziała Centaine w afrikaans. — Proszę mu powiedzieć, że przysła pani Malcomess.

— Mój mąż pracuje, nie lubi, kiedy mu się przeszkadza. Ale proszę wejść, zobaczę, czy zechce panią przyjąć.

Zostawiła Centaine w salonie obitym ciemnoczerwonym materiałem, z pluszowymi zasłonami w oknach i ciężkimi niemieckimi meblami. Napięcie nie pozwoliło Centaine usiąść. Stała pośrodku pokoju wpatrując się niewidzącym spojrzeniem w obraz nad kominkiem, aż w pewnej chwili poczuła na sobie czyjś wzrok.

Odwróciła się szybko. W drzwiach prowadzących do dalszej części mieszkania stał jakiś chłopiec i przyglądał jej się z dzieciennym zaciekawieniem. Był bardzo ładny, mógł mieć siedem, osiem lat, spod burzy jasnych loków patrzyły na nią zaskakująco ciemne, inteligentne oczy ocienione równie ciemnymi brwiami.

To były jej oczy, natychmiast je rozpoznała. Miała przed sobą własnego wnuka, instynkt nie mógł jej mylić. Szok, o jaki ją to przyprawiło, sprawił, że nie była w stanie opanować drżenia. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa, po czym Centaine opanowała się i podeszła powoli do chłopca. Wyciągnęła do niego rękę i uśmiechnęła się.

— Dzień dobry — powiedziała. — Jak się nazywasz?

— Lothar De La Rey — odparł ważnym tonem. — I mam już prawie osiem lat.

„Lothar! — powtórzyła w myślach i poczuła, jak wezbraną falą zalewają ją dawne rozdzierające wspomnienia. Mimo to udało jej się zachować na twarzy uśmiech.

— Taki duży, śliczny chłopiec... — zaczęła i omal nie pogłaskała go po policzku, lecz w tej samej chwili za plecami malca stanęła jego matka.

— Co ty tutaj robisz, Lothie? — złąjała go. — Nie skończyłeś obiadu. Wracaj natychmiast do stołu, słyszysz?

Chłopiec śmignął w głąb domu, a kobieta uśmiechnęła się do Centaine.

— Bardzo panią przepraszam, w tym wieku dzieci są niezwykle ciekawskie. Mój mąż przyjmie panią. Proszę za mną.

Wciąż pąd wrażeniem przelotnego spotkania z wnukiem, Centaine była zupełnie nie przygotowana na dodatkowy szok, o jaki przyprawił ją widok syna. Stał za zawalonym stertami dokumentów biurkiem i wpatrywał się w nią tym zbijającym z tropu spojrzeniem żółtych oczu.

— Nie mogę powiedzieć, by była pani mile widziana w tym domu, pani Malcomess — powiedział po angielsku. — Jest pani śmiertelnym wrogiem moim i całej mojej rodziny.

— To nieprawda.

Stwierdziła, że z trudem łapie oddech i podjęła rozpaczliwą próbę odzyskania panowania nad

sobą.

Manfred machnął niedbale ręką.

— Obrabowała pani i oszukała mego ojca, uczyniła pani z niego kalekę i skazała na spędzenie połowy życia w więzieniu. Gdyby go pani teraz ujrzała, załamane, zapomnianego przez wszystkich starca, nie odważyłaby się pani przyjść do mnie prosić o przysługę.

— Jest pan pewien, że przyszedłem prosić o przysługę? — spytała, a on odpowiedział na to gorzkim śmiechem.

— A po cóż by innego? Prześladowuje mnie pani od tamtego dnia, kiedy ujrzałem panią po raz pierwszy w życiu na sali sądowej podczas procesu mego ojca. Śledziła mnie pani, czaiła się i czyhała na mnie jak głodna lwica. Wiem, że chce mnie pani zniszczyć, tak jak zniszczyła pani mego ojca.

— Nieprawda! — potrząsnęła gwałtownie głową, ale on ciągnął bezlitośnie.

— A teraz ośmiela się pani nachodzić mnie i błagać o łaskę. Wiem, czego pan chce.

Wyciągnął szufladę, wyjął z niej jakąś teczkę, otworzył ją i wysypał jej zawartość na blat biurka. Wśród sterty dokumentów Centaine rozpoznała francuskie metryki urodzenia i stare wycinki z gazet.

— Mam to pani przeczytać, czy też przeczyta sobie pani sama? Czy potrzebne mi są jakieś inne dowody, by przekonać świat, że jest pani kurwą, a pani syn bękartem? — spytał.

Centaine drgnęła jak spoliczkowana.

— Zabrał się pan do tego bardzo metodycznie — powiedziała półgłosem.

— Owszem, bardzo metodycznie. Mam wszystkie dowody...

— Nie, nie wszystkie — przerwała mu spokojnie. — Dowiedział się pan tylko o jednym moim nieślubnym synu. Ale ja mam jeszcze jednego bękarta. Opowiem panu o nim.

Po raz pierwszy stracił pewność siebie i nie wiedział, co odpowiedzieć. Popatrzył na nią zbity z tropu, po czym pokręcił głową.

— Pani jest zupełnie bezwstydna — powiedział z niedowierzaniem. — Pyszni się pani przed światem swoimi grzechami.

— Nie przed światem — odparła cicho — tylko przed osobą, której najbardziej dotyczą. Przed tobą, Manfredzie De La Reyu.

— Nie rozumiem.

— A więc wytłumaczę ci, dlaczego, jak to ująłeś, śledziłam cię jak głodna lwica. Nie robiłam tego, jak lwica czyhająca na zdobycz, lecz jak lwica pilnująca swych małych. Widzisz, Manfredzie, to ty jesteś tym moim drugim synem. Wydałam cię na świat pośród piasków pustyni, a Lothar zabrał mi cię, nim zdążyłam cię zobaczyć. Jesteś moim synem, a Shasa jest twoim przyrodnim bratem. Jeśli on jest bękartem, to ty także. Jeśli zniszczysz jego, zniszczysz przy okazji i siebie.

— Nie wierzę! — zawołał i szarpnął się do tyłu. — To kłamstwa! Same kłamstwa! Moja matka była szlachetnie urodzoną Niemką! Mam jej fotografię! Tam! Wisi na ścianie!

Centaine spojrzała na zdjęcie.

— Ona rzeczywiście była żoną Lothara — przyznała. — Ale zmarła prawie dwa lata przed twoimi narodzinami.

— Nie, to nieprawda. To nie może być prawda!

— Zapytaj ojca, Manfredzie — powiedziała cicho Centaine. — Jedź do Windhoek. Muszą tam mieć w archiwach datę śmierci tej kobiety.

Dopiero teraz zrozumiał, że Centaine nie kłamie. Opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Skoro jesteś moją matką... to jakże mogę cię tak nienawidzić?

Podeszła do biurka i pochyliła się nad nim.

— Nie możesz mnie nieiawidzić tak bardzo, jak ja sama się nienawidziłam za wyrzeczenie się i porzucenie ciebie.

Scyliła się i pocałowała go w czoło.

- Gdyby tylko... — szepnęła. — Ale teraz jest już za późno, o wiele za późno. Tak jak powiedziałaś, jesteśmy wrogami, dzieli nas otchłań szeroka i głęboka jak ocean. Ani ty, ani ja nigdy nie zdołamy jej przebyć, ale ja cię nie nienawidzę, Manfredzie, mój synu. Nigdy cię nie nienawidziłam.

Zostawiła go skulonego za biurkiem i powoli wyszła z pokoju.

Andrew Duggan zadzwonił do niej nazajutrz w południe.

— Mój informator wycofał swoje zarzuty, Centaine. Twierdzi, że wszystkie dokumenty związane ze sprawą... spłonęły. Myślę, że ktoś go przycisnął, Centaine, ale za skarby świata nie wiem kto.

Dwudziestego piątego maja, w przeddzień wyborów, Manfred wygłosił przemówienie do tłumu zgromadzonych w holu Holenderskiego Kościoła Reformowanego w Stellenbosch. Byli to wszystko zagorzali zwolennicy Patrii Narodowej. Roelf Stander i jego bojówkarze dopilnowali, by w spotkaniu nie wzięli udziału żadni przeciwnicy polityczni.

A mimo to, kiedy Manfred wstał, uniemożliwiono mu zabranie głosu. Huczna owacja, jaką mu zgotowano, trwała pełne pięć minut. Gdy jednak przebrzmiały ostatnie oklaski, wszyscy zajęli miejsca i pełnym skupieniem wysłuchali przemówienia, w którym kreślił przed nimi wizję przyszłości.

— Pod, rządami Smutsa nasz kraj zaludni skundlona kawowoskóra rasa mieszańców, a jedynymi białymi, jacy tu zostaną, będą Żydzi. Ci sami Żydzi, którzy w tej właśnie chwili, w Palestynie mordują za każdym rogiem Bogu ducha winnych brytyjskich żołnierzy. Jak wszyscy doskonale wiecie, Smuts pospieszył się z uznaniem nowo powstałego państwa Izrael. Ale czegoż innego można się po nich spodziewać? Jego mocodawcami są przecież żydowscy właściciele kopalni złota...

— *Skande* — skandal! — przerwały mu okrzyki z tłumu, a Manfred zamilkł na chwilę znacząco, nim podjął przemówienie.

— My natomiast proponujemy wam plan, nie, więcej niż plan — wizję, śmiałą i szlachetną wizję, która zapewni przetrwanie nieskalanej krwi naszego Volku. Wizję, które jednocześnie ochroni innych mieszkańców tej ziemi, żółtych, Hindusów, plemiona murzyńskie. Tę niezwykłą koncepcję opracowali mądrzy ludzie, pracujący z poświęceniem i oddaniem, me kierujący się własnym interesem. Ludzie tacy jak doktor Theophilus Dónges, doktor Nicolaas Diederichs, doktor Hendrick Frensch Verwoerd — wszystko wybitni Afrykanerzy.

Przeczekał potwierdzający ryk tłumu, popijając wodę ze szklanki i przekładając kartki, aż znów zapadła zupełna cisza.

— To idealistyczna, starannie opracowana i absolutnie niezawodna koncepcja, która pozwoli wszystkim rasom współżyć ze sobą w pokoju, z godnością i w dobrobycie, zapewniając im jednocześnie możliwość zachowania odrębnej tożsamości i własnej kultury. Dlatego właśnie nazwaliśmy nasze zamierzenia polityką segregacji. Ta wizja wydzwignie nasz kraj do wielkości, zadziwi cały świat, będzie stanowić przykład dla wszystkich ludzi dobrej woli. To właśnie nazywamy *Apartheidem*. Będzie to, moi ukochani rodacy, płaszcz chwały, który gotowi jesteśmy narzucić na ramiona temu krajowi. *Apartheid*, przyjaciele, oto co pragniemy wam zaoferować! Promienną wizję *Apartheidu*!

Przez wiele minut nie mógł mówić dalej, lecz kiedy znów zaległa cisza, zmienił ton na lżejszy i bardziej rzeczowy.

— Oczywiście trzeba będzie pozbawić prawa wyborczego tych czarnych i kolorowych, którzy już je otrzymali, a także...

Kiedy godzinę później zakończył przemówienie, rozentuzjasmowany tłum wyniósł go na rękach z kościoła.

Tara stała u boku Shasy. Czekali aż komisja zakończy obliczanie głosów i ogłosi wyniki wyborów w okręgu Holandia Hotentocka.

Salę wypełniał podekscytowany tłum oczekujących, śmiano się, śpiewano, płatano sobie niewybredne żarty. Kandydat narodowców stał ze swą wysoką jasnowłosą żoną w przeciwległym końcu sali, otoczony szerokim, nieustannie falującym kołem swoich zwolenników.

Jeden z działaczy Partii Zjednoczonej próbował przywołać Shasę ponad głowami tłumy gorączkowym wymachiwaniem rąk, ale Shasa gawędził właśnie wesoło z grupką swych zagorzałych wielbicielek, toteż Tara wymknęła się w jego zastępstwie sprawdzić, o co chodzi. Wróciła już po kilku sekundach, a kiedy Shasa ujrzał wyraz jej twarzy, przerwał rozmowę i szybko przepchnął się do niej przez tłum.

— Co się stało, kochanie? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora.

— *Ou Baas* — szepnęła. — Dzwonili z Transwalu. Smuts przegrał w Standerton. Jego mandat zdobyli narodowcy.

- O Boże, nie! — Shaa był zupełnie wstrząśnięty. — Wybierali tam *Ou Baasa* przez dwadzieścia pięć lat. Nie mogą tak po prostu się go pozbyć.

— Anglicy pozbyli się Winstona Churchilla — odparła tara. — Bohaterowie nie są już dziś nikomu potrzebni.

— To jest znak — mruknął Shasa. — Jeśli Stnuts przepadł, my wszyscy przepadniemy razem z nim.

Dziesięć minut później przekazano przez telefon następną informację. Blaine Malcomess przegrał w Gardens niemal tysiącem głosów.

— Tysiąc głosów... — próbował to pojąć Shasa. — Ależ to prawie dziesięcioprocentowa zmiana poglądów elektoratu! Co teraz będzie?

Na podwyższenie w końcu sali wszedł komisarz wyborczy z wynikami wyborów w ręku. W sali zapadła pełna napięcia cisza, tłum przysunął się bliżej podwyższenia.

— Panie i panowie, oto wyniki wyborów w okręgu Holandia Hotentocka — powiedział podniesionym głosem komisarz. — Manfred De La Rey, Partia Narodowa — 3 126 głosów; Shasa Courteney, Partia Zjednoczona — 2 012 głosów; Claude Sampson, kandydat niezależny — 196 głosów.

Tara wzięła Shasę za rękę i oboje wyszli do zaparkowanego przed salą packarda. Wsiadli do samochodu, ale Tara nie zapaliła jeszcze silnika. Byli wstrząśnięci, nie mogli pozbierać myśli.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć — szepnęła po chwili.

— Czuję się tak, jakbym pędził porwanym pociągiem — odparł Shasa. — Przede mną długi czarny tunel, a tu żadnej drogi ucieczki, żadnego sposobu, żeby się zatrzymać. — Westchnął cicho. — Biedna stara Afryka Południowa. Bóg jeden wie, co nam przyniesie przyszłość.

Mojżesz Gama stał w otoczeniu swoich ludzi. Małe pomieszczenie o ścianach z falistej ocynkowanej blachy pękało w szwach. To byli jego pretorianie, a Swart Hendrick był ich dowódcą.

Pomieszczenie oświetlała tylko mała parafinowa lampa, ale jej żółty blask padał wprost na twarz Mojżesza Gamy.

„To lew wśród ludzi” — pomyślał Hendrick, raz jeszcze porównując go do dawnych królów, Czaki albo Mzilikaziego, tych wielkich czarnych słoni. Tak właśnie musieli zwoływać narady wojenne, tak właśnie musieli wydawać wojny.

- Jak kraj długi i szeroki Burowie chełpią się dziś swoim zwycięstwem — mówił Mojżesz Gama. — Ale ja wam powiadam, moje dzieci, że płomień ich pychy i chciwości staną się zarzewiem ich własnej zagłady. Nie będzie to łatwe i może długo potrwać. Czeka nas ciężka praca, niewdzięczna i może nawet krwawa, ale powiadam wam, moje dzieci — przyszłość należy do nas!

Nowy wiceminister sprawiedliwości wyszedł ze swego gabinetu i udał się długim korytarzem do Gmachu Związku, tego masywnego jak forteca kompleksu budynków, zaprojektowanego i zbudowanego przez sir Herberta Bakera na niskim wzgórzu z widokiem na Pretorię. Tu była administracyjna siedziba rządu Afryki Południowej.

Zapadł już zmrok, ale w oknach większości biur paliły się światła. Wszyscy pracowali do późna w noc. Przejmowanie władzy to mozolne zajęcie, ale Manfred De La Rey delektował się najdrobniejszym szczegółem powierzonego mu zadania. Zdawał sobie sprawę z tego, jak wielkiego dostąpił zaszczytu. Był bardzo młody, mówiono nawet, że zbyt młody, jak na wiceministra sprawiedliwości, ale postanowił dowieść tym wszystkim, którzy tak uważali, że bardzo się mylili.

Zapukał do gabinetu ministra i otworzył je słysząc głośnie *Kom binne* — proszę wejść!”

Charles Robberts „Czarnuch” Swart był tak wysoki, że wydawało się to aż nienaturalne. Wielkie dłonie złożył przed sobą na blacie biurka.

— Manfred! — uśmiechnął się, a wyglądało to tak, jakby w granitowej płycie otworzyła się wąska szczelina. — Masz tu ten mały prezent, który ci obiecałem.

Wziął do ręki kopertę z herbem Związku Afryki Południowej i podał ją nad blatem Manfredowi.

— Nie jestem w stanie wyrazić swojej wdzięczności, panie ministrze — odparł Manfred, przyjmując od niego kopertę. — Mam nadzieję, że uda mi się panu odwdziaczyć absolutną lojalnością i ciężką pracą w nadchodzących latach.

Wróciwszy do swego gabinetu, Manfred otworzył kopertę i rozłożył znajdujący się w niej dokument. Delektując się każdym słowem odczytał powoli akt ułaskawienia niejakiego Lothara De La Reya, skazanego za różne przestępstwa na dożywotnie więzienie. Potem złożył dokument i wsunął go z powrotem do koperty. Jutro osobiście dostarczy go dyrektorowi więzienia, sam weźmie ojca za rękę i wyprowadzi go znów w blask słońca.

Wstał, podszedł do sejfu, nastawił kombinację i otworzył ciężkie stalowe drzwiczki. Na górnej półce leżały trzy teczki akt. Wziął je wszystkie i rozłożył na biurku. Jedną przygotował wywiad, drugą Komenda Główna Policji, trzecią jego własne Ministerstwo Sprawiedliwości. Musiał się nieźle nagimnastykować, nim udało mu się zebrać je razem i usunąć z archiwów wszelkie ślady ich istnienia. Był to jedyny istniejący jeszcze komplet akt sprawy „Biały Miecz”.

Nie spiesząc się przeczytał wszystko od deski do deski, niczego nie pomijając. Było już sporo po północy, nim skończył, ale teraz wiedział już na pewno, że nikt nigdy nie powiązał Białego Miecza z Manfredem De La Reyem, złotym medalistą olimpijskim, a obecnie wiceministrem sprawiedliwości.

Zebrał teczki, wyniósł je do sekretariatu i włączył maszynę do niszczenia dokumentów. Wsuwając kartkę po kartce w otwór maszyny i obserwując, jak z drugiej strony wypadają skręcone cieniutkie paseczki papieru, rozmyślał nad tym, czego się z tych dokumentów dowiedział.

— A więc jednak był zdrajca — mruknął. — Kobieta, młoda kobieta mówiąca w afrikaans. Wiedziała o wszystkim, od karabinów w Pretorii po zasadzkę a Górze Stołowej. Tylko jedna kobieta wiedziała o tym wszystkim. Na zemstę miał mnóstwo czasu, nie musiał się spieszyć. Tyle było rachunków do wyrównania, tyle długów do spłacenia. Kiedy ostatnia kartka akt zmieniała się w papierowe spaghetti, Manfred zamknął gabinet, zszedł na dół do aparkowanego przed urzędem nowego czarnego służbowego forda i wrócił do swej okazałej oficjalnej rezydencji w eleganckiej dzielnicy Waterkloof. Wspiął się na palcach po schodach i wszedł cichutko do sypialni, żeby nie obudzić Heidi. Znów była w ciąży, dobry sen był jej bardzo potrzebny. Leżał w ciemności z otwartymi oczyma, długo jeszcze nie mogąc J zasnąć. Tyle rzeczy trzeba było przemyśleć, tyle zaplanować. „A więc w końcu miecz ładzy spoczął w naszych rękach — pomyślał z uśmiechem. — Teraz wreszcie się okaże, kto tu jest górą.”